

ROBERT JORDAN

SMOK
ODRODZONY



Robert Jordan

SMOK ODRODZONY

(Przełożyła Katarzyna Karłowska)

Książka dedykowana
Jamesowi Oliverowi Rigneyowi, Sr.
(1920 – 1988)

Nauczył mnie zawsze dążyć za marzeniem,
a kiedy już uda się je pochwycić, żyć w zgodzie z nim.

Spis treści

STRONA TYTUŁOWA
PROLOG FORTECA ŚWIATŁOŚCI
ROZDZIAŁ 1 OCZEKIWANIE
ROZDZIAŁ 2 SAIDIN
ROZDZIAŁ 3 WIEŚCI Z RÓWNINY
ROZDZIAŁ 4 SNY PEŁNE CIENIA
ROZDZIAŁ 5 KOSZMAR NA JAWIE
ROZDZIAŁ 6 POLOWANIE SIĘ ROZPOCZYNA
ROZDZIAŁ 7 DROGA Z GÓR
ROZDZIAŁ 8 JARRA
ROZDZIAŁ 9 WILCZE SNY
ROZDZIAŁ 10 TAJEMNICE
ROZDZIAŁ 11 TAR VALON
ROZDZIAŁ 12 TRON AMYRLIN
ROZDZIAŁ 13 KARY
ROZDZIAŁ 14 UKŁUCIE KOLCÓW
ROZDZIAŁ 15 SZARY CZŁOWIEK
ROZDZIAŁ 16 TRZY ŁOWCZYNI
ROZDZIAŁ 17 CZERWONA SIOSTRA
ROZDZIAŁ 18 UZDRAWIANIE
ROZDZIAŁ 19 PRZEBUDZENIE
ROZDZIAŁ 20 ODWIEDZINY
ROZDZIAŁ 21 ŚWIAT SNÓW
ROZDZIAŁ 22 CENA PIERŚCIENIA
ROZDZIAŁ 23 PRZYNALEŻNOŚĆ
ROZDZIAŁ 24 POSZUKIWANIA I ODKRYCIA
ROZDZIAŁ 25 PYTANIA
ROZDZIAŁ 26 ZA ZAMKIEM
ROZDZIAŁ 27 TEL'ARAN'RHOD
ROZDZIAŁ 28 WYJŚCIE
ROZDZIAŁ 29 PUŁAPKA, W KTÓRĄ NALEŻY WPAŚĆ
ROZDZIAŁ 30 PIERWSZY RZUT

“A jego ścieżki liczne będą, a kto pozna jego imię, zrodzi się bowiem wśród nas wiele razy, pod wieloma postaciami, jak było przedtem i będzie znowuż, i tak bez końca. Nadejście jego będzie ostre niczym lemiesz pługa, i odwróci skibę ziemi naszych żywotów, pośród której spoczywamy w milczeniu. Zniszczy wszelkie więzi i wykuje łańcuchy. Stworzy przyszłość i odmieni przeznaczenie”.

*z Komentarzy do Proroctw Smoka
autorstwa Jurith Dorine,
Prawej Ręki Królowej Almoren
742 AB, Trzeci Wiek*

PROLOG

FORTECA ŚWIATŁOŚCI

Wiekowe spojrzenie Pedrona Nialla wędrowało po całej przestrzeni jego prywatnej komnaty przyjąć, ale ciemne oczy zasłane mgłą myśli nie widziały niczego. Poszarpane ozdoby wiszące na ścianach były kiedyś sztandarami bitewnymi wrogów jego młodości, teraz wtopiły się w ciemne drewno boazerii, którą wyłożono kamienne mury, grube nawet tutaj, w samym sercu Fortecy Światłości. Jedyne fotel, jaki znajdował się w komnacie – ciężki, z wysokim oparciem, przypominający niemalże tron – umykał jego nie widzącemu spojrzeniu, podobnie jak kilka rozproszonych w jej przestrzeni stolików, dopełniających umeblowania. Nawet mężczyzna w białym płaszczu – z widoczną na twarzy, ledwie powstrzymywaną gorliwością – klęczący na promiennym słońcu osadzonym w szerokich deskach podłogi przestał na chwilę przykuwać uwagę Nialla, choć wszak niewielu potrafiłoby zbyć go tak lekko.

Jaretowi Byarowi dano trochę czasu, aby się umyć, zanim doprowadzono go przed oblicze Nialla, jednak zarówno jego hełm, jak i napierśnik zmatowiały od kurzu dróg i pogięły się od częstego użycia. Ciemne, głęboko osadzone oczy lśniły gorączkowym, nagłym światłem w twarzy, z której zniknęły wszystkie zbędne skrawki mięśni. Nie miał przy sobie miecza – nie zezwalano na posiadanie broni w obecności Nialla – zdawał się jednak trwać nieprzerwanie na skraju gwałtu, niczym pies szarpiący się na smyczy.

Niewielkie ognie w długich kominkach po obu stronach pomieszczenia rozpraszały nieco chłód późnej zimy. Na pierwszy rzut oka widać było, że jest to prosty, żołnierski pokój, wszystko dobrze odrobione, ale bez ekstrawagancji – wyjąwszy słońce na podłodze. Umeblowanie pojawiło się w komnacie przyjąć Lorda Kapitana Komandora Synów Światłości razem z człowiekiem, którego wyniesiono na ten urząd. Rozbłyskujące słońce z czystego złota, które ścierały do gołego drewna pokolenia petentów, a wtedy zastępowano je i kolejne rzesze ścierały je na nowo. Złota było w nim wystarczająco wiele, aby kupić za nie dowolną posiadłość w Amadicii, razem z przypisanym do niej tytułem szlacheckim. Przez dziesięć lat Pedron Niall kroczył po tym złocie i nigdy nie pomyślał o nim po raz drugi, podobnie zresztą jak o wizerunku słońca wyszytym na piersiach jego białej tuniki. Złoto nie miało wiele powabu dla Pedrona Nialla.

Ostatecznie oczy jego spoczęły na stole, stojącym w pobliżu fotela, zasłanym planami, rozrzuconymi listami i raportami. W tym rozgardiaszu znajdowały się trzy luźno zwinięte rysunki. Niechętnie podniósł jeden z nich. Nieważne który, wszystkie przedstawiały tę samą scenę; choć wykonały je różne dłonie.

Skóra Nialla była cienka jak przezroczysty pergamin, wiek opinał ją ściśle na ciele złożonym z samych kości i ścięgien, słabość wydawała się jednak nie mieć doń dostępu. Żaden mężczyzna nie piastował urzędu Nialla, zanim jego włosy nie stały się białe, żadnemu się to nie udało, jeśli nie był równie twardy jak kamienie, z których zbudowano Kopułę Prawdy. Nagle dojrzał z całą jasnością poznaczony ścięgami grzbiet dłoni ściskającej rysunek, uświadomił sobie potrzebę pośpiechu. Było coraz mniej czasu. Jego czas się kurczył. Ale musi go wystarczyć. Musi działać tak, by wystarczyło czasu.

Rozwinął do połowy pergamin, tylko tyle, by zobaczyć interesującą go twarz. Kredka rozmazała się trochę w podróznym jukach, ale twarz była wyraźnie widoczna. Szarooki młodzieniec z rudawymi włosami. Wyglądał na wysokiego, nie można jednak było mieć ostatecznej pewności. Pominąwszy włosy i oczy, mógłby mieszkać w dowolnym miasteczku, nie wzbudzając żadnych

podnieconych komentarzy.

– Ten... ten chłopiec ogłosił się Smokiem Odrodzonym? – wymruczał Niall.

Smok. Imię to spowodowało, że nagle poczuł dreszcz od przeszywającego chłodu zimy, poczuł się stary. Imię wsławione przez Lewsa Therina Telamona, kiedy jednym aktem skazał na potępienie każdego mężczyznę, który potrafiłby przenosić Jedyńą Moc, wówczas i na zawsze, na szaleństwo i śmierć, włączając w to samego siebie. Minęło ponad tysiąc lat, od czasu gdy duma Aes Sedai i Wojna z Cieniem położyły kres Wiekowi Legend. Trzy tysiące lat, ale dzięki prorocstwom i legendom ludzie pamiętali... przynajmniej samą istotę opowieści, choć szczegóły pochłonął czas. Lews Therin Zabójca Rodu. Człowiek, który zapoczątkował Pęknięcie Świata, kiedy szaleńcy zdolni do drenażu mocy, która kieruje wszechświatem, zrównywali z ziemią góry, zatapiali starożytne lądy pod wodami mórz, kiedy całe oblicze ziemi odmieniło się, a ci, którzy przeżyli, jak dzikie zwierzęta umykali przed światłem ognisk. Nie kończąca się tortura, dopóki ostatni mężczyzna Aes Sedai nie padł martwy, a rozproszona rasa ludzka mogła rozpocząć odbudowę wszystkiego z gruzów, przynajmniej tam, gdzie chociaż gruzy pozostały. Opowieść o tym wpajały w pamięć historie, które matki opowiadały dzieciom. A prorocтва mówiły, że Smok odrodzi się ponownie.

Niall jedynie głośno myślał, ale Byar postanowił mu odpowiedzieć.

– Tak, mój Lordzie Kapitanie Komandorze, tak uczynił. Wynikło z tego większe szaleństwo, niżli z winy któregośkolwiek z fałszywych Smoków, o jakich słyszałem. Tysiące już zadeklarowały swoje dla niego poparcie. Tarabon i Arad Doman pogrążyły się w stanie wojny domowej, a tak że wszczęły wzajemną waśń. Walki toczą się na całej Równinie Almoth i na Głowie Tomana, Tarabonianie przeciw Domanom, przeciw Sprzymierzeńcom Ciemności domagającym się Smoka... trwały w każdym razie, dopóki zimowe chłody nie położyły im kresu. Nigdy dotąd nie słyszałem, by rozszerzało się to tak szybko, mój Lordzie Kapitanie Komandorze. Jakby wrzucić zapaloną latarnię do stodoły pełnej siana. Śniegi mogły na jakiś czas zdusić zarzewie wojny, ale gdy przyjdzie wiosna płomienie wybuchną z nową siłą, potężniejsze zapewne niż w zeszłym roku.

Niall przerwał mu, unosząc palec do góry. Już dwukrotnie słyszał tę opowieść z ust Byara, głos tamtego za każdym razem pobrzmiwał gniewem i nienawiścią. Jej fragmenty poznał zresztą wcześniej z innych źródeł i o niektórych wydarzeniach wiedział więcej niż Byar, niemniej za każdym razem, kiedy ją słyszał, na nowo rozpalala w nim namiętności.

– Geofram Bornhald zginął, a wraz z nim tysiąc Synów. I odpowiedzialne są za to Aes Sedai. Nie masz żadnych wątpliwości, Synu Byar?

– Żadnych, mój Lordzie Kapitanie Komandorze. Po potyczce na drodze do Falme widziałem dwie wiedźmy z Tar Valon. Kosztowały nas pięćdziesięciu zabitych, zanim wreszcie naszpikowaliśmy je strzałami.

– Jesteś pewien... całkowicie pewien, że były to Aes Sedai?

– Ziemia eksplodowała nam pod stopami. – Głos Byara był zdecydowany i pełen wiary w wypowiedane słowa. Jaret Byar doprawdy nie miał zbyt przeczulonej wyobraźni, śmierć stanowiła część żołnierskiego życia, niezależnie od tego, w jaki sposób się ją spotykało. – W nasze szeregi uderzały błyskawice, walące się wprost z jasnego nieba. Mój Lordzie Kapitanie Komandorze, kim innym mogłyby one być?

Niall pokiwał ponuro głową. Od czasu Pęknięcia Świata nie było już mężczyzn Aes Sedai, jednak te kobiety, które rościły sobie prawo do tego tytułu, nadal potrafiły wystarczająco napsuć krwi. Bez przerwy paplały o swych Trzech Przysięgach: nie wypowiadać żadnych słów, które nie są prawdą; nie wytwarzać żadnej broni, dzięki której człowiek mógłby zabić człowieka; używać Jedynej Mocy jako broni wyłącznie przeciwko Sprzymierzeńcom Ciemności i Pomiotowi Cienia.

Teraz wszak okazało się, ile warte są te przysięgi, odsłoniło się zawarte w nich kłamstwo. Zawsze uważał, że nikt nie może pragnąć mocy, którą władały, nie rzucając jednocześnie wyzwania Stwórcy, a to równało się służbie dla Czarnego.

– Ale nie wiesz niczego o tych, którzy zdobyli Falme i wybili połowę jednego z mych legionów?

– Lord Kapitan Bornhald mówił, że nazywają się Seanchanami, mój Lordzie Kapitanie Komandorze – odrzekł niewzruszenie Byar. – Twierdził, że są Sprzymierzeńcami Ciemności. A jego szarża pokonała ich, nawet jeśli podczas niej zginął. – Jego głos stał się nieco bardziej napięty. Spotkałem wielu uchodźców z miasta. Wszyscy zgodnie opowiadali, że obcy zostali pokonani i uciekli. Całą zasługę należy przypisać Lordowi Kapitanowi Bornhaldowi.

Niall westchnął cicho. Niemalże tych samych słów Byar użył wcześniej, gdy zapytał go o armię, która pojawiła się na pozór znikąd, by zdobyć Falme.

"Dobry żołnierz – pomyślał Niall – Geofram Bornhald zawsze tak o nim mówił, ale nie potrafi zupełnie myśleć."

– Mój Lordzie Kapitanie Komandorze – odezwał się nagle Byar – Lord Kapitan Bornhald rzeczywiście rozkazał mi, abym trzymał się z dala od bitwy, miałem obserwować wszystko i złożyć ci raport z pola walki. I opowiedzieć jego synowi, Lordowi Dainowi, jak zginął jego ojciec.

– Tak, tak – niecierpliwie przerwał mu Niall, przez chwilę obserwował twarz tamtego, jego zapadłe policzki, potem dodał: – Nikt nie wątpi w twą uczciwość i odwagę. To jest właśnie dokładnie to, co zrobiłby Geofram Bornhald, stając w obliczu bitwy, w której mógł zginąć cały jego oddział.

"A nie coś, co tobie kiedykolwiek przysłoby do głowy".

Niczego więcej nie mógł się już od tego człowieka dowiedzieć.

– Spisałeś się dobrze, Synu Byar. Masz moje pozwolenie, by odejść i zanieść słowo o śmierci Geoframa Bornhalda jego synowi. Wedle ostatnich raportów Dain Bornhald przebywa obecnie w Eamon Valda... to jest w pobliżu Tar Valon. Po wypełnieniu swego zadania, możesz dołączyć do jego oddziału.

– Dziękuję, mój Lordzie Kapitanie Komandorze. Dziękuję ci. – Byar podniósł się i uklonił głęboko. Jednak kiedy wyprostował się ponownie, jego twarz zdradzała wewnętrzne wahanie. – Mój Lordzie Kapitanie Komandorze, zostaliśmy zdradzeni.

Nienawiść nadała tonowi jego głosu zgrzytliwe echo.

– Przez jednego z tych Sprzymierzeńców Ciemności; o których mi mówiłeś, Synu Byar? – Nie potrafił nadać swemu głosowi łagodniejszych tonów. Wieloletnie plany leżały w gruzach pośród zwłok tysiąca Synów, a Byar nie umiał mówić o niczym innym jak tylko o tym jednym człowieku. – Przez tego młodego kowala, którego dwukrotnie widziałeś, owego Perrina z Dwu Rzek?

– Tak, mój Lordzie Kapitanie Komandorze. Nie wiem, w jaki sposób to się stało, wiem jednak, że to jego należy obwiniać. Wiem to.

– Zastanowię się, co należy zrobić w tej sprawie, Synu Byar. – Byar otworzył usta, chcąc jeszcze coś powiedzieć, ale Niall podniósł szczupłą dłoń, aby go powstrzymać. Możesz już odejść.

Mężczyzna o wychudzonej, posępnej twarzy nie miał innego wyjścia, jak uklonić się ponownie i wyjść.

Kiedy tylko drzwi zamknęły się za nim, Niall zagłębił się w wysokie oparcie swego fotela. Co spowodowało, że Byar tak nienawidzi tego Perrina? Wszędzie było zbyt wielu Sprzymierzeńców Ciemności, żeby marnować energię na nienawiść do konkretnej jednostki. Zbyt wielu Sprzymierzeńców Ciemności, wysokiego i niskiego stanu, ukrywających się za gładkimi językami i

otwartymi uśmiechami, służących Czarnemu. Jeszcze jedno imię dodane do długich list nie zrobi żadnej różnicy.

Poprawił się na twardym fotelu, usiłując wygodnie umieścić swoje stare kości. Nie po raz pierwszy pomyślał mgliście, że być może miękkie obicie to wcale nie taki zbytek. I nie po raz pierwszy odsunął od siebie tę myśl. Świat pogrążał się w chaosie, nie było czasu na przejmowanie się starością.

Pozwolił, by w jego myślach zakłębiły się wszystkie te znaki, które przepowiadały katastrofę. Wojna objęła Tarabon i Arad Doman, wojna domowa rozszarpywała Cairhien, bojowa gorączka narastała we Łzie i w Illian, które tradycyjnie żywiły wobec siebie wrogość. Być może same w sobie te wojny niczego nie oznaczały – ludzie zawsze toczyli wojny – ale zazwyczaj po jednej naraz. A oprócz tego ten fałszywy Smok, gdzieś na Równinie Almoth, jeszcze jeden, przez którego rozpadała się Saldaea, i ten trzeci, co nękał Łzę. Aż trzech jednocześnie.

"To są na pewno fałszywi Smokowie. Na pewno!"

I kilkanaście pomniejszych rzeczy, być może wynikłych niekiedy z bezpodstawnych pogłosek, ale biorąc wszystko razem... Poszeptywania na temat Aielów zauważonych w krainach położonych tak daleko na zachodzie jak Murandy i Kandor. Tylko jeden lub dwóch w każdym z tych miejsc, ale jeden Aiel czy tysiąc, nie czyniło to różnicy. W ciągu całego tego czasu, jaki minął od Pęknięcia, Aielowie raz tylko wyszli z Ugoru. Tylko podczas Wojen z Aielami opuścili tę swoją spustoszoną prerię. O Atha'an Miere, ludzie Morza, powiadano, że porzucił całkowicie handel, aby szukać zapowiedzi i znaków – czego dokładnie, nikt nie wiedział – żeglując na statkach wypełnionych jedynie do połowy lub wręcz całkiem pustych. Illian zwołało Wielkie Polowanie na Róg, pierwszy raz od niemalże czterystu lat i rozsyłał Myśliwych w poszukiwaniu legendarnego Rogu Valere, o którym proroctwa powiadały, że wezwie z grobu martwych bohaterów, aby walczyli w Tarmon Gai'don, Ostatniej Bitwie przeciwko Cieniowi. Plotki głosiły również, iż Ogirowie, zawsze trzymający się na uboczu, do tego stopnia, że niektórzy traktowali ich jak legendę, zwoływali spotkania pomiędzy odległymi *stedding*.

Większość wiadomości oznaczała, dla Nialla przynajmniej, że Aes Sedai otwarcie włączyły się we wszystkie te sprawy. Powiadano, że wysłały część swych sióstr do Saldaei, aby przeciwstawiły się fałszywemu Smokowi Mazrimowi Taimowi. Mazrim dysponował rzadką wśród mężczyzn cechą, potrafił przenosić Jedyńą Moc. Już sama ta rzecz musiała rodzić lęk i pogardę, mało kto więc wierzył, że człowieka takiego da się pokonać inaczej, bez pomocy Aes Sedai. Lepiej więc zgodzić się na ich pomoc, niżli potem stanąć twarzą w twarz z nieuniknioną potwornością tego, co stanie się, gdy tamten oszaleje, czego również nie można było uniknąć. Ale Tar Valon najwyraźniej wysłał inne Aes Sedai, by wspierały tego drugiego fałszywego Smoka w Falme. Żadna inna koncepcja nie tłumaczyła równie dobrze faktów.

Obraz, jaki roztaczał się przed jego oczyma., przejmował go mrozem do szpiku kości. Chaos rozszerzał się jak nigdy dotąd, połykając coraz to nowe i nowe obszary. Cały świat zdawał się kłębić i kipieć, zbliżając nieomal do wrzenia. Nie miał wątpliwości. Naprawdę nadchodziła Ostatnia Bitwa.

Wszystkie jego plany uległy zniszczeniu, plany, które miały uwiecznić jego imię pośród setki pokoleń Synów Światłości. Ale zamieszanie stwarza okazję, obmyślił więc nowe plany wiodące ku nowym celom. Oby tylko siły i woli starczyło, aby je urzeczywistnić.

"Światłości, pozwól mi żyć dostatecznie długo".

Pełne szacunku pukanie do drzwi wyrwało go z otchłani mrocznych myśli.

– Wejść! – warknął.

Do środka wszedł służący w kaftanie i spodniach barwy bieli i złota, cały czas gnąc się w ukłonach. Ze spojrzeniem wbitym w posadzkę oznajmił, że Jaichim Carridin, Pomazaniec Światłości, Inkwizytor Ręki Światłości, zjawia się na rozkaz Lorda Kapitana Komandora. Carridin wszedł, następując niemalże służącemu na pięty, nie czekając, aż Niall wezwie go do środka. Niall gestem odprawił służącego.

Zanim drzwi zdążyły się zamknąć, Carridin opadł na jedno kolano, jego śnieżny płaszcz zaszeleścił. Na tle promiennego słońca naszytego na piersiach wyhaftowano szkarłatny pastorał oznaczający przynależność do Ręki Światłości, formacji przez wielu zwanej Śledczymi, chociaż mało kto ważył się powiedzieć im to w twarz.

– Ponieważ zażądałeś mojej obecności, mój Lordzie Komandorze – oznajmił silnym głosem – także powróciłem z Tarabon.

Niall przez chwilę przyglądał mu się badawczo. Carridin był wysoki, dobrze już posunięty w średni wiek, ze śladem siwizny we włosach, wciąż jednak sprawny i silny. Jego ciemne, głęboko osadzone oczy, jak zwykle patrzyły przenikliwie, pełne jakby niedostępnej innym wiedzy. Nie mrugnął nawet pod mierzającym go w całkowitej ciszy, badawczym spojrzeniem Lorda Kapitana Komandora. Niewielu ludzi miało sumienia tak czyste albo nerwy tak mocne. Carridin klęczał, cierpliwie czekając, jakby otrzymanie lakonicznego rozkazu opuszczenia posterunku i niezwłocznego powrotu do Amadoru, bez podania jakichkolwiek powodów, było dlań rzeczą na porządku dziennym. Ale przecież niebezpiecznie powiadano, że Jaichim Carridin zdolny był przeczekać kamień.

– Wstań, Synu Carridin. – Kiedy mężczyzna wyprostował się Niall dodał: – Otrzymałem niepokojące wieści z Falme.

Carridin odpowiadając, wygładzał fałdy swego płaszcza. Ton jego głosu zachowywał jedynie cień należnego szacunku, jakby mówił do równego sobie, nie zaś do człowieka, któremu przysięgał służyć aż do śmierci.

– Mój Lord Kapitan Komandor nawiązuje do wieści przywiezionych przez Syna Jareta Byara, ostatnimi czasy zastępcy Lorda Kapitana Bornhald.

Kącik lewego oka Nialla zadrgał, od dawna znana oznaka gniewu. Zasadniczo trzech tylko ludzi mogło zdawać sobie sprawę, że Byar jest w Amadorze, nikt zaś poza Niallem nie miał prawa wiedzieć, skąd on przybył.

– Nie bądź taki bystry, Carridin. Twoje pragnienie, aby wiedzieć wszystko, może cię pewnego dnia zaprowadzić w ręce własnych śledczych.

Na twarzy Carridina nie można było dostrzec żadnej reakcji, poza lekkim zaciśnięciem ust, kiedy usłyszał pogardliwą nazwę.

– Mój Lordzie Kapitanie Komandorze, Ręka Światłości szuka wszędzie prawdy, tym samym służąc Światłości. Służąc Światłości. Nie służąc Synom Światłości. Wszyscy

Synowie służyli Światłości, ale Niall wielokrotnie się zastanawiał, czy śledczy rzeczywiście uważają, że należą do Synów.

– A jaką prawdę chcesz powiedzieć mi o tym, co zdarzyło się w Falme?

– Sprzymierzeńcy Ciemności, mój Lordzie Kapitanie Komandorze.

– Sprzymierzeńcy Ciemności? – Niall zaśmiał się, ale w głosie jego nie było śladu wesołości. – Minęło kilka tygodni, od czasu jak otrzymałem od ciebie raporty stwierdzające, że Geofram Bornhald to sługa Czarnego, ponieważ poprowadził swe oddziały na Głowę Tomana, wbrew twoim wyraźnym rozkazom. – Jego głos stał się zwodniczo łagodny. – Czy teraz masz zamiar przekonać mnie, że Bornhald jako Sprzymierzeniec Ciemności poprowadził tysiąc Synów na śmierć w walce z innymi Sprzymierzeńcami Ciemności?

– To czy był, czy nie był Sprzymierzeńcem Ciemności, pozostanie na zawsze tajemnicą – odrzekł szyderczo Carridin – albowiem zginął, zanim mogliśmy poddać go przesłuchaniu. Mroczne są knowania Cienia, często zdają się szaleństwem dla tych, którzy żyją w Światłości. Ale nie mam najmniejszych wątpliwości, że ci, którzy zajęli Falme, musieli być Sprzymierzeńcami Ciemności. Sprzymierzeńcy Ciemności i Aes Sedai popierające fałszywego Smoka. To Jedyna Moc zniszczyła Bornhalda i jego ludzi, tego jestem najzupełniej pewien, mój Lordzie Kapitanie Komandorze, podobnie jak zniszczyła armie, które Tarabon i Arad Doman wysłały przeciwko Sprzymierzeńcom Ciemności w Falme.

– A co sądzisz na temat opowieści, wedle których najeźdźcy na Falme przyплыли z Oceanu Aryth?

Carridin potrząsnął przecząco głową.

– Mój Lordzie Kapitanie Komandorze, ludzie nigdy nie przestają zmyślać różnych plotek. Niektórzy utrzymują, iż to armie, które tysiąc lat temu Artur Hawkwing wysłał na drugą stronę Oceanu Aryth, powróciły, roszcząc sobie prawo do naszej ziemi. Cóż, byli tacy, którzy ponoć widzieli w Falme samego Artura Hawkwinga. A prócz tego połowę bohaterów opowieści bardów. Zachód wrze, od Tarabon po Saldaeę, każdego dnia powstają setki nowych plotek, każda bardziej przesadna od poprzedniej. Ci tak zwani Seanchanie, to po prostu kolejna hałastra Sprzymierzeńców Ciemności, która zebrała się, aby udzielić poparcia fałszywemu Smokowi, z tym, że teraz doczekali się udzielonej najzupełniej jawnie pomocy Aes Sedai.

– Jakie masz na to dowody? – Niall powiedział to takim tonem, jakby wątpił w całość wywodu. – Czy pojmałeś jakichś jeńców?

– Nie, mój Lordzie Kapitanie Komandorze. Jak bez wątpienia opowiedział ci Syn Byar, Bornhaldowi udało się zadać im takie straty, że musieli się rozproszyć. A z pewnością żaden z tych, których poddajemy badaniom nie przyzna się do popierania fałszywego Smoka. Jeśli zaś idzie o dowody... dowód składa się z dwu części. Czy mój Lord Kapitan Komandor pozwoli mi go przedstawić?

Niall wykonał niecierpliwy gest.

– Pierwszą część stanowi dowód negatywny. Niewiele statków próbowało przepłynąć Ocean Aryth, a większość z nich nigdy nie powróciła. Te, którym się udało, zawróciły zanim skończyły im się zapasy pożywienia i wody. Nawet Lud Morza nie przepływa Aryth, a oni przecież podróżują wszędzie tam, gdzie można zarobić na handlu, nawet do krain położonych za Ugorem. Mój Lordzie Kapitanie Komandorze, jeżeli za Oceanem Aryth znajdują się w ogóle jakiekolwiek ziemie, to są zbyt daleko, by dało się do nich dotrzeć, ocean jest nazbyt rozległy. Przerzucenie przez niego armii byłoby równie niemożliwe jak latanie w powietrzu.

– Być może – powiedział wolno Niall. – Oczywiście twoje uwagi są znaczące. Jaka jest pozostała część dowodu?

– Mój Lordzie Kapitanie Komandorze, wielu z tych, których przesłuchaliśmy, mówiło o potworach walczących w służbie Sprzymierzeńców Ciemności i nie odstępowało od swoich zeznań nawet po zastosowaniu ostatniego stopnia przesłuchania. Cóż innego mogłoby to być jak nie trolloki oraz inny Pomiot Cienia, sprowadzony niewiadomym sposobem z Uguru? – Carridin rozłożył ręce, jakby rzeczywiście jego dowód był konkluzją. – Większość ludzi sądzi, że trolloki stanowią tylko przedmiot kłamstw i opowieści podróżników, a przeważająca część pozostałych uważa, iż wybito je wszystkie podczas wojen z trollokami. Jakim więc innym mianem obdarzyliby trolloka jak nie "potwór"?

– Tak. Tak, być może masz rację, Synu Carridin. Być może, zaznaczam. – Nie miał zamiaru dać

tamtemu powodu do satysfakcji, oznajmiając, że dał się przekonać.

"Niech na to jeszcze trochę zapracuje".

– A co z nim? – Wskazał na zwinięte rysunki. Carridin musiał mieć ich kopie w swych komnatach, na ile go znał. – Do jakiego stopnia jest niebezpieczny? Czy potrafi przenosić Jedyną Moc?

Śledczy zwyczajnie wzruszył ramionami.

– Może potrafi, a może nie. Aes Sedai bez najmniejszej wątpliwości potrafiłyby skłonić ludzi do wiary, iż kot potrafi ją przenosić, jeśli miałyby na to ochotę. A co zaś do stopnia, do jakiego jest niebezpieczny... Każdy fałszywy Smok jest groźny, dopóki nie zostanie pokonany, a taki, za którym stoi Tar Valon, jest dziesięciokroć groźniejszy. Teraz jest jednak znacznie mniej niebezpieczny, niżli będzie za pół roku, jeżeli się go nie powstrzyma. Jeńcy, których przesłuchiwałem, nigdy go nie widzieli i nie mają pojęcia, gdzie może teraz przebywać. Jego siły są rozproszone. Wątpię czy ma więcej niż dwustu ludzi zgromadzonych w jednym miejscu. Tarabonianie oraz Domani, jedni albo drudzy, mogliby pojedynczo się z nimi uporać, gdyby nie byli tak zajęci, walcząc z sobą.

– Nawet fałszywy Smok – powiedział sucho Niall – to za mało, by zapomnieli o czterystu latach waśni o panowanie na Równiną Almoth. Jakby którzykolwiek mieli dosyć sił, aby utrzymać tę władzę.

Wyraz twarzy Carridina nie zmienił się, a Niall po raz kolejny zdumiał się tym spokojem.

"Długo nie potrwa już twój spokój, Śledczy".

– To jest nieważne, mój Lordzie Kapitanie Komandorze. Zima zatrzymała ich wszystkich w obozach, wyjąwszy rzadkie potyczki i napaści. Kiedy pogoda ociepli się na tyle, aby oddziały mogły wyjść w pole... Na Głowie Tomana Bornhald tylko połowę swego legionu poprowadził na śmierć. Z drugą połową zdołał zagonić tego fałszywego Smoka na śmierć. Ciało umarłego nie jest niebezpieczne dla nikogo.

– A jeśli natkniesz się na to, z czym, jak się wydaje, zmierzył się Bornhald? Aes Sedai używające Mocy do zabijania?

– Ich czary nie ochronią przed strzałami albo nożem w ciemnościach. Umierają równie łatwo jak inni ludzie. Carridin uśmiechnął się. – Obiecuję ci, że sprawę można będzie uznać za zakończoną jeszcze przed nadejściem lata.

Niall pokiwał głową. Ten człowiek był teraz bardzo pewny siebie. Bez wątpienia w jego opinii niebezpieczne pytania, gdyby miały paść w ogóle, już padły.

"Powinieneś pamiętać, Carridin, że zawsze uważano mnie za dobrego taktyka".

– Dlaczego – zapytał cichym głosem – nie poprowadziłeś swych własnych sił na Falme? Mając Sprzymierzeńców Ciemności na Głowie Tomana, całą armię wrogów, okupującą Falme, dlaczego próbowałeś zatrzymać Bornhalda?

Carridin zamrugał, ale jego głos pozostał niewzruszony.

– Pierwotnie były to tylko plotki, mój Lordzie Kapitanie Komandorze. Plotki tak szalone, że nikt nie mógłby im uwierzyć. Kiedy wreszcie poznałem prawdę, Bornhald już rzucił się w wir bitwy. Zginął, a Sprzymierzeńcy Ciemności zostali rozgromieni. Poza tym moim zadaniem było nieść Światłość na Równinie Almoth. Nie miałem prawa zlekceważyć rozkazów, kierując się tylko plotką.

– Twoim zadaniem? – powtórzył Niall, jego głos wzniósł się, gdy powstał. Inkwizytor, mimo iż przewyższał go o głowę, cofnął się o krok. – Twoje zadanie? Twoim zadaniem było opanowanie Równiny Almoth! Pusty kosz, do którego nikt nie rości praw, wyjąwszy puste słowa i roszczenia, a wszystko co do ciebie należało, to napełnić go. Lud Almoth mógłby odżyć na nowo pod rządami Synów Światłości, którzy nie musieliby składać werbalnych choćby przysięg żadnym głupim królom.

Amadicia i Almoth stałyby się imadłem zaciskającym wokół Tarabon. W ciągu pięciu lat trzęsilibyśmy ich tronem równie łatwo jak dzieje się to tutaj, w Amadicii. A dzięki tobie te plany zdać się mogą psu na budę!

Uśmiech na twarzy tamtego zniknął nareszcie.

– Mój Lordzie Kapitanie Komandorze – zaprotestował Carridin. – Jak mogłem przewidzieć, co się zdarzy? Jeszcze jeden fałszywy Smok. Tarabon i Arad Doman przystąpiły na koniec do prawdziwej wojny, ale po ilu latach zwykłego powarkiwania na siebie. Aes Sedai wreszcie objawiły swoje prawdziwe oblicze po trzech tysiącach lat obłudy! Ale nawet biorąc pod uwagę to, co się zdarzyło, jeszcze nie wszystko stracone. Mogę odnaleźć i zniszczyć tego fałszywego Smoka, zanim jego wyznawcy się zjednoczą. A kiedy Tarabonianie i Domani osłabną we wzajemnych walkach, będzie można ich przepędzić z równiny bez...

– Nie! – warknął Niall. – Z twoimi planami już skończyliśmy, Carridin. Być może powinienem natychmiast przekazać cię twoim Śledczym. Wielki Inkwizytor nie protestowałby. Zagryza wargi do krwi, usiłując znaleźć kogoś, kogo można by obarczyć winą za to, co się zdarzyło. Nigdy nie wskazałby na kogoś z własnej formacji, ale wątpię, żeby bardzo się opierał, gdyby chodziło o ciebie. Kilka dni śledztwa i przyznasz się do wszystkiego. Nawet nazwiesz się Sprzymierzeńcem Ciemności. W ciągu tygodnia pójdziesz pod topór kata.

Krople potu perliły się na czole Carridina.

– Mój Lordzie Kapitanie Komandorze... – przerwał, by przełknąć ślinę. – Mój Lord Kapitan Komandor zdawał się sugerować, że istnieje jeszcze jakiś inny sposób. Jeśli tylko zechce mi go zdradzić, to przysięgam, będę posłuszny.

"Teraz – pomyślał Niall. – Czas rzucić kości".

Dreszcze przebiegły mu po skórze, jakby był w ogniu bitwy i nagle zdał sobie sprawę, że na odległość stu kroków dookoła otaczają go wrogowie. Lordów Kapitanów Komandorów nie oddaje się w ręce kata, ale śmierć niejednego z nich była zaskakująca i niespodziewana, a po krótkiej żałobie szybko zastępował go ktoś o mniej niebezpiecznych poglądach.

– Synu Carridin – powiedział zdecydowanym tonem – musisz zadbać o to, aby ten fałszywy Smok nie poległ. A jeżeli jakiegokolwiek Aes Sedai zechcą raczej walczyć z nim, niż go wspierać, wówczas użyjesz swoich noży w ciemnościach.

Szczeka Inkwizytora opadła. Jednak opamiętał się szybko i popatrzył z zastanowieniem na Nialla.

– Zabijanie Aes Sedai to mój obowiązek, ale... Pozwolić fałszywemu Smokowi wałęsać się na wolności? To... to może być równoznaczne ze... zdradą. I bluźnierstwem.

Niall wziął głęboki oddech. Mógł już niemalże wyczuć niewidzialne ostrza czyhające w mroku. Ale teraz był przekonany o słuszności tego, co czyni.

– Nie jest żadną zdradą czynienie tego, co czynić trzeba. Nawet bluźnierstwo jest dopuszczalne z ważkich przyczyn. – Same te dwie myśli wystarczały już, aby go zabić. – Czy wiesz, jak zjednoczyć pod sobą ludzi, Synu Carridin? W najszybszy sposób? Nie? Należy wypuścić lwa, dzikiego lwa, na ulice. A kiedy ludzi zdejmie panika, taka panika, która zmieni ich wnętrzości w wodę, należy im oznajmić, że ty się zajmiesz całą sprawą. Zabijesz wówczas lwa i każesz wywiesić jego ścierwo tam, gdzie wszyscy będą mogli je oglądać. Nim zdążą się opamiętać, wydasz następny rozkaz, a oni go posłuchają. I jeżeli ciągle będziesz wydawał rozkazy, nie przestaną cię słuchać, ponieważ ty staniesz się ich zbawcą, a któż lepiej nadaje się na wodza?

Carridin niepewnie pokręcił głową.

– Czy zamierzasz... zająć wszystko, mój Lordzie Kapitanie Komandorze? Nie tylko Równinę

Almoth, ale również Tarabon i Arad Doman?

– To, co zamierzam, pozostanie moją tajemnicą. Ty masz tylko słuchać, zgodnie z nakazem złożonej przez ciebie przysięgi. Spodziewam się usłyszeć o posłańcach, którzy jeszcze dzisiejszego wieczoru wyruszą w kierunku równiny. Pewien jestem, iż wiesz, jak formułować rozkazy, by nikt nie podejrzewał niczego, czego podejrzewać nie powinien. Jeżeli będziesz musiał kogoś nękać, niech to będą Tarabonianie albo Domani. Nie byłoby dobrze, gdyby zabili mojego lwa. W żadnym też razie, na Światłość, nie możemy zmuszać ich, by zawarli ze sobą pokój.

– Jak mój Lord Kapitan Komandor rozkaże. Słucham i jestem posłuszny – powiedział miękko Carridin. Zbyt miękko.

Niall uśmiechnął się zimno.

– Na wypadek, gdy twoja przysięga okazała się nie dość mocna, wiedz jedno. Jeżeli ten fałszywy Smok umrze, zanim ja skażę go na śmierć, albo porwą go te wiedźmy z Tar Valon, pewnego ranka odnajdą twoje ciało ze sztyletem w sercu. A jeśli mnie spotka... jakiś... wypadek... nawet wówczas gdy umrę ze starości, nie przeżyjesz mnie dłużej niż o miesiąc.

– Mój Lordzie Kapitanie Komandorze, przysięgałem być posłuszny...

– Tak więc bądź – uciął Niall. – Rozumiem, że zapamiętałeś wszystko, co ci powiedziałem. Teraz idź!

– Jak mój Lord Kapitan Komador rozkaże.

Tym razem głos Carridina nie był już tak pewny.

Drzwi zamknęły się za Inkwizytorem. Niall zatarł dłonie. Czuł chłód. Kości toczyły się i nie było sposobu przewidzieć, jaki wypadnie wynik, zanim się nie zatrzymają. Naprawdę zbliżała się Ostatnia Bitwa. Nie opiewana przez legendy Tarmon Gai'don, z udziałem Czarnego, który miał wyrwać się na wolność, i Smoka Odrodzonego, który stawi mu czoło. Nie, tego był absolutnie pewien. Aes Sedai z Wieku Legend mogli otworzyć szczelinę w więzieniu Czarnego, w Shayol Ghoul, ale Lews Therin Telamon i Stu Towarzyszy zapieczętowali ją na powrót. Przeciwuderzenie na zawsze zatruło męską połowę Prawdziwego Źródła i doprowadziło ich do szaleństwa, dając początek Pęknięciu, ale wszak jedno z dawnych Aes Sedai było w stanie zrobić więcej niż dzisiaj wszystkie wiedźmy z Tar Valon. Wykonane przez nich pieczęcie przetrwają.

Pedron Niall, człowiek posługujący się chłodną logiką, wyrozumował sobie, jak będzie wyglądać Tarmon Gai'don. Bestialskie hordy trolloków potoczą się z Wielkiego Ugoru na południe, tak samo dwa tysiące lat wcześniej podczas wojen z trollokami, prowadzić ich będą Myrddraale – Półludzie – a być może nawet nowi, wywodzący się z ludzi Władcy Strachu, wybrani spośród Sprzymierzeńców Ciemności. Ludzkość, rozbita na skłócone ze sobą narody, nie będzie w stanie ich zatrzymać. Ale on, Pedron Niall, zjednoczy ludzi pod sztandarami Synów Światłości. Powstaną nowe legendy, które opowiedzą jak Pedron Niall stoczył Tarmon Gai'don i wygrał.

– Najpierw – wymruczał – wypuścić dzikiego lwa na ulice miasta.

– Dzikiego lwa?

Niall okręcił się na pięcie, kiedy zza jednego z wiszących sztandarów wyslizgnął się kościsty; niski mężczyzna, z wielkim haczykowatym nosem. Mignęła tylko płyta boazerii, która błyskawicznie powróciła do swego miejsca w ścianie, jeszcze zanim sztandar zdążył znieruchomieć.

– Pokazałem ci to przejście, Ordeith – warknął Niall – abys mógł przychodzić do mnie, kiedy cię wezwę, nie powiadamiając o tym jednocześnie połowy fortecy, a nie po to, byś podsłuchiwał moje prywatne rozmowy.

Przechodząc przez salę, Ordeith wykonał lekki ukłon.

– Podsłuchiwał, Wielki Lordzie? W życiu bym czegoś takiego nie zrobił, ja po prostu właśnie

przyszedłem i niechcący usłyszałem twoje ostatnie słowa. Nic więcej.

Na jego twarzy gościł półdrwiący uśmieszek, który, jak zaobserwował Niall, nigdy jej nie opuszczał, nawet wówczas, gdy w pobliżu nie było nikogo, kto mógłby go zobaczyć.

Do Amadicii, wychudzony i osłabiony, przybył miesiąc wcześniej. Ubrany w łachmany i na poły zamarznięty, ale jakoś zdołał, przedzierając się przez wszystkie pierścienie straży, dotrzeć przed oblicze samego Pedrona Nialla. Wyglądało na to, że wie takie rzeczy o wydarzeniach na Głowie Tomana, których nie było w wyczerpujących choć całkowicie niejasnych raportach Carridina, ani w opowieści Byara, czy też w żadnym innym posłaniu bądź plotce, które dotarły do uszu Nialla. Jego imię było oczywiście fałszywe. W dawnej mowie, Ordeith znaczyło "robaczywe drzewo". Kiedy jednak Niall zarzucił mu to kłamstwo, powiedział tylko: "Kim jesteście, to pozostaje tajemnicą dla wszystkich ludzi, a życie jest gorzkie". Ale był niezwykle bystry. To właśnie on pomógł Niallowi dojrzeć schemat pośród zarysowujących się dopiero wydarzeń.

Ordeith podszedł do stołu i podniósł jeden z rysunków. Kiedy rozwinął go wystarczająco, aby zobaczyć twarz młodzieńca, jego uśmiech pogłębił się, przechodząc niemalże w jakiś straszny grymas.

Niall wciąż był zirytowany samowolnym najściem tamtego.

– Uważasz, że fałszywy Smok jest śmieszny, Ordeith? Czy też przeraził cię?

– Fałszywy Smok? – powiedział miękko tamten. Tak. Tak, oczywiście, to musi być on. No bo któż inny?

I zaśmiał się piskliwym śmiechem, który podrażnił nerwy Nialla. Czasami Lord Kapitan Komandor sądził, że Ordeith musi być na poły szalony.

"Ale jest bystry, szaleniec czy nie".

– Co masz na myśli, Ordeith? Mówisz tak, jakbyś go znał.

Ordeith wzdrygnął się, jakby zapomniał o obecności Lorda Kapitana Komandora.

– Czy go znam? O, tak. Znam go. Nazywa się Rand al'Thor. Pochodzi z Dwu Rzek, słabo zaludnionej, odległej od Caemlyn, rolniczej prowincji Andoru i jest Sprzymierzeńcem Ciemności, tak dalece oddanym Cieniowi, że dusza twoja skurczyłaby się ze strachu, gdybyś poznał połowę prawdy o nim.

– Dwie Rzeki – zadumał się Niall. – Ktoś wspominał mi o innym Sprzymierzeńcu Ciemności pochodzącym stamtąd, kolejnym młodzieńcu. Dziwne jest pomyśleć o Sprzymierzeńcach Ciemności, rodzących się w takim miejscu jak to. Ale prawdą jest, że oni są wszędzie.

– Następny, Wielki Lordzie? – zapytał Ordeith. – Z Dwu Rzek? Czy nie będzie to Matrim Cauthon albo Perrin Aybara? Są w podobnym wieku jak ten pierwszy i równie nieomal zaawansowani w czynieniu zła.

– Imię, które mi podano, brzmiało Perrin – powiedział Niall, marszcząc brwi. – Trzech, powiedziałaś? Z Dwu Rzek nie pochodzi nic prócz wełny i tytoniu. Wątpię, czy istnieje inne miejsce, w którym ludzie żyliby równie oddzieleni od reszty świata.

– W mieście Sprzymierzeńcy Ciemności muszą ukrywać swą naturę w większym lub mniejszym stopniu. Muszą spotykać się z innymi ludźmi, z obcymi przyjeżdżającymi z innych miejsc, a potem opuszczającymi ich miasto i uwożącymi ze sobą wieści o tym, co widzieli. Ale w cichych wioskach, odciętych od świata, gdzie niewielu obcych przyjeżdża... Jakie można sobie wyobrazić lepsze miejsce dla Sprzymierzeńców Ciemności?

– A w jaki sposób poznałeś imiona tych trzech Sprzymierzeńców Ciemności, Ordeith? Trzej Sprzymierzeńcy Ciemności, pochodzący z zapadłego krańca świata. Masz zbyt wiele tajemnic, Robaczywe Drzewo; i więcej niespodzianek w rękawie niż bard.

– W jaki sposób mógłby człowiek wyznać zupełnie wszystko, co wie, Wielki Lordzie? – powiedział miękko mały człowieczek. – Byłaby to tylko zwykła paplanina, zanim wydobyłoby się z niej coś użytecznego. Jedno ci powiem, Wielki Lordzie. Ten Rand al'Thor, ten Smok, wiele za sobą pozostawił w Dwu Rzekach.

– Fałszywy Smok! – powiedział ostro Niall, a człowieczek skłonił się.

– Oczywiście, Wielki Lordzie. Przejęzyczyłem się.

Nagle Niall zobaczył, jak dłonie Ordeitha nieświadomie gniotą i drą trzymany rysunek. Nawet wówczas, gdy twarz mężczyzny pozostawała nieruchoma, wciąż z tym samym sardonicznym uśmiechem, jego ręce konwulsyjnie szarpały pergamin.

– Przestań! – rozkazał Niall. Wyrwał rysunek z dłoni Ordeitha i wygładził go najlepiej, jak się dało. – Nie ma zbyt wielu podobizn tego człowieka, aby pozwolić na ich niszczenie.

Większość rysunku pokrywały nieczytelne smugi, przez pierś młodzieńca biegło rozdarcie, ale jakimś sposobem twarz pozostała nietknięta.

– Wybacz mi, Wielki Lordzie. – Ordeith ukłonił się głęboko, jego uśmiech jednak pozostał na twarzy, przylepiony do warg. – Nienawidzę Sprzymierzeńców Ciemności.

Niall wpatrywał się w narysowaną kredką twarz.

"Rand al'Thor z Dwu Rzek".

– Być może będę musiał poczynić jakieś kroki związane z Dwoma Rzekami. Kiedy stopnieją śniegi. Być może.

– Jak sobie życzy Wielki Lord – zgodził się uprzejmie Ordeith.

Carridin kroczył przez korytarze Fortecy. Grymas, jaki widniał na jego twarzy skłaniał innych do unikania go, choć w istocie nigdy zbyt wielu nie poszukiwało towarzystwa Śledczych. Służba, spiesząc ze swymi obowiązkami, starała się nieomal wtapiać w kamienne ściany, a nawet mężczyźni ze złotymi węzłami rangi na białych płaszczach skręcali w boczne korytarze, kiedy widzieli jego twarz.

Z rozmachem otworzył drzwi wiodące do swoich pokoi i zatrzasnął je głośno za sobą, nie odczuwając zwykłego zadowolenia z obecności rzeczy, które tak cenił: wspaniałych dywanów z Tarabon i Łzy, tkanych w soczyste czerwienie, złota i błękity, ukośnie ciętych luster z Illian, złotolistnej inkrustacji na długim, zawile rzeźbionym stole, stojącym pośrodku pokoju. Mistrz rzemiosła z Lugardu pracował nad nią prawie rok. Teraz Carridin ledwie ją dostrzegał.

– Sharbon! – Przez chwilę jego osobisty służący nie pojawiał się. Miał wszak sprzątać pokoje. – Niech cię Światłość spali, Sharbon! Gdzie jesteś?

Kątem oka pochwycił jakiś ruch i odwrócił się w tamtą stronę gotowy zalać Skarbona potokiem przekleństw. Zamierzone słowa zamarły mu jednak na ustach, kiedy Myrddraal zrobił kolejny krok w jego stronę, poruszając się z falistą gracją węża.

Z postaci przypominał człowieka, nie wyższego od większości, ale tutaj podobieństwo kończyło się. Czarny jak śmierć ubiór i płaszcz, które ledwie poruszały się, gdy szedł, powodowały, że jego kredowobiała biała skóra zdawała się jeszcze bledsza. Nie miał oczu. Bezokie spojrzenie przepelniało Carridina strachem, tak jak działało się to tysiące razy przedtem.

– Co... – Carridin przerwał, za wszelką cenę usiłując odzyskać choć resztki śliny w ustach i sprowadzić głos z powrotem do normalnego rejestru. – Co ty tutaj robisz? Słowa wciąż brzmiały piskliwie.

Bezkrwiste wargi Półczłowieka wygiął nieznaczny uśmiech.

– Mogę iść wszędzie tam, gdzie jest cień. – Jego głos brzmiał niczym odgłos łuski węża, przesuwejacej się po zeschniętych liściach. – Lubię pilnować tych, którzy mi służą.

– Ja słu...

To było bezużyteczne. Z wysiłkiem Carridin oderwał wzrok od gładkiej plamy bladej, ciastowatej twarzy i odwrócił się do niej tyłem. Dreszcz przemknął mu w dół kręgosłupa, kiedy tak stał zwrócony plecami do Myrddraala. Wszystko wyraźnie odbijało się w lustrze zawieszonym na ścianie, na wprost niego. Wszystko prócz Półczłowieka. Myrddraal stanowił w nim rozmazaną plamę. Niezbyt uspokajającą w wyrazie, lepsze to jednak niż napotkać jego spojrzenie. W głosie Carridina zabrzmiały mocniejsze tony.

– Ja służę...

Przerwał, uświadamiając sobie nagle, gdzie się znajduje. W samym sercu Fortecy Światłości. Najlżejszy pogłos szeptu słów, które niemalże wypowiedział, oddałby go natychmiast w Rękę Światłości. Najpośledniejszy z Synów położyłby go trupem na miejscu, gdyby usłyszał. W komnacie był jednak sam, wyjąwszy Myrddraala i być może Skarbona.

"Gdzie jest ten przeklęty człowiek?"

Dobrze byłoby mieć przy sobie kogoś, z kim można by dzielić spojrzenie Półczłowieka, nawet jeśli trzeba by się zająć potem tym drugim, jednakże zniżył głos.

– Ja służę Wielkiemu Władcy Ciemności, podobnie jak ty. Obaj służymy.

– Jeśli chcesz widzieć wszystko w ten sposób. Myrddraal zaśmiał się, wydając taki dźwięk, który spowodował, że Carridin cały zadrżał. – Wszak jednak dowiem się, dlaczego jesteś tutaj zamiast na Równinie Almoth.

– Zostałem... zostałem wezwany tutaj rozkazem Lorda Kapitana Komandora.

Głos Myrddraala zaskrzypiał.

– Słowa twojego Lorda Kapitana Komandora to gnój! Rozkazano ci odnaleźć człowieka nazywanego Rand al'Thor i zabić go. To w pierwszym rzędzie. To przede wszystkim! Dlaczego nie posłuchałeś?

Carridin wziął głęboki oddech. To spojrzenie utkwione w jego plecach czuł jak ostrze noża zgrzytające w rozszarpywanym kręgosłupie.

– Sytuacja... zmieniła się. Niektórych spraw nie kontroluję już tak ściśle jak dawniej.

Ostry, drapiący dźwięk spowodował, że odwrócił głowę.

Myrddraal przesuwał ręką po blacie stołu, cienkie drzazgi drewna odskakiwały od jego pazurów.

– Nic się nie zmieniło, człowieku. Złamałeś swoje przysięgi złożone Światłości, złożyłeś nowe i tych będziesz przestrzegał.

Carridin wzdrygnął się, widząc wyłobienia znaczące wypolerowane drewno i z trudem przełknął ślinę.

– Nie rozumiem? Dlaczego nagle jego śmierć stała się taka ważna? Sądziłem, że Wielki Władca Ciemności zamierza go wykorzystać.

– Przesłuchujesz mnie? Powinienem wyrwać ci język. Nie do ciebie należy zadawanie pytań. Ani rozumienie. Do ciebie należy słuchanie rozkazów! Powinieneś zachowywać się tak, by psom móc dawać lekcje posłuszeństwa. Czy to rozumiesz? Do nogi psie i słuchaj swego pana.

Gniew przytłumił strach a dłoń Carridina sięgnęła do boku, ale miecza tam nie było. Leżał w sąsiednim pokoju, gdzie zostawił go, idąc na spotkanie z Pedronem Niallem.

Myrddraal poruszał się szybciej niż atakująca żmija. Kiedy dłoń stwora zacisnęła się z siłą imadła na jego nadgarstku, ściskając w miażdżącym uchwycie kości, Carridin otworzył usta, by

wrzasać. Ale krzyk nigdy nie wydobył się z gardła, bowiem Półczłowiek drugą dłonią nadusił jego policzek, powodując, że szczęki zamknęły się. Ściśnięte ramię bolało go potwornie, został podniesiony do góry tak, że stopy nie dotykały posadzki. Chrząkając i bulgocząc, zwisał w uścisku Myrddraala.

– Posłuchaj mnie, człowieku. Znajdziesz tego młodzika i zabijesz go tak szybko, jak to tylko możliwe. Nie sądz, że uda ci się mnie oszukać. Są jeszcze inni wśród twoich Synów, którzy powiedzą mi, jeżeli zrezygnujesz z wypełnienia zadania. Ale powiem ci coś, co cię ośmieli. Jeżeli po miesiącu, licząc od dzisiaj, ten Rand al'Thor będzie wciąż żywy, przyjdę i zabiorę kogoś z twego rodu. Syna, córkę, siostrę, wuja. Nie będziesz wiedział kogo, póki wybrana osoba nie umrze w cierpieniach. Gdy będzie żył przez kolejny miesiąc, zajmę się następnym. A potem następnym i następnym. A kiedy już nikogo z twego rodu nie będzie pośród żywych prócz ciebie, jeżeli tamten wciąż jeszcze będzie żył, wówczas zabiorę cię do samego Shayol Ghoul. – Uśmiechnął się. – Czekać cię będą lata umierania, człowieku. Czy teraz mnie rozumiesz?

Carridin wydał z siebie głos, pół jęk, pół szept. Miał wrażenie, że zaraz pęknie mu kark.

Myrddraal warknął i rzucił go przez pokój. Carridin uderzył o przeciwległą ścianę i oszołomiony osunął się po niej na dywan. Leżał, starając się złapać oddech.

– Czy rozumiesz mnie, człowieku?

– Słucham i jestem posłuszny – Carridinowi udało się ułożyć na dywanie. Odpowiedzi nie było.

Odwrócił głowę, krzywiąc się, gdy ostry ból przeszył szyję. Pokój był pusty, prócz niego nie było w nim nikogo. Półludzie dosiadali cieni niczym wierzchowców, tak mówiły legendy, a kiedy obracali się bokiem, znikali. Żadna ściana nie była dla nich przeszkodą. Carridinowi zachciało się płakać. Podniósł się i usiadł, przeklinając ból, szarpiący nadgarstek.

Drzwi otworzyły się i Skarbon pośpiesznie wpadł do środka. Pulchny mężczyzna trzymał w ramionach koszyk. Zatrzymał się i spojrzał na Carridina.

– Panie, czy dobrze się czujesz? Wybacz panie, że nie było mnie tutaj, ale poszedłem kupić dla ciebie owoce...

Zdrową ręką Carridin wybił kosz trzymany przez Skarbona, pomarszczone zimowe jabłka rozsypały się po dywanie, ponownym ruchem dłoni uderzył tamtego w twarz.

– Wybacz mi, panie – wyszeptał Skarbon.

– Przygotuj mi papier, pióro i inkaust – warknął Carridin. – Śpiesz się, głupcze! Muszę rozesłać rozkazy.

"Ale jakie? Jakie?"

Kiedy popędził wykonać zadanie, Carridin spojrzał na rysy w stole i zadrżał.

ROZDZIAŁ 1

OCZEKIWANIE

Koło Czasu obraca się, a wieki nadchodzą i mijają, pozostawiając wspomnienia, które stają się legendą. Legenda zaciera się w mit, a nawet mit jest już dawno zapomniany, kiedy znowu nadchodzi wiek, który go zrodził. W jednym z wieków, zwanym przez niektórych Trzecim Wiekiem, wiekiem, który dopiero nadejdzie, wiekiem dawno już minionym, w Górach Mgły podniósł się wiatr. Wiatr ten nie był prawdziwym początkiem. Nie istnieją ani początki, ani zakończenia w obrotach Koła Czasu. Niemniej był to jakiś początek.

Wiatr wiał w dół długich dolin, dolin błękitnych od porannej mgły wiszącej w powietrzu, poprzez porastające niektóre z nich wiecznie zielone rośliny, poprzez nagą ziemię w innych, gdzie trawy i dziko rosnące krzewy miały wkrótce się pojawić. Wył w na poły zagrzebanych ruinach, pośród potrzaskanych posągów, równie zapomnianych jak ci, którzy je wzniesli. Jęczał w przełęczach, wyrzeźbionych erozją szczelinach pomiędzy szczytami, pokrytymi czapami śniegu, które nigdy nie topniały. Grube chmury przylgnęły do górskich wierzchołków tak, że białe kłęby wydawały się jednym ze śniegiem.

Na nizinach zima mijała albo już minęła, choć tutaj, na obszarze wyżej położonym wciąż jeszcze nie odpuściła do końca, pokrywając zbocza gór wielkimi, białymi łatami śniegu. Tylko rośliny wiecznie zielone zachowały liście albo igły, gałęzie pozostałych drzew pozostawały nagie, odcinając się brązem lub szarością na tle skał i nie całkiem jeszcze ożywionej ziemi. Wokół nie było słychać żadnych dźwięków, prócz cichego szelestu wiatru pośród śniegu i kamienia. Ziemia zdawała się czekać. Czekać na coś, czym mogłaby wybuchnąć.

Siedzący na koniu w zagajniku skórzanych drzew i sosen, Perrin Aybara zadrzał i mocniej otulił się podbitym futrem płaszczem, otulił się tak ściśle, jak na to pozwalał trzymany w jednej dłoni długi łuk oraz wielki topór z ostrzem w kształcie półksiężyca, wiszący u pasa. Był to dobry topór, wykonany z chłodnej stali. Perrin sam dał w miech owego dnia, gdy pan Luhan go wykuł. Wiatr szarpał jego płaszcz, zrywając kaptur z kędzierzawych loków, przeszywając osłonę, jaką dawało okrycie. Poruszył palcami w butach, by je trochę rozgrzać i poprawił w wysokim siodle, ale umysł zajmowało mu coś innego niżli chłód. Spoglądając na swych pięciu towarzyszy, zastanawiał się, czy oni również to czują. Nie wysłano ich tutaj po to, by czekali, lecz po coś więcej.

Stepper, jego rumak, przestąpił z nogi na nogę i zarzucił głową. Nazwał tak swego kasztana dla jego szybkiego kroku, obecnie jednak Stepper zdawał się wyczuwać rozdrażnienie i niecierpliwość swego jeźdźca.

"Jestem zmęczony tym czekaniem, siedzeniem na miejscu, podczas gdy Moiraine trzyma nas niby zaciśniętymi szczypcami. Niech szeznań wszystkie Aes Sedai! Kiedy to się wreszcie skończy?"

Nie zastanawiając się, wciągnął w nozdrza powietrze. Zapach koni przytłaczał wszystkie pozostałe, dawało się też jednak wyczuć woń ludzi i ich potu. Nie tak dawno temu, pomiędzy tymi drzewami przebiegł królik, strach poganiał go, ale dążący jego śladem lis nie dopadł go tam. Perrin zdał sobie sprawę, co robi i natychmiast przestał.

"Pomyślałby kto, że od tego wiatru powinienem dostać kataru. – Niemal żałował, że tak się nie stało. – A wtedy nie pozwoliłbym Moiraine nic z nim zrobić".

Coś dotknęło dna jego umysłu. Nie chciał przyjąć tego do wiadomości. Nie miał zamiaru również zdradzać swych myśli przed towarzyszami.

Pozostałych pięciu mężczyzn siedziało w siodłach, krótkie łuki używane do strzelania z

końskiego grzbietu trzymali w pogotowiu, oczy przeszukiwały niebo oraz skąpo zalesione stoki w dole. Zdawali się zupełnie nie przejmować wiatrem, szarpiącym ich płaszcze niczym sztandary. Rękojeści dwuręcznych mieczy sterczały ponad ramionami przez wycięcia w płaszczech. Widok ich głów, ogolonych do gołej skóry za wyjątkiem pojedynczych czubów, spowodował, iż zrobiło mu się jeszcze zimniej. Dla nich ta pogoda zapowiadała już wiosnę. Wszelka delikatność została wybita z nich młotem, w kuźni tak twardej, jakiej on prawie nie umiał sobie wyobrazić. Byli Shienaranami, z Ziemi Granicznych, rozciągających się wzdłuż Wielkiego Ugoru, gdzie napaści trolloków zdarzały się nieomal co noc i nawet kupcy czy rolnicy często byli zmuszani do chwytania za miecz lub łuk. A ci ludzie nie byli żadnymi rolnikami, lecz żołnierzami i to niemalże od kołyski.

Czasami zastanawiał się, dlaczego mu ustępowali i słuchali jego rozkazów. Wyglądało to tak, jakby uważali, że posiada do tego jakieś szczególne prawo, jakąś wiedzę im niedostępną.

"Albo być może chodzi po prostu o moich przyjaciół" – pomyślał kwaśno.

Nie byli tak wysocy jak on, ani równie potężnie zbudowani – lata spędzone w roli czeladnika u kowala zaowocowały ramionami grubości takiej, jak u dwóch normalnych mężczyzn – ale zaczął się golić codziennie, by uchronić się choćby w ten sposób przed żartami ze swojego wieku. Przyjaznymi żartami, ale mimo wszystko. Nie chciał, by zaczęli znowu, tylko dlatego, że powiedział im o swoich odczuciach.

Wzdrygnąwszy się, Perrin przypomniał sobie, iż miał również stać na straży. Sprawdzając strzałę przyłożoną do cięciwy długiego łuku, spojrzął w dół doliny rozciągającej się w kierunku zachodnim i rozszerzającej od miejsca, z którego patrzył. Dno doliny pokrywały szerokie, poskręcane wstęgi śniegu, pozostałości po zimie. Większość drzew rosnących w dole wciąż jeszcze drapała niebo obnażonymi, zimowymi gałęziami, ale na zboczach doliny rosło wystarczająco dużo roślin wiecznie zielonych – sosny, skórzane drzewo, jodła i górski ostrokrzew, a nawet górujące nad nimi świerki – aby z łatwością zapewnić schronienie każdemu, kto wiedziałby, jak je wykorzystać. Nikt jednak nie przybyłby tutaj bez ściśle określonego celu. Kopalnie znajdowały się daleko na południu, lub jeszcze dalej na północy, ponadto większość ludzi uważała, że w Górach Mgły można łatwo napotkać nieszczęście, toteż niewielu zapuszczało się w nie bez wyraźnej potrzeby. Oczy Perrina błyszczały jak wypolerowane złoto.

Lekkie dotknięcia zamieniły się w swędzenie.

"Nie!"

Mógł odsunąć od siebie wrażenie swędzenia, ale oczekiwanie, które mu towarzyszyło, nie dawało się wyrugować. Jakby huśtał się na krawędzi. Jakby wszystko się huśtało. Zastanawiał się, czy coś nieprzyjemnego zaległo w otaczających ich górach. Był sposób, dzięki któremu można byłoby zapewne się o tym dowiedzieć. W miejscach takich, jak to, które ludzie rzadko nawiedzali, prawie zawsze żyły wilki. Zdławił tę myśl, zanim miała czas dobrze się uformować.

"Lepiej się obawiać. Wszystko lepsze niż to".

Nie było ich zbyt wiele, ale zawsze wysyłały zwiadowców. Gdyby w okolicy coś się działo, z pewnością by wiedziały.

"To jest moja kuźnia, sam o nią dbam, a one niech zajmują się własnymi sprawami".

Widział dużo lepiej niż pozostali, dlatego też pierwszy dostrzegł kropkę jeźdźca nadjeżdżającego od strony Tarabon. Nawet dla niego jeździec był tylko plamką jasnych kolorów, kołyszącą się na grzbiecie konia, wybierającego drogę pomiędzy zaroślami, w oddali, na przemian znikającą i pojawiającą się. Koń jest srokaty, pomyślał.

"Rychło w czas!"

Otworzył usta, by oznajmić jej przybycie – to musiała być kobieta, tak było wcześniej za każdym

razem – kiedy Masema nagle wymruczał:

– Kruk! – I brzmiało to jak przekleństwo.

Perrin uniósł głowę. Wielki, czarny ptak unosił się ponad drzewami w odległości nie większej niż sto kroków. Jego żer mogła stanowić padlina zdechłego w śniegu zwierzęcia, albo jakiś mały gryzoń, ale Perrin nie ufał przypadkom. Nie wyglądało na to, by kruk ich zauważył, ale zbliżający się jeździec wkrótce znajdzie się w zasięgu jego wzroku. Kiedy więc tylko zobaczył kruka, uniósł łuk do góry, naciągnął cięciwa do policzka, do ucha – i wypuścił strzałę, wszystko jednym płynnym ruchem. W odległy sposób świadomy był jęku cięciw za plecami, cała jego uwaga skupiła się jednak na czarnym ptaku.

Znienacka zawirował w ulewie czarnych jak noc lotek i spadł w dół tej samej chwili, gdy pozostałe dwie strzały przebiły powietrze w miejscu, gdzie się jeszcze przed chwilą znajdował. Z na wpół naciągniętymi łukami pozostali Shienaranie przepatrywali niebo w poszukiwaniu jego towarzyszy.

– Czy miał złożyć raport – zapytał Perrin cicho – czy... po prostu... widział to, co widział?

Nie miał zamiaru zwracać się do nikogo z tym pytaniem, ale najmłodszy z Shienaran, starszy od niego mniej niż dziesięć lat, odpowiedział, nakładając jednocześnie kolejną strzałę na cięciwę.

– Miał złożyć raport. Zapewne Półczłowiekowi, tak jest zazwyczaj. – Na Ziemiach Granicznych występowała obfitość kruków, nikt stamtąd nie ośmielał się zakładać, że kruk to zwykły ptak. – Gdyby Zmora Serc widział wszystko, co widzą kruki, nie dotarlibyśmy żywi do gór.

Głos Ragana był spokojny, takie rzeczy stanowiły chleb powszedni dla shienarańskich żołnierzy.

Perrin zadrzał, ale nie z zimna, a gdzieś w głębi jego umysłu coś warknięciem rzuciło wyzwanie śmierci. Zmora Serc. Różne imiona w różnych krainach – Zmora Dusz i Jad Serca, Władca Grobu i Władca Półmroku – a wszędzie Ojciec Kłamstw i Czarny, wszystko po to, by uniknąć nazywania go właściwym imieniem i ściągnięcia na siebie jego uwagi. Czarny często wykorzystywał kruki i wrony, a w miastach szczury. Perrin wyciągnął kolejną strzałę o szerokim grocie z kołczanu, zawieszzonego u pasa na biodrze dla zbalansowania topora.

– Jest gruby jak maczuga – powiedział z podziwem Ragan spoglądając na łuk Perrina – ale potrafi strzelać. Wolałbym nie widzieć, co może zrobić z człowiekiem w zbroi.

Shienaranie mieli na sobie teraz tylko lekkie kolczugi, ukryte pod prostymi płaszczami, zazwyczaj jednak walczyli w zbrojach, zarówno ludzie, jak i konie.

– Zbyt długi do strzelania z końskiego grzbietu – zadrwił Masema. Trójkątna blizna na jego ciemnym policzku jeszcze bardziej podkreślała szyderczy grymas. – Dobry napierśnik zatrzyma najmocniejszą strzałę, chyba że strzela się z bliskiej odległości, a wtedy, jeśli nie trafisz za pierwszym razem, człowiek, do którego celowałeś, zdąży wypruć ci flaki.

– O to właśnie chodzi, Masema. – Ragan rozluźnił się odrobinę, gdy okazało się, że niebo jest puste. Kruk musiał być samotnikiem. – Mógłbym się założyć, że z tym łukiem z Dwu Rzek nie podszedłbyś zbyt blisko.

Masema otworzył usta.

– Wy dwaj, przestańcie wreszcie kłapać ozorami! – warknął Uno. Długa blizna po lewej stronie twarzy i wylupione oko powodowały, że jego rysy były ostre, nawet jak na Shienaranina. Podczas jesiennej wyprawy w góry, zdobył gdzieś przepaskę na pusty oczodół, jednak wymalowane na niej srogie, płonące krwawą czerwienią oko bynajmniej nie czyniło jego wzroku łatwiejszym do zniesienia. – Jeżeli nie potraficie skupić swych przeklętych myśli na przekętym zadaniu, które wam wyznaczono, to dopatrzę, żeby jakaś dodatkowa, cholerna nocna warta usadziła was, przekętników.

Ragan i Masema skurczyli się pod jego spojrzeniem. Warknął na nich po raz ostatni, ale kiedy

zwrócił się do Perrina, jego twarz była już w miarę łagodna.

– Widzisz coś jeszcze?

Ton, którym to powiedział, był odrobinę bardziej gburowaty, niż gdyby zwracał się do dowódcy ustanowionego nad nim przez Króla Shienaru, albo Lorda Fal Dara, niemniej słyszało się w nim jakby gotowość wykonania wszystkiego, co tamten zaproponuje.

Shienaranie wiedzieli, jak daleko sięga jego wzrok, ale zdawali się brać to po prostu za naturalną kolej rzeczy, podobnie zresztą jak i kolor jego oczu. Nie wiedzieli wszystkiego, nawet się nie domyślali, ale akceptowali go takim, jakim był. Albo jakim sądzili, że jest. Zdawali się akceptować wszystkich i wszystko. Świat się nieprzerwanie zmienia, powiadali. Wszystko obraca się na kole losu i zmiany. Jeżeli pewien człowiek posiada oczy o takiej barwie, jakich nie miał nigdy nikt inny, to co to zmienia?

– Nadjeżdża – oznajmił Perrin. – Powinniście już móc ją zobaczyć. Tam.

Wskazał dłonią kierunek, a Uno pochylił się do przodu, zamrugał jedynym sprawnym okiem, potem z powątpiewaniem pokiwał głową.

– Jakieś cholerstwo się tam porusza w dole.

Niektórzy z pozostałych pokiwali głowami i zamruczeli przytakująco. Uno spojrział w ich stronę, a wtedy powrócili do obserwacji nieba i gór.

Nagle Perrin zrozumiał, co oznaczają jaskrawe barwy odległego jeźdźca. Spod ostro czerwonego płaszcza wyglądała żywa zieleń sukni.

– To kobieta z Ludu Wędrowców – powiedział zaskoczony.

Żaden inny ze wszystkich ludów, o których słyszał, nie ubierał się w równie jaskrawe kolory, zestawione w tak dziwaczne ich kombinacje. Nikt się nie ubierał w ten sposób, przynajmniej dopóki nie musiał.

Kobiety, którym czasami wyjeżdżali na spotkanie, by potem poprowadzić je głębiej w góry, były tak różne od siebie jak to tylko możliwe: żebraczki w łachmanach przebijające się pieszo przez śnieżną burzę, kobieta kupiec, sama prowadząca sznur obładowanych jucznych koni, dama w jedwabiach i pięknych futrach. Jej rumak miał wodze zdobione czerwonymi chwastami, siodło zaś nabijane złotem. Żebraczka odeszła z sakiewką pełną srebra – było to dużo więcej, niżli Perrin sądził, że posiadają, zmienił jednak zdanie, gdy dama otrzymała grubszą jeszcze sakiewkę i to na dodatek wypełnioną złotem. Kobiety wszelkich stanów, zawsze samotne, z Tarabon, Ghealdan, nawet z Amadicii. Ale nigdy nie spodziewałby się zobaczyć kobiety Tuath'anów.

– Przeklęty Druciarz? – zawołał Uno.

Odpowiedziały mu zaskoczone głosy.

Ragan potrząsnął głową.

– Druciarzy nie powinno się w to mieszać. Albo ona nie jest Druciarzem, albo nie jest tą, na którą czekamy.

– Druciarze – mruknął Masema. – Nic nie warci tchórze.

Oko Uno zwięzło się, wyglądało teraz jak otwór w kowadle, a połączenie z drugim okiem namalowanym na przepasce, nadawało mu naprawdę złowieszczy wygląd.

– Tchórze, Masema? – odezwał się cicho. – Gdybyś był kobietą, to czy miałbyś wystarczająco dużo przeklętych nerwów, aby przyjechać tutaj, całkowicie sam i na dodatek nie uzbrojony?

Jeżeli rzeczywiście należała do Tuath'anów, to na pewno nie miała ze sobą broni. Masema nic nie powiedział, ale blizna na jego twarzy zdradzała wyraźne napięcie i bladeść.

– Niech szczenę, ja bym nie potrafił – przyznał się Ragan. – I niech szczenę, gdybyś ty postąpił inaczej, Masema.

Masema zaciągnął ściślej płaszcz i ostentacyjnie wpatrzył się w niebo.

Uno parsknął.

– Światłości, spraw, żeby ten cholerny pożeracz padliny wałęsał się tutaj samotnie – wymruczał.

Kudłata, brązowo-biała klacz powoli, zakosami podchodziła coraz bliżej, wybierając drogę po czystym gruncie, pomiędzy szerokimi zaspami śnieżnymi. Jaskrawo ubrana kobieta zatrzymała się raz, aby spojrzeć na coś leżącego na ziemi, potem nacisnęła kaptur płaszcza na głowę i piętami popędziła odrobinę konia.

"Kruk – pomyślał Perrin. – Przestań patrzeć na tego ptaka i pośpiesz się, kobieto. Może ty przywozisz wiadomość, która wreszcie nas stąd uwolni. Oczywiście, jeżeli Moiraine pozwoli opuścić to miejsce przed nadejściem wiosny. A żeby szczała!"

Przez moment sam nie był pewien, czy miał na myśli Aes Sedai, czy kobietę Druciarzy, która zdawała się zupełnie lekceważyć czas.

Jeżeli będzie zachowywała dotychczasowy kierunek jazdy, to przejedzie dobre trzydzieści kroków do skraju zagajnika. Utkwiwszy oczy w drogę, po której stąpał jej wierzchowiec, nie dawała najmniejszego znaku, iż spostrzegła ich pomiędzy drzewami.

Perrin trącił obcasami boki swego ogiera i kasztan skoczył naprzód, wyrzucając spod kopyt rozbryzgi śniegu. Za nim Uno cicho wydał rozkaz:

– Naprzód!

Stepper był już w połowie drogi oddzielającej ją od zagajnika, zanim po raz pierwszy zdała się zauważyć ich obecność. Wzdrygnęła się i szarpnęła wodze konia. Patrzyła, jak formują łuk skierowany końcami ku niej. Hafty z rażących oko błękitów, układające się we wzór zwany taireńskim labiryntem, czyniły jej strój jeszcze bardziej krzykliwym. Nie była już młoda – grube pasma siwizny zobaczyć można było we włosach tam, gdzie nie zasłaniał ich kaptur – ale twarz znaczyło kilka jedynie zmarszczek, nie licząc tych, które wynikały z dezaprobaty, jaką okazała na widok ich broni. Jeżeli przeraziło ją spotkanie z uzbrojonymi mężczyznami w samym sercu górskiej dziczy, to nie dała niczego po sobie poznać. Jej dłonie spoczywały spokojnie na łęku zużytego, lecz dobrze utrzymanego siodła. I nie czuł od niej woni strachu.

"Dosyć tego!" – powiedział do siebie Perrin.

Nie chcąc jej przestraszyć, nadał swemu głosowi jak najłagodniejsze brzmienie.

– Na imię mam Perrin, dobra pani. Jeżeli potrzebujesz pomocy, zrobię dla ciebie, co tylko mogę. Jeśli nie, idź ze Światłością. Niemniej, o ile Tuath'anowie nie zmienili swych szlaków, to daleko odjechałaś od swoich wozów.

Wpatrywała się w niego przez chwilę, potem przemówiła. W jej ciemnych oczach była łagodność, niezbyt zresztą zaskakująca u Ludu Wędrowców.

– Szukam... kobiety.

Zająknienie było drobne, ale było. Nie szukała jakiegokolwiek kobiety, lecz Aes Sedai.

– Czy ona ma jakieś imię, dobra pani? – dopytywał się Perrin.

Robił to już tyle razy w ciągu ostatnich kilku miesięcy, że nie potrzebował właściwie odpowiedzi, jednakże nie raz żelazo zmarnowane zostało z braku należytej dbałości.

– Na imię ma... czasami każe na siebie mówić Moiraine. Ja mam na imię Leya.

Perrin pokiwał głową.

– Zabierzemy cię do niej, pani Leyo. Czekają na nas rozpalone ogniska, a przy odrobinie szczęścia może również gorąca strawa. – Jednak nie wziął od razu wodzy w dłonie. – Jak nas odnalazłaś?

Za każdym razem zadawał to pytanie, kiedy Moiraine wysyłała go, by czekał w oznaczonym przez nią miejscu na kobietę, która miała się tam pojawić. Odpowiedź powinna być identyczna jak zawsze, musiał jednak zapytać.

Leya drgnęła i odpowiedziała z wahaniem:

– Wiedziałam... że jeśli pojadę tą drogą, ktoś wyjedzie mi na spotkanie i zabierze mnie do niej. Po prostu... wiedziałam. Mam dla niej wiadomości.

Perrin nie zapytał o ich treść. Kobiety przekazywały przywiezione informacje tylko samej Moiraine.

"A Aes Sedai mówi nam tylko to, co uzna za słuszne" – pomyślał.

Aes Sedai nigdy nie kłamały, ale powiadano, że prawda, którą mówi Aes Sedai, nie zawsze jest taka, jak się ją widzi.

"Teraz już za późno na skargi. Nieprawdaż?"

– Tędy, pani Leyo – powiedział, wykonując gest w kierunku gór.

Shienaranie z Uno na czele ruszyli za Perrinem oraz Leyą i zaczęli się wspinać. Żołnierze z Ziemi Granicznych wciąż obserwowali niebo i otaczający ich teren, a dwóch ostatnich dawało szczególne baczenie na drogę, którą właśnie przejechali.

Przez jakiś czas jechali w całkowitym milczeniu, wyjąwszy odgłos końskich kopyt, czasami z trzaskiem przebijających powłokę starego śniegu, innym razem stukoczących na kamieniach, gdy jechali po nagim gruncie. Przez cały czas Leya rzucała spojrzenia na Perrina, na jego łuk, topór, twarz, ale nie odzywała się ani słowem. Wiercił się, było mu nieswojo stać się przedmiotem takiego przeglądu, dlatego unikał spoglądania w jej stronę. Zawsze zresztą starał się dawać nieznanym jak najmniej szans na dostrzeżenie jego oczu.

Na koniec powiedział:

– Byłem zaskoczony, kiedy zobaczyłem kobietę z Ludu Wędrowców, zakładając oczywiście, że pochodzisz z niego.

– Można przeciwstawiać się złu, unikając przemocy.

W jej głosie była prostota konstatacji prawdy oczywistej.

Perrin chrząknął, skrzywił się kwaśno, potem natychmiast wymamrotał przeprosiny..

– Niech będzie, jak powiadasz, pani Leyo.

– Przemoc kaleczy jej sprawcę równie mocno jak ofiarę – ciągnęła spokojnie Leya. – Dlatego właśnie uciekamy przed tymi, którzy robią nam krzywdę, aby ocalić ich od zrobienia krzywdy sobie, w takim samym stopniu jak dla własnego bezpieczeństwa. Gdybyśmy przemocą przeciwstawiali się złu, wkrótce nie różnilibyśmy się niczym od tych, z którymi walczymy. To siłą naszej wiary godzimy w Ciebie.

Perrin parsknął mimo woli.

– Pani, mam nadzieję, że nigdy nie będziesz musiała stawić czoła trollom wyłącznie za pomocą siły swojej wiary. Siła ich mieczy posieka cię na kawałki.

– Lepiej umrzeć niż... – zaczęła, ale jego gniew kazał mu jej przerwać. Gniew, że po prostu nie może pojąć. Gniew, że naprawdę wolałaby raczej umrzeć, niż zrobić komuś krzywdę, niezależnie od tego, jak by był zły.

– Jeśli uciekniesz, będą cię ścigać, zabiją i zjedzą twoje ciało. Albo nawet nie będą czekać do czasu, aż umrzesz. W obu przypadkach nie żyjesz, a zło zwycięża. A są też ludzie równie okrutni. Sprzymierzeńcy Ciemności i inni. Jest ich więcej, niż rok temu wydawało mi się to możliwe. Niech Białe Płaszczki zdecydują na przykład, że wy Druciarze nie żyjecie w Światłości i wtedy zobaczymy, ilu z was zachowa przy życiu siła waszej wiary.

Obdarzyła go badawczym spojrzeniem.

– A jednak nie jesteś zadowolony ze swojej broni.

Skąd mogła to wiedzieć? Rozdrażniony potrząsnął głową, zmierzwiły się kudłate loki.

– To Stwórca powołał do istnienia świat – wymruczał – nie ja. Muszę żyć najlepiej, jak potrafię w świecie takim, jaki jest.

– Taki smutek u kogoś tak młodego – odrzekła miękko. – Skąd taki smutek?

– Powiniennem obserwować, nie rozmawiać – odpowiedział grzecznie. – Nie podziękujesz mi, jeśli się zgubimy.

Pognał Steppera naprzód, wystarczająco daleko od niej, aby uniemożliwić wszelką dalszą konwersację, ale czuł wciąż jej spojrzenie wbite w swoje plecy.

"Smutny? Nie jestem smutny, tylko... Światłości, sam nie wiem. Pewne rzeczy powinny się po prostu lepiej trochę układać, to wszystko".

Gdzieś w głębi umysłu znowu pojawiło się swędzące łaskotanie, ale skoncentrowany na ignorowaniu spojrzenia Leyi, je również zlekceważył.

Jechali w górę i w dół po górskich stokach, przez zalesione doliny, środkiem których płynęły szerokie strumienie lodowato zimnej wody, sięgającej im do kolan, mimo iż nie opuszczali końskich grzbietów. W dali widać było zbocze góry, w którym wyrzeźbiono dwie majestatyczne sylwetki. Kobiety i mężczyzny, tak przynajmniej sądził Perrin, chociaż deszcz i wiatr dawno już uniemożliwiły pewne rozpoznanie. Nawet Moiraine przyznała się, iż nie ma pojęcia, kóż to może być, ani jak dawno granit został obrobiony.

Spod końskich kopyt skakały cierniki i małe pstrągi srebrne rozbłyski w czystej wodzie. Jeleń uniósł łeb znad młodych pędów, zawahał się, kiedy oddział wyjechał ze strumienia, potem skoczył między drzewa; a wielka pantera pręgowana i nakrapiana czernią, jakby wynurzyła się spod ziemi, rozczarowana wynikiem łowów. Przez chwilę spoglądała na konie, a potem smagnęła ogonem i zniknęła w ślad za jeleniem. Mimo to widać było, iż górskie życie nie obudziło się jeszcze w pełni. Nieliczne tylko ptaki siedziały na gałęziach albo dziobały ziemię w miejscach, gdzie stopniał śnieg. Więcej pojawi się na wyżynach w ciągu następnych kilku tygodni, ale jeszcze nie teraz. Kruków żadnych nie widzieli.

Było późne popołudnie, kiedy Perrin poprowadził pomiędzy dwoma górami o stromych zboczach, ich śnieżne szczyty jak zawsze otulała warstwa chmur, i skręcił w górę niewielkiego strumienia, który rozpryskiwał się na szarych kamieniach szeregiem maleńkich wodospadów. Ptak odezwał się pośród drzew, gdzieś z przodu odpowiedział mu kolejny.

Perrin uśmiechnął się. Niebieska zięba. Ptak żyjący na Ziemiach Granicznych. Nikt nie mógł przejechać tą drogą nie zauważony. Potarł nos i nie spojrzął w kierunku drzewa, z którego odezwał się pierwszy "ptak".

W miarę jak jechali pod górę, przez zarośla drzew skórzanych i gąszcz poskręcanych górskich dębów, ścieżka zwężała się coraz bardziej, strumienia zaś nie przekroczyłyby już nawet wyjątkowo długonogi człowiek.

Perrin usłyszał, jak jadąca za nim Leya mruczy coś do siebie. Kiedy się obejrzał, zobaczył, że rzuca pełne niepokoju spojrzenia na strome stoki z obu stron. Rozproszone drzewa górowały niebezpiecznie ponad nimi. Zdawało się, że to niemożliwe, by miały zaraz nie spaść. Shienaranie jechali swobodnie, mogąc wreszcie się rozluźnić.

Znienacka otworzyła się przed nimi owalna niecka pomiędzy dwoma górami, jej zbocza były strome, ale nie tak urwiste jak w wąskim przejściu, które pokonali przed chwilą. Na jej dalszym końcu z ziemi wytryskiwało źródło, dając początek małemu strumykowi. Bystre spojrzenie Perrina z

miejsca wyłowiło mężczyznę z shienarańskim czubem na głowie, wysoko w gałęziach drzewa po lewej stronie. Gdyby zamiast zięby odezwała się czerwonoskrzydła sójka, nie byłby tutaj sam, a przejście znacznie trudniejsze. Garstka ludzi mogła bronić tego przejścia okazałoby się przeciwko całej armii. Jeżeli armia przybędzie, to garstka będzie musiała wystarczyć.

Pomiędzy drzewami rosnącymi wokół doliny stały, trudne do zobaczenia, drewniane szałaszy z dżuzyc, tak że ci, którzy zgromadzili się wokół ognisk na dnie niecki na pierwszy rzut oka wydawali się pozbawieni jakiegokolwiek schronienia. W zasięgu wzroku nie było widać więcej niż kilkunastu ludzi. A Perrin wiedział, że w sumie nie ma ich tam dużo więcej. Większość obejrzała się, słysząc dźwięk końskich kopyt i parskanie, niektórzy machali rękami. Niecka zdawała się wypełniona całkowicie zapachem ludzi i zwierząt, gotowania i palonego drewna. Z długiego drzewca zwisał luźno biały sztandar. Jedna z postaci, prawie półtora raza większa od pozostałych, przedstawiała czytelnika, pochłoniętego książką, niewielką w ogromnych dłoniach. Uwaga tego osobnika nie oderwała się na moment od trzymanego dzieła, nawet gdy człowiek z czubem na głowie krzyknął:

– Tak więc odnalazłeś ją? Sądziłem, że tym razem nie wrócicie przed nocą.

Głos należał do młodej kobiety, ubiór jednak był męski – chłopięcy kaftan i bryczesy – włosy zaś miała krótko ścięte.

Podmuch wiatru wdarł się do doliny, powodując że poły płaszczy załopotały, a sztandar rozwinął się na całą długość. Przez chwilę przedstawiona na nim istota zdawała się dosiadać wiatru. Wąż o czterech nogach, szkarłatnej oraz złotej łusce i grzywie złotej jak u lwa. Każdą z jego łap kończyło pięć złotych pazurów. Sztandar, który był częścią legendy. Sztandar, którego większość ludzi zapewne by nie poznała, nawet gdyby załopotał im przed oczami, natomiast przeraziliby się, gdyby poznali jego nazwę.

Perrin pomachał dłonią, obejmując tym gestem niejako wszystkich naraz i zjechał na dno niecki.

– Witaj w obozie Smoka Odrodzonego, Leya.

ROZDZIAŁ 2

SAIDIN

Z twarzą zupełnie pozbawioną wyrazu kobieta Tuath'anów popatrzyła na ponownie obwisły sztandar, potem przeniosła swą uwagę na ludzi zgromadzonych wokół ognia. Jej wzrok zatrzymał się szczególnie długo na zaczytanej postaci, dwukrotnie wyższej i potężniej zbudowanej od Perrina.

– A więc Ogir też jest z wami. Nie sądziłam... – Potrząsnęła głową. – Gdzie znajdę Moiraine Sedai?

Wyglądało na to, że dla niej sztandar Smoka mógłby równie dobrze nie istnieć.

Perrin wykonał gest w stronę surowego szałasu, który stał najwyżej ze wszystkich na stoku, przy przeciwległym końcu niecki. Jego ściany i pochyły dach zbudowano z nie okorowanych bali, był również największy, choć sam w sobie przecież wcale nie taki wielki. Na tyle duży, być może, aby zasługiwać na miano chaty nie zaś szałasu.

– Tam mieszka. Ona i Lan. Lan jest jej Strażnikiem. Jeżeli chciałabyś napić się czegoś ciepłego...

– Nie. Muszę porozmawiać z Moiraine.

Nie był zaskoczony. Wszystkie kobiety, które przyprowadzał do obozu nalegały na natychmiastową możliwość porozmawiania z Moiraine i na dodatek w cztery oczy. Wieści, które tamta z kolei decydowała się im przekazać, nie zawsze były szczególnie ważne, ale kobiety miały w sobie napięcie myśliwego, który poluje na ostatniego na tym świecie królika, by nakarmić nim swą głodującą rodzinę. Na poły zamarznięta żebraczka nie chciała ani owinać się w koce, ani kosztować gorącego gulaszu, tylko powłokła się zaraz do szałasu Moiraine, boso w padającym wciąż śniegu.

Leya zeskoczyła z siodła i rzuciła wodze Perrinowi.

– Dopatrzysz, aby ją nakarmiono? – Poklepała chrapy swej klaczy. – Piesa nie jest przyzwyczajona do podróżowania po tak dzikich obszarach.

– Z paszą jest teraz dosyć kiepsko – odpowiedział jej Perrin – ale dopilnuję, by, dostała wszystko, co tylko mamy najlepszego.

Leya pokiwała głową i bez zbędnych słów zaczęła pospiesznie wspinać się po stoku, unosząc do góry zieloną suknię. Haftowany błękitami czerwony płaszcz falował za nią na wietrze.

Perrin zsiadł z siodła, zamienił kilka słów z mężczyznami, którzy odeszli od ogniska, by zająć się końmi. Luk oddał temu, który wziął wodze Steppera. Nie, oprócz jednego kruka nie widzieli niczego, tylko kobietę Tuath'anów i góry. Tak, kruk został zabity. Nie, nie powiedziała im nic o tym, co dzieje się w świecie poza górami. Nie, nie ma najmniejszego pojęcia, czy wkrótce wyruszą.

"O ile w ogóle" – dodał w myślach.

Moiraine trzymała ich tutaj przez całą zimę. Shienaranie nie uważali, że wydaje im rozkazy, nie tutaj, ale Perrin wiedział, że Aes Sedai w jakiś sposób zawsze doprowadzały do tego, by sprawy szły po ich myśli. A szczególnie Moiraine.

Kiedy konie zostały odprowadzone do naprędce skleconej, długiej stajni, jeźdźcy podeszli do ognia, by się ogrzać. Perrin odrzucił swój płaszcz na ramiona i z wdzięcznością wyciągnął dłonie ku płomieniom. Wielki kociołek, na pierwszy rzut oka robota z Baerlon, rozsiewał wokół zapachy, od których ślina nieprzerwanie napływała mu do ust. Wyglądało na to, że ktoś miał dzisiaj szczęście podczas polowania, a guzowate korzenie otaczały ścisłym kręgiem drugie ognisko, wydając z siebie zapach przypominający pieczoną rzepę. Zmarszczył nos i postanowił skupić się na gulaszu. W coraz większym stopniu jadał tylko mięso.

Kobieta w męskim ubraniu powiodła wzrokiem w ślad za Leyą, która zniknęła właśnie w szafasie Moiraine.

– Co widzisz, Min? – zapytał.

Podeszła bliżej i stanęła przy jego boku, w jej ciemnych oczach widniało zmartwienie. Nie rozumiał, dlaczego uparła się nosić spodnie zamiast sukien. Być może to dlatego, że znał ją, ale nie rozumiał, jak ktoś może spoglądać na nią i widzieć nazbyt przystojnego młodzieńca miast ładnej młodej kobiety.

– Kobieta Druciarzy niedługo umrze – powiedziała cicho, jednocześnie spoglądając na zgromadzonych wokół ognia mężczyzn. Żaden nie znajdował się na tyle blisko, by słyszeć.

Zamarł bez ruchu, nie mógł przestać myśleć o delikatnej twarzy Leyi.

"Och, Światłości! Druciarze nigdy nikomu nie wyrządzają krzywdy! – Nagle poczuł chłód, którego nie mogły rozproszyc płomienie ogniska. – Niech szczerzę, żałuję, że w ogóle spytałem".

Nawet tych kilka Aes Sedai, które wiedziały o wszystkim, nie mogły zrozumieć, co Min właściwie robi. Czasami widziała obrazy i aurę otaczającą ludzi, a niekiedy rozumiała nawet, co oznaczają.

Podszedł Masuto, chcąc zamieszać gulasz długą, drewnianą łyżką. Spojrzał na nich, potem przyłożył palec do długiego nosa i uśmiechnął się szeroko, nim odszedł.

– Krew i popioły! – wymamrotała Min. – Zapewne uznał nas za parę zakochanych, szepczących sobie przy ognisku.

– Jesteś pewna? – Spojrzała na niego szeroko rozwartymi oczami, więc dodał pośpiesznie: – Jeśli chodzi o Leyę.

– Tak ma na imię? Wolałabym nie wiedzieć. Przez to zawsze jest jeszcze gorzej, wiedzieć i nie być w stanie...

Perrin, widziałam jej twarz, unoszącą się w powietrzu nad jej ramieniem, pokrytą krwią, z wytrzeszczonymi oczyma. Przy takiej wizji nie może być pomyłki, wszystko jest jasne. – Zadrżała i szybko zatarła ręce. – Światłości, żałuję, że nie dane mi jest oglądać bardziej szczęśliwych rzeczy. Wydaje się, że wszystkie radosne rzeczy zniknęły już z tego świata.

Otworzył usta, by zaproponować ostrzeżenie Leyi, ale zaraz zamknął je ponownie. W tym, co Min widziała i wiedziała nie mogło być najmniejszej pomyłki, niezależnie od tego, czy były to dobre rzeczy czy złe. Jeżeli była pewna tego, co mówi, zdarzenie następowało.

– Krew na jej twarzy – wymruczał. – Czy to znaczy, że padnie ofiarą przemocy?

Skrzywił się, jakoś zbyt łatwo przyszło mu powiedzieć coś takiego.

"Ale co mogę zrobić? Jeżeli powiem Leyi, jeżeli w jakiś sposób przekonam ją, że mówię prawdę, przeżyje swe ostatnie dni w strachu, a mnie i tak nie uda się niczego zmienić".

Min przytaknęła krótkim skinieniem głowy.

"Jeżeli ona zginie na skutek przemocy, oznaczać to może atak na obóz".

Ale przecież każdego dnia rozsyłano zwiadowców, a straż stała dzień i noc. Poza tym Moiraine ze swej strony osłoniła jakoś miejsce ich pobytu, a przynajmniej twierdziła, że jakkolwiek stwór Czarnego musiałby się znaleźć w samym środku, żeby je zobaczyć. Pomyślał o wilkach.

"Nie!"

Zwiadowcy odkryją każdego człowieka lub potwora, który postanowi podkraść się do obozu.

– Czeka ją długa droga powrotna do swego ludu powiedział na poły do siebie. – Druciarze nie mogliby dojechać swymi wozami dalej niż do podnóża gór. Kiedy będzie wracała, wszystko może się zdarzyć.

Min pokiwała ze smutkiem głową.

– A nie ma nas wystarczająco wielu, żeby chociaż przydzielić jej jednego strażnika. Nawet gdyby to mogło coś pomóc.

Powiedziała mu – usiłowała ostrzegać ludzi o niedobrych rzeczach, które ich czekały, kiedy, w wieku lat sześciu lub siedmiu, po raz pierwszy zrozumiała, że nie wszyscy widzą to, co widzi ona. Nie powiedziała nic więcej, miał jednak wrażenie, że jej ostrzeżenia pogarszają tylko bieg wypadków, o ile w ogóle ktoś jej wierzył. Przekonanie się do wizji Min wymagało pewnego wysiłku, jeśli nie miało się dowodu.

– Kiedy? – zapytał.

Własne słowo zabrzmiało w jego uszach odgłosem zimnym i twardym, niczym stalowy rezonans. "Nie mogę nic zrobić dla Leyi, ale być może uda mi się dociec, czy grozi nam atak".

Usłyszawszy, co powiedział, wyrzuciła dłonie w górę. Przemówiła jednak ściszym głosem.

– To nie jest tak. Nigdy nie potrafię powiedzieć, kiedy coś się zdarzy. Wiem tylko, że tak będzie, jeśli w ogóle rozumiem, co to ma być. Nie rozumiesz. Widzenia nie pojawiają się wtedy, gdy chcę, podobnie jest ze zrozumieniem. Po prostu przydarzają mi się, a czasami wiem, co oznaczają. Coś wiem. Niewiele. To po prostu się dzieje samo. – Próbował wtrącić jakieś słowo pocieszenia, ale nie dała mu dojść do głosu, myśli wylewały się z niej strumieniem, którego nie potrafił zatamować. – Jednego dnia jestem w stanie zobaczyć rzeczy otaczające człowieka, ale następnego wszystko znika i tak ciągle. Przez większość czasu wokół nikogo niczego nie widzę. Oczywiście, Aes Sedai zawsze otaczają obrazy, strażników również, chociaż wizje dookoła nich są zawsze dużo trudniejsze do zrozumienia niż w przypadku innych ludzi. Obdarzyła Perrina na poły ukradkowym, przenikliwym spojrzeniem. – Do niektórych innych odnosi się to również.

– Nie mów tylko, co widzisz, kiedy patrzysz na mnie – zaprotestował ochryplym głosem, potem wzruszył potężnymi ramionami.

Nawet jako dziecko był mocniej zbudowany od swoich rówieśników, szybko nauczył się więc, jak łatwo można zrobić ludziom krzywdę, choćby w wyniku prostego przypadku, tylko dlatego, że jest się od nich większym. Stał się więc szczególnie uważny i ostrożny, kiedy zaś zdarzało mu się okazać gniew, zawsze potem tego żałował.

– Przepraszam, Min. Nie powinienem warczeć na ciebie. Nie miałem zamiaru okazać się niegrzeczny.

Rzuciła mu zaskoczone spojrzenie.

– Nie czuję się urażona. Niewielu ludzi chciałoby znać to, co ja widzę. Światłość jedna wie, że ja najchętniej pozbyłabym się tego daru, gdyby był ktoś inny, kto potrafiłby to robić.

Nawet Aes Sedai nie słyszały nigdy o kimś, kto miałby taki talent jak ona. Widziały w nim "dar", nawet jeżeli ona myślała inaczej.

– To dlatego, że żałuję tak strasznie, iż niczego nie mogę zrobić dla Leyi. W przeciwieństwie do ciebie, nie potrafię tak tego zostawić, wiedzieć i nie być w stanie niczego zrobić.

– Dziwne – powiedziała cicho – jak ty bardzo wydajesz się troszczyć o Tuath'anów. Oni są skrajnie spokojni, a zawsze widziałam tyle przemocy wokół...

Odwrócił głowę, a ona przerwała w pół słowa.

– Tuath'anie? – Doleciał ich głęboki głos, przypominający bzyczenie gigantycznego trzmieła. – O co chodzi z Tutah'anami?

Ogir podszedł, aby przyłączyć się do nich przy ognisku, zaznaczając miejsce w czytanej książce palcem wielkości dużej kielbasy. Cienka smuga dymu unosiła się z trzymanej w drugiej dłoni fajki. Jego kaftan z wysokim kołnierzem, zrobiony z ciemnobrązowej wełny, zapięty był po samą szyję, u dołu zaś rozszerzał się nad zwiniętymi cholewami wysokich butów. Perrin ledwie sięgał mu do

pierś.

Twarz Loiala mogła przerazić niejedną osobę – nos dostatecznie szeroki, aby można go było określić jako pysk, nazbyt wielkie usta. Oczy wielkości spodków, z nad których grube brwi zwisały jak wąsy niemalże aż na policzki, uszy porośnięte długim włosiem i zakończone pędzelkami. Ci, którzy nigdy nie widzieli Ogira, brali go za trolloka, chociaż trolloki dla większości z nich były w równym stopniu legendą co Ogirowie.

Szeroki uśmiech Loiala przygasł odrobinę, a oczy mrugnęły, kiedy zdał sobie sprawę, że im przeszkodził. Perrin zastanawiał się, jak ktokolwiek mógłby obawiać się Ogira, poznawszy go choć odrobinę bliżej.

"A jednak niektóre dawne opowieści widzą w nich srogich i nieubłaganych wrogów".

Nie potrafił w to uwierzyć. Ogirowie nie byli niczymi wrogami.

Min opowiedziała Loialowi o przyjeździe Leyi, ale ani słowa o tym, co widziała. Zazwyczaj nie dzieliła się z nikim informacjami na temat swoich wizji, szczególnie wówczas, gdy były niepomyślnie. Zamiast tego dodała:

– Powinieneś wiedzieć, jak ja się czuję, Loial, pochwycona z nienacka pomiędzy Aes Sedai i tych ludzi z Dwu Rzek.

Loial mruknął coś wymijająco, ale Min najwyraźniej wzięła to za wyraz zgody.

– Tak – ciągnęła dalej, wymawiając dobitnie słowa. – Żyłam sobie spokojnie w Baerlon i odpowiadało mi takie życie, kiedy nagle pochwycono mnie za skórę na karku i rzucono Światłość jedna wie dokąd. Cóż, równie dobrze mogę znajdować się tutaj. Moje życie nie należy już do mnie, odkąd spotkałam Moiraine i tych wieśniaków z Dwu Rzek. – Zwróciła oczy w kierunku Perrina, wydymając wargi. – Wszystko, czego pragnę, to żyć tak, jak mi się podoba, zakochać się w mężczyźnie, którego wybiorę... Jej policzki pokraśniały nagle, musiała odkaszląć. Chciałam powiedzieć, co złego jest w pragnieniu życia bez tych wszystkich wstrząsów dookoła?

– *Ta'veren*... – zaczął Loial. Perrin gestem dał mu znak, żeby przestał, ale Ogirowi niełatwo było przeszkodzić, a powstrzymanie go było prawie niemożliwe, kiedy porywał go jeden z właściwych mu napływów entuzjazmu. Dla jego ziomków, z właściwym im poglądem na życie, zachowanie Loiala było przykładem skrajnej pochopności. Teraz więc urwał jedynie na krótki moment, włożył książkę do kieszeni kaftana i wymachując swoją fajką, ciągnął dalej: – My wszyscy, całość naszych żywotów, wpływa na życie innych, Min. Kiedy Koło Czasu wplata nas we Wzór, nici naszych żywotów ciągną i szarpia nici tych, którzy nas otaczają. W przypadku *ta'veren* jest tak samo, tylko z mocą nieporównanie większą. *Ta'veren* pociąga za sobą cały Wzór, przez pewien czas, rzecz jasna, zmuszając by kształtował się wokół niego. Im bliżej jesteś więc z nim związana, tym bardziej wszystko dotyczy cię osobiście. Powiedzione jest, że ci, którzy znajdowali się w jednym pokoju z Arturem Hawkwingiem mogli czuć wręcz namacalnie, jak przekształca się Wzór. Nie wiem, na ile jest to prawdą, czytałem jednak, że tak było. Sami *ta'veren* wplatanii są ściślej we Wzór niż większość z nas, ich możliwości wyboru są znacznie ograniczone.

Perrin skrzywił się.

"Doprawdy są bardzo skromne, przynajmniej jeśli chodzi o te, które mają jakieś znaczenie".

Min potrząsnęła głową.

– Po prostu chciałabym, żeby oni nie byli takimi... takimi przeklętymi *ta'veren* przez cały czas. *Ta'veren* ciągną w jedną stronę, a Aes Sedai wtrącają się z drugiej. Jakie szanse może mieć kobieta między nimi?

Loial wzruszył ramionami.

– Bardzo niewielkie, jak mniemam, a tym mniejsze, im dłużej pozostaje w pobliżu *ta'veren*.

– Jakbym miała jakiś wybór – westchnęła Min.

– To było twoje szczęście, lub, jeśli wolisz, nieszczęście, aby spotkać się nie z jednym lecz z trzema *ta'veren*. Randem, Matem i Perrinem. Ja przynajmniej uważam to za wielkie szczęście i uważałbym nawet wówczas, gdyby nie byli moimi przyjaciółmi. Sądzę, że mógłbym nawet... Ogir popatrzył na nich zniechęcony, zawstydzony, zastrzygł uszami. – Obiecujecie, że nie będziecie się śmiali? Sądzę, że mógłbym napisać o tym książkę. Zbieram już notatki.

Min uśmiechnęła się przyjaznym, ciepłym uśmiechem, a Loial ponownie nastawił uszu.

– To wspaniale – powiedziała mu. – Jednak niektórzy z nas czują się tak jak tańczące marionetki, których sznurki pociągają ci *ta'veren*.

– Ja o to nie prosiłem – wybuchnął Perrin. – Nie prosiłem się o to.

Nie zwróciła na niego uwagi.

– Czy to właśnie stało się z tobą, Loial? Czy dlatego podróżujesz z Moiraine? Wiem, że wy Ogirowie prawie nigdy nie opuszczacie swoich *stedding*. Czy jeden z tych *ta'veren* pociągnął cię za sobą?

Loial przez chwilę przyglądał się dokładnie swej fajce.

– Chciałem po prostu zobaczyć gaje, które kiedyś zasadzili Ogirowie – wymamrotał. – Tylko zobaczyć gaje.

Spojrzał na Perrina, jakby prosił o pomoc, ale tamten tylko się uśmiechnął.

"Zobaczmy jak ta podkowa pasuje do twojego kopyta".

Nie znał całej historii, ale wiedział, że Loial uciekł od swoich. Miał dziewięćdziesiąt lat, nie był jednak wystarczająco dorosły, według norm Ogirów, by samodzielnie opuszczać *stedding* – udawać się do Zewnętrzza, jak oni to nazywali – bez zezwolenia Starszych. Loial mówił, że Starsi nie będą szczególnie zadowoleni, gdy wreszcie dostaną go w swe ręce. Dlatego najwyraźniej miał zamiar odwlekać ten moment tak długo, jak tylko się da.

Pomiędzy Shienaranami dostrzegł jakieś poruszenie, ludzie podnosili się z ziemi. To Rand wyszedł z szałasu Moiraine.

Nawet z takiej odległości Perrin mógł dostrzec go wyraźnie. Młody człowiek z rudawymi włosami i szarymi oczyma. Był w tym samym wieku, co Perrin, a kiedy stawali ramię w ramię, okazywało się, że jest jakieś pół głowy wyższy, choć znacznie szczuplejszy, mimo iż przecież, według zwykłych norm, dostatecznie szeroki w ramionach. Po rękawach czerwonego kaftana o wysokim kołnierzu pięły się w górę haftowane złotem kolczaste gałęzie, na piersiach ciemnego płaszcza pyszniła się ta sama istota, którą można było zobaczyć na sztandarze – wąż o czterech nogach, ze złotą grzywą. Rand i on w dzieciństwie byli przyjaciółmi.

"Czy wciąż jeszcze jesteśmy przyjaciółmi? Czy możemy być? Teraz jeszcze?"

Shienaranie skłonili się jak jeden mąż, głowy trzymali uniesione, lecz ręce opadły do kolan.

– Lordzie Smoku – zawołał Uno – jesteśmy gotowi. To zaszczyt służyć tobie.

Uno, który niemalże nie potrafił zdania wypowiedzieć, nie wtrącając w nie przekleństwa, odzywał się teraz z najgłębszym szacunkiem. Pozostali powtórzyli jak echo:

– Zaszczyt tobie służyć.

Masema, któremu nic się właściwie nie podobało, patrzył teraz oczyma płonącymi oddaniem, Ragan, wszyscy pozostali, czekali tylko na rozkaz, gdyby Randowi przysłała ochota jakiś wydać.

Rand patrzył na nich przez chwilę ze zbocza, potem odwrócił się i zniknął między drzewami.

– Znowu kłócił się z Moiraine – powiedziała cicho Min. – Tym razem trwało to cały dzień.

Perrin nie był zaskoczony, a jednak przeżył lekki wstrząs. Kłócić się z Aes Sedai. Wszystkie opowieści, które usłyszał w dzieciństwie, nagle powróciły do niego. Aes Sedai, które sprawiały, że

trony i ludy tańczyły wedle poruszeń trzymanyh przez nie, ukrytych nici. Aes Sedai, których podarunki zawsze kryły w sobie jakiś haczyk, które kazały płacić sobie zawsze mniej, niż mógłbyś pomyśleć, ale zawsze okazywało się, że cena ta przekracza wszystko, co mógłbyś sobie wyobrazić. Aes Sedai, których gniew potrafił poruszyć ziemię i ściągnąć grom. Niektóre z tych opowieści okazały się nie prawdziwe, teraz już o tym wiedział, nie było w nich nawet połowy prawdy.

– Lepiej będzie, jak pójdę za nim – oznajmił. – Po kłótniach z nią zawsze potrzebuje kogoś, z kim mógłby porozmawiać.

A prócz Moiraine i Lana, było ich tylko troje: Min, Loial i on, którzy nie spoglądali na niego tak, jakby wyniesiony był ponad królów. A z tej trójki tylko Perrin znał go wcześniej.

Poszedł w górę, po stoku, zatrzymując się tylko na tyle, by rzucić okiem na zamknięte drzwi szałasu Moiraine. W środku była Leya i Lan. Strażnik rzadko oddalał się na dłużej od boku Aes Sedai.

Dużo mniejszy szałas Randa położony był niżej, dokładnie ukryty pośród drzew, w pewnym oddaleniu od reszty. Próbował żyć między innymi ludźmi, przyłączyć się do nich na dnie niecki, ale ich ciągła groza odpychała go. Teraz przestawał właściwie wyłącznie z samym sobą. Zbyt dużo samotności, osądził Perrin. Wiedział jednak, że Rand nie skierował się do swojego szałas.

Perrin szybko poszedł do miejsca, gdzie jeden ze stoków kielicha doliny nagle zamieniał się w ostre urwisko, wysokości pięćdziesięciu kroków, zupełnie gładkie z wyjątkiem mocnych krzaków, tu i ówdzie nieustępliwie wczepionych w gołą skałę. Wiedział dokładnie, gdzie znajduje się szczelina w jednolitej skale, przejście niewiele szersze od jego ramion. Gdy miało się nad głową jedynie wstęgę nieba, przygasającego późnym wieczorem, wejście w nią przypominało zagłębianie się w tunel.

Szczelina ciągnęła się na pół mili, potem znienacka otwierała na wąską dolinę, niezbyt długą, której dno pokrywały skały i głazy, a strome zbocza porastało skórzane drzewo, sosna i jodła. Zachodzące za grzbiety górskie słońce rzucało długie cienie. Poza szczeliną, którą przyszedł, ściany doliny były całkowite niedostępne i tak strome, jakby wyrzezało ją jakieś uderzenie gigantycznego topora. Można by bronić jej jeszcze łatwiej niż niecki, w której rozbili obóz, jednak nie miała ani strumienia, ani źródła. Nikt tutaj nie chadzał, z wyjątkiem Randa, gdy pokłócił się z Moiraine.

Rand stał blisko wejścia, opierając się o szorstki pień skórzanego drzewa i wpatrując we wnętrze swoich dłoni. Perrin wiedział, że na każdym ręku miał wizerunek czapli, wypalony aż do żywego mięsa. Rand nie poruszył się, kiedy buty Perrina zachrzęściły na kamieniach.

Nagle Rand zaczął cicho recytować, nie odrywając wzroku od swych dłoni:

Dwa razy po dwa zostanie naznaczony,
dwa razy na życie i dwa na śmierć.
Raz czaplą, co wyznaczy mu drogę.
Drugi raz czaplą, by zyskać imię prawdziwe.
Raz Smokiem dla utraconych wspomnień.
Drugi raz Smokiem, dla ceny, jaką musi zapłacić.

Zadrżał i zaplótł ręce na piersiach.

– Ale jeszcze nie Smokiem. – Zaśmiał się ochryple. – Jeszcze nie.

Przez chwilę Perrin tylko mu się przyglądał. Człowiek, który potrafił przenosić Jedyną Moc. Mężczyzna. Mężczyzna skazany na szaleństwo przez skażonego *saidina*, męską połowę Prawdziwego Źródła, pewien, że jeśli oszaleje, zniszczy wszystko i wszystkich dookoła. Mężczyzna – potwór! –

którego nienawidzić i lękać się uczono wszystkich od dzieciństwa. Tylko... nie potrafił pod tym wszystkim nie widzieć chłopca, z którym razem dorastał.

"Jak można po prostu przestać być czyjś przyjacielem?"

Perrin wybrał mały głaz z płaskim wierzchem i usiadł na nim, czekając.

Po chwili Rand odwrócił głowę i spojrzał na niego.

– Myślisz, że z Matem wszystko w porządku? Kiedy ostatni raz go widziałem, wyglądał na bardzo chorego.

– Teraz musi być już wszystko dobrze.

"Obecnie powinien być już w Tar Valon. Tam go uzdrowią. A Nynaeve i Egwene będą utrzymywać go z dala od kłopotów".

Egwene i Nynaeve, Rand, Mat i Perrin. Niewielu ludzi z zewnątrz przybywało do Dwu Rzek, wyjąwszy okazjonalne wizyty handlarzy i odwiedziny kupców, którzy raz do roku przybywali po wełnę oraz tytoń. Niemalże nikt stamtąd nie wyjeżdżał. Zanim Koło wybrało swoich *ta'veren* i pięcioro prostych ludzi ze wsi nie mogło dłużej pozostać tam, gdzie dotąd żyli. Nie mogli już dłużej być tym, czym byli dotąd.

Rand pokiwał głową i zamilkł.

– Ostatnio – powiedział Perrin – przyłapałem się na marzeniach, w których wciąż jestem kowalem. Czy ty... czy ty też wolałbyś dalej być pasterzem?

– Obowiązek – odmruknął Rand. – Śmierć jest lżejsza od pióra, obowiązek cięższy niż góra. Tak mówią w Shienar... "Czarny porusza się. Nadchodzi Ostatnia Bitwa. A Smok Odrodzony musi stawić czoło Czarnemu podczas Ostatniej Bitwy, bo w przeciwnym razie Cień pokryje wszystko. Koło Czasu pęknie. I odtąd każdy wiek zostanie przemieniony wedle obrazu Czarnego". A jestem tylko ja. – Zaczął się śmiać jakimś bezradnym śmiechem, ramiona mu drżały. – Mam obowiązki, ponieważ nie ma nikogo innego, nieprawdaż?

Perrin poruszył się niespokojnie. W śmiechu Randa brzmiał jakiś przykry ton, który spowodował, że dreszcz przeszedł mu po skórze.

– Rozumiem tyle, że znowu pokłóciłeś się z Moiraine. Poszło o to samo?

Rand wciągnął długi, urywany oddech.

– Czy nie jest tak, że zawsze kłócimy się o to samo? Oni są tutaj, na Równinie Almoth, i Światłość jedna wie, gdzie jeszcze. Są ich setki. Tysiące. Opowiedzieli się za Smokiem Odrodzonym, ponieważ ja wzniosłem ten sztandar. Ponieważ ja pozwoliłem nazwać się Smokiem. Ponieważ nie miałem innego wyboru. Teraz umierają. Walczą, poszukują, modlą się do człowieka, który by ich poprowadził. Umierają. A ja siedzę tutaj, w górach przez całą zimę. Ja... jestem im winien... coś.

– Myślisz, że mi się to podoba? – Perrin pokręcił z rozdrażnieniem głową.

– Ty zgadzasz się na wszystko, co ona ci każe Rand zazgrzytał zębami. – Ani razu się jej nie sprzeciwiłeś.

– Dużo dobrego przyszło ci z tego sprzeciwiania się. Kłóciłeś się przez całą zimę i całą zimę siedzieliśmy tutaj, jak jakieś owce w zagrodzie.

– Ponieważ ona ma rację. – Rand ponownie roześmiał się tym mrozącym śmiechem. – Niech mnie Światłość spali, ma rację. Oni są rozproszeni na małe grupki po całej równinie, wszędzie po Tarabon i Arad Doman. Jeśli przyłączyłbym się do jednej z nich, wówczas Białe Płaszcze, armia Domani oraz Tarabonianie natychmiast rzucą się na nią jak wilk na owcę.

Perrin nieomal sam się roześmiał, chcąc pokryć zmieszanie.

– Jeżeli zgadzasz się z nią, to dlaczego, na Światłość, przez cały czas się z nią kłócisz?

– Ponieważ muszę cokolwiek zrobić. Albo... albo eksploduję jak zgniły melon!

– Co chcesz zrobić? Jeśli słuchasz tego, co ona ci mówi...

Rand nie pozwolił mu powiedzieć, że będą siedzieć tutaj na zawsze.

– Moiraine mówi! Moiraine mówi! – Wyprostował się, ściskając głowę w dłoniach. – Moiraine ma coś do powiedzenia o wszystkim! Moiraine powiada, że nie wolno mi iść do ludzi, którzy w moim imieniu umierają. Moiraine mówi mi, że będę wiedział, co mam robić, ponieważ Wzór mnie do tego zmusi. Moiraine mówi! Ale nie mówi mi, w jaki sposób się dowiem. O, nie! Tego to ona nie wie. Opuścił dłonie i odwrócił się w kierunku Perrina, w jego twarzy jarzyły się przymrużone oczy.

– Czasami mam wrażenie, że Moiraine prowadzi mnie do przodu jak jakiegoś kapryśnego, taireńskiego rumaka, krok za krokiem. Czy odniosłeś kiedyś takie samo wrażenie?

Perrin przecesał dłonią kudłate włosy.

– Ja... Cokolwiek nas popycha, albo ciągnie, ja wiem, kim jest wróg, Rand.

– Ba'alzamon – powiedział Rand cicho. Starodawne imię Czarnego. W mowie trolloków oznaczało Serce Ciemności. – A ja muszę stawić mu czoło, Perrin. – Przymknął oczy, na jego twarzy pojawił się grymas, na poły uśmiech, na poły boleść. – Światłości, pomóż mi, przez połowę czasu pragnę, aby to się już stało, aby minęło, dokonało się, a przez drugą połowę... Jak wiele razy mam być w stanie... Światłości, to mnie tak przyciąga. Co, jeśli nie... Co, jeśli...

Ziemia zadrżała.

– Rand? – powiedział z niepokojem Perrin.

Rand zadrżał, pomimo chłodu na jego twarzy błyszczał pot. Powieki miał wciąż zaciśnięte.

– Och, Światłości – wyjęczał – to tak przyciąga. Nagle ziemia zafalowała pod Perrinem, a po dolinie poniósł się echem głuchy łomot. Wyglądało to tak, jakby ziemia wyrwała mu się spod stóp. Upadł, a może to grunt podźwignął się ku niemu. Dolina zatrzęsała się, jakby jakaś ogromna dłoń sięgnęła z niebios, chcąc wyrwać ją z otaczających gór. Przyłgął do podłoża, mimo iż potrzęsało nim jak lalką. Kamienie przed jego oczyma podskakiwały i toczyły się, a tumany kurzu wirowały w powietrzu.

– Rand! – Jego wezwanie pochłonął głuchy ryk.

Rand stał wyprostowany, z głową odrzuconą do tyłu, powieki miał wciąż zaciśnięte. Wydawało się, że nie zwraca uwagi na kołyszącą się ziemię, która podtrzymywała go raz pod takim kątem, za drugim razem pod innym. Jego równowaga nie ulegała zachwianiu nawet przez moment, niezależnie od tego, jak gwałtowne były przechyły. Wstrząsany tak gwałtownie, Perrin nie mógł być pewien, ale zdało mu się, iż na twarzy tamtego widzi uśmiech. Drzewa pochyliły się ku ziemi, a skórzane drzewo zniecka pękło na dwoje, większy fragment jego pnia upadł na ziemię nie dalej jak trzy kroki od Randa. Nie zwrócił na to większej uwagi niżli na resztę otoczenia.

Perrin z wysiłkiem nabrał powietrza w płuca.

– Rand! Na miłość Światłości, Rand! Przestań!

Wszystko skończyło się równie nagle, jak zaczęło. Spróchniała gałąź odpadła od karłowatego dębu z głuchym trzaskiem. Perrin powoli podnosił się, kaszląc. Kurz wisiał w powietrzu, lśniąc jak skrzydła ciem w promieniach zachodzącego słońca.

Rand wpatrywał się w pustkę, pierś unosiła mu się ciężko, jak po dziesięciomilowym biegu. Coś takiego jeszcze nigdy dotąd się nie wydarzyło, w istocie rzeczy, nie zdarzyło się nic, co choćby odległe przypominało skalą wydarzenia sprzed chwili.

– Rand – powiedział ostrożnie Perrin – co...?

Rand wciąż zdawał się spoglądać w dal.

– To jest zawsze obecne. Wzywa mnie. Przyciąga mnie. *Saidin*. Męska połowa Prawdziwego

Zróżdła. Czasami nie mogę się powstrzymać, by do niego nie sięgnąć. Wykonał taki ruch, jakby łapał coś frunącego przez powietrze, potem przeniósł spojrzenie na zaciśniętą pięść. Mogę wyczuć skazę, zanim nawet jej dotknę. Skazę Czarnego, niczym grubą maskę złości, usiłującą zakryć Światłość. Powoduje, że żołądek wywraca mi się na drugą stronę, ale nic nie mogę na to poradzić. Nie potrafię pomóc sobie. Nie umiem! Tylko czasami, kiedy po nie sięgam, jest to jak chwywanie powietrza. – Rozwarł gwałtownie pustą dłoń i zaśmiał się gorzko. – A cóż, jeżeli stanie się to, gdy nadejdzie Ostatnia Bitwa? Co, jeśli sięgnę i nie pochwycę niczego?

– Cóż, tym razem bez wątpienia ci się udało – powiedział Perrin ochryplym głosem. – Co ty właściwie zrobiłeś?

Rand rozejrzał się dookoła, jakby widział wszystko po raz pierwszy. Obalone drzewo skórzane i połamane gałęzie. Skończyło się to wszystko, jak Perrin zdał sobie sprawę, na zaskakująco małych zniszczeniach. Spodziewał się zobaczyć raczej szczeliny ziejące w ziemi. Sciana drzew wyglądała na niemal nie naruszoną.

– Nie chciałem tego. To było tak, jakbyś chciał tylko odkręcić kurek, a zamiast tego wyrwał cały szpunt z beczki. To... wypełniło mnie. Musiałem przesłać wszystko gdzieś, inaczej bym spłonął, ale... nie chciałem zrobić tego wszystkiego.

Perrin potrząsnął głową.

"Jaki pożytek z proszenia go, by nigdy ponownie tego nie robił? Niewiele bardziej zdaje sobie sprawę z tego, co robi, niż ja z tego, co się ze mną dzieje".

– Wystarczająco wielu chce cię widzieć martwym, oraz nas wszystkich, żebyś miał wykonywać za nich ich robotę.

Rand zdawał się nie słyszeć.

– Lepiej wracajmy do obozu. Wkrótce zrobi się ciemno, a nie wiem jak ty, ale ja jestem głodny.

– Co? Aha. Idź, Perrin. Ja wrócę później. Chcę zostać jeszcze trochę sam.

Perrin zawahał się, potem niechętnie zawrócił w kierunku szczeliny w ścianie niecki. Zatrzymał się, gdy Rand przemówił ponownie.

– Czy miewasz sny, kiedy śpisz? Dobre sny?

– Czasami – odpowiedział ostrożnie Perrin. – Nie pamiętam większości tego, o czym śnię.

Nauczył się strzec swoich snów.

– One nieprzerwanie czyhają, moje sny – oznajmił Rand, tak cicho, że Perrin ledwie dosłyszał.

– Być może przekazują nam coś. Coś prawdziwego.

Stał w milczeniu, pochylony.

– Kolacja czeka – powtórzył Perrin, ale Rand zatopił się głęboko we własnych myślach. Na koniec Perrin odszedł, zostawiając go stojącego samotnie.

ROZDZIAŁ 3

WIEŚCI Z RÓWNINY

Część drogi przez szczelinę przebył w absolutnych ciemnościach, ponieważ w jednym miejscu wstrząsy spowodowały, iż skały zetknęły się ze sobą, dość wysoko jednak, aby można było przejść pod nimi. Długo stał, wpatrując się uważnie w czerń, potem szybko przeszedł pod spodem, jednakże kamienna płyta musiała utkwąć mocno. Swędzenie z tyłu głowy powróciło.

"Nie, niech szczenę! Nie!"

Poszedł dalej.

Wyszedł ze szczeliny i popatrzył z góry na obóz, niekiedy wypełniały dziwaczne cienie zachodzącego słońca. Moiraine stała przed swoim szałasem, wpatrując się w wejście do szczeliny. Przystanął. Moiraine była szczupłą, ciemnowłosą kobietą, nie sięgającą mu nawet do ramienia i bardzo przystojną, miała tę samą cechę, której nabywały wszystkie Aes Sedai, zajmujące się przez pewien czas Jedyną Mocą brak wyraźnych oznak wieku na twarzy. Nie był w stanie stwierdzić, ile ona może mieć lat, twarz była zbyt gładka, by była stara, ale ciemne oczy nazbyt mądre na młodość. Jej suknia z ciemnoniebieskiego jedwabiu była w nieładzie i zakurzona, a kosmyki włosów sterczały na wszystkie strony w miejsce zazwyczaj starannie ułożonej fryzury. Smuga kurzu przecinała jej twarz.

Spuścił wzrok. Wiedziała, co się z nim dzieje, tylko ona i Lan w całym obozowisku, ale nie lubił tego błysku rozpoznania, który pojawiał się w jej spojrzeniu, kiedy spoglądała mu w oczy. Żółte oczy. Być może kiedyś odważy się zapytać ją, co wie na ten temat. Aes Sedai musi wiedzieć więcej niż on. Ale teraz nie był na to czas. W istocie, żadna chwila nie wydawała się właściwa.

– On... On nie chciał... To był wypadek.

– Wypadek – powiedziała bezbarwnym głosem, potem potrząsnęła głową i zniknęła na powrót we wnętrzu swego szałasu. Drzwi zatrzęsły się za nią odrobinę zbyt głośno.

Perrin wziął głęboki oddech i zaczął dalej schodzić w stronę ogniska. Spodziewał się kolejnej kłótni pomiędzy Randem i Aes Sedai, jutrzejszego ranka, jeśli nie wręcz jeszcze dzisiejszej nocy.

Kilkanaście drzew leżało powalonych na zboczach niecki, ich pnie zostały wyrwane z korzeniami i sporymi płatami ziemi. Ślad spękanej i wzruszonej ziemi prowadził na brzeg strumienia, a na nim leżał głaz, którego tam wcześniej nie było. Jeden z szałasów po przeciwnej stronie doliny zawalił się od drgań i teraz większość Shienaran skupiła się wokół niego, zajmując się odbudową. Loial był z nimi. Ogir był w stanie podnieść drewnianą belkę, do której potrzeba było czterech mężczyzn. Rytmiczne przekleństwa Uno niosły się aż na dno doliny.

Min stała przy ognisku, mieszając w kociołku z wyrazem skrajnego niezadowolenia na twarzy. Na policzku miała niewielkie skaleczenie, zaś w powietrzu wokół niej unosił się przykry zapach spalonego gulaszu.

– Nienawidzę gotowania – oznajmiła i z powątpiewaniem wbiła wzrok w kociołek. – Jeśli coś mi się nie uda z tym gulaszem, nie będzie to moja wina. Ran wylał połowę do ogniska, kiedy... Jakże on ma prawo rozrzucać nas dookoła niczym worki ziarna? – Potarła siedzenie swych spodni i skrzywiła się. – Kiedy tylko wpadnie w moje ręce, przyłożę mu tak, że popamięta.

Pomachała w kierunku Perrina drewnianą łyżką, jakby chciała od niego rozpocząć wymierzanie kary.

– Czy ktoś został ranny?

– Tylko jeśli uznasz skaleczenia za rany – odparła ponuro Min. – Z początku wszyscy byli

przestraszeni. Potem jednak zobaczyli, jak Moiraine patrzy w kierunku kryjówki Randa i zdecydowali, że to musiało być jego dzieło. Jeżeli sam Smok chce strząsać góry na ich głowy, to widocznie Smok musi mieć odpowiednie po temu racje. Gdyby zdecydował, że mają sami obedrzeć się ze skóry, a potem odtąńczyć taniec szkieletów, również uważaliby, że wszystko jest w porządku.

Parsknęła i uderzyła łyżką o krawędź garnka.

Spojrzał za siebie w kierunku szałasów Moiraine. Gdyby Leyi coś się stało – gdyby nie żyła – Aes Sedai nie wróciłaby spokojnie do środka. Wciąż dręczyło go napięcie związane z oczekiwaniem.

"Cokolwiek to jest, jeszcze się nie wydarzyło".

– Min, może jednak odjedziesz. Zaraz z samego ranka. Mam trochę srebra, które mogę ci dać, pewien jestem też, że Moiraine da ci wystarczająco dużo, byś opłaciła przejazd z karawaną kupiecką poza granice Ghealdan. Zanim się spostrzeżesz, będziesz już z powrotem w Baerlon.

Patrzyła na niego w taki sposób, że zaczął się zastanawiać, czy nie powiedział czegoś niewłaściwego. Na koniec otworzyła usta:

– To bardzo miłe z twojej strony, Perrin. Ale nie.

– Sądziłem, że pragniesz odjechać. Nieustannie narzekasz na konieczność siedzenia tutaj.

– Znałam kiedyś pewną starą kobietę z Illian – zaczęła powoli. – Kiedy była młoda, matka zaaranżowała jej małżeństwo z człowiekiem, którego nigdy nie widziała na oczy. W Illian czasami robią takie rzeczy. Opowiadała mi, że spędziła pierwszych pięć lat, robiąc mu nieustanne awantury, a następne pięć starając się ze wszystkich sił uprzykrzyć mu życie, i to w taki sposób, aby nie wiedział, kogo o to obwiniać. Kilka lat później, jak opowiadała, zmarł i wtedy zrozumiała, że przez całe życie jego właśnie kochała.

– Nie rozumiem, co to ma wspólnego z naszą sytuacją.

W jej spojrzeniu mógł odczytać brak wiary w to, że on w ogóle próbuje zrozumieć. Jej głos przesyciła wystudiowana cierpliwość, z jaką zazwyczaj nauczyciele zwracają się do szczególnie tępych uczniów.

– Tylko dlatego, że przeznaczenie wybierze coś dla ciebie, zamiast pozwolić ci na swobodny wybór, nie znaczy to jeszcze, że musi to być złe. Nawet gdyby było to coś, o czym wiesz na pewno, iż nigdy byś tego nie wybrał, choćby minęło sto lat. "Lepsze dziesięć dni miłości niż lata żalu" – zacytowała.

– Teraz rozumiem jeszcze mniej – powiedział. Nie musisz zostawać, jeżeli tego nie chcesz.

Powiesiła łyżkę na wysokim, rozdwojonym patyku wbitym w ziemię, a potem zupełnie go zaskoczyła, gdy wspięła się na palce i pocałowała go w policzek.

– Jesteś wspaniałym człowiekiem, Perrinie Aybara. Nawet jeśli niczego nie rozumiesz.

Perrin niepewnie zamrugnął oczyma. Żałował, że nie może być pewien, czy Rand jest w pełni władz umysłowych, albo że nie ma tu Mata. Nigdy zbyt dobrze nie wiedział, jak postępować z dziewczętami, natomiast Rand zdawał się radzić sobie zupełnie nieźle. Podobnie Mat; większość dziewcząt w domu, w Polu Emonda skarżyła się, że Mat chyba nigdy nie dorośnie, ale on jakoś umiał z nimi postępować.

– Co z tobą, Perrin? Czy kiedykolwiek chciałeś wracać do domu?

– Cały czas mam na to ochotę – oznajmił żywo. Ale ja... nie sądzę, żebym mógł. Jeszcze nie.

Spojrzał za siebie, w kierunku doliny Randa.

"Wydaje się, że jesteśmy związani ze sobą, nieprawdaż Rand?"

– Być może już nigdy.

Pomyślał, że może powiedział to zbyt cicho, by usłyszała, ale spojrzenie, jakim go obrzuciła, było pełne współczucia. I zrozumienia.

Do jego uszu doleciał odgłos czyichś kroków, odwrócił się więc i spojrzął w kierunku szałasów Moiraine. Pośród ciemniejącego z każdą chwilą zmierzchu, w ich kierunku zmierzały dwie postacie, uważnie wybierając drogę. Jedną była kobieta, szczupła, o ruchach pełnych gracji, nawet na nierównym, pochylonym gruncie. Mężczyzna zaś, o głowę wyższy od swej towarzyszki, skierował się w kierunku, gdzie pracowali Shienaranie. Nawet oczy Perrina nie potrafiły wychwycić szczegółów, niekiedy tamten zdawał się znikać, potem pojawiał się w pół kroku, sylwetka częściowo gubiła się w mroku, a potem pojawiała na powrót w rytm podmuchów wiatru. Tylko zmiennokolorowy płaszcz strażnika zdolny był do takich sztuczek, co oznaczało, że wyższa postać należy do Lana, a wobec tego niższą była z pewnością Moiraine.

Dosyć daleko za nimi, kolejna sylwetka, jeszcze trudniejsza do rozpoznania, prześlizgiwała się pomiędzy drzewami.

"Rand – pomyślał Perrin – wraca do swego szałasów. Kolejny wieczór, kiedy niczego nie zje, bowiem nie może wytrzymać sytuacji, w której wszystkie spojrzenia skierowane są na niego".

– Musisz mieć oczy z tyłu głowy – powiedziała Min, marszcząc brwi i spoglądając w kierunku nadchodzącej Moiraine. – Albo najostrzejszy słuch, z jakim zetknęłam się w życiu. Czy to Moiraine?

"Beztroska".

Tak przywykł do Shienaran, którzy wiedzieli, jak bystre ma spojrzenie – przynajmniej w dziennym świetle, nie zdawali sobie sprawy, jak dobrze widzi w nocy – że zaczynał nie dbać o samokontrolę.

"Beztroska może mnie zabić".

– Czy z kobietą Tuath'anów wszystko w porządku? zapytała Min, kiedy Moiraine podeszła do ogniska.

– Odpoczywa. – Niski głos Aes Sedai miał swe własne muzyczne brzmienie, jak gdyby mowa stanowiła w połowie śpiew, zaś jej włosy i ubranie były na powrót w doskonałym porządku. Na palcu lewej dłoni nosiła pierścień wyobrażający węża pożerającego własny ogon. Wielki Wąż – symbol wieczności, starszy nawet jeszcze niż Koło Czasu. Każda kobieta, która ukończyła nauki w Tar Valon nosiła taki pierścień.

Przez chwilę spojrzenie Moiraine spoczęło na Perrinie, zdając się wpijać nazbyt głęboko w jego duszę.

– Upadła i rozcięła sobie skórę na głowie, kiedy Rand... – Zacisnęła usta, lecz już w następnej chwili jej twarz była ponownie spokojna. – Uzdrowiłam ją i teraz śpi. Nawet najmniejsza rana głowy daje zawsze dużo krwi, ale w jej przypadku to nic poważnego. Czy coś widziałaś na jej temat, Min?

Min wyglądała na zmieszaną.

– Widziałam... Sądzę, że widziałam jej śmierć. Twarz zalaną krwią. Pewna byłam, że wiem, co to oznacza, ale jeśli rozbiła sobie głowę... Nie masz wątpliwości, że nic jej nie jest?

To pytanie świadczyło o jej niepokoju. Aes Sedai nie uzdrawiały tak, by zostawić coś, co jeszcze domagałoby się uzdrowienia. A talenty Moiraine były szczególnie silne w tej właśnie dziedzinie.

W głosie Min brzmiało takie zakłopotanie, że Perrin przez moment odczuwał prawdziwe zaskoczenie. Potem zrozumiał, pokiwał głową do swych myśli. Tak naprawdę nie lubiła przecież tego, co robiła, mimo że stanowiło to część niej samej; sądziła, że wie, jak działa jej dar, przynajmniej częściowo. Jeżeli mogła się mylić, byłoby to jak odkrycie, że nie wie, w jaki sposób posłużyć się własnymi dłońmi.

Moiraine rozważała coś przez chwilę, pogodna i spokojna.

– Nigdy dotąd się nie omyliłaś, odczytując coś dla mnie, w żadnej ze spraw, o których mogę się

przekonać, jak wyglądają naprawdę. Być może jest to właśnie pierwszy raz.

– Kiedy wiem, jestem pewna – wyszeptała z uporem Min. – Światłości pomóż mi, wiem.

– Może to ma się dopiero zdarzyć. Przed nią długa droga, musi powrócić do swoich wozów, czeka ją przeprawa przez bezludny zupełnie kraj.

Głos Aes Sedai był jak chłodna pieśń, zupełnie beztroski. W gardle Perrina coś się mimowolnie odezwało.

"Światłości, czy mój głos również brzmi w ten sposób? Nie pozwolę, by śmierć mogła znaczyć dla mnie tak niewiele".

Moiraine spojrzała na niego, jakby na głos wypowiedział swoje myśli.

– Koło splata tak, jak chce, Perrin. Dawno temu powiedziałam ci, że toczymy wojnę. Nie możemy przestać dlatego tylko, że niektórzy z nas mogą zginąć. Wielu z nas może zginąć, zanim wszystko dobiegnie końca. Broń Leyi może nie być tego samego rodzaju jak twoja, ale ona wiedziała o tym wszystkim, co przed chwilą powiedziałam, kiedy zgłosiła swój akces do sprawy.

Perrin spuścił oczy.

"Może tak i jest, Aes Sedai, ale ja nigdy nie zaakceptuję tego w taki sposób jak ty".

Po drugiej stronie ogniska pojawił się Lan, obok niego stali Loial i Uno. Płomienie rzucały tańczące cienie na twarz strażnika, w ich świetle jeszcze bardziej niż zazwyczaj, przypominała rzeźbę w kamieniu, cała z twardych płaszczyzn i kątów. Jego płaszcz natomiast nie wydawał się wcale łatwiejszy do wyłowienia wzrokiem w świetle ogniska niżli w cieniu: Czasami wyglądał tylko jak zwyczajny ciemny płaszcz, ciemny lub czarny wręcz, ale szarości i czernie zdawały się topić i zmieniać, gdy spojrzało się z bliska; cienie i odcienie prześlizgiwały się po nim, wsiąkały weń. Innymi razy, wyglądało to, jakby Lan w jakiś sposób wyszarpnął kawałek nocy i owinał sobie ciemność wokół ramion. Nie była to rzecz, na którą łatwo było patrzeć i niczego nie zmieniał tu fakt, kto ją nosił.

Lan był wysoki i mocny, o szerokich ramionach, z błękitnymi oczyma, które świeciły niczym dwa zamarznęte, górskie jeziora, a poruszał się ze śmiertelną gracją, która sprawiała wrażenie, jakby był częścią miecza, który nosił przy boku. Nie polegało to na tym, że wydawał się zdolny do zadawania gwałtu i śmierci – ten mężczyzna obłaskawił przemoc i śmierć, i nosił je w swej kieszeni, gotów wyzwolić je w mgnieniu oka, albo opanować, gdyby tylko Moiraine powiedziała choć słowo. Przy Lanie nawet Uno wydawał się mniej groźny. W długich włosach strażnika, związanych na czole przepaską z plecionej skóry, błyszcząły nitki siwizny, ale nawet młodszy mężczyźni unikali starcia z nim jeśli byli na to dość mądrzy.

– Pani Leya przywiozła zwykłe wieści z Równiny Almoth – oznajmiła Moiraine. – Wszyscy walczą ze wszystkimi. Wioski płoną. Ludzie uciekają w różne strony. Na dodatek, na równinie pojawili się Myśliwi, poszukujący Rogu Valere.

Perrin poruszył niespokojnie nogami. Róg znajdował się tam, gdzie żaden z Myśliwych polujących na Równinie Almoth nie miał szans go znaleźć, gdzie, jak miał nadzieję, żaden Myśliwy nigdy go nie zdobędzie – a ona, zanim podjęła temat dalej, rzuciła mu chłodne spojrzenie. Nie pozwalała nikomu z nich wspominać nawet o Rogu. Wyjątkiem były oczywiście sytuacje, kiedy sama tego chciała.

– Przywiozła również inne wieści. Białe Płaszcze mają najprawdopodobniej około pięciu tysięcy ludzi na Równinie Almoth.

Uno chrząknął.

– To przekłeta... ech, przepraszam, Aes Sedai. To musi być połowa ich całych sił. Nigdy dotąd nie gromadzili tak wielu ludzi w jednym miejscu.

– W związku z tym przypuszczam, że ci, którzy zgłosili swe poparcie dla Randa, zostali albo zabici, albo rozproszyli się – wymruczał Perrin. – Albo wkrótce tak się stanie.

Nie lubił myśleć o Białych Płaszczach. W ogóle nie cierpiał Synów Światłości.

– To właśnie jest dziwne – powiedziała Moiraine. – Przynajmniej pierwsza część tej wiadomości. Synowie ogłosili, że przybywają, aby nieść pokój, co nie jest wcale dla nich niezwykle. Niezwykle jest to, że choć usiłują zmusić Tarabonian i Domani do wycofania się za ich naturalne granice, to nie wysłali żadnych sił przeciwko tym, którzy opowiedzieli się po stronie Smoka Odrodzonego.

Min wydała okrzyk znamionujący zaskoczenie.

– Czy ona jest tego pewna? Nie wygląda to na zwyczajny sposób postępowania Białych Płaszcz, przynajmniej na tyle, na ile ich znam.

– Na równinie nie mogło zostać wielu przek... ech... wielu Druciarzy – oznajmił Uno. Jego głos aż skrzeczał od wysiłku zwracania uwagi na język w obliczu Aes Sedai. Brev nad prawdziwym okiem przybrała taki sam kształt, jak nad namalowanym. – Nie lubią przebywać w miejscach, gdzie są jakieś kłopoty. Szczególnie walka. Nie może ich tu być wystarczająco dużo, by obserwować wszystko.

– Jest ich wystarczająco wielu dla realizacji moich celów – rzuciła twardo Moiraine. – Większość odeszła, ale kilku zostało, ponieważ ich o to poprosiłam. A Leya jest najzupełniej przekonana o tym, co mówi. Och, Synowie ogarnęli niektóre partie Wyznawców Smoka, tam gdzie była ich jedynie garstka. Lecz chociaż ogłosili, że zniszczą tego fałszywego Smoka, chociaż posiadają tysiące ludzi, którzy zapewne nie mają nic do roboty, a którzy mogliby go ścigać, unikają kontaktu z jakimkolwiek oddziałem Wyznawców Smoka liczącym ponad pięćdziesięciu ludzi. Oczywiście nie w otwarty sposób, rozumiecie, ale zawsze pojawia się jakaś zwłoka, coś co pozwala tym, których ścigają, uciec.

– Tak więc Rand może iść do nich, jeśli chce. – Loial zamrugał niepewnie, wpatrując się w Aes Sedai. Cały obóz wiedział o jej kłótniach z Randem. – Koło uplotło dla niego drogę.

Uno i Lan otworzyli jednocześnie usta, ale Shienaranin ustąpił pierwszeństwa z lekkim ukłonem.

– Najbardziej prawdopodobne – zaczął strażnik jest to, że Białe Płaszcze uknuły jakiś spisek, choć, niech mnie Światłość spali, jeżeli wiem, o co może w nim chodzić. Ale kiedy Biały Płaszcz daje mi podarunek, szukam ukrytej w nim zatrutej igły.

Uno przytaknęła z ponurym grymasem na twarzy.

– Ponadto – ciągnął dalej Lan – Domani i Tarabonianie dalej starają się zabijać Wyznawców Smoka równie usilnie jak siebie nawzajem.

– I jest jeszcze jedna rzecz – uzupełniła Moiraine. – Trzech młodych ludzi zmarło w jednej z wiosek, obok której przejeżdżały wozy Leyi. – Perrin dostrzegł błysk w oku Lana, u strażnika równało się to mniej więcej takiemu samemu wyrazowi zaskoczenia, jakim u zwykłego człowieka byłby okrzyk. Nie spodziewał się, że ona o tym powie. Moiraine kontynuowała: – Jeden został otruty, dwóch zaszytletowano. Za każdym razem stało się to w okolicznościach, nie dopuszczających, by ktoś mógł podejść blisko nie zauważony. – Wbiła wzrok w płomienie. – Wszyscy trzej młodzieńcy byli wyżsi niż ich rówieśnicy i mieli oczy jasnego koloru. Jasne oczy stanowią coś stosunkowo rzadkiego na Równinie Almoth, sądzą jednak, że niezbyt szczęśliwie jest mieć teraz i tutaj jasne oczy oraz wysoki wzrost.

– Jak? – zapytał Perrin. – Jak mogli zostać zabici, kiedy nikt do nich nie mógł się zbliżyć?

– Czarny posiada zabójców, których nie jesteś w stanie dostrzec, zanim nie jest zbyt późno – odrzekł cicho Lan.

Uno zadrżał.

– Bezduszni. Nigdy dotąd nie słyszałem o żadnym tak daleko na południe od Ziemi Granicznych.

– Wystarczy tych rozmów – ucięła twardo Moiraine.

Perrin miał jeszcze wiele pytań – "Czym, na Światłość, są ci Bezduszni? Czy przypominają trolloki albo Pomory? Czym są?" – ale zatrzymał je dla siebie. Kiedy Moiraine postanawiała, że dosyć powiedziano na jakiś temat, nie mówiła już nic więcej. A kiedy ona nabierała wody w usta, ust Lana nie otworzyłby nikt, nawet przy pomocy żelaznej sztaby. Shienaranie również uznawali jej przywództwo. Nikt nie miał ochoty rozgniewać Aes Sedai.

– Światłości! – wymamrotała Min, niespokojnie wpatrując się w mroczniejące ciemności dookoła. – Nie można ich spostrzec? Światłości!

– Tak więc nic się nie zmieniło – powiedział ponuro Perrin. – W każdym razie nic istotnego. Nie możemy zejść na równinę, a Czarny wciąż chce nas zabić.

– Wszystko się zmieniło – zaproponowała spokojnie Moiraine – a Wzór włączył to w osnowę. Musimy kierować się strukturą Wzoru, a nie chwilowymi zmianami. – Spojrzała kolejno na każde z nich, potem dodała: – Uno, pewien jesteś, że twoi zwiadowcy nie przeoczyli nic podejrzanego? Nawet zupełnie nieistotnego?

– Odrodzenie Lorda Smoka zachwiało bezpieczeństwem, Moiraine Sedai, a poza tym nigdy nie ma pewności, gdy walczy się z Myrddraalami, ale stawiam moje życie, że zwiadowcy wykonali równie dobrą robotę jak każdy strażnik.

Było to jedno z najdłuższych przemówień pozbawionych przekleństw, jakie Perrin słyszał z ust Uno. Z wysiłku na czole tamtego aż zaśniły krople potu.

– Wszyscy się staraliśmy, ale to, co zrobił Rand, dla każdego Myrddraala w promieniu dziesięciu mil było równie widoczne, jak ognisko płonące na szczycie góry.

– Być może... – zaczęła z wahaniem Min. – Być może powinnaś rozstawić dodatkowe osłony, aby trzymały ich z daleka.

Lan rzucił jej surowe spojrzenie. Sam czasami też kwestionował decyzje Moiraine, chociaż rzadko w obecności innych, nie pozwalał jednak, by pozostali zachowywali się podobnie. Min odpowiedziała mu równie ostrym grymasem.

– Cóż, Myrddraale i trolloki są wystarczająco paskudne, ich jednak przynajmniej mogę zobaczyć. Nie podoba mi się pomysł, że jeden z tych... tych Bezdusznych może tutaj węszyć i poderżnąć mi gardło, zanim nawet go spostrzegę.

– Moje osłony chronią nas w równej mierze przed Bezdusznymi, jak przed resztą Pomiotu Cienia – oznajmiła Moiraine. – Kiedy jest się słabym, tak jak my jesteśmy, najlepszym sposobem zachowania jest ukrycie się. Jeżeli rzeczywiście jakiś Półczłowiek znajdował się na tyle blisko, by... Cóż, postawienie osłon, które zabijają ich, gdy zechcą wejść na teren obozu, pozostaje poza moimi możliwościami, a nawet gdyby mogła to zrobić, takie osłony nas również uwięziłyby w środku. Ponieważ jednak nie jest możliwe utrzymywanie dwu osłon naraz, pozostawię zadanie strzeżenia nas zwiadowcom, wartownikom i Lanowi, a sama zaufam tylko takiej osłonie, z której może być jakiś pożytek.

– Mogę obejść obóz dookoła – zaproponował Lan. – Jeżeli jest tam coś, co przeoczyli zwiadowcy, ja to znajdę.

Nie była to przechwałka, tylko proste stwierdzenie faktu. Uno nawet pokiwał głową na zgodę.

Moiraine zaprzeczyła.

– Jeżeli będziesz gdzieś potrzebny tej nocy, mój Gaidinie, to właśnie tutaj. – Podniosła oczy i objęła spojrzeniem otaczające ich ciemne góry. – Coś wisi w powietrzu.

– Oczekiwanie.

Słowa wyrwały się z ust Perrina, zanim zdążył ugryźć się w język. Kiedy Moiraine spojrzała na niego – a właściwie w niego – zapragnęła je cofnąć.

– Tak – potwierdziła. – Oczekiwanie. Upewnij się, że twoi wartownicy są szczególnie czujni dzisiejszej nocy, Uno.

Nie było potrzeby przypominać, iż mężczyźni powinni spać z bronią pod ręką, Shienaranie zawsze tak robili.

– Śpijcie dobrze – życzyła im wszystkim, jakby teraz były jeszcze na to jakiegokolwiek szanse, po czym poszła do swego szałas. Lan został na tyle długo, by nabrać trzy miski gulaszu, po czym pośpieszył za nią i szybko pochłonęła go noc.

Oczy Perrina lśniły złotem, kiedy odprowadzał strażnika spojrzeniem przez mrok.

– Śpijcie dobrze – wymamrotał. Zapach gotowanego mięsa sprawił nagle, że zrobiło mu się niedobrze. – Ja mam trzecią wartę, Uno? – Shienaranin przytaknął. Wobec tego chyba skorzystam z jej rady.

Pozostali podchodzili kolejno do ogniska, szmer ich rozmów ścigał go, gdy szedł w górę stoku.

Miał własny szałas, małe pomieszczenie z tyczek na tyle długich, że mógł stanąć w środku; szpary pomiędzy nimi wypełniała wyschnięta glina. Prosta prycza, wyłożona gałęziami sosny i przykryta kocem zajmowała niemalże połowę powierzchni. Ktokolwiek rozsiadł jego konia, ustawił łuk dokładnie w drzwiach. Rozpiął pas i powiesił go razem z toporem i kołczanem na kołku, potem drząc, rozebrał się do bielizny. Noce były wciąż chłodne, ale zimno nie pozwalało głęboko zasnąć. Głęboki sen przynosił ze sobą wizje, od których nie potrafił się uwolnić.

Przez jakiś czas, przykryty pojedynczym kocem, leżał, wpatrując się w sufit z dłużyć i drżał. Potem zasnął i nadeszły sny.

ROZDZIAŁ 4

SNY PEŁNE CIENIA

Zimno wypełniało wspólną salę gospody, mimo ognia płonącego na długim, kamiennym kominku. Perrin zatarł dłonie przy ogniu, ale nie potrafił ich rozgrzać. Zimno dostarczało jednak dziwnej otuchy, jakby było tarczą. Przeciwno czemu tarczą, nie potrafił wymyślić. Coś mamrotało w tyle czaszki, niewyraźny dźwięk, niejasno słyszalny, jakby coś drapało, usiłując dostać się do środka.

– Tak więc postanowiłeś zrezygnować. To będzie dla ciebie najlepsze. Chodź. Usiądź i porozmawiamy.

Perrin odwrócił się, by spojrzeć na mówiącego. Okrągłe stoły rozproszone bezładnie po pokoju były puste, tylko przy jednym z nich, w rogu, pogrążony w cieniu siedział samotny człowiek. Pozostała część pokoju wydawała się w jakiś sposób zamglona, jakby była raczej wrażeniem niż miejscem, szczególnie wszystko, co nie znajdowało się dokładnie na wprost przed oczyma. Obejrzał się z powrotem na ogień, który płonął teraz na ceglany kominku. W jakiś sposób jednak to go nie martwiło.

"Powinno".

Ale nie potrafił powiedzieć dlaczego.

Człowiek skinął dłonią i Perrin podszedł bliżej stołu: Kwadratowego stołu. Stoły były kwadratowe. Zmarszczył brwi i sięgnął, by palcem dotknąć blatu. W tym narożniku pomieszczenia nie było żadnych lamp i pomimo że reszta sali była jasno oświetlona, człowiek oraz stół, przy którym siedział, byli niemalże niedostrzegalni, nieomal pomieszani z ciemnością.

Perrin miał uczucie, że zna tego człowieka, ale było to wrażenie niejasne, jak widok chwytyany kątem oka. Był w średnim wieku, przystojny i zbyt dobrze ubrany jak na wiejską gospodę, w ciemny, czarny niemalże, aksamit z białą koronką u kołnierza i mankietów. Siedział sztywno, czasami przyciskając dłoń do piersi, jakby najdrobniejsze poruszenia bolały. Ciemne oczy, które wbił w twarz Perrina, wyglądały jak iskrzące się igiełki wśród cieni.

– Z czego zrezygnować? – zapytał Perrin.

– Z tego, oczywiście. – Człowiek kiwnięciem głowy wskazał topór, wiszący mu u pasa. Wyglądał na zaskoczonego, jakby rozmowę tę prowadzili już wcześniej, jakby na nowo musiał rozpoczynać starą kłótnię.

Perrin nie zdawał sobie dotąd sprawy, że ma topór, nie czuł jego ciężaru obciążającego pas. Przesunął dłonią po ostrzu w kształcie półksiężyca i równoważącym je grubym kolcu. Stał pod dotykiem sprawiała wrażenie... solidności. Bardziej niż wszystko, co go otaczało. Być może była nawet bardziej solidna niż on sam. Pozostawił więc rękę przyciśniętą do ostrza po to, by czuć coś rzeczywistego.

– Myślałem o tym – powiedział – ale nie sądzę, bym mógł. Jeszcze nie.

"Jeszcze nie?"

Gospoda zdawała się migotać, a mruczenie na powrót rozległo się w jego głowie.

"Nie!"

Pomruk ucichł.

– Nie? – Człowiek uśmiechnął się zimnym uśmiechem. – Jesteś kowalem, chłopcze. A z tego, co słyszałem, zupełnie niezłym. Twoje dłonie stworzone zostały do młota, nie do topora. Stworzone do tego, by kreować rzeczy, nie żeby zabijać. Wróć do tego, zanim będzie za późno.

Perrin zorientował się, że kiwa głową.

– Tak. Ale jestem również *ta* 'veren.

Nigdy dotąd nie powiedział tego na głos.

"Ale od dawna już to wiedziałem".

Był tego pewien, ale nie mógł zrozumieć skąd brała się ta pewność.

Na chwilę uśmiech mężczyzny zamienił się w grymas, ale zaraz potem powrócił, wyraźniejszy, silniejszy jeszcze niż przed chwilą.

– Są sposoby na zmianę takich rzeczy, chłopcze. Sposoby na uniknięcie nawet przeznaczenia. Usiądź, a porozmawiamy o nich.

Cienie zdawały się przesuwać i gęstnieć, sięgając po niego.

Perrin zrobił krok do tyłu, starając się pozostawać w świetle.

– Nie myślę, żeby tak było.

– Przynajmniej napij się ze mną. Za lata, które minęły i za te, które nadejdą. Proszę, po tym będziesz widział jaśniej pewne rzeczy.

Kubek, który człowiek popchnął po stole w jego kierunku, jeszcze przed chwilą nie istniał. Teraz lśnił czystym srebrem, a ciemne wino koloru krwi wypełniało go aż po krawędź.

Perrin wpatrywał się w twarz człowieka. Nawet mimo ostrego wzroku niewiele mógł dostrzec, cienie spowijały niczym kirem rysy tamtego, równie skutecznie jak płaszcz strażnika. Ciemność otulała twarz jakby pieczęcią. Coś było w jego oczach, coś co powinien pamiętać, gdyby się bardziej postarał. Mruczenie powróciło.

– Nie – powiedział.

Zwracał się do cichego dźwięku, który rozbrzmiewał pod jego czaszką, ale kiedy usta tamtego zacisnęły się w gniewie, błysku wściekłości, który stłumiony został równie szybko, jak się pojawił, postanowił z winem postąpić w taki sam sposób.

– Nie jestem spragniony.

Odwrócił się i popatrzył na drzwi. Kominek zbudowany był z okrągłych rzecznych kamieni, kilka długich stołów z ławami przysuniętymi do dłuższych boków wypełniało dokładnie pomieszczenie. Nagle zapragnął znaleźć się na zewnątrz, gdziekolwiek, byle dalej od tego człowieka.

– Nie będziesz miał wielu szans. – Człowiek odezwał się za jego plecami, jego głos był twardy. – Nici splecione razem dzielą wspólne przeznaczenie. Kiedy jedna zostanie przecięta, inne również pękają. Los może cię zabić, jeżeli nie uczyni z tobą czegoś gorszego.

Perrin poczuł nagle podmuch gorąca na plecach, podmuch, który równie nagle rozwiązał się, jakby na moment otwarto drzwi wielkiego paleniska do wytapiania metali, a potem je błyskawicznie zamknięto. Zaskoczony obejrzał się za siebie, pomieszczenie było puste.

"To tylko sen" – pomyślał i zadrzał z zimna, a wtedy wszystko się zmieniło.

Spojrzał w lustro, jakaś jego część nie pojmowała tego, co zobaczył, zaś pozostała część akceptowała to bez zastrzeżeń. Połączony hełm, odrobiony na kształt głowy lwa, tkwił na jego głowie, jakby nosił go przez całe życie. Złote liście pokrywały zdobnie wykuty napierśnik, złoto zdobiło płyty i kolczugę na ramionach oraz nogach. Tylko topór przy boku był zwyczajny. Głos – własny głos – szeptał w głowie, iż przedkłada go nad każdą inną broń, że walczył nim w setce bitew.

"Nie!"

Chciał zdjąć tę zbroję, odrzucić ją.

"Nie mogę!"

W jego głowie rozbrzmiał głos, głośniejszy niż mruczenie, nieomal na poziomie rozumienia.

– Człowiek przeznaczony do zdobycia chwały.

Odkoczył od lustra, aby stwierdzić, że patrzy na najpiękniejszą kobietę, jaką w swym życiu

widział. Reszta pokoju mogłaby równie dobrze dla niego nie istnieć, dbał tylko o nią. Jej oczy były niczym dwa nocne jeziora, skóra biała jak śmietana i bez wątpienia delikatna, bardziej gładka niż suknia z białego jedwabiu. Kiedy podeszła bliżej, zaschło mu w ustach. Zdał sobie sprawę, że wszystkie kobiety, jakie spotkał w życiu, były niezgrabne i niekształtne. Zadrżał, zastanowiło go, skąd bierze się zimno.

– Mężczyzna powinien chwycić swe przeznaczenie oboma rękoma – powiedziała, uśmiechając się. Ten uśmiech niemalże spowodował, że zrobiło mu się ciepło. Była wysoka, brakowało jej mniej niż dłoni, by mogła spojrzeć mu prosto w oczy. Srebrne grzebienie spinały włosy czarniejsze niż skrzydło kruka. Szeroki pas srebrnych ogniwi otaczał talię, którą mógłby objąć dłońmi.

– Tak – wyszeptał.

Wewnątrz niego zaskoczenie walczyło z akceptacją. Nie miałyby żadnego pożytku ze sławy. Ale kiedy ona to powiedziała, nie pragnął już niczego więcej.

– Chcę...

Mruczący dźwięk wbił mu się w czaszkę.

"Nie!"

Zniknął, a po chwili podobnie stało się z uprzednią akceptacją. Prawie zniknęła. Podniósł dłoń na wysokość głowy, dotknął pozłacanego hełmu, zdjął go.

– Nie... nie sądzę abym go chciał. Nie należy do mnie.

– Nie chcesz go? – Zaśmiała się. – A czegoż może chcieć mężczyzna, w którego żyłach płynie choć odrobina krwi, jak nie sławy? Tyle sławy, ile byś zyskał, zagrawszy na Rogu Valere.

– Nie chcę – powtórzył, czując, jak jego cześć wrzeszczy, że kłamie. Róg Valere.

"Róg zagrał i rozpoczęła się dzika szarża. Śmierć jechała u jego boku, ale ona czekała na niego również. Jego kochanka. Jego zagłada".

– Nie! Jestem kowalem.

Uśmiechnęła się z politowaniem.

– To doprawdy niewiele, jak na przedmiot marzeń. Nie wolno ci słuchać tych, którzy będą starali się odwieść cię od twego przeznaczenia. Będą cię chcieli poniżyć, upodlić. Zniszczyć cię. Walka z przeznaczeniem przynieść może jedynie ból. Dlaczego wybierać ból, skoro możesz mieć sławę? A imię twoje będzie pamiętane obok imion wszystkich bohaterów legend.

– Nie jestem bohaterem.

– Nie wiesz nawet w połowie kim jesteś. Czy kim możesz się stać. Chodź, napij się ze mną, za przeznaczenie i chwałę. – W jej dłoniach zalśnił srebrny kubek, wypełniony czerwonym jak krew winem. – Pij.

Patrzył na kubek i marszczył brwi. Było w nim coś... znajomego. Mruczenie wypełniło mu umysł.

"Nie!"

Walczył z nim, nie miał zamiaru go słuchać.

"Nie!"

Podawała mu złoty kubek.

– Pij.

"Złoty? Sądziłem, że kubek był... był..."

Reszta myśli nie pojawiła się. Ale w jego pomieszczenie wciąż wdzierał się ten głos, wgryzał się, domagając się posłuchania.

– Nie – powiedział. – Nie! – Popatrzył na złoty hełm, który trzymał w dłoniach i odrzucił go na bok. Jestem kowalem. Jestem...

Głos we wnętrzu głowy walczył z nim, wysiłał się, by być słyszany. Otulił głowę ramionami, aby przegnać go z niej, ale tylko uwięził w środku.

– Ja jestem-człowiekiem! – wykrzyknął.

Ciemność ogarnęła go, ale jej głos szedł za nim, szepcząc.

– Zawsze zapada noc, a sny przychodzą do wszystkich ludzi. Szczególnie do ciebie, mój dzikusku. A ja zawsze będę w twoich snach.

Cisza.

Opuścił ramiona. Na powrót ubrany był w swój kaftan i spodnie, mocne i zgrabnie uszyte, nawet jeśli proste. Odpowiednia odzież dla kowala, czy innego człowieka ze wsi. Jednakże ledwie je zauważył.

Stał na kamiennym moście z niską balustradą, gnącym się łukiem od jednej szerokiej, płaskodachnej kamiennej iglicy do drugiej, iglice wyrastały z głębi, która nawet dla jego oczu okazała się niemożliwa do przeniknięcia. Dla wszystkich innych oczu światło byłoby mętne, nie umiał stwierdzić, skąd dobiegało. Po prostu było. Gdziekolwiek spojrzał, na prawo czy lewo, do góry czy w dół, widział kolejne mosty, następne iglice i rampy bez balustrad. Wydawało się, że nie mają końca, a ich układ zupełnie pozbawiony jest jakiegokolwiek planu. Co gorsza, niektóre z ramp dochodziły do wierzchołków iglic, znajdujących się dokładnie ponad tymi, od których odchodziły. Odgłos spadającej wody, zdający się dochodzić zewsząd naraz, rozchodził się echem. Zadrzał z zimna.

Nagle kątem oka pochwycił jakiś ruch, nie myśląc, przykucnął za niską balustradą. Dać się zobaczyć oznaczało niebezpieczeństwo. Nie wiedział dlaczego, wiedział jednak, że to prawda. Po prostu wiedział.

Ostrożnie wyglądając przez balustradę, rozglądał się za dostrzeżonym uprzednio poruszającym się obiektem. Rozbłysk bieli zamigotał na odległej rampie. Kobieta, tego był pewien, ale nie potrafił zobaczyć jej dokładnie. Kobieta w białej sukni, spiesząca dokądś.

Na moście znajdującym się odrobinę niżej niż ten, na którym stał i dużo bliżej niżli ten, na którym zobaczył kobietę, pojawił się nagle jakiś człowiek, wysoki, ciemny i szczupły, czarne włosy przetykane srebrem nadawały mu dystyngowany wygląd, ciemnozielony płaszcz był gęsto wyszywany złotymi liśćmi. Złocenia pokrywały jego pas i sakwę, klejnoty na pochwie sztyletu rozsiewały wokół iskry światła, złote frędzle otaczały cholewy wysokich butów. Skąd on się tu wziął?

Kolejny człowiek wszedł z drugiej strony na most, po którym szedł tamten, jego pojawienie się było równie raptowne jak tego pierwszego. Czarne pasy biegły w dół bufiastych rękawów czerwonego kaftana, grube koronki zdobiły kołnierz i mankiety. Jego buty były tak gęsto naszywane srebrem, że ledwie widać było skórę. Był niższy niż człowiek, któremu szedł na spotkanie, bardziej krępy, krótko ostrzyżone włosy miały śnieżną barwę koronki. Mimo iż na pozór stary, w najmniejszej mierze nie wyglądał słabo czy krucho. Kroczył przed siebie z tą samą arogancką siłą, którą okazywał idący mu naprzeciw mężczyzna.

Obaj zbliżali się do siebie, zachowując daleko posuniętą ostrożność.

"Jak dwaj handlarze koni, z których każdy wie, iż drugi ma na sprzedaż kulawą klacz" – pomyślał Perrin.

Mężczyźni zaczęli rozmawiać. Perrin natężył słuch, ale we wszechobecnym odgłosie spadającej wody nie potrafił dosłyszeć niczego prócz niewyraźnego mamrotania. Grymasy, spojrzenia i gwałtowne ruchy, jakby zatrzymane w połowie uderzenia. Ci dwaj nie ufali sobie wzajem. Pomyślał, że w istocie mogą się nawet nienawidzić.

Spojrzał w górę, w poszukiwaniu kobiety, ale okazało się, że zniknęła. Kiedy ponownie zwrócił

spojrzenie na dół, do dwu mężczyzn dołączył trzeci. I w jakiś sposób, skądś, Perrin niemalże poznał go w przebłytku zaćmionej pamięci. Przystojny mężczyzna noszący czarny aksamit i białą koronkę.

"Gospoda – pomyślał. – I jeszcze coś; co zdarzyło się wcześniej. Coś..."

Coś sprzed wielu lat, tak się przynajmniej zdawało. Wspomnienia jednak nie powróciły.

Pierwsi dwaj stali teraz ramię w ramię, tworząc niewygodne przymierze wywołane obecnością nowo przybyłego. Krzyczał na nich i potrząsał pięścią, a oni nerwowo przestępowali z nogi na nogę, starając się nie patrzeć mu w oczy. Jeśli nawet siebie wzajem nienawidzili, to tamtego bali się bardziej.

"Jego oczy – pomyślał Perrin. – Co jest dziwnego w tych oczach?"

Wysoki, ciemny mężczyzna zaczął sprzeczać się z tamtym, najpierw powoli, potem z rosnącą zapalczywością. Mężczyzna o białych włosach przyłączył się i nagle ich czasowe przymierze pękło. Wszyscy trzej krzyczeli naraz, każdy na zmianę na obu pozostałych. Nagle mężczyzna w czarnych aksamitach rozrzucił szeroko ramiona, jakby domagając się zakończenia kłótni. A rozszerzająca się kula ognia objęła ich i skryła w sobie, stając się stopniowo coraz większa i większa.

Perrin objął głowę ramionami, dopadł do kamiennej balustrady i skulił się tam, a wiatr szarpał nim i wydymał jego ubranie, wiatr gorący jak ogień. Wiatr, który był ogniem. Nawet mając zamknięte powieki, mógł widzieć przez nie płomień przewalający się falą przez wszystko, płomień przeszywający wszystko. Płomienista burza runęła na niego, mógł ją poczuć na swym ciele, jak pali i szarpie, pragnąc pochłonąć go i rozproszyc popioły. Zajęczał, usiłując wczepić się desperacko w siebie, wiedział jednocześnie, że to nie wystarczy.

I nagle, między jednym uderzeniem serca a drugim, wiatr ucichł. Nie było żadnego przejścia, w jednej chwili płomień walił się na niego, w następnej zapanował doskonały spokój. Echo spadającej wody stanowiło jedyny słyszalny dźwięk.

Powoli Perrin usiadł, obejrzał dokładnie swe ciało. Rzeczy, które miał na sobie były całe, bez najmniejszego śladu ognia, odsłonięta skóra nie naruszona. Tylko pamięć gorąca pozwalała mu uwierzyć, że wszystko zdarzyło się naprawdę. Wspomnienia te były jednak tylko wspomnieniami umysłu, ciało nie pamiętało nic.

Ostrożnie spojrzął przez balustradę. Z mostu, na którym stali mężczyźni, pozostało tylko po kilka stóp stopionych wsporników z każdej strony. Po nich nie było nawet śladu.

Włosy zjeżyły mu się na karku, obejrzał się za siebie. Na rampie znajdującej się nieco wyżej, po prawej stronie, stał kudłaty, szary wilk i patrzył na niego.

"Nie! – Poderwał się na równe nogi i rzucił do ucieczki. – To jest sen! Koszmar! Chcę się obudzić!"

Pobiegł. Plamy pojawiły się mu przed oczyma. Plamy zawirowały. Bzyczenie wypełniło jego uszy, potem ścichło, a wtedy migotanie przed oczyma również zniknęło.

Zadrzał z zimna i po raz pierwszy zrozumiał, bez najmniejszych wątpliwości, że to naprawdę jest sen. Niejasno był świadom jakichś mglistych wspomnień snów, które poprzedzały ten, ale co do tego był absolutnie pewien. Był już w tym miejscu, podczas wcześniejszych nocy, a jakby nie potrafił tego zrozumieć, wciąż traktował wszystko jako sen. Tym razem wiedza niczego nie zmieniała.

Otwartą przestrzeń, na której stanął, otaczały ogromne kolumny z wypolerowanego czerwonego kamienia, sklepiony sufit znajdował się pięćdziesiąt lub więcej stóp ponad jego głową. Nie byłby w stanie objąć tych kolumn ramionami, nawet gdyby miał do pomocy drugiego mężczyznę równie dużego jak on sam. Posadzka wyłożona była wielkimi płytami z jasnoszarego kamienia, mocno wytartymi przez niezliczone stopy wielu generacji.

A pośrodku, pod kopułą znajdowała się przyczyna, dla której wszyscy ci ludzie przychodzili do

tej komnaty. Miecz, wiszący w powietrzu, rękojeścią w dół, na pozór nie zawieszony na niczym, w miejscu gdzie, wydawałoby się, każdy mógł po niego sięgnąć i ująć go. Obracał się powoli, jakby pochwycony tchnieniem powietrza. Z tym, że nie był to naprawdę miecz. Wyglądał, jakby go zrobiono ze szkła, czy raczej kryształu, ostrze, rękojeść i jelec żywiły się niejako mglistym światłem, rozsyłając je w postaci tysiąca błysków i lśnień.

Podszedł do niego i wyciągnął dłoń, tak jak to czynił tyle razy wcześniej. Dokładnie pamiętał, jak to się działo. Rękojeść wisiała dokładnie naprzeciw jego twarzy, w zasięgu ręki. W odległości stopy od lśniącego miecza jego dłoń odbiła się od pustego powietrza niczym od kamienia. Wiedział zresztą, że tak się stanie. Nacisnął mocniej, ale równie dobrze mógłby usiłować przewrócić mur. Miecz obrócił się i zalśnił iskrami światła, odległy jedynie o stopę, a jednocześnie równie niedosiężny, jakby znajdował się po drugiej stronie oceanu.

"Callandor".

Nie wiedział, skąd dobiegł ten szept, z wewnątrz jego umysłu, czy z zewnątrz, zdawał się echem odbijając pośród kolumn, równie cichy jak wiatr, dobiegający ze wszystkich stron naraz, nagłący.

"Callandor. Kto włada mną, włada przeznaczeniem. Weź mnie i rozpocznijmy ostatnią podróż".

Cofnął się o krok, nagle przestraszony. Szept pojawił się po raz pierwszy. Śnił ten sen dotąd czterokrotnie – nawet teraz sobie to przypominał, cztery noce, jedną po drugiej – a teraz, po raz pierwszy coś w nim uległo zmianie.

"Wykoślawieni nadchodzą".

To był inny szept, szept którego źródło znał, podskoczył, jakby poczuł na sobie dotknięcie Myrddraala. Pomiedzy kolumnami stał wilk, górski wilk, sięgający mu niemalże do pasa, pokryty kudłatą białą-szarą sierścią. Wpatrywał się w niego z napięciem, oczyma żółtymi jak jego własne.

"Wykoślawieni nadchodzą".

– Nie – zgrzytnął zębami Perrin. – Nie! Nie wpuszczę cię! Nie-pozwolę-ci!

Wyplął na powierzchnię snu i usiadł na pryczy, trzęsąc się ze strachu, zimna i gniewu.

– Nie pozwolę – wyszeptał ochryple.

"Wykoślawieni nadchodzą".

Myśl uformowała się wyraźnie w jego głowie, nie była to jednak jego własna myśl.

"Wykoślawieni nadchodzą, bracie".

ROZDZIAŁ 5

KOSZMAR NA JAWIE

Wyskakując z łóżka, Perrin pochwycił swój topór i wybiegł na zewnątrz boso, mając na sobie tylko cienki len, zupełnie nie osłonięty przed zimnem. Chmury kapały się w bladej bieli księżycowej poświaty. Dla jego oczu światła było wystarczająco dużo, nazbyt wiele, by zobaczyć przemykające się pomiędzy drzewami cienie, cienieomalże tak duże jak Loial, o twarzach jednak-zniekształconych obecnością dziobów i pysków. Na poły ludzkie głowy z rogami i pierzastymi czubami, wstrętne sylwetki poruszające się na kopytach lub szponach równie często jak na bosych nogach.

Otworzył usta, by wykrzyknąć ostrzeżenie, ale nagle drzwi szałasu Moiraine otworzyły się gwałtownie, wyskoczył z nich Lan z mieczem w dłoni, wrzeszcząc:

– Trolloki! Wstawać, jeśli wam życie miłe! Trolloki!

Odpowiedziały mu krzyki, kiedy mężczyźni zaczęli wysypywać się ze swych szałasów, rozebrani jak to do snu, ale z mieczami w dłoniach. Z potwornym wyciem trolloki ruszyły naprzód, na ich spotkanie wyszła stal mieczy i bojowe okrzyki: "Shienar!" oraz "Smok Odrodzony!"

Lan w pełni ubrany – Perrin mógłby się założyć, że strażnik wcale nie spał – rzucił się w sam środek ciżby trolloków, jakby jego wełniana odzież była zbroją. Zdawał się tańczyć od jednego do drugiego, człowiek i miecz płynęli z gracją wody lub wiatru, a tam gdzie przeszedł, trolloki skrzeczały i umierały.

Moiraine również wyszła w noc i tańczyła swój własny taniec pomiędzy trollokami. Jediną widoczną u niej bronią był krótki pręt, jednak tam gdzie dotknęła nim trolloka, na jego skórze pojawiała się pręga płomienia. Wolną dłonią ciskała ogniste kule, niczym pioruny brane prosto z powietrza, a trolloki wyły, gdy dosięgały ich płomienie, waląc się na ziemię.

Naraz drzewo stanęło w ogniu od korzeni aż po koronę, potem następne i kolejne. Trolloki skrzeczały, gdy ich oczy raził niespodziewany blask, ale nie przestawały wymachiwać toporami o przeciwstawnym do ostrza kolcu i zakrzywionymi mieczami przypominającymi w kształcie ostrze kosy.

Nagle Perrin spostrzegł Leyę, która stanęła z wahaniem przy chacie Moiraine, w pół drogi przez nieckę od niego, i wtedy opuściły go myśli o czymkolwiek innym. Kobieta Tath'anów przycisnąwszy plecy do ściany z dłużyć, ręką trzymała się za gardło. Światło płonących drzew ukazało mu przerażenie i ból, oraz wstręt obecny na jej twarzy, kiedy przyglądała się scenom rzezi.

Nad nim wyłonił się trollok, okrutnie zakrzywiony dziób miał tam, gdzie powinny być usta i nos. Czarna kolczuga nabijana kolcami osłaniała go od ramion do kolan, zamiast stóp miał jastrzębie pazury. Zamachnął się wygiętym mieczem. Pachniał potem, brudem i bólem.

Perrin przykucnął, unikając ciosu i krzyknął coś bez słów, kiedy jego topór uderzył. Wiedział, że powinien się bać, ale potrzeba chwili wyparła strach. Znaczenie miało tylko to, by zdążyć do Leyi i zabrać ją do jakiejś kryjówki, a trollok po prostu stał mu na drodze.

Trollok padł, wyjąc i ryjąc stopami ziemię, Perrin nawet nie wiedział, gdzie go trafił, ani czy umiera, czy tylko został raniony. Przeskoczył przez niego i pognął w górę stoku.

Płonące drzewa rzucały niesamowite cienie na małą dolinę. Migoczący cień obok chaty Moiraine zmienił się nagle w postać trolloka o rogatym kozim pysku. Ściskając ostro zakończony topór w obu dłoniach, zamierzał właśnie zbiec na dół, by włączyć się do bitwy, kiedy jego oczy padły na Leyę.

– Nie! – krzyknął Perrin. – Światłości, nie!

Odłamki skały pryskały spod jego bosych stóp, nie czuł jednak skaleczeń. Topór trolloka uniósł się.

– Leyaaaaaaa!

W ostatniej chwili trollok odwrócił się, skierował topór w stronę Perrina. Ten rzucił się na ziemię i jęknął, kiedy topór zahaczył skórę na grzbiecie. Rozpaczliwie wyciągnął dłoń, złapał kozie kopyto i szarpnął z całej siły. Jakby ziemia usunęła się trolloкови spod nóg, upadł z łomotem, kiedy jednak zaczął ześlizgiwać się po stoku, chwycił Perrina w potężne łapy, dwukrotnie większe niż jego dłonie i zaczęły staczać się razem. Smród potwora wypełnił mu nozdrza, mieszanina zapachów kozła i ludzkiego potu. Potężne ramiona zaciskały się wokół jego klatki piersiowej, wyduszając z niego powietrze, żebra trzeszczały, jakby za chwilę miały pęknąć. Trollok upadając, zgubił swój topór, ale białe kozie zęby wgrzyły mu się w ramię, zacisnęły mocne szczęki. Jęczał z bólu, który przeszywał jego lewe ramię. Płuca walczyły o oddech, ciemność zaczynała już przysłaniać mu spojrzenie, w niejasny sposób jednak zdał sobie sprawę, że drugie ramię ma wolne, że w jakiś sposób udało mu się nie zgubić topora. Trzymał go krótko przy ostrzu, jak młotek, kolcem do przodu. Z rykiem, który wydobył resztę powietrza z jego płuc, wbił kolec w skroń trolloka. Bez jednego dźwięku tamten znieruchomiał, jego członki rozwarły się, a Perrin skrzył w bok. Instynktownie zacisnął dłonie na stylisku topora, wrywając ostrze z głowy trolloka, który ześlizgiwał się dalej po stoku, wciąż wstrząsany drgawkami.

Przez chwilę Perrin leżał nieruchomo, starając się złapać oddech. Rozcięcie na plecach bolało, czuł wilgoć krwi. Ramię zaprotestowało, kiedy się na nim wsparł.

– Leya?

Wciąż tam była, skulona przed szaląsem, nie dalej niż dziesięć kroków od niego. I patrzyła na niego z takim wyrazem twarzy, że nie miał odwagi napotkać jej spojrzenia.

– Nie żałuj mnie! – warknął na nią. – Nie...!

Z dachu szalasu skoczył Myrddraal, jego skok odbył się niczym w zwolnionym tempie, czarny płaszcz zwisał podczas leniwego spadania, jakby stwór stał nieruchomo na ziemi. Bezokie spojrzenie wbite było w Perrina. Pachniał śmiercią.

Kiedy Myrddraal wpatrywał się w niego, Perrin poczuł, jak ziębną mu ręce i nogi. Klatka piersiowa zmieniła się w lodowatą grudę.

– Leya – wyszeptał. Wszystko, co mógł zrobić, to nie uciekać. – Leya, proszę, schowaj się. Proszę.

Półczłowiek ruszył w jego kierunku, powoli, przekonany, że strach trzyma go w swym żelaznym uścisku. Poruszał się jak wąż, wyswobadzając jednocześnie zza pasa miecz, tak czarny, że tylko dzięki płonącym drzewom można było go dostrzec.

– Obetnij jedną nogę trójnogu – powiedział miękko – a cały upadnie.

Jego głos brzmiał, jakby ktoś kruszył rozpadającą się ze starości zgniłą skórę.

Nagle Leya poruszyła się, skoczyła naprzód, usiłując chwycić ramionami nogę Myrddraala. Zamachnął się czarnym mieczem, jakby od niechcienia, nawet nie patrząc, a Leya zgięła się wpół i osunęła na ziemię.

W kącikach oczu Perrina zakręciły się łzy.

"Powiniennem jej pomóc... uratować ją. Powiniennem zrobić... coś!"

Ale dopóki Myrddraal wpatrywał się w niego bezokim spojrzeniem, ogromnego wysiłku wymagało to, by chociaż zacząć myśleć.

"Nadchodzimy, bracie. Nadchodzimy, Młody Byku".

Słowa wewnątrz jego umysłu rozdzwierały jak serce uderzającego dzwonu. Ich pogłos rozniósł

się drzeniem po całym jego ciele, Razem ze słowami pojawiły się wilki, w ogromnej liczbie, zalały jego umysł, jak zalały nieckę w kształcie pucharu. Górskie wilki sięgające człowiekowi niemal do pasa, całe w białych i szarych łatach, wyskakiwały w pełnym biegu spośród nocy i świadome zaskoczenia dwunogów, rzucały się naprzód do gardeł Wykoślawionych. Wilki wypełniły go do tego stopnia, iż ledwie pamiętał, że kiedykolwiek był człowiekiem. Jego oczy wchłonęły światło, zaświeciły złotą żółcią. A Półczłowiek zatrzymał się, jakby stracił nagle pewność siebie.

– Pomorze – powiedział pogardliwie Perrin, ale nagle do głowy przyszło mu inne imię, wypowiedziane przez wilki. Trolloki, Wykoślawieni, stworzeni podczas Wojny Cienia ze zmieszania ludzi i zwierząt, byli wystarczająco paskudni, ale Myrddraale...

– Niezrodzony! – wypluł z siebie Młody Byk. Wyszczерzył zęby, warknął i runął na Myrddraala.

Ten poruszał się jak zmija, giętki i śmiertelnie groźny, czarny miecz śmignął jak błyskawica, ale on był przecież Młodym Bykiem. Tak nazywały go wilki. -Młody Byk ze stalowymi rogami, którymi władał przy pomocy dłoni. Był teraz jednym z wilkami. Był wilkiem, a każdy wilk chętnie zginałby sto razy, aby zobaczyć jak Niezrodzony umiera. Pomor cofnął się przed nim, czarne ostrze śmigało, próbując odeprzeć jego cięcia.

Ścięgno w kolanie i gardło, tak zabijały wilki. Młody Byk rzucił się nagle w bok i przyklęknął, topór przeciął tył kolana Półczłowieka. Myrddraal wrzasnął – krzykiem, niczym zgrzyt metalu po kościach, krzykiem, który innym razem spowodowałby, iż włosy zjeżyłyby mu się na głowie. Półczłowiek – Niezrodzony – wciąż twardo ścisnął w garści swój miecz, zanim jednak zdążył się pozbierać, topór Młodego Byka uderzył ponownie. Na pół odrąbana głowa Myrddraala zwisała mu z pleców, lecz opierając się wciąż na jednej ręce, Niezrodzony dziko wymachiwał swoim mieczem. Niezrodzeni zawsze umierali długo.

Dzięki myślom wilków, które obecne były w jego umyśle, a także własnym oczom, Młody Byk mógł dostrzec trolloki padające na ziemię, skrzeczące, mimo iż nie tknęła ich ani dłoń człowieka, ani zęby wilka. To ci, którzy złączeni byli z tym Myrddraalem – umrą, kiedy on umrze, jeżeli nikt nie zabije ich pierwej.

Potrzeba zbiegnięcia ze stoku i przyłączenia się do swych braci, zabijania razem z nimi Wykoślawionych, ścigania pozostałych Niezrodzonych była silna, jednak pogrzebana głęboko część osobowości pamiętała, że kiedyś był człowiekiem.

"Leya".

Rzucił topór i delikatnie odwrócił ją na plecy. Krew pokrywała jej twarz, a oczy patrzyły na niego zeszlone śmiercią. Zdało mu się, że ten wzrok go oskarża.

– Próbowałem – powiedział. – Próbowałem cię uratować. – Jej spojrzenie nie zmieniło się. – Co jeszcze mogłem zrobić? Zabiłby cię, gdybym ja go nie zabił!

"Chodź, Młody Byku. Chodź zabijać Wykoślawionych".

Wilk rozbudził się w nim, ogarnął go. Perrin położył Leyę z powrotem na plecach, podniósł swój topór, ostrze zaśśniło wilgocią. Kiedy zbiegał w dół skalistego zbocza, jego oczy lśniły. Był Młodym Bykiem.

Drzewa rozsiane rzadko po dolinie w kształcie kielicha, płonęły jak pochodnie. Wysoka sosna właśnie stanęła w ogniu, gdy Młody Byk przyłączył się do bitwy. Nocne niebo rozbłyskiwało aktywnym błękitem poziomych błyskawic, Lan zmierzył się z kolejnym Myrddraalem, starożytne ostrze wykonane przez Aes Sedai związało czarną stal fasonowaną w Thakan'dar, w cieniu Shayol Ghoul. Loial posługiwał się pałką wielkości pnia młodego drzewka, wirujące drewno nie pozwalało trollokom zbliżyć się do niego bez narażenia na cios i upadek. Mężczyźni walczyli desperacko pośród tańczących cieni, ale Młody Byk – Perrin – z daleka zauważył, że zbyt wielu dwunogich

Shienaran leży już na ziemi.

Bracia i siostry walczyli w małych stadach po trzy, cztery sztuki, płózac się na ziemi, by uniknąć kosopodobnych mieczy i opatrzonych kolcem toporów, potem skakali, aby rozerwać ściętno kolanowe i rzucali się do gardła, gdy ofiara padała. Nie było żadnej godności w sposobie, w który walczyli, żadnej chwały, żadnej litości. Nie przybiegły tu, by stoczyć bitwę, lecz by zabijać. Młody Byk przyłączył się do jednej z małych sfor, ostrze topora zastępowało mu zęby.

Nie myślał już dłużej o całości bitwy. Był tylko trollok, a naprzeciw niego on i wilki – bracia – trollok odcięty od reszty i zabijany. Potem będzie następny, i następny, i następny, aż wreszcie nie zostanie żaden. Ani tutaj, ani nigdzie. Czuł przemożne pragnienie, by odrzucić topór i używać zębów, by biec na czterech łapach jak jego bracia. Biec przez wysokie górskie przełęcze. Biec zanurzony po brzuch w puszystym śniegu. Biec i czuć, jak zimny wiatr rozwiewa mu futro. Warczał razem z braćmi, a trolloki wyły ze strachu na widok jego żółtych oczu, zdjęte trwogą znacznie bardziej przemożną niż wobec spojrzenia zwyczajnych, wilczych ślepi.

Nagle zdał sobie sprawę, że nie ma już więcej trolloków, przynajmniej trzymających się na nogach, nigdzie, w całej niecce, choć mógł czuć swych braci, goniących tych, którzy uciekli. Stado złożone z siedmiu znalazło inną ofiarę, gdzieś w ciemnościach. Jeden z Niezrodzonych uciekł w stronę swego twardonogiego czworonoga – swego konia, podpowiedziała jakaś odległa część umysłu – i jego bracia poszli za nim, z nozdrzami wypełnionymi jego zapachem, istotą śmierci. Jego umysł był z nimi, widział ich oczami. Kiedy otoczyły go, Niezrodzony odwrócił się, przeklął, czarne ostrze i czarny ubiór były niczym część nocy. Ale jego bracia i siostry polowali właśnie pośród nocy.

Młody Byk warknął, gdy pierwszy brat zginął, ból jego śmierci przeszył go jak lanca, lecz już następni zbliżali się i coraz więcej braci i sióstr umierało, ale kłapiące szczęki ściągnęły wreszcie Niezrodzonego na ziemię. Walczył teraz przy pomocy własnych zębów, przegryzał gardła, ciało pazurami, które rozrywały skórę i ciało jak twarde szpony, jakie nosiły dwunogi, jednak bracia rzucali się na nie z furją, nawet jeśli przy tym umierali. Na koniec samotna siostra podźwignęła się z wciąż kotłującego się stosu i chwiejnie odeszła na bok. Nazywano ją Poranna Mgła, ale tak jak ze wszystkimi imionami wilków, z tym również było mniej więcej tak: mroźny poranek, z ukłuciami mającego padać śniegu, obecnymi już w powietrzu i mgła kłębiąca się grubą warstwą w dolinie, wirująca w ostrym wietrze, niosącym zapowiedź dobrego polowania. Poranna Mgła uniosła głowę i zawyla do skrytego za chmurami księżycu, oplakując swoją śmierć.

Młody Byk również odrzucił głowę i zawył wraz z nią, oplakiwał wraz z nią.

Kiedy opuścił głowę, zorientował się, że Min patrzy na niego.

– Czy dobrze się czujesz, Perrin? – zapytała z powątpiewaniem.

Jej policzek był przecięty, a rękaw na poły oderwany od kaftana. W jednej dłoni trzymała krótką pałkę, a w drugiej sztylet, na obu można było dostrzec krew i włosy.

Zobaczył, że wszyscy patrzyli na niego, wszyscy ci, którzy trzymali się jeszcze na nogach. Loial, opierający się ciężko na swojej pałce, Shienaranie, którzy znosili swych rannych do miejsca, gdzie Moiraine właśnie kuciała przy jednym z nich, a Lan stał przy jej boku. Nawet Aes Sedai spoglądała w jego stronę. Płonące drzewa, jak wielkie pochodnie rozsiewały kołyszące się cienie. Martwe trolloki leżały wszędzie. Więcej Shienaran leżało, niżli stało, a pomiędzy nimi spoczywały ciała jego braci. Tak wiele...

Perrin zorientował się, że ma ochotę zawyc znowu. Szaleńczym wysiłkiem odgradził się od kontaktu z wilkami. Ale obrazy i emocje przeciekały przez mentalną barierę, próbował więc je zdławić. Na koniec jednak przestał je czuć, przestał odczuwać ich ból, ich gniew, pragnienie ścigania

Wykoślawionych albo biegu... Potrząsnął głową. Rana na plecach paliła jak ogień, miał

wrażenie, że poszarpane ramię ktoś właśnie wykuwa młotem na kowadle. Bose stopy, podrapane i porozcinane, tętniły bólem. Zapach krwi zalegał wszędzie. I zapach trolloków. Oraz śmierci.

– Ja... czuję się dobrze, Min.

– Walczyłeś dobrze, kowalu – powiedział Lan. Strażnik uniósł swój wciąż poczerniały od krwi miecz ponad głowę. – *Tai'shar Manetheren! Tai'shar Andor!*

Prawdziwa krew Manetheren. Prawdziwa krew Andoru.

Ci Shienaranie, którzy wciąż stali – tak niewielu unieśli swe ostrza i przyłączyli się do wiwatu.

– *Tai'shar Manetheren! Tai'shar Andor!*

Loial pokiwał głową.

– *Ta'veren* – dodał.

Perrin spuścił oczy w zmieszaniu. Lan uratował go przed pytaniami, na które nie chciał odpowiadać, ale oddał mu honory, na jakie nie zasługiwał. Pozostali niczego nie rozumieli. Zastanawiał się, co by powiedzieli, gdyby znali prawdę. Kiedy Min podeszła bliżej, wymamrotał:

– Leya nie żyje. Nie mogłem... Niewiele brakowało a zdążyłbym na czas.

– To by nic nie dało – powiedziała cicho. – Dobrze wiesz. – Pochyliła się, by obejrzeć jego plecy i skrzywiła się. – Moiraine zajmie się tym. Uzdrawia, kogo może.

Perrin pokiwał głową. Plecy miał sztywne od zaschniętej krwi, całe aż do pasa, ale mimo bólu ledwie to zauważał.

"O mało co tym razem nie udałoby mi się wrócić. Nie mogę pozwolić, by zdarzyło się to znowu. Nie mogę. Nigdy więcej!"

Ale kiedy był z wilkami, wszystko wyglądało inaczej. Nie musiał się przejmować obcymi, którzy obawiali się go tylko dlatego, że był taki duży. Nie był posądzany, że wolno myśli tylko dlatego, że starał się uważać na innych. Wilki znały się nawzajem, nawet jeśli nigdy przedtem się nie spotkały, a wśród nich był tylko kolejnym wilkiem.

"Nie!"

Jego dłonie zacisnęły się na stylisku topora.

"Nie!"

Wzdrygnął się, gdy Masema znenacka przemówił:

– To był znak – powiedział Shienaranin, obracając się wkoło, by wszyscy go słyszeli. Na ramionach i piersiach miał krew, walczył bowiem tylko w spodniach, poruszał się utykając, ale światło w jego oczach lśniło tak żywo jak poprzednio. Bardziej nawet. – Znak zesłany, by utwierdzić nas w wierze. Nawet wilki pojawiły się, by walczyć za Smoka Odrodzonego. W Ostatniej Bitwie Lord Smok wezwie nawet bestie z głębi lasów, by walczyły po naszej stronie. Jest to znak, byśmy ruszali. Tylko Sprzymierzeńcy Ciemności odmówią przyłączenia się do nas.

Dwu Shienaran pokiwało głowami.

– Zamknij przeklętą gębę, Masema! – warknął Uno. Wydawał się nietknięty, ale Uno przecież walczył już z trollokami, zanim jeszcze Perrin przyszedł na świat. Sapał jednak ze zmęczenia, tylko wymalowane oko na przepasce zdawało się wypoczęte. – Ruszamy w cholerną drogę dopiero wtedy, gdy Lord Smok wyda nam przeklęty rozkaz, a nie wcześniej! Wy przekłeci, owcogłowi wieśniacy, macie to sobie zapamiętać!

Jednooki spojrział na rząd ludzi czekających na pomoc Moiraine, niewielu było w stanie choćby usiąść, nawet po tym, jak udzieliła im pomocy i potrząsnął głową.

– Przynajmniej mamy mnóstwo cholernych wilczych skór, aby rannym było ciepło.

– Nie!

Shienaranie zdawali się zaskoczeni gwałtownością rozbrzmiewającą w głosie Perrina.

– Walczyły za nas i pogrzebiemy je razem z naszymi poległymi.

Uno zmarszczył brwi i otworzył usta, jakby chciał się sprzeczać, ale Perrin zmierzył go nieubłaganym, żółtokim spojrzeniem. To Shienaranin pierwszy spuścił wzrok i pokiwał głową.

Perrin odkaslnął i zupełnie skępowany słuchał, jak Uno wydaje rozkazy tym Shienaranom, którzy zostali oddelegowani do zebrania martwych wilków. Min patrzyła na niego z ukosa w taki sposób, w jaki patrzyła zawsze, gdy widziała rzeczy.

– Gdzie jest Rand? – zapytał ją.

– Gdzieś pośród ciemności – odrzekła, skinieniem głowy wskazując w górę stoku, jednocześnie jednak nie spuszczać z niego wzroku. – Nie chciał z nikim rozmawiać. Po prostu siedzi tam, warcząc na każdego, kto chce podejść bliżej.

– Ze mną zechce – powiedział Perrin.

Poszła za nim, protestując przez cały czas, że powinien poczekać, aż Moiraine zajmie się jego obrażeniami.

"Światłości, co ona widzi, kiedy na mnie patrzy? Nie chcę wiedzieć".

Rand siedział na ziemi tuż poza granicą światła padającego od ognia płonących drzew, oparty plecami o pień karłowatego dębu. Wpatrywał się w pustkę, rękoma objął ciało, dłonie wkładając pod swój czerwony kaftan, jakby było mu zimno. Zdawał się nie dostrzegać, iż nadchodzą. Min siadła na ziemi obok niego, ale nawet nie drgnął, dopóki nie położyła mu dłoni na ramieniu. Nawet tutaj Perrin wyczuwał krew i to nie tylko swoją własną.

– Rand – zaczął Perrin, ale Rand przerwał mu gwałtownie:

– Czy wiecie, co robiłem podczas bitwy? – Wciąż wpatrując się w dal, Rand mówił do nocy. – Nic! Nic pożytecznego. Początkowo, kiedy próbowałem sięgnąć do Prawdziwego Źródła, nie mogłem dotknąć go, nie potrafiłem pochwycić. Cały czas się wyslizgiwało. Potem, kiedy już go dotknąłem, zamierzałem spalić ich wszystkich, spalić wszystkie trolloki i Pomorów. A wszystko, na co mnie było stać, to podpalenie kilku drzew. – Zatrząsał się w bezgłośnym śmiechu, potem nagle urwał, a na jego twarzy pojawił się grymas bólu. – *Saidin* wypełnił mnie tak, że czułem, iż nieomal eksploduję jak jakieś fajerwerki. Musiałem przenieść go gdzieś, zanim mnie wypali, i okazało się, że próbuję ściągnąć w dół góry i pogrzebać trolloki. Omal tego nie zrobiłem. Tak wyglądała moja walka. Nie przeciwko trollokom. Przeciwno samemu sobie. Powstrzymałem się przed pogrzebaniem nas wszystkich pod górą.

Min rzuciła Perrinowi pełne bólu spojrzenie, jakby prosząc o pomoc.

– My... zajęliśmy się nimi, Rand – oznajmił Perrin. Zadrżał na myśl o poranionych mężczyznach w dole. I martwych.

"Lepiej to, niż ściągnąć górę na nasze głowy".

– Nie potrzebowałeś cię.

Głowa Randa opadła do tyłu, opierając się o pień drzewa, przymknął powieki.

– Czułem ich, jak nadchodzą – powiedział niemalże szeptem. – Nie wiedziałem jednak, co to jest. Czułem ich jak skazę *saidina*. A *saidin* jest zawsze ze mną, wzywa mnie, śpiewa do mnie. Kiedy wreszcie zrozumiałem różnicę, Lan już wykrzyczał ostrzeżenie. Gdybym tylko mógł to kontrolować, otrzymałbym ostrzeżenie, zanim zdążyliby się zbliżyć. Jednak przez większość czasu, kiedy w ogóle udaje mi się dotknąć *saidina*, nie mam najmniejszego pojęcia, co czynię. Jego strumień po prostu mnie zatapia. Ale mimo to powinienem ostrzec wszystkich.

Perrin daremnie poszukiwał wygodnej pozycji dla pokaleczonych stóp.

– Mieliśmy wystarczająco dużo ostrzeżeń.

Zdawał sobie sprawę, że brzmi to, jakby próbował przekonać samego siebie.

"Ja też mogłem ostrzec wszystkich, gdybym zgodził się porozmawiać z wilkami. One wiedziały, że trolloki i Pomory są w górach. Próbowaly mi powiedzieć".

Ale zawahał się przed ostatecznym stwierdzeniem gdyby nie trzymał wilków z dala od swego umysłu, to czy nie biegłby teraz z nimi? Był człowiek, Elyas Machera, który również potrafił rozmawiać z wilkami. Elyas przebywał z nimi cały czas, zdawał się jednak nie mieć najmniejszych trudności z zachowaniem człowieczeństwa. Nigdy jednak nie powiedział Perrinowi, jak tego dokonał, a Perrin nie widział go już od tak dawna.

Chrzęst butów po skałach zapowiedział zbliżanie się dwojga ludzi, a podmuch powietrza przyniósł Perrinowi ich zapach. Był jednak ostrożny i nie wypowiedział ich imion, zanim Lan i Moiraine nie byli na tyle blisko, by nawet zwykłe oczy mogły ich dostrzec.

Strażnik podtrzymawał Aes Sedai pod ramię, jakby usiłując jej pomóc, nie zdradzając się z tym jednocześnie przed nią. Wzrok Moiraine był odrobinę nieprzytomny, w rękę niosła małą rzeźbę kobiety z pocerniałego od wieku kła morsa. Perrin wiedział, że jest to *ter'angreal*, pozostałość z Wieku Legend, który pozwalał Aes Sedai bezpiecznie przenieść więcej Mocy, niż potrafiłaby sama. To, że używała go do uzdrawiania wyznaczało miarę jej zmęczenia.

Min podniosła się, by pomóc Moiraine, lecz Aes Sedai oddaliła ją gestem.

– Opatrzyłam już wszystkich – zwróciła się do Min. – Kiedy skończę z wami, będę mogła odpocząć.

Podobnie jak z Min, postąpiła z Lanem, a na jej twarzy pojawił się wyraz koncentracji, kiedy przesunęła chłodną dłonią po krwawiącym ramieniu Perrina, a potem wzdłuż rany na jego plecach. Jej dotyk spowodował, że dostał gęsiej skórki.

– Nie wygląda to źle – oznajmiła. – Rana na ramieniu sięga głęboko, ale rozcięcie jest płytkie. Trzymaj się. To nie będzie bolało, ale...

Nigdy nie czuł się spokojnie, przebywając w towarzystwie kogoś, kto potrafił przenosić Jedyną Moc, a uczucie dyskomfortu pogłębiało się, gdy kierowano ją na niego. Zdarzyło się to raz czy dwa razy, dlatego też sądził, że posiada pewne pojęcie na temat tego, co pociąga za sobą przenoszenie, ale tamte uzdrowienia były pomniejszego rodzaju, po prostu Moiraine pomagała mu pozbyć się zmęczenia, kiedy potrzebowała, by był wypoczęty. Nie przypominało to w najmniejszym stopniu tego, co się zdarzyło teraz.

Oczy Aes Sedai nagle zaczęły jakby zaglądać mu do środka, przeszukiwać jego wnętrze. Zaparło mu dech, omal nie upuścił topora. Czuł, jak po karku przebiegają mu dreszcze, mięśnie drżały, jakby napinały się ponownie. Ramię trzęsło się w zupełnie nie kontrolowany sposób, wszystko na moment zamazało się przed oczyma. Chłód przeniknął go do kości, a nawet jeszcze głębiej. Miał wrażenie ruchu, spadania, lotu, nie potrafił się zdecydować, rozróżnić, było tak, jakby gdzieś pędził – gdzieś, jakoś – z wielką prędkością i jakby miało to trwać zawsze. Po upływie wieczności, świat znowu wrócił na swoje miejsce. Moiraine odeszła krok do tyłu, na poły słaniając się, zanim Lan znowu nie ujął jej pod ramię.

Perrin ziewnął i spojrział na swoje ramię. Nacięcia i skaleczenia zniknęły, nie pozostało nawet lekkie kłucie czy swędzenie. Pochylił się ostrożnie, ale ból w plecach również należał do przeszłości. I stopy także nie bolały, nie musiał na nie patrzeć, by wiedzieć, że wszystkie skaleczenia i zadrapania zniknęły. W brzuchu głośno mu zaburczało.

– Powinieneś zjeść coś, tak szybko, jak to tylko możliwe – doradziła mu Moiraine. – Spora część tej siły pochodziła od ciebie, musisz ją jakoś uzupełnić.

Głód – oraz obrazy jedzenia – już przepełniały myśli Perrina. Krwisty, półsurowy befszytk, ćwiartka sarny, barani udziec... Z wysiłkiem odpędził myśli o mięsie. Powinien poszukać trochę tych

korzeni, które pachną jak pieczona rzepa. Żołądek aż zawył w proteście.

– Nawet blizny prawie nie ma, kowalu – odezwał się Lan zza jego pleców.

– Większość rannych wilków odczołgała się do lasu – powiedziała Moiraine, rozcierając plecy i przeciągając się – ale uzdrowiłam te, które znalazłam. – Perrin rzucił jej ostre spojrzenie, ona jednak na pozór zdawała się prowadzić zwykłą rozmowę. – Zapewne pojawiły się tutaj z jakichś sobie tylko wiadomych powodów, jednakże bez nich moglibyśmy być już wszyscy martwi.

Perrin poruszył się niespokojnie i wbił oczy w ziemię.

Aes Sedai sięgnęła dłonią do skaleczenia na policzku Min, tamta jednak cofnęła się, mówiąc:

– Nie jestem poważnie ranna, a ty na pewno masz już dosyć. Wielokrotnie kaleczyłam się bardziej w wyniku zwykłego potknięcia.

Moiraine uśmiechnęła się i jej dłoń opadła. Lan ujął ją pod ramię, wsparła się na nim.

– Bardzo dobrze. A co z tobą, Rand? Odniosłeś jakieś obrażenia? Nawet draśnięcie ostrzem Myrddraala może okazać się śmiertelne, a niektóre klingi trolloków są równie groźne.

Perrin jako pierwszy to zobaczył.

– Rand, twój kaftan jest mokry.

Rand wyciągnął prawą rękę spod kaftana, była czerwona od krwi.

– To nie jest krew Myrddraala – powiedział nieobecny głosem, wpatrując się w dłoń. – Ani nawet trolloka. Rana, którą otrzymałem w Falme otworzyła się znowu.

Moiraine syknęła i uwolniła ramię z uścisku Lana, potem uklękła przy Randzie. Odsunęła poję jego kaftana i zbadła ranę. Perrin nie mógł jej dostrzec, bowiem zasłaniała ją głową, jednakże zapach krwi stał się od razu silniejszy. Moiraine poruszyła dłońmi i Rand skrzywił się z bólu.

– "Krew Smoka Odrodzonego na skałach Shayol Ghoul uwolni ludzkość od Cienia". Czy nie tak mówią Proroctwa Smoka?

– Kto ci to powiedział? – spytała ostro Moiraine.

– Gdybyś teraz mogła mnie zabrać do Shayol Ghoul – powiedział sennie Rand – przez Bramę Drogi albo Kamień Portalu, wtedy można by skończyć ze wszystkim. Żadnego więcej umierania. Żadnych snów. Nigdy więcej.

– Gdyby to było tak proste – odparła mu smutno Moiraine – zrobiłabym to, w taki czy inny sposób, ale nie wszystko w *Cykle Karaethońskim* należy brać dosłownie. Na każdą rzecz powiedzianą jasno przypada dziesięć, które mogą oznaczać sto najrozmaitszych spraw. Nie sądź, że wiesz wszystko o tym, co musi się zdarzyć, nawet jeśli ktoś wyrecytował ci całość Proroctw.

Przerwała na chwilę, jakby zbierając siły. Mocniej zacisnęła dłoń na *ter'angrealu*, a jej wolna ręka przesunęła się swobodnie wzdłuż boku Randa, zupełnie jakby nie pokrywała go skorupa zaschniętej krwi.

– Trzymaj się.

Znienacka oczy Randa rozwarły się szerzej, usiadł wyprostowany, oddychał głęboko, wbił wzrok w przestrzeń przed sobą i trząsł się. Kiedy go uzdrawiała, Perrin myślał, że będzie to trwało wiecznie, jednak już po chwili mógł pomóc Randowi oprzeć się o drzewo.

– Zrobiłam... tyle, ile tylko mogłam – powiedziała słabo. – Tyle, ile byłam w stanie. Musisz być ostrożny. Może się znowu otworzyć, jeżeli...

Słowa powoli zamierały jej na ustach, upadła.

Rand złapał ją, w mgnieniu oka pomógł mu Lan. Wtedy na twarzy strażnika Perrin dostrzegł przelotny wyraz, najbardziej chyba zbliżony do czułości ze wszystkich, jakie spodziewał się na niej zobaczyć.

– Wyczerpanie – oznajmił strażnik. – Ona zadbała o wszystkich, ale nie ma nikogo, kto mógłby

zająć się jej zmęczeniem. Zabiorę ją do łóżka.

– Jest Rand – powiedziała wolno Min, ale strażnik potrząsnął głową.

– Nie chodzi o to, że wątpię w twoje chęci, pasterzu, ale wiesz tak niewiele, że mógłbyś ją równie łatwo zabić, jak jej pomóc.

– To prawda – odpowiedział Rand gorzko. – Nie można mi ufać. Lews Therin Zabójca Rodu wymordował wszystkich, którzy byli mu bliscy. Być może ja zrobię to samo, zanim wreszcie nastąpi ze mną koniec.

– Nie rozklejaj się, pasterzu – głos Lana brzmiał ochryple. – Losy całego świata zależą od ciebie. Pamiętaj, że jesteś mężczyzną i robisz to, co musi być zrobione.

Rand spojrzał na strażnika i zniemacka cała jego gorycz zniknęła.

– Będę walczył tak, jak tylko potrafię, z całych sił oznajmił. – Ponieważ nie ma nikogo innego, a cała sprawa musi być dokonana, więc obowiązek spoczywa na mnie. Będę walczył, ale nie musi mi się podobać to, w co się zmieniłem.

Przymknął oczy, jakby zamierzał zasnąć.

– Będę walczył. Sny...

Lan patrzył na niego przez chwilę, potem pokiwał głową. Podniósł wzrok i spojrzał na Perrina oraz Min.

– Weźcie go do łóżka, potem sami spróbujcie się przespać. Musimy się zastanowić, co zrobimy, a Światłość jedna wie, co zdarzy się później.

ROZDZIAŁ 6

POLOWANIE SIĘ ROZPOCZYNA

Perrin nie spodziewał się, że będzie w stanie w ogóle zasnąć, ale żołądek pełen zimnego gulaszu – jego postanowienie na temat korzeni trwało tylko do momentu, gdy zapachy resztek kolacji wypełniły mu nos – i odczuwane w kościach zmęczenie zmusiły go, by się położyć. Jeśli śniło mu się coś, to i tak niczego nie pamiętał. Obudził się, gdy Lan potrząsał jego ramieniem, światło świtu wpadało przez otwarte drzwi sprawiając, iż strażnik wyglądał jak cień otoczony świetlistą aureolą.

– Rand zniknął – tyle powiedział, zanim wybiegł z szałas, ale i tak było tego aż nadto.

Perrin podniósł się niechętnie i ziewając, zaczął się szybko ubierać, poganiany dodatkowo porannym chłodem. Na zewnątrz dostrzec można było tylko garstkę Shienaran, przy pomocy swych koni ściągał ciała trolloków pomiędzy drzewa, większość z nich poruszała się tak, jakby w ogóle nie powinni wstawać z łóżka. Ciało potrzebowało trochę czasu, aby odbudować siły, które zabrało uzdrawianie.

Ponaglany burczeniem żołądka, Perrin wciągnął w nozdrza powietrze, mając nadzieję, iż ktoś zabrał się już za gotowanie. Gotów był jeść nawet te rzepopodobne korzenie na surowo, jeśli byłoby trzeba. Poczł jednak tylko zastarzały smród zabitych Myrddraali, woń ciał trolloków i ludzi, zapach koni i drzew. I martwe wilki.

Szałas Moiraine, wysoko na zboczu, po drugiej stronie niecki, zdawał się stanowić centrum całej, gorączkowej aktywności. Min wbiegła do środka, a chwilę później Masema wyszedł na zewnątrz, za nim Uno. Jednooki truchtem pobiegł między drzewami w stronę gołej skały za szałasem, podczas gdy drugi Shienaranin zszedł w dół stoku.

Perrin ruszył w stronę chaty. Kiedy rozbryzgując wodę, przechodził przez strumień, spotkał Masemę. Oblicze Shienaranina było wymizerowane, blizna odznaczała się na twarzy, a oczy zapadły w głąb czaszki bardziej jeszcze niż zwykle. Pośrodku strumienia nagle uniósł głowę i złapał Perrina za rękaw kaftana.

– Ty jesteś z jego wioski – powiedział ochryple. Musisz wiedzieć. Dlaczego Lord Smok nas opuścił? Jaki grzech popełniliśmy?

– Grzech? O czym ty mówisz? To, dlaczego Rand odszedł nie miało nic wspólnego z tym, co zrobiłeś, a czego nie zrobiłeś.

Masema nie wydawał się usatysfakcjonowany, wciąż trzymał Perrina za rękaw i wpatrywał się w jego twarz, jakby z niej mógł wyczytać jakąś odpowiedź. Lodowata woda zaczęła się przesączać Perrinowi do lewego buta,

– Masema – zaczął ostrożnie – cokolwiek robi Lord Smok, postępuje wedle swego planu. Lord Smok nie opuściłby nas.

"A może jednak tak? Co bym zrobił, będąc na jego miejscu?"

Masema powoli pokiwał głową.

– Tak. Tak, teraz to już rozumiem. Samotnie udał się w drogę, aby nieść słowa zwiastujące jego powrót. My musimy postąpić podobnie. Tak.

Kuśtykając, przekroczył strumień i poszedł dalej, mrużąc coś do siebie.

Chlupocząc wodą w bucie, Perrin wspiał się do szałas Moiraine i zapukał. Nie było odpowiedzi. Zawahał się przez moment, po czym wszedł do środka.

Przedpokój, w którym sypiał Lan był równie pusty i prosto urządzone jak szałas Perrina, w jedną ze ścian wbudowano zwykłą prycę, kilka kołków dla zawieszenia dobytku i pojedyncza półka

dopełniały umeblowania. Przez otwarte drzwi wpadało niewiele światła, za resztę oświetlenia służyły prymitywne lampy ustawione na półce: płyty oleistego drewna tłuszczowego wepchnięto w szczeliny skalnych odłamków. Unosiły się nad nimi wąskie pasma dymu, który zalegał mgiełką pod powałą. Zapach aż wykrzywił Perrinowi nos.

Niski sufit znajdował się ledwie odrobinę wyżej niż czubek jego głowy. Loial zamiatał po nim czupryną, nawet gdy, tak jak teraz, siedział w końcu łóżka Lana, z blisko przyciągniętymi kolanami, by zajmować jak najmniej miejsca. Zakończone pędzelkami uszy Ogira strzygły niespokojnie. Min siedziała ze skrzyżowanymi nogami na brudnej podłodze tuż przy drzwiach prowadzących do zajmowanego przez Moiraine pomieszczenia, gdzie Aes Sedai chodziła w tę i z powrotem, pogrążona w myślach. Ponure musiały to być myśli. Mogła przejść tylko trzy kroki w każdą stronę, ale maszerowała żwawo, spokojowi na jej twarzy przeczyła gwałtowność kroków.

– Sądzę, że Masema popada w szaleństwo – oznajmił Perrin.

Min pociągnęła nosem.

– Skąd możesz o tym wiedzieć?

Moiraine odwróciła się w jego stronę i zacisnęła usta. Jej głos był cichy. Nazbyt cichy.

– Czy stan umysłu Masemy jest najważniejszą rzeczą, jaka zajmuje twoje myśli dzisiejszego ranka, Perrinie Aybara?

– Nie. Chciałbym dowiedzieć się, kiedy Rand odszedł i dlaczego. Czy ktoś go widział? Czy ktoś wie, dokąd poszedł? – Pozwolił sobie przeciwstawić jej spojrzeniu równie twarde i nieustępliwe. Nie było to łatwe. Był od niej większy, ale ona była wszak Aes Sedai. – Czy to przez ciebie, Moiraine? Czy trzymałaś go tak krótko, że wreszcie zapragnął iść gdziekolwiek, zrobić cokolwiek, byle tylko nie siedzieć beczynnienie?

Uszy Loiala zeszywniały, próbował udzielić mu ukradkowego ostrzeżenia gestem grubopalcej dłoni.

Moiraine wpatrywała się w Perrina z głową przechyloną na bok, a wszystko, co on mógł zrobić, to starać się nie spuścić oczu.

– To nie jest moja wina – powiedziała. – Odszedł nocą. Kiedy i dlaczego, wciąż próbuję się dowiedzieć.

Mięśnie ramion Loiala rozluźniły się, wydał z siebie ciche westchnienie ulgi. Ciche być może jak na Ogira, dla uszu pozostałych brzmiało ono jednak niczym syk pary uchodzącej z naczynia, w którym studzono rozpalone do czerwoności żelazo.

– Nigdy nie drażnij Aes Sedai – oznajmił szeptem, najwyraźniej skierowanym tylko do niego, lecz słyszalnym dla wszystkich. – Lepiej ująć w dłonie ogniste słońce, niż rozgniewać Aes Sedai.

Min pochyliła się na tyle, by podać Perrinowi zwinięty kawałek papieru.

– Loial poszedł, by się z nim zobaczyć, kiedy już położyliśmy go do łóżka ostatniej nocy i Rand poprosił go o pożyczenie pióra, papieru oraz kałamarza.

Uszy Ogira uniosły się odrobinę, z niepokojem zmarszczył brwi.

– Nie wiedziałem, co chodzi mu po głowie. Naprawdę. – Wiemy o tym – uspokoiła go Min. – Nikt cię o nic nie oskarża, Loial.

Moiraine zmarszczyła brwi, spoglądając na papier, ale nie spróbowała odebrać go Perrinowi. Charakter pisma należał do Randa.

To, co czynię, czynię, bo nie ma innego sposobu. On znowu mnie ściga, a tym razem jeden z nas będzie musiał zginąć, jak sądzę. Nie ma potrzeby, aby ci, którzy są ze mną, również umarli. Zbyt wielu już zginęło dla mnie. Ja również chcę żyć i będę, jeżeli mi się uda. W snach są

kłamstwa, i śmierć, ale także prawda.

To było wszystko, nie podpisał się. Perrin nie musiał się zastanawiać, kogo Rand miał na myśli, pisząc "on". Dla Randa, dla nich wszystkich, mógł być tylko jeden "on". Ba'alzamon.

– Zostawił to pod moimi drzwiami – poinformowała go Min głosem pełnym napięcia. – Wziął trochę znoszonych rzeczy, które Shienaranie wywiesili, by wyschły, swój flet i konia. Oprócz tego odrobinę jedzenia i nic więcej, przynajmniej tyle wiemy. Nie widział go żaden z wartowników, a ostatniej nocy byli tak wyczerpani, że usłyszeli by skradającą się mysz.

– A w czym by pomogło, gdyby go zobaczyli? chłodno zauważyła Moiraine. – Czy którykolwiek z nich zatrzymałby samego Lorda Smoka, albo nawet zawołał do niego? Niektórzy z nich, Masema na przykład, sami poderżnęliby sobie gardła, gdyby Lord Smok kazał im to zrobić.

Teraz z kolei Perrin uważnie wpatrzył się w jej oblicze.

– A spodziewałaś się czegoś innego? Przysięgli iść za nim. Światłości, Moiraine, nigdy nie ogłosiłby się Smokiem Odrodzonym, gdyby nie ty. – Nie odezwała się, więc ciągnął dalej, już bardziej spokojnie. – Czy ty naprawdę wierzysz, Moiraine? Że on rzeczywiście jest Smokiem Odrodzonym? Czy też uważasz, że możesz wykorzystać go, zanim umrze lub oszaleje od Jedynej Mocy?

– Spokojnie, Perrin – wtrącił się Loial. – Nie wściekaj się tak.

– Będę spokojny, jeżeli ona mi odpowie. Cóż więc, Moiraine?

– Jest tym, kim jest – odpowiedziała ostro.

– Powiedziałaś, że Wzór na koniec zmusi go do wybrania właściwej drogi. Czy to jest właśnie to, czy też tylko próbuje od ciebie uciec? – Przez chwilę sądził, że posunął się za daleko, jej ciemne oczy roziskrzyły się gniewem, ale nie-miał zamiaru teraz się wycofać. – Więc?

Moiraine wzięła głęboki oddech.

– To, co zrobił, może być rezultatem wyboru jakiego dokonał Wzór, jednak nie mam zamiaru pozwolić mu jechać samemu. Mimo całej swej mocy, w wielu kwestiach jest bezbronny jak dziecko i zupełnie nie zna świata. Przenosi, to prawda, ale nie ma żadnej kontroli nad tym, czy pojawia się Jedyne Mocy, kiedy po nią sięga i niemalże równie niewiele nad tym, co robi, gdy wreszcie nawiązuje kontakt ze Źródłem. Moc zabije go, zanim będzie miał szansę oszaleć, jeżeli nie nauczy się jej kontrolować. Tyle jeszcze musi się nauczyć. Chce biegać, nim nauczy się chodzić.

– Rozszczepiasz włos na czworo i zastawiasz werbalne pułapki, Moiraine. – Perrin parsknął. – Jeżeli jest tym, za kogo go uważasz, czy nigdy wobec tego nie przyszło ci do głowy, że może wiedzieć lepiej, co należy zrobić, niżli ty wiesz?

– Jest tym, kim jest – powtórzyła zdecydowanie ale jeśli ma czegoś dokonać, muszę utrzymać go przy życiu. Martwy nie wypełni żadnych prorocत्व, a jeżeli nawet umknie przed Sprzymierzeńcami Ciemności i Pomiotem Cienia, dookoła są tysiące rąk gotowych, by go zamordować. Wszystko, czego im potrzeba, to śladu wskazówki, prawdopodobieństwa jednego do stu, że jest tym, za kogo go biorą. Jednak gdyby to było wszystko, co może go spotkać, nie bałabym się w połowie tak bardzo, jak się boję. Trzeba się liczyć również z Przeklętymi.

Perrin wzdrygnął się, z kąta dobiegł jęk Loiala.

– "Czarny oraz wszyscy Przeklęci uwięzieni są w Shayol Ghoul" – zaczął recytację Perrin, ale nie pozwoliła mu skończyć.

– Pieczęcie słabną, Perrin. Niektóre już pękły, chociaż świat o tym nie wie. Nie może wiedzieć. Ojciec Kłamstw jeszcze nie znalazł się na wolności. Ale wraz z tym, jak słabną pieczęcie, jak stopniowo zmniejsza się ich moc, kto wie, który z Przeklętych mógł się już uwolnić? Lanfear?

Sammael? Asmodean czy Be'lal, albo Ravhin? Sam Ishamael, Zdrajca Nadziei? Było ich razem trzynaścioro, Perrin, i uwięziono ich w pieczęciach, nie zaś razem z Czarnym. Trzynaścioro najpotężniejszych Aes Sedai z Wieku Legend, najślabi z nich byli silniejsi niż dziesięć najpotężniejszych Aes Sedai żyjących dzisiaj, najgłupsi posiadają całą wiedzę Wieku Legend; A każda kobieta i każdy mężczyzna spośród nich porzucił Światłość i oddał swe dusze służbie Cienia. Co zrobić, jeśli się uwolnili i czekają na niego? Nie pozwolę im go dostać.

Perrin zadrżał, częściowo z powodu lodowatego żelaza, które zabrzmiało w jej ostatnich słowach, częściowo na myśl o Przeklętych. Nie miał ochoty myśleć, że choćby jedno z nich chodzi swobodnie po świecie. Ich imionami matka straszyla go, gdy był mały.

"Ishamael przychodzi po chłopców, którzy nie mówią prawdy swoim mamom. Lanfear czai się w nocy na chłopców, którzy nie chcą iść do łóżka, kiedy nadchodzi pora spania".

Fakt, że dorósł, niewiele pomógł przezwyciężyć strach, zwłaszcza kiedy wiedział, że tamci istnieją naprawdę. A teraz jeszcze Moiraine powiada, że mogli się uwolnić.

– Uwięzieni w Shayol Ghoul – wyszeptał i pożałował, że już w to nie wierzy. Zakłopotany wpatrywał się na powrót w list Randa. – Sny. Wczoraj również mówił o snach.

– Sny?

Do środka weszli Uno i Lan, ale gestem nakazała im milczenie. Małeńki pokój trudno było teraz nazwać choćby nawet nadmiernie zatłoczonym, w środku znajdowało się pięcioro ludzi, nie licząc Ogira.

– Jakie ty miałeś sny w ciągu ostatnich pięciu dni, Perrin?

Nie zwróciła uwagi na jego protesty, kiedy usiłował zbyć ją i nie przyznać się do niczego.

– Powiedz mi – nalegała. – Jakie miałeś sny, które różniłyby się od tych, które miewasz zazwyczaj? Powiedz.

Jej spojrzenie pochwyliło go jak kowalskie szczypce, przymuszając niemalże do mówienia.

Spojrzał na pozostałych – patrzyli na niego nieustępliwie, wszyscy, nawet Min – potem z wahaniem opowiedział jedyny sen, który wydawał mu się w jakiś sposób niezwykły, ten, który śnił co noc. Sen o mieczu, którego nie mógł dotknąć. Nie wspomniał o wilku, który pojawił się w nim zeszłej nocy.

– *Callandor* – wyszeptał Lan, kiedy skończył opowiadać. Twarz jak skała, wyglądał na ogluszonego.

– Tak – powiedziała Moiraine – ale musimy mieć absolutną pewność. Porozmawiaj z innymi.

Kiedy Lan pośpieszył na zewnątrz, zwróciła się do Uno:

– A ty jakie miewasz sny? Czy również śnisz o mieczu?

Shienaranin przestąpił z nogi na nogę. Czerwone oko wymalowane na przepasce patrzyło prosto na Moiraine, ale prawdziwe mrugało, a jego spojrzenie uciekało w bok.

– Ja śnię o prze... ehe, o mieczach niemalże przez cały czas, Moiraine Sedai – odparł sztywno.

– Przypuszczam więc, że ostatniej nocy również śniłem o mieczu. Ja nie pamiętam swych snów w taki sposób, jak czyni to obecny tutaj Lord Perrin.

Moiraine kontynuowała:

– Loial?

– Moje sny są zawsze takie same, Moiraine Sedai. Dotyczą gajów, Wielkich Drzew *i steddin*. My, Ogirowie zawsze śnimy o *stedding*, kiedy znajdujemy się z dala od nich.

Aes Sedai zwróciła się z powrotem do Perrina.

– To był tylko sen – powiedział. – Nic, tylko sen.

– Wątpię w to – odparła. – Opisałeś komnatę zwaną Sercem Kamienia, w fortecy nazywanej

się Kamieniem Łzy, tak jakbyś stał w niej. A lśniący miecz to *Callandor*, Miecz Który Nie Jest Mieczem, Miecz Którego Nie Można Dotknąć.

Lioal usiadł wyprostowany, uderzając głową o sufit.

– Proroctwa Smoka mówią, że Kamień Łzy nigdy nie padnie, dopóki dłoń Smoka nie będzie władać *Callandorem*. Upadek Kamienia Łzy ma być jednym z najważniejszych znaków zwiastujących Odrodzenie Smoka. Jeżeli Rand weźmie w dłoń *Callandora*, cały świat będzie musiał uznać w nim Smoka.

– Być może. – Słowo wypłynęło z ust Aes Sedai i unosiło się przez chwilę w powietrzu niczym okruch lodu na nieruchomej wodzie.

– Być może? – zapytał Perriń. – Być może? Sądziłem, że to będzie ostateczny znak, spełniający twoje Proroctwa.

– Ani pierwszy, ani ostatni – odrzekła tamta. *Callandor* spełnia kolejną przepowiednię *Cyклу Karaethońskiego*, podobnie jak jego narodziny na Górze Smoka były pierwszym znakiem. Musi jeszcze znieść granice krajów i wstrząsnąć światem. Nawet uczeni, którzy studiowali Proroctwa przez całe swoje życie, nie rozumieją ich w pełni. Cóż bowiem miałyby znaczyć, że "zabije swych ludzi mieczem pokoju i zniszczy ich za pomocą liścia"? Co miałyby znaczyć, że "zwiąże dziewięć księżyców, aby mu służyły"? Znakom tym przypisuje się w *Cyклу* taką samą wagę, jak *Callandorowi*. Są jeszcze inne. Jakie mianowicie "rany szaleństwa i okaleczenia nadziei" uzdrowił? Jakie łańcuchy rozerwał i kogo zakuł w łańcuchy? A niektóre są tak niejasne, że być może udało mu się je wypełnić, ale ja nic o tym nie wiem. Ale, nie. *Callandor* to jeszcze nie koniec, daleko jeszcze do końca.

Perrin niespokojnie wzruszył ramionami. Znał tylko ułamki i okruchy Proroctw, nie lubił ich specjalnie, od kiedy Rand pozwolił Moiraine włożyć sobie ten sztandar w dłoń. Nie, to się zdarzyło jeszcze wcześniej. Kiedy podróż przez Kamień Portalu przekonała go, iż jego życie jest splecione z żywotem Randa.

Moiraine zaś ciągnęła dalej:

– Jeżeli sądzisz, że pozostaje mu tylko wyciągnąć dłoń, Lioalu synu Arenta, syna Halana, to jesteś głupcem, podobnie jak on, jeżeli myśli w ten sposób. Nawet jeśli uda mu się przeżyć wystarczająco długo, by dotrzeć do Łzy, może nigdy nie dostać się do Kamienia.

– Tairenianie nie kochają szczególnie Jedynej Mocy, a jeszcze mniej kochają mężczyznę, który twierdzi o sobie, że jest Smokiem. Przenoszenie jest zabronione prawem, a Aes Sedai są w najlepszym razie tolerowane dopóty, dopóki nie przenoszą. We Łzie opowiadanie Proroctw Smoka, czy choćby posiadanie ich kopii, wystarcza, aby trafić do więzienia. I nikt nie może wejść do Kamienia Łzy bez pozwolenia Wysokich Lordów, nikt prócz samych Wysokich Lordów nie wchodzi do Serca Kamienia. Nie jest jeszcze do tego gotów. Jeszcze nie.

Perrin kaszlnął cicho. Kamień nie upadnie, dopóki Smok nie weźmie w dłoń *Callandora*.

"W jaki sposób ma on go osiągnąć, wewnątrz przeklętej fortecy, zanim ona upadnie? To jakieś szaleństwo!"

– Dlaczego więc jeszcze tu siedzimy? – wybuchnęła Min. – Jeżeli Rand zmierza do Łzy, dlaczego nie jedziemy za nim? Mogą go zabić albo... albo... Dlaczego tak spokojnie tu siedzimy?

Moiraine położyła dłoń na jej głowie.

– Ponieważ muszę zdobyć pewność – powiedziała łagodnie. – Nie ma nic przyjemnego w byciu wybranym przez Koło, aby być wielkim lub znajdować się blisko wielkości. Wybrani przez Koło mogą tylko oczekiwać na to, co przyniesie czas.

– Zmęczona jestem tym oczekiwaniem. – Min potarła oczy dłonią. Perrinowi zdawało się, że dostrzegł łzy. Band może właśnie umierać, a my tu czekamy.

Moiraine pogładziła Min po włosach, na twarzy Aes Sedai pojawił się wyraz nieomal litości.

Perrin usiadł na drugim końcu łóżka Lana, po przeciwnej stronie niż Loial. W pokoju wisiał ciężki zapach ludzi – ludzi, zmartwień i strachu. Loial, prócz zmartwienia, pachniał książkami i drzewami. W zamkniętej przestrzeni, pośród bliskich ścian, czuł się tu jak w pułapce. Płonące płyty wydawały przykry odór.

– W jaki sposób możemy się dowiedzieć z moich snów, dokąd pojechał Rand? – zapytał. – To był mój sen.

– Ci, którzy potrafią przenosić Jedyńą Moc – wyjaśniła mu cicho Moiraine – ci, którzy są szczególnie uzdolnieni, jeśli chodzi o Ducha, czasami mogą narzucać innym swoje sny. – Dalej nie przestawała uspokajać Min. Szczególnie tym, którzy są... podatni. Nie sądzę, by Rand robił to celowo, ale sny dotyczących Prawdziwego Źródła bywają potężne. Sny kogoś tak silnego jak on mogą wpłynąć na całą wioskę albo nawet miasto. On niezbyt zdaje sobie sprawę z tego, co robi, a jeszcze mniej wie, jak to kontrolować.

– Więc dlaczego ty nie miałaś takich snów? – dopytywał się. – Albo Lan?

Uno patrzył prosto przed siebie, wyglądał, jakby wolał być wszędzie indziej tylko nie tu, zaś Loialowi zupełnie opadły uszy. Perrin był nazbyt zmęczony i głodny, by troszczyć się o właściwy szacunek, jaki należało okazywać Aes Sedai. I, jak zrozumiał, zbyt wściekły.

– Dlaczego?

Moiraine odpowiedziała spokojnie.

– Aes Sedai uczą się osłaniać swoje sny. Ja robię to zupełnie odruchowo, kiedy śpię. Strażnikom daje się podobną umiejętność, w procesie tworzenia zobowiązań. Gaidin nie byliby w stanie robić tego, co muszą, gdyby Cień mógł wkraść się do ich snów. Podczas snu jesteśmy wszyscy podatni na zranienia, a Cień jest szczególnie silny w nocy.

– Zawsze dowiaduję się od ciebie czegoś nowego warknął Perrin. – Czy nie mogłabyś nam raz a dobrze powiedzieć, czego możemy oczekiwać, zamiast wyjaśniać wszystko po tym, jak się już zdarzy?

Uno wyglądał tak, jakby ze wszystkich sił myślał nad jakimś rozsądnym pretekstem do opuszczenia chaty.

Moiraine rzuciła Perrinowi spojrzenie absolutnie pozbawione wyrazu.

– Chcesz, żebym w ciągu jednego popołudnia podzieliła się z tobą wiedzą nabywaną przez całe życie? Albo w ciągu jednego roku? Strzeż się snów, Perrinie Aybara. Strzeż się snów.

Uciekł spojrzeniem w bok.

– Strzegę się – wymamrotał. – Strzegę się.

Potem zapadła cisza, której nikt jakoś nie miał ochoty przerywać. Min siedziała, wpatrując się w skrzyżowane kostki, najwyraźniej jednak obecność Moiraine przynosiła jej jakąś ulgę: Uno stał oparty o ścianę, nie patrzył na nikogo. Loial zapomniał się na tyle, że wyciągnął książkę z kieszeni swego kaftana i usiłował czytać ją w słabym świetle. Oczekiwanie przedłużało się i dla Perrina było to zdecydowanie nieprzyjemne.

"To nie Cienia obawiam się w moich snach. Chodzi o wilki. Nie wpuszczę ich. Nigdy!"

Wrócił Lan, a Moiraine skwapliwie się wyprostowała. Strażnik odpowiedział na widoczne w jej oczach pytanie:

– Połowa z nich przypomina sobie sny o mieczach, które mieli w ciągu ostatnich czterech nocy. Niektórzy pamiętają miejsce z wielkimi kolumnami, a pięciu poinformowało mnie, że miecz był kryształowy albo szklany. Masema mówi, że ostatniej nocy widział Randa trzymającego ten miecz.

– Ten oczywiście musiał widzieć – powiedziała Moiraine. Szybkim ruchem zatarła dłonie,

nagle wydała się pełna energii. – Teraz mam wreszcie pewność. Choć wciąż żałuję, że nie wiem, jak się wydostał niepostrzeżenie. Jeżeli udało mu się powtórnie odkryć jakiś talent z Wieku Legend...

Lan spojrział na Uno, a ten skonsternowany wzruszył ramionami.

– Przeklęty, zapomniałem, przy tym całym cholernym gadaniu o prze... – Odkaszlnął, rzucił okiem na Moiraine. Odpowiedziała mu wyczekującym spojrzeniem, więc ciągnął dalej: – To znaczy... ehe... to jest, szedłem po śladach Lorda Smoka. Teraz jest jeszcze inne wejście do tej zamkniętej doliny. To... trzęsienie ziemi zważyło jej przeciwny stok. Trudno się wspiąć na niego, ale ostatecznie można wprowadzić tam nawet konia. Na górze znalazłem dalsze ślady i łatwą drogę schodzącą z gór.

Kiedy skończył, wypuścił wstrzymywany od dawna oddech.

– Dobrze – skomentowała Moiraine. – Przynajmniej nie nauczył się fruwać, albo robić niewidzialnym, czy jeszcze czegoś, co można znaleźć tylko w legendach. Bezwzględnie musimy jechać za nim. Uno, dam ci tyle złota, by wystarczyło dla ciebie i twoich ludzi aż do Jehannah, oraz imię kogoś, kto zadba, byś dostał jeszcze więcej. Ghealdanie wystrzegają się obcych, ale jeśli nie będziecie nikomu wchodzić w drogę, nie powinni was niepokoić. Zaczekacie tam na wiadomość ode mnie.

– Ale my chcemy jechać z wami – protestował. Wszyscy złożyliśmy przysięgę wierności Smokowi Odrodzonemu. Nie wiem, w jaki sposób nasza garstka mogłaby zdobyć fortecę, która nigdy nie padła, ale z pomocą Lorda Smoka zrobimy wszystko, co ma być zrobione.

– Tak więc teraz jesteśmy "Ludem Smoka". – Perrin zaśmiał się niewesoło. – Kamień Łzy nie padnie, dopóki nie nadejdzie "Lud Smoka". Nadałaś nam już nowe imię; Moiraine?

– Uważaj na swój język, kowalu – warknął Lan, w jego twarzy był tylko lód i kamień.

Gdy Moiraine obrzuciła obu ostrymi spojrzeniami, zamilkli.

– Przepraszam, Uno – powiedziała – ale musimy podróżować szybko, jeżeli chcemy go dogonić. Jesteś teraz jedynym Shienaraninem zdolnym do ostrej jazdy, nie możemy pozwolić sobie na stratę tych dni, gdy pozostali będą odzyskiwać siły. Wyślę ci wiadomość, gdy tylko będę mogła.

Uno skrzywił się, ale skłoniwszy głowę, zaakceptował jej rozkaz. Kiedy pozwoliła mu odejść, zgarbił ramiona i poszedł poinformować pozostałych.

– Cóż, ja jadę, niezależnie od tego, co powiesz – oznajmiła twardo Min.

– Tak, jedziesz, ale do Tar Valon – poinformowała ją Moiraine.

– Tego nie zrobię!

Aes Sedai ciągnęła nie zrażona dalej, jakby tamta nic nie powiedziała:

– Ktoś musi powiedzieć Zasiadającej na Tronie Amyrlin, co się tu wydarzyło, a nie mogę liczyć, że znajdę kogoś godnego zaufania, kto równocześnie posiadałby gołębie pocztowe. Albo że Amyrlin przeczyta w ogóle wiadomość, którą prześlę przy pomocy gołębia. To jest długa podróż i trudna. Nie wysyłałabym cię samej, gdybym miała kogo wysłać z tobą, ale dopatrzę, byś otrzymała pieniądze i listy, które mogą przydać ci się w drodze. Musisz jednak jechać szybko. Kiedy koń się zmęczy, kup następnego albo ukradnij, jeżeli będziesz musiała, ale jedź szybko.

– Niech Uno zawiezie twoją wiadomość. Jest nietknięty, sama powiedziałaś. Ja jadę za Randem.

– Uno ma własne obowiązki, Min. I czy wyobrażasz sobie, że mężczyzna mógłby zwyczajnie przejść przez bramy Tar Valon i domagać się audiencji u Zasiadającej na Tronie Amyrlin? Nawet król musiałby czekać dniami, gdyby przybył nie zapowiedziany i obawiam się, że każdy Shienaranin musiałby zdzierać obcasy tygodniami, o ile nie bez końca. Nie trzeba chyba nawet nadmieniać, że coś tak niezwykłego nie uszłoby uwagi nikogo w Tar Valon, wszyscy wiedzieliby o całej sprawie jeszcze

przed zachodem słońca. Niewiele kobiet stara się o przyjęcie przez samą Amyrlin, ale czasami się to zdarza i nie wywołuje żadnych szczególnych komentarzy. Nikt nie może się dowiedzieć nawet tyle, że Amyrlin otrzymała wiadomość ode mnie. Jej życie, i nasze życie również, może od tego zależeć. Ty jesteś jedyną, która może jechać.

Min siedziała, otwierając i zamykając usta, najwidoczniej starała się znaleźć jakiś inny argument, ale Moiraine kontynuowała, nie zwracając na nią więcej uwagi.

– Lan, naprawdę obawiam się, że znajdziemy dużo więcej dowodów na jego przejście, niżli bym chciała, ale polegam na twoich zdolnościach tropiciela.

Strażnik pokiwał głową.

– Perrin? Loial? Czy pojedziecie ze mną za Randem?

Ze swego miejsca pod ścianą Min wydała skrzek pełen oburzenia, ale Aes Sedai zignorowała go.

– Ja pojedę – powiedział szybko Loial. – Rand jest moim przyjacielem. I przyznam się, nie chciałbym nic stracić. Do mojej książki, rozumiecie.

Perrin dłużej ociągał się z odpowiedzią. Rand był również jego przyjacielem, niezależnie od tego, co stało się z nim po drodze. Poza tym był nieomal pewien, iż ich losy są związane, choć tego najchętniej by uniknął, gdyby, rzecz jasna, mógł.

– To już zostało postanowione, nieprawdaż? – rzekł na koniec. – Jadę.

– Dobrze. – Moiraine ponownie zatarła dłonie, roztaczała wokół siebie atmosferę zapału, właściwą komuś, kto właśnie zabiera się do pracy. – Musicie natychmiast być gotowi do drogi. Rand wyprzedza nas o całe godziny. Przed południem mam zamiar być już dość daleko na jego szlaku.

Szczupła była i niepokazna, jednak moc jej osobowości była tak wielka, że wszyscy, z wyjątkiem Lana, natychmiast ruszyli do drzwi. Loial szedł zgięty w pół, zanim nie znalazł się na dworze. Patrząc na nią, Perrin pomyślał o dobrej gospodyni zaganiającej swe gęsi.

Kiedy już wyszli na zewnątrz, Min została trochę z tyłu i zwróciła się do Lana z nazbyt słodkim uśmiechem:

– A może ty chciałbyś przekazać jakąś wiadomość? Może do Nynaeve?

Strażnik zamrugał, jakby zaskoczono go zniecacka, niczym konia wspartego tylko na trzech nogach,

– Czy wszyscy muszą wiedzieć...? – Jednak niemal natychmiast odzyskał równowagę. – Jeżeli jest coś, co ona chce ode mnie usłyszeć, powiem jej to sam.

Zamknął drzwi niemalże przed samym jej nosem.

– Mężczyźni! – wymruczała Min do drzwi. – Zbyt ślepi, by widzieć to, co nawet kamień by zobaczył i zbyt uparci, aby można było im zaufać, że będą za siebie myśleć.

Perrin wciągnął głęboko powietrze. Paskudny zapach śmierci wciąż wisiał w powietrzu, ale było tu przyjemniej niżli w zamknięciu. Trochę lepiej.

– Czyste powietrze – westchnął Loial. – Dym trochę mi zaczynał już przeszkadzać.

Razem zaczęli schodzić ze zbocza. Poniżej, Shienaranie gromadzili się wokół Uno przy strumieniu. Wnioskując z gestów, jednooki nadrabiał zaległości w przeklinaniu, jakie nagromadziły mu się w ostatnim czasie.

– W jaki sposób wy dwaj zostaliście nagle uprzywilejowani? – wyrwało się zniecacka Min. – Was zapytała. Wobec mnie nie była na tyle grzeczna, by zapytać.

Loial potrząsnął głową.

– Myślę, że nas zapytała, ponieważ wiedziała, że się zgodzimy, Min. Moiraine zdaje się łatwo odczytywać nasze myśli, wie, co zrobimy. Ty natomiast jesteś dla niej zamkniętą księgą.

Min wyglądała jednak na połowicznie tylko ułagodzoną. Spojrzała na nich, unosząc oczy w górę. Perrinowi sięgała zaledwie do ramienia, a Loial był wszak jeszcze wyższy.

– Dużo z tego mam. I tak jadę tam, gdzie ona chce, podobnie jak wy, moje małe jagniątko. Przez chwilę zachowywałeś się właściwie, Perrin. Zupełnie jakby sprzedała ci kaftan, w którym prują się szwy.

– Przeciwstawiłem się jej, tak? – powiedział z zastanowieniem Perrin. Dotąd nie zdawał sobie dokładnie sprawy, co właściwie zrobił. – Nie było tak strasznie, jak sądziłem, że może być.

– Miałeś szczęście – zagrzmiał Loial. – "Rozgniewać Aes Sedai, to jak włożyć głowę w gniazdo szerszeni".

– Loial – zwróciła się do niego Min. – Muszę porozmawiać z Perrinem. Sama. Nie będziesz miał nic przeciwko temu?

– Och, oczywiście, że nie.

Wydłużył swój krok, dla niego zresztą oznaczało to, że wreszcie szedł normalnie, i szybko wysforował się naprzód, wyjmując fajkę i kapciuch z kieszeni kaftana.

Perrin obserwował ją uważnie. Gryzła dolną wargę, jakby zastanawiając się, co powiedzieć.

– Czy przy nim też widzisz różne rzeczy? – zapytał wreszcie, ruchem głowy wskazując Ogira.

Potrząsnęła głową.

– To się chyba zdarza tylko w przypadku ludzi. Ale zobaczyłam przy tobie rzeczy, o których powinieneś wiedzieć.

– Powiedziałem ci...

– Nie bądź bardziej dumny, niż musisz, Perrin. Zobaczyłam je dokładnie w chwilę po tym, jak powiedziałeś, że pojedziesz. Nie było ich przedtem. Muszą więc mieć coś wspólnego z podróżą. Albo przynajmniej z twoim postanowieniem, by jechać.

Po jakiejś chwili powiedział niechętnie:

– Co zobaczyłaś?

– Aiela w klatce – odpowiedziała niezwłocznie. – Tuatha'ana z mieczem. Sokoła i jastrzębia, siedzące ci na ramionach. Samice, jak mi się wydaje. No i resztę. To, co zawsze jest wokół ciebie. Wirująca dookoła ciemność i...

– Tego nie mów! – powiedział szybko. Kiedy upewnił się, że przestała, podrapał się po głowie i zaczął myśleć. Nic z tego nie miało najmniejszego sensu. – Czy masz jakieś pojęcie, co to wszystko znaczy? Mam na myśli te nowe rzeczy.

– Nie, lecz wiem że są ważne. Rzeczy, które widzę, zawsze są. Punkty zwrotne ludzkich żywotów, przeznaczenie. Zawsze jest to ważne.

Zawahała się przez chwilę, spoglądając na niego.

– Jeszcze jedno – powiedziała powoli. – Jeżeli spotkasz kobietę, najpiękniejszą kobietę, jaką w życiu widziałeś... uciekaj!

Perrin zamrugał.

– Widziałaś piękną kobietę? Dlaczego miałbym uciekać od pięknej kobiety?

– Nie możesz po prostu wysłuchać rady? – zirytowała się.

Kopnęła kamień i patrzyła, jak stacza się po zboczu.

Perrin nie zaczął od razu wyciągać wniosków – to był jeden z powodów, dla których ludzie uważali, iż wolno myśli – ale spróbował ująć całościowo wiele rzeczy, które Min widziała w ciągu ostatnich dni i doszedł do zaskakujących konkluzji. Zatrzymał się jak wryty, szukając rozpaczliwie słów.

– Hmm... Min, wiesz, że cię lubię. Lubię cię, ale... Hmm... Nigdy nie miałem siostry, ale

gdybym miał... To znaczy, ty...

Potok kalekiej wymowy zamarł mu na ustach, gdy podniosła głowę, by na niego spojrzeć. Brwi miała uniesione. Lekko się uśmiechała.

– Cóż, Perrin, musisz wiedzieć, że cię kocham. Stała nieruchomo, patrząc, jak rusza ustami, potem przemówiła wolno i ostrożnie. – Jak brata, ty wielki wełnianogłowy baranie! Pycha mężczyzn nigdy nie przestanie mnie bawić. Co do jednego uważacie, że wszystko musi się kręcić dookoła was, a każda kobieta musi was pragnąć.

Perrin poczuł, jak twarz zaczyna go palić.

– Nigdy... Nie...

Odkaslnął.

– Co widziałaś w związku z kobietą?

– Po prostu, weź sobie do serca moją radę – powiedziała i szybkim krokiem ruszyła w kierunku strumienia.

– Nawet jeśli miałbyś zapomnieć o wszystkim innym – zawołała przez ramię – zważaj na to!

Zmarszczył brwi, patrząc w ślad za nią, przynajmniej raz jego myśli układały się szybko, potem dogonił ją dwoma długimi krokami.

– To Rand, nieprawdaż?

Zdławiła w gardle jakiś dźwięk i obdarzyła spojrzeniem z ukosa. Nie zwolniła jednak ani trochę.

– Być może nie jesteś jednak mimo wszystko takim tępakiem – wymruczała. Po chwili dodała, zwracając się raczej jakby do siebie: – Jestem przywiązana do niego, jak klepka przywiązana jest do beczki. Ale nie wydaje mi się, aby on kochał mnie również. Nie jestem jedyna.

– Czy Egwene wie? – zapytał.

Rand i Egwene byli sobie przeznaczeni nieomal od dzieciństwa. Brakowało im właściwie tylko dopełnienia ceremonii klęknienia przed Kołem Kobiet wioski, aby ogłosić zaręczyny. Nie był jednak pewien, jak daleko teraz odeszli od tego.

– Wie – powiedziała zalotnie Min. – Dużo dobrego nam obojgu z tego przyjdzie.

– A co z Randem? Czy on wie?

– Och, oczywiście – przyznała gorzko. – Powiedziałam mu, czyż nie? "Rand, spojrzałam na ciebie i wygląda na to, że się w tobie zakochałam. Będę musiała się tobą podzielić i nie podoba mi się to zbyt, ale tak to już jest". Jesteś mimo wszystko wełnianogłowym cudakiem, Perrinie Aybara. – Gniewnie uniosła dłoń do oczu. Gdybym mogła być z nim, wiem że mogłabym mu pomóc. Jakoś. Światłości, jeżeli on umrze, nie wiem, czy to wytrzymam.

Perrin, czując się nieswojo, wzruszył ramionami.

– Posłuchaj, Min. Zrobię, co mogę, aby mu pomóc. "Jakkolwiek wiele tego by było". – Obiecuję ci to. Naprawdę będzie dla ciebie najlepiej, jeśli pojedziesz do Tar Valon. Tam będziesz bezpieczna.

– Bezpieczna? – Smakowała to słowo, jakby się zastanawiała, co oznacza. – Myślisz, że w Tar Valon jest bezpiecznie?

– Jeżeli nie ma bezpieczeństwa w Tar Valon, to nie ma go nigdzie.

Parsknęła głośno i w całkowitym milczeniu zeszli na dół, aby włączyć się w przygotowania do odjazdu.

ROZDZIAŁ 7

DROGA Z GÓR

Droga z gór była ciężka, ale im niżej się znajdowali, tym mniej Perrin potrzebował podbitego futrem płaszcza. Z każdą godziną zostawiali za sobą resztki zimy i zbliżali się do wiosny. Ostatnie pozostałości śniegu zniknęły, a trawa oraz dzikie kwiaty – biała nadzieja dziewicy i różowy podskoczek – coraz bujniej porastały wysokie łąki, po których przejeżdżali. Drzewa rosły teraz gęściej, miały więcej liści na gałęziach, a skowronki i drozdy śpiewały w ich koronach. I były wilki. Nigdzie w zasięgu oka – nawet Lan nie wspominał, by jakiegoś zobaczył – ale Perrin wiedział. Trzymał swój umysł ściśle przed nimi zamknięty, ale nieprzerwanie lekkie jak piórko łaskotanie w tyle czaszki upewniało go, że są w pobliżu.

Lan na swym czarnym bojowym rumaku, Mandarbie, większość swego czasu spędzał na tropieniu śladów Randa, oni zaś jechali po znakach, jakie dla nich zostawiał. Strzała z kamieni ułożona na ziemi albo ledwie zaznaczona na kamiennej ścianie rozwidlającej się przełęczy. Skręć w tę stronę. Pokonaj to siodło. Tą serpentyną, po tym śladzie jelenia, tędy przez drzewa i potem w dół wzdłuż wąskiego strumienia, nawet jeśli nic nie wskazywało, że ktoś przejeżdżał tu wcześniej. Nic prócz znaków zostawionych przez Lana. Wiązka traw czy roślin odgięta w jedną stronę, aby zaznaczyć skręt w lewo, inna dla wskazania skrętu w prawo. Złamana gałązka. Stos kamyków ostrzegający przed trudną wspinaczką, dwa liście zaczepione na cierniu, aby uchronić ich przed upadkiem ze stromego stoku. Perrinowi wydawało się, że strażnik dysponował setkami znaków, a Moiraine знаła je wszystkie. Lan rzadko wracał, wyjąwszy chwilę, gdy rozbijali obóz, wtedy pojawiał się, aby cicho radzić z Moiraine, siadywali wtedy z dala od ogniska. Kiedy wstawało słońce, zazwyczaj był już o kilka godzin jazdy w przodzie.

Moiraine zawsze była pierwsza w siodle, gotowa jechać za nim, gdy niebo na wschodzie dopiero różowiło. Nie zsiadała ze swej siwej klaczy przed zapadnięciem całkowitych ciemności, lub nawet później, wyjąwszy chwilę, gdy Lan odmawiał dalszego tropienia z powodu braku światła.

– Gdy któryś z koni złamie nogę, będziemy poruszać się jeszcze wolniej – tłumaczył Moiraine, gdy ta się skarżyła.

Jej odpowiedź była zawsze taka sama:

– Jeżeli nie potrafisz poruszać się szybciej niż dotąd, być może powinnam odesłać cię do Myrelle, zanim bardziej się jeszcze zestarzejesz. Cóż, to zapewne może poczekać, ale musisz prowadzić nas szybciej.

Jej głos brzmiał tak, jakby w połowie była to wypowiedana w zdenerwowaniu prawda, na poły zaś jakby był to żart. Jej słowa niosły zagrożenie, może ostrzeżenie, tego Perrin był pewien patrząc, jak usta Lana zaciskały się nawet wówczas, gdy uśmiechała się i klepała go lekko, uspokajająco w ramię.

– Kto to jest Myrelle? – zapytał podejrzliwie Perrin, gdy zdarzyło się to pierwszy raz.

Loial potrząsnął głową, mrużąc coś o nieprzyjemnych rzeczach, jakie zdarzają się tym, którzy wtykają swój nos w sprawy Aes Sedai. Koń Ogira o porośniętych długą sierścią pęcinach był równie duży jak Dhurran, ale nogi Loiala zwisające po obu jego bokach powodowały, że zwierzę wyglądało na niewielkie, ot, duży kucyk.

Na twarzy Moiraine pojawił się tajemniczy uśmiech pełen rozbawienia.

– Po prostu pewna Zielona siostra. Ktoś, komu Lan będzie musiał pewnego dnia dostarczyć paczkę na przechowanie.

– Nie tak szybko – powiedział Lan i ku zaskoczeniu Perrina w jego głosie zabrzmiał nie skrywany gniew. Nigdy, jeśli będę miał w tej sprawie coś do powiedzenia. Przeżyjesz mnie o wiele lat, Moiraine Aes Sedai!

"Ona ma zbyt wiele tajemnic" – pomyślał Perrin, ale już nigdy więcej nie poruszał tematu, który potrafił skruszyć nawet żelazną samokontrolę strażnika.

Aes Sedai wiozła ze sobą owinięty w koc tobołek przymocowany z tyłu, za siodłem – sztandar Smoka. Perrin czuł się nieswojo, wiedząc że mają go ze sobą, ale Moiraine nigdy nie prosiła o jego radę, ani też nie słuchała, gdy sam się z jakąś narzucał. Nie chodziło o to, że ktoś mógłby rozpoznać go, gdyby zobaczył, miał jednak nadzieję, iż wobec innych ludzi potrafi równie dobrze dochowywać tajemnicy, jak to się działo w jego przypadku.

Początkowo byka to nudna podróż. Jedna góra ze skrytym w chmurach wierzchołkiem była podobna do drugiej, jedna przełęcz niczym się prawie nie różniła od kolejnej. Na kolację był zazwyczaj królik trafiony kamieniem z procy Perrina. Nie miał dostatecznie dużo strzał, by ryzykować strzelanie nimi do królików w tej skalistej krainie. Na śniadanie zaś najczęściej zimny królik, a na południowy posiłek to samo, z tym że spożywali go w siodle.

Czasami rozbijali obóz w pobliżu strumienia i, jeśli było jeszcze dostatecznie jasno, by coś zobaczyć, razem z Loialem łapali górskie pstrągi. Leżąc na brzuchach, z rękoma zanurzonymi w zimnej wodzie, wyciągali zielonogrzbiete ryby spod kamieni, pod którymi się ukrywały. Palce Loiala, mimo iż tak grube, okazywały się przy tej pracy zręczniejsze nawet od Perrinowych.

Raz, trzeciego dnia podróży, Moiraine przyłączyła się do nich i pytając, jak się to robi, odpięła perłowe guziki i podwinęła rękawy. Perrin wymienił z Loialem pełne zaskoczenia spojrzenia. Ogir wzruszył ramionami.

– To naprawdę nie jest specjalnie męczące. – Perrin zwrócił się do Aes Sedai. – Trzeba po prostu, zachodząc ją z tyłu, włożyć dłoń pod rybę, tak jakby chciało się połaskotać ją w brzuch. Potem wyciągasz. Trzeba do tego jednak trochę praktyki. Początkowo możesz niczego nie złapać.

– Próbowałem przez wiele dni, zanim coś złapałem dodał Loial.

Wkładał właśnie swe wielkie dłonie do wody, uważając, by jego cień nie spłoszył ryby.

– To aż tak trudne? – wymruczała Moiraine.

Jej dłonie wślizgnęły się do wody... i po chwili wynurzyły z pluskiem, trzymając tłustego pstrąga, który bił płetwami wodę. Zaśmiała się radośnie, rzucając go na brzeg.

Perrin zamrugał na widok wielkiej ryby trzepoczącej się w zapadającym słońcu. Musiała ważyć przynajmniej pięć funtów.

– Miałaś dużo szczęścia – powiedział. – Pstrągi tych rozmiarów zazwyczaj nie zalegają pod tak małymi kamieniami. Powinniśmy iść trochę w górę strumienia. Zrobi się ciemno, zanim któryś znowu pojawi się pod tym kamieniem.

– Czyżby? – zapytała Moiraine. – Wy idźcie wyżej. Sądzę, że ponownie spróbuję tutaj.

Perrin wahał się przez chwilę, zanim poszedł wzdłuż brzegu do następnego nawisu. Coś zamierzała, nie umiał sobie jednak wyobrazić, co to by miało być. To go martwiło. Położył się na brzuchu i uważając, by jego cień nie padł na wodę, spojrzał nad krawędzią. Pół tuzina cienkich kształtów wisiało zawieszonych w wodzie, lekko poruszając płetwami, aby utrzymać się w miejscu. Nawet wszystkie razem nie ważyły tyle, co ryba Moiraine, ocenił z westchnieniem. Jeśli będą mieli szczęście, mogą razem z Loialem złapać dwie, ale cień drzew na przeciwległym brzegu kładł się już na wodę. Cokolwiek teraz złapią, to będzie wszystko, a apetyt Loiala był wystarczająco duży, by pochłonąć cztery takie jak te i ponadto sporą część dużej ryby. Dłonie Ogira znajdowały się już w wodzie, tuż za jednym z pstrągów.

Zanim Perrin zdążył w ogóle włożyć dłonie do wody, usłyszał krzyk Moiraine.

– Trzy wystarczą, jak sądzę. Ostatnie dwie są nawet większe od pierwszej.

Perrin rzucił Loialowi zaskoczone spojrzenie.

– Nie może być!

Ogir wyprostował się, a ryby pod nim w wodzie czmychnęły.

– Ona jest Aes Sedai – powiedział po prostu.

Kiedy wrócili do Moiraine, bez najmniejszej wątpliwości musieli się przekonać, że na brzegu leżą trzy wielkie pstrągi. Ona właśnie zapinała na powrót swe rękawy.

Perrin pomyślał, by jej przypomnieć, że ten, który złapie rybę powinien ją również oprawić, ale w tej samej chwili ona pochwyciła jego wzrok. Na gładkiej twarzy nie był w stanie dostrzec żadnych emocji, jednak jej ciemne oczy wpatrywały się w niego znacząco, jakby wiedziała, co zamierza powiedzieć i przygotowana była na odrzucenie tego od razu. Kiedy odwróciła się, było już zbyt późno na jakiegokolwiek słowa.

Mrucząc pod nosem, Perrin wyciągnął nóż z pochwy przy pasie i zasiadł do skrobania i patroszenia.

– Wygląda na to, że nagle jakoś zapomniała o dzieleniu obowiązków. Sądzę, że chce, abyśmy również upiekli je, a potem pozmywali.

– Bez wątpienia – powiedział Loial, podnosząc oczy znad ryby, którą się zajmował. – Ona jest Aes Sedai.

– Zdaje mi się, że gdzieś już to słyszałem. – Perrin tak ostro pracował nożem, że łuski aż śmigaly. – Shienaranom mogło się podobać bieganie wokół niej, przynoszenie i podawanie, ale teraz zostało nas tylko czworo. Powinniśmy ustalić dyżury i potem się ich trzymać. Tylko tak byłoby uczciwie.

Loial odpowiedział jednym wielkim parsknięciem śmiechu.

– Wątpię, czy ona widzi to w ten sposób. Najpierw musiała znosić Randa, kłócącego się z nią przez cały czas, a teraz ty gotowy jesteś zająć jego miejsce. Aes Sedai z reguły nie pozwalają nikomu kłócić się z nimi. Spodziewam się, że ona pragnie wyrobić w nas nawyk posłuszeństwa, zanim dotrzemy do pierwszej wioski.

– A to jest dobry zwyczaj – powiedział Lan, odrzucając na plecy swój płaszcz. W gasnącym świetle wyglądało to tak, jakby pojawił się znikąd.

Perrin niemalże przewrócił się zaskoczony, a uszy Loiala aż się wyprężyły z przestachu. Żaden z nich nie słyszał kroków strażnika.

– Zwyczaj, którego nigdy nie powinniście się wyzbywać – dodał Lan, potem poszedł w kierunku Moiraine i koni.

Jego buty niemalże nie wydawały żadnego dźwięku, nawet na skalistym podłożu, a kiedy oddalił się o kilka kroków, zwisający z ramion płaszcz nadał mu doprawdy nieprzyjemny wygląd – pozbawione ciała głowa i ramiona, dryfujące w powietrzu.

– Potrzebujemy jej, by odnaleźć Randa – powiedział cicho Perrin – ale nie zamierzam dłużej pozwalać jej na kształtowanie mojego życia.

Powrócił z zapałem do skrobania.

Miał zamiar dotrzymać tej obietnicy – naprawdę ale podczas kolejnych dni, w pewien sposób, którego dokładnie nie rozumiał, stało się tak, że on i Loial piekli mięso, zmywali naczynia i wykonywali wszystkie pozostałe drobne posługi, które przysły Moiraine do głowy. Okazało się nawet, że ni stąd, ni zowąd wziął na siebie obowiązek dbania o Aldieb. Każdego wieczoru zdejmował z niej siodło i wycierał ją, podczas gdy Moiraine siadała z boku, najwyraźniej głęboko

pogrążona w myślach.

Loial przyjmował to wszystko jak rzecz nieuniknioną, Perrin jednak był innego zdania. Próbował odmawiać, opierać się, ale było to niełatwe, gdy ona prosiła go o coś, co było najzupełniej usprawiedliwione, a przy tym doprawdy cała rzecz była mało znacząca. Tylko że za tą propozycją szła następna, równie drobna i uzasadniona jak poprzednia, a potem kolejna. Zwykła siła jej osobowości, potęga spojrzenia sprawiały, iż protest był trudny. Spojrzenie ciemnych oczu wbijało się w jego twarz w momencie, w którym otwierał już usta. Uniesienie brwi sugerujące, że jest niegrzeczny, zaskoczenie widoczne w szeroko rozwartych oczach, że może protestować przeciw tak drobnemu wymaganiu, karcące spojrzenie, które zawierało w sobie wszystko, czym były Aes Sedai, wszystkie rzeczy skłaniające go do tego, by się zawahał, a kiedy wahał się, nie było już potem nigdy sposobu na odzyskanie utraconego terenu. Oskarżał ją o używanie przeciwko niemu Jedynej Mocy, chociaż nie sądził, aby tak rzeczywiście było, a ona powiedziała mu, by nie zachowywał się jak głupiec. Zaczynał powoli czuć się jak żelazna sztaba, która usiłuje nie pozwolić kowalowi przekuć się w ostrze kosy.

Góry Mgły ustąpiły nagle miejsca zalesionym wzgórzom Ghealdan, krainie, która wyglądała na złożoną wyłącznie ze wznoszących się i opadających pochyłości, choć niezbyt wysokich. Jelenie, które w górach zawsze patrzyły na nich z daleko posuniętą ostrożnością, jakby nie wiedząc, czym jest człowiek, już na widok koni zaczęły otwarcie przed nimi uciekać, aż migały tylko białe ogonki. Nawet Perrin był w stanie dostrzec teraz tylko niewyraźne mignięcia szaro-pręgowanych górskich kotów, które zdawały się rozwiewać jak dym. Wjeżdżali na ziemię zamieszkaną przez ludzi.

Lan przestał nosić swój zmiennokolorowy płaszcz i częściej niż dotąd wracał do nich, by powiedzieć, co znajduje się z przodu. W wielu miejscach widzieli ścięte drzewa. A wkrótce pola otoczone surowymi murkami z kamienia, chłopci orający zbocza, a za nimi szeregi ludzi idących przez zaoraną ziemię i rozsiewających ziarno z płacht przewiązanych przez pierś, stały się zwykłym widokiem, jeśli nawet niezbyt częstym. Pojedyncze farmy oraz stodoły z szarego kamienia stały na szczytach i grzbietach wzgórz.

Tutaj nie powinno być wilków. Wilki unikały miejsc zamieszkanych przez ludzi, ale Perrin wciąż mógł je wyczuć, niewidzialna kurtyna i eskorta otaczająca konny oddział. Wypełniała go niecierpliwość, niecierpliwość, aby wreszcie dostać się do wioski czy miasta, jakiegokolwiek miejsca, gdzie będzie dostatecznie dużo ludzi, by wilki trzymały się z daleka.

Dzień po tym, jak zobaczyli pierwsze pole, dokładnie w chwili, gdy słońce dotknęło horyzontu za ich plecami, przybyli do wioski Jarra, położonej niezbyt daleko od granicy z Amadicią.

ROZDZIAŁ 8

JARRA

Szare, kamienne domy o dachach z łupku skupiały się wokół kilku wąskich uliczek Jarry, przycupniętej pod zboczem wzgórza nad niewielkim strumieniem, przez który przerzucono niski, drewniany most. Błotniste ulice były puste, podobnie jak pochyła wiejska łąka, wyjątek stanowił człowiek zamiatający schody jedynej w wiosce gospody, ukrytej za kamiennym budynkiem stajni. Wyglądało jednak, jakby na łące jeszcze nie tak dawno przebywało mnóstwo ludzi. Kilka łuków uplecionych z zielonych gałęzi i naszpikowanych tymi niewieloma kwiatami, jakie można było napotkać o tak wczesnej porze roku, stało w kręgu pośrodku łąki. Jej teren ponadto wyglądał na stratowany, dostrzec można było inne jeszcze ślady ludzkiej bytności – zwinięty szal jakiejś kobiety, porzucony przy podstawie jednego z łuków, zrobioną na drutach dziecięcą czapeczkę, przewrócony cynowy dzban, na poły skonsumowane resztki jedzenia.

Nad łąką unosiły się aromaty słodkiego wina i korzennych ciast, pomieszane z wonią dymu z kilkunastu kominów, które rozsiewały zapachy towarzyszące gotowaniu wieczornego posiłku. Przez moment nozdrza Perrina pochwyciły inny jeszcze zapach, nie potrafił go jednak rozpoznać, wstrętny ślad w powietrzu, który spowodował, że włosy zjeżyły mu się na karku, gdy wyczuł jego ohydę. Potem zniknął. Pewien jednak był, że coś tędy przeszło, coś... złego. Potarł nos, jakby chciał wygnać zeń nawet wspomnienie tego zapachu.

"To nie może być Rand, Światłości, nawet jeżeli oszalał, to nie może być on. Czyż nie?"

Wymalowany szyld wisiał nad drzwiami gospody, człowiek na jednej nodze z rękoma wyrzuconymi w powietrze: "Skok Harlina". Kiedy zatrzymali się przed kwadratowym kamiennym budynkiem, zamiatacz wyprostował się i rozdzierająco ziewnął. Wzdrygnął się, gdy napotkał żółte spojrzenie Perrina, ale swoje oczy, nieco wylupiaste, dopiero wtedy wybałuszył naprawdę, gdy zobaczył Loiala. Z szeroko rozdziawionymi ustami, niemalże od ucha do ucha i całkowitym prawie brakiem podbródka, wyglądał jak żaba. Otaczał go zastarzały zapach kwaśnego wina, przynajmniej Perrin go czuł.

Człowiek potrząsnął głową, zmienił to jakoś w ukłon, jedną dłoń przyciskając do podwójnego szeregu drewnianych guzików, które naszyte były na jego kaftanie. Jego oczy przesłaskiwały od jednego z nich do drugiego, wychodząc z orbit nieomal za każdym, razem gdy spojrzenie spoczywało na Loialu.

– Witam, dobra pani i niech Światłość oświeca twoją drogę. Witam szlachetnych panów. Pragniecie może jadła, pokoi, kąpieli? Wszystko znajdziecie tutaj, w "Skoku". Pan Harod, karczmarz prowadzi bardzo dobry lokal. Na mnie wołają Simion. Jeżeli czegoś będziecie potrzebowali, zapytajcie o Simiona, a on wam pomoże. – Ziewnął ponownie, zakrywając w zmieszaniu usta i kłaniając się, by to ukryć. – Niezmiernie przepraszam, dobra pani. Czy przybywacie z daleka? Wiecie może coś o Wielkim Polowaniu? Polowaniu na Róg Valere? Albo o fałszywym Smoku? Powiadają, że w Tarabon jest fałszywy Smok. A może w Arad Doman.

– Nie przyjeżdżamy z tak daleka – powiedział Lan, zeskakując z siodła. – Bez wątpienia ty wiesz więcej niż ja.

Pozostali również zaczęli zsiadać z koni.

– Mieliście ślub w wiosce? – zapytała Moiraine.

– Ślub, dobra pani? Cóż, mieliśmy jedno pasmo ślubów. Plagę ślubów. I wszystko w ciągu ostatnich dwu dni. Nie było kobiety wystarczająco młodej na to, aby ogłosić swe zaręczyny, żeby nie

wyszła za mąż, w całej wiosce i na milę dookoła. Cóż, nawet wdowa Jorath przeciągnęła starego Banasa pod łukiem, a oboje przysięgali, że nie zwiążą się powtórnie. To było jak trąba powietrzna, która zwyczajnie porwała wszystkich. Rilith, córka tkacza, od niej się to zaczęło, poprosiła Jona, kowala, by się z nią ożenił; a on jest tak stary, że mógłby być jej ojcem, a nawet dziadkiem. Ten stary głupiec po prostu zdjął swój fartuch i powiedział "tak", ona zaś domagała się, aby łuki ustawiono natychmiast. Nie słyszała chyba o stosownym oczekiwaniu, a pozostałe kobiety wzięły jej stronę. Od tego czasu mieliśmy śluby dniem i nocą. Cóż, nikt i tak prawie wcale nie spał.

– To bardzo ciekawe – powiedział Perrin, gdy Simion przerwał, by ponownie ziewnąć – ale czy widziałeś może młodego...

– To naprawdę bardzo ciekawe – wtrąciła Moiraine, przerywając mu – i zapewne później będziesz mi mógł więcej o tym opowiedzieć. Teraz chciałabym zamówić pokoje i posiłek.

Lan wykonał nieznaczny gest w stronę Perrina, przesunął dłonią w dół, jakby mówiąc mu, by uważał na to, co mówi.

– Oczywiście, dobra pani. Posiłek. Pokoje. – Simion zawahał się, spojrzawszy na Loiala. – Będziemy musieli zsunąć dwa łóżka razem dla... – Pochylił się bliżej do Moiraine i zniżył głos. – Przepraszam, dobra pani, ale... hmm... czym właściwie... jest on? Proszę się nie obrażać – dodał śpiesznie.

Nie mówił jednak dostatecznie cicho, bowiem Loial zastrzygł uszami, co znamionowało irytację.

– Jestem Ogirem! A ty myślałeś, że kim? Trollokiem?

Simion aż cofnął się przed grzmiącym głosem.

– Trollokiem, dobry... hmm... panie? Cóż, jestem dorosłym człowiekiem. Nie wierzę w bajki opowiadane dzieciom. Och, powiedziałaś: Ogirem? Cóż, Ogirowie to baj... To znaczy... to jest... – Zupełnie zdesperowany odwrócił się w kierunku najbliższej stajni i zawołał: – Noci! Patrim! Goście! Chodźcie zająć się końmi!

Po chwili dwóch chłopców z sianem we włosach wybiegło ze stajni, ziewając i trąc oczy. Kiedy odbierali od podróżnych wodze, Simion kłaniając się, zaprosił ich gestem dłoni na schody.

Perrin przewiesił juki i zwinięty koc przez ramię, zabrał również łuk i poszedł za Moiraine oraz Lanem do środka, Simion cały czas kłaniał się i obskakiwał ich dookoła. Loial musiał pochylić się, gdy przechodził przez drzwi, a powała we wnętrzu gospody ledwie na stopę sięgała mu ponad głowę. Burczał coś do siebie o tym, że nie rozumie dlaczego tak nieliczni ludzie pamiętają Ogirów. Jego głos brzmiał jak pomruk dalekiego grzmotu. Nawet Perrin, stojąc tuż przy nim, mógł zrozumieć ledwie co drugie słowo.

Wnętrze gospody pachniało winem, serem i zmęczeniem, aromat pieczonego barana dolatywał gdzieś z tylnej części budynku. Tylko kilku mężczyzn siedziało we wspólnej sali, pochylali się nad kufkami, jakby naprawdę mieli ochotę ułożyć się zaraz na ławkach i zasnąć. Pulchna służąca utaczała kufel, ale z jednej z beczek stojących w tyle sali. Sam karczmarz, w długim białym fartuchu, siedział na wysokim stołku w rogu, opierając się o ścianę. Kiedy nowo przybyli weszli do środka, uniósł głowę i popatrzył mętnymi oczyma. Szczeka mu opadła, gdy zobaczył Loiala.

– Goście, panie Harod – zapowiedział Simion. Chcą wynająć pokoje. Panie Harod? To jest Ogir, panie Harod.

Służąca odwróciła się i na widok Loiala kufel wypadł jej z dłoni, roztrzaskując się z łoskotem. Żaden ze zmęczonych ludzi przy stołach nawet nie uniósł głowy. Wręcz przeciwnie, jeden wsparł czoło o blat i zachrapał.

Uszy Loiala poruszyły się gwałtownie.

Pan Harold wstał powoli, z oczyma utkwionymi w Loiala. Przez chwilę całą swą uwagę poświęcał wygładzaniu fałd fartucha.

– Przynajmniej nie jest Białym Płaszczem – powiedział na koniec, potem wzdrygnął się, jakby zaskoczony, że wypowiedział na głos te słowa. – To znaczy, witam, dobra pani. Szlachetni panowie. Proszę wybaczyć mi brak stosownych manier. Tłumaczyć mnie może jedynie zmęczenie, dobra pani.

Rzucił kolejne spojrzenie na Loiala i z ust wyrwało mu się pełne niedowierzania:

– Ogir?

Loial otworzył już usta, ale Moiraine uprzedziła go.

– Tak jak powiedział twój człowiek, dobry karczmarzu, chcę wynająć pokoje na noc dla mojej kompanii i zamówić posiłek.

– Ach! Oczywiście, dobra pani. Oczywiście. Simion, zaprowadź tych dobrych ludzi do moich najlepszych pokoi, aby mogli zostawić tam swoje rzeczy. Kiedy wrócicie na dół, będzie już na was czekał smaczny posiłek. Naprawdę przedni.

– Proszę iść za mną, dobra pani – powiedział Simion. – Dobrzy panowie.

Kłaniał się przez całą drogę do schodów, które znajdowały się przy jednej z bocznych ścian sali.

Jeden z mężczyzn siedzących przy stołach nagle wykrzyknął:

– A cóż to jest, na miłość Światłości?

Pan Harold zaczął wyjaśniać, że Ogir. Brzmiało to tak, jakby Ogirowie byli dla niego najzwyklejszą rzeczą. Z tego, co Perrin słyszał, zanim głosy ścichły za ich plecami, mówił kompletne bzdury. Loial nie przestawał strzyc uszami.

Na drugim piętrze głowa Ogira niemalże szorowała po suficie. Wąski korytarz tonął w zapadających ciemnościach, oświetlony tylko ostrym światłem zachodzącego słońca, wpadającym przez okno przy drzwiach położonych na jego przeciwległym końcu.

– Świece są w pokojach, dobra pani – powiedział Simion. – Powinienem przynieść lampę, ale w głowie wciąż mi się kręci od tych wszystkich ślubów. Przyślę kogoś, by rozpalił ogień, jeżeli będziecie chcieli. I oczywiście będzie potrzebna woda do mycia.

Otworzył jedno z drzwi.

– Nasze najlepsze pokoje, dobra pani. Nie mamy zbyt wielu... zbyt wielu obcych nie przyjeżdża do nas, rozumie pani... ale to jest najlepsze, co mamy.

– Wezmę pokój sąsiadujący z tym – oznajmił Lan.

Na ramieniu niósł koc i juki Moiraine, razem ze swoimi własnymi oraz tobołek kryjący sztandar Smoka.

– Och, dobry panie, to w ogóle nie jest ładny pokój. Wąskie łóżko. Strasznie ciasny. Przeznaczony dla służących, jak myślę, jakby kiedykolwiek przyjechał do nas ktoś, kto miałby ze sobą służącego. Przyjmij moje przeprosiny, dobra pani.

– Mimo to wezmę go – twardo upierał się Lan.

– Simion – powiedziała Moiraine – czy pan Harold nie lubi Synów Światłości?

– Cóż, to prawda, dobra pani. Nie powinien, ale tak właśnie jest. To nie jest dobra polityka, nie lubić Synów, nie tak blisko granicy jak jesteśmy. Przez cały czas przejeżdżają przez Jarrę, jakby w ogóle nie było żadnej granicy. Ale wczoraj były kłopoty. Dotąd żadnych. Ale wczoraj... Cóż, trzech z nich oznajmiło, że nie będą już dłużej Synami Światłości. Zdjęli swoje płaszcze i po prostu odjechali.

Lan chrząknął.

– Białe Płaszcze składają przysięgę wiążącą na całe życie. Co zrobił ich dowódca?

– Cóż, na pewno by coś zrobił, możesz być pewien, dobry panie, ale oto kolejny okazał się, że odchodzi, aby znaleźć Róg Valere. Wkrótce następny powiedział, że powinni ścigać Smoka. Odchodząc, miał zamiar udać się na Równinę Almoth. Potem niektórzy zaczęli zaczepiać kobiety na ulicy i mówić do nich rzeczy, których mówić nie powinni. Kobiety zaczęły krzyczeć, a Synowie krzyczeli na tych, którzy napastowali kobiety. Nigdy w życiu nie widziałem takiego zamieszania.

– Czy żaden z was nie próbował ich powstrzymać? – zapytał Perrin.

– Dobry panie, nosisz topór w taki sposób, że widać, iż wiesz, jak go używać, ale niełatwo jest stawić czoło mężczyznom z mieczami, w zbrojach i tym wszystkim, kiedy wie się tylko, jak używać miotły albo motyki. Reszta Białych Płaszcz, ci którzy nie odeszli, położyli kres całej sprawie. Niemalże doszło do walki. Ale... to jeszcze nie było najgorsze. Dwóch kolejnych po prostu oszalało... jeśli o innych nie można tak powiedzieć. Tych dwu zaczęło bredzić, że Jama pełna jest Sprzymierzeńców Ciemności. Próbowali spalić całą wioskę... powiedzieli, że tak zrobią! A chcieli rozpocząć od "Skoku". Możecie zobaczyć ślady ognia na zewnątrz tam, gdzie próbowali zacząć podpalać. Walczyli z pozostałymi, kiedy tamci chcieli ich powstrzymać. Te Białe Płaszcze, które jeszcze zostały, pomogły nam uspokoić tamtych. Związali ich dokładnie i wywieźli stąd, z powrotem do Amadicii. A niech sobie idą, powiadam, nawet jeżeli nigdy nie wrócą.

– Grubiańskie zachowanie – skomentował Lan nawet jak na Białe Płaszcze.

Simion potakująco pokiwał głową.

– Dokładnie tak, jak mówisz, dobry panie. Nigdy dotąd się tak nie zachowywali. Zadzierali nosa, to tak. Patrzyli na ciebie, jakbyś był brudny i wsadzali swe nosy tam, gdzie nikt ich nie potrzebował. Ale nigdy dotąd nie sprawiali kłopotów. Przynajmniej nie takich.

– Teraz odeszli – podsumowała Moiraine – a kłopoty razem z nimi. Pewna jestem, że będziemy mieli spokojną noc.

Perrin trzymał usta zamknięte na kłódkę, ale w środku aż się kotłował.

"Wszystkie te śluby i opowieści o Białych Płaszczach, cóż, bardzo ciekawe, ale wolałbym dowiedzieć się, czy Rand zatrzymał się tutaj i w którą stronę poszedł, kiedy opuścił wioskę. Ten zapach nie mógł należeć do niego".

Pozwolił Simionowi zaprowadzić się korytarzem do kolejnego pokoju, z dwoma łózkami, umywalnią, parą stołków, a poza tym prawie całkowicie pustego. Loial pochylił się i włożył głowę do środka. Przez wąziutkie okienko wpadało niewiele światła. Łóżka były dostatecznie duże, koce i poduszki leżały zwinięte w nogach, ale materac wyglądał na niewygodny. Simion szperał na gzymsie kominka, dopóki nie znalazł świecy oraz krzesiwa do jej zapalenia.

– Dopatrzę, by zestawiono dla ciebie dwa łóżka, dobry... hmm... Ogirze. Tak, proszę jeszcze chwilę poczekać.

Nie zdradzał jednak żadnych oznak pośpiechu, krzątał się z lichtarzem, jakby wybierając dla niego najlepsze miejsce. Perrin pomyślał, że zachowuje się niespokojnie.

"Cóż, ja byłbym bardziej niż niespokojny, gdyby Białe Płaszcze zachowywały się w ten sposób w Polu Emonda".

– Simion, czy jakiś inny obcy przechodził tą drogą w ciągu ostatniego dnia lub dwóch? Młody mężczyzna, wysoki, z szarymi oczyma i rudawymi włosami? Mógł grać na flecie, aby zarobić na posiłek czy łóżko.

– Pamiętam go, dobry panie – odpowiedział Simion, wciąż przesuwając lichtarz. – Przyjechał wczoraj wieczorem, wczesnym wieczorem. Wyglądał na głodnego, doprawdy. Grał na flecie na wszystkich ślubach, wczoraj. Przystojny młody człowiek. Niektóre z kobiet oglądały się za nim początkowo, ale... – Przerwał i spojrzał z ukosa na Perrina. – Czy to jest twój przyjaciel, dobry

panie?

– Znam go – powiedział Perrin. – Dlaczego?

Simion zawahał się.

– Bez specjalnego powodu, dobry panie. To był dziwny człowiek. Mówił do siebie czasami, a czasami śmiał się, mimo iż nikt nic nie powiedział. Spał w tym właśnie pokoju, zeszłej nocy, przynajmniej przez jej część. W środku nocy obudził nas jego krzyk. To był jakiś koszmar, ale nie chciał już dłużej zostać. Pan Harod nie starał się zresztą specjalnie, by go zatrzymać po tym nocnym hałasowaniu. – Simion przerwał ponownie. – Kiedy odjeżdżał, powiedział coś dziwnego.

– Co? – zażądał odpowiedzi Perrin.

– Powiedział, że ktoś go ściga. Powiedział... – Mężczyzna o cofniętym podbródku przełknął ślinę i ciągnął dalej, ale znacznie wolniej, ściszone głosem. – Powiedział, że go zabiją, jeśli nie pojedzie. "Jeden z nas musi zginąć, ale chcę, żeby to był on". To jego własne słowa.

– Nie nas miał na myśli – zagrział Loial. – My jesteśmy jego przyjaciółmi.

– Oczywiście, dobry... hmm... Ogirze. Oczywiście, że nie was miał na myśli. Ja... hmm... nie chcę nic mówić na waszego przyjaciela, ale... sądzę, że on jest chory. Na głowę, rozumiecie.

– Zajmiemy się nim – zapewnił go Perrin. – Dlatego właśnie za nim jedziemy. W którą stronę pojechał?

– Wiedziałem to – powiedział Simion, wspinając się na palce. – Wiedziałem, że ona może pomóc, gdy tylko ciebie zobaczyłem. Którą drogą? Na wschód, dobry panie. Na wschód, szybko jakby sam Czarny następował mu na pięty. Czy sądzisz, że ona mi również pomoże? To znaczy, pomoże mojemu bratu? Noam jest bardzo chory, a Matka Roon powiedziała, że ona nic nie może zrobić.

Perrin zachował kamienną twarz i zyskał trochę na czasie, ustawiając w rogu łuk i kładąc zrolowany koc oraz juki na jednym z łóżek. Problem polegał na tym, że nic z tego nie wynikło. Popatrzył na Loiala, ale z jego strony nie otrzymał pomocy. Z zakłopotania uszy Ogira obwisły, a długie brwi opadły aż na policzki.

– Dlaczego uważasz, że możemy pomóc twemu bratu?

"Głupie pytanie! Właściwym pytaniem jest, co on zamierza zrobić z tą wiedzą?"

– Cóż, jeździłem do Jehannah, dobry panie, i raz widziałem dwie... dwie kobiety takie jak ona. Po tym nie pomyliłbym jej z nikim innym. – Jego głos zniżył się aż do szeptu. – Powiadają, że one potrafią wskrzesić nawet umarłego, dobry panie.

– Kto jeszcze wie? – zapytał ostro Perrin, a w tej samej chwili Loial powiedział:

– Jeżeli twój brat nie żyje, to nikt nie jest w stanie niczego zrobić.

Oczy w żabiej twarzy wodziły od jednego do drugiego z niepokojem, a słowa człowieka stały się istną paplaniną.

– Nikt nie wie, prócz mnie, dobry panie. Noam nie jest martwy, dobry Ogirze, tylko chory. Przysięgam, że nikt prócz mnie jej nie rozpoznał. Nawet pan Harod przez całe swoje życie nie był dalej niż dwadzieścia mil stąd. Jest tak bardzo chory. Sam bym ją poprosił, tyle że kolana by mi się tak trzęsły, że nie usłyszałyby moich słów. A co, jeśli się obrazi i sprowadzi na mnie błyskawicę? A co, jeżeli nie mam racji? To nie jest rodzaj spraw, o które oskarża się kobietę bez... To znaczy... eh...

Podniósł dłonie do góry w na poły przeproszającym, a na poły obronnym geście.

– Nie mogę niczego obiecać – powiedział Perrin ale porozmawiam z nią. Loial, może dotrzymasz Simionowi towarzystwa, kiedy ja porozmawiam z Moiraine?

– Oczywiście – zahuczał Ogir. Simion wzdrygnął się, kiedy dłoń Loiala przykryła mu ramię. –

Pokaże mi mój pokój, a potem porozmawiamy. Powiedz mi, Simion, co wiesz o drzewach?

– D-rz-rz-ewach, d-dobry Ogirze?

Perrin nie czekał ani chwili dłużej. Pospieszył wzdłuż ciemnego korytarza i zapukał do drzwi Moiraine, ledwie czekając na jej przyzwalające "Wejść!", zanim je otworzył.

Pół tuzina świec jednoznacznie ukazywało, że najlepszy pokój "Skoku" nie był tak znowu specjalnie dobry, choć jedyne łóżko miało nawet cztery wysokie słupki podtrzymujące baldachim, zaś materac wyglądał na mniej nierówny niż w pokoju Perrina. Na podłodze leżał strzęp dywanu, dwa wyściełane fotele zastępowały zwykłe stołki. Poza tym różnic nie było. Moiraine i Lan stali przed zimnym kominkiem, jakby właśnie coś omawiali, a Aes Sedai nie wyglądała na zadowoloną, że im przeszkadzono. Twarz strażnika pozostała nieporuszona niczym rzeźba.

– Rand był tutaj, wszystko w porządku – zaczął Perrin – ten człowiek, Simion, pamięta go.

Moiraine syknęła przez zęby.

– Powiedziano ci, żebyś trzymał język za zębami warknął Lan.

Perrin stanął prosto i spojrzał strażnikowi w oczy. Było to łatwiejsze niżli stawanie oko w oko z Moiraine.

– W jaki sposób mamy się inaczej przekonać, czy był tutaj, niż zadając pytania? Powiedz mi, proszę. Odjechał zeszłej nocy, jeśli was to interesuje, kierując się na wschód. Mówił też o kimś, kto jedzie za nim, kto chce go zabić.

– Na wschód – przytaknęła Moiraine. Ostatecznemu spokojowi w jej głosie kłam zadawało pełne dezaprobaty spojrzenie. – Dobrze to wiedzieć, chociaż musiało tak być, jeżeli zmierza do Łzy. Ale byłam raczej pewna, że jechał tędy, zanim nawet usłyszałam o Białych Płaszczach, a wiadomości o nich utwierdziły mnie do końca w tym przekonaniu. Rand ma niemal absolutną rację w jednej rzeczy, Perrin. Nie wierzę, że tylko my go usiłujemy znaleźć. A jeżeli oni dowiedzą się o nas, zapewne będą chcieli nas powstrzymać. Zbyt wiele będziemy mieli kłopotów z dogonieniem Randa, żeby jeszcze tym się przejmować. Musisz nauczyć się trzymać język za zębami, dopóki nie pozwolę ci się odezwać.

– Białe Płaszcze? – powiedział Perrin z niedowierzaniem.

"Trzymać język za zębami? Niech szczenę, jeśli będę!"

– W jaki sposób dzięki nim się...? Szaleństwo Randa. Ono jest zaraźliwe?

– Nie jego szaleństwo – odpowiedziała Moiraine – jeśli w ogóle można go w najmniejszym stopniu nazwać szalonym. Perrin, on jest najsilniejszym *ta'veren* od czasów Wieku Legend. Wczoraj, w tej wiosce, Wzór... poruszył się, ukształtował wokół niego, jak glina kształtuje się na garncarskim kole. Śluby, Białe Płaszcze, to wystarczyło, by każdy, kto uważnie słuchał, mógł stwierdzić, że Rand tu był.

Perrin wziął głęboki oddech.

– I coś takiego będziemy spotykać wszędzie, gdzie pojedziemy? Światłości, jeżeli ściga go jakiś Pomiot Cienia, będą mogli wytropić go równie łatwo jak my.

– Być może – powiedziała Moiraine. – A może nie. Nikt nie wie nic o *ta'veren* tak silnym jak Rand. – Przez krótki moment wydawała się zirytowana, że sama też nie wie. – Artur Hawkwing był najsilniejszym *ta'veren*, o którym zachowały się jakieś wzmianki. A Hawkwing nie był w żaden sposób tak silny jak Rand.

– Napisane jest – ciągnął dalej jej monolog Lan że zdarzało się tak, iż ludzie znajdujący się w tym samym pokoju, co on, mówili prawdę, kiedy chcieli skłamać, podejmowali decyzje, o których nawet nie wiedzieli, iż je rozważają. Bywało, że każdy rzut kości, każde rozdanie kart układały się po jego myśli. Ale tylko czasami.

– Mówisz, że nie jesteś pewna – upierał się Perrin. – Ale może po nim zostać ślad w postaci ślubów i szaleństwa Białych Płaszczy przez całą drogę aż do Łzy.

– Mówię, że wiem tyle, ile tylko można wiedzieć ostro wyjaśniła mu Moiraine. Spojrzenie jej ciemnych oczu smagało Perrina jak bicz. – Wzór splata się ostatecznie wokół *ta'veren*, a inni mogą prześledzić te nici, jeżeli wiedzą, gdzie patrzeć. Bądź ostrożny, aby twój język nie rozwiązał więcej, niżli wiesz.

Wbrew sobie Perrin zgarbił ramiona, jakby otrzymywał prawdziwe ciosy.

– Cóż, powinnaś być zadowolona, że tym razem otworzyłem usta. Simion wie, że jesteś Aes Sedai. Chciałby, żebyś uzdrowiła jego brata, Noama, który na coś zachorował. Gdybym z nim nie porozmawiał, nigdy by nie nabrał wystarczającej odwagi, by cię poprosić, ale mógłby zacząć rozpowiadać między znajomymi.

Lan pochwycił wzrok Moiraine i przez chwilę wpatrywali się sobie w oczy. Sraźnik roztaczał wokół siebie takie wrażenie, jak wilk szykujący się do skoku. Na koniec Moiraine potrząsnęła głową.

– Nie.

– Jak chcesz. To jest twoja decyzja.

Głos Lana brzmiał tak, jakby sądził, że powzięła błędne postanowienie, napięcie jednak go opuściło.

Perrin patrzył na nich.

– Myśleliście o... Simion nie powiedziałby nikomu, gdyby był martwy, czy tak?

– Ja bym go nie zabiła własnoręcznie – oznajmiła Moiraine. – Ale nie mogę i nie obiecuję, że zawsze tak będzie. Trzeba odnaleźć Randa i to musi się udać. Czy jest to wystarczająco dla ciebie jasne?

Pochwycony jej spojrzeniem, Perrin nie potrafił wydusić z siebie odpowiedzi. Pokiwał głową, jakby jego milczenie nie było wystarczającą odpowiedzią.

– Teraz zaprowadź mnie do Simiona.

Drzwi do pokoju Loiala były otwarte, wylewało się z nich na korytarz światło świec. Oba łóżka stojące w pokoju zsunięto razem, a Loial i Simion siedzieli na brzegu jednego z nich. Mężczyzna o cofniętym podbródku patrzył na Loiala z otwartymi ustami i wyrazem całkowitego zadziwienia na twarzy.

– Och tak, *stedding* są cudowne – opowiadał Loial. – Jest tam taki spokój, pod Wielkimi Drzewami. Wy ludzie możecie mieć swoje wojny i zmagania, ale nic nigdy nie zakłóca *stedding*. Opiekujemy się drzewami i żyjemy w harmonii...

Przerwał, gdy zobaczył Moiraine oraz Perrina i Lana za jej plecami.

Simion gramolił się z łóżka, kłaniając się i cofając, aż oparł się wreszcie o ścianę.

– Eh... dobra pani... Eh... eh...

Nawet teraz podskakiwał jak lalka na sznurku.

– Zaprowadź mnie do twojego brata – rozkazała Moiraine – ja zrobię, co w mojej mocy. Perrin, ty również pójdziesz, ponieważ ten dobry człowiek do ciebie się z tym zwrócił. – Lan uniósł brew, ale potrząsnęła przecząco głową. – Jeżeli pójdziemy wszyscy, możemy zwrócić na siebie zbyt wiele uwagi. Perrin zapewni mi wystarczającą ochronę.

Lan niechętnie pokiwał głową, potem obdarzył Perrina twardym spojrzeniem.

– Postaraj się, by tak było, kowalu. Jeżeli stanie się jej jakaś krzywda...

Rozbłysk jego lodowato chłodnych oczu stał się ukoronowaniem groźnej obietnicy.

Simion porwał jedną ze świec i pośpiesznie wypadł na korytarz, wciąż kłaniając się, tak że

plomień świecy rzucał na ściany roztańczone cienie.

– Tędy... eh... dobra pani. Tędy, proszę.

Za drzwiami, znajdującymi się na końcu korytarza, były zewnętrzne schody, po których zesli na ciasną uliczkę między gospodą a stajnią. W nocnych ciemnościach światło świecy stało się zaledwie migoczącym punktem. Sierp księżyca wisiał wysoko na roziskrzonym gwiazdami niebie, dając wystarczającą ilość światła, by Perrin mógł widzieć. Zastanawiał się, kiedy Moiraine powie Simionowi, że nie musi się już dłużej kłaniać, ale nic takiego nie nastąpiło. Aes Sedai prześlizgiwała się nieomal ponad ziemią, trzymając suknie, aby uchronić je przed powalaniem gliną, szła tak dumnie i lekko, jakby ciemne przejście było pałacową komnatą, a ona królową. Powietrze już się oziębiło, po nocach wciąż niosły się echa zimy.

– Tędy.

Simion poprowadził ich do małej komórki za stajnią i szybko odryglował drzwi.

– Tędy.

W skazał drogę.

– Tutaj, dobra pani. Tutaj. Mój brat. Noam.

Tyłna część komórki odgradzona została od reszty drewnianymi grubymi listwami, w pośpiechu, jak można było sądzić po niestaranności wykonania. Mocny, żelazny zamek zamknięty na skobel trzymał drzwi. Za tą przegrodą, na wyłożonej słomą podłodze leżał na brzuchu jakiś człowiek. Był bosy; koszula i spodnie podarte, jakby szarpał je, nie umiając normalnie zdjąć. Panował tutaj tak ciężki zapach nie mytego ciała, że Perrin sądził, iż nawet Simion i Moiraine musieli go czuć.

Noam uniósł głowę i w milczeniu, z twarzą pozbawioną wyrazu, wbił w nich wzrok. W niczym nie przypominał swego brata – miał normalny podbródek, prócz tego był potężnie zbudowany, z szerokimi ramionami – ale nie to spowodowało, że Perrin zachwiał się. Noam patrzył na nich płonącymi złotem oczyma.

– Od jakiegoś roku mówił szalone rzeczy, dobra pani, mówił, że potrafi... może rozmawiać z wilkami. A jego oczy... – Simion rzucił spojrzenie w stronę Perrina. Cóż, mówił o tym, kiedy zbyt dużo wypił. Wszyscy się z niego śmiali. Potem, jakiś miesiąc temu, czy coś koło tego, nie wrócił do miasta. Poszedłem, by sprawdzić, co się stało i znalazłem go... w takim stanie.

Ostrożnie, wbrew sobie, Perrin sięgnął myślą ku Noamowi, jakby ten był wilkiem.

"Bieg pośród drzew z zimnym wiatrem dmuchającym w nozdrza. Szybki skok z ukrycia, zęby rozszarpujące ścięgno pod kolanem. Smak krwi, tak soczysty na języku. Zabić".

Perrin odskoczył, jakby sparzył go ogień, zamknął się przed strumieniem myśli. W istocie nie były to wcale myśli, tylko chaotyczna dżungla pragnień i obrazów, częściowo pamięć, po części tęsknota. Ale we wszystkim było więcej wilka niż czegokolwiek innego. Wsparł się dłonią o ścianę, by odzyskać równowagę, kolana się pod nim ugięły.

"Światłości, pomóż mi!"

Moiraine położyła dłoń na zamku.

– Pan Harold ma klucze, dobra pani. Nie wiem czy...

Szarpnęła i zamek otworzył się. Simion gapił się na nią z otwartymi ustami. Podniosła rygiel uwolniony ze skobla, a Simion odwrócił się do Perrina.

– Czy to jest bezpieczne, dobry panie? To jest mój brat, ale ugryzł Matkę Roon, kiedy starała się mu pomóc i on... zabił krowę. Zębami ją zagryzł – zakończył słabym głosem.

– Moiraine – powiedział Perrin – ten mężczyzna jest niebezpieczny.

– Wszyscy mężczyźni są niebezpieczni – odrzekła chłodnym głosem. – Teraz bądźcie cicho.

Otworzyła drzwi i weszła do środka. Perrin wstrzymał oddech. Kiedy zrobiła pierwszy krok,

wargi Noama odsunęły się, obnażając zęby, zaczął warczeć, warczenie pogłębiało się od czasu do czasu, aż całe jego ciało zaczęło drżeć. Moiraine zignorowała to. Wciąż warcząc, Noam wiercił się w słomie, gdy podeszła jeszcze bliżej, cofnął się do kąta. Albo ona go tam zagnała.

Spokojnie, powoli, Aes Sedai uklękła i ujęła jego głowę w swe dłonie. Warkot dobiegający z gardła Noama wzniósł się w tonie, aż zamarł w pisku, zanim Perrin zdążył się poruszyć. Przez długą chwilę Moiraine trzymała głowę Noama, potem równie spokojnie puściła ją i wstała. Coś ścisnęło Perrina w gardle, kiedy odwróciła się do tamtego plecami i wyszła z klatki, ale mężczyzna patrzył tylko w ślad za nią. Przycisnęła zbite z grubych listew drzwi, przeciągnęła skobel przez rygiel, nie troszcząc się o dokładne zamknięcie ich – i wtedy Noam z wyszczerzonymi zębami rzucił się na drewniane belki. Gryzł je, uderzał ramionami, usiłował precyzyjnie się pomiędzy nimi, wszystko z towarzyszeniem warczenia i kłapania zębami.

Moiraine pewną dłonią otrzepała słomę z sukni, jej twarz pozostawała bez wyrazu.

– Wyrwałaś los – wykrztusił Perrin.

Spojrzała na niego twardym, ale rozumiejącym spojrzeniem i wtedy spuścił oczy. Żółte oczy.

Simion patrzył na brata.

– Czy możesz mu pomóc, dobra pani? – zapytał ochryplym głosem.

– Przykro mi, Simion – odparła.

– Nie możesz nic zrobić, dobra pani? Nic? Jednej z tych rzeczy – jego głos opadł do szeptu – które robią Aes Sedai?

– Uzdrawianie nie jest prostą rzeczą, Simion, a skutki jego działania w takiej samej mierze opierają się na wewnętrznej pomocy uzdrawianego, co na sztuce uzdrawiającego. A w nim nie ma już nic, co pamiętałoby, że był Noamem, nic, co pamiętałoby, że był człowiekiem. Nie zostały żadne mapy, które wskazałyby mu drogę powrotną i nie zostało nic, co chciałoby wejść na tę drogę. Noam odszedł, Simionie.

– On... on po prostu zwykł mówić śmieszne rzeczy, dobra pani, kiedy wypił zbyt dużo. Po prostu... – Simion potarł dłonią oczy i zamrugał. – Dziękuję, dobra pani. Wiem, że gdybyś mogła, zrobiłabyś coś.

Położyła dłoń na jego ramieniu, wymamrotała jakieś słowa pocieszenia, a potem wyszła z komórki.

Perrin wiedział, że powinien iść za nią, ale ten człowiek – to, co kiedyś było człowiekiem – szarpał za drewniane kraty. W tej sytuacji czuł, że nie może tak po prostu wyjść. Dał szybki krok do przodu i ku własnemu zdziwieniu, zdjął zwisający rygiel ze skobla. Zamek był dobry, robota kowalskiego mistrza.

– Dobry panie?

Perrin spojrzał na zamek trzymany w dłoni, na człowieka w klatce. Noam przestał gryźć listwy, spojrzał ostrożnie na Perrina, dyszał ciężko. Kilka zębów miał połamanych nierówno.

– Możesz trzymać go tutaj przez wieczność – powiedział Perrin – ale... nie sądzę, aby mu się poprawiło.

– Jeżeli wydostanie się na zewnątrz, dobry panie, umrze!

– Umrze również, jeżeli tutaj zostanie, tak i tak, Simion. Na zewnątrz będzie przynajmniej wolny i tak szczęśliwy, jak tylko jest to w jego przypadku możliwe. Przestał już być twoim bratem, ale ty jesteś tym, który decyduje. Możesz go zostawić tutaj, by przychodzili ludzie i go oglądali, zostawić go, by wpatrywał się w kraty, nim na koniec zupełnie zmarnieje. Nie możesz trzymać wilka w klatce, Simion, i spodziewać się, że będzie mu dobrze. Albo, że pożyje długo.

– Tak – powiedział powoli Simion. – Tak, rozumiem.

Zawahał się przez moment, potem pokiwał głową i skinął nią w kierunku drzwi komórki.

To była odpowiedź, której Perrin pragnął. Otworzył na całą szerokość drzwi kraty i stanął z boku.

Przez chwilę Noam wpatrywał się w otwarte drzwi. Nagle wyskoczył z klatki, biegnąc na czworakach, z zadziwiającą zręcznością. Z klatki, z komórki prosto w otwartą noc.

"Niech Światłość pomoże nam obu" – pomyślał Perrin.

– Przypuszczam, że to lepiej będzie dla niego, być wolnym. – Simion potrząsnął głową. – Ale nie wiem, co powie pan Harod, kiedy zobaczy otwarte drzwi klatki i brak Noama.

Perrin zamknął drzwi, wielki zamek zaskoczył z ostrym trzaskiem.

– Pozwólmy mu samemu rozwiązać tę zagadkę.

Simion wydobył z siebie krótki śmiech, przypominający raczej szczekanie, który nagle urwał się.

– On coś wymyśli. Wszyscy tak robią. Niektórzy powiedzą, że Noam zmienił się w wilka, z sierścią i ze wszystkim, kiedy ugryzł Matkę Roon. To nie jest prawda, ale tak właśnie powiedzą.

Cały drżąc, Perrin przycisnął czoło do drzwi klatki.

"Może nie mieć futra, ale i tak jest wilkiem. Jest wilkiem a nie człowiekiem. Światłości, pomóż mi".

– Nie trzymaliśmy go tutaj przez cały czas – odezwał się nagle Simion. – Najpierw był w domu Matki Roon, ale po przybyciu Białych Płaszczy, ona i ja namówiliśmy pana Haroda, by przenieść go tutaj. Zawsze mieli ze sobą listy nazwisk, szukali Sprzymierzeńców Ciemności. Jednym z nazwisk na tej ich liście był niejaki Perrin Aybara, kowal. Ponoć ma mieć takie same żółte oczy jak Noam i żyje z wilkami. Teraz rozumiesz, dlaczego nie chciałem, aby się dowiedzieli o Noamie.

Perrin odwrócił głowę na tyle, aby przez ramię móc spojrzeć na Simiona.

– Myślisz, że ten Perrin Aybara rzeczywiście jest Sprzymierzeńcem Ciemności?

– Sprzymierzeniec Ciemności nie troszczyłby się o to, czy mój brat umrze w klatce. Przypuszczalnie musiałeś ją spotkać wkrótce po tym, jak się to zdarzyło. Na czas, by pomoc okazała się skuteczna. Żałuję, że nie przybyła do Jarry parę miesięcy wcześniej.

Perrin wstydził się teraz, że kiedykolwiek porównał tego człowieka do żaby.

– Ja również żałuję, że nic nie mogła dla niego zrobić. "Niech szczenę, jeśli nie żałuję".

Nagle dotarło do niego, że przecież cała wioska musi wiedzieć o Noamie. O jego żółtych oczach.

– Simion, czy przyniesiesz mi jedzenie do pokoju?

Pan Harod wraz z pozostałymi mogli być nazbyt zajęci gapieniem się na Loiala, by wcześniej zauważyć jego oczy, z pewnością jednak tak się stanie, gdy będzie jadał posiłki we wspólnej sali.

– Oczywiście. Rankiem również. Nie musisz schodzić na dół, zanim nie będziesz gotów wsiąść na konia.

– Jesteś dobrym człowiekiem, Simion. Dobrym człowiekiem.

Simion wyglądał na tak zadowolonego, że Perrin nie mógł przestać się wstydzić.

ROZDZIAŁ 9

WILCZE SNY

Perrin wrócił do swego pokoju tylnym wejściem, a po jakimś czasie Simion przyszedł z nakrytą tacą. Serweta nie była jednak w stanie stłumić zapachów pieczonej baraniny, słodkiego groszku, rzepy i świeżo upieczonego chleba. Perrin jednak leżał na łóżku, wpatrując się w pobielony sufit, aż potrawy nie ostygły, a aromaty osłabły. Obrazy Noama nieprzerwanie przesuwały mu się przed oczami. Noam gryzący drewniane listwy. Noam uciekający w ciemność. Próbował zamiast tego myśleć o wyrabianiu zamków, o uważnym kształtowaniu i studzeniu stali, ale to nie pomagało oderwać myśli.

Nie zwracając uwagi na tacę, zszedł niżej do pokoju zajmowanego przez Moiraine. Na jego stukanie do drzwi odpowiedziała spokojnym:

– Wejdz, Perrin.

Przez chwilę wszystkie dawne opowieści o Aes Sedai znowu stanęły mu przed oczyma, ale odgonił je i otworzył drzwi.

Moiraine była sama – za co był losowi wdzięczny siedziała, balansując butelką atramentu na kolanie i pisała coś w niewielkiej, oprawnej w skórę księdze. Nie patrząc na niego, zakorkowała butelkę i wytarła stalową stalówkę swego pióra o mały kawałek pergaminu. Na kominku płonął ogień.

– Czekam na ciebie już od jakiegoś czasu – oznajmiła. – Wcześniej nie poruszałam tego tematu, było oczywiste bowiem, że nie chcesz o nim mówić. Jednak po tym, co się zdarzyło dzisiejszego wieczora... Co chcesz wiedzieć?

– Czy to mnie czeka? – zapytał. – Tak skończyć?

– Być może.

Czekał na więcej, ale ona włożyła tylko pióro i atrament do małej kasetki z polerowanego drzewa różanego i zaczęła dmuchać na to, co napisała wcześniej, czekając, aż atrament wyschnie.

– Czy to wszystko? Moiraine, nie dawaj mi wymijających odpowiedzi, jakimi zwykły się posługiwać Aes Sedai. Jeżeli coś wiesz, powiedz mi. Proszę.

– Niewiele wiem, Perrin. Kiedy szukałam odpowiedzi na inne pytania pośród ksiąg i rękopisów, których dwie przyjaciółki używają do swych badań, znalazłam również kopię fragmentu pewnej książki pochodzącej z Wieku Legend. Przedstawiała sytuację... podobną do twojej. Zapewne może być to jedyna kopia na całym świecie, a nadto nie ma w niej zbyt wiele informacji.

– Czego się dowiedziałas? Cokolwiek by to nie było, to więcej niż wiem teraz. Niech szczerę, martwiłem się o Randa, że może oszaleć, ale nigdy nie sądziłem, iż będę musiał martwić się o siebie!

– Perrin, nawet w Wieku Legend niewiele o tym wiedziano. Ktokolwiek napisał czytany przeze mnie fragment, wydawał się niepewny, czy cała sprawa jest prawdą czy tylko legendą. A poza tym, pamiętaj, że miałam w ręku tylko fragment. Napisano tam, że niektórzy z tych, co potrafili rozmawiać z wilkami, ztratili samych siebie. Że człowiek został pochłonięty przez wilka. Niektórym się to zdarzyło. Czy oznacza to jednego, czy pięciu, czy dziewięciu, nie wiem.

– Potrafię spowodować, by zamilkły. Nie wiem, jak to robię, ale mogę odmówić słuchania ich. Nie wsłuchiwać się w ich głosy. Czy to pomoże?

– Może pomóc. – Wpatrywała się w niego uważnie, zdając się starannie dobierać słowa. – Ten fragment traktował głównie o snach. Sny mogą się okazać dla ciebie niebezpieczne, Perrin.

– Wcześniej powiedziałaś to już raz. Co miałaś na myśli?

– Zgodnie z tym, co przeczytałam, wilki żyją po części w tym świecie, a częściowo w świecie snów.

– W świecie snów? – zapytał z niedowierzaniem.

Moiraine rzuciła mu ostre spojrzenie.

– Tak właśnie powiedziałam, i tak też jest tam napisane. Sposób w jaki wilki rozmawiają ze sobą, sposób w jaki mówią do ciebie, jest związany do pewnego stopnia ze światem snów. Nie twierdzę, że rozumiem, jak się to dzieje. – Przerwała na moment, marszcząc lekko brwi. – Z tego, co czytałam o Aes Sedai, które posiadały talent zwany Śnieniem, Śniące czasami mówiły o wilkach spotykanych w swych snach, wilkach, które niekiedy służyły jako przewodnicy. Obawiam się, że musisz nauczyć się równie ostrożnie spać, jak ostrożnie żyjesz na jawie, jeśli zamierzasz uniknąć wilków. Czy tak właśnie postanowiłeś postąpić?

– Czy tak postanowiłem postąpić? Moiraine, nie mam zamiaru skończyć jak Noam. Tak się nie stanie!

Popatrzyła na niego z lekkim zdziwieniem, potem powoli pokręciła głową.

– Mówisz tak, jakbyś mógł sam wybierać, Perrin. Pamiętaj, że jesteś *ta'veren*. – Odwrócił głowę i patrzył teraz w ciemną noc za oknami, ale nie zrażona ciągnęła dalej: – Być może wiedząc, czym jest Rand, jakim jest silnym *ta'veren*, poświęciłam zbyt mało uwagi dwum pozostałym *ta'veren*, którzy mu towarzyszyli. Trzej *ta'veren* w jednej wiosce, wszyscy urodzeni w odstępnie kilku tygodni od siebie? To rzecz niesłychana. Być może ty, oraz oczywiście Mat, macie przeznaczone większe cele do zrealizowania we Wzorze, niż oboje sądzimy?

– Nie chcę mieć żadnych celów do spełnienia we Wzorze – wymamrotał Perrin. – Z pewnością nie będę mógł mieć żadnego celu, kiedy zapomnę, że jestem człowiekiem. Pomożesz mi, Moiraine?

Z trudem przeszło mu to przez usta.

"A co, jeśli będzie to oznaczało konieczność użycia Jedynej Mocy? Czy raczej zapomnę o swoim człowieczeństwie?"

– Pomóż mi, abym... nie zatracił siebie.

– Jeżeli tylko będę w stanie, na pewno to zrobię. To ci mogę obiecać, Perrin. Ale nie narażę przez to losów mojej walki z Cieniem. O tym również powinieneś wiedzieć.

Kiedy odwrócił się, by na nią spojrzeć, odpowiedziała mu nieustępliwym spojrzeniem, nawet nie mrugnęła okiem.

"A jeżeli twoja walka będzie wymagała, abym jutro trafił do grobu, zrobisz to bez wahania, tak?"

Odczuwał w sobie lodowatą pewność, że tak właśnie by się stało.

– Czego mi jeszcze nie powiedziałaś?

– Posuwasz się za daleko, Perrin – odrzekła chłodno. – Nie naciskaj mnie bardziej, niżli uznam to za stosowne.

Zawahał się przed zadaniem następnego pytania.

– Czy możesz zrobić dla mnie to, co zrobiłaś dla Lana? Osłonić moje sny?

– Mam już strażnika, Perrin. – Jej usta wygięły się w coś, co nieomal przypominało uśmiech. – I jeden mi wystarczy. Jestem z Błękitnych Ajah, nie z Zielonych.

– Wiesz, o co mi chodzi. Nie chcę być strażnikiem.

"Światłości, przywiązany do Aes Sedai na resztę życia? To jest równie straszne jak stać się wilkiem".

– Nie pomogłoby ci to, Perrin. Osłona chroni przed snami pochodzącymi z zewnątrz. Zagrożenie, jakie stanowią twoje sny jest wewnętrznej natury.

Ponownie otworzyła niewielką księgę.

– Powinieneś się przespać – powiedziała takim tonem, że jasne było, iż chce, aby już sobie poszedł. Strzeż się swoich snów, ale czasami przecież spać musisz.

Odwróciła stronicę księgi i wtedy wyszedł.

Gdy znalazł się z powrotem w swoim pokoju, żelazny uścisk, który dotąd obejmował jego duszę, rozluźnił się trochę, ale tylko odrobinę, by pozwolić zmysłom rozwinąć się. Wilki wciąż tam były, za granicami wioski, otaczały Jarre. Nieomal natychmiast narzucił sobie na powrót samokontrolę.

– Potrzebne jest mi miasto – wymamrotał.

Od miasta będą trzymać się z dala.

"Kiedy znajdę Randa. Kiedy doprowadzę do końca to, co musi być skończone".

Nie był pewien, do jakiego stopnia jest mu przykro, że Moiraine nie potrafi zbudować osłony dla jego snów. Jedyna Moc czy wilki, to był wybór, przed którym nie powinien stawać żaden człowiek.

Nie rozпалиł ognia na kominku, na dodatek otworzył oba okna. Zimne, nocne powietrze napłynęło do środka. Zrzucił koce na podłogę, sam legł w ubraniu na nierównym materacu, nie kłopotząc się znajdowaniem wygodnej pozycji. Jego ostatnią myślą, zanim pogrążył się w sen, było, że jeśli jest coś na świecie, co potrafi go ochronić przed głębokimi i niebezpiecznymi snami, to jest to właśnie ten materac.

Znajdował się w długim korytarzu, lśniące wilgocią ściany i wysoki, kamienny sufit znaczyły dziwne cienie. Cienie układały się w jakieś zwichnięte pasy, granice pomiędzy światłem a cieniem były dziwnie ostre, a głębi samego cienia zupełnie nie tłumaczyło światło ograniczające go. Nie miał zresztą pojęcia, skąd owo światło dochodzi.

– Nie – powiedział, potem powtórzył głośniejszym głosem: Nie! To jest sen. Chcę się obudzić. Obudzić!

Korytarz nie uległ najmniejszej zmianie.

"Niebezpieczeństwo".

To była wilcza myśl, słaba i odległa.

– Obudzę się. Obudzę!

Uderzył pięścią w ścianę. Zabolało, ale spodziewane przebudzenie nie nastąpiło. Wydało mu się, że jeden z tych węzowatych cieni odsunął się, unikając jego ciosu.

"Uciekaj, bracie. Uciekaj".

– Skoczek? – zapytał zdumiony.

Pewien był, że zna wilka, którego myśli usłyszał. Skoczek, który zazdrościł orłom.

– Skoczek nie żyje!

"Uciekaj !"

Perrin rzucił się do biegu, jedną dłonią przytrzymując topór, aby powstrzymać go przed obijaniem się o udo. Nie miał najmniejszego pojęcia, dokąd biegnie, ani dlaczego, ale ponaglenie słyszalne w przekazie Skoczka nie dawało się zlekceważyć.

"Skoczek nie żyje – pomyślał. – Nie żyje!"

Ale jednak wciąż biegł.

Korytarz, po którym biegł, pod dziwnymi kątami przecinały inne przejścia, czasami opadając, innymi razy się wznosząc. Żadne jednak nie różniło się w istotny sposób od tego, w którym się znajdował. Wilgotne kamienne ściany, bez jednych choćby drzwi i pasma ciemności.

Kiedy dobiegł do kolejnego skrzyżowania, stanął jak wryty. W korytarzu stał mężczyzna, mrugając do niego niepewnie, miał na sobie dziwnie uszyty kaftan i spodnie, kaftan rozszerzał się na jego biodrach, podobnie jak spodnie zachodziły kloszowatym rozszerzeniem na buty. Zarówno kaftan, jak i spodnie były jaskrawo żółte, a buty tylko o odcień jaśniejsze od nich.

– Tego już chyba nie wytrzymam – powiedział mężczyzna, do siebie, nie do Perrina. Miał dziwny akcent, bardzo mocny i ostry. – Nie tylko, że śnię o wieśniakach, ale jeszcze do tego obcych, sądząc po odzieniu. Uciekaj z mojego snu, człowieku!

– Kim jesteś? – zapytał Perrin.

Brwi mężczyzny uniosły się, jakby poczuł się dotknięty. Pasma cienia zaczęły więc się i skręcać. Jedno z nich oddzieliło się od sklepienia przy końcu korytarza i opadło na głowę mężczyzny. Zdawało się wplatać mu we włosy. Oczy tamtego rozwarły się i nagle wszystko zaczęło się dziać jakby jednocześnie. Cień odskoczył do sufitu, dziesięć stóp wyżej, niosąc coś białego. Mokre krople spadły Perrinowi na twarz. Przeszywający do szpiku kości krzyk wstrząsnął powietrzem.

Zmartwiały Perrin patrzył, jak krwawa postać, ubrana w rzeczy mężczyzny, wyje i tarza się po podłodze. Jego oczy same uniosły się ku białej rzeczy przypominającej trochę worek, która zwisała u sufitu. Częściowo została już pochłonięta przez czarne pasmo, ale wciąż nie miał kłopotów z rozpoznaniem ludzkiej skóry, najwyraźniej całej i nie porozrywanej w żadnym miejscu.

Cienie wokół niego zatańczyły niespokojnie, a Perrin pobiegł, ścigany zamierającymi okrzykami. Wzdłuż pasm cienia przebiegły zmarszczki, ścigały go.

– Niech to się zmieni, niech szczytnie! – krzyczał. – Wiem, że to sen! Światłości, niech to się zmieni!

Kolorowe gobeliny zwisały ze ścian pomiędzy wysokimi złotymi świecznikami. Dziesiątki świec iluminowało białe płyty podłogi i sufit pomalowany w puszyste chmury, między którymi fruwały fantastyczne ptaki. Wokół panował niemalże martwy bezruch, drgały tylko migoczące płomienie świec, rozstawionych wzdłuż całej długości korytarza, jak tylko okiem sięgnąć, oraz w ostrych łukach z białego kamienia, które od czasu do czasu rozcinały gładź ścian.

"Niebezpieczeństwo".

Przesłanie było jeszcze słabsze niż poprzednio. Ale bardziej nawet naglące, o ile to w ogóle możliwe.

Ściskając topór w garści, Perrin rozejrzał się po korytarzu, mruczając do siebie:

– Obudź się. Obudź się, Perrin. Jeżeli wiesz, że to sen, to niech się odmieni, albo obudź się wreszcie. Obudź się albo .szczytnij !

Korytarz wydawał się równie realny jak wszystkie, po których w swym życiu wędrował.

Stanął wprost przed pierwszym z ostrych, białych łuków. Prowadził do wielkiej komnaty, na pierwszy rzut oka pozbawionej okien, ale umeblowanej tak zdobnie, jakby stanowiła część pałacu, wszystkie meble były rzeźbione, pozłacane i inkrustowane kością. Pośrodku pokoju stała kobieta i ze zmarszczonymi brwiami wpatrywała się w postrzępiony manuskrypt leżący na stole. Ciemnowłosa, ciemnooka piękna kobieta, ubrana w biel i srebro.

W chwili gdy ją rozpoznał, uniosła głowę i spojrzała wprost na niego. Jej oczy rozszerzyły się ze zdumienia, z gniewu.

– Ty! Co ty tu robisz? W jaki sposób...? Zniszczysz rzeczy, których nawet nie jesteś w stanie sobie wyobrazić!

Nagle przestrzeń wydała się spłaszczona, jakby patrzył na obraz pokoju. Płaski obraz zaczął się obracać, aż stał się jasną poziomą linią pośrodku czerni. Linia rozblęśla bielą i zniknęła, pozostawiając tylko ciemność, czarniejszą niż czerń.

Tuż przed czubkami butów Perrina podłoga nagle kończyła się. Podczas gdy na nią patrzył, białe płyty rozpuszczały się w czerni niczym piasek zmywany przez wodę. Pośpiesznie zrobił krok w tył.

"Uciekaj".

Perrin odwrócił się. Przed nim stał Skoczek, wielki szary wilk, posiwiały i pokryty bliznami.

– Nie żyjesz. Widziałem, jak umierałeś. Czuję, jak umierałeś!

Przesłanie zalało umysł Perrina.

"Teraz musisz uciekać! Nie możesz już tu zostać. Niebezpieczeństwo. Wielkie niebezpieczeństwo. Gorsze niż wszyscy Niezrodzeni. Musisz uciekać. Teraz! Już!"

– Jak? – krzyknął Perrin. – Chciałbym, ale jak?

"Uciekaj!"

Z obnażonymi zębami Skoczek rzucił się Perrinowi do gardła.

Ze zdławionym okrzykiem Perrin usiadł na łóżku, rękoma chwytając się za gardło, aby powstrzymać tryskającą krew. Napotkały nietkniętą skórę. Z ulgą przełknął ślinę, ale w następnym momencie palce dotknęły mokrego miejsca.

Niemalże przewracając się w pośpiechu, wygramolił się z łóżka, chwiejnie podszedł do umywalni i pochylił dzban, rozlewając wodę na wszystkie strony, gdy napełniał miskę. Kiedy umył twarz, woda zrobiła się różowa. Różowa od krwi tego dziwnie ubranego człowieka.

Kolejne ciemne plamy pokrywały jego kaftan i spodnie. Zdarł je i odrzucił w najdalszy kąt. Miał zamiar je tu zostawić. Simion będzie mógł je spalić.

Podmuch wiatru zaświstał w otwartym oknie. Trzęsąc się w bieliźnie i koszuli, usiadł na podłodze i oparł się o łóżko.

"To powinno być dostatecznie niewygodne".

Jego myśli, zmartwienia i strachy niosły ze sobą gorycz. Ale obok niej pojawiła się również determinacja.

"Nie poddam się. Nigdy!"

Wciąż drżał, kiedy sen niespodziewanie nadszedł. Płytki półsen, który przepelniała świadomość otaczającego go pokoju i panującego w nim zimna. Ale złe sny, które pojawiły się wkrótce i tak były lepsze od niektórych innych.

W ciemnościach nocy Rand skulił się pod gałęziami drzewa, obserwując wielkiego, potężnie zbudowanego czarnego psa, który przechodził koło jego kryjówki. Bok bolał go, odzywała się rana, której Moiraine nie potrafiła do końca uzdrowić, ale nie zwracał na to uwagi. Księżyc dawał ledwie tyle światła, by wyróżnić pośród mroku sylwetkę wysokiego psa z grubym karkiem i masywną głową oraz zębami, które zdawały się lśnić niczym mokre srebro. Pies wciągnął powietrze w nozdrza i potruchtał w jego kierunku.

"Bliżej – pomyślał. – Chodź bliżej. Tym razem nie dam ci ostrzec twego pana. Bliżej. Tak, dobrze".

Pies znajdował się w odległości jakichś dziesięciu kroków od niego, w jego piersi nabrzmiwał głuchy pomruk. Nagle skoczył naprzód. Prosto na Randa.

Moc wypełniła go. Coś wyskoczyło z wyciągniętej dłoni, ale nie był pewien, co to było. Wstęga białego światła, mocna jak stal. Płynny ogień. Przez chwilę, pochwycony światłem pies zdawał się przezroczysty, a potem zniknął.

Białe światło zniknęło również, tylko powidok płonął Randowi przed oczyma. Oparł się o pień najbliższego drzewa, grymas uśmiechu wypełził mu na twarz. Wstrząsnęło nim poczucie ulgi i bezgłośny śmiech.

"To działa. Światłości uratuj, tym razem naprawdę zadziałało".

Nie zawsze tak było. Tej nocy spotkał już inne psy.

Jedyna Moc pulsowała w nim, żołądek skręcał się, czując skazę Czarnego na *saidinie*, miał ochotę zwymiotować. Mimo chłodu nocy, pot kroplami spływał mu po twarzy, a w ustach czuł smak wymiocin. Miał ochotę położyć się i umrzeć. Pragnął, aby Nynaeve dała mu swoje lekarstwa, albo żeby Moiraine go uzdrowiła, albo... Coś, cokolwiek, aby zatrzymać duszące go nudności.

Ale *saidin* jednak przepelniał go życiem. Życie, energia i świadomość przebiły w końcu dławiącą go powłokę choroby. Życie bez *saidina* było tylko wyblakłą kopią. Wszystko pozostałe to tylko mizerna imitacja.

"Ale oni mogą mnie znaleźć, jeśli będę tak leżał. Wytropić mnie, dopaść. Muszę dotrzeć do Łzy. Tam się przekonam. Jeżeli jestem Smokiem Odrodzonym, wszystko wreszcie się skończy. Jeżeli nie jestem... To kłamstwo, wszystko musi się skończyć. Koniec".

Niechętnie, zdawałoby się, nieskończenie powoli, przerwał kontakt z *saidinem*, porzucił jego uścisk, jak wydaje się ostatnie tchnienie. Noc zdała się wypłwiała. Cienie straciły swoje nieskończenie ostre kształty i zlały się ze sobą.

W oddali, na zachodzie, zawył pies, przejmującym głosem pośród ciszy.

Rand uniósł głowę. Spojrzał w kierunku głosu, jakby mógł zobaczyć psa, gdyby się tylko odpowiednio postarał.

Drugi pies odpowiedział pierwszemu, a potem kolejny i jeszcze dwa. Ich głosy dobiegały z zachodu.

– Ścigajcie mnie – parsknął Rand. – Ścigajcie mnie, jak długo chcecie. Nie jestem łatwą ofiarą. Już nie!

Oderwał się od drzewa, przebrnął przez płytki, zimny strumień, a potem równym truchtem ruszył na wschód. Zimna woda chlupotała mu w butach, rana w boku bolała, ale nie zwracał na nic uwagi. Za jego plecami noc znowu była cicha, ale to również zignorował.

"Ścigajcie mnie. Ja również potrafię polować. Nie jestem łatwą zdobyczą".

ROZDZIAŁ 10

TAJEMNICE

Nie zwracając przez chwilę uwagi na swe towarzyszki, Egwene al' Vere stanęła w strzemiionach, mając nadzieję zobaczyć w dali przelotny widok Tar Valon, ale dojrzała tylko niewyraźne lśnienie bieli w świetle poranka. Musi być to jednak miasto na wyspie. Samotna góra ze świątym wierzchołkiem, zwana Górą Smoka, wznosiła się nad pofałdowaną równiną, ona pierwsza pojawiła się na horyzoncie, późnym popołudniem poprzedniego dnia, a wszak leżała po tej samej stronie Rzeki Erinin co Tar Valon. Góra stanowiła znak – poszczerbiony kiel sterczący z pagórków równiny – łatwo widoczny z daleka, nietrudny do ominięcia, jak czynili wszyscy, nawet ci, którzy zdążyli do Tar Valon.

Góra Smoka była miejscem, gdzie umarł Lews Therin Zabójca Rodu, tak przynajmniej powiadano. Dużo jeszcze innych rzeczy mówiono na temat tej góry. Proroctwa i ostrzeżenia. Wystarczająco dobre powody, by trzymać się z dala od jej czarnych zboczy.

Ona zaś miała powody, i to więcej niż jeden, aby postąpić wręcz przeciwnie. Tylko w Tar Valon mogła otrzymać wyszkolenie, którego potrzebowała, wyszkolenie, które otrzymać musiała.

"Nigdy więcej nie dam się wziąć na smycz! – Odepchnęła tę myśl i wszystko, co się z nią wiązało, ale ona powróciła ponownie. – Nigdy nie dam sobie odebrać wolności!"

W Tar Valon Anaiya podejmie z powrotem badania jej snów, wcześniej zajmowały się nią również inne Aes Sedai, nie udało im się jednak stwierdzić w przekonujący sposób, czy Egwene jest Śniącą, jak to podejrzewała Anaiya. Jej sny stawały się coraz bardziej kłopotliwe od czasu, gdy opuściły Równinę Almoth. Oprócz snów o Seanchanach – a z nich wciąż budziła się złana potem – coraz częściej śniła o Rundzie. Rund uciekający. Uciekający w kierunku czegoś, ale również uciekający przed czymś.

Wyteżyła wzrok, spoglądając w kierunku Tar Valon. Anaiyu czeka tam na nią.

"I Galad, zapewne również. – Mimowolnie pokraśniała i spróbowała wygnać go ze swoich myśli. – Myśl o pogodzie. Myśl o czymkolwiek innym. Światłości, ale myśleć o nim jest tak przyjemnie".

Pora roku była wczesna, zima stanowiła wciąż niedawne wspomnienie, śniegi pokrywały jeszcze Górę Smoka, ale tutaj, poniżej, już topniały. Świeże źdźbła przebijały się przez brązową powłokę zeszłorocznej trawy, a tam gdzie z rzadka rozsiane na szczytach wzgórz rosły drzewa, można było dostrzec świeże pędy tegorocznych roślin. Po zimie spędzonej w podróży, całych dniach uwięzienia z powodu burzy w jakiejś wiosce lub obozowisku, albo przedzierania się w śniegu sięgającym po końskie brzuchy, kiedy między wschodem a zachodem słońca udawało im się pokonać mniejszą odległość niżli pieszo w ciągu połowy tego czasu przy lepszej pogodzie, dobrze było zobaczyć oznaki nadchodzącej wiosny.

Egwene odrzuciła swój gruby, wełniany płaszcz do tyłu, opadła w głębokie siodło i wygładziła suknie niecierpliwym gestem. Spojrzenie jej ciemnych oczu wyrażało niesmak. Zbyt długo już nosiła tę suknię, własnoręcznie rozciętą i zszytą na dole w celu ułatwienia konnej jazdy, ale jedyna zapasowa była jeszcze bardziej paskudna. Ponadto w tym samym kolorze, wstrętnej ciemnej szarości Wziętych na Smycz. Wiele tygodni temu, gdy zaczynały swą podróż do Tar Valon, do wyboru miała jednak tylko tę barwę albo nic.

– Przysięgam, że nigdy już nie założę szarego, Bela zwróciła się do swego kudłatego wierzchowca, klepiąc klacz po szyi.

"I tak nie będę miała żadnego wyboru, gdy wrócimy do Białej Wieży" – pomyślała.

W Wieży wszystkie nowicjuszeki nosiły białe suknie.

– Znowu mówisz do siebie? – zapytała Nynaeve, podjeżdżając bliżej na swym gniadoszu.

Obie kobiety były równego wzrostu i podobnie ubrane, ale różnica wzrostu ich wierzchowców powodowała, że była Wiedząca z Pola Emonda wydawała się wyższa. Nynaeve zmarszczyła brwi i szarpnęła za gruby warkocz czarnych włosów zwisający jej przez ramię w taki sposób, jak zawsze, gdy była zdenerwowana lub zmartwiona, albo gdy przygotowywała się, by być szczególnie uparta, wyjątkowo, nawet jak na jej nieustępliwy charakter. Pierścień z Wielkim Wężem na jej palcu czynił z niej Przyjętą, jeszcze nie Aes Sedai, ale już o duży krok bliżej, niżli znajdowała się Egwene.

– Lepiej byłoby, gdybyś zwracała więcej uwagi na otoczenie.

Egwene powstrzymała swój język i nie odpowiedziała, że przecież rozglądała się, próbując dostrzec Tar Valon.

"Czy jej się wydaje, że stoję w strzemionach tylko dlatego, iż nie lubię swego siodła?"

Nynaeve zbyt często zdawała się zapominać, że nie jest już Wiedzącą z Pola Emonda, zaś Egwene nie jest dzieckiem.

"Ale ona nosi pierścień, a ja nie. Jeszcze nie! Dla niej więc oznacza to, że nic się nie zmieniło".

– Czy zastanawiałaś się, jak Moiraine traktuje Lana? – zapytała słodko i miała swój moment przyjemności, gdy Nynaeve ostro szarpnęła swój warkocz.

Przyjemność jednakże szybko się rozwiała. Raniące uwagi nie przychodziły jej w sposób naturalny, a jednocześnie wiedziała, że uczucia Nynaeve do strażnika można porównać do poszarpanego przez kociaka kłębka wełny. Ale Lan nie był kociakiem, a Nynaeve powinna coś zrobić z nim, zanim jej tępo-uparta wyniosłość spowoduje, iż wścieknie się do tego stopnia, że gotowa będzie go zabić.

Razem było ich sześcioro, wszyscy przyodziani byli wystarczająco zwykle, aby nie odstawać na tle mieszkańców wiosek i małych miasteczek, których spotykali po drodze, a jednak stanowili najdziwniejsze towarzystwo, jakie ostatnimi czasy przekroczyło Stepy Caralain, cztery kobiety, a na dodatek jeden z mężczyzn na noszach niesionych przez dwa konie. Koniom tym dodatkowo przytroczono do grzbietów juki z zapasami na dłuższe etapy podróży, kiedy to na ich drodze nie leżała żadna wioska.

"Sześcioro ludzi – pomyślała Egwene – a jak wiele tajemnic?"

Dzielili ze sobą więcej niż jeden sekret i to z rodzaju takich, które lepiej zatrzymać dla siebie, zapewne nawet również w Białej Wieży.

"W domu życie było prostsze".

– Nynaeve, czy myślisz, że z Randem wszystko w porządku? I z Perrinem? – dodała szybko.

Nie miała już podstaw, by utrzymywać, iż pewnego dnia poślubi Randa, obecnie wszystkim, czego mogłaby oczekiwać, były właśnie takie próżne pretensje. Nie lubiła tej myśli – nie do końca jeszcze do niej przywykła – ale wiedziała, że to prawda.

– Twoje sny? Czy znowu męczą cię sny?

W głosie Nynaeve brzmiała troska, Egwene jednak nie była w nastroju do przyjmowania wyrazów współczucia.

Postarała się, aby jej głos zabrzmiał tak zwyczajnie, jak to tylko było możliwe.

– Z plotek, które słyszałyśmy, nie potrafię osądzić, co mole się dzieć. To wszystko, co wiem, jawi się w sposób tak niejasny, tak zły.

– Wszystko zaczęło się źle dzieć, od kiedy Moiraine wkroczyła w nasze życie. – Szorstko podsumowała Nynaeve. – Perrin i Rand...

Zawahala się, skrzywiła. Egwene pomyślała, że wszystko to, czym stał się Rand, Nynaeve przypisuje machinacjom Moiraine.

– Odtąd będą musieli sami o siebie zadbać. Obawiam się, że my same mamy czego się obawiać. Coś jest nie tak. Mogę to... wyczuć.

– Wiesz co? – zapytała Egwene.

– Czuję to, jakbym przeczuwała burzę. – Ciemne oczy Nynaeve uważnie wpatrywały się w niebo, czyste i błękitne, po którym płynęło tylko kilka rozproszonych chmur. Ponownie potrząsnęła głową. – Jakby nadchodziła burza.

Nynaeve zawsze potrafiła przepowiadać pogodę. Nazywano to słuchaniem wiatru, oczekując tej umiejętności po Wiedzącej z każdej wioski, choć w istocie wiele z nich nie miało o całej sprawie bladego pojęcia. Jednak od czasu opuszczenia Pola Emonda zdolności Nynaeve rozwinęły się, ulegając jednocześnie odmianie. Burze, które wyczuwała niekiedy, targały raczej ludźmi niż ziemią.

Egwene w zamyśleniu zagryzła dolną wargę. Nie mogą sobie pozwolić, by teraz coś je zatrzymało, albo opóźniło. ich podróż, nie po tym, jak dotarły tak daleko, nie u samych nieomal bram Tar Valon. Dla dobra Mata oraz z powodów, które jej umysł uznałby za znacznie ważniejsze niż życie jednego wiejskiego chłopca, przyjaciela jej dzieciństwa, których natomiast jej serce z pewnością nie oceniłoby tak wysoko. Spojrzała po pozostałych, zastanawiając się, czy ktokolwiek coś dostrzegł.

Verin Sedai, niska i pulchna, ubrana we wszelkie odcienie brązów, jechała zdając się zupełnie pogrążona w myślach, kaptur płaszcza nasunęła głęboko na czoło, tak że nieomal skrywał twarz, zajmowała miejsce w przodzie, ale jej koń szedł nie prowadzony i nie poganiany, swoim własnym krokiem. Należała do Brązowych Ajah, a one zazwyczaj bardziej troszczyły się o poszukiwanie wiedzy niż o cokolwiek innego w świecie. Egwene jednakże nie była zupełnie przekonana o całkowitej obojętności tamtej na świat zewnętrzny. Przyłączając się do nich, Verin głęboko utkwiła w sprawach tego świata.

Elayne, dziewczyna w wieku Egwene, również nowicjuszka, złotowłosa i niebieskooka – Egwene była ciemna – jechała z tyłu, obok noszy, na których leżał nieprzytomny Mat, odziana zresztą w takie same szarości jak Nynaeve i Egwene. Patrzyła na niego zmartwiona, wszystkie odczuwały podobnie. Mat od trzech dni nie podnosił się. Chudy, długowłosy mężczyzna, jadący po przeciwnej stronie noszy, zdawał się spoglądać wszędzie, nie dostrzegając jednak niczego, głębokie zmarszczki na jego twarzy znamionowały wysiłek koncentracji.

– Hurin – powiedziała Egwene, a Nynaeve przytaknęła.

Zwolniły, pozwalając koniom niosącym nosze dogonić je. Verin została z przodu.

– Czy czujesz coś, Hurin? – zapytała Nynaeve.

Elayne oderwała wzrok od Mata, w jej oczach rozblęskło nagłe zainteresowanie.

Czując wbite w siebie spojrzenia trojga kobiet, chudzielec poruszył się niespokojnie w swym siodle i potarł grzbiet długiego nosa.

– Kłopoty – odrzekł, grzecznie i niechętnie zarazem. – Sądzę, że może... kłopoty.

Łowca złodziei króla Shienaru nie nosił czuba, na jaki w tamtych stronach zazwyczaj wojownicy strzygli włosy, jednakże wiszący u pasa krótki miecz i zębaty łamacz mieczy nosiły ślady częstego użytku. Lata doświadczeń rozwinęły w nim jakiś talent wyczuwania złoczyńców, szczególnie tych, którzy dopuszczali się przemocy.

Dwukrotnie w czasie tej podróży doradził im opuszczenie danej wioski po pobycie nie trwającym nawet godziny. Za pierwszym razem wszystkie odmówiły, tłumacząc się nadmiernym zmęczeniem, ale nim minęła noc, karczmarz i dwóch mężczyzn z wioski próbowało zarzącać ich

podczas snu. Byli tylko zwykłymi złodziejami, nie zaś Sprzymierzeńcami Ciemności, połakomili się na ich konie i domniemaną zawartość juków oraz toreb. Ale reszta mieszkańców wioski wiedziała o wszystkim i najwyraźniej uważała obcych za swój sprawiedliwy łup. Zostali zmuszeni do ucieczki przez motłoch wymachujący styliskami toporów i widłami. Za drugim razem Verin nakazała jechać dalej, gdy tylko Hurin się odezwał.

Ale łowca złodziei zawsze był ostrożny, kiedy zwracał się do swoich towarzyszy. Z wyjątkiem Mata, kiedy jeszcze tamten mógł mówić – obaj żartowali często i grali w kości, kiedy żadnej z kobiet nie było w pobliżu. Egwene sądziła, iż powodem jego niepokoju może być konieczność samotnego przebywania w towarzystwie Aes Sedai oraz trzech kobiet przygotowujących się do zostania pełnymi siostrami. Niektórzy mężczyźni woleliby raczej uczestniczyć w boju, niżli stanąć przed obliczem Aes Sedai.

– Jaki rodzaj kłopotów? – zapytała Elayne.

Powiedziała to dosyć lekkim tonem, ale była w nim tak wyraźnie wyczuwalna nuta oczekiwania, iż odpowiedź zostanie jej udzielona i to do tego natychmiast, że Hurin otworzył usta.

– Czuję... – Przerwał zaraz i zamrugał, jakby zaskoczony, jego wzrok wędrował od jednej kobiety do drugiej. – Po prostu czuję coś – rzekł na koniec. – To... przecucie. Widziałem ślady, wczoraj i dzisiaj. Wiele koni. Dwadzieścia lub trzydzieści idących w tę stronę, tyleż samo w drugą. To wszystko. Przecucie. Ale mówię wam, że oznacza to kłopoty.

Ślady? Egwene ich nie dostrzegła. Nynaeve powiedziała ostro:

– Nie dostrzegłam w nich niczego, co mogłoby być przyczyną zmartwień. – Nynaeve z dumą twierdziła o sobie, że jest równie dobrym tropicielem jak każdy mężczyzna. – Pochodziły sprzed wielu dni. Dlaczego sądzisz, że oznaczają kłopoty?

– Po prostu sądzę, że może tak być – powiedział powoli Hurin, tak jakby chciał coś jeszcze dodać. Spuścił oczy, potarł nos i głęboko wciągnął powietrze. – Dawno temu już minęliśmy ostatnią wioskę – wymamrotał. – Kto wie, jakie wieści z Falme wyprzedziły nas po drodze? Możemy nie doznać tak życzliwego powitania, jakiego się spodziewamy. Sądzę, że ci ludzie mogą być rozbójnikami, zabójcami. Powinniśmy się strzec, tak sądzę. Gdyby Mat trzymał się na nogach, mógłbym jechać do przodu, na zwiady, ale w takiej sytuacji lepiej chyba będzie, jeżeli nie zostawię was samych.

Brwi Nynaeve uniosły się do góry.

– Czy uważasz, że same nie potrafimy o siebie zadbać?

– Jedyna Moc na nic się wam nie przyda, jeżeli ktoś zabije was, zanim zdążycie jej użyć – powiedział Hurin, patrząc na wysoki łęk swego siodła. – Bardzo przepraszam, ale sądzę, że... że przez pewien czas pojedę obok Verin Sedai.

Pognał konia naprzód, zanim któraś z nich zdążyła przemówić powtórnie.

– A oto niespodzianka – zauważyła Elayne, gdy Hurin zwolnił w niewielkiej odległości od Brązowej siostry. Verin zdawała się nie bardziej go zauważać niż resztę otoczenia, jemu zaś taka sytuacja najwyraźniej odpowiadała. – Trzymał się od Verin tak daleko, jak to tylko było możliwe, nawet kiedy już opuściliśmy Głowę Tomana. Zawsze spoglądał na nią w taki sposób, jakby bał się tego, co może zaraz powiedzieć.

– Szacunek dla Aes Sedai nie musi zaraz oznaczać, że się ich boi – zauważyła Nynaeve, a po chwili dodała niechętnie – że się nas boi.

– Jeżeli on uważa, że grożą nam jakieś kłopoty, powinniśmy go wysłać na zwiady. – Egwene wciągnęła głęboko powietrze i obdarzyła kobiety spojrzeniem tak pozbawionym wyrazu, jak to tylko możliwe. – Jeżeli przydarzą się nam jakieś kłopoty, jesteśmy w stanie lepiej się obronić, niżby on

potrafił, mając setkę żołnierzy za sobą.

– On o tym nie wie – zwróciła uwagę Nynaeve, tonem pozbawionym emocji – a ja nie mam zamiaru mu mówić. Ani nikomu innemu.

– Mogę sobie wyobrazić, co Verin miałyby na ten temat do powiedzenia. – W głosie Elayne brzmiał niepokój. – Chciałabym mieć choć odrobinę pojęcia, ile ona właściwie wie. Egwene, nie wiem, czy moja matka będzie w stanie mi pomóc, gdy Amyrlin się dowie, w jeszcze większym stopniu dotyczy to was dwóch. Nie wiem nawet, czy w ogóle spróbuje. – Matka Elayne była królową Andoru. – Była w stanie nauczyć się niewiele o Mocy, zanim opuściła Białą Wieżę, a jednak żyła, jakby wyniesiono ją do godności pełnej siostry.

– Nie możemy pokładać naszej nadziei w Morgase oznajmiła Nynaeve. – Ona jest w Caemlyn, a my będziemy w Tar Valon. Nie, możemy się znaleźć w wystarczających kłopotach, ze względu na to, w jaki sposób wyjechałyśmy, niezależnie od tego, co przywozimy z powrotem. Najlepiej będzie, jeżeli będziemy siedzieć cicho, zachowywać się pokornie i nie robić nic, by zwracać na siebie więcej uwagi, niżli to już miało miejsce.

Innym razem Egwene śmiałyby się z samego wyobrażenia Nynaeve zachowującej się pokornie. Nawet Elayne potrafiłaby to zrobić lepiej. Teraz jednak nie było jej do śmiechu.

– A jeżeli Hurin ma rację? Jeśli zostaniemy zaatakowane? Nie potrafi obronić nas przed dwudziestoma czy trzydziestoma ludźmi, a gdy będziemy czekać, aż Verin coś zrobi, możemy dawno już być martwe. Sama powiedziałaś, że wyczuwasz burzę w powietrzu, Nynaeve.

– Rzeczywiście? – zapytała Elayne. Rudozłote loki zafalowały, gdy potrząsnęła głową. – Verin nie spodoba się, jeśli my... – Urwała. – Cokolwiek spodoba się, albo nie spodoba Verin, być może będziemy musiały.

– Zrobię, co musi być zrobione – ucięła ostro Nynaeve – gdy coś rzeczywiście trzeba będzie zrobić, a wy dwie będziecie uciekać, gdy się okaże to konieczne. W Białej Wieży mogą sobie ile chcą plotkować o waszych możliwościach, ale nie sądzę, by nie miały was obu ujarzmić, jeżeli Tron Amyrlin albo Komnata Wieży uznają, że jest to konieczne.

Egwene z trudem przełknęła ślinę.

– Jeżeli za to mają nas ujarzmić – powiedziała słabym głosem – w takim razie ciebie to również czeka. Powinnyśmy uciec razem albo działać razem. Hurin miał rację w tym, co powiedział przed chwilą. Jeżeli chcemy przeżyć po to, by doczekać kłopotów, jakie spodziewamy się zastać w Wieży, możemy być zmuszone... zrobić to, co będzie konieczne.

Egwene zadrżała. Ujarzmiona. Odcięta od *saidara*, żeńskiej połowy Prawdziwego Źródła. Jedynie kilka Aes Sedai kiedykolwiek ściągnęło na siebie taką karę, jednakże były czyny, za które Wieża domagała się ujarznienia. Od nowicjuszek wymagano, by wyuczyły się na pamięć imion każdej ujarzmionej Aes Sedai oraz popełnionych przez nie zbrodni.

Cały czas wyczuwała Źródło, tu i teraz, tuż za granicą pola widzenia, niczym południowe słońce zagładające jej przez ramię. Jeżeli zdarzało się, a zdarzało się dosyć często, że nie pochwyciła niczego, starając się dotknąć *saidara*, pragnienie wciąż w niej trwało. Im częściej jednak sięgała poń, tym bardziej tego pragnęła, pragnęła przez cały czas, nie dbając, co Sheriam Sedai, Mistrzynie Nowicjuszek, mówiła o niebezpieczeństwach nadmiernego zagłębiania się we wrażliwości, jakie dawała Jedyna Moc. Być od niego odcięta, wciąż zdolną do wyczuwania go, ale nigdy już go nie dotknąć...

Obie pozostałe kobiety najwyraźniej również straciły ochotę do rozmowy.

Aby pokryć drżenie, które ją opanowało, pochyliła się w siodle nad łagodnie rozkołysanymi noszami. Koce Mata były splecione, odsłaniały rzeźbiony sztylet w złotej pochwie, z rękojęścią

zwieńczoną rubinem wielkości gołębiego jaja. Uważając, by nie dotknąć sztyletu, naciągnęła koce ponownie na jego dłoń. Był jedynie kilka lat starszy od niej, ale zapadnięte policzki i ziemista cera postarzały go. Chrapliwy oddech ledwie unosił piersi. Zniszczony, skórzany worek leżał tuż przy jego boku. Przesunęła koce, tak by go również przykrywały.

"Musimy dowieźć Mata do Wieży – pomyślała. No i worek."

Nynaeve również pochyliła się nad nieprzytomnym, przykładając mu dłoń do czoła.

– Coraz bardziej gorączkuje. – W jej głosie brzmiał niepokój. – Gdybym tylko miała korzeń nietrapki oraz żywokost.

– Być może Verin mogłaby spróbować ponownie uzdrawiania – zaproponowała Elayne.

Nynaeve potrząsnęła głową. Przyglądała włosy Mata i westchnęła, potem wyprostowała się w siodle.

– Mówi, że zrobiła już wszystko, by utrzymać go przy życiu, a ja jej wierzę. Ja... próbowałam sama go uzdrowić zeszłej nocy, ale nic się nie zdarzyło.

Elayne wstrzymała oddech.

– Sheriam Sedai mówiła, że nie wolno nam próbować uzdrawiania, dopóki po sto razy nie przerobimy tego pod nadzorem nauczycielki.

– Mogłaś go zabić – powiedziała ostro Egwene.

Nynaeve parsknęła głośno.

– Uzdrowiałam, zanim w ogóle pomyślałam o wyjeździe do Tar Valon, nawet jeśli nie wiedziałam, że właśnie to robię. Ale wygląda na to, że potrzebuję swoich lekarstw, żeby to zadziałało. Gdybym miała choć odrobinę nietrapki. Nie wydaje mi się, by zostało mu dużo czasu. Godziny, może.

Egwene pomyślała, że w jej głosie można wyczytać tyleż samo zmartwienia stanem Mata, ile wiedzą na temat tego stanu. Ponownie zastanowiła się, dlaczego właściwie Nynaeve zdecydowała się pojechać na nauki do Tar Valon: Nauczyła się przenosić zupełnie bezwiednie, nawet jeśli nie zawsze była w stanie kontrolować sam akt i przetrwała kryzys, który zwykł zabijać trzy z czterech kobiet, które uczyły się bez przewodnictwa Aes Sedai. Nynaeve powiadała, że chciała się nauczyć więcej, często jednak wydawała się tak niechętna jak dziecko, któremu aplikuje się korzeń baraniego języka.

– Wkrótce dowieziemy go do Tar Valon – próbowała pocieszyć ją Egwene. – Tam będą w stanie go uzdrowić. Amyrlin zajmie się nim. Wszystkim się zajmie.

Nie spojrziała nawet w kierunku noszy Mata i miejsca gdzie w jego nogach koc zakrywał torbę. Pozostałe kobiety również z rozmysłem unikały spoglądania w tamtą stronę. Były tajemnice, których pozbędą się z ulgą.

– Jeźdźcy – oznajmiła nagle Nynaeve, ale Egwene zobaczyła ich w tym samym momencie.

Ponad dwudziestu jeźdźców pojawiło się na szczycie niskiego wzniesienia przed nimi, białe płaszcze łopotały, kiedy galopem pędzili w ich kierunku.

– Synowie Światłości. – Elayne wypluła to z siebie jak przekleństwo. – Sądzę, że właśnie napotkaliśmy twoją burzę i Hurinowe kłopoty.

Verin ściągnęła cugle swego wierzchowca, jednocześnie kładąc dłoń na ramieniu Hurina, który już się sposobił do miecza. Egwene dotknęła lekko pierwszego z koni idących z noszami, który zatrzymał się tuż za zażywną Aes Sedai.

– Pozwólcie, że ja z nimi porozmawiam, dzieci – powiedziała pogodnie Aes Sedai, zdejmując jednocześnie z głowy kaptur i odsłaniając siwe włosy. Egwene nie miała pojęcia, ile właściwie lat może mieć Verin, sądziła, że tamta mogłaby być jej babką, jednak siwe pasma we włosach stanowiły

jedyną oznakę wieku u Aes Sedai. – I cokolwiek zechciałybyście zrobić, nie dajcie się im rozgniewać.

Twarz Verin była równie spokojna jak jej głos. Egwene wydało się jednak, iż Aes Sedai mierzy wzrokiem odległość od Tar Valon. Widać już było szczyty wież oraz zawieszony w górze most, łukiem przecinający rzekę, wysoki na tyle, by mogły przepływać pod nim statki handlowe, które kursowały po rzece.

"Wystarczająco blisko, by zobaczyć – pomyślała Egwene – ale dostatecznie daleko, by nic z tego nie przyszło".

Przez krótki moment zdawało jej się, iż nadjeżdżający jeźdźcy zechcą wykonać na nich szarżę, ale ich przywódca podniósł dłoń i gwałtownie ściągnęli wodze. Zatrzymali się ledwie czterdzieści kroków przed nimi, wzniesając spod kopyt obłok ziemi i kurzu.

Nynaeve wymruczała coś gniewnie pod nosem, a Elayne usiadła sztywna i pełna dumy, jakby nieomal chciała zwymyślać Białe Płaszcz za brak manier. Hurin opierał wciąż dłoń na rękojeści miecza, zdawał się gotów wyciągnąć go w obronie kobiet, nie bacząc na to, co powiedziała Verin. Verin lekko pomachała dłonią przed twarzą, aby odegnać kurz. Jeźdźcy w białych płaszczach ustawili się w łuk, zdecydowani zablokować im przejazd.

– Dwie więdźmy z Tar Valon, o ile mnie oczy nie mylą, czy tak? – zaczął dowódca z nieznacznym uśmiechem, który ściągał mu twarz. W jego oczach lśniła arogancja, jakby znał jakąś prawdę, której pozostali głupcy niebyli w stanie dostrzec. – I dwie młode larwy oraz dwa pieski łańcuchowe, jeden chory, a drugi stary.

Hurin zjeżył się, ale Verin go powstrzymała.

– Dokąd jedziecie? – zażądał odpowiedzi Biały Płaszcz.

– Przybywamy z zachodu – odrzekła łagodnie Verin. – Jedźcie dalej swoją drogą i pozwólcie nam przejechać. Synowie Światłości nie mają na tych terenach żadnej władzy.

– Synowie Światłości mają władzę wszędzie tam, gdzie panuje Światłość, a gdzie jej nie ma, tam ją krzewimy. Odpowiedz na moje pytanie! Czy też muszę zabrać cię do swego obozu, a tam będziesz odpowiadać przed Śledczymi?

Mat nie zniesie żadnej dłuższej zwłoki, musi natychmiast otrzymać pomoc w Tar Valon. A co ważniejsze – Egwene skrzywiła się na samą myśl, że potrafi tak wartościować co ważniejsze, nie mogą pozwolić sobie, by zawartość tej torby wpadła w ręce Białych Płaszczy.

– Odpowiedziałam ci – kontynuowała Verin, wciąż spokojnym głosem – i to dużo grzeczniej niżby ci się należało. Czy naprawdę sądzisz, że potrafisz nas zatrzymać?

Niektórzy z Białych Płaszczy unieśli swe łuki, jakby wypowiedziała wyzwanie, ona jednak nie zrażona ciągnęła dalej, nie podnosząc nawet odrobinę głosu.

– W niektórych krajach wasze groźby mogą mieć jakieś znaczenie, ale nie tutaj, w zasięgu wzroku od Tar Valon. Czy rzeczywiście uważasz, że w tym miejscu będzie ci wolno wyrządzić najmniejszą choćby krzywdę, Aes Sedai?

Oficer poruszył się niespokojnie w swym siodle, jakby nagle zwątpił w możliwość poparcia czynem wypowiedzianych słów. Potem obejrzał się na swoich ludzi – albo po to, by upewnić się co do ich poparcia, albo dlatego, żeby przypomnieć sobie, iż na niego patrzą – i wziął się w garść.

– Nie boję się twoich sztuczek Sprzymierzeńca Ciemności, więdźmo. Odpowiedz mi albo odpowiesz przed Śledczymi.

Jego głos nie rozbrzmiewał już z taką siłą, jak poprzednio.

Verin otworzyła usta, jakby przygotowując się na dalsze prowadzenie tej bezsensownej pogaduszki, ale zanim zdążyła przemówić, Elayne wysunęła się naprzód, a w jej głosie rozbrzmiał

ton rozkazu.

– Jestem Elayne, Córka-Dziedziczka Andoru. Jeżeli natychmiast nie ustąpicie nam z drogi, będziesz odpowiadał przed królową Morgase, Biały Płaszczu!

Verin aż syknęła ze złości.

Biały Płaszcz przez chwilę wyglądał na zaskoczonego, ale potem roześmiał się.

– Tak sądzisz, nieprawdaż? Być może ze zdumieniem przekonasz się, że Morgase nie darzy już wiedźm taką miłością, dziewczyno. Jeżeli odbiorę im ciebie i przywiozę do domu, tylko mi za to podziękuj. Lord Kapitan Eamon Valda będzie bardzo zadowolony z możliwości porozmawiania z tobą, Córko-Dziedziczko Andoru.

Podniósł dłoń, ale czy to chcąc gestem podkreślić swe słowa, czy też, aby dać znak swoim ludziom, tego Egwene nie potrafiła powiedzieć. Niektórzy z Białych Płaszczy pochwycili wodze.

"Nie ma na co już czekać – pomyślała. – Nie dam ponownie zakuć się w łańcuchy!"

Otworzyła się na Jedyną Moc. Było to proste ćwiczenie, a w wyniku długiej praktyki powiodło się jej zdecydowanie szybciej niż na początku, kiedy spróbowała po raz pierwszy. W mgnieniu oka opróżniła umysł ze wszystkich myśli i emocji, pozostawiając tylko pojedynczą różę, unoszącą się w pustce. To ona była tą różą i otwierała się na światło, otwierała się na *saidara*, żeńską połowę Prawdziwego Źródła. Moc zalała ją, grożąc uniesieniem. Było to tak, jakby przepełniło ją światło, Światłość, jak bycie jednym ze Światłością we wspaniałej ekstazie. Zmagala się teraz z wabiącą potęgą strumienia, aby nie dać się przepełnić; skupiła uwagę na ziemi pod kopytami wierzchowca oficera Białych Płaszczy. Na małym skrawku ziemi, nie miała ochoty nikogo zabijać.

"Nie weźmiesz mnie!"

Dłoń mężczyzny wciąż trwała zawieszona w górze. Grunt przed nim z wyciem eksplodował, unosząc w górę, na wysokość jego głowy, fontannę ziemi i skały. Koń Białego Płaszczu kwiknął, stanął dęba, a on sam stoczył się na ziemię bezwładnie jak worek.

Zanim runął, Egwene już skupiła się na pozostałych Białych Płaszczach, ziemia wytrysnęła kolejną eksplozją. Bela dała kilka kroków w bok, ale kolanami i wodzami zachowywała pełną kontrolę nad klaczą, nawet o tym nie myśląc. Owinięta w pustkę, zdziwiła się na widok trzeciej eksplozji, która nie była jej dziełem, a potem czwartej. W odległy sposób świadoma była obecności Nynaeve i Elayne, obie otaczała poświata, która dowodziła, że również objęły *saidara*, zostały objęte przez niego. Aury tej nie dostrzegłby nikt prócz kobiet potrafiących przenosić, jednak rezultaty widoczne były dla wszystkich. Eksplozje nękały Synów Światłości ze wszystkich stron, zasypując ich ziemią, przeszywając hałasem, wzniecając popłoch wśród koni.

Hurin rozglądał się wokół siebie z otwartymi ustami, najwyraźniej równie przerażony jak tamci, desperacko starał się pohamować popłoch wśród koni. Verin spoglądała na wszystko szeroko rozwartymi oczyma, w których błyszczało zdziwienie i gniew. Jej usta poruszały się z wściekłością, ale cokolwiek mówiła, ginęło pośród grzmotu.

I wtedy Białe Płaszcze rzuciły się do ucieczki, niektórzy w panice porzucali swe łuki i gnali, jakby sam Czarny ich gonił. Wszyscy, prócz młodego oficera, który zbierał się z ziemi. Ze zgarbionymi plecami wstał wreszcie, tocząc dookoła oczami. Płaszcz miał powalany ziemią, podobnie zresztą jak twarz, ale zdawał się nie zwracać na to uwagi.

– Zabij mnie więc, wiedźmo – odezwał się drżącym głosem. – Dalej. Zabij mnie, jak zabiłaś mojego ojca!

Aes Sedai zignorowała go. Jej uwagę w całości zaprzętały towarzyski podróży. Uciekając jak jeden mąż, Białe Płaszcze zniknęli za tym samym wzgórzem, z którego nadjechali, jakby oni również zapomnieli o swoim oficerze. Żaden się nawet nie obejrzał. Koń oficera pobiegł za nimi.

Pod rozjuszonym spojrzeniem Verin, Egwene oswobodziła *saidara*, powoli, niechętnie. To było zawsze trudne, pozwolić mu odejść. Nawet wolniej jeszcze zniknęła poświata wokół Nynaeve. Tamta wpatrywała się z grymasem w ściągniętą twarz stojącego przed nimi Białego Płaszcz, jakby mógł wciąż być zdolny do jakiegoś podstępu. Elayne wyglądała na wstrząśniętą tym, co zrobiły.

– Co wy narobiłyście – zaczęła Verin, przerwała jednak wkrótce, by wziąć głębszy oddech. Spojrzeniem objęła wszystkie trzy naraz. – To, co zrobiłyście, to jest zbrodnia. Zbrodnia! Aes Sedai nie używa Jedynej Mocy jako broni przeciwko komukolwiek prócz Pomiotu Cienia, albo w ostatecznej potrzebie obrony swego życia. Trzy Przysięgi...

– Byli gotowi nas zabić – wtrąciła się zapalczywie Nynaeve. – Zabić nas albo zabrać na tortury. Wydawał właśnie rozkaz.

– Tak... tak naprawdę, to nie użyłyśmy Jedynej Mocy jako broni, Verin Sedai. – Elayne zadarła wysoko podbródek, ale głos jej drżał. – Nikogo nie skrzywdziłyśmy, nawet nie próbowałyśmy nikogo skrzywdzić. Z pewnością...

– Rozmawiając ze mną, nie będziesz dzielić włosa na czworo! – warknęła Verin. – Kiedy zostaniesz pełną Aes Sedai... jeżeli zostaniesz pełną Aes Sedai!... wówczas będziesz zmuszona przestrzegać Trzech Przysięg, ale nawet od nowicjuszek oczekuje się, że będą żyć tak, jakby te przysięgi już były dla nich wiążące.

– A co z nim? – Nynaeve wskazała gestem oficera Białych Płaszcz, który wciąż stał tam, gdzie poprzednio, wyglądając na zupełnie ogłuszonego. Jej twarz była napięta jak skóra na bębnie, wyglądała na równie wściekłą, co Aes Sedai. – Miał zamiar wziąć nas w niewolę. Mat umrze, jeśli szybko nie dotrzemy do Wieży, a... a...

Egwene wiedziała, czego Nynaeve nie chce powiedzieć głośno.

"A my nie możemy pozwolić, by ten worek wpadł w czyjekolwiek ręce prócz Amyrlin".

Verin obrzuciła Białego Płaszcz zmęczonym spojrzeniem.

– On próbował nas tylko zastraszyć, dziecko. Doskonale zdawał sobie sprawę, że nie zmusi nas, byśmy poszły, dokąd nie zechcemy, bez narażania się na kłopoty, na które nigdy by nie przystał. Nie tutaj, nie w zasięgu wzroku od Tar Valon. Mając trochę czasu i wkładając w to odrobinę cierpliwości, przekonałabym go, żeby nas przepuścił. Och, mógłby swobodnie spróbować nas zabić, jeżeli zrobiłby to z zasadzki, ale żaden Biały Płaszcz, odrobinę chociaż mądrzejszy od kozła, nie poważy się otwarcie podnieść ręki na Aes Sedai, która zdaje sobie sprawę z jego obecności. Zobaczcie, co narobiłyście! Jakie historie opowiedzą ci ludzie i jaką one wyrządzą nam krzywdę?

Twarz oficera poczerwieniała, gdy napomknęła o zasadzce.

– Nie jest tchórzostwem nie wyzywać otwarcie mocy, które spowodowały, że Pękł Świat – wybuchnął. – Wy więdźmy chciecie ponownie doprowadzić do tego, by Pękł Świat, albowiem działacie w służbie Czarnego!

Verin potrząsnęła głową, w jej oczach lśnił wyraz zmęczonego niedowierzania.

Egwene zapragnęła cofnąć przynajmniej część szkód, które spowodowała.

– Bardzo mi przykro z powodu tego, co zrobiłam powiedziała, zwracając się do oficera. Była zadowolona, że nie wiąże jej przysięga nie wypowiedania kłamstw, jak to jest w przypadku pełnych Aes Sedai, ponieważ to, co miała do powiedzenia w najlepszym przypadku stanowiło prawdę połowiczną. – Nie powinnam tego robić i przepraszam za to, co się stało. Pewna jestem, że Verin Sedai uzdrowi twoje skaleczenia.

Cofnął się o krok, jakby zaproponowano mu obdarcie żywcem ze skóry, a Verin parsknęła głośno.

– Przebyłyśmy długą drogę – ciągnęła dalej Egwene – aż z Głowy Tomana i gdybym nie była tak

zmęczona, nigdy nie...

– Bądź cicho, dziewczyno! – wykrzyknęła Verin w tej samej chwili, gdy Biały Płaszcz warknął:

– Głowa Tomana? Falme! Byłyście w Falme.

Cofnął się chwiejnie kolejny krok i na poły wyciągnął miecz z pochwy. Z wyrazu jego twarzy Egwene nie potrafiła osądzić, czy chce zaatakować, czy się bronić. Hurin podjechał bliżej do Białego Płaszcza, z dłonią na łamaczu mieczy, ale mężczyzna o wąskiej twarzy perorował dalej, zapluwając się z wściekłości.

– Mój ojciec zginął w Falme! Byar mi powiedział! Wy, wiedźmy, zabiłyście go dla waszego fałszywego Smoka! Postaram się, abyście odpowiedziały za to głową! Dopatrzę, byście szczyły!

– Gwałtowne dzieci – westchnęła Verin. – Niemalże równie straszne jak chłopcy, których tak często ponoszą słowa. Idź ze Światłością, mój synu – zwróciła się do Białego Płaszcza.

Bez jednego więcej słowa poprowadziła je za sobą, objeżdżając mężczyznę dookoła, ale jego krzyki goniły ich.

– Nazywam się Dain Bornhald! Zapamiętajcie to, Sprzymierzeńcy Ciemności! Doprowadzę do tego, że lękać się będziecie mojego imienia! Zapamiętajcie moje imię!

Kiedy krzyki Bornhalda ścichły z tyłu, przez pewien czas jechały w milczeniu. Na koniec Egwene przerwała ciszę, nie zwracając się do nikogo w szczególności.

– Próbowałam tylko ratować jakoś sytuację.

– Uratować! – wymruczała Verin. – Musisz się nauczyć, że jest czas, by mówić całą prawdę i czas, kiedy należy pilnować swego języka. Jest to ostatnia z lekcji, które musisz pojąć, ale ważna, jeśli masz zamiar żyć wystarczająco długo, aby nosić szal pełnej siostry. Czy nie przyszło ci do głowy, że nazwa Falme mogła nas wyprzedzić?

– Dlaczego miałoby to jej przyjść do głowy? – zapytała Nynaeve. – Ze wszystkich ludzi, których spotkałyśmy dotąd, nikt nie wiedział więcej prócz zwykłych plotek, jeśli w ogóle, a w ciągu ostatniego miesiąca prześcignęłyśmy nawet plotki.

– Czy myślisz, że wszystkie wiadomości podążają tymi samymi drogami, co my? – zareplikowała Verin. – Jechałyśmy wolno. Plotki podróżują na skrzydłach po setce ścieżek. Zawsze bądź przygotowana na najgorsze, dziecko, tym sposobem czekają cię tylko przyjemne niespodzianki.

– Co on miał na myśli, mówiąc o mojej matce? – zapytała nagle Elayne. – Musiał kłamać. Nigdy nie zwróciłaby się przeciwko Tar Valon.

– Królowe Andoru zawsze były przyjaciółkami Tar Valon, ale wszystkie rzeczy zmieniają się. – Twarz Verin była na powrót spokojna, w jej głosie jednak pobrzmiwało napięcie. Odwróciła się w siodle i objęła ich wszystkich spojrzeniem, trzy młode kobiety, Hurina, Mata na noszach. – Świat jest pełen dziwności i żadnej w nim stałości.

Wspięły się na wzgórze, przed ich wzrokiem odsłoniła się wioska, żółte, kryte dachówką dachy skupiały się wokół mostu wiodącego do Tar Valon.

– Teraz musicie się rzeczywiście pilnować – oznajmiła im Verin. – Teraz rozpoczyna się prawdziwe niebezpieczeństwo.

ROZDZIAŁ 11

TAR VALON

Mała wioska Dairein leżała nad Rzeką Erinin równie długo jak Tar Valon znajdowało się na wyspie. Jej małe domy i sklepy, z czerwonej oraz brązowej cegły, jej wyłożone kamieniem ulice stwarzały wrażenie trwałości, jednakże wioska została spalona podczas wojen z trollokami, splądrowana, gdy armie Artura Hawkwinga oblegały Tar Valon, złupiona więcej niż raz podczas Wojny Stu Lat i puszczona z dymem w czasie wojny z Aielami, niecałe dwadzieścia lat wcześniej. Dość niespokojna historia jak na jedną, małą wioskę, niemniej położenie, u stóp jednego z mostów wiodących do Tar Valon, zapewniało, iż zawsze zostanie odbudowana, niezależnie od tego, ile razy ulegnie zniszczeniu. Przynajmniej dopóki będzie stało Tar Valon.

Początkowo Egwene osądziła, że Dairein ponownie spodziewa się wojny. Czworobok pikinierów maszerował po ulicy, szeregi i rzędy jeżyły się jak wyczesana wełna, za nimi szli łucznicy w płaskich hełmach z okapami, przy bokach kołysały się pełne strzał kołczany, łuki przewiesili przez piersi. Szwadron uzbrojonych jeźdźców, o twarzach skrytych za przyłbicami hełmów, ustąpił drogi Verin i jej oddziałowi na jeden gest dłoni oficera w rękawicy. Na piersiach wszyscy nosili Biały Płomień Tar Valon niczym śnieżną łzę.

A jednak mieszkańcy wioski zajmowali się swoimi sprawami z pozorną przynajmniej beztroską, tłum zebrany na rynku rozstępował się wokół żołnierzy, jakby maszerujący oddział stanowił przeszkodę, do której wszyscy już dawno przywykli. Kilkoro mężczyzn i kobiet niosących tace pełne owoców starało się dotrzymać kroku żołnierzom, usiłując zainteresować ich pomarszczonymi jabłkami i gruszkami wydobytymi z zimowych piwnic, ale oprócz tej garstki, sprzedawcy i straganiarze nie zwracali najmniejszej uwagi na żołnierzy. Verin zdawała się również ich ignorować, gdy wiodła Egwene i pozostałych przez wioskę ku wielkiemu mostowi, wyginającemu się ponad wodą na przestrzeni co najmniej pół mili, niczym koronka upleciona z kamienia.

U wejścia na most kolejni żołnierze stali na warcie, tuzin pikinierów oraz półtora raza tyle łuczników i sprawdzali każdego, kto chciał przejść. Ich oficer, łysiejący mężczyzna, który zawiesił hełm na rękojeści miecza, wyglądał na znękanego długim szeregiem oczekujących ludzi, pieszych, konnych, na wozach ciągnionych przez woły, konie lub samych właścicieli. Szereg liczył sobie zaledwie sto kroków, ale kiedy tylko jeden z ludzi został wpuszczony na most, już następny dołączał z tyłu. Dokładnie tak samo łysiejący żołnierz zdawał się tracić czas na upewnienie się, czy dana osoba ma prawo wejść do Tar Valon, zanim wpuszczał ją do środka.

Otworzył gniewnie usta, gdy Verin poprowadziła swoją kompanię na przód kolejki, potem uważniej spojrzął na jej twarz i pośpiesznie włożył hełm na głowę. Nikt, kto spotykał się z nimi częściej, nie potrzebował ujrzeć pierścienia, by zidentyfikować Aes Sedai.

– Pomyślnego dnia, Aes Sedai – powiedział, kłaniając się i przyciskając dłoń do serca. – Pomyślnego dnia. Proszę przejdźcie, jeśli macie ochotę.

Verin ściągnęła wodze, przystając obok. W kolejce oczekujących rozległ się szmer, nikt jednak nie zaprotestował głośno.

– Kłopoty z Białymi Płaszczami, wartowniku?

"Dlaczego się zatrzymujemy?" – zastanawiała się gwałtownie Egwene.

– Czy ona zapomniała o Macie?

– Nic poważnego, Aes Sedai – odparł oficer. – Żadnych walk. Próbowali się dostać na Rynek Eldone, po drugiej stronie rzeki, ale pokazaliśmy im, że lepiej tego nie robić. Amyrlin jednak chce

mieć pewność, że nie spróbują ponownie.

– Verin Sedai – zaczęła ostrożnie Egwene – Mat...

– Za chwilę, dziecko – przerwała jej Aes Sedai, ale w jej głosie pobrzmiwało jedynie połowiczne roztargnienie. – Nie zapomniałam o nim.

Z powrotem zwróciła swą uwagę na oficera.

– A dalsze wioski?

Mężczyzna wzruszył niespokojnie ramionami.

– Potrafimy trzymać Białe Płaszcze z dala od nich, ale oni uciekają, gdy nasze patrole wchodzą do wioski. Jakby starali się nas sprowokować. – Verin pokiwała głową i już chciała pojechać dalej, ale oficer jeszcze nie skończył. – Wybacz mi, Aes Sedai, ale najwyraźniej przybyłaś tu z daleka. Czy masz jakieś wiadomości? Świeże plotki nadpływają statkiem wraz z każdą łodzią kupiecką. Powiadają, że jest nowy fałszywy Smok gdzieś na zachodzie. Cóż, utrzymują nawet, że wezwał z martwych armie Artura Hawkwinga i że poprowadził je na Białe Płaszcze, zabijając wielu i niszcząc miasto, w Falme, w Tarabon, jak powiadają.

– Mówią też, że pomagają mu Aes Sedai! – wykrzyknął jakiś męski głos z tłumu zgromadzonego w kolejce.

Hurin wziął głęboki oddech i poruszył się niespokojnie, jakby wyczuwając przemoc.

Egwene rozejrzała się dookoła, ale nie można było stwierdzić, kto krzyczał. Wszyscy zdawali się skupiać swą uwagę wyłącznie na oczekiwaniu, mniej lub bardziej cierpliwie, swojej kolei. Rzeczy się zmieniły i to nie na lepsze. Kiedy opuszczała Tar Valon, każdy człowiek, który by powiedział coś przeciwko Aes Sedai, mógł się uważać za szczęściarza, jeżeli wykpił się tylko ciosem w nos, którego mógł się spodziewać od każdego, kto by go usłyszał. Czerwony na twarzy oficer rozglądał się po szeregu.

– Plotki rzadko bywają prawdziwe – uspokoiła go Verin. – Mogę cię zapewnić, że Falme wciąż stoi. I wcale nie znajduje się w Tarabon, wartowniku. Słuchaj mniej plotek, a bardziej Tronu Amyrlin. Niechaj cię Światłość oświeca.

Ujęła wodze w dłonie, on zaś kłaniał się, kiedy kolejno go mijały.

Widok mostu uderzył ją swoją cudownością, jak zawsze kiedy wjeżdżała do Tar Valon. Wzorec ażurowych ścian był tak zawiły, iż mógłby wystawić na próbę umiejętności największej mistrzyni-koronczarki. Wydawało się nieledwie, że dzieła takiego nie sposób wykonać z kamienia, że nie jest w stanie utrzymać choćby swej własnej wagi. Rzeka toczyła swe wody, silna i nieustępliwa, pięćdziesiąt lub więcej kroków pod mostem, a ponad półmilowa wstęga mostu wisiała niczym nie podparta między jej brzegiem a wyspą.

Na swój własny sposób, jeszcze bardziej cudowne było uczucie, że most prowadzi ją do domu. Bardziej cudowne, ale też trochę wstrząsające.

"Moim domem jest Pole Emonda".

Ale to właśnie w Tar Valon nauczyć się będzie mogła tego, co pozwoli jej pozostać przy życiu, pozostać wolną. To w Tar Valon nauczy się – będzie się musiała nauczyć – dlaczego tak bardzo niepokoją ją sny i dlaczego niekiedy zdają się nieść znaczenia, których nie potrafi rozszyfrować. Tar Valon było tym miejscem, z którym związała obecnie swoje życie. Jeżeli miałyby kiedykolwiek powrócić do Pola Emonda – to "jeżeli" bolało, starała się jednak być uczciwa wobec samej siebie – jeżeli więc wróci, to tylko z wizytą, tylko po to, by odwiedzić rodziców. Już dawno przerosła zwykłą córkę karczmarza. Te więzi przestały już również pętać, nie dlatego, że je zniechęciła, ale dlatego, że po prostu nie mieściła się w nich.

Most stanowił jedynie początek. Jego łuk dochodził wprost do lśniących białych murów z

pożyłkowanego srebrem kamienia, otaczających wyspę. Z ich szczytów można było spojrzeć w dół na most. W określonych odstępach mur przerywały strażnicze wieże, zbudowane z tego samego białego kamienia, ich masywne podstawy obmywały fale rzeki. Ale dopiero daleko i wysoko ponad ścianami wznosiły się prawdziwe wieże Tar Valon, wieże z legendy, ostre iglice, kanelury i spirale, niektóre połączone napowietrznymi mostami zawieszonymi dobre sto stóp, może nawet więcej, nad powierzchnią ziemi. A i to był tylko początek.

Przy ozdabianych brązem bramach nie było żadnych straży, rozwierały się na szerokość dwudziestu jeźdźców jadących w szeregu obok siebie i otwierały na szerokie ulice, ktdre biegly, krzyżując się przez całą wyspę. Wiosna ledwie nadeszła, ale powietrze już pachniało kwiatami, perfumami i przyprawami.

Widok miasta zaparł Egwene dech w piersiach, jakby nigdy dotąd go nie widziała. Na każdym placu czy ulicznym skrzyżowaniu stała fontanna, pomnik lub rzeźba, niektóre ustawione na szczytach kolumn wysokich jak wieże, ale to samo miasto oślepiało oczy. Rzeczy same w sobie proste, wyposażone bywały w tyle ornamentów, że wydawały się zdobne, a tam gdzie pozbawione były dekoracji, wspaniałość zawdzięczały wyłącznie formie. Budowle wielkie i małe, w kamieniu wszelkiego koloru, o wyglądzie muszli, fal albo wiatrem rzeźbionych zboczy, naturalne i fantazyjne, naśladowujące kształty przyrody albo będące swobodną ekspresją ludzkiego umysłu. Domy mieszkalne, gospody, również stajnie – nawet najmniej znaczące budynki Tar Valon postawiono z myślą o ich pięknie. Mularze Ogirów zbudowali większą część miasta w długich latach, które przysły po Pęknięciu Świata i zadbali o to, by było to ich najwspanialsze dzieło.

Na ulicach tłoczyli się ludzie ze wszystkich ludów świata. Mężczyźni i kobiety, o skórze ciemnej, bladej lub przybierającej dowolny odcień pomiędzy tymi skrajnościami. Ich odzież była w jaskrawych kolorach i wzorach albo bez barwna, za to zdobiona frędzlami i wstążkami lub lśniącymi guzikami, wreszcie mocna i surowa. Czasami ubiory ukazywały więcej ciała, niżli uznawała za właściwe, czasami zaś zakrywały wszystko prócz oczu i czubków palców. Pomiedzy tłumem lawirowały lektyki, przed nimi biegli truchtem służący, krzycząc "Z drogi!" Kryte powozy pełzły powoli, a woźnice w liberii wykrzykiwali "Hija!" oraz "Ho!", jakby wierzyli, że uda im się osiągnąć coś więcej niż spacerowe tempo. Uliczni grajkowie grali na fletach, harfach i kobzach, czasami akompaniując występom kuglarza czy akrobaty, zawsze jednak towarzyszyła im czapka, do której słuchacze mogli wrzucać monety. Wędrowni sokolnicy wykrzykiwali swe ostrzeżenia, a sprzedawcy stali przed sklepami, zachwalając głośno zalety swych towarów. Całe miasto wypełniał pomruk, niczym głucha pieśń jakiegoś potężnego zwierza.

Verin naciągnęła na głowę kaptur, skrywając twarz. W tym tłumie nikt jednak najwyraźniej nie zwracał na nich uwagi, pomyślała Egwene. Nawet Mat, leżący na swych noszach, nie przyciągał zbyt wielu spojrzeń, chociaż niektórzy ludzie usuwali się z drogi, gdy obok nich przejeżdżali. Ludzie czasami przywozili swoich chorych, aby uzdrowiono ich w Białej Wieży, a cokolwiek to było, mogło być zaraźliwe.

Egwene jadąca tuż za Verin; pochyliła się ku niej.

– Czy teraz naprawdę spodziewasz się jeszcze kłopotów? Jesteśmy już w mieście. Niemalże dotarliśmy na miejsce.

Biała Wieża była już doskonale widoczna, lśniąca wysoka budowla wznosiła się, górując ponad dachami.

– Zawsze spodziewam się kłopotów – odrzekła łagodnym głosem Verin – i ty również powinnaś. Szczególnie w Wieży. Teraz musicie wszystkie być dużo ostrożniejsze niż dotąd. Wasze... sztuczki – jej usta zacisnęły się na moment, po czym jej oblicze przybrało zwykły pogodny wyraz –

przeraziły Białe Płaszczce, ale wewnątrz Wieży mogą sprowadzić na was śmierć lub ujarzmienie.

– Nie będę czegoś takiego robiła w Wieży – zaprotestowała Egwene. – Żadna z nas.

Nynaeve i Elayne dołączyły do nich, pozostawiając Hurinowi troskę o konie niosące nosze. Pokiwały głowami, Elayne skwapliwie, zaś Nynaeve, jak się zdało Egwene, z pewnym zastrzeżeniem.

– Nie powinnaś tego nigdy więcej robić, dziecko. Nie wolno ci! Nigdy! – Verin obdarzyła je spojrzeniem z ukosa, rzuconym spod krawędzi kaptura i potrząsnęła głową. – I doprawdy spodziewam się, że rozumiecie głupotę odzywania się, gdy powinniście siedzieć cicho.

Twarz Elayne przybrała kolor purpury, a Egwene poczuła, że również ma gorące policzki.

– Kiedy wjedziemy na tereny należące do Wieży, pilnujcie swojego języka i zgadzajcie się na wszystko, co nastąpi. Na wszystko! Nic nie wiecie o tym, co czeka nas w Wieży, a gdybyście nawet wiedziały i tak nie umiałybyście sobie z tym poradzić. Dlatego bądźcie cicho.

– Zrobię, jak powiadasz, Aes Sedai – oznajmiła Egwene, a Elayne powtórzyła za nią niczym echo. Nynaeve parsknęła. Aes Sedai popatrzyła na nią i wówczas niechętnie kiwnęła głową.

Ulica wyprowadziła je na szeroki plac, położony dokładnie pośrodku miasta, z którego wyrastała Biała Wieża. Lśniła w słońcu, zdając się niemalże sięgać nieba, ponad pałacem kopuł i delikatnych spiral oraz innych jeszcze budowli otoczonych ogrodami. Na placu znajdowało się zaskakująco niewielu ludzi. Nikt nie wchodził do Wieży, jeśli nie miał tam ważnej sprawy do załatwienia, przypomniała sobie z niepokojem Egwene.

Kiedy wjechali na plac, Hurin przyprowadził konie niosące nosze.

– Verin Sedai, muszę cię już opuścić.

Raz rzucił okiem na Wieżę, potem starał się już na nią nie patrzeć, chociaż wszak nie było to łatwe. Hurin pochodził z kraju, gdzie szanowano Aes Sedai, ale jedną rzeczą jest je szanować, a zupełnie inną być przez nie stale otoczonym.

– Bardzo nam pomogłeś podczas podróży, Hurin podziękowała mu Verin – a nie była to krótka i łatwa podróż. Znajdź się dla siebie miejsce w Wieży, abyś mógł wypocząć, zanim udasz się w dalszą drogę.

Hurin odmówił zdecydowanym potrząśnięciem głowy.

– Nie mogę zmarnować ani dnia, Aes Sedai. Nawet godziny. Muszę wracać do Shienaru, aby opowiedzieć królowi Easarowi i lordowi Agelmarowi prawdę o tym, co zdarzyło się w Falme. Muszę opowiedzieć im o... – Urwał gwałtownie i rozejrzał się dookoła. W pobliżu nie było nikogo, kto mógłby podsłuchać jego słowa, ale mimo to zniżył głos i dodał tylko tyle: – ...o Randzie. O tym, że Smok się Odrodził. Jakież statki handlowe muszą płynąć w dół rzeki, a ja mam zamiar wsiąść na pokład najbliższego.

– Niech cię więc Światłość prowadzi, Hurmie z Shienaru – pobłogosławiła go Verin.

– Niech Światłość oświeca was wszystkie – odrzekł na to, biorąc wodze w dłoń. Potem zawahał się przez chwilę i dodał jeszcze:

– Jeżeli będziecie mnie potrzebowały... kiedyś... pošlijcie słowo do Fal Dara, a ja już postaram się przyjechać. Odkasznął, jakby z zakłopotania, zawrócił konia i pognął go truchtem, omijając Wieżę.

Nynaeve potrząsnęła głową w rozdrażnieniu.

– Mężczyźni! Zawsze mówią, żeby posłać po nich, gdy będą potrzebni, ale kiedy rzeczywiście jakiegoś potrzebujesz, to właśnie dokładnie wówczas, gdy go nie ma.

– Żaden mężczyzna nie pomoże nam tam, dokąd się teraz udajemy – sucho oznajmiła Verin. – Pamiętajcie. Zachowajcie milczenie.

Odjazd Hurina wywołał w Egwene poczucie utraty czegoś. Ledwie rozmawiał z którąkolwiek z nich, dłuższe pogawędki odbywając właściwie tylko z Matem i oczywiście Verin miała rację. Był tylko mężczyzną, bezbronnym jak dziecko, gdyby przyszło mu stawić czoło temu, co oczekiwało na nie w Wieży. Jednak jego odjazd stanowił najpoważniejszą stratę, poza tym nigdy nie zapomniała, że dobrze jest mieć obok siebie mężczyznę z mieczem. A dodatkowo jeszcze, był przecież ogniwem łączącym ją z Randem i Perrinem.

"Mam własne kłopoty, którymi winnam się przejmować".

Rand i Perrin mają Moiraine, która o nich zadba.

"A o Randa dodatkowo na pewno zatroszczy się Min" – pomyślała i poczuła ukłucie zazdrości, które próbowała stłumić.

Nieomal jej się udało.

Z westchnieniem wzięła za uzdę pierwszego z koni niosących nosze. Mat leżał zwinięty w kłębek, jego oddech przypominał suchy zgrzyt.

"Wkrótce – pomyślała. – Teraz, już wkrótce zostaniesz uzdrowiony. A my przekonamy się, co na nas czeka".

Pragnęła, by Verin przestała je straszyć. Żałowała, iż sądzi, że tamta ma po temu jak najbardziej przekonujące powody.

Verin poprowadziła je dookoła terenów otaczających Wieżę do małej bocznej bramy, która pozostawała otwarta. Strzegli jej dwaj strażnicy. Aes Sedai zatrzymała się na chwilę, odrzuciła kaptur na plecy i pochyliła się w siodle, by cicho przemówić do jednego z mężczyzn. Wzdrygnął się i obrzucił Egwene oraz dwie pozostałe kobiety zaskoczonym spojrzeniem. Rzucił szybko:

– Jak rozkażesz, Aes Sedai. – Wbiegł na tereny Wieży.

Nim zdążył skończyć swą krótką wypowiedź, Verin już jechała przez bramę. Jechała powoli, jakby nie było dokąd się śpieszyć.

Egwene pojechała za nią, wiodąc za uzdę konie z noszami. Wymieniła spojrzenia z Nynaeve i Elayne, zastanawiając się, cóż takiego Verin mogła powiedzieć gwardziście.

Wartownia z szarego kamienia znajdowała się w samej bramie, jej budynek miał kształt sześcioramiennej gwiazdy położonej na boku. Mała grupka wartowników siedziała w przejściu, kiedy przejeżdżały obok, przerwali rozmowę i ukłonili się Verin.

Ta część terenów otaczających Wieżę mogłaby stanowić park jakiegoś lorda – drzewa, przycięte krzewy i szerokie, wysypane żwirem alejki. Między drzewami widać było pozostałe budynki, a sama Wieża górowała ponad wszystkim.

Ścieżka zaprowadziła je na podwórze położonej między drzewami stajni. Natychmiast stajenni w skórzanych kamizelkach podbiegli, by zająć się ich końmi. Pod kierownictwem Aes Sedai kilku stajennych odwiązało nosze i delikatnie złożyło je na ziemi. Kiedy odprowadzano konie do stajni, Verin wzięła skórzany worek, leżący w nogach legowiska Mata i wsadziła pod pachę.

Nynaeve przestała rozcierać sobie plecy i zmarszczyła brwi, spoglądając na Aes Sedai.

– Powiedziałaś, że zostały mu być może tylko godziny życia. Po prostu zamierzasz teraz...

Verin uniosła dłoń, ale czy ten gest powstrzymał Nynaeve czy też skrzywienie żwiru ścieżki pod czyimiś stopami, Egwene nie umiała powiedzieć.

Po chwili w polu widzenia pojawiła się Sheriam Sedai, za którą szły trzy Przyjęte, ich białe suknie oblamowane były taśmą z kolorami wszystkich Ajah, od Błękitnych do Czerwonych, za nimi zaś szło dwóch krzepkich mężczyzn w prostym, roboczym odzieniu. Mistrzynie Nowicjuszek była trochę zbyt pulchną kobietą o wystających kościach policzkowych, co stanowiło cechę charakterystyczną dla mieszkańców Saldei. Płomienne, rude włosy i jasne, nakrapiane, zielone oczy,

powodowały, iż gładkie rysy Aes Sedai jakoś nie pasowały do całości obrazu. Spojrzała na Egwene i jej towarzyszki spokojnym wzrokiem, jednak jej usta pozostały zaciśnięte.

– Tak więc przywiozłaś z powrotem nasze trzy uciekinierki, Verin. Biorąc pod uwagę wszystko, co się wydarzyło, wolałabym nieomal, żeby ci się nie udało.

– My nie... – zaczęła Egwene, lecz Verin przerwała jej ostrym:

– ZAMILCZ!

Potem spojrzała na nią, na każdą z nich trzech, jakby sama intensywność spojrzenia mogła zamknąć im usta.

Egwene nie miała wątpliwości, że jeżeli chodzi o nią, to tak się właśnie stało. Nigdy dotąd nie widziała, by Verin była naprawdę zła. Nynaeve skrzyżowała ramiona na piersiach i mruzczała coś pod nosem, głośno jednak nie odważyła się nic powiedzieć. Trzy Przyjęte, stojące za Sheriam, trwały w milczeniu, Egwene jednak mogłaby przysiąc, że widzi, jak nieomal strzygą uszami.

Kiedy Verin upewniła się, że Egwene i pozostałe kobiety zachowają milczenie, odwróciła się z powrotem do Sheriam.

– Chłopcu trzeba znaleźć pokój gdzieś z dala od wszystkich. Jest chory, niebezpiecznie chory. W takim samym stopniu dla siebie, co dla otoczenia.

– Powiedziano mi, że masz nosze do przeniesienia. Sheriam gestem dała znak dwu mężczyznom, by wzięli nosze, przemówiła cicho do jednego z nich i Mata natychmiast zabrano:

Egwene już otwierała usta, by powiedzieć; iż potrzebuje natychmiastowej pomocy, ale gdy pochwyciła spojrzenie Verin, szybkie i wściekłe, zamknęła je ponownie. Nynaeve szarpała warkocz tak gwałtownie, że zapewne niewiele brakowało, by sobie go wyrwała z głowy.

– Przypuszczam – zapytała Verin – że cała Wieża już wie, iż przyjechaliśmy?

– Ci, którzy nie wiedzą – odpowiedziała jej Sheriam – dowiedzą się wkrótce. Przyjazdy i wyjazdy stanowią główny temat rozmów i plotek. Było tak nawet przed całą sprawą w Falme oraz wojną w Cairhien. Sądziłaś, że uda ci się utrzymać wszystko w sekrecie?

Verin oboma rękoma ujęła skórzany worek.

– Muszę zobaczyć się z Amyrlin. Natychmiast.

– A co z nimi trzema?

Verin, zmarszczywszy brwi, wpatrywała się przez czas jakiś w Egwene i jej dwie przyjaciółki.

– Muszą być trzymane pod kluczem, dopóki Amyrlin nie zechce się z nimi zobaczyć. Jeśli oczywiście w ogóle będzie miała na to ochotę. Pamiętaj, pod kluczem. Ich własne pokoje zapewne wystarczą. Cele nie będą konieczne. I ani słowa nikomu.

Verin wciąż zwracała się do Sheriam, Egwene jednak była pewna, iż ostatnie słowa przeznaczono jako ostateczne napomnienie dla niej, Nynaeve i Elayne. Koniuszki brwi Nynaeve opadły, szarpała za warkocz z taką gwałtownością, jakby zamiast tego chciała w coś uderzyć. Błękitne oczy Elayne rozwarły się szeroko, a jej twarz była jeszcze bledsza niż zazwyczaj. Egwene nie była do końca pewna, które z tych uczuć podziela, gniew, strach czy zmartwienie. Zapewne po trochu ze wszystkich, osądziła na koniec.

Rzuciwszy ostatecznie, badawcze spojrzenie na swoje trzy towarzyszki podróży, Verin pospiesznie odeszła, przyciskając worek do piersi, poły jej płaszcz łopotąły za plecami. Sheriam wsparła zaciśnięte w pięści dłonie na biodrach i patrzyła na Egwene oraz dwie pozostałe kobiety. Przez chwilę Egwene miała wrażenie, że napięcie osłabło. Mistrzynie Nowicjuszek zawsze charakteryzowała się stałością charakteru i pewnym współczującym poczuciem humoru, nawet wówczas, gdy przydzielała komuś dodatkowe obowiązki za wykroczenia przeciwko obowiązującym regułom.

Ale kiedy Sheriam Sedai przemówiła, ton jej głosu był ponury.

– Ani słowa – rzekła Verin Sedai – i żadna się słowem nie odezwie. Jeśli któraś z was przemówi, wyjąwszy oczywiście odpowiedź na pytanie zadane przez Aes Sedai, spowoduję, że pożałujecie, iż parę różg oraz kilka godzin szorowania podłóg nie stanowią waszych jedynych zmartwień. Rozumiecie?

– Tak, Aes Sedai – powiedziała Egwene i usłyszała, jak jej obie przyjaciółki wypowiadają identyczne słowa, choć Nynaeve wypowiadała je niczym wyzwanie.

W gardle Sheriam zrodził się pełen niesmaku odgłos, nieomal warczenie.

– Mniej dziewcząt przybywa dziś na nauki do Wieży niż onegdaj, ale wciąż tak się dzieje. Większość opuszcza to miejsce, nie nauczywszy się nawet wyczuwać Prawdziwego Źródła, a co dopiero dotykać go. Niewiele jest w stanie nauczyć się przed odejściem choćby tego, w jaki sposób nie zrobić sobie krzywdy. Ledwie garstka zasługuje na to, by zostać wyniesiona do godności Przyjętych, a spośród nich jeszcze mniej dostępuje zaszczytu noszenia szala. To jest trudne życie, twarda dyscyplina jednakże każda nowicjuszka walczy o to, by otrzymać pierścień i szal. Nawet kiedy są tak przerażone, iż każdej nocy płaczą przed snem, wysilają się jednak, by je zdobyć. A wy trzy, wy, które miałyście wrodzone możliwości takie, jakich nie spodziewałam się ujrzeć za swego życia, opuściłyście Wieżę bez pozwolenia, uciekłyście nie nauczywszy się nawet połowy rzeczy i niczym nieodpowiedzialne dzieci nie wracałyście całymi miesiącami. A teraz przyjeżdżacie tu, jakby się nic nie zdarzyło, jakbyście od ranka gotowe były podjąć na nowo nauki.

Wypuściła długo wstrzymywany oddech, w taki sposób, jakby miała zaraz wybuchnąć.

– Faolain!

Trzy nowicjuszki podskoczyły, jakby złapano je na podsłuchiwanie, a jedna z nich, o kręconych, ciemnych włosach, wystąpiła naprzód. Wszystkie były młode, ale i tak starsze od Nynaeve. Gwałtowne Przyjęcie Nynaeve było wydarzeniem nadzwyczajnym. W normalnym trybie, zdobycie pierścienia, jaki nosiły obecnie tamte, zajmowało nowicjuszcze lata całe i zabierze im jeszcze wiele lat, nim będą mogły mieć nadzieję na stanie się pełnymi Aes Sedai.

– Zabierzcie je do ich pokoi – rozporządziła Sheriam – i zostańcie tam z nimi. Mogą otrzymać chleb, zimną zupę i wodę, dopóki Amyrlin nie zarządzi inaczej. A jeśli któraś z nich powie choć słowo, możecie zabrać ją do kuchni i skierować do szorowania garnków.

Odwróciła się i odeszła, nawet jej plecy zdradzały drażący ją gniew.

Faolain zmierzyła Egwene i obie kobiety wzrokiem, w którym nieomal błyszczało zadowolenie, w szczególności odnosiło się to spojrzenie do Nynaeve, na której twarzy groźny grymas zastąpił niczym maska. Po wyrazie okrągłej twarzy Faolain widać było wyraźnie, że nie żywi żadnej miłości dla tych, które w tak szalony sposób łamią regułę, a zwłaszcza, jeśli jest to Nynaeve – dzikuska, która zasłużyła na swój pierścień, nie będąc nawet nowicjuszką; która przenosiła moc, zanim w ogóle przekroczyła bramy Tar Valon. Kiedy stało się oczywiste, że Nynaeve ma zamiar zatrzymać swój gniew dla siebie, Faolain wzruszyła ramionami.

– Kiedy Amyrlin pośle po was, zapewne zostanieie ujarzmione.

– Przestań, Faolain.

Powiedziała to jedna z dwu pozostałych Przyjętych. Najstarsza z trójki, o smukłej szyi, miedzianej skórze i zgrabnych ruchach.

– Ja wezmę ciebie – zwróciła się do Nynaeve. – Na imię mam Theodrin i również jestem dzikuską. Zamknę cię, zgodnie z rozkazem Sheriam Sedai, ale cię nie uderzę. Chodź.

Nynaeve rzuciła Egwene i Elayne zmartwione spojrzenie, potem westchnęła i pozwoliła Theodrin odprowadzić się.

– Dzikuski – wymruczała Faolain. W jej ustach brzmiało to jak przekleństwo. Spojrzała na Egwene.

Trzecia Przyjęta, przystojna dziewczyna o rumianych policzkach, stanęła obok Elayne. Kąciki jej ust wygięte były do góry, jakby lubiła się uśmiechać, jednak poważne spojrzenie, jakim obdarzyła Elayne oznajmiało, że nie zniesie żadnych wygłupów.

Egwene odpowiedziała Faolain spojrzeniem na spojrzenie, starając się zawrzeć w nim maksimum spokoju, na jaki ją było stać, oraz odrobinę wyniosłej, cichej pogardy, którą przyswoiła sobie od Elayne.

"Czerwona Ajah – pomyślała. – Ta bez żadnej wątpliwości wybierze Czerwone. – Ale z trudem przychodziło jej myśleć o czymś innym niżli o własnych kłopotach. – Światłości, co one mają zamiar z nami zrobić?"

Miała na myśli Aes Sedai, Wieżę, nie zaś te kobiety.

– Cóż, chodźmy – warknęła Faolain. – Wystarczająco już nieprzyjemne jest stanie na straży przy twoich drzwiach, żebym jeszcze miała tutaj sterczeć przez cały dzień. Chodź.

Biorąc głęboki oddech, Egwene uścisnęła dłoń Elayne i poszła.

"Światłości, niech one Uzdrowią Mata".

ROZDZIAŁ 12

TRON AMYRLIN

Siuan Sanche przemierzała wzdłuż swój gabinet, zatrzymując się od czasu do czasu, by niebieskimi oczyma, przed którym spojrzeniem jękali się królowie, objąć rzeźbioną skrzynkę z nocnego drewna stojącą na długim stole pośrodku pokoju. Miała nadzieję, że nie będzie musiała użyć żadnego z uważnie napisanych dokumentów, które w niej były. Zostały przygotowane i zapieczętowane w całkowitej tajemnicy, jej własną ręką, aby można było ich użyć w kilkunastu ewentualnych sytuacjach, które wchodziły w grę. Skrzynkę obłożyła zabezpieczeniem, tak że gdyby chciała otworzyć ją jakakolwiek dłoń prócz jej własnej, wówczas jej zawartość spłonie w okamgnieniu, a zapewne również i skrzynka wybuchnie płomieniem.

– I mam nadzieję, że poparzy złodziejskiego rybołowa, ktokolwiek miałby się nim okazać – wymruczała.

Po raz setny od czasu, gdy dowiedziała się o powrocie Verin, poprawiała na ramionach stułę, nie zdając sobie sprawy, co robi. Sięgała jej poniżej pasa, szeroka i naszyta pasami w kolorach wszystkich siedmiu Ajah. Zasiadająca na Tronie Amyrlin należała do wszystkich Ajah i do żadnych jednocześnie, niezależnie od tego, z których została wyniesiona.

Pomieszczenie było bogato zdobione, należało bowiem do pokoleń kobiet noszących stułę. Wysoki kominek z szerokim zimnym paleniskiem był zdobiony złotym marmurem z Kandoru, a płyty podłogi w kształcie diamentu wykonano z polerowanego kamienia z Gór Mgły. Ściany wykładały paneau z jakiegoś bladego, pasiastego drewna, twardego jak żelazo i rzeźbionego w postaci fantastycznych bestii oraz ptaków o niewiarygodnym upierzeniu. Paneau zostały sprowadzone spoza Ugoru Aiel, przez Lud Morza, jeszcze zanim urodził się Artur Hawkwing. Wysokie, łukowato sklepione okna, otwarte teraz, aby wpuścić do środka świeże zapachy zieleni, wychodziły na balkon zawieszony nad jej małym, prywatnym ogrodem, w którym rzadko jednak spacerowała, z powodu nawału obowiązków.

Cała ta wspaniałość pozostawała w ostrej sprzeczności z meblami, które Siuan Sanche wniosła do komnaty. Jedyne stół i stojący przy nim solidny fotel były proste, nawet jeśli dobrze wypolerowane wiekiem i pszczelim woskiem, podobnie zresztą jak i drugi fotel stojący w pokoju. Fotele stały po jednej stronie komnaty, aby łatwo można je było przysunąć, kiedy chciała, aby gość usiadł. Przed stołem leżał mały taireński dywanik, upleciony w proste wzory z błękitów, brązów i złota. Pojedynczy rysunek przedstawiający małą rybacką łódkę wśród trzciny wisiał nad kominkiem. Kilka stojaków z otwartymi książkami stało rozstawionych po całej podłodze. I to było wszystko. Nawet lampy mogłyby swobodnie stanowić część umeblowania chaty jakiegoś wieśniaka.

Siuan Sanche urodziła się w biednej rodzinie rybaka i pracowała na łodzi swego ojca, dokładnie takiej samej, jak przedstawiona na rysunku, w delcie zwanej Palcami Smoka, zanim nawet jeszcze w ogóle zamarzyła o udaniu się do Tar Valon. Nawet dziesięć blisko lat, które minęły od czasu wyniesienia jej na Tron, nie zdołało skłonić jej, by czuła się wygodnie pośród takiego luksusu. Jej sypialnia była wciąż zdecydowanie bardziej skromna.

"Dziesięć lat w stule – pomyślała. – Niemalże dwadzieścia, od kiedy zdecydowałam się zegłować po tych niebezpiecznych wodach. A jeśli teraz powinie mi się noga, pożałuję, że nie zastawiam znowu sieci".

Nagły dźwięk spowodował, że się odwróciła. Do pokoju wśliznęła się Aes Sedai, miedzianokóra kobieta o włosach krótko przyciętych. Pozbierała się na tyle, by jej głos zabrzmiał

spokojnie i powiedziała tylko to, czego od niej oczekiwano.

– Tak, Leane?

Strażniczka Kronik ukłoniła się równie głęboko, jak by to uczyniła, gdyby w pomieszczeniu obecne były jeszcze inne osoby. Wysoka Aes Sedai, równie wysoka jak większość mężczyzn, była w Białej Wieży drugą osobą po Amyrlin i chociaż Siuan знаła ją od czasu wspólnego nowicjatu, czasami nacisk, jaki Leane kładła na konieczność dbania o godność Tronu Amyrlin, wystarczał, żeby Siuan chciało się krzyczeć.

– Verin przyszła, Matko, i prosi o rozmowę z tobą. Powiedziałam jej, że jesteś zajęta, ale ona nalega...

– Nie jestem na tyle zajęta, by z nią nie porozmawiać – odrzekła Siuan. Trochę zbyt skwapliwie, wiedziała, ale nie dbała o to. – Wpuść ją. Nie ma potrzeby, byś ty zostawała, Leane. Porozmawiam z nią sam na sam.

Drgnienie brwi było jedyną oznaką zaskoczenia, na jaką pozwoliła sobie strażniczka. Amyrlin rzadko spotykała się z kimś w cztery oczy, nawet z królową, zazwyczaj przy tych spotkaniach strażniczka była obecna. Ale Amyrlin to była Amyrlin. Leane kłaniając się, wyszła, a po chwili jej miejsce zajęła Verin, klękając, by ucałować pierścień z Wielkim Wężem na palcu Zasiadającej. Brązowa siostra ścisnęła pod pachą sporych rozmiarów worek.

– Dziękuję, że zechciałaś zobaczyć się ze mną, Matko -powiedziała Verin, prostując się. - Przywożę pilne wieści z Falme. I coś więcej. Sama nie wiem, od czego zacząć.

– Zaczynij, od czego chcesz – odrzekła Siuan. – Te komnaty są osłaniane na wypadek, gdyby komuś przyszły do głowy dziecinne zabawy w podsłuchiwanie.

Brwi Verin aż uniosły się ze zdumienia, więc Amyrlin dodała:

– Wiele się zmieniło od czasu twojego wyjazdu. Mów.

– Zacznę więc od najważniejszego. Rand al'Thor ogłosił się Smokiem Odrodzonym.

Siuan poczuła, jak obręcz ścisnąca jej klatkę piersiową rozluźnia się odrobinę.

– Miałam nadzieję, że to on – powiedziała miękko. – Otrzymałam raporty od kobiet, które mogły przekazać mi tylko to, co słyszały oraz plotki, które w sporej liczbie przywoził każdy statek handlowy i wóz kupiecki, ale nie mogłam mieć pewności.

Wzięła głęboki oddech.

– Jednak sądzę, że potrafię określić dzień, w którym się to zdarzyło. Czy wiesz, że dwóch fałszywych Smoków już nie niepokoi świata?

– Nie słyszałam o tym, Matko. To są dobre nowiny.

– Tak. Mazrim Taim znajduje się w rękach naszych sióstr, w Saldaei, a ten biedny człowiek w Haddon Mirk, niech Światłość ma litość nad jego duszą, został ujęty przez Tairenian i stracony na miejscu. Nikt bodajże nawet nie wie, jak miał na imię. Jak głoszą plotki, obaj zostali pochyceni tego samego dnia i w podobnych okolicznościach. Toczyli bitwy, dla obu zwycięskie, kiedy wielka błyskawica przeszła niebo i ukazała się wizja, tylko na chwilę. Istnieje kilkanaście różnych wersji tego zdarzenia, ale w obu przypadkach rezultat był identyczny. Koń fałszywego Smoka stanął dęba, zrzucając go na ziemię. Jeździec stracił świadomość, a jego wyznawcy podnosili krzyk, że zginął i uciekali z pola walki. Fałszywy Smok zaś dostawał się do niewoli. Niektóre z moich raportów mówią o wizjach na niebie nad Falme. Postawię złotą markę przeciw tygodniowemu okoniowi z delty, że była to właśnie ta chwila, w której Rand al'Thor proklamował siebie.

– Prawdziwy Smok się Odrodził – powiedziała Verin prawie do siebie – i tym samym Wzór nie ma już miejsca na fałszywe Smoki. Wypuściliśmy Smoka Odrodzonego na świat. Niech Światłość ma litość nad nami.

Amyrlin z rozdrażnieniem potrząsnęła głową.

– Zrobiłyśmy, co musiało być uczynione.

"A jeżeli choćby najmłodsza nowicjuszka dowie się o tym, zostanie ujarzmiona przed następnym wschodem słońca, jeśli wcześniej nie rozedrą mnie na strzępy. Mnie, Moiraine i Verin oraz najprawdopodobniej każdego, kogo uzna się za naszego przyjaciela".

Nie było łatwo knuć tak wielki spisek, kiedy tylko trzy kobiety wiedziały o nim, kiedy nawet najbliższa przyjaciółka mogła zdradzić je i uznać, że dobrze wypełniła swój obowiązek.

"Światłości, chciałabym być pewna, że nie stwierdzą, iż należy tak zrobić".

– Przynajmniej jest bezpieczny w rękach Moiraine. Ona go poprowadzi i zrobi wszystko, co trzeba. Co jeszcze chcesz mi powiedzieć, Córko?

W odpowiedzi Verin położyła skórzany worek na blacie stołu i wyciągnęła z niego poskręcany złoty róg, ze srebrnymi inskrypcjami wygrawerowanymi wokół błyszczącego jaskrawo ustnika. Potem położyła róg na stole i z milczącym oczekiwaniem wpatrzyła się w twarz Amyrlin.

Siuan nie musiała znajdować się wystarczająco blisko, by odczytać inskrypcje, aby wiedzieć, co tam napisano. *Tia mi aven Moridin isainde vadin*. "Nie będzie grób przeszkodą na me wezwanie".

– Róg Valere? – zaparło jej dech w piersiach. – Wiozłaś go tutaj przez całą drogę, przez setki lig, mimo że Myśliwi wszędzie go szukają? Światłości, kobieto, powinno się go zostawić Randowi al'Thorowi.

– Wiem, Matko – odpowiedziała spokojnie Verin – ale wszyscy Myśliwi spodziewają się znaleźć Róg w jakiejś wielkiej przygodzie, nie zaś w worku wiezionym przez cztery kobiety eskortujące chorego młodzieńca. Poza tym, Randowi i tak nie przyniósłby żadnego pożytku.

– Co przez to rozumiesz? On musi walczyć w Tarmon Gai'don. Róg ma wezwać z grobu martwych bohaterów, aby stoczyli Ostatnią Bitwę. Czy Moiraine po raz kolejny zmieniła plany bez porozumienia ze mną?

– To nie ma nic wspólnego z planami Moiraine, Matko. My planujemy, ale Koło spleta Wzór tak, jak chce. Rand nie był pierwszym, który zadał w Róg. Zrobił to Matrim Cauthon. A Mat leży teraz tutaj, kilka pięter niżej, umierając na skutek swej więzi ze sztyletem z Shadar Logoth. I umrze, o ile go nie uzdrowimy.

Siuan zadrżała. Shadar Logoth, umarłe miasto, tak zatrute, że nawet trolloki obawiały się doń wchodzić i to nie bez powodu. Przez przypadek sztylet z tego miejsca dostał się w ręce młodego Mata, przemieniając go i zatruwając złem, które dawno temu zabiło całe miasto. Zabijając go.

"Przez przypadek? Czy zgodnie ze strukturą Wzoru? On również jest *ta'veren*, mimo wszystko. Ale... To Mat zadał w Róg. Więc..."

– Dopóki Mat żyje – ciągnęła Verin – Róg Valere dla każdego innego człowieka jest tylko zwykłym rogiem. Jeśli zaś umrze, oczywiście ktoś inny może weń zadać i wykuć tym samym nową więź między człowiekiem i Rogiem.

Jej spojrzenie było niewzruszone, jakby nie martwiło jej w najmniejszym stopniu to, co zdawały się sugerować słowa.

– Wielu umrze, zanim dokończymy swego dzieła, Córko.

"A kogo jeszcze mogłabym wykorzystać do ponownego zagrania na Rogu? Teraz nie mogę podejmować ryzyka odsyłania go Moiraine. Jeden z Gaidinów, być może. Być może".

– Wzór musi jeszcze jego przeznaczenie uczynić jaśniejszym.

– Tak, Matko. A Róg?

– Na jakiś czas – oznajmiła na koniec Amyrlin znajdziemy dla niego jakieś miejsce, w którym można by go schować, miejsce, o którym nikt nie będzie wiedział prócz nas dwóch. Potem

zastanowię się, co dalej z nim zrobić.

Verin pokiwała głową.

– Jako rzeczesz, Matko. Oczywiście, kilka godzin zajmie ci podjęcie decyzji.

– Czy to wszystko, co masz dla mnie? – Siuan parsknęła. – Jeśli tak, muszę zająć się tymi trzema uciekinierkami.

– Jest jeszcze sprawa Seanchan, Matko.

– Co z nimi? Wszystkie moje raporty mówią, że odpłynęli z powrotem za ocean, czy też do tego miejsca, z którego przybyli.

– Tak się wydaje, Matko. Ale obawiam się, że możemy mieć znowu z nimi do czynienia. – Verin wyciągnęła zza paska mały notes w skórzanej oprawie i zaczęła przerzucać stronicę. – Sami o sobie mówili jako o "Zwiastunach" albo jako o "Tych Którzy Przybyli Wcześniej" i mówili o "Powrocie" oraz o odzyskaniu ziem, jakby wcześniej należały do nich. Zanotowałam wszystko, co o nich usłyszałam. Oczywiście, biorąc pod uwagę jedynie relacje tych, którzy naprawdę ich widzieli, albo mieli z nimi do czynienia bliżej.

– Verin, zawsze martwisz się morlwm daleko na Morzu Sztormów, podczas gdy tu i teraz srebrawa rozszarpuje nam sieci na strzępy.

Brązowa siostra nieprzerwanie przewracała strony.

– Trafna metafora, Matko, z tym morlwm. Widziałam kiedyś wielkiego rekina, którego morlew zagnał na mieliznę, na której tamten zdechł. – Zaznaczyła palcem jedną ze stron. – Tak. To jest najgorsze. Matko, Seanchanie stosu: wali Jedyną Moc jako broń.

Siuan przycisnęła dłonie do bioder. Raporty, które przyniosły gołębie, mówiły o tym również. Większość posiłkowała się jedynie wiedzą z drugiej ręki, jedynie kilka kobiet widziało to na własne oczy. Moc używana w charakterze broni. Nawet wyschły na papierze atrament zdradzał, że piszące te słowa znajdowały się na krawędzi hysterii.

– To już przysporzyło nam kłopotów, Verin, i przysporzy dodatkowych, gdy wieści zaczną się roznosić, a wraz z tym obrastać treścią. Ale w tej sprawie nic nie mogę zrobić. Doniesiono mi, że ci ludzie uciekli, Córko. Czy masz jeszcze jakieś inne dowody?

– Cóż, nie, Matko, ale...

– Zanim będziesz miała, pozwól nam zająć się usunięciem tej srebrawy z naszych sieci, nim zaczniesz wygryzać dziury również w dnie łodzi.

Verin z wahaniem zamknęła notes i wsunęła go z powrotem za pasek.

– Jako powiesz, matko. Jeśli mogę spytać, co masz zamiar zrobić z Nynaeve i pozostałymi dwoma dziewczętami? Amyrlin zawahała się, rozważając odpowiedź.

– Zanim z nimi nie skończę, będą żałować, że nie poszły nad rzekę i nie sprzedały się w charakterze przynęty na ryby. – Była to prosta prawda, lecz rozumieć ją można było na kilka sposobów. – Dobrze. Usiądź i opowiedz mi wszystko, co te trzy mówiły i robiły w czasie, kiedy były z tobą. Dokładnie wszystko.

ROZDZIAŁ 13

KARY

Leżąc na swym wąskim łóżku, Egwene marszczyła brwi, wpatrując się w roztańczone cienie, rzucane na sufit przez pojedynczą lampę. Żałowała, że nie jest w stanie sformułować żadnych planów działania albo domyślić się, czego należy się spodziewać w najbliższym czasie. Nic nie przychodziło jej do głowy. Cienie układały się w bardziej fantazyjne wzory niżli jej myśli. Ledwie była nawet w stanie martwić się o Mata, a wstyd, jaki z tego powodu czuła również był niewielki, zduszony przez otaczające ją ściany.

Pokój, w którym mieszkała był ciemny, pozbawiony okien; jak wszystkie pomieszczenia nowicjuszek, a nadto mały i kwadratowy, pomalowany na biało, z wieszakami na dobytek na jednej ze ścian, łóżkiem wbudowanym w przeciwną oraz półką na trzeciej ścianie, na której w dawnych czasach trzymała kilka książek pożyczonych z biblioteki Wieży. Umywalnia i trójnożny stół dopełniały całości umeblowania. Deski podłogi były niemalże białe od szorowania. Zawdzięczała to w całości własnemu wysiłkowi, robiła to na czworakach, każdego dnia, od kiedy tu mieszkała, prócz innych obowiązków oraz lekcji. Nowicjuszki żyły prosto, niezależnie od tego, czy były córkami karczmarza, czy Córkami-Dziedziczkami Andoru.

Na sobie znowuż miała białą, prostą suknię, charakterystyczną dla nowicjuszek – nawet pasek był biały – ale nie odczuwała radości związanej z pozbyciem się znieawidzonych, szarych rzeczy. Jej pokój w nazbyt wielkim stopniu zmienił się w więzienną celę.

"A co, jeśli mają mnie zamiar tutaj trzymać. W tym pokoju. Jak w celi. Jak na smyczy i..."

Spojrzała na drzwi – wiedziała, że ciemna Przyjęta wciąż stoi na straży po ich drugiej stronie – i przylgnęła ściśle do białego gipsowanej ściany. Tuż nad materacem znajdowała się mała dziurka, niemalże niewidoczna, jeśli nie wiedziało się, gdzie patrzeć, dawno temu przewiercona przez nowicjuszki na wylot do sąsiedniego pokoju. Egwene zniżyła głos do szeptu.

– Elayne? – Nie było odpowiedzi. – Elayne? Śpisz?

– Jak mogłabym spać? – Nadeszła odpowiedź tamtej, cieniutki szept przesączył się przez szczelinę. – Sądziłam, że możemy znaleźć się w kłopotach, ale nie oczekiwałam czegoś takiego. Egwene, co one zamierzają zrobić z nami?

Egwene nie umiała odpowiedzieć na to pytanie, a jej przypuszczenia nie były z rodzaju tych, które chciałoby się wypowiadać na głos. Nie chciała nawet o nich myśleć.

– W rzeczywistości myślałam, że potraktują nas jak bohaterki, Elayne. Przywiozłyśmy bezpiecznie Róg Valere. Odkryłyśmy, że Liandrin jest Czarną Ajah.

Wymawiając te słowa, zająknęła się. Aes Sedai zawsze negowały istnienie Czarnych Ajah, Ajah, które służyły Czarnemu i znane były z tego, iż okazywały swój gniew, każdemu, kto choćby formułował takie przypuszczenia.

"Ale my wiemy, że one istnieją".

– Powinnyśmy być bohaterkami, Elayne.

– Od tego, co być powinno, do tego, co jest, żadnego mostu nie wybudujesz – odpowiedziała Elayne. – Światłości, nienawidziłam tych słów, gdy wypowiadała je do mnie Matka, ale one są prawdą. Verin powiedziała, że nie wolno nam wspominać o Rogu czy Liandrin nikomu prócz Zasiadającej na Tronie Amyrlin. Nie sądzę, żeby cokolwiek z tego, co mamy do powiedzenia odniosło skutek taki, jak nam się wydaje. To nie w porządku. Tyle przeszliśmy, ty tyle przeszłaś. To po prostu nie w porządku.

– Verin mówi. Moiraine mówi. Wiem dlaczego ludzie sądzą, że Aes Sedai są mistrzyniami marionetek. Nieomal czuję sznurki przywiązane do moich ramion i nóg. Cokolwiek uczynią, będzie to wynikać z tego, o czym postanowią, że korzystne jest dla Białej Wieży, a nie z tego, co może być dobre albo przyzwoite względem nas.

– Ale wciąż chcesz być Aes Sedai. Nieprawdaż?

Egwene zawahała się, ale nie było to pytanie, na które należałoby długo poszukiwać odpowiedzi.

– Tak – oznajmiła. – Wciąż chcę. Jest to jedyna droga, na jakiej możemy w ogóle być bezpieczne. Ale powiem ci jedno. Nie dam się ujarzmić.

To była nowa myśl, którą wypowiedziała głośno w momencie, kiedy tylko przyszła jej do głowy, ale zrozumiała, że nie chce jej cofnąć.

"Zrezygnować z możliwości dotykania Prawdziwego Źródła?"

Nawet teraz mogła je poczuć, jak trwa przy niej, niczym poświatę słońca promieniującego ponad ramieniem, lśnienie tuż obok granicy pola widzenia. Zwalczyła pragnienie sięgnięcia po nie.

"Zrezygnować z możliwości wypełnienia Jedyną Mocą, czucia się bardziej żywą niżli kiedykolwiek dotąd? Nigdy!"

– Nie bez walki.

Po drugiej stronie ściany zapadła długa cisza.

– W jaki sposób mogłabyś im przeszkodzić? Możesz być równie silna jak każda z nich, ale żadna z nas nie wie jeszcze wystarczająco dużo, by powstrzymać choćby jedną Aes Sedai przed odcięciem nas od Źródła, a ich są przecież dziesiątki.

Egwene zastanowiła się nad tym, co usłyszała. Na koniec rzekła:

– Mogę uciec. Tym razem naprawdę uciec.

– Będą nas ścigać, Egwene. Jestem pewna, że będą. Kiedy zdradzasz jakiejkolwiek zdolności, nie pozwalają ci odejść, dopóki nie nauczysz się tyle, by się nie zabić. Albo po prostu od tego umrzeć.

– Nie jestem już prostą wiejską dziewczyną. Widziałam już trochę świata. Potrafiłabym trzymać się z dala od Aes Sedai, gdybym chciała.

W równym stopniu starała się przekonać samą siebie, co Elayne.

"A co, jeżeli nie wiem jeszcze dostatecznie wiele? Dostatecznie dużo o świecie, o Mocy? Co, jeżeli proste przenoszenie może mnie zwyczajnie zabić? – Zdławiła w sobie te myśli. – Tak wiele muszę się jeszcze nauczyć. Nie pozwolę im mnie powstrzymać".

– Moja matka może nas ochronić – powiedziała Elayne – jeżeli to, co powiedział ten Biały Płaszcz było prawdą. Nigdy nie sądziłam, że będę się modliła, aby coś takiego okazało się prawdą. Ale jeśli tak nie jest, Matka byłaby gotowa zwyczajnie odesłać nas obie z powrotem w łańcuchach. Nauczysz mnie, jak żyje się w wiosce?

Egwene aż zamrugła.

– Chcesz iść ze mną? To znaczy, jeżeli do tego dojdzie?

Kolejna długa cisza, potem słaby szept.

– Nie chcę być ujarzmiona, Egwene. Nie będę. Nie pozwolę!

Drzwi otworzyły się, uderzając skrzydłem o ścianę, a Egwene usiadła, wzdrygnąwszy się. Usłyszała uderzenie drzwi z drugiej strony ściany. Faolain weszła do pokoju Egwene, uśmiechając się, gdy jej spojrzenie napotkało małą dziurkę. Takie dziurki łączyły większość pokoi nowicjuszek, wiedziała o tym każda kobieta, która kiedyś była jedną z nich.

– Szepczemy sobie z przyjaciółką, hę? – powiedziała Przyjęta o lokowatych włosach, z zupełnie

niespodziewanym ciepłem w głosie. – Cóż, czekając samotnie, można poczuć się opuszczoną. Miła miałyście pogawędkę?

Egwene już otworzyła usta, potem pośpiesznie zamknęła je na powrót. Mogła odpowiedzieć, ale tylko Aes Sedai, zgodnie z tym, co powiedziała Sheriam. Nikomu innemu. Zmierzyła Przyjętą pustym spojrzeniem i czekała, co będzie dalej.

Fałszywe współczucie zniknęło z twarzy Faolain, niczym dach domu porwany falą powodzi.

– Wstawaj. Amyrlin nie powinna czekać na takie, jak ty. Masz szczęście, że nie weszłam na czas, aby cię usłyszeć. Ruszaj się!

Od nowicjuszek oczekiwano, że będą posłuszne Przyjętym nieomal w równym stopniu co Aes Sedai, lecz Egwene wstawiała powoli, przeciągała czas tak długo; jak tylko ośmieliła się, wygładzając suknię. Wykonała przed Faolain nieznaczny ukłon i uśmiechnęła się do niej lekko. Grymas, który przemknął po twarzy tamtej, sprawił, że uśmiechnęła się, zanim przypomniała sobie, że powinna panować nad mimiką; nie było sensu w doprowadzaniu Faolain do ostateczności. Trzymając się prosto i zakładając, iż nie drżą jej kolana, wyszła pierwsza z pokoju.

Elayne czekała już na korytarzu w towarzystwie Przyjętej o rumianych policzkach, wyglądała na zdecydowaną na to, by za wszelką cenę okazać odwagę. W jakiś sposób udało jej się stworzyć wrażenie, że Przyjęta jest po prostu służącą niosącą za nią rękawiczki. Egwene miała nadzieję, że sama daje sobie choćby w połowie tak dobrze radę.

Ograniczone balustradami galerie, w których mieściły się kwatery nowicjuszek, wznosiły się kondygnacja za kondygnacją, niby w jakiejś ogromnej studni, opadały również tyleż samo pięter niżej aż do Dziedzińca Nowicjuszek. W zasięgu wzroku nie widać było żadnej innej kobiety. Jednakowoż, nawet gdyby zebrały się tutaj wszystkie nowicjuszki żyjące w Wieży, zapełniona zostałaby mniej niż czwarta część pokoi. Tylko one cztery wędrowały w całkowitym milczeniu dookoła pustych galerii, a potem w dół, po spiralnych rampach, żadna z nich nie zniosłaby chyba dźwięku głosów podkreślających pustkę.

Egwene nie była jeszcze nigdy w tej części Wieży, gdzie Amyrlin miała swoje pokoje. Korytarze tutaj były wystarczająco szerokie, by zmieścić się w nich swobodnie wóz, a wysokość sufitu przekraczała nawet wymiary poprzeczne. Na ścianach wisiały kolorowe gobeliny, utkane w najrozmaitszych stylach, przedstawiające wzory kwiatowe i sceny leśne, heroiczne czyny oraz misterne formy, niektóre wydawały się tak stare, jakby miały się podrzeć pod dotykiem. Ich buty wystukiwały ostrym rytmem na diamentokształtnych płytach podłogi, które odpowiadały kolorom siedmiu Ajah.

Tutaj można było spotkać nieliczne kobiety – od czasu do czasu Aes Sedai, sunące majestatycznie obok, nie mając czasu, by poświęcić choćby jedno spojrzenie Przyjętym lub nowicjuszkom; pięć albo sześć Przyjętych spieszących w poczuciu własnej wartości do wypełnienia jakichś zadań lub aby pograżyć się w studiach; garstkę służących z tacami i szczotkami albo ramionami wypełnionymi pościelą lub ręcznikami, zupełnie nieliczne nowicjuszki poruszały się skrajem korytarza, szybciej nawet jeszcze niżli służące.

Nynaeve i jej eskorta, Theodrin o giętkiej szyi, przyłączyły się do nich. Żadna nie powiedziała nawet słowa. Nynaeve miała obecnie na sobie suknię Przyjętej, białą z lamówką siedmiu kolorowych pasów na krawędzi, ale pasek i sakwa były jej własnością. Rzuciła i Egwene, i Elayne dodający odwagi uśmiech oraz uścisnęła je po kolei – Egwene odczuła taką ulgę na widok jeszcze jednej przyjaznej twarzy, że oddała jej uścisk, nie pomyślawszy, iż tamta zachowuje się, jakby pocieszała dzieci – jednak kiedy szły dalej, Nynaeve również od czasu do czasu ostro szarpała za swój warkocz.

Niewielu mężczyzn można było zobaczyć w tej części Wieży, Egwene dostrzegła jedynie dwu:

pograżonych w rozmowie strażników, idących ramię w ramię, jeden z nich miecz miał zawieszony u pasa, drugi przez plecy. Pierwszy niski i szczupły, a nawet chudy, drugi zaś nieomal równie barczysty jak wysoki, obaj jednak poruszali się z charakterystyczną niebezpieczną gracją. Zmiennekolorowe płaszcze strażników powodowały lekki zawrót głowy, gdy patrzyło się na nie przez dłuższy czas, po części bowiem zdawały się rozplýwać w tle ścian, obok których mężczyźni przechodzili. Zobaczyła, że Nynaeve wpatruje się w nich i potrząsnęła głową.

"Nynaeve musi coś zrobić z Lanem. Jeżeli po dzisiejszym dniu którakolwiek z nas będzie w stanie zrobić cokolwiek z kimkolwiek".

Przedpokój gabinetu Zasiadającej na Tronie Amyrlin był odpowiednio wspaniały, by mógł znajdować się w dowolnym pałacu, chociaż fotele rozstawione dla ewentualnych interesantów były prosto wykonane, jednakże oczy Egwene nie zauważyły niemalże żadnych szczegółów, skupione bowiem były na Leane Sedai. Strażniczka nosiła wąską niebieską stulę – znak urzędu – kolor wskazywał z jakich Ajah została wyniesiona, natomiast jej twarz równie dobrze mogłaby być wyrzeźbiona z gładkiego, brązowego kamienia. Oprócz niej w pomieszczeniu nie było nikogo.

– Czy one sprawiały jakieś kłopoty? – Urywany sposób mówienia strażniczki nie zdradzał żadnych emocji, ani gniewu, ani współczucia.

– Nie, Aes Sedai – powiedziały chórem Theodrin i Przyjęta o rumianych policzkach.

– Tę należałoby porządnie wytargać za kark, Aes Sedai – oznajmiła Faolain, wskazując na Egwene. W głosie Przyjętej znać było oburzenie. – Niesforna jest tak, jakby' zapomniała, na czym polega dyscyplina Białej Wieży.

– Prowadzić – odrzekła na to Leane – nie znaczy ani ciągnąć, ani popychać. Zwróć się do Marris Sedai, Faolain, i poproś ją, aby pozwoliła ci kontemplować tę myśl podczas grabienia ścieżek w Wiosennych Ogrodach.

Ruchem ręki odprawiła Faolain oraz dwie Przyjęte, a one złożyły jej głębokie ukłony. Faolain nie omieszkała rzucić Egwene pełnego wściekłości spojrzenia.

Strażniczka nie zwróciła najmniejszej uwagi na odchodzące Przyjęte. Zamiast tego, badawczo przyglądała się pozostałym kobietom, przyłożywszy palec wskazujący do ust, ai Egwene miała wrażenie, iż mierzone są co do cala i zważone do jednej uncji. W oczach Nynaeve pojawiły się niebezpieczne iskierki, dłonią zaś mocno ścisnęła warkocz.

Ostatecznie Leane wskazała ręką drzwi do gabinetu Amyrlin. Na każdym ze skrzydeł Wielki Wąż, zwinięty w krąg o średnicy kroku, gryzł własny ogon.

– Wejdźcie – powiedziała.

Nynaeve bezzwłocznie postąpiła naprzód i otworzyła jedno ze skrzydeł. Tego wystarczyło, by Egwene również się ruszyła. Elayne schwyciła jej dłoń w kurczowy uścisk, ona także uściśnęła rękę tamtej, równie mocno. Leane poszła z nimi, zajmując ostatecznie miejsce z boku, w połowie drogi pomiędzy ich grupką a stołem stojącym pośrodku pokoju.

Za stołem siedziała Amyrlin, przeglądając jakieś papiery. Nawet na nie nie spojrzała. W pewnej chwili Nynaeve otworzyła już usta, ale zamknęła je ponownie, kiedy strażniczka ostro na nią spojrzała. Stały więc w szeregu przed stołem Amyrlin i czekały. Egwene usiłowała się nie denerwować. Minęły długie minuty – zdawały się godzinami – zanim Amyrlin uniosła głowę, ale kiedy te niebieskie oczy zmierzyły każdą z nich po kolei, Egwene przekonała się, że wolałaby czekać jeszcze dłużej. Spojrzenie Amyrlin było niczym dwa sople lodu zagłębiające się w serce. W pokoju było chłodno, poczuła jednak jak strumyczek potu ścieka jej po plecach.

– A więc! – oznajmiła na koniec Amyrlin. – Nasze uciekinierki wróciły.

– My nie uciekłyśmy, Matko.

Nynaeve najwyraźniej starała się ze wszystkich sił zachować spokój, ale głos jej drżał od emocji. Egwene wiedziała, że dominuje w nich gniew. Tak silna wola aż nazbyt często występowała w towarzystwie gniewu.

– Liandrin powiedziała nam, żebyśmy z nią poszły i...

Przerwał jej głośny trzask dłoni Amyrlin uderzającej o blat stołu.

– Nie przywołuj imienia Liandrin, dziecko! – warknęła Amyrlin.

Leane obserwowała je z niewzruszonym spokojem.

– Matko, Liandrin jest Czarną Ajah – wybuchła Elayne.

– O tym wiadomo już, dziecko. Podejrzewa się ją o to, ale dowody są tak silne, że nie sposób niemalże utrzymać inaczej. Liandrin opuściła Wieżę kilka miesięcy temu, a dwanaście innych... kobiet... odeszło razem z nią. Żadnej z nich od tego czasu nie widziano. Zanim uciekły, usiłowały włamać się do magazynu, gdzie przechowywane są *angreale* oraz *sa'angreale* i udało im się wdrzeć tam, gdzie pomieszczono pomniejsze *ter'angreale*. Ukradły ich dość dużo, włączając w to te, których przeznaczenia nie znamy.

Nynaeve, całkowicie przerażona, wpatrywała się w Amyrlin, a Elayne zaczęła nagle rozcierać dłonie, jakby zniecka zrobiło jej się zimno. Egwene wiedziała, że sama również drży. Wiele razy wyobrażała sobie swój powrót, konfrontację z Liandrin, rzucone jej w twarz oskarżenie, potem jej widok, skazanej na poniesienie jakiejś kary, wyjąwszy to, iż nie potrafiła sobie wyobrazić kary dostatecznie wielkiej, by odpowiednia była do zbrodni popełnionych przez Aes Sedai o twarzy lalki: W jej myślach pojawiał się nawet obraz odnalezienia Liandrin właśnie szykującej się do ucieczki, śmiertelnie przerażonej tym, że one wróciły. Ale czegoś takiego nigdy sobie nie wyobraziła. Jeżeli Liandrin i pozostałe Aes Sedai – nie chciała, nie mogła uwierzyć, że były jeszcze inne – ukradły te pozostałości po Wieku Legend, nie było sposobu przekonania się, co z nimi zrobiły.

"Dzięki Światłości, nie ukradły żadnego *sa'angreala*" – pomyślała.

Ale tamto było już wystarczająco straszne.

Sa'angreale pełniły podobne funkcje jak *angreale* pozwalały Aes Sedai przenieść więcej mocy, niżli były zdolne bezpiecznie dokonać bez wspomaganie – ale były znacznie od nich potężniejsze i o wiele radsze. *Ter'angreale* zaś miały odmienny charakter. Zachowały się w dużo większej liczbie niż tamte, choć wciąż nie były wcale powszechne, wykorzystywały raczej Jedyną Moc, niżli pomagały w jej przenoszeniu i tak naprawdę nikt nie rozumiał, jak działają. Wiele z nich funkcjonować mogło tylko dla tych, którzy potrafią przenosić, wymagały bowiem udziału przenoszonej Mocy, podczas gdy inne działały zgodnie ze swym przeznaczeniem dla każdego. Podczas gdy wszystkie *angreale* i *sa'angreale*, o których Egwene słyszała, były niewielkich rozmiarów, *ter'angreal* mógł najwidoczniej mieć rozmiary dowolne. Każdy z nich najwyraźniej został stworzony do realizacji określonego celu przez Aes Sedai żyjące trzy tysiące lat temu, wykonywał określoną rzecz, a dzisiejsze Aes Sedai czasami umierały, pragnąc odkryć, co to jest; umierały albo przydarzało im się tak, iż traciły zdolność do przenoszenia. Były to zazwyczaj siostry z Brązowych Ajah, które uczyniły *ter'angreale* przedmiotem studiów swego życia.

Niektórych używano, nawet czasem niezgodnie z pierwotnym przeznaczeniem. Mocna biała różdżka, którą trzymała Przyjęta, składając Trzy Przysięgi, które wnosiły ją do godności Aes Sedai, była *ter'angrealem*, dzięki niemu przysięgi wiązały ją tak mocno, jakby były jej wrodzone. Kolejny *ter'angreal* znajdował się w miejscu ostatecznego testu nowicjuszek, która miała stać się Przyjętą. Były też inne, włączając w to takie, których nikt w ogóle nie potrafił zmusić do funkcjonowania i wiele jeszcze innych, które zdawały się nie posiadać żadnego zastosowania praktycznego.

"Dlaczego zabrały rzeczy, o których nikt nie wie, do czego służą? – zastanawiała się Egwene. –

Choć być może Czarne Ajah wiedzą".

Ta możliwość spowodowała, że zaczęło przewracać się jej w żołądku. To może być równie groźne jak *sa'angreal* w rękach Sprzymierzeńca Ciemności.

– Kradzież – ciągnęła dalej Amyrlin tonem głosu równie chłodnym jak barwa jej oczu – stanowiła najmniejszą z ich zbrodni. Tej nocy zginęły trzy siostry, dwóch strażników, siedmiu gwardzistów i dziewięcioro służących. Morderstw dokonano po to, by ukryć tę kradzież i ucieczkę. To może nie być dowodem, iż były... Czarnymi Ajah – słowa te niemalże zazgrzytały w jej ustach – ale niewielu wierzy, iż było przeciwnie. Przynajmniej, prawdę mówiąc, ja nie wierzę. Kiedy w wodzie znajdziesz rybie głowy i krew, nie musisz zobaczyć srebrów, żeby wiedzieć, iż gdzieś tam są.

– Dlaczego więc traktuje się nas jak zbrodniarki? dopytywała się Nynaeve. – Zostałyśmy oszukane przez kobietę z... z Czarnych Ajah. To powinno wystarczyć, by oczyścić nas ze wszelkich zarzutów popełnienia jakichś karygodnych czynów.

Amyrlin roześmiała się niewesoło.

– Ty tak sądzisz, czyż nie, dziecko? To może równać się twemu ocaleniu, iż nikt w Wieży, prócz Verin, Leane i mnie nie podejrzewa was o jakiegokolwiek związku z Liandrin. Jeżeli to by się rozeszło, nie mówiąc już o małym pokazie na użytek Białych Płaszczy... niepotrzebnie wyglądacie na takie zaskoczone; Verin powiedziała mi wszystko... jeśli dowiedziano by się, że posłżyście z Liandrin, Komnata zapewne przegłosowałaby wasze ujarzmienie, zanim zdążyłybyście zaczerpnąć tchu.

– To nie w porządku! – powiedziała Nynaeve. Leane zeszywniała, ale tamta ciągnęła dalej: – To nie jest sprawiedliwe! To...!

Amyrlin wstała. To było wszystko, ale Nynaeve przerwała w pół słowa.

Egwene pomyślała, że mądrze postąpiła, zachowując milczenie. Zawsze uważała, iż Nynaeve jest tak mocna, ma taką silną wolę, jak nikt inny. Dopóki nie spotkała kobiety w pasiastej stule.

"Proszę, panuj nad swymi emocjami, Nynaeve. Równie dobrze mogłybyśmy być dziećmi, niemowlętami stającymi przed obliczem naszej matki, a ta Matka jest nam w stanie zrobić coś znacznie gorszego, niż tylko dać lanie".

Wydało się jej, że w słowach Amyrlin zawarta została jakaś sugestia, wskazująca drogę wyjścia z tej sytuacji, nie miała jednak pojęcia, na czym miała polegać.

– Matko, wybac mi, że odzywam się nie proszona, ale co zamierzasz nam zrobić?

– Zrobić wam, dziecko? Zamierzam ukarać ciebie i Elayne za opuszczenie bez pozwolenia Wieży, a Nynaeve za opuszczenie miasta bez pozwolenia. Najpierw każda z was zostanie wezwana do gabinetu Sheriam, gdzie, zgodnie z moim nakazem, otrzymacie tyle różg, iż przez następny tydzień będziecie żałować, że nie macie poduszki tam, gdzie przyjdzie wam siadać. Już ogłosiłam to wobec nowicjuszek i Przyjętych.

Egwene zamrugnęła zaskoczona. Elayne chrząknęła głośno, wyprostowała plecy i wymruczała coś pod nosem. Nynaeve była jedyną, która przyjęła to bez widocznego wstrząsu. Kary – dodatkowa praca, czy coś innego – zawsze były tajemnicą między Mistrznią Nowicjuszek; a tą, którą do niej wezwano. Były to zazwyczaj nowicjuszki, ale czasami zdarzały się również Przyjęte, które wykroczyły daleko poza dopuszczalne granice.

"Sheriam zawsze pozostawiała to między nami – myślała niewesoło Egwene. – Nigdy by nikomu nie powiedziała. Ale lepsze to niż uwięzienie. Lepsze niż ujarzmienie".

– Ogłoszenie jest częścią kary, rzecz jasna – kontynuowała Amyrlin, jakby potrafiła odczytać myśli Egwene. – Oznajmiłam także, że wszystkie trzy zostałyście przydzielone do kuchni w roli pomywaczek, aż do odwołania. A rozpuściłam również szeptane pogłoski, że "odwołanie" może oznaczać resztę waszego naturalnego żywota. Czy słyszę jakieś sprzeciwy?

– Nie, Matko – powiedziała szybko Egwene. Nynaeve będzie nienawidziła szorowania garnków jeszcze bardziej od nich.

"Mogło skończyć się gorzej, Nynaeve. Światłości, mogło być znacznie gorzej."

Nozdrza Nynaeve rozděły się, ale spróbowała się opamiętać, potrząsała tylko głową.

– A ty, Elayne? – zapytała Amyrlin. – Córka Dziedziczka Andoru przyzwyczajona zapewne jest do delikatniejszego traktowania.

– Pragnę zostać Aes Sedai, Matko – oznajmiła Elayne silnym głosem.

Amyrlin dotknęła palcem dokumentu, który leżał na wprost niej, na blacie stołu i przez chwilę zdawała się studiować go. Kiedy podniosła głowę, uśmiech, który zagościł na jej twarzy nie niósł wiele radości.

– Gdyby któraś z was okazała się na tyle głupia, by odpowiedzieć inaczej, miałam zamiar dodać do tej porcji kar coś takiego, co spowodowałoby, iż przeklinałybyście matkę za to, że pozwoliła waszemu ojcu skraść sobie choć pierwszy pocałunek. Dałyście się wyrwać z Wieży jak bezmyślne dzieci. Nawet niemowlę nie wpadłoby w taką pułapkę. Nauczę was najpierw myśleć, a potem dopiero działać, albo użyję was do zatkania szczelin w bramach wodnych!

Egwene przyłapała się na bezgłośnych podziękowaniach. Dreszcz przebiegł jej po skórze, gdy Amyrlin ciągnęła dalej:

– Teraz, co się tyczy tego, co jeszcze mam zamiar z wami zrobić. Wygląda na to, że w znaczący sposób rozwinięłyście swą zdolność do przenoszenia, od czasu gdy opuściłyście Wieżę. Nauczyłyście się dużo. Włączając w to pewne rzeczy – dodała ostro – których wolałabym, abyście nie poznały nigdy.

Nynaeve zaskoczyła Egwene, mówiąc:

– Wiem, że robiłyśmy... rzeczy... których robić nie powinnyśmy, Matko. Zapewniam cię, że zrobimy wszystko, co w naszej mocy, by żyć, jakby wiązały nas Trzy Przysięgi.

Amyrlin odkaslnęła.

– Dopatrzę, by tak było – oznajmiła sucho. – Jeżeli mogłabym, już dzisiejszego wieczora włożyłabym Różdżkę Przysiąg w wasze dłonie, ale skoro jest to ceremonia ograniczona do stawania się Aes Sedai, muszę zaufać waszemu zdrowemu rozsądkowi... jeżeli posiadacie choćby jego resztki... że będzie was strzegł. W takiej sytuacji, ty, Egwene i ty, Elayne, zostaniecie podniesione do godności Przyjętych.

Elayne wstrzymała dech, a Egwene aż zachwiała się od przeżytego wstrząsu.

– Dziękuję, Matko.

Leane poruszyła niespokojnie nogami. Egwene nie sądziła, że strażniczka wygląda na szczególnie zadowoloną. Nie była zaskoczona – jasne, że musiała wiedzieć, co nastąpi – ale zadowolona również nie.

– Nie dziękuj mi. Wasze zdolności rozwinęły się nazbyt wyraźnie, byście dalej pozostawały nowicjuszkami. Niektóre myślą, że nie powinnyście otrzymać pierścienia, nie po czymś takim, ale wasz widok, po kostki w tłustych garnkach, powinien złagodzić krytykę mej decyzji. Ostatecznie możecie myśleć o tym jako formie odpłaty, pamiętajcie bowiem, że pierwsze tygodnie Przyjętych upływają na wybieraniu gnijących ryb z kosza z dobrymi sztukami. Wasze najgorsze dni w roli nowicjuszek zdawać się wam będą słodkim snem w porównaniu z resztą waszej działalności naukowej przez najbliższe kilka tygodni. Podejrzewam, iż niektóre z uczących was sióstr wystawią was na doświadczenia cięższe niżli to sensu stricto konieczne, ale nie wierzę, żebyście się skarżyły. Będziecie?

"Mogę się uczyć – pomyślała Egwene. – Wybierać własne przedmioty studiów. Mogę się

nauczyć o snach, nauczyć jak..."

Uśmiech Amyrlin przeciął strumień jej myśli. Ten uśmiech mówił, że nic, co siostry mogą im zrobić nie będzie gorsze, niżli musi być, jeśli ostatecznie pozostawi je przy życiu. Na twarzy Nynaeve odbijała się mieszanina głębokiego współczucia i przepełnionych łękiem wspomnień jej własnych pierwszych tygodni w roli Przyjętej. Ta kombinacja wystarczyła, by Egwene z trudem przełknęła ślinę.

– Nie, Matko – powiedziała słabo.

Odpowiedzią Elayne był ochryply szept.

– A więc, niech się tak stanie. Twoja matka niezbyt była zadowolona z twego zniknięcia, Elayne.

– Ona wie? – wyskrzeczwała Elayne.

Leane parsknęła, a Amyrlin uniosła brew i powiedziała:

– Nie potrafiłam jej utrzymać w nieświadomości. Minęłaś się z nią o mniej niż miesiąc, co zresztą może okazać się dla ciebie wyjątkowo korzystne. Mogłabyś nie przeżyć tego spotkania. Była tak wściekła, że mogłaby przegryźć wiosło, wściekła na ciebie, na mnie, na Białą Wieżę.

– Potrafię sobie wyobrazić, Matko – słabo przytaknęła Elayne.

– Nie sądzę, byś potrafiła, dziecko. Przez ciebie mogła dobiec końca tradycja, która starsza jest od samego Andoru. Zwyczaj silniejszy od większości praw. Morgase odmówiła wzięcia z sobą z powrotem Elaidy. Po raz pierwszy w dziejach królowa Andoru nie posiada doradczyni w osobie Aes Sedai. Domagała się twego natychmiastowego powrotu do Caemlyn, gdy tylko się odnajdziesz. Przekonałam ją, że będzie dla ciebie bezpieczniej pobierać nauki jeszcze przez jakiś czas. Gotowa była również zabrać twych dwóch braci, nie pozwalając im skończyć treningu u strażników. Sami ją jakoś przekonali, by tego nie robiła. Nie wiem jak.

Elayne zdawała się zatopiona w myślach, być może wyobrażała sobie Morgase podczas nie kontrolowanego napadu gniewu. Zadrzała.

– Gawyn jest moim bratem – powiedziała nieobecny tonem. – Galad nie.

– Nie zachowuj się dziecinnie – napomniała ją Amyrlin. – Ponieważ posiada tego samego ojca, jest również twoim bratem, niezależnie od tego, czy lubisz go czy nie. Nie pozwolę ci zachowywać się dziecinnie, dziewczyno. Jakaś porcja głupoty może być tolerowana u nowicjuszek, ale nie dozwala się jej Przyjętym.

– Tak, Matko – zgodziła się posępnie Elayne.

– Królowa zostawiła dla ciebie list u Sheriam. Ta, oprócz pokazania ci, do czego zdolny jest jej język, będzie się również upierała przy odesłaniu cię do domu najwcześniej, jak to tylko będzie dla ciebie bezpieczne. Pewna jest, iż za kilka miesięcy będziesz zdolna przenosić bez ryzyka, i że zabijesz się przy tym.

– Ale ja chcę się uczyć, Matko. – Stalowy ton ponownie zagrał w głosie Elayne. – Chcę zostać Aes Sedai.

Uśmiech Amyrlin był jeszcze bardziej ponury niż poprzednio.

– I tak się też stanie, dziecko, ponieważ nie mam zamiaru pozwolić Morgase dostać cię w swoje ręce. Masz możliwości zostania najsilniejszą Aes Sedai od tysiąca lat i nie pozwolę ci odejść, zanim po pierścieniu nie osiągniesz szala. Nawet jeśli miałabym cię zemleć i napchać tobą kielbasę. Nie pozwolę ci odejść! Czy wyrażam się jasno?

– Tak, Matko.

W głosie Elayne brzmiał niepokój, a Egwene nie winiła jej za to. Znalazła się w potrzasku między Morgase i Białą Wieżą, niczym smakowity kąsek, uwięziona między królową Andoru i

Tronem Amyrlin. Jeżeli Egwene kiedykolwiek zazdrościła Elayne jej bogactwa i tronu, na którym pewnego dnia zasiądzie, w tym momencie na pewno tak nie było.

Amyrlin energicznym głosem przerwała panującą ciszę.

– Leane, zabierz Elayne na dół do gabinetu Sheriam. Mam jeszcze kilka słów do powiedzenia tym dwóm. Słów, które na pewno nie będą dla nich przyjemne.

Egwene wymieniła z Nynaevie zaskoczone spojrzenia, na chwilę wspólne zmartwienie zdawało się łagodzić istniejące między nimi napięcie.

"Co ona może powiedzieć nam, czego nie miałyby usłyszeć Elayne? – zastanawiała się. – Nie dbam o to, dopóki nie spróbuje powstrzymać mnie od uczenia się. Ale dlaczego nie Elayne?"

Elayne skrzywiła się na samo wspomnienie gabinetu Mistrzynie Nowicjuszek, ale zebrała się w sobie, gdy Leane stanęła u jej boku.

– Jak rozkażesz, Matko – powiedziała uroczystym tonem, zginając się w doskonałym ukłonie, rozpościerając szeroko fałdy sukni – tak też i jestem posłuszna.

Wyszła w ślad za Leane, głowę zaś trzymała wysoko.

ROZDZIAŁ 14

UKŁUCIE KOLCÓW

Zasiadająca na Tronie Amyrlin zatopiła się w mil czemu, podeszła do wysokich, łukowato sklepionych okien i spojrzała ponad balkonem na znajdujące się niżej ogrody, ręce trzymała splecione ciasno z tyłu. Minuty mijały, zanim wreszcie przemówiła, wciąż odwrócona tyłem do nich.

– Udało mi się zachować w tajemnicy najgorszą część tego, co się zdarzyło, ale na jak długo? Służba nic nie wie o skradzionych *ter'angrealach* i nikt nie łączy tych śmierci z Liandrin oraz jej współpracownikami. Nie było to łatwe. Wszyscy wierzą, że zabójstwa były dziełem Sprzymierzeńców Ciemności. I tak też jest w istocie. Nadto szerzą się już w mieście plotki, że Sprzymierzeńcy Ciemności dostali się do Wieży, że oni mordowali. Nie było sposobu na powstrzymanie tego. Nie jest to dobre dla naszej reputacji, ale w każdym razie lepsze niż prawda. W końcu nikt poza Wieżą, a niewiele osób wewnątrz wie, że zabite zostały Aes Sedai. Sprzymierzeńcy Ciemności w Białej Wieży! Pfuj! Przez całe moje życie zaprzeczałam tej możliwości. Nie pozwolę im na to. Zawieszę je na haku, wypatroszę i pozostawię na słońcu, żeby wyschły na kość.

Nynaeve rzuciła Egwene niepewne spojrzenie – stopień pomieszania w jej oczach nie dorównywał nawet w połowie uczuciom tamtej – potem wzięła głęboki oddech.

– Matko, czy to znaczy, że mamy być jeszcze bardziej ukarane? Oprócz tego, co już zawyrokowałaś dla nas?

Amyrlin spojrzała na nie przez ramię, jej oczy pozostały skryte w cieniu.

– Ukarane bardziej? Cóż, równie dobrze można to tak nazwać. Niektórzy powiedzą, że wynosząc was, robię wam prezent. Teraz poczujecie prawdziwe ukłucia kolców tej róży.

Szybko przeszła z powrotem do swego fotela i usiadła, w tej samej chwili pośpiech jakby ją opuścił. Albo zastąpiła go niepewność.

Na widok zagubienia Amyrlin, Egwene poczuła, jak coś ją ściska w żołądku. Zasiadająca na Tronie Amyrlin stanowiła zawsze uosobienie pewności, jasny punkt na jej ścieżce. Była personifikacją siły. Niezależnie od tego, jak wielką sama posiadałaby wrodzoną moc, kobieta siedząca po drugiej stronie stołu miała wiedzę i doświadczenie, dzięki którym zdolna była owinąć ją sobie dookoła palca. Nagły widok wahającej się Amyrlin – niczym dziewczyny, która wie, że musi skoczyć na główkę do stawu, nie wiedząc jednocześnie, jak jest głęboki, ani czy na dnie znajdują się skały czy glina – taki widok przeszył Egwene mrozem do szpiku kości.

"Co ona chciała powiedzieć przez prawdziwe ukłucia kolców? Światłości, co ona zamierza nam zrobić?"

Wskazując palcem rzeźbione czarne pudełko stojące przed nią na stole, Amyrlin wbiła w nie wzrok, ale patrzyła jakby przez nie na wylot.

– Jest to kwestia tego, komu mogę zaufać? – powiedziała cicho. – W ostateczności będę w stanie zaufać Leane i Sheriam. Ale czy się ośmielę? Verin? – Jej ramiona zatrzęsły się w krótkim wybuchu bezgłośnego śmiechu. Już ufam Verin, przecież powierzyłam jej więcej niż własne życie, ale jak długo może to trwać? Moiraine? – Przez chwilę milczała. – Zawsze wierzyłam, że mogę ufać Moiraine.

Egwene poruszyła się niespokojnie. Jak wiele wie Amyrlin? Nie było to coś, o co mogłaby spytać wprost, nie Zasiadającą na Tronie Amyrlin.

"Czy wiesz, że młodzieniec z mojej wioski, człowiek, o którym myślałam, że pewnego dnia wezmę z nim ślub, jest Smokiem Odrodzonym? Czy wiesz, że pomagają mu dwie z twoich Aes

Sedai?"

Pewna była jedynie tego, że Amyrlin nie wie, iż śniła o nim zeszłej nocy, śniła, jak uciekał przed Moiraine. Sądziła przynajmniej, że jest tego pewna. Trwała więc w milczeniu.

– O czym ty mówisz? – dopytywała się Nynaeve. Gdy Amyrlin spojrzała na nią, złagodniejszy ton głosu, dodała: – Wybacz mi, Matko, ale czy mamy zostać bardziej ukarane? Nie rozumiem całej tej przemowy o zaufaniu. Jeśli pragniesz poznać moje zdanie, to Moiraine nie można wierzyć.

– Taka jest twoja opinia, tak? – zapytała Amyrlin. – Ledwie rok temu opuściłaś swoją wioskę i już sądzisz, że wiesz, która Aes Sedai jest godna zaufania, a która nie? Doświadczony żeglarz, który ledwie nauczył się wciągać żagle!

– Ona nie chciała w ten sposób niczego zasugerować, Matko – powiedziała Egwene, ale wiedziała przecież, że Nynaeve powiedziała dokładnie to, co chciała powiedzieć. Rzuciła jej ostrzegawcze spojrzenie. Tamta szarpnęła gwałtownie za koniec swego warkocza, ale nie odzywała się więcej.

– Cóż, któż może wiedzieć – zadumała się Amyrlin. – Zaufanie jest czasami równie trudne do uchwycenia jak wijące się piskorze. Sprawa polega na tym, że to właśnie z wami dwoma muszę pracować, niezależnie od tego, jak kruche stanowiącie żdźbła.

Usta Nynaeve zacisnęły się jeszcze bardziej, mimo to głos nie zmienił tonu.

– Kruche żdźbła, Matko?

Amyrlin ciągnęła dalej, jakby żadne pytanie nie padło:

– Liandrin próbowała wepchnąć was do swego saka, może to więc oznaczać, że uciekła, ponieważ dowiedziała się, iż wracacie i będziecie w stanie ją zdemaskować, dlatego też muszę wierzyć, że nie jesteście... Czarnymi Ajah. Wolałabym raczej jeść łuski i wnętrzności – wymruczała – ale przypuszczam, że będę musiała przywyknąć do wypowiedzania tej nazwy.

Egwene, oniemiała, aż usta otworzyła ze zdumienia "Czarne Ajah? My? Światłości!" – ale Nynaeve warknęła:

– Oczywiście, że nie jesteśmy! Jak śmiesz mówić takie rzeczy? Jak śmiesz w ogóle coś takiego sugerować?

– Jeśli masz jakieś wątpliwości, dziecko, to proszę bardzo! – powiedziała Amyrlin twardym głosem. – Możesz czasami władać mocą Aes Sedai, ale nie jesteś jeszcze Aes Sedai, do tego ci jeszcze daleko. A więc? Mów, jeśli masz jeszcze coś do powiedzenia. Obiecuję, że łkając, będziesz błagać o wybaczenie! "Kruche żdźbła"? Złamię cię jak żdźbło trawy! Moja cierpliwość się wyczerpała.

Usta Nynaeve drżały. Na koniec jednak potrząsnęła głową i wzięła głęboki oddech. Kiedy, uspokojona nieco, przemówiła, w jej głosie pobrzmiwały wciąż ostre tony, choć już łagodniejsze.

– Wybacz mi, Matko. Ale nie powinnaś... Nie jesteśmy... Nie mogłybyśmy czegoś takiego zrobić.

Tłumiąc uśmiech, Amyrlin odchyliła się w fotelu.

– Tak więc, jesteś w stanie powstrzymać swe humory, kiedy chcesz. Powinam to wiedzieć. – Egwene zastanawiała się, jak wiele z tego, co się dotąd zdarzyło, stanowiło próbę. Wokół oczu Amyrlin dostrzegła napięte mięśnie, które mogły świadczyć o tym, że jej cierpliwość rzeczywiście się wyczerpała. – Chciałabym umieć znaleźć sposób obdarzenia cię szarfą, Córko. Verin mówi, że już jesteś równie silna jak którakolwiek pozostała kobieta w Wieży.

– Szarfa! – Nynaeve zaparło dech. – Aes Sedai? Ja?

Amyrlin wykonała delikatny gest, jakby odsuwała coś sprzed twarzy, jednocześnie wyglądając na zmartwioną tą startą.

– Nie ma sensu opłakiwać czegoś, co nie może się stać. Nie za bardzo mogę wynieść cię do godności pełnej siostry i jednocześnie posłać do kuchni, abyś tam szorowała garnki. Nadto Verin powiada, że wciąż nie potrafisz przenosić świadomie, a tylko wtedy, gdy przepelnia cię wściekłość. Gotowa byłam odciąć cię od Prawdziwego Źródła, gdyby tylko wyglądało na to, że obejmujesz *saidara*. Końcowe próby na szarfę wymagają wykazania zdolności przenoszenia z jednoczesnym zachowaniem bezwzględnej spokoju w obecności zewnętrznych nacisków. Skrajnych nacisków. Nawet ja nie mogłabym, i nie chciałabym, ominąć tych warunków.

Nynaeve wyglądała jak ogłuszona. Stała z otwartymi ustami, wpatrując się w Amyrlin.

– Nie rozumiem, Matko – powiedziała po chwili Egwene.

– Jeśli o to chodzi, to przypuszczam, że nie możesz zrozumieć. W całej Wieży jesteście jedynymi, co do których mogę być całkowicie pewna, że nie są Czarnymi Ajah. – Usta Amyrlin ponownie wykrzywiły się na tych słowach. – Liandrin i jej dwunastka odeszły, ale czy mogę być pewna, że odeszły wszystkie? Czy też część z nich została, jak pniak w płytkiej wodzie, którego nie widzisz, dopóki nie wybije dziury w dnie twojej łodzi? Możliwe jest, że nie uda mi się tego odkryć, dopóki nie będzie za późno, ale nie pozwolę Liandrin i jej współpracownikom odjechać spokojnie po tym, co zrobiły. Po kradzieży i po morderstwach. Nikt nie będzie zabijał moich ludzi i nietknięty swobodnie odchodził. I nie pozwolę trzynastu doświadczonym Aes Sedai służyć Cieniowi. Chcę znaleźć je i ujarzmić!

– Nie rozumiem, co to ma wspólnego z nami – powiedziała wolno Nynaeve. Wyglądało na to, że nie spodobały się jej własne myśli.

– Dokładnie to, dziecko; wy dwie będziecie mymi ogarami, tropiącymi Czarne Ajah. Nikt by w to nie uwierzył, żeby na poły wytrenowane Przyjęte, które poniżyłam publicznie miały zajmować się takimi zadaniami.

– To szaleństwo! – Oczy Nynaeve otwierały się coraz szerzej do czasu, kiedy Amyrlin doszła do słów "Czarne Ajah", a kostki jej palców pobielewały od ściskania warkocza. Kiedy mówiła, było to tak, jakby odrąbywała i wypluwała kolejne słowa. – Są pełne Aes Sedai. Egwene nie została nawet wyniesiona jeszcze do godności Przyjętej, a wiesz przecież, że nie potrafię przenosić, jeśli nie jestem wściekła, nie potrafię przenosić tylko dlatego, że tego chcę. Jaką mamy szansę?

Egwene pokiwała głową na znak zgody. Język przylgnął jej do podniebienia.

"Ściagać Czarne Ajah? Wolalabym raczej z różgą wyprawić się na niedźwiedzia! Ona tylko próbuje nas wystraszyć, by w ten sposób ukarać nas bardziej. Na pewno tak jest!"

Jeśli rzeczywiście Amyrlin chodziło tylko o to, to bez wątplenia odniosła sukces.

Amyrlin również pokiwała głową.

– Wszystko, co mówisz jest prawdą. Ale każda z was swobodnie prześcignie Liandrin, jeśli chodzi o czystą moc, a ona jest z nich wszystkich najsilniejsza. Oczywiście, że one są wyćwiczone, a wy nie, a ty, Nynaeve, rzecz jasna, posiadasz swoje ograniczenia. Kiedy jednak nie masz wiosła, dziecko, każda deska może ci posłużyć dla odbicia od brzegu.

– Ale ze mnie nie będzie żadnego pożytku – wypaliła Egwene. Jej głos brzmiał jak skrzeczenie, bała się jednak za bardzo, by się wstydzić.

"Ona naprawdę tego chce! Och, Światłości, rzeczywiście miała to na myśli! Liandrin wydała mnie Seanchanom, a teraz ona chce, żebym ściagała trzynaście takich jak tamta?"

– Moje studia, moje wykłady, praca w kuchni. Anaiya Sedai z pewnością chciałaby kontynuować testy mające wykazać, czy jestem Sniącą. Z trudem znajduję czas na to, by jeść i spać. Jak mogłabym jeszcze kogokolwiek ściagać?

– Będziesz musiała jakoś znaleźć czas – oznajmiła Amyrlin ponownie, zimno i spokojnie, jakby

ściganie Czarnych Ajah nie było niczym więcej, niż zmywanie podłogi. – Jako jedna z Przyjętych sama dobierasz sobie przedmiot studiów, w określonych granicach rzecz jasna, i czas, jaki musisz na nie poświęcić. Reguła jest odrobinę lżejsza dla Przyjętych. Odrobinę. One muszą zostać odnalezione, dziecko.

Egwene spojrzała na Nynaeve, ale tamta zapytała tylko:

– Dlaczego Elayne została z tego wyłączona? Na pewno nie ze względu na to, że podejrzewasz ją o bycie Czarną Ajah. To dlatego, że jest Córką-Dziedziczką Andoru?

– Pełne sieci zaraz po pierwszym zarzuceniu, dziecko. Uczyniłabym ją jedną z was, ale w obecnej chwili i tak mam wystarczająco dużo problemów z Morgase. Kiedy już ją odpowiednio wyłajam, utemperuję i zawrócę na właściwą ścieżkę, wówczas prawdopodobnie Elayne dołączy do was. Być może, jednakowoż dopiero wtedy.

– A więc Egwene nie włączaj w to również – powiedziała Nynaeve. – Ona jest ledwie na tyle dorosła, by być kobietą. Ja będę dla ciebie polować.

Egwene próbowała zaprotestować – "Jestem kobietą!" – ale Amyrlin odezwała się pierwsza.

– Nie wysyłam cię na przynętę, dziecko. Gdybym miała setkę takich jak ty, wciąż nie byłabym zadowolona, ale jesteście tylko wy dwie, i to jest wszystko, co posiadam.

– Nynaeve – zapytała Egwene. – Nie rozumiem cię. Czy ty rzeczywiście chcesz to zrobić?

– Nie chodzi o to, że ja tego chcę – odrzekła zmęczonym głosem Nynaeve – ale wolę raczej je ścigać, niż siedzieć na miejscu i zastanawiać się, czy ucząca mnie Aes Sedai nie jest w rzeczywistości Sprzymierzeńcem Ciemności. A cokolwiek one zamierzają, nie mam ochoty czekać, aż będą gotowe to przed nami odkryć.

Decyzja, jaką powzięła Egwene, słysząc te słowa, spowodowała u niej skręty żołądka.

– Wobec tego, ja również podejmuję się. Nie bardziej niż ty mam ochotę, by siedzieć i czekać, zamartwiając się. – Nynaeve otworzyła usta i Egwene poczuła przyływ gniewu, który po niedawnym strachu stanowił prawdziwą ulgę. – I nie waż się ponownie mówić, że jestem zbyt młoda. W ostateczności potrafię przenosić, kiedy tylko zechcę. Przynajmniej zazwyczaj tak jest. Nie jestem już małą dziewczynką, Nynaeve.

Nynaeve stała, szarpiąc swój warkocz i nie mówiła ani słowa. Na koniec napięcie wreszcie ją opuściło.

– Nie jesteś, tak? Próbowałam powiedzieć sobie, że jesteś kobietą, ale sędzę, że tak naprawdę, wewnątrz nie jestem w stanie w to uwierzyć. Dziewczyno... Nie, kobieto. Kobieto, mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, iż chcesz za mną pójść wprost do kotła pełnego wody i że mogą rozpaść pod nim ogień.

– Wiem o tym. – Egwene była dumna, że tym razem jej głos niemalże nie drżał.

Amyrlin uśmiechnęła się, jakby z zadowolenia, ale w jej niebieskich oczach Egwene dostrzegła coś, co pozwoliło jej podejrzewać, że od początku wiedziała, jakie będzie ich postanowienie. Przez moment znowu czuła te sznurki mistrza kukiełek przyczepione do swoich rąk i nóg.

– Verin... – Amyrlin zawahała się przez chwilę, potem powiedziała cicho, na poły do siebie. – Jeżeli będę musiała komuś zaufać, równie dobrze może to być ona. Wie już tyle samo co ja, a może nawet więcej. – Jej głos nabrał mocy. – Verin przekaże wam wszystko, co wiadomo o Liandrin i reszcie, a nadto listę porwanych *ter'angreali* i ich funkcje. Przynajmniej te, o których wiemy. Jeśli zaś chodzi o Czarne Ajah pozostałe w Wieży... Słuchajcie, obserwujcie i ostrożnie zadawajcie pytania. Bądźcie jak myszy. Jeżeli poweźmiecie jakiegokolwiek podejrzenia, przyjdźcie z tym do mnie. Ze swojej strony też będę na was uważać. Nikt nie będzie dziwił się temu, biorąc pod uwagę, za co zostałyście ukarane. Możecie swoje raporty zdawać, kiedy będę poddawała was kontroli.

Pamiętajcie, one już zabijały. Mogą z łatwością zrobić to ponownie.

– Wszystko w najlepszym porządku – powiedziała Nynaeve – ale wciąż będziemy tylko Przyjętymi, a ściga my Aes Sedai. Każda pełna siostra może kazać nam zająć się swoimi sprawami, albo odesłać nas do pralni i nie będziemy miały innego wyjścia, niż tylko posłuchać. Są miejsca, w które nie należy chodzić, będąc Przyjętą, rzeczy których nie należy robić. Światłości, nawet jeśli będziemy miały pewność, że jakaś siostra jest Czarną Ajah, ona może rozkazać gwardzistom, by zamknęli nas w naszych pokojach i zatrzymać nas tam, a oni posłuchają. Z pewnością nie będą przedkładali słowa Przyjętej nad oświadczenie Aes Sedai.

– Zazwyczaj – odrzekła Amyrlin – będziecie musiały działać w ramach ograniczeń wiążących Przyjętą. Chodzi o to, by nikt was nie podejrzał. Ale...

Otworzyła czarną kasetkę, stojącą na jej stole, zawahała się i spojrzała na obecne w pokoju kobiety, jakby wciąż niepewna, czy rzeczywiście chce to zrobić, potem wyjęła z niej kilka sztywnych, zwiniętych dokumentów. Uporządkowała je uważnie, potem ponownie zawahała się i wybrała dwa z nich. Pozostałe wsadziła z powrotem do kasetki, a te dwa podała Egwene i Nynaeve.

– Ukryjcie je dobrze. Przeznaczone są do wykorzystania w nagłym wypadku.

Egwene rozwinęła gruby papier. Zobaczyła tekst napisany starannym, równym pismem, pieczętowany u dołu Białym Płomieniem Tar Valon.

*Co uczyni okaziciel niniejszego pisma, uczynione jest z mego rozporządzenia i upoważnienia.
Bądźcie więc posłuszni i milczcie, taki jest bowiem moi rozkaz.*

Siuan Sanche

Strażniczka Pieczęci

Płomienia Tar Yalon

Zasiadająca na Tronie Amyrlin

– Z czymś takim mogę zrobić wszystko – powiedziała zdumiona Nynaeve. – Kazać gwardzistom maszerować. Rozkazywać strażnikom. – Roześmiała się lekko. – Z tym mogę zmusić strażników do tańczenia.

– Dopóki nie dotrze to do mnie – zgodziła się sucho Amyrlin. – I o ile nie okaże się, że miałaś bardzo przekonujący powód, sprawię byś pożałowała, iż nie wpadłaś w ręce Liandrin.

– Nie miałam zamiaru nic takiego zrobić – odrzekła pośpiesznie Nynaeve. – Chciałam jedynie zaznaczyć, że daję mi to więcej władzy, niżli sobie kiedykolwiek wyobrażałam.

– Możecie potrzebować każdej jej drobiny. Ale o jednym pamiętaj, dziecko. Dla Sprzymierzeńca Ciemności nie będzie to znaczyło więcej niż dla Białego Płaszczu. Zapewne zabiją cię za samo posiadanie czegoś takiego. Jeżeli ten dokument miałby być tarczą... cóż, papierowe tarcze bywają liche, a ta na dodatek ma na sobie wymalowane koncentryczne kręgi, ułatwiające celowanie.

– Tak, Matko – odpowiedziały równocześnie Egwene i Nynaeve.

Egwene zwinęła dokument i wsunęła do sakwy przy pasie, postanowiwszy nie wyjmować go, dopóki rzeczywiście nie będzie innego wyjścia.

"Ale jak mam wiedzieć, kiedy taka chwila nadejdzie?"

– A co z Matem? – zapytała Nynaeve. – Jest bardzo chory, Matko. Nie zostało mu już wiele czasu.

– Prześlę wam słowo -lakonicznie odparła Amyrlin.

– Ależ, Matko...

– Zawiadomię was! Teraz idźcie już sobie, dzieci. Nadzieja Wieży spoczywa w waszych dłoniach. Idźcie do swoich pokoi i odpocznijcie trochę. Pamiętajcie, czeka was spotkanie z Sheriam i z garnkami.

ROZDZIAŁ 15

SZARY CZŁOWIEK

Korytarze otaczające gabinet Zasiadającej na Tronie Amyrlin okazały się puste, wyjąwszy przypadkowo spotykane służące, które na stopach obutych miękkimi pantoflami spieszyły się, zajęte swymi obowiązkami. Egwene wdzięczna była za ich obecność. Korytarze nagle wydały jej się niczym jaskinie, niezależnie od wiszących na ścianach gobelinów i kamiennych zdobień. Niebezpieczne jaskinie.

Nynaeve szybkim krokiem wędrowała przed siebie, znowu kapryśnymi ruchami szarpiąc swój warkocz i Egwene musiała spieszyć się, by dotrzymać jej kroku. Nie miała ochoty zostać tutaj sama.

– Jeżeli Czarne Ajah wciąż są tutaj, Nynaeve, i jeżeli powezmą najłżejsze choćby podejrzenia w stosunku do tego, co robimy... Mam nadzieję, że nie mówiłaś poważnie, kiedy wspominałaś o działaniu w taki sposób, jakbyśmy już były związane Trzema Przysięgami. Nie mam zamiaru pozwolić im mnie zabić, nie wówczas gdy będę zdolna do przenoszenia.

– Jeśli którakolwiek z nich jeszcze tutaj została, z pewnością będą wiedziały, czym się zajmujemy, w chwili gdy tylko nas zobaczą. – Wbrew treści wypowiedzianych słów, w głosie Nynaeve brzmiało prawdziwe zatroskanie. W ostateczności dojrzą w nas zagrożenie dla siebie, a to będzie oznaczało to samo, przynajmniej jeżeli chodzi o skutki, których doświadczymy.

– Dlaczego miałyby dostrzec w nas zagrożenie? Nikt nie postrzega groźby w kimś, komu może rozkazywać. Dla nikogo zagrożeniem nie jest ktoś, kto musi szorować garnki i obracać rożen trzy razy dziennie. Dlatego właśnie Amyrlin zapędziła nas do pracy w kuchniach. To przynajmniej stanowi część odpowiedzi na to pytanie.

– Być może Amyrlin nie przemyślała wszystkiego do końca – powiedziała Nynaeve nieobecny głosem. A być może zrobiła to i chce od nas czegoś innego, niż to, co oznajmiła. Pomyśl, Egwene. Liandrin nie chciałaby usunąć nas ze swej drogi, gdyby nie uważała, że stanowimy dla niej zagrożenie. Nie jestem w stanie wyobrazić sobie w jaki sposób, albo wobec czego dokładnie, ale nie potrafię również pojąć, dlaczego to miałyby się w najmniejszym stopniu zmienić. Jeśli są tutaj wciąż jeszcze jakieś Czarne Ajah, będą bez wątplenia postrzegać nas w ten sam sposób, niezależnie od tego, czy domyślą się, co robimy, czy też nie.

Egwene przełknęła ślinę.

– O tym nie pomyślałam. Światłości, chciałabym być niewidzialna. Nynaeve, jeżeli one wciąż nas ścigają, to raczej zaryzykuję ujarzmienie, niż dam się zabić Sprzymierzeńcowi Ciemności, albo pozwolę zrobić sobie coś jeszcze gorszego. Myślę, że ty również nie poddasz się bez walki, niezależnie od tego, co obiecałaś Amyrlin.

– Zrobię to, co powiedziałam. – Przez chwilę Nynaeve wyglądała, jak wyrwana z głębokiego zamyślenia. Przyspieszyła kroku. Obok nich przeszła szybko jasnowłosa nowicjuszka niosąca tacę. – Mam zamiar dotrzymać każdego słowa, jakie wypowiedziałam, Egwene. – Kiedy nowicjuszka odeszła poza zasięg głosu, Nynaeve ciągnęła dalej. – Istnieją inne sposoby obrony. Gdyby ich nie było, zabijano by Aes Sedai za każdym razem, kiedy opuszczają Wieżę. Musimy tylko wymyślić, jak to zrobić i potem zastosować nasze pomysły w praktyce.

– Już znam kilka takich sposobów, podobnie zresztą jak ty.

– Są niebezpieczne. – Egwene już otworzyła usta, by powiedzieć, że niebezpieczne są dla napastnika, lecz Nynaeve nie pozwoliła jej dojść do głosu. – Może się zdarzyć, że nazbyt je polubisz. Kiedy dzisiaj rano wyzwoliłam cały mój gniew przeciwko Białym Płaszczom... To było zbyt

przyjemne uczucie.

Zadrżała i ponownie przyspieszyła kroku, tak że Egwene musiała również ruszyć zwawiej, aby za nią nadążyć.

– Jakbym słyszała Sheriam. Nigdy dotąd nie mówiłaś w taki sposób. Buntowałaś się przeciwko wszelkim ograniczeniom, jakie na ciebie nakładały. Dlaczego więc teraz je akceptujesz, skoro być może będziemy musiały je zlekceważyć, aby pozostać przy życiu?

– Jaki z tego pożytek, skoro wszystko może się skończyć wydaleniem nas z Wieży? Ujarzmione czy nie, wszystko jedno, co z tego będziemy miały? – Głos Nynaeve ścichł, jakby mówiła sama do siebie. – Mogę to zrobić. Muszę, jeżeli mam tutaj zostać wystarczająco długo, by się uczyć, a muszę się uczyć, jeżeli mam... – Nagle jakby zdała sobie sprawę, że mówi na głos. Zmierzyła Egwene ostrym spojrzeniem, a jej głos stwardniał. – Pozwól mi pomyśleć. Proszę, bądź przez chwilę cicho i pozwól mi pomyśleć.

Egwene nabrała wody w usta, ale wewnątrz aż gotowała się od nie zadanych pytań. Jakie to szczególne powody przepelniają Nynaeve chęcią nauczania się więcej od tego wszystkiego, co oferuje Biała Wieża? Czym jest to, czego pragnie? Dlaczego trzyma to przed nią w tajemnicy?

"Tajemnice. Nauczyłyśmy się tak wiele rzeczy trzymać w tajemnicy, od czasu przybycia do Wieży. Amyrlin również ma przed nami tajemnice. Światłości, co ona zamierza zrobić z Matem?"

Nynaeve towarzyszyła jej przez całą drogę powrotną do kwater nowicjuszek, ani razu nie okazywała zamiaru skręcenia w stronę pomieszczeń zajmowanych przez Przyjęte. Krużganki były wciąż puste, nie spotkały nikogo podczas swej drogi w górę, po spiralnych rampach.

Kiedy doszły do pokoju zajmowanego przez Elayne, Nynaeve zatrzymała się, zapukała raz i natychmiast otworzyła drzwi, wsuwając głowę do środka. Potem wycofała się, skrzydło białych drzwi swobodnie wróciło na poprzednie miejsce, a ona powędrowała do następnego pokoju, należącego do Egwene.

– Jeszcze jej nie ma – powiedziała. – Muszę porozmawiać z wami oboma.

Egwene chwyciła ją za ramiona i zmusiła do przystąpienia.

– Co...?

Coś szarpnęło jej włosy, ukuło w ucho. Ciemna smuga przemknęła przed jej twarzą i brzęknęła o ścianę, w mgnieniu oka Nynaeve już przyciskała ją do posadzki galerii pod balustradą.

Płasko rozciągnięta na podłodze, Egwene patrzyła szeroko rozwartymi oczami na przedmiot, który leżał na kamieniu przed jej drzwiami, gdzie przed momentem upadł. Bęłt z kuszy. Kilka ciemnych pasm jej włosów zaplatało się w cztery mocne zęby przeznaczone do przebijania zbroi. Podniosła drżącą dłoń do ucha, dotykając drobnego nacięcia, na palcu został paciorek krwi.

"Gdybym się nie zatrzymała dokładnie w tej chwili... Gdybym się..."

Grot zapewne przeszedłby na wylot przez jej głowę, zabijając również Nynaeve.

– Krew i popioły! – sapnęła. – Krew i krwawe popioły!

– Uważaj na to, co mówisz – napomniała ją Nynaeve, ale w jej głosie nie było przekonania.

Leżała, patrząc przez wykonane z białego kamienia słupki balustrad ku odległym galeriom. Egwene zobaczyła, jak Nynaeve otacza się poświatą. Objęła *saidara*.

Egwene również spróbowała raptownie sięgnąć do Jedynej Mocy, ale pośpiech zniweczył jej usiłowania. Pośpiech i obrazy, które wdzierały się w pustkę, obrazy jej głowy roztrzaskanej jak zgniły melon przez ciężki grot, wędrujący dalej, by zagłębić się w ciele Nynaeve. Wzięła głęboki oddech, spróbowała ponownie i ostatecznie róża rozplynęła się w pustce, otworzyła na Prawdziwe Źródło, wypełniła ją Moc.

Przewróciła się na brzuch, aby zza pleców Nynaeve spojrzeć przez balustradę.

– Widzisz coś? Widzisz go? Przeszyję go na wylot błyskawicą! – Czuła, jak błyskawica rośnie w niej, domaga się uwolnienia. – To mężczyzna, czyż nie?

Nie umiała wyobrazić sobie mężczyzny wchodzącego do kwater nowicjuszek, ale obraz kobiety spacerującej z kuszą po Wieży był równie nieprawdopodobny.

– Nie wiem. – Stłumiony gniew przepełniał głos Nynaeve, zawsze kiedy udało jej się stłumić gniew, można było domniemywać, że przybrał on postać skrajną. – Myślę, że widziałam... Tak! Tam!

Egwene poczuła, jak w tamtej pulsuje Moc i wtedy Nynaeve nieśpiesznie wstała, poprawiając suknię, jakby niczym więcej nie należało się martwić.

Egwene spojrzała na nią.

– Co? Co ty robisz? Nynaeve?

– Z Pięciu Mocy – powiedziała Nynaeve takim tonem, jakby udzielała wykładu, choć w jej głosie brzmiały tony delikatnie prześmiewcze – Powietrze, czasami nazywane Wiatrem, uważa się za najmniej użyteczne. Jest to jednak dalekie od prawdy. – Zakończyła krótkim wybuchem ostrego śmiechu. – Powiedziałam ci, że istnieją inne sposoby obrony. Zastosowałam Powietrze do pochwylenia go. Jeżeli to jest on, nie widziałam go wyraźnie. Tę sztuczkę Amyrlin pokazała mi kiedyś, chociaż wątpię, by spodziewała się, że zapamiętam jej mechanizm. Cóż, zamierzasz leżeć tutaj przez resztę dnia?

Egwene gramoląc się, wstała i pośpieszyła za nią wokół galerii. Nie zabrało im dużo czasu, zanim za zakrętem zobaczyły mężczyznę w prostych brązowych bryczesach i kaftanie. Stał, patrząc w przeciwnym kierunku, balansując na poduszkach palców jednej stopy, podczas gdy druga trwała zawieszona w powietrzu, jakby pochwycony został w biegu. Zapewne czuł się niczym zagrzebany w gęstej galarecie, a przecież to tylko powietrze zeszytywniało wokół niego. Egwene również pamiętała sztuczkę Amyrlin, jednak nie spodziewała się, by była w stanie ją powtórzyć. Nynaeve wystarczyło raz zobaczyć, jak rzecz jest robiona, by od razu działać samodzielnie. Oczywiście, kiedy w ogóle była w stanie przenosić.

Podeszły bliżej, a kontakt Egwene z Mocą został przerwany na skutek wstrząsu, jaki przeżyła. Z piersi mężczyzny sterczała rękojeść sztyletu. Rysy jego twarzy wydłużyły się, a śmierć zakryła mgłą półprzymknięte oczy. Runął na posadzkę krużganka, gdy Nynaeve zwolniła trzymającą go pułapkę.

Mężczyzna wyglądał zupełnie przeciętnie, przeciętnego wzrostu i przeciętnej budowy, jego rysy były tak zwyczajne, iż Egwene nie sądziła, że mogłaby zwrócić na niego uwagę w grupie liczącej choćby trzy osoby. Przyglądała mu się tylko przez moment, zanim zrozumiała, że czegoś brakuje. Kuszy.

Wzdrygnęła się i dzikim wzrokiem rozejrzała dookoła.

– Musi gdzieś tu być jeszcze jeden, Nynaeve. Ktoś zabrał kuszę. I ktoś musiał go zabić. Może gdzieś tu się czaić, gotowy do oddania drugiego strzału.

– Uspokój się – rozkazała Nynaeve, ale sama rozglądała się niespokojnie po krużganku, skubiąc warkocz. Po prostu bądź spokojna, a dojdziemy do tego, co...

Jej słowa urwały się jak nożem uciał na dźwięk kroków kierujących się po pochylni na ich piętro.

Serce Egwene załomotało, podchodząc niemalże do gardła. Wbiła wzrok w wyjście rampy i rozpaczliwie wysilała się, by ponownie dotknąć *saidara*, ale konieczność zachowania spokoju i uderzenia tłukącego serca niszczyły upragniony spokój.

Sheriam Sedai zatrzymała się u szczytu rampy, rozciągający się przed nią widok spowodował, że mars wypełził na jej czoło.

– Cóż, w imię Światłości, tutaj się zdarzyło?

Pospieszyła naprzód, po raz pierwszy jej spokój został dramatycznie zmacony.

– Znalazłyśmy go – odpowiedziała Nynaeve, kiedy Mistrzynie Nowicjuszek klęknęła przy zwłokach.

Sheriam przyłożyła dłoń do piersi mężczyzny, ale natychmiast gwałtownie szarpnęła ją z powrotem, syknąwszy przez zęby. W widoczny sposób przemagając się, dotknęła go ponownie, tym razem udało jej się dłużej utrzymać dotyk.

– Martwy – wymamrotała. – Tak martwy, jak to tylko możliwe, a nawet bardziej. – Kiedy się wyprostowała, wyciągnęła z rękawa chusteczkę i wytarła palce. Wy go znalazłyście? Tutaj? W takim stanie?

Egwene pokiwała głową, pewna, że jeśli przemówi, Sheriam wyczuje kłamstwo w jej głosie.

– Tak, to my – powiedziała zdecydowanie Nynaeve.

Sheriam potrząsnęła głową.

– Mężczyzna... martwy mężczyzna!... w kwaterach nowicjuszek stanowiłby wystarczający powód do skandalu, ale to... !

– A czym się różni od innych ludzi? – zapytała Nynaeve. – I w jaki sposób może być bardziej niż martwy?

Sheriam wzięła głęboki oddech i przyjrzała się im badawczo.

– To jest jeden z Bezdusznych. Szary Człowiek. – Nie całkiem zdając sobie sprawę, co robi, ponownie wytarła palce i zwróciła spojrzenie z powrotem na ciało. Spojrzenie pełne zmartwienia.

– Bezduszny? – powtórzyła Egwene głosem pełnym drżenia, a w tym samym momencie Nynaeve zapytała:

– Szary Człowiek?

Sheriam rzuciła im spojrzenie równie dogłębne, co krótkie.

– Nie było to jeszcze przedmiotem waszych studiów, ale i tak wykraczacie wszak poza narzucone reguły i to pod niejednym względem. Ponadto, biorąc pod uwagę, że to wy znalazłyście to... – Machnęła dłonią w kierunku ciała. Bezduszni, Szarzy Ludzie, rezygnują ze swych dusz, by służyć Czarnemu jako asasyni. Po tym nie są już żywi w pełnym tego słowa znaczeniu. Nie całkiem martwi, ale również i nie prawdziwie żywi. A pomimo nazwy, niektórzy Szarzy Ludzie są kobietami. Bardzo niewielu. Nawet wśród Sprzymierzeńców Ciemności tylko garstka kobiet jest na tyle głupia, by zdobyć się na taką ofiarę. Możecie patrzeć wprost na nich i praktycznie ich nie dostrzegać, dopóki nie jest za późno. Kiedy się poruszał, był niemal równie martwy jak teraz. A w obecnej chwili tylko moje oczy upewniają mnie, że to, co tu leży, kiedyś było żywe. – Obdarzyła je kolejnym długim spojrzeniem. – Żaden Szary Człowiek nie ośmielił się wejść do Tar Valon od czasów wojen z trollkami.

– Co zrobimy? – zapytała Egwene. Kiedy brwi Sheriam uniosły się do góry, szybko dodała: – Jeśli oczywiście mogę zapytać, Sheriam Sedai.

Aes Sedai zawahała się.

– Przypuszczam, że możesz; ponieważ to właśnie ty miałaś to nieszczęście go znaleźć. Dotrze to oczywiście do Zasiadającej na Tronie Amyrlin, ale biorąc pod uwagę wszystko, co się ostatnio stało, sądzę, że zapewne zechce utrzymać całą rzecz w możliwie ścisłej tajemnicy. Nie potrzebujemy więcej plotek. Na temat całego wydarzenia nie będziecie rozmawiać z nikim prócz mnie, albo Amyrlin, pod warunkiem, że ona pierwsza poruszy tę kwestię.

– Tak, Aes Sedai – powiedziała żarliwie Egwene, głos Nynaeve miał w sobie zdecydowanie więcej chłodu.

Sheriam wyglądała, jakby wzięła za dobrą monetę okazane przez nie posłuszeństwo. W żaden

sposób nie dała do zrozumienia, że w ogóle usłyszała, co mówią. Cała jej uwaga skupiona była na martwym mężczyźnie. Na Szarym Człowieku. Bezdusznym.

– Nie ma sposobu, by zataić fakt; iż zabito tutaj mężczyznę. – Znienacka otoczyła ją poświata Jedynej Mocy i równie nagle wydłużona, niska sfera pokryła ciało leżące na podłodze, szarawa i tak nieprzezroczysta, że z trudem można było dostrzec zwłoki, które przykrywała. – Ale to powstrzyma od dotykania go wszystkich, którzy zdolni byliby odkryć jego prawdziwą naturę. Muszę usunąć ciało, zanim powrócą nowicjuszeki.

Jej nakrapiane zielone oczy objęły je spojrzeniem, jakby dopiero teraz przypomniwała sobie o ich obecności.

– Wy dwie już możecie iść. Sądzę, że najlepiej będzie, jeżeli udacie się do twojego pokoju, Nynaeve. Biorąc pod uwagę to, czego byliście przed chwilą świadkami, jeśli rozniesie się, że jesteście w to zaangażowane, nawet w pośredni sposób... Idźcie.

Egwene złożyła jej dworski ukłon i pociągnęła za skraj sukni Nynaeve, ale tamta zapytała jeszcze:

– Dlaczego przyszłaś tutaj, Sheriam Sedai?

Przez moment Sheriam wyglądała na zaskoczoną, ale ten moment szybko minął, zmarszczyła brwi. Wsparta pięściami o biodra, obrzuciła Nynaeve spojrzeniem, w którym była cała moc jej urzędu.

– Czy z jakiegoś powodu obecnie Mistrzynie Nowicjuszek potrzebuje wymówki, aby udać się do kwatery swych podopiecznych, Przyjęta? – zapytała cicho. – Czy Przyjęta ma zamiar przesłuchiwać Aes Sedai? Amyrlin najwyraźniej przeznaczyła wam dwóm jakąś specjalną rolę, ale niezależnie od tego, czy tak jest, czy nie, w ostateczności przynajmniej nauczę was dobrych manier. A teraz obie już sobie idźcie, zanim zaciągnę was do swego gabinetu, a nasza rozmowa w niczym nie będzie przypominała spotkania, jakie miałyście z Amyrlin.

Nagła myśl przyszła Egwene do głowy.

– Wybacz mi, Sheriam Sedai – powiedziała szybko – ale muszę zabrać mój płaszcz. Jest mi zimno.

Pobiegła dookoła galerią, zanim Aes Sedai zdążyła się odezwać. Jeśli Sheriam znalazłaby belt kuszy, spoczywający tuż pod jej drzwiami, wywołałoby to zbyt wiele pytań. Na nic po prostu zdałoby się przekonywanie, że tylko znalazły tego człowieka, że nie miały z nim nic wspólnego. Ale kiedy doszła do drzwi swego pokoju, przekonała się, że ciężki grot zniknął. Tylko poszczerbiona rysa w kamieniu obok drzwi wskazywała na jego wcześniejszą obecność.

Skórę Egwene pokryła gęsia skórka.

"Jak ktoś mógł zabrać go, a myśmy niczego nie dostrzegły... Następny Szary Człowiek!"

Zanim sobie zdała sprawę z tego, co robi, objęła *saidara* i tylko słodki przepływ mocy wewnątrz jej istoty powiedział jej, co uczyniła. Pomimo to otwarcie drzwi i wejście do pokoju stanowiło jedną z najtrudniejszych rzeczy, jakich przyszło jej dokonać w życiu. W środku nie było nikogo. Zerwała z kołka biały płaszcz i wybiegła na korytarz. Mimo iż nic się nie zdarzyło, *saidara* puściła dopiero wówczas, gdy przebiegła już połowę drogi do czekających na nią kobiet.

Podczas jej nieobecności coś pomiędzy nimi zaszło. Nynaeve starała się wyglądać potulnie, a osiągnęła tylko tyle, że miała minę, jakby bolał ją brzuch. Sheriam wsparła pięści na biodrach i w złości uderzała stopą o posadzkę, zaś oczy, jakimi patrzyła na Nynaeve przypominały dwa zielone kamienie młyńskie gotowe do mielenia jęczmiennego ziarna. Egwene również dostała się w zasięg tego spojrzenia.

– Wybacz mi, Sheriam Sedai – powiedziała szybko, wykonując ukłon i równocześnie zarzucając

płaszcz na ramiona. – To... odkrycie martwego mężczyzny... Szarego Człowieka!... spowodowało, iż zrobiło mi się zimno. Czy mogłybyśmy już pójść?

Na krótkie skinienie głową, oznaczające zezwolenie, Nynaeve odpowiedziała ledwie dostrzegalnym ukłonem. Egwene ujęła ją pod ramię i pociągnęła za sobą.

– Czy usiłujesz ściągnąć na nas dodatkowe kłopoty? – dopytywała się, kiedy już zeszły dwa poziomy niżej. I jak miała nadzieję, poza zasięg słuchu Sheriam. – Co jeszcze jej powiedziałaś, że się tak zapiekliła? Kolejne pytania, jak sądzę? Mam nadzieję, że dowiedziałaś się czegoś, co warte było jej wściekłości.

– Nie powiedziała mi niczego – wymruczała Nynaeve. – Musimy zadawać pytania, jeśli chcemy cokolwiek osiągnąć, Egwene. Kiedy nadarza się okazja, musimy z niej korzystać, inaczej niczego się nie dowiemy.

Egwene westchnęła.

– Cóż, bądźmy bardziej ostrożne. – Z wyrazu twarzy Nynaeve wynikało, że tamta nie ma najmniejszego zamiaru wybierać łatwiejszych sposobów, czy unikać ryzyka. Egwene westchnęła ponownie. – Bełt kuszy zniknął, Nynaeve. Musiał go zabrać drugi Szary Człowiek.

– A więc dlatego ty... Światłości!

Nynaeve zmarszczyła brwi i ostro szarpnęła koniec warkocza.

Po jakimś czasie Egwene powiedziała:

– Co ona zrobiła, by ukryć... ciało?

Nie miała ochoty myśleć o nim jak o Szarym Człowieku, to przypominało jej, że gdzieś czai się następny. W obecnej chwili nie miała ochoty myśleć w ogóle o czymkolwiek.

– Powietrze – odrzekła Nynaeve. – Użyła Powietrza. Zgrabna sztuczka i sądzę, że wiem, jaki można uczynić z niej użytek.

Korzystanie z Jedynej Mocy dzieliło się na Pięć Mocy: Ziemię, Powietrze, Ogień, Wodę i Ducha. Różne talenty wymagały odmiennych kombinacji Pięciu Mocy.

– Nie rozumiem pewnych sposobów łączenia Pięciu Mocy. Weź uzdrawianie. Potrafię zrozumieć, dlaczego wymaga ono Ducha, oraz być może Powietrza, ale dlaczego Wody?

Nynaeve obruszyła się na nią.

– O czym tam mamrociesz? Zapomniałaś, co robimy? – Rozejrzała się dookoła. Dochodziły właśnie do kwater Przyjętych, mieszczących się niżej niż kwatery nowicjuszek, w szeregu galerii otaczających ogród miast dziedzińca. W zasięgu wzroku nie było nikogo prócz jednej Przyjętej, wędrującej śpiesznie na innym poziomie, mimo to Nynaeve zniżyła głos. – Zapomniałaś o Czarnych Ajah?

– Staram się o nich zapomnieć – odrzekła gwałtownie Egwene – przynajmniej na krótką chwilę. Staram się zapomnieć, że właśnie odeszliśmy od ciała martwego człowieka. Staram się zapomnieć, że on niemalże pozbawił mnie 'rycia oraz że miał towarzysza, który być może spróbuje ponownie to zrobić. – Dotknęła ucha; kropelka krwi wyschła, ale skaleczenie wciąż bolało. – Mamy szczęście, że nie jesteśmy w tej chwili obie martwe.

Rysy twarzy Nynaeve wygładziły się, ale kiedy przemówiła, jej głos miał w sobie coś takiego, jak w czasach, gdy była Wiedzącą w Polu Emonda i mówiła słowa, które musiały zostać powiedziane dla czyjegoś własnego dobra.

– Pamiętaj o tym ciele, Egwene. Pamiętaj, że usiłował cię zabić. Zabić nas. Pamiętaj o Czarnych Ajah. Pamiętaj o nich przez cały czas. Ponieważ, jeśli zapomnisz, choćby raz, następnym razem to ty możesz leżeć martwa.

– Wiem – westchnęła Egwene. – Ale nie musi mi się to podobać.

– Zauważyłaś o czym Sheriam nie wspomniała?

– Nie. O czym?

– Nie zastanawiała się, kto go zasztyletował. Teraz chodźmy. Moja izba jest dokładnie tutaj, będziesz mogła wyciągnąć nogi, kiedy będziemy rozmawiały.

ROZDZIAŁ 16

TRZY ŁOWCZYNIĘ

Pomieszczenie zajmowane przez Nynaevę było znacznie większe od izb nowicjuszek. Miała w nim prawdziwe łóżko, a nie tylko pryczę wbudowaną w ścianę, dwa fotele o oparciach z drewnianych listew zamiast stołka oraz garderobę na ubiory. Umieblowanie było proste, odpowiednie dla domu średnio zamożnego rolnika, niemniej w porównaniu z nowicjuszkami, Przyjęte żyły w luksusie. W pokoju znajdował się nawet dywanik, upleciony w żółte i czerwone spirale na niebieskim tle. Kiedy weszły do środka, okazało się, że pokój bynajmniej nie jest pusty.

Elayne stała przed kominkiem z rękoma splecionymi na piersiach i czerwonymi błyskami w oczach, po części przynajmniej stanowiącymi efekt gniewu. W fotelach wyciągnęli się, w pozach doprawdy swobodnych, dwaj młodzi mężczyźni. Jeden z nich, w nie zapiętym zielonym kaftanie, odsłaniającym śnieżnobiałą koszulę, miał błękitne oczy i złoto-rude włosy Elayne, co w połączeniu z szerokim uśmiechem na twarzy łatwo pozwalało domyślać się w nim jej brata. Drugi, w wieku Nynaevy, w schludnie zapiętym szarym kaftanie, był szczupły, ciemnowłosy, o ciemnych oczach. Kiedy Egwene i Nynaeva weszły do środka, podniósł się szybko. Promieniowało z niego zaufanie, poruszał się z gibką, muskularną gracją. Był, pomyślała Egwene nie po raz pierwszy, najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek widziała. Na imię miał Galad.

– Jak to dobrze ponownie cię zobaczyć – odezwał się, ujmując jej dłoń. – Tak bardzo się o ciebie martwiłem. Obaj się martwiliśmy.

Rytm jej pulsu przyspieszył, cofnęła dłoń, zanim zdążył ją dobrze ująć.

– Dziękuję, Galad – wymamrotała.

"Światłości, ależ on jest piękny".

Nakazała sobie, by nie myśleć w ten sposób. Nie było to łatwe. Złapała się na tym, że wygląda swą sukienkę żałując, iż on nie może zobaczyć jej w jedwabiach zamiast w zwykłej białej wełnie, a nawet w jednej z tych domańskich sukien, o których opowiadała jej Min, i które przywierały do ciała, zdając się tak cienkie, że sprawiały wrażenie przejrzystych. Dostała gwałtownych rumieńców, przegnała obraz wykwitający przed momentem w jej umyśle, pragnąc, by nie patrzył już w jej twarz. To, że połowa kobiet w Wieży, od pomywaczek do samych Aes Sedai, patrzyła na niego w ten sam sposób, nie stanowiło żadnej pociechy. Niewiele pomagało, że jego uśmiech przeznaczony był wyłącznie dla niej. W rzeczy samej, ten uśmiech tylko pogarszał sprawę.

"Światłości, gdyby on choć tylko podejrzewał, o czym myślę, umarłabym!"

Złotowłosy młodzieniec pochylił się w swym fotelu.

– Pozostaje jednak pytanie, gdzie właściwie byliście? Elayne uchyliła się od odpowiedzi, jakby miała kieszeń pełną fig i nie chciała mi dać nawet jednej.

– Powiedziałam ci, Gawyn – odrzekła Elayne napiętym głosem – to nie jest twoja sprawa. Przyszłam tutaj – zwróciła się do Nynaevy – ponieważ nie chciałam być sama. Zobaczyli mnie i poszli za mną. Mojego protestu nie chcieli przyjąć do wiadomości.

– Nie chcieli, tak? – powiedziała Nynaeva bezbarwnym głosem.

– Ależ to jest nasza sprawa, siostró – zaproponował Galad. – Twoje bezpieczeństwo jest jak najbardziej naszą sprawą. – Spojrzał na Egwene, a ona poczuła, jak drgnęło jej serce. – Bezpieczeństwo was wszystkich jest dla mnie niezmiernie ważne. Dla nas.

– Nie jestem twoją siostrą – burknęła Elayne.

– Jeżeli pragniesz towarzystwa – Gawyn zwrócił się do Elayne z uśmiechem – możemy ci nim

służyć równie dobrze jak ktoś inny. A po tym, co przeszliśmy, aby dostać się tutaj, należą nam się jakieś wyjaśnienia, gdzie byłaś. Wolałbym raczej dostawać przez cały dzień lanie od Galada na placu ćwiczeń, niż na jedną minutę stawić czoło Matce. Wolałbym raczej narazić się Coulinowi. – Coulin był Mistrzem Miecza i utrzymywał surową dyscyplinę pośród tych, którzy przybywali ćwiczyć do Białej Wieży, czy to po to, aby zostać strażnikami, czy też tylko uczyć się od nich.

– Możesz wypierać się pokrewieństwa ze mną – Galad ponurym głosem upomniał Elayne – ale ono i tak istnieje. A matka złożyła twoje bezpieczeństwo w nasze ręce.

Gawyn skrzywił się.

– Ona nas obedrze ze skóry, Elayne, jeśli tobie coś się stanie. Musieliśmy gorączkowo cię tłumaczyć, inaczej zaciągnęłaby nas przemocą do domu. Nigdy dotąd nie słyszałem o królowej, która oddałaby własnych synów w ręce kata, matka jednak wydawała się gotowa zrobić dla nas wyjątek, jeśli nie przywieziemy cię bezpiecznie do domu.

– Pewna jestem – powiedziała Elayne – że wasze tłumaczenia czynione były całkowicie w moim interesie. I nie miały nic wspólnego z waszym pragnieniem zostania tutaj i studiowania u strażników.

Twarz Gawyna poczerwieniała.

– Twoje bezpieczeństwo to nasza główna troska głos Galada brzmiał tak, jakby rzeczywiście wierzył w to, co mówi, a Egwene patrząc na niego, pewna była, iż tak jest naprawdę. – Udało nam się przekonać Matkę, że jeśli powrócisz tutaj, będziesz potrzebowała kogoś, kto się tobą zaopiekuje.

– Zaopiekuje się mną! – wykrzyknęła Elayne, ale Galad nie zrażony kontynuował:

– Biała Wieża stała się niebezpiecznym miejscem. Zdarzają się tutaj śmierci, morderstwa, których nie można wyjaśnić. Zabite zostały nawet jakieś Aes Sedai, chociaż tę informację starają się wszystkie utrzymać w tajemnicy. A nadto słyszałem plotki o Czarnych Ajah, i to plotki powtarzane w samej Wieży. Z rozkazu Matki mamy cię zawieźć z powrotem do Caemlyn, kiedy tylko będziesz mogła bezpiecznie przerwać swe ćwiczenia.

W odpowiedzi Elayne zadarła tylko brodę i odwróciła do niego bokiem.

Gawyn w zmieszaniu przeczesał włosy dłonią.

– Światłości, Nynaeve, Galad i ja nie jesteśmy jakimiś rozbójnikami. Chcemy tylko pomóc. I tak byśmy chcieli, ale Matka rozkazała nam, dlatego też nie ma szans byś nam to wyperswadowała.

– Rozkazy Morgase nie mają żadnej mocy w Tar Valon – powiedziała Nynaeve głosem bez wyrazu. – Jeśli chodzi o waszą ofertę pomocy, to z wdzięcznością będę o niej pamiętała. Kiedy będzie nam potrzebna pomoc, wy pierwsi o tym usłyszycie. Teraz jednak życzę sobie, abyście już opuścili to pomieszczenie.

Gestem wskazała drzwi, ale zignorowano ją.

– Wszystko bardzo pięknie, ale Matka będzie chciała wiedzieć, czy Elayne wróciła. I dlaczego wyjechała gdzieś bez słowa i co robiła przez te wszystkie miesiące. Światłości, Elayne! Całą Wieżę ogarnął kompletny chaos. Matka na poły oszalała ze strachu. Myślałem, że gołymi rękoma zrówna Wieżę z ziemią. – Na twarzy Elayne pojawił się wyraz znamionujący poczucie winy, toteż Gawyn wzmógł nacisk. – Tyle jej zawdzięczasz, Elayne. Mnie tyle zawdzięczasz. Niech szczenę, jesteś równie nieczuła jak kamień. Jedyne, co wiedziałem, to tyle, że nie miałaś zgody Sheriam. A wiem aż tyle jedynie dzięki temu, że płaczesz i nie możesz spokojnie usiedzieć na miejscu.

Oburzone spojrzenie Elayne wskazywało, że zdążyła już dojść do siebie.

– Dosyć – powiedziała Nynaeve. Galad i Gawyn otworzyli usta, by coś wtrącić. Głos Nynaeve wzniósł się o ton wyżej. – Powiedziałam dość!

Popatrzyła na nich, by się upewnić, że zachowają milczenie, potem ciągnęła dalej:

– Elayne niczego wam dwóm nie zawdzięcza. Ponieważ zdecydowała się nie wam nie mówić, tak też i będzie. A teraz, to jest mój pokój, a nie wspólna sala w gospodzie, i chcę byście go opuścili.

– Ale, Elayne... – zaczął Gawyn w tej samej chwili, gdy Galad powiedział:

– Chcieliśmy tylko...

Nynaeve przemówiła wystarczająco głośno, by wygnać ich z pokoju.

– Zastanawiam się, czy poprosiliście o pozwolenie przebywania na terenie kwater Przyjętych. – Patrzyli na nią, wyglądając na zaskoczonych. – Sadzę, że nie. Albo znikniecie z mojego pokoju, z zasięgu mego wzroku, zanim policzę do trzech, albo napiszę o tym do Mistrza Mieczy. Coulin Gaidin ma równie ciężką rękę jak Sheriam Sedai i możecie być pewni, że dopatrzę, jak będzie czynił z niej właściwy użytek.

– Nynaeve, nie powinnaś... – zaczął zmartwionym głosem, ale Galad dał mu znak, by zamilkł, a sam podszedł bliżej do Nynaeve.

Na jej twarzy pozostał srogi wyraz, ale nieświadomie wygładziła sukienkę, kiedy uśmiechnął się do niej. Egwene nie była zaskoczona. Uważała, iż poza Czerwonymi Ajah, nie da się znaleźć wokoło żadnej kobiety, która pozostałaby niewrażliwa na uśmiech Galada.

– Wybacz mi, Nynaeve, że wtargnęliśmy nie proszeni do twego pokoju – powiedział łagodnie. – Oczywiście, zaraz pójdziemy. Pamiętaj jednak, że jeśli będziesz nas potrzebować, to jesteśmy w pobliżu. A cokolwiek spowodowało wasz wyjazd, w tej sprawie również możemy okazać się pomocni.

Nynaeve uśmiechnęła się do niego w odpowiedzi.

– Raz – zaczęła.

Galad zamrugał, jego uśmiech zniknął. Spokojnie odwrócił się ku Egwene. Gawyn podniósł się i ruszył w kierunku drzwi.

– Egwene – rzekł do niej – wiesz, że ty, szczególnie ty, możesz mnie wezwać w każdej chwili, w każdej sprawie. Mam nadzieję, że rozumiesz to.

– Dwa – powiedziała Nynaeve.

Galad rzucił jej rozdrażnione spojrzenie.

– Porozmawiamy jeszcze – zapewnił Egwene, pochylając się nad jej dłońią. Z pożegnalnym uśmiechem ruszył nieśpiesznie w kierunku drzwi.

– Trzrzrz... – Gawyn skoczył w drzwi, a nawet Galad w widoczny sposób przyspieszył wdzięcznego kroku – ...y.

Nynaeve skończyła, gdy drzwi zatrzasnęły się za nimi.

Elayne uradowana klasnęła w dłonie.

– Och, zgrabnie zrobione – powiedziała. – Bardzo zgrabnie. Nie wiedziałam nawet, że mężczyznom nie wolno wchodzić również do kwater Przyjętych.

– Bo nie ma takiego zakazu – odrzekła sucho Nynaeve. – Ale ci prostytutki także tego nie wiedzieli.

Elayne ponownie klasnęła w dłonie i roześmiała się.

– Pozwoliłabym im zwyczajnie wyjść – dodała Nynaeve – gdyby Galad nie zapragnął robić takiego widowiska. Ten młodzieniec ma zbyt piękną twarz, żeby mogło mu to wyjść na dobre.

Egwene słysząc to, niemalże się roześmiała. Galad nie był więcej niż rok starszy od Nynaeve, a tamta z kolei, mówiąc o nim, znowu wygładziła suknię.

– Galad! – westchnęła Elayne. – Nie przestanie nas męczyć, a wątpię, czy twoja sztuczka podziła dwukrotnie. On robi to, co uważa za właściwe, niezależnie od tego, kto może przy tym ucierpieć, włączając jego samego.

– Wtedy wymyślę coś innego – ucięła Nynaeve. Nie możemy pozwolić im cały czas patrzeć sobie przez ramię. Elayne, jeśli chcesz mogę zrobić maść, która ci pomoże.

Elayne potrząsnęła głową, potem położyła się w poprzek łóżka, opierając dłonie o policzki.

– Jeśli Sheriam się dowie, czeka nas bez wątpienia kolejna wizyta w jej gabinecie. Coś niewiele mówisz, Egwene. Pies porwał twój język? – Uśmiech na jej twarzy stał się szerszy. – Czy może Galad?

Egwene mimowolnie zaczerwieniła się.

– Po prostu nie chciałam się z nimi kłócić – odezwała się tonem tak pełnym godności, na jaki ją tylko było stać.

– Oczywiście – przyznała niechętnie Elayne. – Zgodzę się, że Galad jest przystojny. Ale jest także straszny. Zawsze postępuje zgodnie z tym, co uważa za słuszne. Wiem, że to nie brzmi strasznie, ale jednak takie jest. Nigdy nie wypowiedział posłuszeństwa Matce, nawet w najdrobniejszej kwestii, o ile wiem. Nigdy nie skłamię, nawet w najbardziej nieważnej sprawie, nie złamię żadnej zasady. Jeśli doniesie na ciebie za złamanie jakiejś, to nie będzie w tym śladu złej woli, najwyżej uda smutek, że nie potrafisz żyć zgodnie z jego zasadami, ale to nie zmieni faktu, iż na ciebie doniesie.

– To brzmi trochę niepokojąco – powiedziała ostrożnie Egwene – ale nie strasznie. Nie wyobrażam sobie, by Galad mógł robić coś strasznego.

Elayne potrząsnęła głową, jakby nie wierząc, że Egwene tak trudno zrozumieć coś, co dla niej jest oczywiste.

– Jeśli chcesz zainteresować się kimś, spróbuj z Gawynem. Jest wystarczająco miły, przynajmniej przez większość czasu i szaleje na twoim punkcie.

– Gawyn! Nigdy nie zaszczycił mnie spojrzeniem.

– Oczywiście, że nie, głupia, biorąc pod uwagę sposób, w jaki patrzysz na Galada, aż niemal oczy wyskakują ci z twarzy.

Policzki Egwene zrobiły się gorące, obawiała się jednak, że ten opis może być całkowicie zgodny z prawdą.

– Galad uratował mu życie, kiedy Gawyn był jeszcze dzieckiem – ciągnęła dalej Elayne. – Gawyn nigdy by nie zdradził, że podoba mu się kobieta, którą interesuje się Galad, ale słyszałam, jak mówił o tobie i stąd wiem. Nigdy nie udałoby mu się ukryć czegokolwiek przede mną.

– Miło to słyszeć – odpowiedziała Egwene, potem roześmiała się na widok grymasu na twarzy Elayne. – Być może uda mi się skłonić go do powiedzenia tych rzeczy mnie zamiast tobie.

– Wiesz, że możesz zostać Zieloną Ajah. Zielone siostry czasami wychodzą za mąż. Gawyn jest naprawdę odurzony tobą i byłoby to dla niego dobre. Poza tym, ja też chciałabym mieć w tobie siostrę.

– Jeśli już skończyłyście z tymi dziewczęcymi pogaduszkami – przerwała im Nynaeve – musimy porozmawiać o poważniejszych rzeczach.

– Tak – przyznała Elayne – na przykład o tym, co powiedziała wam Amyrlin, kiedy ja wyszłam.

– O tym wolałabym nie mówić – z zakłopotaniem powiedziała Egwene. Nie chciała okłamywać Elayne. Nie powiedziała nam nic przyjemnego.

Elayne prychnęła z niedowierzaniem.

– Większość ludzi uważa, że jest mi łatwiej, ponieważ jestem Córką-Dziedziczką Andoru. Tak naprawdę, jeśli o to chodzi, to obrywam bardziej właśnie dlatego, iż jestem Córką-Dziedziczką. Żadna z was nie zrobiła niczego, czego nie zrobiłam ja, dlatego też gdyby Amyrlin chciała skarcić was ostrymi słowami, dla mnie miałyby słowa dwukrotnie bardziej nieprzyjemne. Tak więc, co

powiedziała?

– Nie wolno ci mówić o tym nikomu – zaczęła Nynaeve. – Czarne Ajah...

– Nynaeve! – wykrzyknęła Egwene. – Amyrlin powiedziała, że należy trzymać Elayne z dala od tego!

– Czarne Ajah! – niemal krzyknęła Elayne i porzuciwszy pozycję leżącą, uklękła pośrodku łóżka. – Nie wyjdę stąd po tym, jak powiedziałyście mi tyle. Nie pozwolę się wyrzucić.

– Nie miałam zamiaru cię wyrzucać – zapewniła ją Nynaeve. Egwene mogła tylko wpatrywać się w nią z rozbawieniem. – Egwene, to ciebie i mnie Liandrin postrzegają jako zagrożenie. To ty i ja omal nie zostałyśmy zabite...

– Omal nie zabite? – wyszeptała Elayne.

– ...przypuszczalnie dlatego, że wciąż stanowimy zagrożenie, a być może również z tego powodu, że Amyrlin spotkała się z nami na osobności i nasi wrogowie dowiedzieli się, o czym mówiłyśmy. Potrzebujemy kogoś, o kim nie będą wiedziały, a jeśli Amyrlin nie będzie wiedziała również, tym lepiej. Nie jestem wcale pewna, czy możemy dużo bardziej zaufać Amyrlin niż Czarnym Ajah. Ona zamierza użyć nas do swych własnych celów. Nie mam zamiaru dać się wykorzystać. Rozumiesz teraz?

Egwene niechętnie pokiwała głową. Równie niechętnie powiedziała:

– To może być niebezpieczne, Elayne, równie niebezpieczne jak wszystko, co przydarzyło nam się w Falme. A zapewne nawet bardziej. Tym razem nie musisz się w to włączać.

– Wiem o tym – oznajmiła cicho Elayne. Przerwała na moment, potem ciągnęła dalej. – Kiedy Andor idzie na wojnę, dowództwo nad armią przejmuje Pierwszy Książę Miecza, ale Królowa również towarzyszy wojskom. Kilka stuleci temu, podczas bitwy pod Cuallin Dhen, Andoranie zostali rozgromieni i wtedy Królowa Modrellein, samotna i nie uzbrojona, podniosła sztandar Lwa i rzuciła się w sam środek taireńskiej armii. Jej poddani zebrali się i zaatakowali raz jeszcze, by ją uratować i tym sposobem wygrali bitwę. Takiego właśnie rodzaju odwagi oczekuje się po Królowej Andoru. Jeśli dotąd jeszcze nie nauczyłam się opanowywać mojego strachu i tak będę musiała to uczynić, zanim zajmę miejsce matki na Tronie Lwa. – Zmienność jej poważny nastrój przekształcił się w swobodny chichot. – Poza tym, czy sądzicie, że pozwoliłabym ominąć się przygodzie tylko po to, by szorować garnki?

– To i tak będziesz musiała robić – zapewniła ją Nynaeve – i na dodatek jeszcze udawać, że jest to jedyna rzecz, jaką się zajmujesz. Teraz słuchaj uważnie.

Elayne słuchała, a jej usta powoli otwierały się ze zdziwienia, podczas gdy Nynaeve streszczała, co powiedziała im Amyrlin, opisywała zadanie, jakie tamta na nie nałożyła i na koniec opowiedziała o zamachu na ich życie. Zadrżała, kiedy usłyszała o Szarym Człowieku, w zadziwieniu przeczytała dokument, jaki otrzymały od Zasiadającej, potem oddała go, mruczając:

– Chciałabym mieć coś takiego, kiedy stanę przed obliczem Matki.

Kiedy jednak opowieść dobiegła końca, na jej twarzy nie było nic prócz oburzenia.

– Cóż, to jest tak, jakby wam kazano udać się na wzgórze i zapolować na lwy, z tym że nie wiecie, gdzie te lwy są, a jeśli w ogóle są, to one mogą na was polować, a na dodatek mogą być ukryte pod przebraniem krzaków. Och, a jeśli nawet znajdziecie jakieś lwy, to macie się postarać, żeby was nie zjadły, zanim nie zdążycie powiadomić innych, gdzie się znajdują.

– Jeśli się boisz – zwróciła uwagę Nynaeve wciąż możesz się wycofać. Kiedy zaczniemy, może być za późno.

Elayne odrzuciła głowę do tyłu.

– Oczywiście, że się boję. Nie jestem głupia. Ale nie boję się na tyle, by rezygnować, zanim

nawet zaczęłam.

– Jest jeszcze coś, o czym powinnaś usłyszeć – powiedziała Nynaeve. – Obawiam się, że Amyrlin postanowiła pozwolić Matowi umrzeć.

– Ale Aes Sedai powinna uzdrowić każdego, kto o to poprosi. – Córka-Dziedziczka zdawała się wahać pomiędzy oburzeniem a niewiarą. – Dlaczego miałyby dać Matowi umrzeć? Nie mogę w to uwierzyć! Nie chcę!

– Ani ja! – Egwene aż zaparło dech.

"Ona nie mogła zaplanować czegoś takiego! Amyrlin nie byłaby w stanie dać mu umrzeć!"

– Przez całą drogę Verin zapewniała nas, że Amyrlin zajmie się jego uzdrowieniem.

Nynaeve potrząsnęła głową.

– Verin powiedziała tylko, że Amyrlin "zajmie się nim". A to nie jest to samo. A Amyrlin unikała powiedzenia tak lub nie, kiedy ją pytałam. Być może jeszcze się nie zdecydowała.

– Ale dlaczego? – dopytywała się Elayne.

– Ponieważ Biała Wieża podejmuje swe działania z własnych powodów. – Ton głosu Nynaeve spowodował, że Egwene zadrżała. – Nie wiem dlaczego. To, czy Mat będzie żył, czy umrze, zależy od tego, co bardziej przysłuży się ich celom. Żadna z Trzech Przysięg nie mówi wyraźnie, że powinny go uzdrowić. W oczach Amyrlin Mat jest tylko narzędziem. Podobnie jak my. Użyje nas do ścigania Czarnych Ajah, ale kiedy narzędzie ulega zniszczeniu tak, że nie można już go naprawić, wówczas nie oplakuje się go. Po prostu bierze się następne. Lepiej abyście o tym pamiętały.

– Co wobec tego mamy zamiar zrobić w jego sprawie? – zapytała Egwene. – Co możemy dla niego zrobić?

Nynaeve podeszła do swej garderoby i zaczęła szperać w niej. Kiedy wyszła, trzymała w dłoniach obwiązane, płócienne zawiniątko z ziołami.

– Dzięki moim ziołom i odrobinie szczęścia, być może zdołam uzdrowić go sama.

– Verin nie potrafiła – zaoponowała Elayne. Moiraine i Verin we dwie nie potrafiły tego dokonać, a Moiraine miała *ter'angreal*. Nynaeve, jeśli zaczerpniesz zbyt dużo Jedynej Mocy, spalisz się na popiół. Albo gdy będziesz miała wystarczająco dużo szczęścia, po prostu ujarzmisz się sama. Jeżeli oczywiście coś takiego można nazwać szczęściem.

Nynaeve zadrżała.

– Bez przerwy mówią mi, że mam możliwość zostać najpotężniejszą Aes Sedai od tysiąca lat. Przypuszczam, że to jest właśnie chwila, aby się przekonać, czy mają rację.

Szarpnęła koniec swego warkocza.

Było oczywiste, że niezależnie od tego, jak śmiałe są jej słowa, Nynaeve boi się.

"Ale nie pozwoli Matowi umrzeć, nawet gdyby miało to oznaczać, że sama będzie musiała zaryzykować życie".

– Mówią nam, że wszystkie trzy jesteśmy potężne. Albo będziemy. Być może więc, gdybyśmy spróbowały razem, mogłybyśmy podzielić przepływ mocy pomiędzy siebie.

– Nigdy nie próbowałyśmy działać razem – powiedziała wolno Nynaeve. – Nie jestem pewna, czy wiedziałabym, jak połączyć nasze zdolności. Taka współpraca mogłaby okazać się równie niebezpieczna jak zaczerpnięcie zbyt dużej ilości Mocy.

– Och, jeżeli mamy zamiar to zrobić – zaproponowała Elayne, schodząc z łóżka – to zrobmy. Im dłużej o tym rozmawiamy, tym bardziej będę przerażona. Mat leży w pokojach gościnnych. Nie wiem, w którym, ale Sheriam przynajmniej tyle mi powiedziała.

Jakby na podsumowanie jej wypowiedzi, drzwi otworzyły się gwałtownie i do środka weszła Aes Sedai, w taki sposób, jakby był to jej pokój, a one zwykłymi intruzami.

Egwene wykonała przed nią dworski ukłon, by skryć konsternację, jaka pojawiła się na jej twarzy.

ROZDZIAŁ 17

CZERWONA SIOSTRA

Elaida była kobietą raczej przystojną, niż piękną, a srogość na jej twarzy dodawała dojrzałości nie zdradzającym wieku rysom Aes Sedai. Nie wyglądała staro, jednak Egwene nie potrafiła sobie wyobrazić młodej Elaidy. Wyjąwszy najbardziej uroczyste okazje, niewiele Aes Sedai nosiło wyszywane w kształty liści winorośli szale z dużą białą łzą Płomienia Tar Valon na plecach, lecz Elaida właściwie nie zdejmowała swojego. Długie, czerwone frędzle oznajmiały przynależność. Czerwień barwiła również jej suknię z kremowego jedwabiu, czerwone pantofle wyłaniały się spod krawędzi sukni, gdy wkraczała do pokoju. Jej ciemne oczy patrzyły na nie, niczym oczy ptaka wpatrującego się w robaki.

– Tak więc, zebrałyście się tu wszystkie razem. Z jakiegoś powodu nie jest to dla mnie zaskoczeniem. – W jej głosie nie było więcej pretensji niż w ubiorze. Była kobietą posiadającą władzę i moc, gotową do wykorzystania ich w każdym momencie, w którym uzna to za konieczne, kobietą, która wiedziała więcej, niżli te, do których się zwracała. Tak samo odnosiło się to do królowej, jak i prostej nowicjuszki.

– Wybacz mi, Elaida Sedai – odezwała się Nynaeve, wykonując kolejny ukłon – ale właśnie miałam wyjść. Muszę wiele nadrobić w swoich studiach. Jeśli pozwolisz...

– Twoje studia mogą poczekać – odrzekła Elaida. – Wszak czekały już wystarczająco długo.

Wzięła z rąk Nynaeve płócienną torbę i rozwiązała owijające ją sznurki, ale raz tylko rzuciwszy okiem do środka, upuściła ją na posadzkę.

– Zioła. Nie jesteś już wiejską Wiedzącą, dziecko. Okazując takie przywiązanie do przeszłości, powstrzymujesz tylko swój rozwój.

– Elaida Sedai – zaczęła Elayne – ja...

– Nie odzywaj się, nowicjuszko. – Głos Elaidy był tak zimny i miękki, jak miękka jest stal owinięta w jedwab, – Z twojego powodu mogła ulec zerwaniu więź między Tar Valon i Caemlyn, więź trwająca nieprzerwanie przez trzy tysiące lat. Będiesz mówić, kiedy zwrócę się do ciebie.

Elayne wbiła wzrok w posadzkę u swych stóp. Plamy czerwieni zabarwiły jej policzki. Wina czy gniew? Egwene nie była pewna.

Ignorując je, Elaida usiadła na jednym z foteli i troskliwie ułożyła fałdy swych sukni. Najmniejszym gestem nie dała im do zrozumienia, że też mogą usiąść. Rysy twarzy Nynaeve ściągnęły się, zaczęła lekko szarpać swój warkocz. Egwene miała nadzieję, że na tyle powstrzyma swą złość, by nie zająć bez pozwolenia drugiego fotela.

Kiedy Elaida wreszcie umościła się wygodnie, przez moment wpatrywała się w nie milcząco, jej twarz pozostała nieodgadniona. Na koniec zapytała:

– Czy wiecie, że między nami są Czarne Ajah? Egwene wymieniła zaskoczone spojrzenia z Elayne i Nynaeve.

– Powiedziano nam – odrzekła ostrożnie Nynaeve. – Elaida Sedai. – Dodała po krótkiej chwili. Elaida uniosła brew.

– Tak. Przypuszczałam, że będziecie o tym wiedziały.

Egwene drgnęła, zaskoczona tonem jej głosu, dającym do zrozumienia dużo więcej, niż zostało wyraźnie powiedziane, a Nynaeve gniewnie otworzyła usta, ale puste spojrzenie Aes Sedai spowodowało, iż słowa zamarły im na ustach.

– Wy dwie – Elaida kontynuowała zdawkowym głosem – znikacie, zabierając ze sobą Córkę-

Dziedziczkę Andoru... dziewczynę, która pewnego dnia może zostać Królową Andoru, jeśli wcześniej nie zedrę z niej skóry i nie sprzedam rękawicznikowi... znikacie bez pozwolenia, bez słowa, bez śladu.

– Nie zostałam zabrana – powiedziała Elayne z opuszczoną głową. – Poszłam z nimi z własnej woli.

– Będiesz mi posłuszna, dziecko? – Elaidę otoczyła poświata. Spojrzenie Aes Sedai skupiło się na Elayne. Czy z miejsca muszę udzielić ci nauczki?

Elayne uniosła głowę, nie pozostawiając wątpliwości, co rysuje się na jej twarzy. Gniew. Przez długą chwilę wytrzymywała spojrzenie Elaidy.

Egwene wbiła paznokcie w skórę dłoni. To było szaleństwo. Ona, albo Elayne czy Nynaeve mogły z miejsca zniszczyć Elaidę. Przynajmniej gdyby udało się ją zaskoczyć, jednak tamta była w pełni wyćwiczona.

"A jeśli zrobimy coś innego, zamiast wysłuchać od niej wszystkiego, co nam zechce wmusić, wówczas odrzucimy wszystko. Nie rób tego, Elayne. Nie odrzucaj wszystkiego".

Głowa Elayne opadła.

– Wybacz mi, Elaida Sedai – wymamrotała. – Zapomniałam się.

Poświata zniknęła, zaś Elaida głośno prychnęła.

– Nabyłaś kiepskich obyczajów, odkąd zabrały cię te dwie. Nie powinnaś sobie na coś takiego pozwalać, dziecko. Będiesz pierwszą Królową Andoru, która jednocześnie jest Aes Sedai. Pierwszą królową jakiegokolwiek kraju od tysiąca lat, która będzie Aes Sedai. Będiesz jedną z najpotężniejszych pośród nas, od czasu Pęknięcia Świata, być może wystarczająco potężną, aby stać się pierwszą władczynią od Pęknięcia, która otwarcie oznajmi, że jest Aes Sedai. Nie ryzykuj tego wszystkiego, dziecko, bowiem wciąż możesz wszystko stracić. Zainwestowałam w to zbyt wiele czasu. Rozumiesz, co mam na myśli?

– Tak sędzę, Elaida Sedai – powiedziała Elayne.

Brzmiało to tak, jakby niczego nie rozumiała. Podobnie zresztą jak Egwene.

Elaida zmieniła temat rozmowy.

– Możecie znaleźć się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Wszystkie trzy. Giniecie i wracacie, a w tym czasie Liandrin i jej... towarzyszki opuszczają nas. Nie da się uniknąć porównań. Pewne jesteśmy, że Liandrin i te, które odeszły wraz z nią, były Sprzymierzeńcami Ciemności. Czarnymi Ajah. Nie chciałabym, aby podobny zarzut spoczął na Elayne, a aby ją chronić, muszę chronić was wszystkie. Powiedzcie mi, dlaczego uciekłyście i co robiłyście przez te wszystkie miesiące, a zrobię dla was, ile tylko będę mogła.

Jej oczy wbiły się w Egwene jak dwa haki.

Egwene desperacko starała się wymyślić odpowiedź, którą tamta zaakceptuje. Powiadano, że Elaida czasami potrafi wyczuć kłamstwo.

– To... chodziło o Mata. Jest bardzo chory. – Usiłowała rozważnie dobierać słowa, aby nie powiedzieć niczego, co nie jest prawdziwe, a jednocześnie nie zdradzić tamtej, jak wszystko naprawdę się odbyło. – Udałyśmy się do... Przywiozłyśmy go z powrotem, aby mógł zostać uzdrowiony. Gdybyśmy tego nie zrobiły, umarłby. Amyrlin będzie go uzdrawiać.

"Mam nadzieję".

Zmuszała się, aby nieprzerwanie patrzeć w oczy Czerwonej Aes Sedai, pragnąc jednocześnie powstrzymać nerwowe szuranie stopą. Z twarzy Elaidy nie dawało się wyczytać, czy wierzy choć w jedno słowo.

– Wystarczy, Egwene – wtrąciła się Nynaeve.

Badawcze spojrzenie Elaidy spoczęło teraz na niej, ale Nynaeve nie zdradziła w najmniejszym stopniu, że wywarło to na niej jakiegokolwiek wrażenie. Bez zmrużenia oczu napotkała wzrok tamtej.

– Wybacz mi, że przerywam, Aes Sedai – powiedziała łagodnie – ale Zasiadająca na Tronie Amyrlin oznajmiła, że nasze wykroczenia należą już do przeszłości i mają być zapomniane. W ramach początku nowego życia nie wolno nam nawet mówić o tym. Amyrlin powiedziała, że będzie tak, jak gdyby tamto nigdy się nie zdarzyło.

– Tak powiedziała, doprawdy? – Wciąż nic w tonie głosu Elaidy, ani w wyrazie jej twarzy, nie zdradzało czy wierzy czy nie. – Interesujące. Zapewne trudno wam zapomnieć o wszystkim, skoro wasza kara oznajmiona została wobec całej Wieży. Bezprecedensowe wydarzenie. Nie słyszano dotąd, żeby stało się tak w przypadku kary mniejszej niż ujarzmienie. Rozumiem, dlaczego chcecie jak najszybciej o tym zapomnieć. Jak pojmuję, masz zostać wyniesiona do godności Przyjętej, Elayne. Egwene również. Trudno to nazwać karą.

Elayne patrzyła na Aes Sedai, jakby domagając się zezwolenia na to, by się odezwać.

– Matka powiedziała, że jesteśmy gotowe – powiedziała. W jej głosie drżał ślad wyzwania. – Nauczyłam się już wiele, Elaida Sedai, i dojrzałam. Nie przeznaczylaby mnie do wyniesienia, gdyby było inaczej.

– Nauczyłaś się – powiedziała Elaida z rozbawieniem. – I dojrzałaś. Być może tak też i jest.

W jej głosie nie można było wyczytać najmniejszej wskazówki, czy uważa to za słuszne. Jej badawcze spojrzenie przesunęło się z powrotem na Egwene i Nynaeve.

– Wróciłyście z tym Matem, z chłopcem z waszej wioski. Jest jeszcze jeden młodzieniec z waszej wioski. Rand al'Thor.

Egwene poczuła się tak, jakby lodowata dłoń ścisnęła nagle jej żołądek.

– Interesujący młody człowiek. – Elaida mówiąc te słowa; bacznie przypatrywała się im. – Spotkałam go tylko raz, ale wydał mi się... nadzwyczaj interesujący. Sądzę, że on musi być *ta'veren*. Tak. Odpowiedzi na wiele pytań należy poszukiwać u niego. To wasze Pole Emonda musi być niezwykłym miejscem, jeśli stworzyło was dwie. I Randa al'Thora.

– To zwykła wioska – stwierdziła Nynaeve. – Po prostu wioska jak wiele innych.

– Tak. Oczywiście. – Elaida uśmiechnęła się, zimne wygięcie ust spowodowało, że Egwene skręciło żołądek. Opowiedzcie mi o nim. Amyrlin nie przykazała wam milczeć w jego kwestii, nieprawdaż?

Nynaeve szarpnęła koniec warkocza. Elayne wpatrywała się w dywan, jakby ukryto na nim coś niezwykle cennego, a Egwene rozpaczliwie przeszukiwała umysł, aby znaleźć odpowiedź.

"Powiadają, że potrafi usłyszeć kłamstwo. Światłości, jeśli tak jest naprawdę..."

Chwila ciszy przeciągała się, na koniec Nynaeve otworzyła usta.

W tym momencie drzwi ponownie otworzyły się. Sheriam ogarnęła wzrokiem odbywającą się w pokoju scenę, na jej twarzy można było dostrzec odrobinę zaskoczenia.

– To dobrze, że cię tutaj odnalazłam, Elayne. Potrzebuję całej waszej trójki. Nie spodziewałam się ciebie tu zastać, Elaido.

Elaida wstała i wygładziła suknię.

– Zaciekawily nas te dziewczyny. Dlaczego uciekły. Jakie przygody je spotkały w tym czasie. Powiadają, że Matka przykazała im niczego nie mówić.

– Tak właśnie miało być – wyjaśniła jej Sheriam. – Zostaną ukarane i na tym cała sprawa się skończy. Zawsze uważałam, że po wykonaniu kary przewinienie, którego była skutkiem, winno zostać puszczone w niepamięć.

Przez długą chwilę dwie Aes Sedai stały, patrząc na siebie, na gładkich twarzach nie widać

było żadnych uczuć. Potem Elaida oznajmiła:

– Oczywiście. Być może porozmawiam z nimi innym razem. O innych rzeczach.

Spojrzenie, jakim obrzuciła trzy kobiety w bieli, przynajmniej dla oczu Egwene, niosło w sobie ostrzeżenie. Wyszła jednak bez słowa, przeciskając się w drzwiach obok Sheriam.

Trzymając drzwi otwarte, Mistrzynie Nowicjuszek patrzyła jak druga Aes Sedai idzie w dół kruzganków. Wyraz jej twarzy wciąż pozostawał nieprzenikniony.

Egwene wypuściła wstrzymywany od dawna oddech, usłyszała, że Nynaeve i Elayne postąpiły podobnie.

– Groziła mi – powiedziała z niedowierzaniem, na poły do siebie. – Groziła mi ujarzmieniem, jeśli nie będę... posłuszna!

– Nie rozumiałaś jej – powiedziała Sheriam. Jeśli nieposłuszeństwo groziłoby ujarzmieniem, lista ujarzmionych liczyłaby więcej nazwisk, niż mogłabyś zapamiętać. Niewiele potulnych kobiet osiąga pierścień i szal. Nie znaczy to oczywiście, że nie powinnaś zachowywać się posłusznie, kiedy jest to wymagane.

– Tak, Sheriam Sedai – wykrzyknęły wszystkie trzy niemalże jednym głosem, a Sheriam uśmiechnęła się.

– Widzicie? Potraficie stworzyć przynajmniej złudzenie posłuszeństwa. A będziecie miały wiele okazji do ćwiczeń, zanim zdołacie ponownie zasłużyć na względy Amyrlin. I moje. Moje będą znacznie trudniejsze do osiągnięcia.

– Tak, Sheriam Sedai – powtórzyła Egwene, ale tym razem towarzyszył jej tylko głos Elayne.

Nynaeve zaś zapytała:

– Co z... ciałem, Sheriam Sedai? Z... Bezdusznym? Odkryłaś, kto go zabił? Albo dlaczego wtargnął do Wieży?

Usta Sheriam zacisnęły się.

– Dajesz krok naprzód, Nynaeve, po to tylko, by zaraz cofnąć się. Wnioskując z braku zaskoczenia u Elayne, musiałaś z pewnością wszystko jej opowiedzieć... Mimo że ostrzegałam, aby nikomu nie mówić! ...i teraz jest w Wieży już siedem osób, które wiedzą, że zabito dzisiaj mężczyznę w kwaterach nowicjuszek, a dwaj z nich są mężczyznami, którzy nie wiedzą nic ponadto. Wyjąwszy, że muszą trzymać buzie zamknięte na kłódkę. Jeśli rozkaz Mistrzynie Nowicjuszek nie ma dla ciebie żadnej wagi, a jeśli tak jest rzeczywiście, postaram się wykazać, iż jesteś w błędzie, być może posłuchasz tego, który wydała sama Zasiadająca na Tronie Amyrlin. Nie wolno ci mówić o tym nikomu, prócz Matki lub mnie. Amyrlin nie ma ochoty, by na plotkach, które już musimy zwalczać, piętrzyły się następne. Czy wyrażam się jasno?

Nieustępliwość jej głosu wywołała chór zgodnych: "Tak, Shariam Sedai", ale Nynaeve postanowiła nie poprzestawać na tym.

– Powiedziałaś siedem, Shariam Sedai. Plus ten, który go zabił. Być może również ktoś pomógł im dostać się do Wieży.

– O to nie powinnaś się troszczyć. – Twarde spojrzenie Sheriam objęło je kolejno. – Zadam wszystkie pytania, które muszą zostać zadane. A wy zapomnicie, że wiecie cokolwiek o martwym mężczyźnie. Jeśli przekonam się, że postępujecie inaczej... Cóż, są gorsze rzeczy niż skrobanie garnków, rzeczy które pomogą wam wypełnić czas. Nie, nie przyjmę do wiadomości żadnych wymówek. Czy są jeszcze jakieś pytania?

– Nie, Sheriam Sedai.

Tym razem, ku uldze Egwene, Nynaeve również nie chciała niczego więcej dodać. Nie, żeby bała się o tamtą. Czujne spojrzenia Sheriam może uczynić poszukiwania Czarnych Ajah podwójnie

trudnym. Przez chwilę czuła się tak, jakby miała ochotę histerycznie się roześmiać.

"Jeśli nie złapią nas Czarne Ajah, na pewno zrobi to Sheriam. – Chęć roześmiania się ustąpiła. – Jeśli Sheriam sama nie jest Czarną Ajah".

Żałowała, że ta myśl w ogóle przyszła jej do głowy.

Sheriam pokiwała głową.

– Bardzo dobrze, więc. Pójdziecie ze mną.

– Dokąd? – zapytała Nynaeve i natychmiast dodała: – Sheriam Sedai – na chwilę przedtem, nim oczy tamtej zwęziły się.

– Zapomniałyście – odrzekła Sheriam z napięciem – że w Wieży uzdrawianie zawsze dokonuje się w obecności tych, którzy przywożą chorego do nas?

Egwene pomyślała, że porcja cierpliwości, jaką miała dla nich Mistrzynie Nowicjuszek, jest niemalże na wyczerpaniu, ale zanim zdążyła się opanować, wybuchła: A więc jednak ona ma zamiar go uzdrowić!

– Zajmie się nim sama Zasiadająca na Tronie Amyrlin, nie licząc oczywiście pozostałych. – Twarz Sheriam zdradzała nie więcej emocji niż jej głos. – Czy miałaś jakiś powód, by w to wątpić? – Egwene stać było tylko na to, by przecząco potrząsnąć głową. – Tak więc, stojąc tutaj, marnujecie tylko życie swego przyjaciela. Nie można pozwolić czekać Zasiadającej na Tronie Amyrlin.

Mimo jej własnych słów, Egwene miała wrażenie, że Aes Sedai w najmniejszym stopniu się nie śpieszy.

ROZDZIAŁ 18

UZDRAWIANIE

Lampy na żelaznych kinkietach oświetlały korytarze głęboko pod Wieżą, dokąd zabrała je Sheriam. Kilkoro drzwi, przez które przewędrowały, natychmiast szczelnie zamykano na zamek, inne były natomiast tak zręcznie ukryte, że Egwene nigdy by się nie domyśliła ich istnienia, nawet stojąc tuż na wprost nich. Ciemne wyloty znaczyły większość korytarzy, które przecinały, w niektórych można było dostrzec mglistą poświatę rozmieszczonych w dużych odległościach lamp. Żadnych ludzi jednak nie spostrzegła. Były to miejsca, do których nawet Aes Sedai nie zapuszczały się często. Powietrze, ani ciepłe, ani zimne przesysało te korytarze, czuła jednocześnie, że drży z zimna i że po plecach ścieka jej strużka potu.

To właśnie tutaj, w podziemiach Białej Wieży, nowicjuszek przechodziły ostatnie próby, zanim stały się Przyjętymi. Albo przed relegacją z Wieży, jeśli zawiodły. Tutaj, w głębi korytarzy, Przyjęte składały Trzy Przysięgi, po przejściu ostatecznych inicjacji. Nikt, jak zdała sobie sprawę, nie powiedział jej, co dzieje się z Przyjętą, która zawiodła. Tutaj było gdzieś miejsce, gdzie przechowywano nieliczne *angreale* i *sa'angreale* oraz magazyny, w których składowano *ter'angreale*. Czarne Ajah włamały się do tych magazynów. A jeśli w jednym z tych ciemnych korytarzy zaczęły się Czarne Ajah, jeśli Sheriam nie prowadzi ich do Mata, ale do...

Jęknęła, kiedy Aes Sedai zatrzymała się nagle. Poczzerwieniała, gdy kobiety spojrzały na nią z zaciekawieniem.

– Myślałam o Czarnych Ajah – powiedziała słabo.

– Nie myśl o tym – pocieszyła ją Sheriam i po raz pierwszy jej głos zabrzmiał jak dawniej, przyjaźnie choć stanowczo. – Czarne Ajah nie będą stanowić tematu twoich zmartwień przez najbliższe lata. Masz coś, czego nam brakuje: czas, zanim będziesz musiała się z nimi zmierzyć. Wciąż dużo czasu. Kiedy wejdziemy do środka, stańcie pod ścianą i nie odzywajcie się. Zaproszono was tutaj z życzliwości, abyście dotrzymały towarzystwa, a nie przeszkadzały czy wtrącały się.

Otworzyła drzwi pokryte szarym metalem i rzeźbione tak, by przypominały kamień.

Kwadratowy pokój był przestronny, blade kamienne ściany pozbawione ozdób. Jedyne umeblowanie stanowił długi kamienny stół pokryty białym płótnem, stojący pośrodku komnaty. Mat leżał na tym stole, całkowicie ubrany, oprócz kaftana i butów, z zamkniętymi oczyma i twarzą tak wymizerowaną, że Egwene zachciało się płakać. Ciężki oddech dobywał się z jego gardła z ochryplym świstem. Sztylet z Shadar Logoth wisiał w pochwie u jego pasa, rubin wieńczący jego rękojeść zdawał się zbierać światło, tak że błyszczał jak wściekłe czerwone oko, mimo iluminacji jakiegoś tuzina lamp, wzmocnionej dodatkowo przez odbicia od jasnych ścian i wyłożonej białymi płytkami podłogi.

Zasiadająca na Tronie Amyrlin stała u wezłowania Mata, a Leane u jego stóp. Cztery Aes Sedai zajęły pozycje wzdłuż jednego z brzegów stołu, przy przeciwległym stały następne trzy. Sheriam stanęła przy nich właśnie. Jedną z obecnych była Verin, wśród pozostałych Egwene rozpoznała Serafelle, kolejną Brązową Siostrę, Alannę Mosvani z Zielonych Ajah i Anaię z Niebieskich, do których należała Moiraine.

Alanna i Anaiya udzieliły jej po kilka lekcji otwierania się na Prawdziwe Źródło, uczyły ją, jak poddawać się *saidarowi*, aby móc go kontrolować. A między jej pierwszym przybyciem do Białej Wieży, a nagłym opuszczeniem, Anaiya poddała ją jakimś pięćdziesięciu próbom, by przekonać się czy jest Śniącą. Próby te nie przyniosły żadnej ostatecznej odpowiedzi na to pytanie, ale miła Anaiya,

o prostej twarzy, z ciepłym uśmiechem, który stanowił jedyną piękną cechę jej postaci, nieprzerwanie wzywała ją na kolejne testy, z nieprzejednaniem godnym kamienia staczającego się po zboczu.

Pozostałe Aes Sedai zgromadzone w pokoju były jej obce, z wyjątkiem jednej kobiety o chłodnych oczach, co do której przypuszczała, że należy do Białych. Amyrlin i strażniczka oczywiście wdziały swe stuły, z pozostałych jednak żadna nie miała oznak przynależności, prócz pierścieni z Wielkim Wężem i pozbawionych wieku twarzy. Żadna z nich nie zareagowała na wejście Egwene i jej przyjaciółek niczym więcej niż przelotnym spojrzeniem.

Pomimo spokoju demonstrowanego przez zgromadzone wokół stołu kobiety, Egwene sądziła, iż dostrzega oznaki niepewności. Zaciśnięte usta Anaiyi. Nieznaczna zmarszczka na pięknej, ciemnej twarzy Alarmy. Kobieta o chłodnych oczach nieustannie wyglądała na biodrach swą bladoniebieską suknię, najwyraźniej nie do końca zdając sobie sprawę z tego co robi.

Nie znana Egwene Aes Sedai postawiła na stole prostą skrzynkę z polerowanego drewna i otworzyła ją. Z jej wnętrza wyłożonego czerwonym jedwabiem Amyrlin wyjęła biały pręt długości jej przedramienia. Mogła być to kość, kieł morsa, ale w istocie nie była niczym takim. Nikt z żyjących nie wiedział, z czego został zrobiony.

Egwene nigdy dotąd nie widziała tego pręta, ale rozpoznała go na podstawie wykładu, jaki Anaiya dała kiedyś nowicjuszkom. Jeden z kilku *sa'angreali*, być może najpotężniejszy, jaki znajdował się w posiadaniu Wieży. *Sa'angreale* nie posiadały, rzecz jasna, własnej mocy – stanowiły tylko narzędzia skupiające i wzmacniające to, co Aes

Sedai zdolne były przenieść – ale z tą różdżką potężna Aes Sedai zdolna byłaby skruszyć mury Tar Valon.

Egwene ujęła lewą ręką dłoń Nynaeve, a prawą Elayne.

"Światłości! Nie są pewne, czy uda im się uzdrowić go, nawet z pomocą *sa'angreala*... nawet z tym *sa'angrealem*! Jaką szansę my byśmy miały? Najpewniej zabiłybyśmy i jego, i siebie. Światłości!"

– Zmieszam strumienie – powiedziała Amyrlin. Bądźcie ostrożne. Moc potrzebna do przerywania więzi ze sztyletem i uzdrowienia go niedaleka jest tej, która może go zabić. Będę skupiała ją. Dołączcie się.

Wyprostowała różdżkę, trzymając ją uniesioną w obu dłoniach przed twarzą Mata. Wciąż nieprzytomny rzucił głową i zacisnął dłoń na rękojeści sztyletu, mamrocząc coś, co brzmiało jak sprzeciw.

Poświata pojawiła się dookoła każdej Aes Sedai, to miękkie, białe światło, które dostrzec mogła jedynie kobieta zdolna do przenoszenia. Powoli sfera światła rozszerzała się, aż do chwili gdy emanacja zdająca się promieniować z jednej kobiety nie dotknęła emanacji osoby stojącej przy niej, nie zmieszała się z nią, do chwili gdy była już tylko jedna światłość, światłość, która w oczach Egwene przyćmiła całkowicie lampy świecące w komnacie. A w tej jasności wciąż świeciło silniejsze światło. Laska białego jak kość ognia. *Sa'angreal*.

Egwene walczyła z pragnieniem otworzenia się na *saidara* i przyłączenia swego strumienia do ogólnego przepływu. Było to pragnienie tak silne, że niemalże zbijające z nóg. Elayne wzmocniła uścisk na jej dłoni. Nynaeve podeszła o krok do stołu, potem zatrzymała się, gniewnie potrząsając głową.

"Światłości – myślała Egwene – mogę to zrobić. – Ale nie wiedziała, co właściwie może zrobić. – Światłości, to jest tak potężne. Tak... cudowne".

Dłoń Elayne drżała.

Na stole, zalewany poświęcą Mat szarpnął się w jedną stronę, potem w drugą, mamrocząc coś niezrozumiale. Ale wciąż nie puszczał rękojeści sztyletu, a jego oczy pozostawały zamknięte. Powoli, niemal niedostrzegalnie, jego plecy zaczęły się wyginać, mięśnie naprężyły się tak, że cały drżał. Wciąż walczył i rzucał się, aż na koniec dotykał stołu tylko ramionami i piętami. Dłoń zaciśnięta na sztylcie otworzyła się i drżąc, odsunęła od rękojeści, jakby przemocą, na siłę odrywało ją coś od sztyletu. Wargi wygięły się, odsłaniając wyszczerzone w grymasie zęby, ból wykrzywił twarz, oddech zmienił w wysilone rżenie.

– Zabijają go – wyszeptała Egwene. – Amyrlin zabija go! Musimy coś zrobić.

Równie cicho Nynaeve odpowiedziała:

– Jeśli je powstrzymamy, jeśli jesteśmy w stanie to zrobić, on umrze. Nie sądzę, bym była w stanie poradzić sobie z połową choćby tej Mocy. – Przerwała, jakby dopiero teraz usłyszała własne słowa, słowa głoszące spokojnie, że może przenieść połowę tego, co dziesięć Aes Sedai, wspomaganych *sa'angrealem* i wtedy jej głos ścichł jeszcze bardziej. – Światłości, pomóż mi, chcę tego.

Nagle zamilkła. Czy miała na myśli to, że chce pomóc Matowi, czy że chce przenieść taki strumień Mocy? Egwene sama czuła to pragnienie w głębi swej istoty, jak muzykę zniewalającą do tańca.

– Musimy im zaufać – podjęła na koniec Nynaeve intensywnym szeptem. – Nie ma innej szansy.

Nagle Mat krzyknął, głośno i przeraźliwie.

– *Muad'drin tia dar allende caba'drin rhadiem!* – Wygięty i szarpiący się, z zaciśniętymi oczyma, wyraźnie wyrzaskiwał słowa. – *Los valdar Cuebiyari! Carai an Caldazar! Al Caldazar!*

Egwene zmarszczyła brwi. Nauczyła się już wystarczająco wiele, by rozpoznać dawną mowę, nawet jeśli nie rozumiała więcej niż kilka słów. *Carai an Caldazar! Al Caldazar!* "Na honor Czerwonego Orła! Za Czerwonego Orła!" Starożytne zawołanie bitewne Manetheren, ludu, który wyginął podczas wojen z trollokami. Z kraju, który był tam, gdzie teraz znajdowały się :Dwie Rzeki. Tyle przynajmniej wiedziała, ale w tej chwili, jakimś sposobem wydawało jej się, że jest w stanie zrozumieć również resztę, jakby znaczenia słów znajdowały się na końcu języka i wszystko, czego potrzeba to tylko wypowiedzieć je.

Z głębokim trzaskiem rozrywanej skóry sztylet w złotej pochwie wysunął się zza pasa Mata i zawisł nad udręczonym ciałem. Rubin załśnił, prawie ciskając z siebie szkarłatne iskry, jakby on też sprzeciwiał się uzdrawianiu.

Oczy Mata otworzyły się, wbił spojrzenie w otaczające go kobiety.

– *Mia ayende, Aes Sedai! Cabellein misain ye! Inde muaghde Aes Sedai misam ye! Mia ayende!*

I zaczął wrzeszczeć, wściekłym wyciem, które trwało i trwało, aż Egwene zaczęła dziwić się, że została mu jeszcze choć odrobina powietrza w płucach.

Anaiya pośpiesznie schyliła się i wyciągnęła ciemną, metalową skrzynkę spod stołu, podniosła ją wolnym ruchem, jakby była bardzo ciężka. Kiedy postawiła ją obok Mata i uniosła wieko, okazało się, że w środku jest niewiele miejsca, między ściankami była szczelina nie szersza niż dwa cale. Anaiya pochyliła się ponownie i wyciągnęła parę zwyczajnych szczypiec, jakich każda kobieta używać może w swej kuchni i pochwyliła nimi zawieszony w powietrzu sztylet tak ostrożnie, jakby był to jadowity wąż.

Wrzaski Mata stały się szaleńcze. Rubin płonął wściekle, rozsiewając wokół czerwień krwi.

Aes Sedai wepchnęła sztylet do skrzynki i zatrzasnęła wieko. Kiedy zamknęło się z cichym szcęknięciem, wydała westchnienie ulgi.

– Obrzydlistwo – powiedziała.

Kiedy tylko sztylet zniknął mu z oczu, wrzaski Mata ucichły, on sam zaś opadł na stół, jakby mięśnie i kości zmieniły się w zwykłą wodę. chwilę później poświata otaczająca zebrane wokół stołu Aes Sedai zniknęła.

– Koniec – powiedziała Amyrlin ochryłym głosem, jakby to ona krzyczała. – Dokonało się.

Niektóre z Aes Sedai wyraźnie odetchnęły z ulgą, pot lśnił na niejednym czole. Anaiya wyciągnęła z rękawa prostą, płócienną chusteczkę i otwarcie wycierała twarz. Biała siostra o chłodnych oczach dotykała niemalże ukradkiem swych policzków skrawkiem lugardzkiej koronki.

– Fascynujące – to był głos Verin – że dawna krew w dzisiejszych czasach może odzywać się w kimś z taką siłą.

Ona i Serafelle zbliżyły głowy, mówiąc coś cicho do siebie, słowom towarzyszyła zapalczywa gestykulacja.

– Czy został uzdrowiony? – zapytała Nynaeve. Czy będzie... żył?

Mat leżał spokojnie, niczym śpiący, ale jego twarz wciąż była wymizerowana, a policzki zapadnięte. Egwene nigdy nie słyszała o uzdrawianiu, które nie wyleczyłoby wszystkiego.

"Chyba, że zwykle odłączenie go od sztyletu pochłonęło całą Moc, jakiej użyły. Światłości!"

– Brendas – odezwała się Amyrlin – dopatrzysz, by zabrano go do jego pokoju?

– Jak rozkażesz, Matko – powiedziała kobieta o zimnych oczach, jej grzeczność była równie pozbawiona emocji jak jej wygląd.

Kiedy poszła wezwać ludzi, którzy mieli go przenieść, kilka pozostałych Aes Sedai również opuściło pomieszczenie, włączając w to Anaię. Verin i Serafelle poszły za nimi, nieustannie rozmawiając, zbyt cicho jednak, aby Egwene zdołała cokolwiek usłyszeć.

– Czy z Matem wszystko dobrze? – dopytywała się Nynaeve.

Sheriam uniosła brwi.

Zasiadająca na Tronie Amyrlin odwróciła się w ich kierunku.

– Czuję się tak dobrze, jak tylko może się czuć – oznajmiła chłodno. – Czas pokaże. Mieć przy sobie tak długo coś ze skazą Shadar Logoth... Kto wie, jaki to może mieć na niego wpływ? Być może żaden, być może ogromny. Przekonamy się. Ale więź ze sztyletem została przerwana. Teraz potrzebuje odpoczynku i tak dużo jedzenia, ile tylko w siebie wepchnie. Będzie żył.

– Co to było, co Mat krzyczał, Matko? – zapytała Elayne i szybko dodała: – Jeśli mogę spytać.

– Wydawał rozkazy żołnierzom.

Amyrlin obrzuciła leżącego na stole młodzieńca badawczym spojrzeniem. Od czasu kiedy legł nieruchomo, nie poruszał się więcej, ale Egwene zdało się, że jego oddech był lżejszy, a pierś unosiła się i opadała w bardziej równym rytmie.

– W bitwie, która toczyła się dwa tysiące lat temu, jak sędzę. Dawna krew powraca ponownie.

– Nie wszystko dotyczyło boju – zauważyła Nynaeve. – Słyszałam, jak mówił o Aes Sedai. To nie miało nic wspólnego z bitwą, Matko – dodała poniewczasie.

Przez chwilę Amyrlin zdawała się zastanawiać, być może, co odpowiedzieć, albo czy odpowiedzieć w ogóle.

– Sędzę, że przez chwilę – powiedziała ostatecznie – przeszłość i terażniejszość były jednym. Był tam i był tutaj, i wiedział kim jesteśmy. Rozkazywał nam, byśmy go puścili. – Znowu przerwała. – "Jestem wolnym człowiekiem, Aes Sedai. Nie jestem mięsem Aes Sedai". To właśnie mówił.

Leane prychnęła głośno, pozostałe Aes Sedai mamrotały coś gniewnie pod nosem.

– Ale, Matko – zaproponowała Egwene – nie mógł mieć na myśli tego, co mówił. Manetheren było sprzymierzeńcem Tar Valon.

– Manetheren było sprzymierzeńcem, dziecko – odrzekła jej Amyrlin – ale któż może znać serce człowieka? Podejrzewam, że nawet on sam nie wie, co dzieje się w jego głębi. Ze wszystkich zwierząt, człowieka najłatwiej wziąć na smycz i najtrudniej na niej utrzymać. Nawet jeśli sam tego chce.

– Matko – wtrąciła Sheriam – jest późno. Kucharki czekają już na swoje pomocnice.

– Matko – zapytała niespokojnie Egwene – czy nie mogłybyśmy zostać z Matem? Jeśli wciąż może umrzeć?

Spojrzenie Amyrlin było całkowicie puste, twarz absolutnie bez wyrazu.

– Masz obowiązki do wypełnienia, dziecko.

Nie miała na myśli szorowania garnków, tego Egwene była pewna.

– Tak, Matko.

Ukloniła się, zamiatając suknią podłogę i ocierając jej skrajem o szaty Nynaeve i Elayne, kiedy równocześnie wykonywały podobne ukłony. Ostatni raz spojrzała na Mata i w ślad za Sheriam wyszła z komnaty. Mat wciąż leżał nieruchomo.

ROZDZIAŁ 19

PRZEBUDZENIE

Mat powoli otworzył oczy i wbił wzrok w biało wytynkowany sufit, zastanawiając się, gdzie jest i jak się tutaj dostał. Sufit zdobił po brzegach powikłany frez połączonych liści, a napchany pierzem materac pod grzbietem sprężynował pod naciskiem dłoni. Jest to więc jakieś bogate miejsce. Gdzieś, gdzie są pieniądze. Ale w głowie miał pustkę, nie wiedział, gdzie się znalazł, ani jak, prócz tego nie pamiętał wielu jeszcze rzeczy.

Śnił, a części tego snu wciąż mieszały mu się w głowie ze wspomnieniami. Nie był w stanie oddzielić jednych od drugich. Dzikie uciezki i boje, dziwni ludzie zza oceanu, drogi i Kamienie Portalu, fragmenty innych żywotów, rzeczy wprost z opowieści bardów, rzeczy, które muszą być snem. Ale Loial nie stanowił części snu, a przecież był Ogirem. Wirowały mu w głowie strzępy rozmów z ojcem, z przyjaciółmi, z Moiraine, piękną kobietą, kapitanem statku i zdobnie ubranym, mądrym mężczyzną, który mówił do niego jak ojciec, udzielający mądrej rady. To zapewne było realne. Ale rozproszone w kawałeczkach i fragmentach. Nie powiązane z niczym.

– *Muad'drin tia dar allende caba'drin rhadiem* – wymamrotał.

Te słowa były tylko pustym dźwiękiem, ale przecież wywołały... coś.

"Zwarte szeregi włóczników, rozciągające się za nim na milę lub więcej w każdą stronę, z łopoczącymi sztandarami i flagami miast, miasteczek oraz pomniejszych domów. Rzeka osłaniała lewą flankę, moczary i bagna – prawą. Ze wzgórza obserwował, jak włócznicy ścierają się z dziesięciokroć liczniejszymi masami trolloków, usiłujących przerwać ich linie. Włócznie dziurawiły czarne kolczugi trolloków, z kolei ich topory, opatrzone ostrym kolcem po przeciwnej stronie ostrza, rzeźbiły krwawe szczeliny w ludzkich szeregach. Powietrze pełne było krzyków i wycia. Słońce paliło ponad głowami na bezchmurnym niebie, nad linią walki drżało rozgrzane powietrze. Ze strony wroga wciąż płynął na ziemię deszcz strzał, rażąc tak ludzi, jak i trolloki. On sam odwołał już łuczników, ale Władcy Strachu nie dbali o nic, tylko o przerwanie frontu. Na wzgórzu za jego plecami Gwardia Serca oczekiwała na rozkazy, konie niespokojnie przestępowały ż nogi na nogę. Zbroje ludzi i wierzchowców świeciły jedną, srebrną barwą w blasku słońca; upał wykańczał i żołnierzy, i zwierzęta.

Muszą zwyciężyć lub zginąć. Mówiono o nim jako o doskonałym graczu, nadszedł czas, by rzucić kości. Głosem, który uniósł się nad tumultem bitwy, wydał rozkaz, prostując się jednocześnie w siodle.

– Piechota, przygotować się do przepuszczenia kawalerii!

Jego chorąży jechał tuż z tyłu, sztandar Czerwonego Orła łopotał nad głową, w tym czasie rozkaz powtarzano wzdłuż szeregów.

U stóp wzgórza włócznicy poruszyli się gwałtownie, odstępując zgodnie z wyćwiczoną dyscypliną i zwężając szyki. W ich szeregach potworzyły się luki. W szczeliny te runęły natychmiast trolloki, wydając zwierzęce wycia. Jak czarny, mulisty przyływ śmierci.

Wyciągnął miecz, uniósł go nad głową.

– Naprzód Gwardio Serca!

Wbił ostrogi w boki konia i wierzchowiec runął w dół stoku. Z tyłu zadudniły kopyta szarzy.

– Naprzód!

Pierwszy uderzył w szeregi trolloków, miecz unosił się i opadał, tuż za plecami miał chorążego i sztandar.

– Za honor Czerwonego Orła!

Gwardia Serca wlała się w szczeliny w szeregach włóczników, roztrzaskując przyływy czerni, spychając go w tył.

– Czerwony Orzeł!

Warczały na niego półludzkie pyski, dziwacznie wygięte miecze poszukiwały drogi do jego ciała, mimo to wciąż głębiej wcinął się w szeregi potworów. Zwyciężyć lub zginąć.

– Manetheren!

Dłoń Mata drżała, gdy unosił ją do czoła.

– *Los Valdar Cuebiyari* – wymamrotał.

Pewien był niemalże, że wie, co te słowa znaczą – "Naprzód Gwardio Serca" albo "Nikt nie zatrzyma Gwardii Serca" – ale było to niemożliwe. Moiraine powiedziała mu kilka słów w dawnej mowie i to stanowiło całą jego wiedzę na ten temat. Reszta równie dobrze mogła być skrzeczeniem sroki.

– Szaleństwo – powiedział sobie szorstko. – Prawdopodobnie to nie jest nawet dawna mowa. Tylko jakieś bezsensowne pomruki. Ta Aes Sedai jest szalona. To był tylko sen.

Aes Sedai. Moiraine. Nagle zobaczył swoje wychudzone nadgarstki, kościste ręce i wpatrzył się w nie zdumiony: Był chory. Miało to coś wspólnego ze sztyletem. Sztylet z rubinem w rękojeści i martwe od wieków, skażone miasto Shadar Logoth. Wszystko wydawało się mgliste i dalekie, nie układało się w zrozumiałe wzory, wiedział jednak, że nie był to sen. Egwene i Nynaeve wiozły go do Tar Valon, aby został uzdrowiony. Tyle przynajmniej pamiętał.

Spróbował usiąść i upadł na plecy, słaby jak nowo narodzone jagnię. Z wysiłkiem udało mu się podnieść do pozycji siedzącej i odsunąć pojedynczy, wełniany koc, którym go przykryto. Ubranie zniknęło, być może schowano je w rzeźbionej liśćmi winorośli garderobie, stojącej pod ścianą. Przez chwilę nie dbał o rzeczy. Z najwyższym wysiłkiem powstał, chwiejnie przeszedł przez pokój i zapadł w fotel o wysokim oparciu. Po chwili pochylił się w kierunku stołu o nogach i krawędziach rzeźbionych w złożone ślimacznice.

Świece z pszczelego wosku, po cztery w każdym wysokim lichterzu odbijały światło swych płomieni w małych lustrach, umieszczonych za nimi, oświetlając jasno pomieszczenie. Duże zwierciadło zawieszona na ścianie ponad wypolerowaną na wysoki połysk umywalką, zwróciło mu jego odbicie – wycieńczony i zmarnowany, zapadnięte policzki, nad nimi oczy w głębokich, ciemnych oczodołach, włosy zlepione od potu, przygięty jak starzec i drżący jak trawa na wietrze. Zmusił się, by usiąść prosto, ale niewiele to pomogło.

Tuż w zasięgu rąk dostrzegł dużą tacę z przykryciem, w nozdrza uderzył zapach jedzenia. Podniósł pokrywkę, odsłaniając dwa spore srebrne dzbany oraz naczynia z cienkiej, zielonej porcelany. Słyszał, że taką porcelanę Lud Morza ceni na wagę złota. Spodziewał się bulionu lub delikatnego pieczywa, czyli rzeczy, które podaje się rekonwalescentom. Zamiast tego okazało się, że na jednym talerzu leżą płaty pieczonej wołowiny z musztardą i chrzanem, ułożone w wysoki stos. Na drugim pieczone ziemniaki, słodka fasola z cebulą, kapusta i słodki groszek. Pikle i kawał żółtego sera. Cienkie kromki suchego chleba i maselniczka. Jeden z dzbanów wypełniało zimne mleko, na zewnętrznych ściankach gromadziły się kropelki rosy, drugi pachniał korzennym winem. Wszystkiego wystarczyłoby na czterech mężczyzn. Do ust napłynęła mu ślina, zaburczało w żołądku.

"Najpierw przekonam się, gdzie jestem".

Zanim jednak zataczając się, odszedł od stołu w kierunku trzech wysokich, wąskich okien, zwinął plaster wołowiny i zanurzył w musztardzie.

Rzeźbione w koronkowe wzory, drewniane okiennice zasłaniały okna, jednak spoglądając w

szczeliny, mógł przekonać się, iż na zewnątrz panuje noc. W ciemnościach lśniły plamki światła z innych okien. Przez chwilę, zawiedziony, wspierał się o biały kamień wykuszu okna, potem jednak zaczął myśleć.

Jeśli pomyślisz, nawet najgorsze rzeczy, które ci się przytrafiają, możesz obrócić na swoją korzyść, mawiał jego ojciec, i oczywiście Abell Cauthon był najlepszym handlarzem koni w Dwu Rzekach. Kiedy wydawało się, że ktoś zdobywa przewagę nad ojcem Mata, zawsze na koniec wychodziło na to, iż jednak dostawały mu się sama skóra i kości. Nie dlatego, że Abell Cauthon postępował nieuczciwie, ale nawet ludzie z Taren Ferry nigdy nie zarobili na nim, a przecież każdy wiedział, że potrafią zedrzeć skórę z każdego. Wszystko dlatego, że potrafił zbadać każdą rzecz ze wszystkich możliwych stron.

Tar Valon. To musi być Tar Valon. Pokój pasował do takiego miejsca. Pojedynczy domański dywan kosztował zapewne równowartość gospodarstwa. Ponadto nie wydawało mu się, aby jeszcze był chory, a z tego, co słyszał, Tar Valon stanowiło jedyną jego szansę na wyzdrowienie. Tak naprawdę, to ani przez chwilę nie czuł się chory. przynajmniej z tego, co pamiętał, nawet wtedy gdy Verin – kolejne imię, które wypłynęło na powierzchnię spowijającej wszystko mgły – powiedziała do kogoś, że nie ma dla niego ratunku. Teraz czuł się słaby jak dziecko i wygłodniały jak wilk, w jakiś jednak sposób pewien był, że uzdrowiono go.

"Czuję się cały i zdrowy, to wszystko. Zostałem uzdrowiony".

Wykrzywił się do widocznej przez okiennice ciemności.

Uzdrowiony. To znaczy, że używały wobec niego Jedynej Mocy. Uświadomienie sobie tego spowodowało szereg fal gęsiej skórki na jego ciele, ale to niczego nie zmieniało. Zrobiły mu to.

– Lepsze to niż umrzeć – przekonywał samego siebie. Z głębi pamięci napłynęły niektóre z opowieści, jakie słyszał o Aes Sedai. – I tak nie miałem innego wyjścia. Nawet Nynaeve sądziła, że umieram. Wszystko jedno, stało się, co się stało i martwienie się w niczym nie pomoże.

Zdał sobie sprawę, że skończył jeść płat mięsa i właśnie oblizuje sok z palców.

Chwiejnie wrócił do stołu. Spozstrzegł stojący pod nim stołek. Wyciągnął go i usiadł. Nie przejmując się widelcem ani nożem, zwinął następny płat mięsa. W jaki sposób można obrócić na swoją korzyść pobyt w Tar Valon? "W Białej Wieży. To musi być Biała Wieża".

Tar Valon oznaczało Aes Sedai. Z pewnością nie było żadnego powodu, by zostawać tutaj choćby godzinę dłużej. Dokładnie odwrotnie. Na tym, co pamiętał z czasu spędzonego w towarzystwie Moiraine, a później Verin, nie za bardzo można było się oprzeć. Nie przypominał sobie, by któraś z nich zrobiła coś rzeczywiście strasznego, ale wszak z trudem w ogóle cokolwiek sobie przypominał. W każdym razie wszystko, co robiły Aes Sedai, robiły z powodów sobie tylko wiadomych.

– I nie są to zawsze takie powody, których można się domyślić – wybełkotał z ustami pełnymi ziemniaków, potem przełknął. – Aes Sedai nigdy nie kłamią, ale prawda, jaką wypowiadają nie zawsze jest taka, jak ci się wydaje. To jest rzecz, którą powinienem zapamiętać. Nie mogę być pewnym, że je rozumiem, nawet jeśli tak mi się wydaje.

Nie była to pocieszająca konkluzja. Wypełnił usta słodkim groszkiem.

Rozmyślając o Aes Sedai, powoli przypominał sobie wszystko, co o nich wiedział. Siedem Ajah: Błękitne, Brązowe, Zielone, Żółte, Białe i Szare. Czerwone były najgorsze.

"Wyjawszy oczywiście Czarne Ajah, których istnieniu się przeczy".

Ale Czerwone Ajah nie mogą stanowić dla niego zagrożenia. Interesowały się tylko mężczyznami, którzy potrafili przenosić.

"Rand. Niech szczenę, jak mogłem o nim zapomnieć? Gdzie on jest? Czy wszystko z nim w

porządku? – westchnął z ubolewaniem i rozsmarował masło po ciepłym jeszcze chlebie. – Obawiam się, że mógł już oszaleć”.

Nawet gdyby znał odpowiedzi na powyższe pytania i tak nie mógł nic zrobić, by pomóc Randowi. Nie był pewien, czy pomógłby mu, gdyby nawet mógł. Rand potrafił przenosić, a Mat wyrósł pośród opowieści o takich mężczyznach, opowieści, którymi straszono dzieci. Odkrycie, do czego Rand jest zdolny, było jak przekonanie się, iż najbliższy przyjaciel zwykł dręczyć drobne zwierzątka i zabijać dzieci. Kiedy wreszcie już w to uwierzysz, nie możesz dłużej nazywać go przyjacielem.

– Muszę zadbać o samego siebie – warknął gniewnie. Przechylił dzban z winem nad swoim pucharkiem i ze zdumieniem przekonał się, że jest już pusty. Zamiast tego więc, napełnił kubek mlekiem. – Egwene i Nynaeve chcą zostać Aes Sedai. – Nie pamiętał o tym, dopóki nie wypowiedział słów. – Rand włóczy się gdzieś z Moiraine i nazywa się Smokiem Odrodzonym. Światłość jedna wie, co dzieje się z Perrinem. Od czasu, gdy jego oczy zmieniły wyraz, zachowuje się jak szaleniec. Muszę zadbać o siebie.

"Niech szczenę, muszę! Jestem ostatnim z nas, który jeszcze został przy zdrowych zmysłach. Tylko ja”.

Tar Valon. Cóż, uważano je za jedno z najbogatszych miast świata, a ponadto stanowiło ośrodek handlu między Ziemiami Granicznymi i południem, oraz za centrum władzy i siły Aes Sedai. Nie sądził, by mógł namówić Aes Sedai do gry. Albo zaufać rzutowi kości, czy też szczęśliwej karcie, gdyby mu się nawet udało. Ale muszą być tu jacyś kupcy, czy inni ludzie posiadający srebro i złoto. Samemu miastu warto poświęcić kilka dni. Wiedział, że od opuszczenia Dwu Rzek podróżował daleko, ale prócz niejasnych wspomnień z Caemlyn i Cairhien nie miał żadnych wrażeń z wielkich miast. A zawsze chciał zobaczyć jakieś naprawdę wielkie miasto.

– Ale nie takie, w którym jest pełno Aes Sedai wymruczał kwaśno, wyskrobując resztki słodkiego groszku. Zjadł wszystko i ponownie wziął się do wołowiny.

Leniwie zastanawiał się, czy Aes Sedai pozwolą mu zatrzymać rubin sztyletu z Shadar Logoth. Sztylet pamiętał tylko w najbardziej niejasny sposób, ale nawet to było jak przypominanie sobie straszliwej rany. Mięśnie naprężyły się, ostry ból uderzył w skronie. Mimo to oczami swej wyobraźni wyraźnie widział rubin, wielki jak paznokieć kciuka, ciemny jak kropla krwi, lśniący niczym szkarłatne oko. Z pewnością miał do niego większe prawo niż one, a w domu wart musiał być tyle, ile pół tuzina farm.

"Prawdopodobnie powiedzą, iż jest również skażony”.

I zapewne był. Wciąż jednak zabawiał się wyobrażaniem sobie, jak handluje rubinem z Coplinami, żądając ich najlepszych ziem. Większość tej rodziny – od kołyski nieustające źródła kłopotów, o ile nie byli również kłamcami i złodziejami – zasłużyła sobie na to, co im się przytrafiało, a nawet na coś jeszcze gorszego. Ale tak naprawdę, to nie wierzył, że Aes Sedai zwrócą mu kamień, nadto nie uśmiechała mu się perspektywa więzienia go z powrotem do Pola Emonda, w przypadku gdyby jednak postąpiły inaczej. A i myśl o posiadaniu największej farmy w Dwu Rzekach nie była już tak podniecająca jak kiedyś. Dawniej stanowiło to główny przedmiot jego ambicji, to i bycie równie znanym handlarzem koni jak jego ojciec. Teraz, jako przedmiot pragnień, wydawało się czymś nieznacznym. Takie ograniczone marzenie, podczas gdy czekał na niego cały szeroki świat.

Postanowił, że najpierw odnajdzie Egwene i Nynaeve.

"Być może opamiętały się. Może zrezygnowały ze swoich głupich projektów stania się Aes Sedai”.

Nie sądził, żeby tak mogło być, ale nie mógł odjechać, nie zobaczywszy się pierwszej z nimi.

Wizyta u nich, dzień na zobaczenie miasta, może partyjka kości dla zapełnienia sakiewki i już będzie gdzieś, gdzie nie ma Aes Sedai. Przed powrotem do domu – "Pewnego dnia wrócę do domu. Pewnego dnia..." – zamierzał zobaczyć kawałek świata i to bez żadnych Aes Sedai, zmuszających, by tańczył, jak mu zagrają.

Szperał pośród naczyń w poszukiwaniu czegoś jeszcze do zjedzenia i przeżył wstrząs, gdy znalazł tylko parę plam oraz kilka kawałków sera i chleba. Oba dzbany były puste. W zadziwieniu zerknął na swój brzuch. Biorąc pod uwagę, ile pochłonął, powinien być napchany po same uszy, jednak czuł się, jakby ledwie co zjadł. Zebrał ostatnie skrawki sera w palce. W połowie drogi do ust, dłoń zawisła w powietrzu.

"Zadąłem w Róg Valere".

Cicho zagwizdał fragment piosenki, ale przerwał nagle, gdy dotarła do niego treść jej słów.

Stoję na samym dnie studni.

Jest noc i pada deszcz.

Ściany studni wałą się,

I nie ma liny, żeby wyjść.

Stoję na samym dnie studni.

– Lepiej żeby były jakieś liny – wyszeptał.

Pozwolił okrucinom sera opaść na tacę. Przez chwilę znów czuł się chory. Desperacko usiłował myśleć, przeniknąć tę mgłę, która zakrywała wszystkie myśli.

Verin przywiozła Róg Valere do Tar Valon, ale nie mógł sobie przypomnieć, czy wiedziała, iż to on na nim zagrał. Nigdy nie powiedziała nic takiego, by mógł wiedzieć. Tego był pewien. Sądził, że jest pewien.

"Cóż z tego, jeśli ona wie? Co, jeśli wiedzą wszystkie? O ile Verin nie zrobiła czegoś, o czym nie wiem, posiadają Róg. Nie potrzebują mnie".

Ale kto mógł wiedzieć, co Aes Sedai uważają za potrzebne?

– Jeżeli zapytają – powiedział ponuro – powiem, że nigdy go nie dotknąłem nawet. Jeśli wiedzą... Jeśli wiedzą, wówczas... Będę się tym przejmował, gdy ta chwila nadejdzie. Niech szczenę, nie mogą niczego chcieć ode mnie. Nie mają prawa!

Wraz z cichym pukaniem do drzwi, poderwał się chwiejnie na równe nogi, gotów do ucieczki. Gdyby gdziekolwiek było jakieś miejsce, do którego można uciec, i jeśli udałoby mu się wykonać więcej niż kilka kroków. Ale miejsca takiego nie było, a on ledwie stał na nogach.

Drzwi otworzyły się.

ROZDZIAŁ 20

ODWIEDZINY

Kobieta, która weszła do środka, ubrana w biały jedwab i srebro, zamknęła za sobą drzwi i oparła się o nie, wpatrując się w Mata najciemniejszymi oczyma, jakie kiedykolwiek widział. Była tak piękna, że oddech niemal zamarł mu w krtani, z włosami czarnymi jak noc, spiętymi znakomitą srebrną wstążką. Wspierała się o drzwi z takim wdziękiem, jaki innym kobietom zdarza się tylko wtedy, gdy tańczą. Wydawała mu się jakby znajoma, natychmiast jednak odrzucił tę myśl. Żaden mężczyzna nie zapomniałby takiej kobiety.

– Ujdiesz, jak sądzę, kiedy ponownie nabierzesz ciała – odezwała się – teraz jednak myślę, że mógłbyś coś na siebie włożyć.

Przez chwilę Mat wciąż się na nią gapił, potem jednak zrozumiał nagle, że jest całkowicie nagi. Twarz powlekł mu szkarłat, wskoczył do łóżka i owinął wokół ciała koc niczym płaszcz. Raczej legł, niżli usiadł na skraju materaca.

– Przepraszam... to znaczy... to jest, nie spodziewałem się... że... że... – gwałtownie zaczerpnął tchu. – Proszę, wybacz mi, że przyjąłem cię w takim stanie.

Wciąż czuł, jak palą go policzki. Przez chwilę żałował, że nie ma tu Randa, niezależnie od tego, czym się stał, albo chociaż Perrina, by poradzili mu, co ma zrobić. Zawsze zdawali się doskonale radzić sobie z kobietami. Nawet dziewczęta, które wiedziały, że Rand nieodwołalnie niemal został przeznaczony dla Egwene, zwykły na niego spoglądać, natomiast rozważny sposób bycia Perrina uważały za delikatny i atrakcyjny. Niezależnie od tego jak się starał, gdy rozmawiał z dziewczyną, zawsze udawało mu się wyjść na głupca. Tak jak przed chwilą.

– Nie nachodziłabym cię w ten sposób, Mat, gdyby nie to, że akurat przebywałam w... w Białej Wieży... – uśmiechnęła się, jakby ta nazwa rozbawiła ją – ...w innym zupełnie celu i ponadto chciałam się spotkać z wami wszystkimi.

Twarz Mata poczerwieniała ponownie, owinął ciasniej otulający go koc, ona jednak nie wydawała się mu dokuczać. Bardziej wdzięczna niż łabędź, popłynęła niemalże do stołu.

– Jesteś głodny. Tego należało oczekiwać po tym, jak one wykonują te rzeczy. Za każdym razem zjadaj wszystko, co ci podadzą. Będziesz zaskoczony, jak szybko nabierzesz wagi i odzyskasz siły.

– Przepraszam – zapytał nieśmiało Mat – ale czy ja cię znam? Nie chcę okazać się niegrzeczny, wydajesz mi się jednak... znajoma.

Patrzyła na niego tak długo, aż zaczął się niespokojnie wiercić. Kobieta taka jak ona mogła domagać się szacunku.

– Mogłeś mnie widzieć – odpowiedziała ostatecznie. – Gdzieś. Mam na imię Selene.

Przechyliła lekko głowę, zdawała się jakby czekać, czy rozpozna imię.

Przetrząsał zakamarki pamięci. Wydawało mu się, że słyszał je już wcześniej, ale nie był w stanie powiedzieć gdzie, ani kiedy.

– Jesteś Aes Sedai, Selene?

– Nie. – Głos był cichy, ale słowa wypowiedziane dobitnie.

Po raz pierwszy przyjrzał się jej w miarę normalnie, zdolny dostrzec coś jeszcze prócz piękna. Była niemalże równie wysoka jak on, wysmukła i, jak można się było domyślić ze sposobu poruszania, silna. Nie mógł odgadnąć jej wieku – rok, dwa starsza od niego, ale równie dobrze z dziesięć lat – ale policzki miała gładkie. Naszyjnik z gładkich białych kamieni dobrany został do paska, nie nosiła jednak pierścienia z Wielkim Wężem. Ten brak nie powinien go zaskoczyć – żadna

Aes Sedai nie wyparłaby się tego – ale jednak tak się stało. Otaczała ją bowiem atmosfera pewności siebie – wiary we własną siłę, niezachwianego przekonania, że jej własna moc pozwala traktować na równi, a nawet z wyższością królowe – a więc wrażenia, które zazwyczaj łączył z Aes Sedai.

– Nie jesteś przypadkiem nowicjuską, nieprawdaż? – Słyszał, że nowicjuszki chodzą ubrane w biel, ale w jej przypadku nie wydawało się to możliwe.

"Przy niej Elayne wygląda jak kundel".

Elayne. Kolejne imię rozbłysło mu w głowie.

– Raczej nie – powiedziała gniewnie, wykrzywiając usta. – Powiedzmy raczej, że jestem kimś, czyje interesy są zbieżne z twoimi. Te... Aes Sedai mają zamiar cię wykorzystać, ale tobie się to raczej spodoba, przynajmniej po części, jak sądzę. I zaakceptujesz to. Ciebie nie ma potrzeby przekonywać do poszukiwania sławy.

– Wykorzystać mnie? – Wspomnienia powróciły, przypomniał sobie, że myślał tak, ale w odniesieniu do Randa, że chcą wykorzystać Randa, nie zaś jego.

"Nie będą miały żadnego przekłętego pożytku ze mnie. Światłości, nie pozwolę na to!"

– Co masz na myśli? Ja nie jestem ważny. Nikt nie może mieć ze mnie żadnego pożytku prócz mnie samego. Jaka znowu sława?

– Wiedziałam, że ciebie przede wszystkim to zainteresuje.

Gdy uśmiechnęła się, zawirowało mu w głowie. Przeczesał dłonią włosy. Koc zaczął się ześlizgiwać, ale zanim opadł całkowicie, pośpiesznie go schwycił.

– Teraz posłuchaj. Ja ich nie interesuję. – "A co z tym, że zadałem w Róg?" – Jestem po prostu rolnikiem.

– "Być może one sądzą, iż w jakiś sposób związany jestem z Randem. Nie, Verin powiedziała..."

Nie był pewien, co dokładnie powiedziała Verin, albo Moiraine, sądził jednak, że większość Aes Sedai nic nie wie o Rundzie. Miał zamiar dopilnować, by wszystko tak pozostało, przynajmniej do czasu, kiedy dawno już go tutaj nie będzie.

– Po prostu zwykłym wieśniakiem. Chciałbym jedynie zobaczyć trochę świata, a potem wrócić na farmę do ojca.

"Co ona miała na myśli, mówiąc: sława?"

Selene potrząsnęła głową, jakby słyszała jego myśli.

– Jesteś o wiele ważniejszy, niżli ci się zdaje. Z pewnością dużo bardziej ważny, niż sądzą te, tak zwane, Aes Sedai. Możesz zdobyć sławę, jeśli będziesz na tyle mądry, by im nie ufać.

– Twoje słowa bez najmniejszej wątpliwości wskazują na to, że sama im nie ufasz. – "Tak zwane?" – Przyszła mu do głowy pewna myśl, ale nie był w stanie wypowiedzieć jej wprost. – Czy ty jesteś...? Czy ty...?

Nie było to coś, o co łatwo kogoś oskarżyć.

– Sprzymierzeńcem Ciemności? – Pomogła mu, w jej głosie brzmiała drwina. Zdawała się rozbawiona, nie zagniewana. W tonie głosu dało się nawet wyczuć pogardę. Jednym z tych wzruszających wyznawców Ba'alzamoną, którzy uważają, że obdaruje ich nieśmiertelnością i siłą? Nie jestem niczyją wyznawczynią. Jest taki człowiek, przy którego boku stanę, ale nie będę nikomu służyć.

Mat zaśmiał się nerwowo.

– Oczywiście, że nie.

"Krew i popioły, Sprzymierzeniec Ciemności nie powie o sobie, że jest Sprzymierzeńcem

Ciemności. Jeżeli jednak należy do nich, na pewno ma przy sobie zatrute ostrze".

Przed oczyma stanęło mu niejasne wspomnienie kobiety ubranej jak szlachetnie urodzona, Sprzymierzeńca Ciemności ze śmiertelnościami sztyletem w wysmukłej dłoni.

– Wcale nie to miałem na myśli. Wyglądasz... Wyglądasz jak królowa. To właśnie chciałem powiedzieć. Czy jesteś damą?

– Mat, Mat, musisz się nauczyć mi ufać. Och, ja również cię wykorzystam... masz zbyt podejrzliwą naturę, szczególnie od czasu gdy nosiłeś ten sztylet, abym spróbowała się do tego nie przyznać... ale sposób, w jaki cię wykorzystam zapewni ci i bogactwo, i władzę, i sławę. Nie będę cię niewolić, już dawno przekonałam się, że mężczyźni działają skuteczniej wtedy raczej, gdy są przekonani, niż wówczas kiedy się ich zmusza. Te Aes Sedai nawet sobie nie wyobrażają, jaki jesteś ważny, a on będzie starał się odwieść cię od twych zamiarów lub zabić, lecz ja mogę dać ci to, czego pragniesz.

– On? – wyrzucił z siebie Mat.

"Zabić mnie? Światłości, to o Runda im chodzi, nie o mnie. W jaki sposób dowiedziała się o sztylecie? Przypuszczam, że już cała Wieża wie."

– Kto chce mnie zabić?

Usta Selene zacisnęły się, jakby zrozumiała, że powiedziała zbyt wiele.

– Wiesz, czego chcesz, Mat, a ja wiem o tym tak samo dokładnie jak ty. Musisz wybrać, komu zaufać, żeby osiągnąć swój cel. Przyznaję, iż mam zamiar cię wykorzystać. Te Aes Sedai nigdy nie powiedzą ci nawet tyle. Ja poprowadzę cię do bogactwa i chwały. One uwiążą cię na smyczy, na której pozostaniesz do czasu aż sczeźniesz.

– Dużo mówisz – wtrącił Mat – ale skąd mam wiedzieć, ile z tego jest prawdą? W jaki sposób mam się przekonać, że mogę zaufać ci w większym stopniu niż im?

– Słuchaj tego, co ci mówią i bacznie zwracaj uwagę na to, co zatajają. Czy powiedziały ci, że twój ojciec przybył do Tar Valon?

– Mój tata był tutaj?

– Był tu człowiek nazywający się Abell Cauthon wraz z drugim noszącym imię Tam al'Thor. Słyszałam, że naprzykrzali się wszystkim tak długo, dopóki nie uzyskali audiencji, chcąc dowiedzieć się, gdzie jesteś ty i twoi przyjaciele. A Siuan Sanche odesłała ich z pustymi rękami, z powrotem do Dwu Rzek, nie informując ich nawet, czy jesteście jeszcze wśród żywych, czy nie. Czy powiedzą ci o tym, jeśli nie zapytasz? Przypuszczalnie nawet wtedy nie, bowiem mógłbyś zechcieć uciec do domu.

– Mój tata myśli, że nie żyję? – zapytał powoli Mat.

– Można go powiadomić o tym, jak się sprawy mają. Jestem w stanie tego dopatrzeć. Pomyśl jednak o tym, komu zaufać, Macie Cauthon. Czy powiedziały ci, że nawet teraz Rand al'Thor usiłuje uciec, a ta, którą zwą Moiraine, ściga go? Czy powiedziały ci, że Czarne Ajah załęgły się w tej ich drogocennej Białej Wieży? Czy powiedziały ci chociaż, w jaki sposób chcą cię wykorzystać?

– Rand usiłuje uciec? Ale... – "Może ona wie, że Rand proklamował się Odrodzonym Smokiem, a może nie wie, on na pewno jej tego nie powie".

"Czarne Ajah! Krew i krwawe popioły!"

– Kim jesteś, Selene? Jeśli nie jesteś Aes Sedai, to czym jesteś?

Uśmiechnęła się tajemniczo.

– Pamiętaj tylko, że jest jeszcze inna droga wyjścia. Nie musisz być kukielką Tar Valon albo zwierzyną łowną dla Sprzymierzeńców Ciemności Ba'alzamon. Świat jest bardziej złożony, niżli potrafisz sobie wyobrazić. Na razie możesz robić to, czego od ciebie będą chciały owe Aes Sedai, pamiętaj jednak, jakie możliwości stoją przed tobą otworem. Nie zapomnisz?

– Nie wydaje mi się, żebym w ogóle miał wiele możliwości wyboru – oznajmił posepnie. – Przypuszczam więc, że nie zapomnę.

Wygląd Selene zmienił się nagle, stała się bardziej zdecydowana, twardsza. Jej głos stracił przyjacielskie tony, jak wąż zrzuca starą skórę.

– Przypuszczam? Nie przyszedłam do ciebie w taki sposób, nie rozmawiałam tak długo po to tylko, żeby uzyskać jakieś przypuszczenia, Macie Cauthon.

Wyciągnęła przed siebie szczupłą rękę.

Jej dłoń była pusta, ona sama stała tak, że oddzielała go od niej odległość równa połowie szerokości pokoju, niemniej przechylił się do tyłu, jakby unikając tej dłoni, jakby była tuż przy nim i pochylała się nad nim, dzierżąc sztylet. Nie rozumiał dlaczego, naprawdę, wyjąwszy groźbę, jaka rozbłysła w jej oczach, o której pewien był, iż nie jest udawana. Skórę pokryła gęsia skórka, powrócił ból głowy.

Znienacka i gęsia skórka, i ból zniknęły równocześnie. Selene przekrzywiła głowę, jakby nasłuchując czegoś przez ściany. Niewielka zmarszczka wypełzła na jej czoło, opuściła dłoń. Zmarszczka zniknęła.

– Porozmawiamy jeszcze, Mat. Mam ci dużo do powiedzenia. Pamiętaj o swoich możliwościach wyboru. Pamiętaj, że jest wiele rąk, chcących cię zabić: Tylko ja mogę zagwarantować ci bezpieczeństwo i wszystko, czego pragniesz, wtedy jednakże tylko, gdy postąpisz tak, jak mówię.

Wymknęła się przez drzwi równie bezszelestnie i wdzięcznie, jak przedtem przez nie weszła.

Mat wypuścił długo wstrzymywany oddech. Po twarzy spływały mu strużki potu.

"Kimże, na Światłość, jest ta kobieta?"

Zapewne Sprzymierzeńcem Ciemności. Z tą różnicą, że wyrażała się o Ba'alzamonie równie pogardliwie jak o Aes Sedai. Sprzymierzeńcy Ciemności imię Ba'alzamona wymieniali z takim szacunkiem, z jakim inni ludzie wyrażali się o Stwórcy. Ponadto nie prosiła go, by zataił jej wizytę przed Aes Sedai.

"Właśnie – pomyślał kwaśno. – Wybaczcie mi, Aes Sedai, ale ta kobieta przysłała się ze mną zobaczyć. Nie była Aes Sedai, ale sądzę, że zaczęła używać przeciwko mnie Jedynej Mocy, powiedziała też, że nie jest Sprzymierzeńcem Ciemności, ale poinformowała mnie, że chcecie mnie wykorzystać, a w waszej Wieży przyczytały się Czarne Ajah. Och, powiedziała też, że jestem ważny. Nie mam pojęcia, w jaki sposób. Nie będziecie miały nic przeciwko temu, że już się pożegnam, nieprawdaż?"

Ucieczka z każdą chwilą zdawała mu się coraz lepszym pomysłem. Niezdarnie wygramolił się z łóżka i chwiejnym krokiem podążył ku garderobie, wciąż szczelnie owijając się kocem. Wewnątrz dostrzegł stojące na podłodze swoje buty i płaszcz zwisający z kołka, na płaszczu wisiał jego pas z przytroczoną sakwą i nożem w pochwie. Był to zwykły gospodarczy nóż, z grubym ostrzem, w potrzebie jednak mógł okazać się równie skuteczny jak sztylet. Pozostałe jego rzeczy – dwa kaftany z grubej wełny, trzy pary spodni, pół tuzina lnianych koszul i bielizna – zostały pocerowane, wyprane i schudnie złożone na półkach zajmujących całą ścianę garderoby. Pomacał sakiewkę zwisającą u pasa, okazało się, że jest pusta. Jej zawartość spoczywała na jednej z półek, pomieszana z pozostałymi rzeczami wyciągniętymi z jego kieszeni.

Odgarnął na bok pióro czerwonego jastrzębia, gładki, pasiasty kawałek skały, który nosił przy sobie, bowiem podobały mu się jego kolory, brzytwę, scyzoryk z kościaną rękojeścią i spomiędzy kilku zapasowych cięciw do łuku wyciągnął sakiewkę z wyprawianej skóry. Kiedy ją rozwiązał, okazało się, że w tym przypadku pamięć w najmniejszym stopniu go nie zawiodła.

– Dwie srebrne marki i garść miedziaków – wymruczał. – Z tym nie zajadę szczególnie daleko.

Kiedyś wydawałyby mu się małą fortuną, ale to było dawno, zanim opuścił Pole Emonda.

Pochylił się, by zajrzeć na tył półki.

"Gdzie one są? – Zaczął bać się, że Aes Sedai mogły je wyrzucić, tak jakby postąpiła jego matka, gdyby je znalazła. – Gdzie...?"

Nagle poczuł przyływ ulgi. W głębi półki, za hubką i krzesiwem, sznurkiem do robienia wnyków i innymi tego typu przedmiotami, zobaczył dwa skórzane kubki do kości.

Zagrzechotały, kiedy je wyciągał, jednakże wciąż nie dowierzając, odsunął ściśle dopasowane wieka. Wszystko było w należytym porządku. Pięć kości oznaczonych symbolami do gry w korony i pięć oznaczonych kropkami. Kości z kropkami nadawały się do wielu gier, jednak większość ludzi najwyraźniej ponad inne preferowała grę w korony. Dzięki takiej pomocy, jego dwie marki wystarczą, aby mógł daleko odjechać od Tar Valon.

"Równie daleko od Aes Sedai, jak i od Selene".

Rozległo się stanowcze pukanie i niemalże natychmiast po nim drzwi otworzyły się. Mat gwałtownie spojrział przez ramię. Do środka weszła Zasiadająca na Tronie Amyrlin w towarzystwie strażniczki Kronik. Rozpoznałby je nawet wówczas, gdyby Amyrlin nie była ubrana w szeroką stulę naszywaną pasmami, zaś strażniczka w węższą, błękitną. Widział je raz i tylko raz, daleko od Tar Valon, nie mógłby jednak zapomnieć dwóch najpotężniejszych kobiet pośród Aes Sedai.

Brwi Amyrlin uniosły się nieco do góry, kiedy zobaczyła go, jak stoi z kocem zwisającym mu z ramion i kubkami do kości w dłoniach.

– Nie sądzę, abyś przez pewien czas potrzebował ich, mój synu – powiedziała sucho. – Schowaj je więc i wracaj do łóżka, zanim zemdlejesz.

Zawahał się, zeszywniały mu mięśnie pleców, jednakże kolana wybrały sobie właśnie ten moment, żeby zacząć się trząść, ponadto dwie Aes Sedai patrzyły uważnie na niego, ciemne i niebieskie oczy z równą przenikliwością śledziły najmniejszy ślad jakichś buntowniczych myśli. Zrobił więc, jak mu kazano, owijając obu rękoma koc dookoła tułowia. Legł płasko jak deska, niepewny, co jeszcze winien zrobić.

– Jak się czujesz? – zapytała wesoło Amyrlin, kładąc mu rękę na czole.

Po skórze przebiegły mu fale gęsiej skórki. Czy to ona użyła Jedynej Mocy, czy też samo dotknięcie Aes Sedai wywoływało w nim dreszcze?

– Dobrze – odrzekł jej. – Cóż, jestem gotów by ruszać w drogę. Pozwólcie mi tylko pożegnać się z Egwene i Nynaeve, a już przestanę się wam naprzykrzać. To znaczy, pojedę sobie.., hm, Matko.

Moiraine i Verin nie dbały zanadto, jak się do nich zwracał, ale to przecież była wszak sama Zasiadająca na Tronie Amyrlin.

– Nonsens – ucięła Amyrlin. Odwróciła fotel o wysokim oparciu, przysunęła go bliżej łóżka i siadając, zwróciła się do Leane: – Mężczyźni zawsze odmawiają przyznania się do tego, iż są chorzy, dopóki nie zachorują tak ciężko, że kobiety muszą się wówczas podwójnie napracować. Potem zbyt wcześnie usiłują przekonać nas, że już wyzdrowieli, a ostateczny rezultat jest identyczny.

Strażniczka spojrzała na Mata i pokiwała głową.

– Tak, Matko, jednakże ten niewielkie ma szanse przekonania nas, iż już wyzdrowiał, skoro ledwie trzyma się na nogach. Przynajmniej zjadł wszystko, co było na tacy.

– Byłabym zaskoczona, gdyby zostawił choćby tyle okruchów, żeby starczyło ich choćby dla zięby. I o ile się nie mylę, wciąż jest jeszcze głodny.

– Każę komuś przynieść mu ciasta, Matko. Albo jakieś ciasteczka.

– Nie, sądzę, że zjadł tyle, ile mógł za jednym razem pochłonąć. Jeśli miałby wszystko zwrócić, nie byłoby to dla niego dobre.

Mat popatrzył na nie spode łba. Wychodziło na to, że kiedy jesteś chory, stajesz się dla kobiet niewidzialny, chyba że właśnie mówią do ciebie. A ponadto zachowują się wówczas, jakby nagle ubyło człowiekowi co najmniej dziesięć lat. Nynaeve, jego matka, siostry, Zasiadająca na Tronie Amyrlin, wszystkie postępowały w ten sam sposób.

– W ogóle nie jestem już głodny – oznajmił. – Czuję się świetnie. Jeżeli pozwolicie, to chciałbym się teraz ubrać. – Obie spojrzały na niego. Odkasznęła. – Hm... Matko.

Amyrlin parsknęła.

– Zjadłeś posiłek wystarczający dla pięciu ludzi i przez wiele dni będziesz zjadał trzy lub cztery takie porcje dziennie, w przeciwnym razie umrzesz z głodu. Zostałeś uzdrowiony z więzi łączącej cię ze złem, które zabiło każdego mężczyznę, każdą kobietę i wszystkie dzieci w Aridhol i silne jak dawniej czekało dwa tysiące lat, abyś je zbudził. Zabiłoby cię równie pewnie, jak zabiło ich. To nie miało nic wspólnego ze zwykłym wbiciem sobie haczyka na ryby w kciuk, chłopcze. Niemalże same zabiłyśmy cię, usiłując uratować.

– Nie jestem głodny – upierał się.

Jakby na zaprzeczenie tych słów, zaburczało mu głośnie w żołądku.

– Dobrze się tobie przyjrzałam, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy – powiedziała Amyrlin. – I od tego czasu doskonale wiem, że czmychniesz jak przestraszona czapla, jeśli osądzisz, iż ktoś próbuje cię zatrzymać. Dlatego powzięłam środki ostrożności.

Objął je czujnym wzrokiem.

– Środki ostrożności?

Odpowiedziały mu spojrzeniem przepelnionym wręcz łagodnością. Miał wrażenie, że ich oczy przykuwają go do łóżka.

– Twoje imię i rysopis właśnie docierają do straży na moście – wyjaśniła Amyrlin – a także do dokmistrzów. Nie mam zamiaru przetrzymywać cię w Wieży, ale nie opuścisz Tar Valon, zanim nie wydobrzejesz. Jeśli zechcesz ukrywać się gdzieś w mieście, ostatecznie i tak głód przygna cię tu z powrotem, a jeśli nie, odnajdziemy cię, nim zagłodzisz się na śmierć.

– Dlaczego tak strasznie chcecie mnie tutaj zatrzymać? – dopytywał się. Pamiętał jeszcze słowa Selene. "Chcą cię wykorzystać". – Dlaczego troszczycie się o to, czy będę głodował czy nie? Sam potrafię się wyżywić.

Amyrlin zaśmiała się krótko, w jej głosie nie było zbyt wiele wesołości.

– Przy pomocy dwóch srebrnych marek i garści miedziaków, mój synu? Twoje kości musiałyby być naprawdę bardzo szczęśliwe, aby dzięki wygranej zapłacić za całe pożywienie, jakiego będziesz potrzebował przez kilka najbliższych dni. Nie uzdrawiamy ludzi po to, by pozwolić im zmarnować nasze wysiłki i umrzeć, gdy wciąż jeszcze wymagają opieki. A ponadto muszę dodać, że wciąż jeszcze możesz potrzebować uzdrawiania.

– Jeszcze? Powiedziałaś, że mnie uzdrowiłyście. Dlaczego miałbym potrzebować tego jeszcze więcej?

– Mój synu, miałeś ten sztylet od miesięcy. Wierzę, że wymazałyśmy każdy jego ślad w tobie, ale jeżeli przeoczyłyśmy choćby najdrobniejszą skazę, wciąż może okazać się śmiertelnie groźna. A ktoś może wiedzieć, jakie skutki mógł spowodować tak długi kontakt z nim. Minie pół roku, rok, a wtedy być może pożałujesz, że nie masz u boku Aes Sedai, która mogłaby cię uzdrowić.

– Chciałybyście, bym został tutaj przez następny rok? – wykrzyknął niemalże z niedowierzaniem. Leane zaszurała nogami i spojrzała na niego ostro, jednak wyraz twarzy Amyrlin pozostał nieporuszony.

– Być może nie tak długo, mój synu. Wystarczająco długo jednak, abyśmy osiągnęły pewność.

Oczywiście ty również tego chcesz. Postawiłbyś żagiel na łodzi, o której nie wiedziałbyś, czy jej kataflaż wytrzyma, albo czy kadłub nie przegnił?

– Nigdy nie interesowałem się specjalnie żeglarstwem – wymruczał Mat. To mogła być prawda. Aes Sedai nigdy nie kłamały, ale w tym, co mówiły, było zbyt wiele zdań warunkowych i niedopowiedzeń. – Dawno temu opuściłem swój dom, Matko. Ojciec i matka zapewne sądzą, że nie żyję.

– Jeśli chcesz możesz napisać do nich list, dopilnuję, by dotarł do Pola Emonda.

Mat czekał na więcej wyjaśnień, ale nie doczekał się.

– Dziękuję, Matko. – Zdołał zmusić się do krótkiego śmiechu. – Jestem trochę zaskoczony, że mój ojciec nie przyjechał mnie szukać. Jest tego rodzaju człowiekiem, który by tak postąpił.

Nie był pewien, czy sobie czegoś nie wymyślił, zdawało mu się jednak, że Amyrlin zawahała się przez chwilę, zanim odpowiedziała.

– Przyjechał tutaj. Leane rozmawiała z nim.

Strażniczka natychmiast podjęła temat.

– Wtedy nie wiedziałyśmy, gdzie jesteś, Mat. Tak mu też powiedziałam i odjechał, zanim nadeszły śnieżyce. Dałam mu trochę złota, aby ułatwić podróż do domu.

– Bez wątpienia – dodała Amyrlin – będzie zadowolony, jeśli otrzyma od ciebie jakieś wieści. Z pewnością twoja matka również się ucieszy. Daj mi ten list, kiedy już go napiszesz, a ja zajmę się resztą.

Powiedziały mu, ale dopiero wtedy, gdy zapytał.

"I nie wspomniały nic o ojcu Randa. Być może dlatego, iż nie spodziewały się, aby mnie to zainteresowało, a być może dlatego... Niech szczęzę, nie wiem. Któż może odkryć motywy Aes Sedai?"

– Podróżowałem z przyjacielem, Matko. Z Randem al'Thorem. Na pewno go pamiętasz. Czy wiesz, co z nim? Czy wszystko dobrze? Założę się, że jego ojciec również się martwi.

– Na tyle, na ile wiem – powiedziała miękko Amyrlin – chłopiec ma się wystarczająco dobrze, ale kto może ostatecznie wiedzieć? Widziałam go tylko raz, wtedy gdy poznałam ciebie, w Fal Dara. – Odwróciła się do strażniczki. – Zapewne poradzi sobie jeszcze z małym kawałkiem ciasta, Leane. I coś dla zwilżenia gardła, jeżeli ma zamiar tak dużo mówić. Zadbasz, żeby mu to przyniesiono?

Wysoka Aes Sedai wyszła, mrużąc niewyraźnie pod nosem:

– Jak rozkażesz, Matko.

Kiedy Amyrlin ponownie zwróciła się do Mata, uśmiechała się, ale jej oczy były niby niebieski lód.

– Są rzeczy, o których nawet wspomnianie może się okazać dla ciebie niebezpieczne, być może nawet w obecności Leane. Kłapanie językiem zabiło więcej mężczyzn niż niespodziewane sztormy.

– Niebezpieczne, Matko?

Nagle zaschło mu w ustach, ale zwalczył ochotę oblizania warg.

"Światłości, ile ona wie o Randzie? Jeśli tylko Moiraine nie dochowała tajemnicy".

– Matko, nie wiem nic, co mogłoby się okazać niebezpieczne. Z trudem jestem w stanie przypomnieć sobie połowę choćby z tego, co wiedziałem.

– Pamiętasz Róg?

– Jaki róg mianowicie, Matko?

Już stała na nogach i pochylała się nad nim, tak szybko, że niemalże w ogóle nie dostrzegł jej ruchów.

– Zabawiasz się w gierki ze mną, chłopcze, a mogę spowodować, że będziesz łkał i wołał

mamusię, by się tobą zaopiekowała. Nie mam czasu na gry, ty zresztą również nie masz. A więc, czy pamiętasz-Róg?

Owinął się ściśle kocem i musiał przełknąć ślinę, zanim zdołał odpowiedzieć:

– Pamiętam, Matko.

Na pozór rozluźniła się trochę, tylko odrobinę, a Mat zdołał lekko poruszyć ramionami. Czuł się tak, jakby właśnie pozwolono mu powstać z katowskiego pnia.

– Dobrze. To dobrze, Mat. – Powoli usiadła na powrót, nie przestając wpatrywać się w niego badawczo. – Czy wiesz, że jesteś związany z Rogiem? – Wstrząśnięty, bezgłośnie powtórzył słowo "związany" i pokiwał głową. – Nie sądzę, żebyś wiedział. Byłeś pierwszym, który zadał w Róg Valere, po tym jak został on odnaleziony. Dla ciebie wezwie on z grobu martwych bohaterów. Dla kogokolwiek innego jest to tylko zwykły róg... dopóki ty żyjesz.

Wziął głęboki oddech.

– Dopóki żyję – powiedział głuchym głosem, a Amyrlin kiwnęła głową. – Mogłaś pozwolić mi umrzeć. – Tamta ponownie przytaknęła. – Wtedy mogłabyś kazać zadać weń komukolwiek innemu i wówczas Róg służyłby jemu. – Kolejne skinienie głową. – Krew i popioły! Chcesz, żebym zadał w niego dla ciebie. Kiedy nadejdzie Ostatnia Bitwa, ja będę musiał wezwać bohaterów z grobu, aby walczyli dla ciebie przeciwko Czarnemu. Krew i krwawe popioły!

Wsparła łokieć o poręcz fotela i przycisnęła dłoń do policzka. Jej wzrok nawet na moment nie schodził z jego twarzy.

– Wolisz, żebym wybrała inną możliwość?

Zmarszczył czoło, potem sobie przypomniał, na czym polega ta inna możliwość. Jeśli ktoś inny miałby wydobyć właściwy dźwięk z Rogu...

– Potrzebujesz mnie po to, żebym zadał w Róg? Dobrze, wobec tego zadnę w Róg. Nigdy nie powiedziałem, że tego nie zrobię, nieprawdaż?

Amyrlin westchnęła zirytowana.

– Przypominasz mi wujka Huana. Nikt nigdy nie był w stanie go zaskoczyć. Również uwielbiał grać i zawsze wybrałby raczej zabawę niż pracę. Zginął, wyciągając dzieci z płonącego domu. Nie przestawał wracać po nie, dopóki choć jedno zostało w środku. Podoba ci się takie zachowanie, Mat? Czy będziesz tutaj, kiedy płomienie rozgorzeją wysoko?

Nie był w stanie spojrzeć jej w oczy. Wpatrywał się w swoje palce, szarpiące nerwowo skraj koca.

– Żaden ze mnie bohater. Robię to, co do mnie należy, ale nie jestem żadnym bohaterem.

– Prawie wszyscy, których nazywamy bohaterami, po prostu robili to co uważali, że muszą zrobić. Przypuszczam, że tyle wystarczy. Na razie. Na temat Rogu nie wolno ci rozmawiać z nikim oprócz mnie, mój synu. Ani o twojej więzi z nim.

"Na razie? – pomyślał. – To są wszystkie przeklęte rzeczy, jakich się ode mnie dowiesz, teraz i zawsze".

– Nie mam zamiaru mówić o tych przeklętych rzeczach niko... – Uniosła brwi, a jego głos stał się z powrotem łagodny. – Nie chcę mówić o tym nikomu. Wolałbym, żeby nikt nie wiedział. Dlaczego chcesz zachować całą tę rzecz w takiej tajemnicy? Czyżbyś nie ufała swoim Aes Sedai?

Przez długą chwilę sądził, że posunął się za daleko. Rysy jej twarzy stwardniały, a spojrzeniem można by rzeźbić styliska toporów.

– Gdybym mogła sprawić, abyśmy wiedzieli o tym tylko ty i ja – powiedziała chłodno – zrobiłabym to. Im większa liczba ludzi wie coś o pewnej rzeczy, tym szybciej się ta wiedza rozpowszechnia, nawet przy zachowaniu maksimum dobrych chęci. Większość świata wierzy, że Róg

Valere jest jedynie legendą, a ci, którzy wiedzą więcej, sądzą, że któryś z Myśliwych musiałby go już dawno znaleźć. Ale Shayol Ghoul wie, iż został odnaleziony, a to znaczy, że przynajmniej niektórzy ze Sprzymierzeńców Ciemności o tym wiedzą. Nie wiedzą jednak, gdzie się znajduje, ani nie wiedzą, o ile cieszymy się łaską oświeclającą nas Światłości, kto weń zadał. Czy rzeczywiście pragniesz, by ścigali cię Sprzymierzeńcy Ciemności? Pólludzie albo jakiś inny Pomiot Cienia? Oni chcą mieć Róg. Musisz o tym pamiętać. On z równym skutkiem będzie służył sprawie Cienia jak Światłości. Ale żeby mogli go wykorzystać, muszą cię porwać albo zabić. Chcesz się narazić na takie ryzyko?

Mat żałował, że nie ma jeszcze jednego koca, albo chociaż kapy na łóżko dla powstrzymania napadów dreszczy. W pokoju zrobiło się nagle strasznie zimno.

– Próbujesz mi powiedzieć, że Sprzymierzeńcy Ciemności mogą mnie ścigać aż tutaj? Sądziłem, że do Białej Wieży nie mają oni wstępu.

Pamiętał, co Selene mówiła o Czarnych Ajah i zastanawiał się, co Amyrlin powiedziała, gdyby jej to oznajmił.

– Wystarczająco dobry powód, żeby tutaj zostać, zgodzisz się? – Wstała i wygładziła suknie. – Odpoczywaj, mój synu. Wkrótce poczujesz się znacznie lepiej.

Cicho zamknęła za sobą drzwi.

Przez długi czas Mat leżał, wpatrując się w sufit. Ledwie zauważył, jak służąca weszła, niosąc dla niego kawałek ciasta i kolejny dzban mleka, a odchodząc, zabrała tacę z pustymi naczyniami. W żołądku burczało mu głośno, gdy do nozdrzy dotarł ciepły zapach jabłek i przypraw, ale na to również nie zwracał uwagi. Amyrlin sądziła, że trzyma go jak owcę w zagrodzie. A Selene...

"Kim na Światłość ona jest? Czego ode mnie chce?"

Selene miała rację, jeśli chodzi o pewne rzeczy, jednakże Amyrlin powiedziała jasno, do czego chce go wykorzystać i jak. W pewien sposób powiedziała. W tym, co mówiła, było zbyt wiele niedopowiedzeń, by mogło go to zadowolić, zbyt wiele luk, przez które mogła przemycić coś śmiertelnie niebezpiecznego. Amyrlin chciała czegoś od niego i Selene czegoś chciała, a on był liną, którą tamte przeciągały między sobą. Pomyślał sobie, że wolałby raczej stanąć twarzą w twarz z trollokiem, niż znaleźć się pomiędzy nimi dwoma.

Musi być jakaś droga wyjścia z Tar Valon, droga ucieczki pozostająca poza ich wpływem. Kiedy już znajdzie się za rzeką, będzie w stanie trzymać się z dala od rąk Aes Sedai, Selene i Sprzymierzeńców Ciemności również. Tego był pewien. Musi być jakieś wyjście. Wszystko, co powinien zrobić, to przemyśleć całą rzecz z najrozmaitszych punktów widzenia.

Ciasto powoli stygło na stole.

ROZDZIAŁ 21

ŚWIAT SNÓW

Egwene wycierała ręcznikiem dłonie, spiesznie przemierzając mgliście oświetlony korytarz. Myła je już dwukrotnie, ale wciąż wydawały się tłuste. Nie wyobrażała sobie, że na świecie może być tyle garnków. A ponadto dzisiejszego dnia pieczono ciasta, dlatego też z pieców należało wyciągnąć całe kosze popiołu. I wyczyścić paleniska, I stoły skrobane do kościanej białości przy pomocy drobnego piasku, szorowane na kolanach podłogi. Popiół i tłuszcz poplamiały jej białą sukienkę. Plecy bolały, chciałyby już znaleźć się w łóżku, ale do kuchni przyszła Verin, zapewne po posiłek, który mogłaby zjeść w swych pokojach i w przelocie, szeptem, wezwwała ją do siebie.

Kwaterna Verin mieściła się nad biblioteką, w korytarzach używanych jedynie przez nieliczne Brązowe siostry. Powietrze w holach przesycone było zapachem kurzu, jakby żadna z żyjących tutaj kobiet z powodu przepracowania nie miała dosyć czasu, by przypilnować służących, aby czyścili je wystarczająco często, a ponadto przejścia skręcały dziwacznie i wiły się, czasami nieoczekiwanie prowadząc w górę lub w dół. Nieliczne gobeliny na ścianach, ich wyblakła przędza, najwyraźniej były czyszczone równie rzadko jak pomieszczenia. Wiele lamp nie świeciło, zatapiając spore części korytarza w półmroku. Egwene zdawało się, jakby one wszystkie należały wyłącznie do niej, wyjąwszy nieliczne rozbłyski bieli z przodu – być może nowicjuszka lub służąca spiesząca z jakimś poleceniem. Stukot jej butów na czarnych i białych płytach posadzki odbijał się echem. Nie było nic uspokajającego w tym miejscu dla kogoś, kto myślał o Czarnych Ajah.

Odnalazła wreszcie to, czego kazała jej szukać Verin. U szczytu wzniesienia korytarza, za zakurzonym gobelinem, przedstawiającym jakiegoś króla na koniu, odbierającego hołd od innego króla, ukryte były ciemno obite drzwi. Verin powiedziała jej, jakie nosiła imiona – oraz, że zmarli setki lat przed urodzinami Artura Hawkwinga; Verin zawsze zdawała się wiedzieć o takich rzeczach – ale Egwene nie zapamiętała ich ani dawno zapomnianych krain, którymi władali. I tylko wisząca na ścianie tkanina zgodna była z opisem Aes Sedai.

Pominąwszy odgłosy jej kroków, korytarz wydawał się nawet bardziej pusty niż chwilę temu i bardziej jeszcze groźny. Gwałtownie zapukała do drzwi i wpadła niemalże do środka zaraz po usłyszeniu roztargnionego:

– Kto tam? Wejdz.

Dała jeden krok do wnętrza pokoju i natychmiast stanęła, zagaiwszy się na widok, który rozpostarł się przed jej oczami. Ściany wyłożone były półkami, z wyjątkiem drugich drzwi, które musiały prowadzić do kolejnego pomieszczenia i miejsc, gdzie wisiały mapy i plany, często jedno na drugich, a prócz map coś, co wyglądało na przedstawienie gwiezdnego nieba. Rozpoznała nawet nazwy kilku konstelacji Oracz, Wóz Siana, Łucznik i Pięć Sióstr – pozostałe były jej nie znane. Książki, dokumenty i zwoje pergaminu pokrywały niemalże każdą wolną powierzchnię, przemieszane z wszelkimi rodzajami dziwnych rzeczy, rozrzuconych pomiędzy stosami papieru a czasami okupującymi szczyty tych bezładnie spiętrzonych stosów. Osobliwe kształty z metalu i szkła, połączone ze sobą sfery i tuby, okręgi zainstalowane wewnątrz okręgów, stały pośród kości i czaszek wszelkich kształtów i rodzajów. To, co wyglądało jak wypchana brunatna sowa, niewiele większa od dłoni Egwene, stało na czymś, co przypominało zbielałą czaszkę jaszczurki, która jednak nie mogła być tym, na co wyglądała, bowiem musiałaby to być jaszczurka o głowie większej od jej przedramienia i haczykowatych zębach długości palca. Lichtarze rozstawiono dookoła w sposób najzupełniej przypadkowy, tak że w jednych miejscach dawały jasne światło, za to w innych głęboki

cień, a jeszcze gdzie indziej groziły zaproszeniem ognia na stojące zbyt blisko papiery. Gdy sowa mrugnęła do niej, nieomal podskoczyła.

– Ach, tak – powiedziała Verin. Siedziała za stołem znajdującym się w takim samym nieładzie, jak wszystko w pokoju i ostrożnie trzymała w dłoniach podartą stronicę. – To ty. Tak.

Spostrzegła spojrzenia, jakimi Egwene zmierzyła sowę i powiedziała nieobecny tonem:

– On poluje na myszy. Jedzą papier. – Nieokreślonym gestem objęła całość wnętrza, wzmianka o papierze przypominała jej, co trzyma w dłoniach. – To jest dopiero fascynujące. Rosel z Essam twierdziła, że Pęknięcie Świata przetrwało więcej niż sto stron, a ona powinna wiedzieć, bowiem żyła trochę ponad dwieście lat po nim, ale do dzisiaj zachował się tylko ten fragment, przynajmniej na tyle, na ile wiem. Przypuszczalnie to jest również tylko kopia. Rosel zapisała, że zawierały tajemnice, jakich nie powinien poznać świat, nie mówi jednak o nich otwarcie. Czytałam tę stronę tysiąc razy, usiłując odszyfrować, co jest zawarte w tym tekście.

Maleńka sowa ponownie mrugnęła do Egwene. Dziewczyna starała się na nią nie patrzeć.

– Co jest tam napisane, Verin Sedai?

Verin mrugnęła w sposób do złudzenia przypominający mrugnięcie sowy.

– Co jest napisane? Zwróć uwagę, że jest to dosłowne tłumaczenie i czyta się niemalże jak recytację barda w stylu wysokim. Posłuchaj. "Serce Ciemności. Ba'alzamon. Imię skryte wewnątrz imienia, otoczonego imieniem. Tajemnica pogrzebana w tajemnicy, okryta tajemnicą. Zdrajca Nadziei. Ishamael zdradza wszelką nadzieję. Prawda pali i spala. Nadzieja umiera, zanim umrze prawda. Kłamstwo jest naszą tarczą. Kto może przeciwstawić się Sercu Ciemności? Kto może stawić czoło Zdrajcy Nadziei? Dusza z cienia, Dusza Cienia, a jest on..." – Z westchnieniem przestała czytać. – Tutaj się kończy. Co o tym myślisz?

– Nie wiem – odpowiedziała Egwene. – Nie podoba mi się.

– Cóż, dlaczego by miało, dziecko? Wolisz, żeby ci się podobał, czy wolisz go zrozumieć? Ja studiuję go przez blisko czterdzieści lat i nie udało mi się osiągnąć żadnej z tych dwu rzeczy. – Verin ostrożnie umieściła stronę wewnątrz wyłożonej jedwabiem teczki ze sztywnej skóry, potem równie uważnie wsunęła teczkę w stos papierów. – Ale nie przysłaś w tej sprawie.

Mruczając coś do siebie, zaczęła rozgrzebywać bałagan na stole, kilka razy ledwie udało jej się schwytać stos książek czy rękopisów, zanim zdążył się zwalić. Na koniec odnalazła garść stronic pokrytych cienkim, pajęczym pismem i spiętych powiązaniem w węzełki sznurkiem.

– Tutaj, dziecko. Wszystko, co wiadomo o Liandrin i kobietach, które poszły za nią. Imiona, wiek, Ajah, miejsca urodzenia. Wszystko, co tylko mogłam odnaleźć w kartotekach. Nawet postępy osiągnięte podczas nauki. A także wszystko, co wiemy o *ter'angrealach*, które zabrały, a czego wiele nie ma. W większości tylko opisy. Nie wiem, czy cokolwiek z tego przyda się na coś. Mnie wydaje się to bezużyteczne.

– Być może któraś z nas coś w tym dostrzeże.

Znienacka przeniknęła ją nagła fala podejrzliwości.

"Jeżeli czegoś nie opuściła".

Amyrlin zdawała się ufać Verin tylko dlatego, że musiała. A co, jeżeli Verin sama była Czarną Ajah? Otrząsnęła się z tych myśli. Przejechała z Verin całą drogę z Głowy Tomana do Tar Valon i teraz nie potrafiła uwierzyć, by ta pulchna uczona mogła być Sprzymierzeńcem Ciemności.

– Wierzę ci, Verin Sedai.

"Ale czy rzeczywiście mogę?"

Aes Sedai spojrzała na nią i ponownie zamruwała, potem potrząśnięciem głowy odpędziła myśl, jaka musiała przed chwilą pobudzić jej wyobraźnię.

– Ta lista, którą ci dają może okazać się niezwykle ważna, ale niewykluczone, że jest to po prostu marnotrawstwo papieru, nie stanowi ona jednakże jedyne go powodu, dla jakiego cię wezwałam. – Zaczęła przesuwać rzeczy na stole, aby zrobić miejsce, niektóre chwiejne stosy papierów stały się jeszcze wyższe. – Z tego, co mi powiedziała Anaiya, możesz okazać się Śniącą. Ostatnią była Corianin Nedeal, która zmarła czterysta siedemdziesiąt trzy lata temu, a na podstawie zapisów można sądzić, że z trudem zasługiwała na swoje miano. Może okazać się całkiem ciekawe, jeśli tobie się uda.

– Ona przeprowadzała na mnie testy, Verin Sedai, ale nie potrafiła upewnić się, czy którykolwiek z moich snów przepowiada przyszłość.

– Przepowiadanie przyszłości to tylko część zdolności Śniących, dziecko. Zapewne najmniej istotna część. Anaiya wierzy w konieczność nazbyt wolnych, moim zdaniem, postępów u dziewcząt. Popatrz tutaj. – Jednym palcem Verin narysowała kilka równoległych linii na blacie, z którego wcześniej usunęła rozmaite papiery i przedmioty, linie były wyraźnie widoczne w kurzu pokrywającym stary wosk pszczeli ze świec. – Niech to przedstawia światy, które mogłyby zaistnieć, gdyby dokonano innych wyborów, jeśli główne punkty zwrotne we Wzorze przybrałyby inną postać.

– Światy, do których dociera się przy pomocy Kamieni Portalu – powiedziała Egwene, aby dowieść, że uważnie słuchała wykładów Verin na temat podróży z Głowy Tomana. Cóż mogłoby to mieć wspólnego z tym, że mogła być Śniącą?

– Bardzo dobrze. Ale Wzór może być dużo bardziej skomplikowany niż ten prosty schemat, dziecko. Koło splota nasze żywoty, czyniąc z nich Wzór Wieku, ale z kolei wieki same wplatają się w Koronkę Wieków, Wielki Wzór. Któż może wiedzieć, czy jest to choćby dziesiąta część splotu? Nie ma najmniejszej wątpliwości, że niektórzy badacze w Wieku Legend przekonani byli, iż istnieją inne jeszcze światy, trudniejsze nawet do osiągnięcia niż światy Kamieni Portalu, jeśli w ogóle można sobie coś takiego wyobrazić, a znajdujące się w tym miejscu. – Narysowała kolejne linie, krzyżujące się z prostymi pierwszego zbioru. Przez chwilę wpatrywała się w nie. – Osnowa i wątek splotu. Być może Koło Czasu splota jeszcze większy Wzór z samych światów.

Wyprostowała się i otrzepała dłonie.

– Cóż, to nie ma nic wspólnego z naszą sprawą. We wszystkich tych światach, niezależnie od tego, czym się różnią, pewne rzeczy są niezmiennie. Na przykład, we wszystkich Czarny został uwięziony.

Mimowolnie Egwene podeszła bliżej, aby spojrzeć na linie wykreślone przez Verin.

– We wszystkich? Jak tak może być? Powiadasz, że każdy świat ma własnego Ojca Kłamstw?

Na myśl o takiej mnogości Czarnych zadrżała.

– Nie, dziecko. Jest jeden Stwórca, który istnieje wszędzie jednocześnie względem wszystkich tych światów. W taki sam sposób, jest tylko jeden Czarny, który również istnieje jednocześnie we wszystkich tych światach. Jeżeli zostanie uwolniony z więzienia, które Stwórca zbudował w jednym ze światów, wolny będzie również w pozostałych. Dopóki pozostaje więźniem w jednym, jest uwięziony także w pozostałych.

– To nie wydaje się zbyt sensowne – zaprotestowała Egwene.

– Paradoks, dziecko. Czarny jest ucieleśnieniem paradoksu i chaosu, zniszczenia rozumu i logiki, złamania równowagi i destrukcji porządku.

Sowa zniecka pofrunęła, machając skrzydłami w absolutnej ciszy i wylądowała na szczycie wielkiej, białej czaszki za plecami Aes Sedai. Mrugając, wpatrywała się w obie kobiety. Egwene dostrzegła tę czaszkę, kiedy wchodziła do pokoju, jej skrzycone rogi i wielką paszczę i niejasno zastanawiała się, jakież to baran mógł mieć tak wielką głowę. Teraz dopiero dostrzegła krągłość

kości, wysokie czoło. Nie była to czaszka barana. Trollok.

Wciągnęła nerwowo powietrze.

– Verin Sedai, co to wszystko ma wspólnego z byciem Śniącą? Czarny pozostaje zamknięty w Shayol Ghoul; a ja nie chcę nawet myśleć o tym, że mógłby uciec.

"Ale pieczęcie na jego więzieniu kruszą się. Dzisiaj nawet nowicjuszki wiedzą o tym".

– Wspólnego z byciem Śniącą? Cóż, nic, dziecko. Wyjąwszy to, że wszystkie musimy przeciwstawić się Czarnemu, w taki lub inny sposób. W tej chwili pozostaje uwięziony, ale Wzór przecież nie przywołał na świat Randa al'Thora bez żadnego celu. Smok Odrodzony zmierzy się z Władcą Grobu, to jest pewne. Oczywiście, jeśli Rand przeżyje do tego czasu. Czarny będzie usiłował zniszczyć Wzór, o ile będzie w stanie. Cóż, odbiegliśmy dość daleko od naszego tematu, nieprawdaż?

– Wybacz mi, Verin Sedai, ale jeśli to... – Egwene wskazała na linie wyrysowane w kurzu – ... nie ma nic wspólnego z byciem Śniącą, dlaczego mi o tym wszystkim opowiadasz?

Verin wpatrywała się w nią, jakby była w szczególnie rozmyślny sposób niepojęta.

– Nic? Oczywiście, że ma z tym coś wspólnego, dziecko. Chodzi o to, że prócz Stwórcy i Czarnego istnieje trzeci stały element w różnorodności światów. Jest bowiem świat, który leży wewnątrz każdego z pozostałych, wewnątrz nich wszystkich jednocześnie. Czy też, być może, otacza je. Pisarze Wieku Legend nazywali go *Tel'aran'rhiod*, "Niewidzialny Świat". Być może "Świat Snów" stanowi lepsze tłumaczenie, wielu ludzi, zwykłych ludzi, którzy nie myślą nawet o przenoszeniu, czasami dostrzega na mgnienie *Tel'aran'rhiod* w swych snach. A niekiedy nawet chwytają przezeń przebłyski tych innych światów. Pomyśl o szczególnych rzeczach, jakie zdarza ci się zobaczyć w snach. Ale Śniąca, dziecko, prawdziwa Śniąca, może wejść do *Tel'aran'rhiod*.

Egwene usiłowała przełknąć ślinę, ale supeł w gardle uniemożliwił jej to.

"Wejść do niego?"

– Ja... nie sądzę, abym była Śniącą, Verin Sedai. Testy Anaiya Sedai...

Verin przerwała jej:

– ...niczego nie dowodzą, ani w tę stronę, ani w drugą. Anaiya wciąż wierzy, że jednak możesz się nią okazać.

– Przypuszczam, że w końcu się jednak dowiem, czy jestem nią, czy nie – wymamrotała Egwene.

"Światłości, chcę być, czyż nie? Chcę się uczyć! Chcę tego wszystkiego".

– Nie masz czasu do zmarnowania, dziecko. Amyrlin powierzyła wielkie zadanie tobie i Nynaeve. Musisz sięgnąć po każde narzędzie; jakiego będziesz w stanie używać.

Verin wyciągnęła z galimatiasu na swoim stole czerwone drewniane pudełko. Pudełko było wystarczająco duże, by pomieścić karty papieru, lecz kiedy Aes Sedai uchyliła je odrobinę, wyciągnęła zeń jedynie kamienny, rzeźbiony pierścień cały nakrapiany i paskowany błękitem, brązem oraz czerwienią i nazbyt wielki, by nosić go na palcu.

Egwene odsunęła papiery, żeby wziąć go w dłoń i oczy rozszerzyły się jej z zaskoczenia. Pierścień z całą pewnością wyglądał jak zrobiony z kamienia, ale twardszy był niż stal i cięższy od ołowiu. A powierzchnia jego obwodu była tak zmyślnie skrecona, że kiedy przesuwiała palec wzdłuż jednego brzegu, nie odrywając go, dwukrotnie mogła przesunąć wzdłuż całego obwodu, raz po stronie wewnętrznej, a raz po zewnętrznej, jakby miał tylko jeden brzeg. Aby się o tym przekonać, zrobiła to dwukrotnie.

– Corianin Nedeal – powiedziała Verin – przez większą część swego życia znajdowała się w posiadaniu tego *ter'angreal*. Teraz ty możesz go zatrzymać.

Egwene niemalże upuściła pierścień.

"*Ter'angreal*? Ja mam mieć *ter'angreal*?"

Verin zdawała się nie zauważać wstrząsu, jaki spowodowała jej propozycja.

– Według niej ułatwiał przejście do *Tel'aran'rhiod*, Twierdziła, iż działa zarówno na tych, którzy pozbawieni są talentu jak i na Aes Sedai, dopóki tylko dotykasz go, kiedy śpisz. Czyhają na ciebie oczywiście różne niebezpieczeństwa. *Tel'aran'rhiod* jest czymś innym niż zwykły sen. To, co w nim się dzieje, jest realne, przebywasz w nim naprawdę, zamiast postrzegać tylko jego przebliski. Odsunęła rękaw sukni, odsłaniając bliznę ciągnącą się przez całe przedramię. – Sama kiedyś próbowałam go użyć, kilka lat temu. Uzdrawianie, jakie zaaplikowała mi Anaiya nie działało tak jak powinno. Pamiętaj o tym.

Aes Sedai zakryła ponownie rękawem bliznę.

– Będę ostrożna, Verin Sedai.

"Rzeczywiste? Moje sny są już dosyć okropne takie, jakie są. Nie chcę żadnych snów, po których zostają blizny! Włożę go do sakwy, wetknę w jej najciemniejszy kąt i zapomnę. Ja..."

Ale przecież chciała się uczyć. Chciała zostać Aes Sedai, a żadna Aes Sedai nie była Śniącą niemalże od pięciuset lat.

– Będę bardzo ostrożna.

Wsunęła pierścień do sakwy i zaciągnęła ściśle jej sznur, potem zabrała dokumenty, które dała jej tamta.

– Pamiętaj, żeby dobrze go schować, dziecko. Żadna nowicjuszka, czy nawet Przyjęta nie powinna posiadać takiej rzeczy. Ale może się okazać użyteczny dla ciebie. Schowaj go.

– Tak, Verin Sedai.

Pamiętając o bliznie tamtej, niemalże pragnęła, aby jakaś Aes Sedai przyszła i zabrała jej go od razu.

– Dobrze, dziecko. Teraz idź już sobie. Robi się późno, a ty musisz wstać wcześniej rano, by pomóc przy śniadaniu. Spij dobrze.

Verin siedziała, wpatrując się w drzwi, które zamknęły się za Egwene. Z tyłu za nią sowa cichutko zahukała. Przysunęła bliżej czerwone pudełko, otworzyła wieko na całą szerokość i zmarszczyła czoło, spojrzawszy na zawartość, wypełniającą je niemalże całkowicie.

Strona po stronie, pokryte równym pismem, czarny atrament niemalże wcale nie wyblakł po prawie pięciuset latach. Notatki Corianin Nedeal, wszystko, czego nauczyła się podczas pięćdziesięciu lat studiów nad tym szczególnym *ter'angrealem*. Tajemnicza kobieta, ta Corianin. Swoją wiedzą nie dzieliła się z nikim, wierząc tylko tym stronicom. Jedynie przypadek i nawyk grzebania w starych papierach w bibliotece, pozwoliły Verin je odnaleźć. Na ile wiedziała, żadna Aes Sedai prócz niej nie miała pojęcia o tym *ter'angrealu*. Corianin udało się skutecznie wymazać wszelki ślad jego istnienia z zapisków.

Ponownie rozważyła spalenie tego rękopisu, tak jak przedtem długo zastanawiała się, czy dać go Egwene. Ale niszczenie wiedzy, jakiegokolwiek wiedzy, było dla niej równoznaczne z klątwą. A dla innych...

"Nie. Dużo lepiej pozostawić rzeczy takimi, jakimi są. Zdarzy się, co ma się zdarzyć. – Zatrzasnęła wieko pudełka. – A teraz, gdzie ja schowałam tę stronę?"

Marszcząc brwi, przetrząsała stosy książek i dokumentów w poszukiwaniu skórzanej teczki. Egwene dawno już przestała zaprzętać jej myśli.

ROZDZIAŁ 22

CENA PIERŚCIENIA

Egwene udało się niedaleko odejść od apartamentów Verin, kiedy natknęła się na Sheriam. Na twarzy Mistrzynie Nowicjuszek gościł grymas zatroskania.

– Gdyby ktoś nie przypomniał sobie, że rozmawiałaś z Verin, mogłabym cię nigdy nie znaleźć. – W tonie głosu Aes Sedai pobrzmiwały dosyć wyraźne nutki zdenerwowania. – Chodź ze mną, dziecko. Wszystko się przez ciebie opóźnia. Co to za papiery?

Egwene ujęła je nieco mocniej. Usiłowała swemu głosowi nadać brzmienie jednocześnie pełne potulności i szacunku.

– Verin Sedai uważa, że powinnam je przestudiować, Aes Sedai.

Co ma zrobić, jeśli Sheriam zechce je obejrzyć? Jaką wymówkę znaleźć, żeby jej odmówić, jak wyjaśnić posiadanie stronic, na których zapisano wszystko, co wiadome na temat trzynastu Czarnych Ajah i skradzionych przez nie *ter'angreali*?

Ale Sheriam, jak się zdawało, straciła wszelkie zainteresowanie dla dokumentów niemalże w tym samym momencie, w którym o nie zapytała.

– Nieważne więc. Szukamy cię, wszyscy czekają.

Wzięła Egwene za ramię i zmusiła do szybszego marszu.

– Szukamy, Sheriam Sedai? Na co czekają?

Sheriam z rozdrażnieniem potrząsnęła głową.

– Czy zapomniałaś, że masz zostać wyniesiona do godności Przyjętej? Kiedy przyjdiesz jutro do mojego gabinetu, będziesz już nosić pierścień, choć wątpię, abyś dzięki temu stała się mniej krnąbrna.

Egwene niemalże stanęła jak wryta. Aes Sedai pociągnęła ją jednak za sobą, wybierając drogę po wąskich schodach, które wiodły poprzez grube ściany biblioteki.

– Dzisiaj? Już? Ale ja ledwie trzymam się na nogach, taka jestem śpiąca, Aes Sedai, i brudna, i... Sądziłam, że odbędzie się to dopiero za kilka dni. Że zdążę się przygotować. Poczyń wszystkie niezbędne kroki.

– Godzina bije, nie czekając na żadną kobietę – odrzekła Sheriam. – Koło splata Wzór jak chce i kiedy chce. Poza tym, w jaki sposób chciałabyś się przygotować? Wiesz już wszystko, co musisz wiedzieć. Na pewno więcej, niż wiedziała twoja przyjaciółka Nynaeve.

Popchnęła Egwene przez maleńkie drzwi u podnóża schodów, spiesznie przeszła przez korytarz ku rampie wiodącej zakosami coraz niżej w dół.

– Słuchałam wykładów – zaprotestowała Egwene – i pamiętam je, ale... czy nie mogłabym się najpierw wyspać?

Ślimacznica rampy zdawała się nie mieć końca.

– Zasiadająca na Tronie Amyrlin zdecydowała, że nie ma sensu dłużej czekać. – Sheriam uśmiechnęła się półgębkiem do Egwene. – Jej słowa brzmiały dokładnie tak: "Kiedy już zdecydujesz się wypatroszyć rybę, bezcelowe jest oczekiwanie na to, aż zgnije". Elayne zapewne już przeszła przez łuki, a Amyrlin chce, abyś ty zrobiła to również dzisiejszej nocy. Nie, żeby mi się podobał taki pośpiech powiedziała na poły do siebie – ale kiedy Amyrlin rozkazuje, my jesteśmy posłuszne.

Egwene pozwoliła w absolutnym milczeniu ciągnąć się prawie w dół rampy, węzeł w jej brzuchu coraz bardziej się zaciskał. Nynaeve nawet słówkiem nie wspominała, co zdarzyło się, kiedy wynoszono ją do godności Przyjętej. W ogóle nie chciała na ten temat mówić, tylko z grymasem na

twarży oznajmiała: "Nienawidzę Aes Sedai!" Kiedy na koniec rampa skończyła się, wychodząc na szeroki hol, głęboko pod Wieżą w skalnym podłożu wyspy, Egwene niepohamowanie drżała.

Hol był urządzony surowo, całkowicie pozbawiony dekoracji, jasną skałą, w której został wydrążony, wygładzono odrobinę, poza tym jednak pozostawiono nietkniętą. Mogła dostrzec tylko jedne drzwi z ciemnego drewna, wysokie i szerokie jak brama fortecy i równie surowo odrobione, jedynie na samym ich skraju deski zostały delikatnie wygładzone i starannie dopasowane. Te ogromne drzwi były jednak tak zręcznie osadzone, że wystarczyło, iż Sheriam lekko pchnęła jedno z ich skrzydeł i już mogła pociągnąć za sobą Egwene do środka, do wielkiej, mrocznej komnaty.

– Rychło w czas! – prychnęła Elaida.

Ubrana w szal z czerwonymi frędzlami, zajęła miejsce za stołem, na którym stały trzy wielkie srebrne kielichy. LAMPY na wysokich stojakach oświetlały pomieszczenie oraz to, co znajdowało się w samym jego środku, pod sklepieniem. Trzy okrągłe, srebrne łuki, wystarczająco wysokie, by można było pod nimi przejść, wsparte na stykających się ze sobą grubych, srebrnych pierścieniach. W miejscach gdzie łuki stykały się z pierścieniami, wprost na kamiennej podłodze posadzki, siedziały ze skrzyżowanymi nogami Aes Sedai. Wszystkie miały swoje szale. Alanna była siostrą z Zielonych Ajah, ale Egwene nie rozpoznała ani Żółtej siostry, ani Białej.

Otoczone poświatą obejmowanego *saidara*, trzy Aes Sedai wpatrywały się prosto w przestrzeń pod łukami, w której jakby w odpowiedzi migotała i jaśniała podobna poświata. Ta konstrukcja, to był *ter'angreal* i niezależnie od celu, jakiemu służył w Wieku Legend, obecnie nowicjuszki przechodziły przezeń, aby zostać Przyjętymi. Wewnątrz niego Egwene stanie twarzą w twarz ze swymi strachami. Trzykrotnie. Białe światło wewnątrz przestrzeni łuków przestało migotać, trwało w nich jak zamrożone, ale wypełniało całkowicie ich przestwór, czyniąc go całkowicie nieprzezroczystym.

– Uspokój się, Elaido – powiedziała chłodno Sheriam. – Wkrótce skończymy. – Odwróciła się do Egwene. – Nowicjuszki otrzymują trzykrotną szansę przejścia go. Dwukrotnie możesz odmówić, ale za trzecim razem zostaniesz wydalona z Wieży na zawsze. Tak to się zazwyczaj robi, a ty z pewnością posiadasz prawo odmowy, nie sądzę jednak, by Zasiadająca na Tronie Amyrlin była z niej zadowolona.

– Nie powinna otrzymywać nawet tej szansy. Głos Elaidy był twardy i zimny jak żelazo, wyraz jej twarzy z trudem można by nazwać choć odrobinę bardziej łagodnym. – Nie dbam o to, jakie są jej możliwości. Powinno się ją relegować z Wieży. A jeśli już nie, to odesłać do szorowania podłóg na najbliższe dziesięć lat.

Sheriam rzuciła ostre spojrzenie Czerwonej siostrze.

– W stosunku do Elayne nie byłaś taka twarda. Zresztą sama się domagałaś, by uczestniczyć w ceremonii, Elaido... być może przez wzgląd na Elayne... i w związku z tym zmuszona jesteś wypełnić należące do ciebie obowiązki albo po prostu wyjdź stąd, a my znajdziemy kogoś innego.

Dwie Aes Sedai wpatrywały się w siebie tak długo, że Egwene nie byłaby zaskoczona, gdyby zobaczyła otaczające je nagle poświaty Jedynej Mocy. Ostatecznie jednak Elaida opuściła głowę i głośno westchnęła.

– Jeżeli ma się tak stać, niech się dzieje. Daj tej pożałowania godnej dziewczynie jej szansę odmowy i skończmy z tym. Jest późno.

– Nie odmówię poddania się próbie. – Głos Egwene drżał, ale opanowała go i uniosła głowę wysoko. – Chcę kontynuować ceremonię.

– Dobrze – powiedziała Sheriam. – Dobrze. Powiem ci teraz o dwu rzeczach, o których kobiety dowiadują się dopiero w tej komnacie. Kiedy już zaczniesz, nie wolno ci przerwać przed końcem.

Jeśli odmówisz kontynuowania próby na którymkolwiek etapie, zostaniesz wydalona z Wieży tak samo, jakbyś za trzecim razem odmówiła poddania się jej. Po drugie. Szukać, walczyć, oznacza znać niebezpieczeństwo. – Jej głos brzmiał tak, jakby mówiła już te słowa wielokrotnie. W jej oczach migotały iskierki współczucia, twarz jednak była równie surowa jak oblicze Elaidy. Zresztą współczucie przerażało Egwene znacznie bardziej niż surowość. – Niektóre kobiety wchodziły i nigdy nie wychodziły na zewnątrz. Kiedy *ter'angreal* został dezaktywowany, nie-było-ich-w-nim. I nigdy więcej ich nie widziano. Jeśli chcesz przeżyć, musisz być nieugięta. Jeżeli zawahasz się, zawiedziesz, to... – Wyraz jej twarzy w jasny sposób przekazywał nie wypowiedziane słowa. Egwene zadrżała. – To jest twoja ostatnia szansa. Odmówisz teraz i będzie się to liczyło tylko jako pierwsza rezygnacja. Wciąż będziesz mogła spróbować jeszcze dwukrotnie. Jeśli zgodzisz się, nie będzie już odwrotu. To żaden wstyd, zrezygnować. Ja sama za pierwszym razem nie byłam w stanie tego zrobić. Wybieraj.

"Nigdy nie wyszły na zewnątrz? – Egwene z trudem przełknęła ślinę. – Chcę być Aes Sedai. A najpierw muszę zostać Przyjętą".

– Zgadzam się.

Sheriam pokiwała głową.

– A więc przygotuj się.

Egwene zamrugnęła, potem przypomniała sobie. Do środka musiała wejść bez ubrania. Pochyliła się, położyła na posadzce zwinięty pakiet papierów... i zawahała się. Jeśli je tutaj zostawi, Sheriam albo Elaida, każda z nich będzie mogła je przejrzeć, podczas gdy ona znajdować się będzie wewnątrz *ter'angrealu*. Mogą ponadto znaleźć w jej sakwie mniejszy *ter'angreal*. Gdyby odmówiła poddania się próbie, mogłaby ukryć je gdzieś, najlepiej zostawić u Nynaeve. Wstrzymała dech.

"Nie mogę teraz zrezygnować. Już się zdecydowałam".

– Czy jednak zdecydowałaś się zrezygnować, dziecko? – zapytała Sheriam, marszcząc brwi. – Kiedy wreszcie zrozumiałaś, co to wszystko oznacza?

– Nie, Aes Sedai – szybko odpowiedziała Egwene.

Pośpiesznie rozebrała się i złożyła swoje rzeczy, kładąc je na sakwie i papierach. To musi wystarczyć.

Siedząca przy *ter'angrealu* Alanna powiedziała nagle:

– Pojawił się jakiś rodzaj... rezonansu. – Nawet na moment nie oderwała oczu od łuków. – Niemalże echo. Nie wiem, skąd się bierze.

– Jakiś problem? – zapytała ostro Sheriam. Ona również wydawała się zaskoczona. – Nie wyśle kobiety do środka, jeżeli będą jakieś problemy.

Egwene spojrzała tęsknie na ułożone w stos rzeczy.

"Proszę, tak. Światłości, jakiś problem. Coś, co pozwoli mi schować te dokumenty, bez jednoczesnej konieczności odmowy wejścia do środka".

– Nie – powiedziała Alanna. – To tak, jakby bitem bzyząc, latał ci dookoła głowy, kiedy próbujesz pomyśleć, ale nie ma interferencji. Nie wspominałabym o tym, gdyby nie to, że nigdy dotąd nie słyszałam o czymś takim. – Pokręciła głową. – Już zniknęło.

– Być może – powiedziała sucho Elaida – inni sądzą, że tak niewielka rzecz jest niewarta wzmianki.

– Kontynuujmy. – Ton głosu Sheriam oznajmiał, że nie będzie znosiła dłużej żadnych przerw. – Chodź.

Rzuciwszy ostatnie spojrzenie na swoje ubranie i skryte pod nim dokumenty, Egwene poszła za nią w kierunku łuków. Kamień pod bosymi stopami był zimny jak lód.

– Kogo przyprowadziłaś do nas, Siostrze? – zainonowała Elaida.

Nie przerywając odmierzonych kroków, Sheriam odpowiedziała:

– Tę, która przybyła jako kandydatka na Przyjętą, Siostrze.

Trzy Aes Sedai zgromadzone wokół *ter'angreala* nie drgnęły nawet.

– Czy jest gotowa?

– Gotowa jest zostawić za sobą to, czym była i przechodząc przez własne strachy, stać się godną Przyjęcia.

– Czy zna swe strachy?

– Nigdy nie stawiała z nimi twarzą w twarz, lecz pragnie to uczynić.

– Tedy więc pozwólmy jej napotkać to, czego się boi. Nawet pomimo uroczystego tonu, w głosie Elaidy łatwo można było dosłyszeć nutę satysfakcji.

– Pierwsza próba – powiedziała Sheriam – poświęcona jest temu, co było. Wyjście pojawi się na powrót, lecz tylko raz. Pozostań nieugięta.

Egwene wzięła głęboki oddech i postąpiła naprzód, przechodząc przez łuk i zanurzając się w poświacie. Światło pochłonęło ją całą.

– Jaim Dawtry był u nas ostatnio. Dziwne wieści przywożą handlarze z Baerlon.

Egwene podniosła głowę znad kołyski, w której huśtała dziecko. Rand stał w wejściu. Na chwilę skłoniła znowu głowę. W zadziwieniu spoglądała na przemian to na Randa "mój mąż" – to na dziecko w kołysce – "moja córka".

"Wyjście pojawi się na powrót, lecz tylko raz. Pozostań nieugięta".

Nie była to jej własna myśl, lecz bezcielesny głos, który mógł rozbrzmiewać w jej umyśle, albo gdzieś na zewnątrz, głos o niemożliwej do ustalenia przynależności, męski lub żeński, za to wyczuwalny z emocji i nierozpoznawalny. W jakiś sposób jednak nie wydał się jej obcy.

Chwila zadziwienia minęła, pozostawiając po sobie jedynie zdumienie, iż wszystko, co ją otacza, mogło wydawać się tak osobliwe. Oczywiście, że Rand jest jej mężem przystojnym, ukochanym mężem – a Joiya jej córką najpiękniejszą, najśłodszą dziewczynką w całych Dwu Rzekach. Tam, ojciec Randa wypędził owce na pastwisko, oficjalnie po to, by Rand mógł spokojnie popracować przy remoncie stodoły, w istocie zaś, aby miał więcej czasu na zabawę z Joiyą. Tego popołudnia matka i ojciec Egwene przyjadą z wioski, zapewne Nynaeve również zabierze się z nimi, żeby zobaczyć, czy macierzyństwo nie przeszkadza jej w nauce, koniecznej dla zastąpienia kiedyś tamtej w roli Wiedzącej.

– Jakie wieści? – zapytała.

Znowu zaczęła poruszać kołyską, a Rand podszedł bliżej i uśmiechnął się do małego dziecka, owiniętego w pieluszki. Egwene cicho roześmiała się w duchu. Tak był zajęty swoją córką, że przez większość czasu nie słyszał w ogóle tego, co ludzie do niego mówią.

– Rand? Jakie to wieści? Rand?

– Co? – Jego uśmiech zniknął. – Dziwne wieści. Wojna. Toczy się jakaś wielka wojna, ogarnęła już ponoć większość świata, tak przynajmniej twierdzi Jaim. – To były doprawdy dziwne wiadomości. Informacje o wojnach najczęściej docierały do Dwu Rzek dawno już po ich zakończeniu. – Powiada, że wszyscy walczą z jakimiś ludźmi nazywanymi, Shawkinami lub Sanchanami, czy coś w tym rodzaju. Nigdy o nich nie słyszałem.

Egwene wiedziała... wydawało jej się, że wie... Cokolwiek to było, minęło.

– Czy dobrze się czujesz? – zapytał. – Tutaj nie powinniśmy się niczym przejmować, moja

kochana. Wojny nigdy nie docierają do Dwu Rzek. Zbyt daleko znajdujemy się od wszystkiego, by ktokolwiek się o nas troszczył.

– Nie przejmuję się. Czy Jaim powiedział coś jeszcze?

– Nic takiego, w co można by wierzyć. Mówił takie rzeczy, jakie zwykle wychodzą z ust Coplinów. Powiadał, że od handlarza dowiedział się ponadto, iż ci ludzie używają w bitwach Aes Sedai, jednocześnie jednak zarzekał się, że proponują tysiąc złotych marek każdemu, kto wyda w ich ręce Aes Sedai. I zabijają wszystkich, którzy udzielają im schronienia. To nie ma sensu. Cóż, my i tak nie mamy się czym przejmować. Cała ta sprawa rozgrywa się daleko, daleko stąd.

Aes Sedai. Egwene przyłożyła dłoń do czoła.

"Wyjście pojawia się tylko raz. Pozostań nieugięta".

Spostrzegła, że Rand również trzyma się za głowę.

– Boli? – zapytała.

Przytaknął, oczy zwęziły mu się w szparki.

– Ten proszek, który dała mi Nynaeve, od kilku dni nie przynosi ulgi.

Zawahała się. Martwiły ją te jego bóle głowy. Stawały się za każdym razem coraz silniejsze. A najgorsze z tego było coś, czego zrazu nie dostrzegła, a teraz niemalże żałowała, że w ogóle o tym wie. Kiedy Randa bolała głowa, wkrótce potem zdarzały się dziwne rzeczy. Błyskawica z jasnego nieba, rozbijająca na drzazgi ten potężny pniak dębu, nad którego wykorzenieniem biedził się przez dwa dni, kiedy wraz z Tamem postanowili oczyścić teren pod nowe pole. Burze, których Nynaeve nie zdołała przepowiedzieć, gdy wsłuchiwała się w to, co mówi wiatr. Szaleńcze pożary w lesie. A im gorszy stawał się jego ból, tym straszniejsze rzeczy następowały potem. Egwene wdzięczna była przynajmniej za to, że nikt poza nią nie łączył tych rzeczy z Randem, nawet Nynaeve nie przyszło to do głowy. Nie chciała nawet myśleć o tym, co to właściwie może oznaczać.

"Takie postępowanie to najczystsza głupota" – przekonywała się. – Muszę wiedzieć, jeżeli mam mu pomóc".

Ponieważ sama również chowała tajemnicę w swym sercu, tajemnicę, która przerażała ją równie mocno, gdy zastanawiała się, próbując dociec, co się z nią dzieje. Nynaeve uczyła ją o ziołach, uczyła ją, jak stać się Wiedzącą, co miało nastąpić pewnego dnia. Kuracje Nynaeve często działały w cudowny niemalże sposób, rany goiły się, pozostawiając ledwie widoczne blizny, śmiertelnie chorzy powracali do zdrowia, niemalże stojąc wcześniej jedną nogą w grobie. Ale trzykrotnie Egwene udało się uleczyć kogoś, komu nawet tamta nie dawała szans przeżycia. Trzy razy siedziała przy łóżku umierającego, trzymając go za rękę w tej ostatniej godzinie, a potem patrzyła, jak człowiek podnosi się z łoża śmierci. Nynaeve wypytywała ją dokładnie, czego właściwie dokonała, jakich ziół użyła, w jakiej mieszance. Jak dotąd nie zdobyła się na odwagę, by przyznać, że nie zrobiła właściwie niczego.

"Muszę coś z tym zrobić. Jeden raz to mógł być przypadek, ale trzykrotnie... Muszę wykryć, o co w tym wszystkim chodzi. Muszę się dowiedzieć. – Ta myśl wywołała jakieś dziwne brzęczenie w jej głowie, jakby słowa odbiły się echem po wnętrzu czaszki. – Jeśli będę w stanie coś dla nich zrobić, będę też mogła pomóc mojemu mężowi".

– Pozwól mi spróbować, Rand – powiedziała.

A kiedy wstała, przez otwarte drzwi zobaczyła srebrny łuk stojący przed wejściem do domu, łuk wypełniony białym światłem.

"Wyjście pojawi się, lecz tylko raz. Pozostań nieugięta".

Przeszła dwa kroki w kierunku drzwi, zanim się opamiętała.

Zatrzymała się, spojrzała do tyłu na Joię gaworzącą w kołysce, na Randa wciąż

przyciskającego dłonie do czoła i spoglądającego na nią w zdumieniu, jakby pytającego, dokąd się właściwie wybiera.

– Nie – zaprotestowała. – Nie. To jest właśnie to, czego pragnę. To jest to, czego chcę!

Dlaczego tego również nie mogłabym mieć?

Nie rozumiała swoich własnych słów. Oczywiście, że tego właśnie pragnęła i miała to.

– Czego ty chcesz, Egwene? – zapytał Rand. – Jeżeli jest coś, co mógłbym zdobyć, wiesz, że to zrobię. A jeśli nie będę w stanie tego zdobyć, wówczas skonstruuje to.

"Wyjście pojawi się, lecz tylko raz. Pozostań nieugięta".

Postąpiła następnym krokiem w kierunku drzwi. Srebrny łuk wzywał ją. Coś czekało po jego drugiej stronie. Coś, czego pragnęła bardziej niż cegokolwiek innego na świecie. Coś, co musiała zrobić.

– Egwene, ja...

Usłyszała za sobą łomot. Spojrzała przez ramię i zobaczyła Banda na kolanach, trzymającego obu rękami pochyloną ku ziemi głowę. Ból nigdy nie torturował go tak strasznie.

"A co będzie później?"

– Och, Światłości! – Łkał urywanym głosem. Światłości! Boli! Światłości, boli bardziej niż kiedykolwiek! Egwene?

"Pozostań nieugięta".

Łuk czekał. Miała coś do zrobienia. Musiała coś zrobić. Musiała. Zrobiła kolejny krok. To było trudne, trudniejsze niż wszystko, co dotąd robiła w życiu. Na zewnątrz, do łuku. Za nią Joiya roześmiała się.

– Egwene? Egwene? Nie mogę... – Jego głos urwał się w głębokim jęku.

"Nieugięta".

Z naprężonymi mięśniami karku wciąż szła, ale nie mogła powstrzymać łez, które spływały jej po twarzy. Jęki Banda zamieniły się w wycie, tłumiąc śmiech Joiyi. Kątem oka Egwene dostrzegła Tama, biegnącego co sił w nogach.

"On nie będzie w stanie mu pomóc – pomyślała i łzy spływające po policzkach przeszły w gwałtowny szloch. On nic nie może zrobić dla niego. Ale ja mogę. Potrafiłabym".

Weszła w światło i została pochłonięta.

Trzęsąc się i łkając, Egwene wyszła z przestrzeni łuku, tego samego, przez który uprzednio weszła. Na widok twarzy Sheriam pamięć powróciła ulewą wspomnień. Chłodna, czysta woda zmyła jej łzy, kiedy Elaida powoli opróżniła srebrny kielich na jej głowę. Nie mogła jednak powstrzymać płaczu, wydawało jej się, że nie przestanie już nigdy.

– Zostajesz oczyszczona – zaintonowała Elaida – z grzechów, których mogłaś się dopuścić i z tych, których dopuszczono się przeciwko tobie. Zostajesz oczyszczona ze zbrodni, które mogłaś popełnić i z tych, które popełniono przeciw tobie. Przychodzisz do nas obmyta i czysta na sercu i duszy.

"Światłości – myślała Egwene, kiedy woda spływała po jej ciele – żeby tak było. Czy woda może zmyć to, co zrobiłam?"

– Miała na imię Joiya – powiedziała do Sheriam, pomiędzy kolejnymi wybuchami łkania. – Joiya. Nic nie jest warte tego, co właśnie... co ja...

– Trzeba zapłacić cenę za zostanie Aes Sedai – odpowiedziała Sheriam, ale w jej oczach ponownie pojawiło się współczucie, silniejsze nawet niż poprzednio. – Za wszystko się płaci.

– Czy to było prawdziwe? Czy tylko o tym śniłam? – Reszta tego, co chciała powiedzieć,

utonęła w kolejnym wybuchu płaczu.

"Czy zostawiłam go na śmierć? Czy opuściłam moje dziecko?"

Sheriam położyła jej dłoń na ramieniu i poprowadziła ją do następnego łuku.

– Każda kobieta, ze wszystkich, które widziałam wychodzące stąd, zadawała to samo pytanie. Odpowiedź jest taka, że w istocie nikt tego nie wie. Spekulowano, że być może te, które nie wróciły, postanowiły zostać, albowiem znalazły bardziej szczęśliwe miejsca i przeżyły w nich swe żywoty. – Jej głos stwardniał. – Jeśli jest to prawdziwe i zostały tam z własnego wyboru, to mam nadzieję, że życie, jakie tam wiodą, dalekie jest od szczęścia. Nie żywię sympatii dla nikogo, kto ucieka przed spoczywającą na nim odpowiedzialnością. – Nagle w tonie jej głosu pojawiły się cieplejsze nutki. – Jeśli o mnie chodzi, nie sędzę, by to wszystko było rzeczywistością. Ale niebezpieczeństwo jest jak najbardziej realne. Pamiętaj o tym.

Zatrzymała się przed kolejnym łukiem wypełnionym lśniąca poświatą.

– Czy jesteś gotowa?

Niespokojnie szurając nogami, Egwene skinęła głowi a Sheriam zdjęła dłoń z jej ramienia.

– Druga próba poświęcona jest temu, co jest. Wyjście pojawi się, lecz tylko raz. Pozostań nieugięta.

Egwene zadrżała.

"Cokolwiek się stanie, nie może być gorsze od tego, co było. Nie może być".

Weszła w poświatę.

Patrzyła na swoją suknię z błękitnego jedwabiu naszywanego perłami, całą zakurzoną i podartą. Podniosła głowę i objęła wzrokiem otaczające ją ruiny wielkiego pałacu. Pałac Królewski w Andorze, w Caemlyn. Zrozumiała to i zachciało jej się krzyczeć.

"Wyjście pojawi się, lecz tylko raz. Pozostań nieugięta".

Świat nie był taki, jakim pragnęła go widzieć, nie było sposobu, żeby mogła myśleć o nim i nie płakać, ale wszystkie łzy wypłakała już dawno temu, a świat był taki, jaki był. Ruiny to była jedyna rzecz, jaką spodziewała się w nim znaleźć.

Nie dbając o kolejne rozdarcia w swej sukni, ale skradając się cichutko jak myszka, wspięła się na jeden ze stosów gruzu i spojrzała na kręte ulice Wewnętrznego Miasta. Gdzie tylko mogła sięgnąć okiem, we wszystkich kierunkach rozciągały się ruiny i zgliszcza, budynki wyglądające, jakby szalenciec rozerwał je na strzępy, grube chmury dymu unosiły się nad wciąż szalejącymi pożarami. Po ulicach chodzili ludzie, bandy uzbrojonych mężczyzn polowały na zdobycz, szukały łatwych ofiar. Ludzie trzymali się z dala od trolloków, a trolloki warczały na nich i śmiały się ochryplym gardłowym śmiechem. Ale znali się nawzajem, działali razem.

Po ulicy kroczył Myrddraal, czarny płaszcz kołysał się lekko w rytm kroków, choć obok niego wiatr podrywał do góry kurz i śmieci. I ludzie, i trolloki kulili się pod bezokim spojrzeniem.

– Ścigać! – Jego głos brzmiał, jakby coś dawno już martwego rozsypywało się w proch. – Nie stać tutaj, trzęsąc się! Znaleźć go!

Egwene ześlizgnęła się z hałdy potrzaskanych kamieni tak cicho, jak tylko potrafiła.

"Wyjście pojawi się, lecz tylko raz. Pozostań nieugięta".

Zatrzymała się przerażona, że ten szept wydał z siebie jakiś Pomiot Cienia. W pewien sposób jednak była pewna, że tak nie jest. Obejrzała się przez ramię, niemalże obawiając się, że zobaczy Myrddraala stojącego w miejscu, w którym znajdowała się przed chwilą, potem szybko zanurzyła się w ruinach pałacu, wspięła na strzaskane belki, prześlizgując się pomiędzy ciężkimi blokami murów.

Znała już drogę. Raz nadepnęła na kobiece ramię sterczące spod hałdy gipsu i cegieł, które kiedyś stanowiły wewnętrzną ścianę i zapewne część sufitu. Nie poświęciła temu zdarzeniu więcej uwagi niż pierścieniowi z Wielkim Wężem, który nosiła na palcu. Wyćwiczyła się już w niedostrzeganiu ciał pogrzebanych w stercie gruzów, w jaką trolloki i Sprzymierzeńcy Ciemności zamienili Caemlyn. Dla zmarłych nie mogła już zrobić nic.

Przepychając się przez wąską szczelinę, która powstała tam, gdzie spadła część sufitu, weszła do komnaty na poły pogrzebanej przez upadek wyższego piętra. Rand leżał pod ciężką belką, przygniatającą jego biodra, nogi znajdowały się w stosie kamiennych bloków, wypełniających połowę pomieszczenia. Kurz i pot pokrywały jego twarz. Kiedy podeszła bliżej, otworzył oczy.

– Wróciłaś. – Słowa wydobywały się z jego gardła w postaci ochryplego zgrzytu. – Obawiałem się... Nieważne. Musisz mi pomóc.

Osunęła się bezwładnie na podłogę.

– Przy pomocy Powietrza z łatwością mogę unieść tę belkę, ale wówczas całe to rumowisko osunie się na ciebie. Na nas oboje. Nie jestem w stanie dać sobie rady z oboma rzeczami naraz.

Jego śmiech był gorzki i przepelniony bólem, uciął go jak nożem niemalże zaraz po tym, jak zaczął się śmiać. Świeży pot błyszczał na jego twarzy, mówił z wysiłkiem.

– Sam mogę przesunąć tę belkę. Wiesz dobrze. Mogę przesunąć ją i przywalające ją kamienie, wszystko. Ale po to, by tego dokonać muszę wyjść z siebie, a temu nie mogę zaufać. Nie mogę zaufać...

Przerwał, ze świstem wciągając powietrze.

– Nie rozumiem – powiedziała powoli. – Wyjść z siebie? Czemu nie możesz zaufać?

"Wyjście pojawi się, lecz tylko raz. Pozostań nieugięta".

Potarła mocno uszy dłońmi.

– Szaleństwu, Egwene. W-tej-chwili-trzymam-je-zamknięte. – Jego urywany śmiech spowodował, że dostała gęziej skórki. – Ale to zabiera mi wszystkie siły, które posiadam. Jeżeli popuszczę, choćby odrobinę, choćby na moment, szaleństwo zdobędzie nade mną władzę. I wtedy nie wiadomo, do czego będę zdolny. Ty musisz mi pomóc.

– Jak, Rand! Próbowałam wszystkiego, co wiem. Powiedz mi jak, a ja to zrobię.

Wyciągnął dłoń, ale nie dosięgnął nią leżącego w pyłe obnażonego sztyletu.

– Sztylet – wyszeptał. Jego ręka podjęła bolesną wędrówkę z powrotem ku piersiom. – Tutaj. W serce. Zabij mnie.

Spoglądała to na niego, to na sztylet, jakby jedno i drugie było jadowitym wężem.

– Nie! Rand, nie zrobię tego. Nie mogę! Jak możesz prosić mnie o coś takiego?

Powoli jego dłoń znów zaczęła skradać się w stronę sztyletu. Znowu zabrakło mu trochę. Napinał się, jęczał, musnął go wreszcie koniuszkiem palca. Zanim zdołał spróbować ponownie, odkopnęła sztylet daleko poza zasięg jego dłoni. Łkając, zapadł się w siebie.

– Powiedz mi, dlaczego – zażądała wyjaśnień. Dlaczego prosisz mnie bym... cię zamordowała? Uzdrowię cię, zrobię wszystko, aby cię stąd wyciągnąć, ale nie jestem w stanie cię zabić. Dlaczego?

– Oni mnie odmieniają, Egwene.

Jego oddech był tak udręczony, że chciała zapłakać, ale już nie mogła.

"Nie umiem już nawet płakać".

– Jeśli mnie pochwyć... Myrddraale, Władcy Strachu... zmuszą mnie do przejścia na stronę Cienia. Jeżeli opanuje mnie szaleństwo, nie będę w stanie z nimi walczyć. Nie będę wiedział, co robią, dopóki nie będzie już za późno. Jeśli pozostanie we mnie choćby iskierka życia, kiedy mnie znajdą, wciąż będą mogli to ze mną zrobić. Proszę, Egwene. Na miłość Światłości. Zabij mnie.

– Ja... ja nie mogę, Rand. Światłości, pomóż mi, nie mogę!

"Wyjście pojawi się, lecz tylko raz. Pozostań nieugięta".

Spojrzała przez ramię i zobaczyła srebrny łuk wypełniony białym światłem. Zajmował większość przestrzeni nie zawałonej gruzem.

– Egwene, pomóż mi.

"Pozostań nieugięta".

Wstała i postąpiła krok w kierunku łuku. Był tutaj, wprost przed nią. Jeden krok więcej i...

– Proszę, Egwene. Pomóż mi. Nie mogę go dosięgnąć. Na miłość Światłości, Egwene, pomóż mi!

– Nie potrafię cię zabić – wyszeptała. – Nie mogę. Przebac mi.

Postąpiła krok naprzód.

– POMÓŻ MI, EGWENE!

Światło spaliło ją na popiół.

Zataczając się, wyszła z przestrzeni łuku, nie zwracając uwagi na swą nagość. Przeszył ją zimny dreszcz, przycisnęła obie dłonie do ust.

– Nie mogłam, Rand – wyszeptała. – Nie potrafiłam. Proszę wybac mi.

"Światłości pomóż mu. Błagam, Światłości pomóż Randowi".

Chłodna woda zmoczyła jej głowę.

– Zostajesz oczyszczona z fałszywej dumy – zaintonowała Elaida. – Zostajesz oczyszczona z fałszywych ambicji. Przychodzisz do nas obmyta i czysta, na sercu i duszy.

Kiedy Czerwona siostra odwróciła się, Sheriam delikatnie ujęła Egwene za ramię i poprowadziła w kierunku ostatniego łuku.

– Jeszcze jeden, dziecko. Jeszcze jeden i koniec.

– Powiedział, że zmuszą go do przejścia na stronę Cienia – wymamrotała Egwene. – Powiedział, że Myrddraale i Władcy Strachu potrafią tego dokonać.

Sheriam potknęła się i szybko rozejrzała dookoła. Elaida znajdowała się dość daleko, niemalże przy samym stole. Aes Sedai otaczające *ter'angreal* wpatrywały się weń, wy. dając się nie zwracać uwagi na nic innego.

– Przykry temat do rozmów, dziecko – powiedziała na koniec łagodnym głosem Sheriam. – Chodź. Jeszcze jeden.

– Mogą? – nalegała Egwene.

– Zwyczajem jest – zwróciła jej uwagę Sheriam aby nie mówić o tym, co zdarzyło się wewnątrz *ter'angreala*. Strachy, które nawiedzają każdą kobietę, są jej wyłączną własnością.

– Mogą?

Sheriam westchnęła, ponownie spojrzała na pozostałe Aes Sedai, potem zniżyła głos do cichego szeptu i powiedziała szybko:

– To jest rzecz, o której niewiele wie, dziecko, nawet w samej Wieży. Nie powinnaś się o tym teraz dowiadywać, jeśli w ogóle kiedykolwiek, ale powiem ci. Jest... pewna słabość, powiązana ze zdolnością do przenoszenia. To, że uczymy się otwierać na Prawdziwe Źródło znaczy, że możemy zostać... otwarte na inne również rzeczy. – Egwene zadrżała. – Uspokój się, dziecko. Tak łatwo nie da się tego osiągnąć. O ile wiem, nie zdarzyło się to... a Światłości spraw, by nie zdarzyło się nigdy... od czasów wojen z trollokami. Potrzebnych było do tego trzynastu Władców Strachu, a więc Sprzymierzeńców Ciemności, którzy potrafią przenosić, splatających strumienie poprzez trzynastu

Myrddraali. Widzisz? Nie tak łatwo tego dokonać. Dzisiaj nie ma już Władców Strachu. Powierzyłam ci tajemnicę Wieży, dziecko. Gdyby inni dowiedzieli się o tym, nigdy nie przekonaliśmy ich, że są bezpieczni. Tylko tego, który potrafi przetrwać można w ten sposób odmienić. Taka jest słabość ukryta w naszej sile. Wszyscy pozostali są równie niezdobyci jak fortece, tylko ich własne czyny i wybory mogą spowodować, że przejdą na stronę Cienia.

– Trzynastu – powiedziała Egwene słabym głosem. – Taka sama liczba kobiet opuściła Wieżę. Liandrin i dwanaście współpracowników.

Wyraz twarzy Sheriam stwardniał.

– To nie jest coś, o czym powinnaś rozmyślać. Masz o tym zapomnieć. – Ton jej głosu wzniósł się do normalnego poziomu. – Trzecia próba poświęcona jest temu, co będzie. Wyjście pojawi się na powrót, lecz tylko raz. Pozostań nieugięta.

Egwene wpatrywała się w jaśniejący łuk, patrzyła gdzieś w dal poza nim.

"Liandrin i dwanaście innych. Trzynastu Sprzymierzeńców Ciemności, którzy potrafią przetrwać. Światłości, pomóż nam wszystkim".

Weszła w światło. Wypełniło ją. Prześwietliło ją. Przepaliło do kości, zarem odsłaniając duszę. Rozbłysła fleszem w świetle.

"Światłości, pomóż mi!"

Nie było już nic, tylko światło. I ból.

Egwene spojrzała w stojące lustro i nie była pewna, czy bardziej zaskoczyła ją pozbawiona wieku gładkość twarzy, czy paskowana stuła otaczająca kark. Stuła Zasiadającej na Tronie Amyrlin.

"Wyjście pojawi się na powrót, lecz tylko raz. Pozostań nieugięta".

"Trzynastu".

Zachwiała się, schwyciła lustro i omal nie upadła razem z nim na wykładaną błękitnymi płytami posadzkę swej garderoby.

"Coś jest nie tak – pomyślała".

Poczucie tego, że coś źle się dzieje nie miało nic wspólnego z chwilowym zawrotem głowy, a przynajmniej nie w nim wyczuwała zapach zła. To chodziło o coś innego. Nie miała jednak pojęcia, o co.

Przy jej boku stała Aes Sedai, kobieta z wystającymi kośćmi policzkowym, jak Sheriam, ale o ciemnych włosach i zatroskanych brązowych oczach, nosząca na ramionach szeroką na dłoń stułę strażniczki. A więc nie Sheriam. Egwene nigdy dotąd jej nie widziała, pewna jednak była, że zna ją równie dobrze jak samą siebie. Z wahaniem dopasowała imię do twarzy. Beldeine.

– Jesteś chora, Matko?

"Jej stuła jest zielona. To znaczy, że została wyniesiona z Zielonych Ajah. Strażniczka zawsze pochodzi z tych samych Ajah, co Amyrlin, której służy. To znaczy, że jeśli ja jestem Amyrlin... jeśli? ...wówczas również jestem Zieloną Ajah".

Ta myśl wstrząsnęła nią. Nie to, że była Zieloną Ajah, ale że musiała się tego domyślać.

"Światłości, coś jest źle ze mną".

"Wyjście pojawi się na powrót, le..."

Głos w jej głowie zanikł, przechodząc w jakieś brzęczenie.

"Trzynastu Sprzymierzeńców Ciemności".

– Czuję się dobrze, Beldeine – odpowiedziała tamtej. Imię dziwnie zabrzmiało w jej ustach, jakby wypowiadała je regularnie od wielu lat. – Nie możemy pozwolić im czekać.

"Komu pozwolić czekać?"

Nie wiedziała, wyjąwszy to, że zakończenie tego oczekiwania przepęłniało ją nieskończonym smutkiem i bezkresną niechęcią.

– Staną się niecierpliwe, Matko. – W głosie Beldeine zabrzmiało wahanie, jak gdyby czuła tę samą niechęć co Egwene, ale z odmiennych powodów. O ile Egwene nie myliła się, pod maską okazywanego spokoju, Beldeine była przerażona śmiertelnie.

– W takim razie, lepiej będzie jak już pójdziemy.

Beldeine pokiwała głową i wzięła głęboki wdech, zanim przekroczyła dywan i podeszła do miejsca, gdzie obok drzwi stało jej berło, symbol urzędu, zwieńczone śnieżnym płatkami Płomienia Tar Valon.

– Przypuszczam, że musimy, Matko.

Wzięła berło i otworzyła drzwi przed Egwene, potem pośpieszyła naprzód tak, że stworzyły dwuosobową procesję – Strażniczka Kronik prowadząca Zasiadającą na Tronie Amyrlin.

Egwene nie zwróciła najmniejszej uwagi na korytarze, które przemierzyły. Skupiona była na oczekującej ją sytuacji.

"Co się dzieje ze mną? Dlaczego nie mogę sobie niczego przypomnieć? Dlaczego jest tak bardzo... że niemalże pamiętam źle? – Dotknęła stuły z siedmioma pasami, zwisającej jej z ramion. – Dlaczego jestem na poły przekonana, iż ciągle jestem nowicjuską?"

"Wyjście pojawi się na powrót, lecz tylko ra..."

Tym razem głos zamarł jak ucięty nożem.

"Trzynaście Czarnych Ajah".

Potknęła się. Myśl była nieprzyjemna, ale przeszła ją mrozem do szpiku kości. Czuła, że to dotyczy jej... osobiście. Miała ochotę krzyczeć, uciekać, skryć się gdzieś.

"Nonsens. Czarne Ajah zostały wyniszczone".

Ta myśl również wydawała się dziwna. Jakaś jej część pamiętała coś, co nazywano Wielką Czystką. Inna część pewna była, że nic takiego nie miało miejsca.

Mając wzrok utkwiony przed siebie, Beldeine nie zauważyła jej potknięcia. Egwene musiała wydłużyć krok, żeby tamtą dogonić.

"Ta kobieta jest przerażona aż do bólu. Dokąd, na Światłość, ona mnie zabiera?"

Beldeine zatrzymała się przed wysokimi, dwuskrzydłowymi drzwiami, ich czarne drewno inkrustowane było dużym, srebrnym Płomieniem Tar Valon. Zanim otworzyła drzwi, wytarła dłonie o suknię, jakby nagle pokryły się potem i poprowadziła Egwene po prostej rampie, wykonanej z tego samego, żyłkowanego srebrem kamienia, z którego zrobiono mury Tar Valon. Nawet tutaj wydawał się lekko Lśnić.

Rampa prowadziła do wielkiej, kolistej komnaty o sklepieniu wysokim na co najmniej trzydzieści kroków. Podniesiona platforma otaczała zewnętrzną ścianę pomieszczenia, schodząc w dół schodami we wszystkich miejscach, w których rampa, po której szły, oraz dwie inne, równomiernie dzielące komnatę, dochodziły do niej. Płomień Tar Valon znajdował się pośrodku posadzki, otaczały go rozszerzające się spirale kolorów, barw siedmiu Ajah. Po przeciwnej stronie komnaty, gdzie rampa wchodziła do środka, stał fotel o wysokim oparciu, ciężki i zdobnie rzeźbiony w liście oraz owoce winorośli, pokryty barwami wszystkich siedmiu Ajah.

Beldeine uderzyła gwałtownie laską w podłogę. W jej głosie słychać było wyraźne drżenie.

– Oto nadchodzi. Strażniczka Pieczęci. Płomień Tar Valon. Zasiadająca na Tronie Amyrlin. Oto nadchodzi.

Kobiety w szalach zasiadające na platformie, wśród szelestu sukien powstały ze swych krzesel.

Dwadzieścia jeden krzesel stało zgrupowanych po trzy, siedziska każdej triady pomalowano i obito w kolorach frędzli na szalach stojących przed nimi kobiet.

"Komnata Wieży – myślała Egwene, idąc po posadzce do swego fotela. Tron Zasiadającej na Tronie Amyrlin. To wszystko, czym jest. Komnata Wieży i Przedstawicielki wszystkich Ajah. Byłam tutaj tysiące razy. – Ale nie mogła sobie przypomnieć choćby jednego razu. – Co ja robię w Komnacie Wieży? Światłości, jeśli zobaczą, obedną mnie żywcem ze skóry..."

Nie wiedziała dokładnie, co niby miałyby zobaczyć, modliła się tylko, żeby tak się nie stało.

"Wyjście pojawi się na powrót, lecz..."

"Wyjście pojawi się..."

"Wyjście..."

"Czarne Ajah czekają".

Na tym się wreszcie skończyło. Głos dochodził zewsząd. Dlaczego nikt poza nią zdawał się go nie słyszeć?

Zajmując miejsce Zasiadającej na Tronie Amyrlin fotel również nazywał się Tronem Amyrlin – zdała sobie sprawę, że nie ma pojęcia, co robić dalej. Pozostałe Aes Sedai również usiadły, kiedy ona zajęła swe miejsce, wszystkie prócz Beldeine, która stanęła obok, trzymając w dłoni laskę i nerwowo przełykając ślinę. Wszystkie zdawały się na nią czekać.

– Rozpocznijmy – powiedziała na koniec.

Wyglądało na to, że to wystarczy. Wstała jedna z Czerwonych Sióstr. Egwene przeżyła wstrząs, gdy rozpoznała Elaidę. W tej samej chwili zrozumiała, że Elaida jest pierwszą pośród Przedstawicielek Czerwonych i jej najbardziej zagorzałym wrogiem. Spojrzenie na jej twarz, kiedy tamta patrzyła w poprzek komnaty, spowodowało, że Egwene aż zadrżała w środku. Wyraz jej oblicza był surowy i zimny... i zwycięski. Obiecywał rzeczy, o których lepiej nie myśleć.

– Wprowadźcie go – rozkazała głośno Elaida.

Z jednej z ramp, nie tej po której zeszła Egwene, rozległ się stukot butów po kamieniach. Pojawili się ludzie. Tuzin Aes Sedai otaczał trzech mężczyzn; dwaj z nich – krzepcy gwardziści z białymi łzami Płomienia Tar Valon na piersiach – prowadzili w łańcuchach trzeciego, który słał się jak oszołomiony.

Egwene rzuciła się naprzód w swym fotelu. Człowiek w łańcuchach to był Rand. Z półprzymkniętymi oczyma i zwieszoną głową wydawał się nieomal spać. Szedł tylko tam, gdzie ciągnęły go łańcuchy.

– Ten człowiek – ogłosiła Elaida – mieni się Smokiem Odrodzonym. – Powietrze wypełnił szmer niesmaku, nie jakby słuchacze byli zaskoczeni, ale jakby nie było to coś, co chcieli usłyszeć. – Ten człowiek przenosił Jedyną Moc. – Szmer głosów stał się głośniejszy, niesmak zabarwiony przestrawieniem. – Jest za takie coś tylko jedna kara, uznana i przyjęta przez wszystkie ludy, ale ogłaszana jedynie tutaj, w Tar Valon, w Komnacie Wieży. Wzywam Zasiadającą na Tronie Amyrlin do wydania wyroku poskromienia na tego człowieka.

Oczy Elaidy lśniły, gdy wbijała wzrok w twarz Egwene.

"Co ja mam zrobić? Światłości, co ja mam zrobić?"

– Dlaczego się wahasz? – domagała się odpowiedzi Elaida. – Wyrok ten ogłaszano od trzech tysięcy lat. Dlaczego się wahasz, Egwene al'Vere?

Jedna z Zielonych Przedstawicielek poderwała się na równe nogi, spod zewnętrznego spokoju przeświecał gniew.

– Wstyd, Elaido! Ukaż szacunek dla Tronu Amyrlin! Ukaż szacunek Matce!

– Szacunek – odrzekła chłodno Elaida. – może zostać stracony równie łatwo jak zdobyty. Cóż,

Egwene? Czy może być, że okazujesz wreszcie swą słabość, niedostosowanie do wymogów zajmowanego urzędu? Czy może być, że nie wydasz wyroku na tego człowieka?

Rand usiłował unieść głowę, ale nie powiodło mu się.

Egwene z wysiłkiem podniosła się z krzesła, kręciło jej się w głowie, usiłowała nie zapominać o tym, że jest Zasiadającą na Tronie Amyrlin z władzą rozkazywania tym kobietom, ale coś w niej krzyczało, iż jest jedynie nowicjuską, że nie należy do tego miejsca, że coś jest straszliwie nie tak.

– Nie – powiedziała drżącym głosem. – Nie, nie mogę! Nie zrobię...

– Sama się zdradziła! – Krzyk Elaidy zdławił nieśmiałe próby Egwene, by dojść do głosu. – Swymi własnymi słowy potępiła się! Brać ją!

Kiedy Egwene otworzyła usta, Beldeine przysunęła się bliżej niej. Potem laska strażniczki uderzyła ją w głowę.

Ciemność.

Najpierw poczuła ból głowy. Pod plecami coś twardego i zimnego. Następnie usłyszała głosy. Mamrotanie.

– Czy wciąż jest nieprzytomna? – To był nie głos, a zgrzyt, jak pilnikiem po kości.

– Nie martw się – powiedział kobiecy głos z bardzo, bardzo daleka. Brzmiał tak, jakby jego właścicielka była niespokojna, przestraszona, ale starała się ukryć obie te rzeczy. – Zajmiemy się nią, zanim zrozumie, co się w ogóle stało. Teraz jest nasza, możemy robić z nią, co nam się żywnie podoba. Być może oddamy ją wam do zabawy.

– Po tym jak wykorzystacie ją dla siebie.

– Oczywiście.

Odległe głosy odsunęły się jeszcze dalej.

Dłonią musnęła nogę, dotknęła nagiej, jakby nierównej skóry. Uchyliła odrobinę oczy. Była naga, potłuczona, leżała na nie wygładzonym drewnianym stole, który postawiono wewnątrz czegoś, co wyglądało na nie używany magazyn. Drzazgi wbijały jej się w plecy. W ustach czuła metaliczny posmak krwi.

Gromadka Aes Sedai stała pod jedną ścianą pokoju, rozmawiając ze sobą głosami ściszonymi, lecz pełnymi napięcia. Ból łomoczący w głowie nie pozwalał się skupić, ale wydało się konieczne, by je policzyć. Trzynaście.

Do Aes Sedai przyłączyła się grupa zakapturzonych ludzi w czarnych płaszczach, kobiety wydawały się rozdarte pomiędzy chęcią skulenia się a pragnieniem dominacji nad amtyami. Jeden z mężczyzn odwrócił się, by spojrzeć w stronę stołu. Martwa, biała twarz pod kapturem nie miała oczu.

Nie było potrzeby, by liczyć Myrddraali. Wiedziała. Trzynastu Myrddraali i trzynaście Aes Sedai. Nie myśl dłużej, wrzasnęła zdjeta czystym przerażeniem. Jednak na wet zalewający ją strach, który niemalże rozłupywał kości nie powstrzymał jej przed sięgnięciem do Prawdziwego Źródła, przed rozpaczliwym pochwyceniem *saidara*.

– Obudziła się!

– Nie mogła! Jeszcze nie!

– Zasłonić ją! Szybko! Szybko! Odetnijcie ją od Źródła!

– Za późno! Jest zbyt silna!

– Łapać ją! Szybko!

Ręce sięgnęły po jej ramiona i nogi. Ciastowate, blade ręce jak robaki spod kamieni, kierowane przez umysły skryte za białymi, bezokimi twarzami. Jeśli te ręce dotkną jej skóry, to na pewno oszaleje. Wypełniła ją Moc.

Skóra Myrddraali buchnęła płomieniami, które przepaliły czarne płaszcze niczym masywne sztylety ognia. Kurczący się Półludzie trzeszczeli i płonęli jak natłuszczony papier. Kawałki kamienia wielkości pięści odrywały się od ścian i ze świstem przelatywały przez pomieszczenie, zatapiając się w ciałach z głuchymi młaśnięciami tępych uderzeń. Powietrze wirowało, łopotało i wyło w miniaturowym tajfunie.

Obolała Egwene powoli zsunęła się ze stołu. Wiatr zburzył jej włosy i spowodował, że zachwiała się na nogach, jednak zataczając się, nieprzerwanie parła naprzód, aż dotarła do drzwi. Przed nią wyłoniła się sylwetka Aes Sedai, zmaltretowanej i krwawiącej, otulonej w poświatę Mocy. W jej oczach dostrzegła śmierć.

Pamięć Egwene przypisała imię do twarzy. Gyldan. Najbliższa powiernica Elaidy, zawsze szepcząca z nią razem po kątach, zamykająca się z nią w nocy. Egwene zacisnęła usta. Lekceważąc kamienie i wiatr, zacisnęła pięść i uderzyła Gyldan pomiędzy oczy tak silnie, jak tylko potrafiła. Czerwona siostra – Czarna siostra – zapadła się w sobie, jakby stopiły się jej kości.

Pocierając kłykcie, Egwene chwiejnie wyszła na korytarz.

"Dziękuję, Perrin – pomyślała – że pokazałeś mi, jak to robić. Ale nie powiedziałeś mi, jak potem boli dłoń".

Zatrzasnęła drzwi, odgradzając się od wiatru i sięgnęła po Moc. Kamienie wokół drzwi zadrżały, zatrzeszczały i nasunęły się na drewno. Długo ich to nie zatrzyma, ale cokolwiek, co pozwalało opóźnić pościg choćby o minutę, było warte spróbowania. Minuty mogły oznaczać życie. Zbierając wszystkie swoje siły, zmusiła się, by pobiec. Krok miała raczej chwiejny, ale zawsze był to przecież bieg.

Postanowiła, że musi znaleźć jakieś ubranie. Ubrana kobieta ma więcej autorytetu w sobie, niżli ta sama kobieta bez sukien, a ona potrzebowała go choćby odrobinę. Najpierw będą jej szukać w apartamentach, ale w gabinecie miała zapasową suknię i buty – i kolejną stulę – a on nie znajdował się nazbyt daleko.

Ten trucht przez puste korytarze każdemu mógłby odebrać odwagę. Biała Wieża nie miała już tak wielu mieszkańców, jak onegdaj, ale zazwyczaj zawsze można było kogoś spotkać. Teraz jednak najgłośniejszym dźwiękiem było kłapanie jej nagich stóp na płytach posadzki.

Przebiegła śpiesznie przez przedpokój swego gabinetu i wpadła do wewnętrznego pokoju, gdzie wreszcie kogoś spotkała. Beldeine siedziała na podłodze i ukrywając twarz w dłoniach, płakała.

Kiedy tamta podniosła zaczerwienione oczy i pochwyciła jej spojrzenie, Egwene zastygła w czujnej pozie. Strażniczki nie otoczyła poświata *saidara*, ale Egwene dalej była ostrożna. I pewna siebie. Jej również nie otaczała poświata, oczywiście, ale mocy – Mocy – która ją wypełniała, było aż nadto, zwłaszcza w połączeniu z jej tajemnicą.

Beldeine potarła dłonią zalane łzami policzki.

– Musiałam. Zrozum mnie. Musiałam. One... One... – Wzięła głęboki, urywany oddech, potem pośpiesznie wyrzuciła wszystko z siebie. – Trzy dni temu przyszły do mnie w nocy, zaskoczyły mnie w czasie snu i ujarzmiły mnie. – Jej głos zamienił się w skrzek. – Ujarzmiły mnie! Nie mogę już przynosić!

– Światłości – wyszeptała Egwene. Przyptyw *saidara* złagodził wstrząs. – Niech Światłość pomaga i pociesza cię, moja córko. Dlaczego mi nie powiedziałaś? Wtedy...

Pozwoliła, by słowa zamarły jej na ustach, wiedziała, że nic nie mogłaby zrobić.

– Co byś zrobiła? Co? Nic! Niczego nie możesz zrobić. Ale one powiedziały mi, że wszystko dostanę z powrotem. wraz z mocą... z mocą Czarnego. – Zacisnęła powieki, roniąc kolejne łzy. – Skrzywdziły mnie, Matko, i uczyniły ze mnie... Och, Światłości, jak mnie skrzywdziły! Elaida

powiedziała, że z powrotem uczynią mnie całością, że ponownie przywrócą mi zdolność przenoszenia, jeśli będę posłuszna. Dlatego właśnie... musiałam!

– Tak więc Elaida jest Czarną Ajah – powiedziała smutno Egwene.

Pod ścianą stała wąska garderoba, w niej wisiała zielona jedwabna suknia, trzymana tutaj na wypadek, gdyby nie miała czasu wrócić do swych pokoi. Za nią wisiała pasiasta stuła. Zaczęła się szybko ubierać.

– Co zrobiły z Randem? Gdzie go zabrały? Odpowiedz mi, Beldeine! Gdzie jest Rand al'Thor?

Beldeine zamieniła się w kupkę nieszczęścia, jej usta drżały, spojrzenie nie widzących oczu zwróciła gdzieś do wewnątrz, ale ostatecznie pozbierała się na tyle, by rzec:

– Dziedzinięc Zdrajcy, Matko. Zabrały go na Dziedzinięc Zdrajcy.

Niepohamowane dreszcze zatrzęśły Egwene. Dreszcze strachu. Dreszcze wściekłości. Elaida nie czekała. Nawet godzinę. Dziedzinięc Zdrajcy używany był jedynie do trzech celów: egzekucje, ujarzmienia Aes Sedai i poskramianie mężczyzn zdolnych do przenoszenia. Ale wszystkie trzy rodzaje rzeczy wymagały rozkazów wydanych przez Zasiadającą na Tronie Amyrlin.

"Któż więc teraz nosi stułę? – Była pewna, że Elaida.

– Ale w jaki sposób udało jej się przekonać wszystkie, by tak szybko ją zaakceptowały, mimo iż mnie nie osądzono i nie skazano? Nie może być innej Amyrlin, dopóki nie zostaną pozbawiona stuły i laski. A to nie jest takie łatwe do zrobienia. Światłości! Rand!

Ruszyła do drzwi.

– Cóż możesz zrobić, Matko? – krzyknęła Beldeine. – Co możesz zrobić?

Nie było jasne, czy w pytaniu chodziło jej o Randa czy o nią samą.

– Więcej niż podejrzewasz – odpowiedziała Egwene. – Nigdy nie trzymałam w ręku Różdżki Przysięg, Beldeine.

Westchnienie Beldeine ścigało ją do drzwi.

Pamięć Egwene wciąż bawiła się z nią w chowanego. Wiedziała, że żadna kobieta nie może zdobyć szala i pierścienia bez złożenia Trzech Przysięg z Różdżką Przysięg w rękę, *ter'angrealem* pieczętującym złożone przysięgi koniecznością ich dotrzymania równie silnie, jakby wryto je na jej kościach w chwili narodzin. Żadna kobieta nie mogła zostać Aes Sedai, nie wiążąc się jednocześnie tymi przysięgami. Wiedziała jednak, że w jakiś sposób, dzięki czemuś, czego nie była w stanie wyłowić w swej pamięci, właśnie jej się to udało.

Jej buty stukwały cicho, kiedy biegła. Przynajmniej wiedziała teraz, dlaczego korytarze są puste. Wszystkie Aes Sedai, wyjąwszy być może te, które zostawiła w magazynie, wszystkie Przyjęte i nowicjuszki, nawet wszyscy służący, zgodnie ze zwyczajem zostaną zebrani na Dziedzińcu Zdrajcy, aby patrzeć jak wola Tar Valon staje się rzeczywistością.

A strażnicy będą otaczali podwórze dziedzińca, na wypadek gdyby ktoś chciał podjąć próbę uwolnienia człowieka przeznaczonego do poskromienia. Niedobitki armii Guaire Amalasana spróbowały pokusić się o coś takiego pod koniec tego, co czasami nazywano Wojną Drugich Smoków, tuż przed tym, zanim wyniesienie Artura Hawkwinga dostarczyło Tar Valon innych zmartwień, podobnie było w przypadku zwolenników Raolina Darksbane'a wiele lat wcześniej. Czy Rand posiada jakichś zwolenników czy nie, nie pamiętała, ale strażnicy wiedzieli o takich rzeczach i zabezpieczali się przed nimi.

Jeżeli Elaida, lub jakaś inna, naprawdę nosi teraz stułę Amyrlin, strażnicy mogą jej wcale nie wpuścić do Dworu Zdrajcy. Zdawała sobie sprawę, iż jest w stanie przemocą utorować sobie drogę. Musi jednak zrobić to szybko, coś by dało owijanie strażników Powietrzem, gdyby w tym czasie właśnie Rand miał zostać poskromiony. Nawet szyk strażników przerwie się, jeśli uwolni na nich

błyskawicę i płomień stosu, albo rozerwie im ziemię pod stopami.

"Płomień stosu?" – zawahała się.

Ale również nie byłoby dobrze, gdyby zniszczyła potęgę Tar Valon, usiłując uratować Randa. Musi ocalić obie.

Dosyć daleko od wejść prowadzących na Dziedziniec Zdrajcy skręciła i zaczęła się wspinać po schodach i rampach; które stawały się coraz węższe i ciaśniejsze, im wyżej wchodziła. Aż wreszcie otworzyła drzwi i wspięła się na pochyły szczyt wieży, na dach o białych niemalże dachówkach. Stąd mogła patrzeć ponad innymi dachami, pomiędzy kolejnymi wieżami w szeroko otwartą studnię Dziedzińca Zdrajcy.

Dziedziniec był całkowicie zatłoczony, z wyjątkiem pustej przestrzeni pośrodku. Ludzie wypełniali okna wychodzące na plac, balkony, a nawet dachy, ale potrafiła dostrzec samotną sylwetkę mężczyzny, maleńką z tej odległości, chwiejącą się w swych łańcuchach pośrodku wolnej przestrzeni. Otaczało go dwanaście Aes Sedai, jeszcze jedna-o której Egwene wiedziała, że nosi stułę o siedmiu pasach, nawet jeżeli z tej odległości nie mogła tego dokładnie zobaczyć – stała przed Randem.

"Elaida".

Słowa, które zapewne musiała wypowiadać, zabrzmiały w uszach Egwene.

"Ten człowiek, opuszczony przez Światłość, dotknął *saidina*, męskiej połowy Prawdziwego Źródła. Dlatego go pojmałyśmy. A co jeszcze bardziej potworne, człowiek ten przynosił Jedyńą Moc wiedząc, że *saidin* zatruty został przez Czarnego, zanieczyszczony przez męską dumę, zanieczyszczony przez męski grzech. Dlatego zakułyśmy go w łańcuchy".

Przemocą niemalże Egwene zepchnęła dalszą część przemowy w głąb swego umysłu.

"Trzyście Aes Sedai. Dwanaście siostr oraz Amyrlin, tradycyjna liczba osób przy poskramianiu. Taka sama jak przy..."

O tym również zakazała sobie myśleć. Nie miała czasu na nic innego poza tym, dla czego się tu znalazła. Jeśli tylko uda się jej wymyślić jakiś sposób.

Z tej odległości sądziła, że uda się jej unieść go przy pomocy Powietrza. Poderwać go ponad głowy zgromadzonych w kręgu Aes Sedai i przenieść tutaj. Być może. Nawet jeśli znajdzie w sobie dość siły, nawet jeśli nie upuści go w pół drogi, by spadając, rozbił się na bruku, będzie to wolny proces, a on stanie się bezbronnym celem dla łuczników, a ponadto poświata *saidara* zdradzi jej stanowisko oczom wszystkich Aes Sedai, które będą patrzyły. No i Myrddraalom, rzecz jasna.

– Światłości – wymruczała – nie ma żadnego innego sposobu, który nie równałby się rozpętanu wojny wewnątrz Białej Wieży. A nawet w ten sposób może się wszystko tak skończyć.

Zebrała całą dostępną jej Moc, oddzieliła nici, ukierunkowała strumienie.

"Wyjście pojawi się, lecz tylko raz. Pozostań nieugięta".

Minęło tyle czasu, odkąd po raz ostatni usłyszała te słowa, że wzdrygnęła się i poślizgnęła na gładkich dachówkach, z trudem zatrzymując niemalże na samej krawędzi. Ziemia znajdowała się sto kroków pod nią. Popatrzyła przez ramię.

Na samym szczycie wieży, przechylony, aby stać prosto względem pochyłego dachu, widniał srebrny łuk wypełniony świetlistą poświatą. Łuk migotał i kołysał się, smugi wścieklej czerwieni i żółci przeszywały białe światło.

"Wyjście pojawi się, lecz tylko raz. Pozostań nieugięta".

Kontury łuku zamazały się, aż wydał się przejrzysty, po czym znów odzyskały wyraźny zarys.

Oszalała Egwene spojrzała ponownie w kierunku Dziedzińca Zdrajcy. Musi wystarczyć czasu. Musi. Wszystko, czego potrzebowała, to kilka minut, może dziesięć, oraz odrobina szczęścia.

Jakieś głosy dobiegły do jej uszu, nie ten bezcielesny, nie znany głos, który namawiał ją, by była nieugięta, ale głosy kobiet, które niemalże rozpoznawała.

"...nie mogę utrzymać dłużej. Jeżeli nie wyjdzie zaraz..."

Trzymaj! Sześćnij a trzymaj, albo wypatroszę cię jak jesiotra!

...wrywa nam się, Matko! Nie możemy..."

Głosy ścichły do lekkiego brzęczenia, potem i ono rozplynęło się w całkowitym milczeniu, ale nie znany głos przemówił ponownie.

"Wyjście pojawi się, lecz tylko raz. Pozostań nieugięta.

Taka jest cena bycia Aes Sedai.

Czarne Ajah czekają".

Z wrzaskiem znamionującym wściekłość, albo poczucie doznanej straty, Egwene rzuciła się w łuk drżący jakby od upału paleniska. Niemalże chciała nie trafić i spaść w dół, na śmierć.

Światło oskubało ją, włókno po włóknie, rozdzieliło włókna na drobne włoski, rozszczepiło włoski na wstęgi nicości. Wszystko odpłynęło razem ze światłem. Na zawsze.

ROZDZIAŁ 23

PRZYNALEŻNOŚĆ

Światło rozrywało ją, włókno po włóknie, rozdzielało włókna na włoski, zabierało je ze sobą, paliło. Odrywanie i spalanie, na zawsze. Na zawsze.

Egwene wyszła ze srebrnego łuku chłodna i aż sztywna z wściekłości. Pragnęła przeciwstawić lodowaty gniew palącej pamięci. Ciało pamiętało jeszcze płomień, ale pozostałe wspomnienia zapisały się i spłowiały w głębi. Gniew zimny jak śmierć.

– Czy to wszystko, co mi przeznaczono? – domagała się odpowiedzi. – Opuszczać go, znowuż i znowuż. Zdradzać go, zawodzić nieprzerwanie? Czy to wszystko, co mnie czeka?

Nagle zdała sobie sprawę, że wszystko jest inaczej, niż być powinno. W komnacie znajdowała się Amyrlin, zgodnie z tym, co jej powiedziano, że nastąpi, oraz siostry z każdej Ajah, ubrane w swoje szale, ale wszystkie patrzyły na nią zaniepokojonym wzrokiem. Dwie Aes Sedai siedziały teraz na swoich miejscach przy *ter'angrealu*, pot spływał im po twarzach. *Ter'angreal* brzęczał, niemalże wibrował, gwałtowne smugi kolorów rozrywały powłokę białego światła wewnątrz łuków.

Poświata *saidara* na krótko otoczyła Sheriam, kiedy położyła dłoń na głowie Egwene, dotyk przejął ją kolejnym dreszczem.

– Z nią wszystko dobrze. – W głosie Mistrzynie Nowicjuszek zabrzmiała ulga. – Nic jej się nie stało.

Jakby spodziewała się czegoś odwrotnego.

Napięcie zdawało się powoli opuszczać pozostałe Aes Sedai, wpatrujące się w Egwene. Elaida wypuściła długo wstrzymywany oddech, potem pośpieszyła po ostatni kielich. Jedynie Aes Sedai zgromadzone przy *ter'angrealu* nie pozwoliły sobie odetchnąć. Brzęczenie powoli cichło, a światło zaczynało mrugać, co zdawało się wskazywać, że *ter'angreal* powoli przechodzi w stan spoczynku, jednak one wyglądały, jakby musiały walczyć o każdy cal, jakiego wymagało doprowadzenie go do tego stanu.

– Co...? Co się stało? – zapytała Egwene.

– Bądź cicho – odpowiedziała Sheriam, ale jej głos brzmiał łagodnie. – Teraz nic nie mów. Nic ci się nie stało, to jest najważniejsze, a my musimy dokończyć ceremonię.

Nadeszła Elaida, niemalże biegła. Podała ostatni srebrny kielich Amyrlin.

Egwene zawahała się przez moment, po czym uklękła.

"Co się stało?"

Amyrlin opróżniła na jej głowę ostatni srebrny kielich. – Zostajesz oczyszczona z Egwene al'Vere, z Pola Emonda. Zostajesz oczyszczona z wszelkich więzi, które łączą cię ze światem. Przychodzisz do nas obmyta i czysta, na sercu i duszy. Jesteś Egwene al'Vere, Przyjęta Białej Wieży.

Ostatnia kropla rozprysnęła się na włosach Egwene.

– Należysz teraz do nas.

Ostatnie słowa wydawały się nieść szczególne znaczenie, dostępne tylko im dwóm, Egwene i Amyrlin. Amyrlin podała kielich jednej z Aes Sedai i wyciągnęła złoty pierścień w kształcie węża pożerającego własny ogon. Podnosząc lewą dłoń, Egwene mimowolnie drgnęła, zadrżała ponownie, gdy Amyrlin wsunęła jej pierścień z Wielkim Wężem na palec środkowy. Kiedy zostanie Aes Sedai będzie mogła nosić pierścień na dowolnie wybranym palcu, lub nawet nie nosić go w ogóle, gdy

konieczne będzie ukrycie tożsamości, Przyjęte jednak nosiły go w ten sposób.

Z powagą na twarzy, Amyrlin podniosła ją z kolan.

– Witaj, Córko – powiedziała, całując ją w policzek. Egwene zaskoczyło wzruszenie w jej głosie. Nie dziecko, lecz córka. Zawsze dotąd była dzieckiem. Amyrlin pocałowała ją w drugi policzek. – Witaj.

Amyrlin zrobiła krok do tyłu i objęła ją krytycznym spojrzeniem, zwróciła się jednak do Sheriam.

– Osuszcie ją i ubierzcie, a potem upewnijcie się, że czuje się dobrze. Że na pewno czuje się dobrze.

– Już się upewniłam, Matko. – W głosie Sheriam brzmiało zaskoczenie. – Widziałas, że ją zbadałam.

Amyrlin chrząknęła, a jej spojrzenie spoczęło na *ter'angrealu*.

– Chciałabym dowiedzieć się, co poszło źle dzisiejszej nocy.

Poszła za swoim spojrzeniem, jej suknie zafalowały zdecydowanie. Większość pozostałych Aes Sedai razem z nią podeszła do *ter'angrealu*, który teraz był jedynie srebrną konstrukcją złożoną z łuków opartych na pierścieniu.

– Matka martwiła się o ciebie – powiedziała Sheriam, gdy wraz z Egwene odeszła na bok, gdzie czekał na nią gruby ręcznik, którym mogła wysuszyć włosy i skórę.

– Jak wiele miała ku temu powodów? – zapytała Egwene.

"Amyrlin nie chce, by coś przytrafiło się jej psu, zanim jeleń nie zostanie osaczony".

Sheriam nie odpowiedziała. Zmarszczyła tylko lekko brwi i czekała, aż Egwene osuszy się, potem podała jej białą suknię oblamowaną u dołu siedmioma pierścieniami.

Włożyła suknię, nie mogąc pozbyć się lekkiego posmaku rozczarowania. Była jedną z Przyjętych, z pierścieniem na palcu i lamówką na sukni.

"Dlaczego nie czuję żadnej różnicy?"

Nadeszła Elaida, niosąc w ramionach jej suknię nowicjuszeki, buty oraz sakwę i pasek. A także dokumenty, które dała jej Verin. Te dokumenty w rękach Elaidy.

Egwene zmusiła się, by zaczekać, aż Aes Sedai poda jej węzełek, choć miała ochotę natychmiast wyrwać go z jej rąk – Dziękuję, Aes Sedai.

Ukradkiem przyjrzała się papierom, nie umiała powiedzieć, czy ktoś do nich zaglądał. Sznurek wciąż był zawiązany.

"Jak mogę wiedzieć, czy nie przeczytała wszystkiego? – Wsunęła sakwę pod sukienkę nowicjuszeki i poczuła wewnątrz szczególny pierścień, *ter'angreal*. – Przynajmniej wciąż tutaj jest. Światłości, mogła go przecież zabrać i nie wiem, czy starczyłoby mi śmiałości, by się o niego upomnieć. Tak, zrobiłabym to. Sądzę, że tak".

Wyraz twarzy Elaidy był równie zimny jak ton jej głosu.

– Nie chciałam, abyś dzisiaj przechodziła tę ceremonię. Nie dlatego, że obawiałam się tego, co nastąpiło, tego nikt nie mógł przewidzieć. Ale ze względu na to, kim jesteś. Dzikuską. – Egwene usiłowała jej przerwać, ale Elaida ciągnęła dalej, równie nieubłagana jak górski lodowiec. Och, wiem, że nauczyłaś się przenosić zgodnie z naukami Aes Sedai, ale mimo to jesteś dzikuską. Dzikuską w sercu, dzikuską w obyczajach. Masz szerokie możliwości, w przeciwnym razie nie przeżyłabyś dzisiejszej nocy, ale możliwości niczego nie zmieniają. Nie wierzę, żebyś kiedykolwiek miała stać się częścią Białej Wieży, na pewno nie w ten sam sposób, jak my wszystkie, niezależnie od tego, jaki pierścień będziesz nosić na palcu. Lepiej byłoby dla ciebie, byś została tutaj tylko tak długo, by nauczyć się wszystkie go, co potrzebne ci będzie do pozostania przy życiu, a potem wróciła

do swej sennej wioski. Dużo lepiej.

Odwróciła się na pięcie i dumnym krokiem wyszła z komnaty.

"Jeżeli ona nie jest Czarną Ajah – pomyślała kwaśno Egwene – to w każdym razie czymś zdecydowanie do niej zbliżonym".

Na głos zaś wymruczała do Sheriam:

– Mogłaś coś powiedzieć. Mogłaś mi pomóc.

– Pomogłabym nowicjuszcze, dziecko – zareplikowała chłodno Sheriam, a Egwene skrzywiła się. Znowu była "dzieckiem". – Staram się ochraniać nowicjuszki wtedy, gdy tego potrzebują, ponieważ one nie potrafią bronić samych siebie. Teraz jesteś już Przyjętą. Czas, aby samemu nauczyć się bronić.

Egwene wpatrywała się uważnie w oczy Sheriam, zastanawiając się, czy wyobraziła sobie tylko nacisk, jaki posłyszała w ostatnim zdaniu. Sheriam miała tyle samo sposobności co Elaida, aby odczytać listę imion i zdecydować, iż Egwene zamieszana jest w sprawę Czarnych Ajah.

"Światłości, zaczynasz podejrzewać wszystkich. Lepsze to niż śmierć albo schwytnie przez trzynaście Czarnych Ajah i..."

Pośpiesznie wycofała się z tej linii rozumowania, nie chciała o tym pamiętać.

– Sheriam, co się wydarzyło dzisiejszej nocy? – zapytała. – I nie próbuj mnie zbywać.

Brwi Sheriam uniosły się niemalże aż na czoło, dlatego pośpiesznie poprawiła formę swego pytania.

– Chciałam powiedzieć, Sheriam Sedai. Wybacz mi, Sheriam Sedai.

– Pamiętaj, że nie jesteś jeszcze Aes Sedai, dziecko. – Mimo stali dźwięczącej w głosie, usta Sheriam wygiął lekki uśmiech, zniknął jednakże natychmiast po tym, jak się pojawił. – Nie wiem, co zaszło. Pominąwszy to, że bardzo obawiałam się, iż możesz już nie żyć.

– Co dzieje się z tymi, które nie wychodzą z *ter'angreala*? – zapytała Alanna, przyłączając się do nich.

Zielona siostra była znana ze swej gwałtowności, a jednocześnie z poczucia humoru, niektórzy powiadali, że potrafi w mgnieniu oka popadać z jednej skrajności w drugą, jednakże spojrzenie, którym obdarzyła Egwene było nieomal nieśmiałe.

– Dziecko, powinnam nie dopuścić do tego wszystkiego, kiedy była jeszcze szansa, kiedy po raz pierwszy spostrzegłam to... odbicie. Powróciło. Oto, co się stało. Powróciło tysiącokrotnie silniejsze. Dziesięć tysięcy razy. Wydawało się, jakby *ter'angreal* próbował odciąć przepływ *saidara*. Albo wtopić się w posadzkę. Przyjmij moje przeprosiny, choć wszak żadne słowa nie wystarczą. Nie za to, co ci się niemalże przytrafiło. Mówię tak i na Pierwszą Przysięgę przyrzekam, że nie kłamię. Aby tego dowieść, poproszę Matkę, żeby pozwoliła mi dzielić twoje obowiązki w kuchni. Tak, i twoją wizytę u Sheriam również. Gdybym zrobiła to, co powinnam, twoje życie nie znalazłoby się w niebezpieczeństwie. Muszę za to odpokutować.

Sheriam roześmiała się ze zgorzaniem.

– Nigdy na to się nie zgodzi, Alanno. Siostra w kuchni, to byłoby... To rzecz niesłychana. Niemożliwe! Zrobiłaś, co uważałaś za słuszne. To nie był twój błąd.

– To nie był twój błąd, Alanna Sedai – powtórzyła Egwene.

"Dlaczego Alanna to robi? Chyba że naprawdę chce mnie przekonać, iż nie miała nic wspólnego z tym, że coś poszło źle. A może przez cały czas chce mieć na mnie oko".

Dopiero obraz dumnej Aes Sedai, trzy razy dziennie urabiającej sobie ręce po łokcie w zatłuszczonych garnkach przekonał ją, że nazbyt popuściła wodze wyobraźni. Równie nie do pomyślenia wydawało się jednak, że Alanna postąpi tak, jak mówi. W każdym razie, Zielona siostra z

pewnością nie miała okazji przeczytać listy imion, albowiem zajmowała się przez cały czas *ter'angrealem*.

"Lecz jeżeli Nynaeve ma rację, a ona jest Czarną Ajah; to nie potrzebowała widzieć tej listy, żeby chcieć mnie zabić. Dosyć tego!"

– Naprawdę nie był.

– Gdybym zrobiła to, co powinnam – upierała się Alanna – nigdy by do tego nie doszło. Jedyny raz, kiedy coś takiego widziałam, zdarzył się kilka lat temu, gdy próbowałyśmy używać *ter'angreala* w tej samej komnacie, w której używałyśmy innego, w pewien sposób związanego z tamtym. Znaleźć takie dwa zdarza się nieskończenie rzadko. Oba *ter'angreale* stopiły się, a wszystkie siostry znajdujące się w promieniu stu kroków miały przez następny tydzień taki ból głowy, że nie potrafiły przenieść nawet iskierki. O co chodzi, dziecko?

Egwene tak silnie zaciskała dłoń na swej sakwie, że znajdujący się w środku kamienny pierścień nawet przez płótno wbił się we wnętrze jej dłoni. Czy był ciepły, czy tylko jej się tak wydawało?

"Światłości, sama sobie to zrobiłam".

– Nic się nie stało, Alanna Sedai. Aes Sedai, nie zrobiłaś niczego złego. Nie ma powodu, byś dzieliła moją karę. Żadnego w ogóle powodu. Najmniejszego!

– Odrobinę zbyt gwałtownie powiedziane – zauważyła Sheriam – ale prawdziwe.

Alanna tylko potrząsnęła głową.

– Aes Sedai – zapytała powoli Egwene – co oznacza bycie Zieloną Ajah?

Oczy Sheriam rozszerzyły się z rozbawienia, zaś Alanna roześmiała się w głos.

– Ledwie ma pierścień na palcu – powiedziała Zielona siostra – a już usiłuje zdecydować, które Ajah wybrać? Po pierwsze, musisz kochać mężczyzn. Nie znaczy zakochiwać się w nich, lecz kochać. Nie tak, jak Błękitne, które ich zwyczajnie lubią, dopóki walczą o tę samą sprawę żnie wchodzi im w drogę. No i oczywiście nie traktować ich jak Czerwone, które gardzą nimi, jakby każdy odpowiedzialny był za Pęknięcie.

Alviarin, Biała siostra, która przysłała w towarzystwie Amyrlin, obrzuciła je chłodnym spojrzeniem i poszła dalej.

– I nie tak, jak Białe – kontynuowała Alanna ze śmiechem – które nie zostawiają w swym życiu miejsca na namiętności.

– Nie o to mi chodziło, Alanna Sedai. Chciałam wiedzieć, nie jak być Zieloną siostrą, ale co to znaczy.

Nie była pewna, czy Alanna zrozumie; ponieważ sama nie do końca wiedziała, co chce powiedzieć, tamta jednak pokiwała głową, jakby wreszcie dotarło do niej, o co chodzi,

– Brązowe poszukują wiedzy, Błękitne wtrącają się w sprawy świata, a Białe rozważają kwestie prawdy, posługując się nieodpartą logiką. Wszystkie po trochu zajmujemy się tym, całością tych spraw, oczywiście. Ale być Zieloną oznacza trwanie w gotowości. – W głosie Alarmy zabrzmiała nutka dumy. – Podczas wojen z trollokami często byłyśmy nazywane Bojowymi Ajah. Wszystkie Aes Sedai pomagały wówczas, kiedy i gdzie tylko mogły, ale tylko Zielone Ajah towarzyszyły armiom, brały udział w każdej niemalże bitwie. Stanowiłyśmy przeciwwagę dla Władców Strachu. Bojowe Ajah. I teraz również trwamy w gotowości, na wypadek gdyby trolloki znowu ruszyły na południe, czekamy na Tarmon Gai'don, Ostatnią Bitwę. Będziemy tam. Oto, co znaczy być Zieloną.

– Dziękuję, Aes Sedai – powiedziała Egwene.

"To tym byłam? Czy tym będę? Światłości, chciałabym wiedzieć, czy to było prawdziwe, czy

ma to cokolwiek wspólnego z tym, co dzieje się tu i teraz."

Amyrlin podeszła do nich, wszystkie ukłoniły się głęboko.

– Czujesz się dobrze, Córko? – zwróciła się do Egwene. Jej spojrzenie prześlizgnęło się po pliku dokumentów wystających spod sukni nowicjuszki, którą trzymała w dłoniach, potem na powrót spoczęło na jej twarzy. – Dowiem się, dlaczego zdarzyło się dzisiaj to, czego byliśmy świadkami, zanim skończę z całą sprawą.

Policzki Egwene poczerwieniały.

– Czuję się dobrze, Matko.

Alanna zaskoczyła ją, zwracając się Amyrlin z prośbą o ukaranie, zgodnie z tym, co wcześniej obiecała.

– Nigdy nie słyszałam o czymś takim – odwarknęła Amyrlin. – Właściciel nie brudzi się pospołu z chłopcami okrętowymi w zębie, nawet jeśli to on wprowadzi statek na mieliznę.

Spojrzała na Egwene, a zmartwienie zwięziło jej oczy. I gniew.

– Podzielam twą troskę, Alanno. Cokolwiek ta dziewczyna zrobiła, nie zasługuje na to. Bardzo dobrze. Jeżeli to ma cię uspokoić, możesz odwiedzić Sheriam. Cała sprawa ma zostać jednak tylko między wami dwoma. Nie chcę, by Aes Sedai wystawiały się na pośmiewisko, nawet wewnątrz Wieży.

Egwene otworzyła usta, by wyznać wszystko i pozwolić im zabrać pierścień – "Nie chcę tej przeklętej rzeczy, naprawdę" – ale Alanna wyprzedziła ją.

– A ta druga rzecz, Matko?

– Nie gadaj głupstw, Córko. – Amyrlin była zła, a z każdym słowem jej wściekłość rosła. – W ciągu jednego dnia staniesz się pośmiewiskiem w oczach wszystkich, z wyjątkiem tych, którzy uznają, że oszalałaś. I nie sądz, że kiedykolwiek się od tego uwolnisz. Takie historie roznoszą się w zupełnie niezwykły sposób. Historie o kuchennej Aes Sedai będą opowiadać od Łzy do Maradon. A to będzie rzutować na każdą siostrę. Nie. Jeżeli nie potrafisz pozbyć się poczucia winy i dać sobie z nim rady, jak przystało dorosłej kobiecie, bardzo dobrze. Powiedziałam ci, że możesz odwiedzić Sheriam. Będiesz jej towarzyszyła dzisiejszej nocy po opuszczeniu tej komnaty. To da ci resztę nocy na zastanowienie, czy coś w ten sposób uzyskałaś. A jutro możesz zacząć badać, co dzisiaj poszło źle.

– Tak, Matko. – Głos Alarmy był doskonale wyprany z wszelkich emocji.

Chęć przyznania się zamarła w sercu Egwene. Na twarzy Alarmy mignął tylko krótki błysk rozczarowania, kiedy zrozumiała, że Amyrlin nie pozwoli jej przyłączyć się do Egwene w kuchni.

"Nie miała bardziej ochoty być ukarana, niż jakakolwiek inna rozsądna osoba. Potrzebowała wymówki dla przebywania w moim towarzystwie. Światłości, przecież chyba nie mogła rozmyślnie spowodować rozstrojenia *ter'angreal*, to była moja wina. Czy może być Czarną Ajah?"

Pogrążona w myślach, Egwene usłyszała kasznięcie, po tem następne, nieco głośniejsze. Skupiła wzrok. Amyrlin patrzyła wprost na nią, a kiedy przemówiła, dobitnie akcentowała każde słowo.

– Ponieważ zdajesz się spać na stojąco, dziecko, sądzę, że powinnaś już pójść do łóżka. – Na krótką chwilę jej spojrzenie rozblętyło na widok na poły ukrytych dokumentów w dłoniach Egwene. – Jutro czeka cię dużo pracy, podobnie zresztą jak przez wiele następnych dni.

Jej spojrzenie spoczywało jeszcze przez chwilę na twarzy Egwene, potem odeszła nagle, tak szybko, że żadna z nich nie zdążyła się nawet ukłonić.

Sheriam napadła na Alannę, kiedy tylko Amyrlin znalazła się poza zasięgiem głosu. Zielona Aes Sedai popatrzyła groźnie, ale nie odezwała się słowem.

– Jesteś szalona, Alanno! Jesteś głupia, podwójnie głupia, jeżeli sądzisz, że potraktuję cię lżej,

ponieważ razem spędzałyśmy nowicjat. Czy Smok cię opętał, żeby... – Nagle zdała sobie sprawę z obecności Egwene i na nią przeniosła swój gniew. – Czy nie słyszałaś, że Amyrlin kazała ci pójść do łóżka, Przyjęta? Jeśli szepniesz choć słówko o tym, co tu się zdarzyło, będziesz żałowała, że nie pogrzebałam cię na polu i nie użyźniłam tobą ziemi. Rano chcę cię widzieć w moim gabinecie i to dokładnie w chwili, gdy dzwon wybije Jutrznie, ani odrobinę później. Teraz idź!

Egwene poszła, w głowie jej wirowało.

"Czy istnieje ktoś, komu mogłabym zaufać? Amyrlin? Wysłała nas byśmy ścigały trzynaście Czarnych Ajah i zapomniała dodać, że trzynaście jest to akurat tyle, ile potrzeba, by wbrew woli zmusić zdolną przenosić kobietę do przejścia na stronę Cienia. Komu więc mogę zaufać?"

Nie chciała być sama, nie mogła nawet znieść myśli o tym, dlatego też pośpieszyła do kwater Przyjętych, myśląc sobie, że jutro i tak się tutaj wprowadzi. Zapukała i nie czekając na zaproszenie, pchnęła drzwi do izby Nynaeve. Jej mogła we wszystkim zaufać. Jej i Elayne.

Ale Nynaeve siedziała na jednym z krzeseł, trzymając głowę Elayne wtuloną w swe łono. Ramiona księżniczki trzęsły się w rytm cichego, jednostajnego płaczu, takiego który opanowuje człowieka, kiedy nie ma już sił na desperackie łkanie, a emocje wciąż domagają się ujścia. Na policzkach Nynaeve też lśniła wilgoć. Wielki Wąż błyszczał na jej dłoni, gładzącej włosy Elayne, współgrając z pierścieniem na dłoni Elayne wczepionej w jej suknię.

Elayne podniosła twarz, zaczerwienioną i spuchniętą od długiego płaczu i pomiędzy spazmami łkania wyjąkała do Egwene:

– Ja nie mogę być taka potworna, Egwene. Po prostu nie mogę!

Wypadek z *ter'angrealem*, obawy, że ktoś mógł przeczytać dokumenty otrzymane od Verin, podejrzewanie wszystkich zgromadzonych w komnacie, to było wprawdzie straszne, ale osłoniło ją w brutalny, niedelikatny sposób przed pamięcią o tym, co zdarzyło się wewnątrz *ter'angreala*. Te pierwsze strachy pochodziły z zewnątrz, drugie z wewnątrz. Słowa Elayne zdarły zasłonę, a to, co było za nią, trafiło Egwene z taką gwałtownością, jakby sufit runął jej na głowę. Rand, jej mąż i jej dziecko, Joiya. Rand przygnieciony i błagający ją, by go zabiła. Rand w łańcuchach, przeznaczony do poskromienia.

Zanim zdążyła pomyśleć, już klęczała na kolanach u boku Elayne i łzy, które nie pojawiły się wcześniej, teraz strumieniem trysnęły z jej oczu.

– Nie potrafiłam mu pomóc, Nynaeve – łkała. Po prostu go tam zostawiłam.

Nynaeve zeszytywniała jak uderzona, ale za chwilę jej ramiona objęły i Elayne, i Egwene, kołysały je, kołysały.

– Cicho – szeptała miękko. – Z czasem to mija. Trochę łagodnieje. Pewnego dnia zmusimy je, by za to zapłaciły. Cicho. Cicho.

ROZDZIAŁ 24

POSZUKIWANIA I ODKRYCIA

Promienie słoneczne, wślizgujące się do środka przez rzeźbione okiennice i skradające po pościeli łóżka, obudziły wreszcie Mata. Przez chwilę leżał bez ruchu, marszcząc czoło. Zanim pogrążył się we śnie, nie udało mu się wymyślić żadnego planu ucieczki z Tar Valon, ale również nie poddał się. Zbyt duże obszary pamięci wciąż pokrywała mgła, ale mimo to nie poddawał się.

Dwie kobiety służebne weszły i zaraz zakrzętały się przy kociołku z gorącą wodą i tacy z jedzeniem, śmiały się, zapewniając go, że już wygląda dużo lepiej, że na pewno wkrótce całkowicie stanie na nogach, jeśli tylko przestrzegać będzie tego, co zaleciły mu Aes Sedai. Odpowiedział im grzecznie, starając się, by jego głos nie rozbrzmiewał goryczą.

"Niech sądzą, że mam zamiar zrobić dokładnie to, co mi każą".

W żołądku zaburczało mu, kiedy poczuł zapachy dolatujące z tacy.

Kiedy wyszły, odrzucił koc, wyskoczył z łóżka i zatrzymując się tylko na tyle, ile potrzeba dla zwinięcia połowy plastra szynki, zaczął nalewać wodę do mycia oraz golenia. Kier dy mydlił twarz, spojrzął w lustro zawieszane nad umywalnią i zagapił się w nie zdumiony. Rzeczywiście wyglądał lepiej.

Policzki miał wciąż zapadnięte, ale nie tak bardzo jak poprzednio. Ciemne kręgi zniknęły spod oczu, które dzięki temu nie wyglądały już na tak bardzo zapadnięte. Wyglądało to tak, jakby każdy kawałek mięsa, jaki zjadł wczorajszego wieczora, dodawał mu ciała. Nawet czuł się silniejszy.

– W takim tempie – wymruczał – zniknę stąd, zanim w ogóle zorientują się, że coś się stało.

Jednak był dalej niepomiernie zaskoczony, kiedy ogoliwszy się, zasiadł do stołu i pochłoniął znajdujące się na tacy szynkę, rzepę i groch, nie zostawiając nawet okruszyny.

Pewien był, że chciałoby, aby po zjedzeniu położył się do łóżka, zamiast tego jednak ubrał się. Przystępując z nogi na nogę podczas wkładania butów, zmierzył wzrokiem swoje rzeczy i postanowił je zostawić.

"Najpierw muszę wiedzieć, co powinienem robić. A jeśli nawet będę musiał je zostawić..."

Wsunął do sakwy dwa kubki z kośćmi. Dzięki nim będzie mógł zdobyć wszystkie ubrania, jakich będzie potrzebował.

Otworzył drzwi i wychylił głowę na zewnątrz. Po obu stronach korytarza zobaczył szereg drzwi, wykładanych bladozłotym drewnem, pomiędzy nimi kolorowe gobeliny, na posadzce z białych płyt rozłożono błękitny chodnik. Oprócz tego korytarz był zupełnie pusty. Żadnej straży. Przewiesił płaszcz przez ramię i szybkim krokiem wyszedł z pokoju. Teraz trzeba odnaleźć drogę wyjścia.

Zabrało mu to trochę czasu. Wędrował po klatkach schodowych, wzdłuż korytarzy, czasami przez otwarte podwórce, zanim wreszcie znalazł to, o co mu chodziło – bramę prowadzącą na zewnątrz, a przed nią ludzi, kobiety służebne i ubrane na biało nowicjuszki, które spieszyły z jakimiś zadaniami, nowicjuszki zdawały się nawet pracować ciężiej niż służące, kilku niewyszukanie ubranych mężczyzn nosiło wielkie skrzynie i inne rzeczy wymagające siły fizycznej. Przyjęte w swych sukniach obrzeżonych taśmą. Nawet kilka Aes Sedai.

Aes Sedai zdawały się zupełnie go nie dostrzegać, przechodziły obojętnie obok, skupione na własnych sprawach, czasami obdarzały go przelotnym spojrzeniem. Miał na sobie rzeczy uszyte na wiejską modłę, ale w dobrym gatunku, w żadnej mierze nie wyglądał na włóczęgę, a obecność męskich służących dowodziła, że mężczyzn wpuszczano do tej części Wieży. Podejrzywał, iż mogą brać go za kolejnego służącego i to mu nawet odpowiadało, oczywiście do momentu, gdy zechcą, aby

zaczął jak inni przenosić jakieś ciężkie rzeczy.

Żałował trochę, że żadna z kobiet, które widział nie okazała się Egwene, Nynaeve czy choćby Elayne.

"Ona jest naprawdę ładna, nawet jeśli przez większość czasu chodzi z nosem wysoko zadartym. I mogłaby mi pomóc wiedzieć, jak znaleźć Egwene oraz Wiedzącą. Nie mogę po prostu uciec, nie pożegnawszy się. Światłości, nie przypuszczam, by któraś z nich wydała mnie tylko dlatego, że same mają zamiar zostać Aes Sedai? Niech szczenę, cóż ze mnie za głupiec! Nigdy by tego nie zrobiły. W każdym razie, mam zamiar zaryzykować".

Ale kiedy znalazł się na dworze, pod jasnym niebem poranka, po którym płynęły nieliczne białe obłoki, na pewien czas kobiety przestały zajmować jego myśli. Spoglądał w poprzek szerokiego, wyłożonego kamieniami podwórza, z prostą kamienną fontanną pośrodku i budynkami koszar z szarego kamienia po stronie przeciwnej. Wyglądały niemalże jak wielki głaz pomiędzy kilkoma drzewami, wyrastającymi z obrzeżonych dziur w kamieniach bruku. Gwardziści bez mundurów siedzieli przed frontem długiego, niskiego budynku, opatrując broń, zbroje i uprząże. Gwardziści – to było to, na czym zależało mu w tej chwili najbardziej.

Nie spiesząc się, przeszedł przez dziedziniec i zaczął przyglądać się żołnierzom, jakby nie miał nic lepszego do roboty. Pracując, rozmawiali ze sobą i śmiali się, jak mężczyźni po żniwach. Od czasu do czasu któryś z nich patrzył ciekawie na Mata, który spacerował między nimi, żaden jednak nie zainteresował się powodami, dla których kręci się wokół. Od czasu do czasu zadawał zdawkowe pytania. Wreszcie uzyskał odpowiedź, o którą mu chodziło.

– Straż na moście? – powiedział krępy, ciemnowłosy mężczyzna, na oko ledwie pięć lat starszy od Mata. W jego głosie pobrzmiwał wyraźny, illiański akcent. Niezależnie od tego, jak młody mógł się wydawać, jego lewy policzek przecinała cienka blizna, a dłonie oliwiące miecz poruszały się z widoczną kompetencją i swobodą. Spojrzał w górę na Mata, zanim powrócił do swej pracy. – Ja jestem w straży na moście, dzisiejszego wieczora będę pełnił wartę. Dlaczego pytasz?

– Zastanawiam się po prostu, jak wyglądają warunki na drugim brzegu rzeki. – "Równie dobrze mógłbym sam się o tym przekonać." – Czy bezpiecznie jest podróżować? Zapewne nie może być zbyt błotniście, chyba że padało tu bardziej, niż mi mówiono:

– Na którym brzegu? – odpowiedział spokojnie strażnik. Tym razem nie podniósł nawet wzroku znad nasyczonej olejem szmatki, którą przesuwał wzdłuż ostrza.

– Hmm... na wschodnim. Na wschodnim brzegu.

– Nie ma żadnego błota. Za to są Białe Płaszczce. Mężczyzna odwrócił się na bok, aby splunąć, ton jego głosu nie zmienił się jednak nawet na jotę. – Białe Płaszczce wtykają swoje nosy do każdej wioski w promieniu dziesięciu mil. Jak dotąd jeszcze nikomu nie wyrządzili krzywdy, ale ich obecność tutaj niepokoi ludzi. Okalecz mnie fortuna, jeśli jest inaczej, ale sądzę, że chcą nas sprowokować, ponieważ wyglądają, jakby chcieli zaatakować, gdyby tylko mogli. Nie są to najlepsze warunki do podróżowania.

– A wobec tego, co na zachodnim brzegu?

– To samo. – Gwardzista podniósł oczy na Mata. Ale ty i tak nie pojedziesz, chłopcze, ani po zachodnim brzegu, ani po wschodnim. Musisz nazywać się Matrim Cauthon albo fortuna już zupełnie mnie opuściła. Ostatniej nocy siostra, we własnej osobie, przysłała na most, gdzie trzymałem straż. Wbiła nam do głowy twój rysopis tak, żeby każdy był w stanie go powtórzyć. Gość, oznajmiła, a więc nie może stać mu się krzywda. Ale nie wolno mu również opuszczać miasta, nawet gdybyśmy mieli ci związać ręce i nogi, żeby powstrzymać cię przed wyjściem.

Jego oczy zwęziły się.

– Czy to dlatego, że im coś ukradłeś? – zapytał z powątpiewaniem. – Nie wyglądasz na kogoś, kto mógłby być gościem sióstr.

– Niczego nie ukradłem! – obruszył się Mat.

"Niech szczenę, nie zostawiły mi nawet szansy swobodnego przygotowania ucieczki. Wszyscy na pewno już o mnie wiedzą".

– Nie jestem złodziejem!

– Nie, to widać po twojej twarzy. Złodziejem nie jesteś. Ale masz takie spojrzenie, jak ten człowiek, który trzy dni temu próbował sprzedać mi Róg Valere. Przynajmniej twierdził, że to jest on, taki poobijany i powyginany. Czy masz może Róg Valere na sprzedaż? A może będzie to miecz Smoka?

Mat podskoczył niemalże, gdy usłyszał wzmiankę na temat Rogu, udało mu się jednak zachować obojętny ton głosu.

– Byłem chory.

Pozostali gwardziści również patrzyli już na niego.

"Światłości, oni wszyscy wiedzą, że nie wolno mi opuścić tego miejsca".

Zmusił się do śmiechu.

– Siostry uzdrowiły mnie. – Na czołach kilku gwardzistów pojawiły się zmarszczki. Zapewne uważali, że ze strony innych mężczyzn należy się Aes Sedai więcej szacunku i nie przypadło im do gustu nazywanie ich siostrami. – Przypuszczam że Aes Sedai nie chcą, abym odjechał, zanim nie odzyskam pełni sił.

Usiłował zmusić niemalże tych mężczyzn, którzy wszyscy już patrzyli na niego, by zaakceptowali podawane wyjaśnienia.

"Po prostu mężczyzna, który został uzdrowiony. Nic więcej. Żadnego powodu, by dalej kłopotać się o niego".

Illianin pokiwał głową.

– W twarzy masz coś takiego, co zdaje się wskazywać na przebytą chorobę. Być może to jest właśnie przyczyna. Nigdy jednak nie słyszałem, by tak wiele wysiłku wkładano w zatrzymanie w mieście jednego chorego człowieka.

– Tak, to jest właśnie powód – odrzekł Mat zdecydowanie. Pozostali wciąż patrzyli na niego. – Cóż, muszę już iść. Kazały mi dużo spacerować. Chodzić na długie spacery. Rozumiecie, aby odbudować swoje siły.

Odchodząc, czuł odprowadzające go spojrzenia. Sposepniał. Chciał po prostu sprawdzić, do jakiego stopnia ścisłym rysopisem dysponują strażę. Gdyby posiadali go tylko oficerowie straży na moście, wówczas może mógłby się jakoś prześlizgnąć. Zawsze był dobry we wślizgiwaniu się niepostrzeżenie w rozmaite miejsca. I wyślizgiwaniu. Był to talent, który rozwija się u każdego, kto posiada matkę nieustannie podejrzewającą go o jakieś psoty oraz cztery siostry zawsze gotowe jej o tym donieść.

"No i teraz wiem, że zna mnie już połowa gwardzistów mieszkających w koszarach. Krew i krwawe popioły!"

Większość terenów Wieży zajmowały ogrody pełne drzew, krzewów skórzanych, papierowców oraz wiązów, toteż wkrótce wędrował już po szerokiej, krętej, zwirowanej alejce z powodzeniem udającej zwykłą, wiejską ścieżkę. Złudzenie rozwiewały jednak wieże widpczne ponad szczytami drzew. A także wielki, biały korpus samej Wieży, który miał za plecami, który jednak ciążył nad nim, jakby niemalże niósł go na swych ramionach. Jeśli gdziekolwiek miałyby się znajdować nie strzeżone wyjścia z jej terenów, to miejsce wydawało się najbardziej odpowiednim na rozpoczęcie

poszukiwań. Jeśli oczywiście w ogóle takowe istniały.

Na ścieżce przed sobą dostrzegł dziewczynę w białej sukni nowicjuszki, zmierzała zdecydowanym krokiem w jego kierunku. Zatopiona w myślach, zrazu go nie dostrzegła. Kiedy zbliżyła się na tyle, iż mógł zobaczyć jej wielkie, ciemne oczy i w szczególny sposób spleciony warkocz, szeroki uśmiech zniecała wypełził na jego oblicze. Znał tę dziewczynę – wspomnienie wypłynęło zza całunu, przesłaniającego głębinę pamięci – chociaż przenigdy nie spodziewałby się spotkać jej tutaj. W ogóle nie sądził, że ją jeszcze kiedykolwiek w życiu zobaczy. Uśmiechnął się do siebie.

"Po poprzednim pechu, los się wreszcie do mnie uśmiechnął".

O ile pamiętał, zawsze chętnie oglądała się za chłopcami.

– Else – zawołał ją. – Else Grinwell. Pamiętasz mnie, nieprawdaż? Mat Cauthon. Przyjaciel. Odwiedziłem kiedyś farmę twego ojca. Pamiętasz? Postanowiłaś więc zostać Aes Sedai?

Zatrzymała się zaskoczona i spojrzała na niego.

– Co ty robisz na nogach i dodatkowo w ogrodzie? Chłodnym głosem odwróciła pytanie.

– Wiesz o wszystkim, tak? – Podszedł bliżej, ale ona równocześnie cofnęła się o krok, zachowując pierwotną odległość. Zatrzymał się. – Nie obawiaj się, nie jestem już zatruty. Zostałem uzdrowiony, Else.

Wielkie, ciemne oczy wydawały się o wiele mądrzejsze, niż na obrazie zachowanym w pamięci, nie miały w sobie już tyle ciepła, przypuszczał, że odpowiedzialne za to są nauki Aes Sedai.

– O co chodzi, Else? Wyglądasz, jakbyś mnie nie poznawała.

– Poznaję cię – odrzekła. Jej sposób bycia również się zmienił; zachowywała się tak, jakby mogła udzielać lekcji Elayne. – Mam... pracę do wykonania. Pozwól mi przejść.

Skrzywił się. Ścieżka była wystarczająco szeroka, żeby swobodnie zmieściło się na niej sześcioro ludzi.

– Powiedziałem ci, że nie mam żadnych złych zamiarów.

– Przepuść mnie!

Mrucząc coś do siebie, odsunął się i stanął na skraju żwiru. Minęła go, trzymając się przeciwległej strony alejki. Przez cały czas uważała, czy nie próbuje podejść bliżej. Potem poszła przed siebie, przyspieszając kroku i zerkając przez ramię, do czasu aż zasłonił ją zakręt ścieżki.

"Chciała się upewnić, czy nie idę za nią – pomyślał kwaśno. – Najpierw gwardziści, a teraz Else. Coś nie mam dzisiaj szczęścia".

Znowu ruszył przed siebie, a po niedługim czasie usłyszał dobiegający gdzieś z boku szaleńczy klekot, jakby dziesiątków kijów uderzających o siebie nawzajem. Zaciekawiony skręcił w kierunku hałasu, zagłębiając się pomiędzy drzewa.

Po krótkiej chwili wyszedł na duży obszar pozbawionej drzew, ubitej twardej ziemi, szeroki na co najmniej pięćdziesiąt kroków i długi na dwadzieścia. Pomiedzy otaczającymi go drzewami, na drewnianych stojakach dostrzegł pałki, miecze ćwiczebne zrobione z drewnianych listew luźno połączonych razem oraz kilka prawdziwych, bojowych mieczy, toporów oraz włóczni.

Rozproszeni po powierzchni terenu, połączeni w pary mężczyźni, niektórzy z nich obnażeni do pasa, walczyli ze sobą ćwiczebnymi mieczami. Niektórzy poruszali się tak lekko, że wyglądało, jakby tańczyli, przechodząc od figury do figury, od ciosu do riposty jednym płynnym ruchem. Oprócz widocznych na pierwszy rzut oka umiejętności, nic nie odróżniało ich od innych żołnierzy, Mat pewien był jednak, że patrzy na strażników.

Wszyscy ci zaś, którzy nie poruszali się tak płynnie, byli wyraźnie młodsi od tamtych, zaś każdą z ćwiczących par obserwował starszy mężczyzna, który zdawał się promieniować niebezpieczną

gracją, nawet jeśli stał zupełnie nieruchomo.

"Strażnicy i uczniowie" – zdecydował Mat.

Nie stanowił jedynej publiczności. Nie dalej jak dwadzieścia kroków od niego stało jakieś pół tuzina kobiet o pozbawionych wieku rysach Aes Sedai oraz drugie tyle w obszytych lamówką, białych sukniach Przyjętych. Wszystkie obserwowały jedną parę uczniów, obnażonych do pasa i spływających potem pod kierunkiem strażnika o posturze przypominającej kamienny blok. Kierował swymi uczniami przy pomocy cybucha krótkiej fajki, trzymanej w dłoni. Znad główki fajki unosiła się smuga tytoniowego dymu.

Mat usadowił się ze skrzyżowanymi nogami pod skórzanym drzewem i podniósłszy z ziemi trzy spore kamyki, zaczął je bezmyślnie podrzucać. Nie czuł się właściwie słaby, wygodniej jednak było mu siedzieć, niżli stać. Jeżeli istnieje wyjście poza tereny Wieży, nie zniknie w czasie gdy pozwoli sobie na krótki odpoczynek.

Zanim minęło pięć minut, zrozumiał na kogo tak uważnie patrzą Aes Sedai i Przyjęte. Jeden z uczniów zwalistego strażnika, wysoki, szczupły młodzieniec poruszał się z gracją kota.

"Jest ładny jak dziewczyna" – pomyślał Mat, uśmiechając się krzywo.

Wszystkie kobiety błyszczącymi oczami wpatrywały się w wysokiego chłopaka, nawet Aes Sedai.

On zaś trzymał swój miecz ćwiczebny niemalże równie zręcznie jak strażnicy, co od czasu do czasu owocowało pochwalnym, wypowiedzianym z uroczystą miną, komentarzem ze strony jego nauczyciela. Nie chodziło nawet o to, że jego przeciwnik, młodzieniec mniej więcej w wieku Mata, o złotorudych włosach, był szczególnie niewprawy. Wręcz przeciwnie, przynajmniej na tyle, na ile Mat mógł to ocenić, chociaż nigdy nie utrzymywał, iż wie cokolwiek na temat posługiwania się mieczem. Złotowłosey kontrował każdy błyskawiczny atak, zanim związane deszczułki zdołały dosięgnąć jego ciała, a nawet zdobywał się ze swej strony na okazjonalne riposty. Jednak piękny młodzian odpierał wszystkie te ataki i w mgnieniu oka wyprowadzał własne.

Mat przerzucił kamyki do drugiej ręki i wciąż podrzucał w powietrze. Nie sądził, by odważył się stawić czoło któremuś z nich. Na pewno nie z mieczem w dłoni.

– Przerwa!

Głos strażnika zabrzmiał jak łoskot kamieni wysypywanych z wora. Ciężko dysząc, dwaj młodzieńcy pozwolili swym mieczom opaść przy bokach. Pot zlepił ich włosy.

– Możecie odpoczywać do czasu, aż nie skończę mojej fajki. Ale odpoczywajcie szybko, została mi już tylko resztkę tytoniu.

Teraz, kiedy przestali już tańczyć, Mat mógł się lepiej przyjrzeć młodzieńcowi o złotorudych włosach i kamienie wypadły mu z dłoni.

"Niech szczenę, założyłbym się o całą moją sakiewkę, że to brat Elayne. A ten drugi to Galad, albo niech zjem moje buty".

Podczas drogi z Głowy Tomana, połowa monologów Elayne dotyczyła cnót Gawyna i wad Galada. Och, zgodnie z tym, co mówiła, Gawyn również posiadał kilka wad, były one jednak nieznaczące; dla Mata były to wręcz rzeczy, które tylko siostra może w ogóle komuś poczytywać za wadę. Jeśli zaś chodzi o Galach, to kiedy przyparto ją do muru, jawił się w jej opowieści tak, że każda matka chciałaby, aby był jej synem. Mat nie sądził, żeby miał ochotę spędzić dłuższy czas w jego towarzystwie. Egwene czerwieniła się, kiedykolwiek wspomiano Galada, chociaż zapewne sądziła, iż nikt tego nie widzi.

Szmer przeszedł przez gromadkę patrzących kobiet, kiedy Gawyn i Galad przerwali ćwiczenia i jak na komendę ruszyli razem w kierunku brzegu polany. Jednak Galad spostrzegł Mata, powiedział

coś cicho do Gawyna i obaj przeszli obok kobiet. Aes Sedai i Przyjęte odwróciły się i powiodły za nimi wzrokiem. Na widok zbliżających się młodzieńców, Mat powstał.

– Ty jesteś Mat Cauthon, nieprawdaż? – zaczął Gawyn z uśmiechem. – To na pewno ty, rozpoznałem cię z opisu Egwene. Oraz Elayne. Jak rozumiem, byłeś chory. Ale teraz czujesz się już lepiej?

– Czuję się dobrze – odpowiedział Mat.

Zastanawiał się, czy powinien zwracać się do Gawyna "mój Panie" albo w inny, podobnie dworny, sposób. Odmówił dodawania frazy "moja Pani", kiedy rozmawiał z Elayne – choć ona, w rzeczy samej, wcale tego nie wymagała – postanowił więc, że jej brata nie będzie traktował lepiej.

– Czy przyszedłeś na plac ćwiczeń, aby wprawiać się w mieczu? – zapytał Galad.

Mat potrząsnął głową.

– Tylko spacerowałem. Niezbyt znam się na posługiwaniu mieczem. Sądzę, że wystarczy mi dobry łuk lub niezła pałka. Wiem, jak ich używać.

– Spędzając odpowiednio dużo czasu z Nynaeve powiedział Galad – potrzebujesz nie tylko łuku i pałki, ale także miecza, aby czuć się bezpiecznie. A nie jestem przekonany, czy w istocie to by wystarczyło.

Gawyn obrzucił go spojrzeniem pełnym niedowierzania.

– Galad, niemalże udało ci się opowiedzieć dowcip.

– Mam poczucie humoru, Gawynie – rzucił tamten, zmarszczywszy brwi. – Sądysz, że jest inaczej tylko dlatego, iż nie dbam o to, by rozśmieszać ludzi.

Potrząsnąwszy głową, Gawyn na powrót zwrócił się do Mata.

– Powinieneś nauczyć się czegoś o władaniu mieczem. Ten typ wiedzy potrzebny jest każdemu w dzisiejszych czasach. Twój przyjaciel, Rand al'Thor, nosi przy boku doprawdy niezwykły miecz. Czy miałeś o nim jakieś wieści?

– Od bardzo długiego czasu nie widziałem Randa odpowiedział szybko Mat. Tylko na chwilę, w momencie gdy wymienił imię Randa, w oczach Gawyna pojawił się błysk zainteresowania.

"Światłości, czy on wie o Randzie? Skąd mógłby? Jeśli jednak tak jest, zadenuncjuje mnie jako Sprzymierzeńca Ciemności tylko dlatego, że jestem jego przyjacielem. Ale coś jednak wie".

– Wiesz dobrze, że nie wszystko zaczyna się i kończy na mieczu. Jak mniemam, uzbrojony w pałkę z łatwością dotrzymałbym pola każdemu z was.

Kaszel Gawyna w oczywisty sposób miał zamaskować śmiech. Z nadzbyt wystudiowaną grzecznością powiedział:

– Musisz być bardzo dobry z pałką.

Twarz Galada wyrażała otwarte niedowierzenie.

Zapewne zrobił to dlatego, że obaj sądzili w oczywisty sposób, że zwyczajnie się przechwala. Być może dlatego, iż zmarnował szansę na wypytanie gwardzistów. Może to z powodu Else, która kiedyś przecież tak się oglądała za chłopcami, a teraz nie chciała mieć z nim nic do czynienia, i wszystkich tych kobiet, które patrzyły na Galada jak kot na dzban śmietany. Aes Sedai czy Przyjęte, wszystkie dalej były tylko kobietami. Kolejne wyjaśnienia przemknęły przez myśli Mata, ale odrzucił je gniewnie, szczególnie to ostatnie. Miał zamiar zrobić to dlatego, że będzie zabawnie. Przy okazji może uda się zarobić kilka monet. Nie będzie mu potrzebny nawet nawrót szczęścia.

– Mogę postawić – zaczął – dwie srebrne marki, przeciwko dwóm od każdego z was, że pokonam was obu naraz, dokładnie tak, jak powiedziałem. Nie uzyskacie lepszej stawki niż ta. Was jest dwóch, a ja jestem jeden, tak więc dwa do jednego to dobry stosunek.

Niemalże roześmiał się na głos, widząc konsternację na ich twarzach.

– Mat – uspokajał go Gawyn – nie ma potrzeby od razu się zakładać. Byłeś chory. Może spróbujemy się, kiedy będziesz silniejszy?

– To nie ma nic wspólnego z uczciwym zakładem dodał Galad. – Nie będę się z tobą zakładał, ani teraz, ani później. Pochodzisz z tej samej wioski co Egwene, nieprawdaż? Nie... nie chciałbym, aby była na mnie zła.

– A co ona ma z tym wspólnego? Traficie mnie raz jednym ze swoich mieczy i każdy otrzymuje srebrną markę; Jeżeli ja trafię was, każdy da mi dwie. Uważacie, że nie jesteście w stanie dać sobie ze mną rady?

– To jest śmieszne – oponował Galad. – Nie miał byś szans z jednym wyćwiczonym szermierzem, a co dopiero z dwoma. Nie mogę zgodzić się na takie fory.

– Tak sądzisz? – zapytał poważny głos. Zwalisty strażnik przyłączył się do nich, spod gęstych brwi patrzyły nachmurzone oczy. – Sądzicie, że we dwójkę jesteście wystarczająco dobrzy, aby pokonać chłopaka z kijem?

– To nie jest uczciwe, Hammar Gaidin – upierał się Galad.

– Był chory niedawno – dodał Gawyn. – Nie ma potrzeby wszczynać całej tej sprawy.

– Na plac – zgrzytnął zębami Hammar i skinął głową przez ramię. Galad i Gawyn obdarzyli Mata pełnymi żalu spojrzeniami i posłuchali polecenia. Strażnik z powątpiewaniem oglądał go od stóp do głów. – Jesteś pewien, że tego chcesz, chłopcze? Kiedy przyjrzałem się tobie dokładniej, doszedłem do wniosku, że powinieneś jednak raczej zostać w łóżku.

– Przed chwilą właśnie z niego wyszedłem – zareplikował Mat – i jestem zdecydowany. Nie mam wyjścia. Nie chcę stracić swoich dwu marek.

Ciężkie brwi Hammara uniosły się w zdumieniu.

– Masz zamiar trwać przy tym zakładzie, chłopcze?

– Potrzebuję pieniędzy – zaśmiał się Mat.

Śmiech zamarł mu nagle na ustach, kiedy zwrócił się w stronę najbliższego stojaka, na którym znajdowały się pałki, a kolana się pod nim ugięły. Napiął mięśnie tak szybko, że nie sądził, by ktokolwiek, kto to zobaczył, nie posądził go o nic więcej, jak tylko o to, że po prostu się potknął. Aby odrobinę jeszcze zyskać na czasie, zmarudził przy stojaku, długo wybierając pałkę. Wreszcie trzymał w ręku drzewce, grube na dwa cale i niemalże stopę wyższe niż on sam.

"Muszę zwyciężyć. Otworzyłem głupią gębę i teraz muszę wygrać. Nie mogę pozwolić sobie na stratę tych dwu nerek. Bez nich, jako punktu wyjścia, zdobycie pieniędzy, których potrzebuję, zajmie mi wieczność".

Kiedy odwrócił się, obu rękoma trzymając pałkę przed sobą, Gawyn i Galad już czekali na niego w miejscu, gdzie przedtem ćwiczyli.

"Muszę wygrać".

– Szczęście – wymruczał. – Czas rzucić kości.

Hammar obrzucił go zdumionym spojrzeniem.

– Mówisz dawną mową, chłopcze?

Mat przez chwilę również wpatrywał się w niego, nic nie mówiąc. Mróz przeszył go do szpiku kości. Z wysiłkiem zmusił swe nogi do marszu i powędrował w kierunku placu ćwiczeń.

– Pamiętajcie o zakładzie – przypomniał głośno. Dwie srebrne marki od każdego z was, przeciwko dwóm moim.

Wśród Przyjętych rozszedł się szmer, gdy zrozumiały, co się dzieje. Aes Sedai czekały w milczeniu, milczeniu pełnym potępienia.

Gawyn i Galad rozdzielili się, każdy z nich stanął w odpowiedniej odległości po jego

przeciwnej stronie, miecze trzymali jedynie na poły wznesione.

– Żadnych zakładów – oznajmił Gawyn. – Nie było żadnego zakładu.

W tej samej chwili Galad powiedział:

– Nie mam zamiaru zabierać ci pieniędzy w taki sposób.

– Ja zaś mam zamiar zabrać ci twoje – odrzekł na to Mat.

– Stoi! – zaryczał Hammar. – Jeżeli oni nie mają tyle odwagi, by przyjąć twój zakład, chłopcze, wobec tego ja pokryję stawkę.

– Bardzo dobrze – zdecydował się Gawyn. – Jeżeli na to nalegasz... to stoi!

Galad wahał się przez moment, zanim burknął:

– Stoi więc. Skończmy już z tą farsą.

To ostrzeżenie było wszystkim, czego Mat potrzebował. Kiedy Galad ruszył na niego, przesunął dłonie po pałce i obrócił się dookoła własnej osi. Koniec pałki uderzył w żebra wysokiego mężczyzny powodując, że ten potknął się i jęknął. Mat pozwolił pałce odskoczyć od ciała Galada i zawirował, unosząc jej koniec dokładnie w tym samym momencie, gdy Gawyn znalazł się w jego zasięgu. Obniżył koniec pałki, wpuścił go pod ćwiczebny miecz Gawyna i podciął mu nogi. Kiedy tamten padał, dokończył obrotu dokładnie w odpowiednim momencie, żeby dosięgnąć Galada. Miecz tamtego wyleciał z rąk. Jakby w ogóle nie poczuł bólu, natychmiast przetoczył się zręcznym koziołkiem i powstał, trzymając ponownie miecz w obu dłoniach.

Przez chwilę nie zwracając na niego uwagi, Mat odwrócił się i skręcając nadgarstki, całą długością pałki wziął potężny zamach zza pleców. Gawyn, właśnie usiłując się podnieść, przyjął cios na skroń. Rozległo się głucho uderzenie, częściowo jedynie osłabione przez włosy. Gawyn osunął się bezwładnie na ziemię.

Mat był na poły jedynie świadomy poruszenia wśród Aes Sedai, spieszących z pomocą powalonemu bratu Elayne.

"Mam nadzieję, że nic mu nie zrobiłem. Na pewno nie: Spadając z płotu, wiele razy uderzyłem się mocniej".

Wciąż jeszcze miał naprzeciw siebie Galada, a ze sposobu, w jaki tamten czał się na palcach stóp, z właściwie uniesionym mieczem, wynikało, że wreszcie zaczął go traktować poważnie.

W tym momencie nogi Mata zaczęły drżeć.

"Światłości, nie mogę teraz osłabnąć. – Ale czuł, jak wkrada się w niego, niczym dojmujące drżenie, głód taki, jakby nie jadł od wielu dni. – Jeżeli będę czekał, aż mnie zaatakuje, to wcześniej chyba zemdleję. – Kiedy ruszył naprzód, z trudem powstrzymywał uginanie się kolan. Szczęście, zostań przy mnie".

Wraz z pierwszym ciosem zrozumiał, że szczęście, umiejętności, czy cokolwiek to było, co doprowadziło go tak daleko, wciąż jest z nim. Galadowi udało się odbić ten pierwszy cios, rozległo się ostre trzaśnięcie, odbił następny, potem kolejny i jeszcze jeden, ale widać było, jak wysiłek napina mu mięśnie twarzy. Zręczny szermierz, prawie równie dobry jak strażnicy, wkładał w walkę każdą uncję swych umiejętności, aby uchronić się przed pałką Mata. Nie atakował, stać go było tylko na obronę. Caiy czas skręcał w bok, by nie dać się zepchnąć do tyłu, a Mat naciskał na niego, pałka migotała zamazaną plamą. W pewnej chwili Galad dał krok w tył, potem następny, drewniane ostrze stanowiło kiepską tarczę przeciwko bojowej pałce.

Głód dręczył Mata, grasując po jego wnętrznościach jak stado łasic. Pot zalewał mu oczy, siły zaczynały się wyczerpywać, jakby upływając wraz z potem.

"Jeszcze nie. Nie mogę teraz upaść. Muszę wygrać. Teraz".

Zaryczał i włożył wszystkie swe siły w jeden ostatni atak.

Pałka mignęła obok miecza Galada i w błyskawicznym tempie uderzyła kolejno kolano, nadgarstek, żebra, by na koniec wbić się w jego brzuch niczym włócznia. Z głuchym jękiem Galad zatoczył się w tył, ze wszystkich sił walcząc o to, by nie upaść. Pałka drżała w dłoniach Mata, przygotowana do ostatniego, decydującego ciosu w gardło. Galad osunął się na ziemię.

Mat niemalże puścił pałkę, gdy zrozumiał, czego o mało co przed chwilą nie zrobił.

"Zwyciężyć, nie zabić. Światłości, o czym ja myślę?"

Odruchowo oparł koniec pałki o ziemię, a kiedy tylko to zrobił, musiał się jej mocno uchwycić, żeby samemu nie upaść. Głód przewiercał go, niczym nóż wydobywający szpik z kości. Nagle spostrzegł, że nie tylko Aes Sedai i Przyjęte przyglądały się walce. Przerwano wszystkie ćwiczenia, nikt inny nie walczył. Zarówno strażnicy, jak i uczniowie stali, patrząc na niego.

Hammar podszedł i stanął obok Galada, który wciąż jęcząc, leżał na ziemi, desperacko usiłując powstać. Strażnik podniósł głos niemalże do krzyku.

– Kto był największym mistrzem miecza wszystkich czasów?

Z gardeł dziesiątek uczniów wydobył się zgodny wrzask:

– Jearom, Gaidin!

– Tak! – odkrzyknął Hammar, obracając się, aby nabrać pewności, że wszyscy słuchają. – Przez całe swe życie Jearom walczył ponad dziesięć tysięcy razy, tak w bitwie, jak i w pojedynku. Pokonany został tylko raz. Przez chłopca uzbrojonego w pałkę! Pamiętajcie o tym. Pamiętajcie o tym, co przed chwilą zobaczyliście. – Opuścił spojrzenie na Galada i zniżył również głos. – Jeżeli nie jesteś w stanie podnieść się, chłopcze, to przegrałeś.

Uniósł dłoń i Aes Sedai wraz z Przyjętymi podbiegły, by otoczyć Galada.

Mat, wciąż trzymając pałkę, osunął się na kolana. Żadna Aes Sedai nawet nie spojrzała w jego stronę. Zrobiła to tylko jedna z Przyjętych, pulchna dziewczyna, którą chętnie wziąłby na tańce, gdyby nie zamierzała zostać Aes Sedai. Obrzuciła go spojrzeniem spod zmarszczonych brwi, prychnęła i odwróciła się, aby zobaczyć, co robią Aes Sedai, zajmujące się Galadem.

Zauważył z ulgą, że Gawyn był już na nogach. Podniósł się, kiedy tamten podszedł bliżej.

"Nie mogę niczego po sobie pokazać. Nigdy się stąd nie wydostanę, jeśli postanowią niańczyć mnie od wschodu do wschodu słońca".

Ciemna plama krwi barwiła rudozłote włosy Gawyna na lewej skroni, poza tym jednak nie było widać żadnego skaleczenia ani nawet stłuczenia.

Wsunął w dłoń Mata dwie marki, mówiąc sucho:

– Sądzę, że następnym razem będę jednak słuchał. Zauważył spojrzenie Mata i dotknął głowy. – Uzdrawiły ją, ale nie była to żadna poważna rana. Elayne niejednokrotnie przysparzała mi gorszych. Dobry jesteś.

– Nie tak dobry, jak mój ojciec. Każdego roku, jak długo pamiętam, wygrywał zawody w pałce na Bel Tine, wyjąwszy raz czy dwa, kiedy to udało się ojcowi Randa. – Pełen zainteresowania błysk znowu pojawił się w oczach Gawyna, a Mat pożałował, że kiedykolwiek wymienił imię Tama al'Thora. Aes Sedai i Przyjęte wciąż trwały skupione wokół Galada. – Musiałem... musiałem mocno go zranić. Nie miałem takiego zamiaru.

Gawyn spojrzał w tamtą stronę – nie można było niczego zobaczyć prócz dwu rzędów kobiecych pleców, białe suknie Przyjętych kreśliły zewnętrzny krąg, gdy nachylały się nad ramionami kucających Aes Sedai – i zaśmiał się.

– Na pewno go nie zabiłeś, słyszałem, jak jęczał, bez wątpliwości wkrótce stanie na nogach, ale teraz nie pozwolą sobie na stratę takiej szansy, teraz gdy już udało im się położyć na nim swoje ręce. Światłości, cztery z nich to Zielone Ajah!

Mat rzucił mu zmieszane spojrzenie.

"Zielone Ajah? Dlaczego to ma mieć jakieś znaczenie?"

Tamten jednak tylko potrząsnął głową.

– To nieważne. Po prostu przyjmij do wiadomości, że najgorsze, czego Galad może się obawiać, to właśnie to, że zanim odzyska jasność myśli, okaże się, iż jest już strażnikiem u boku Zielonej Aes Sedai. – Zaśmiał się ponownie. – Nie, tego nie zrobią. Ale założę się o te dwie moje marki, które trzymasz w ręku, że niektóre z nich szczerze żałują, iż nie mogą.

– Nie twoje marki – powiedział Mat, wsuwając je do kieszeni kaftana. – Moje.

Otrzymane wyjaśnienia nie miały dla niego zbyt wiele sensu. Oprócz tego, że z Galadem wszystko dobrze. O stosunkach łączących strażników i Aes Sedai wiedział tylko tyle, ile pozostało z fragmentów wspomnień o zachowaniu Moiraine i Lana, a w nim nie było nic z tego, co Gawyn zdawał się sugerować.

– Czy sądzisz, że miałyby coś przeciwko temu, gdybym odebrał od niego swoją wygraną?

– Zapewne mogłoby się tak stać – powiedział sucha Hammar, gdy dołączył do nich. – Obecnie nie jesteś zbyt popularną postacią wśród tych właśnie Aes Sedai. – Parsknął. – Pomyślałby ktoś, że Zielone Aes Sedai powinny zachowywać się lepiej niż dziewczynki, które niedawno przestały się czepiać fartucha matki. Aż tak przystojny nie jest.

– Nie jest – zgodził się Mat.

Gawyn objął obu szerokim uśmiechem, który zgasł jednak, gdy Hammar spojrzał na niego groźnie.

– Proszę – powiedział strażnik, wciskając dwie srebrne marki w dłoń Mata. – Potem odbiorę je sobie od Galada. Skąd jesteś, chłopcze?

– Manetheren. – Mat zeszywniał, gdy usłyszał, jak nazwa ta wyskakuje z jego ust. – To znaczy, jestem z Dwu Rzek. Słuchałem zbyt wielu opowieści o dawnych czasach. – Tylko patrzyli na niego, nie mówiąc ani słowa. – Sądzę... sądzę, że wrócę do siebie i zobaczę, czy nie znajdę tam czegoś do zjedzenia.

Choć nie rozbrzmiał jeszcze dzwon na Tercję, pokiwali głowami, jakby rozumiejąc.

Zatrzymał pałkę – nikt nie kazał mu jej odłożyć i szedł wolno, zanim drzewa nie zakryły go przed wzrokiem znajdujących się na placu. Kiedy już nikt nie mógł go zobaczyć, wsparł się na niej tak mocno, jakby tylko ona podtrzymywała go przed upadkiem. I nie wiadomo, czy rzeczywiście tak nie było.

Wydawało mu się, że jeśli rozchyli płaszcz, zobaczy dziurę w miejscu, gdzie kiedyś miał żołądek, dziurę rosnącą z każdą chwilą, aby wkrótce pochłonąć go całego. Ale nie myślał o głodzie. Ciągłe słyszał słowa brzmiące mu w uszach:

"Mówisz dawną mową, chłopcze? Manetheren. – Nazwa ta spowodowała, że zadrżał. – Światłości, pomóż mi. Zapadam się coraz głębiej. Muszę się stąd wydostać. Ale jak? – Powlókł się w kierunku Wieży, przygięty jak stary, bardzo stary człowiek. – Jak?"

ROZDZIAŁ 25

PYTANIA

Egwene leżała w poprzek łóżka Nynaeve, z policzkami opartymi o dłonie, patrząc, jak tamta spaceruje w tę i z powrotem. Elayne rozłożyła się przed kominkiem, w którym wciąż pełno było popiołu z ognia palonego zeszłej nocy. Kolejny raz Elayne studiowała listę imion, które wypisała Verin, cierpliwie odczytując ponownie każde słowo. Pozostałe strony, na których wymieniono *ter'angreale*, spoczywały na stole. Po jednorazowym odczytaniu, które zresztą wywołało u nich wstrząs przemieszany ze zdumieniem, nie wracały do nich więcej, chociaż o wszystkim innym mówiły dużo. Kłócąc się przy tej okazji niemiłosiernie.

Egwene stłumiła ziewnięcie. Było dopiero przedpołudnie, jednak żadna nie zażyła tej nocy zbyt wiele snu. Musiały wstać wcześniej. Z powodu dyżuru w kuchni i konieczności pomocy w przygotowaniu śniadania. Z powodu innych rzeczy, o których nie chciała myśleć. Krótki sen, który przypadł jej w udziale, wypełniały nieprzyjemne wizje.

"Może Anaiya mogłaby mi pomóc je zrozumieć, te przynajmniej, które domagają się zrozumienia, ale... Ale co, jeśli ona jest Czarną Ajah?"

Po tym, jak wczorajszej nocy w komnacie pod Wieżą wpatrywała się we wszystkie kobiety po kolei, zastanawiając się, która jest Czarną Ajah, z trudem odnajdywała w sobie zaufanie do kogokolwiek prócz swych dwu towarzyszek. Ale żałowała, że nie ma jakiegoś sposobu na interpretację tamtych snów.

Koszmary dotyczące tego, co zdarzyło się zeszłej nocy w *ter'angrealu* były wystarczająco łatwe do wyjaśnienia, choć budziła się po nich z płaczem. Śniła też o Seanchanach, o kobietach ubranych w suknie, z błyskawicami wyszytymi na piersiach, wiodących na smyczach szereg innych kobiet, na których palcach lśniły pierścienie z Wielkim Wężem i przymuszających je do ciskania gromów przeciwko Białej Wieży. Ten sen spowodował, że obudziła się zlaną zimnym potem, ale to również był tylko koszmar. Albo sen o Białych Płaszczach wiążących dłonie jej ojca. Koszmar wywołany przez tęsknotę za domem, jak przypuszczała. Ale te inne...

Ponownie spojrzała na pozostałe kobiety. Elayne wciąż czytała. Nynaeve nieprzerwanie przemierzała równym krokiem izbę.

Był sen o Randzie – sięga po miecz, który zdaje się być wykuty z kryształu i nie dostrzega opadającej na niego sieci. I kolejny o nim – jak klęczy w komnacie, w której pałacy wiatr rozwiewa kurz po podłodze, a istoty podobne do tej, którą umieszczono na sztandarze Smoka, jednak dużo mniejsze, unoszą się na tym wietrze i przysiadają mu na skórze. Był sen o tym, jak Rand schodzi w głąb wielkiej dziury w czarnej górze, dziury wypełnionej czerwoną poświatą, jakby odbłaskiem wielkich ogni, płonących w jej głębi, a nawet o tym, jak stawia czoło Seanchanom.

Co do tego ostatniego nie miała pewności, pozostałe jednak musiały coś znaczyć. Kiedyś dawno, zanim była pewna, że może wierzyć Anaiyi, dużo wcześniej nim opuściła Wieżę, zanim nauczyła się, iż Czarne Ajah są ponurą rzeczywistością, zrozumiała, że kilka ostrożnych pytań pod adresem Aes Sedai – postawionych, och, tak zręcznie, że Anaiya nie mogła uważać ich za nic innego niżli wyraz czystej ciekawości, jaką darzyła również inne tematy – zdradziło jej, że sny Śniącej na temat *ta'veren* są niemalże zawsze znaczące, a im silniejszy *ta'veren*, tym bardziej owo "niemalże zawsze" zamienia się w "na pewno".

Ale Mat i Perrin również byli *ta'veren*, o nich śniła takie. Dziwne sny, bardziej nawet trudne do zrozumienia niżli sny o Rundzie. Perrin z sokołem na ramieniu i Perrin z jastrzębiem. Jedynie jastrzęb

trzymał smycz w pazurach – Egwene była w jakiś sposób pewna; że zarówno sokół, jak i jastrząb były płci żeńskiej – a sokół próbował zacisnąć ją wokół szyi Perrina. Do teraz drżała na jego wspomnienie, nie lubiła snów o smyczach. Albo ten sen o Perrinie z brodą! – prowadzącym wielkie stado wilków, które rozciągało się jak okiem sięgnąć. Sny o Macie były jeszcze bardziej nawet paskudne. Mat umieszczający swe lewe oko na szalce wagi. Mat zwisający za szyję z gałęzi drzewa. Był też sen o Macie i Seanchanach, ale ze wszystkich sił pragnęła odrzucić go jako zwykły koszmar. Tak jak ten, w którym Mat przemawiał w dawnej mowie. Mógł przecież być rezultatem tego, co słyszała podczas jego uzdrawiania.

Westchnęła, a westchnienie wywołało następne ziewnięcie. Zaraz po śniadaniu poszły wszystkie trzy do jego pokoju, aby zobaczyć, jak się czuje, ale nie było go w środku.

"Zapewne czuje się wystarczająco dobrze, by tańczyć. Światłości, teraz będę pewnie śniła, jak tańczy z Seanchanami! Żadnych więcej snów – powiedziała sobie zdecydowanie. – Nie teraz. Pomyślę o nich, gdy nie będę tak zmęczona".

Zamiast tego pomyślała o kuchni, o południowym posiłku, zbliżającym się wielkimi krokami, a potem znowu kolacja, i ponownie rano śniadanie, i garnki, i czyszczenie, i skrobanie, i tak już bez końca.

"Jakbym nigdy już nie miała odpocząć".

Zmieniła pozycję na łóżku i popatrzyła na swe przyjaciółki. Elayne wciąż siedziała ze wzrokiem wbitym w listę imion. Nynaeve zwolniła kroku.

"Zaraz Nynaeve znowu to powie. Jak za każdym razem".

Nynaeve zatrzymała się i spojrzała w dół, na Elayne.

– Odłóż to. Przeglądałyśmy je dwadzieścia razy i nie znalazłyśmy żadnego słowa, z którego cokolwiek by wynikało. Verin dała nam same śmieci. Pytanie brzmi, czy to po prostu wszystko, co miała, czy też zrobiła to celowo?

"Zgodnie z oczekiwaniami. Minie jakieś pół godziny, zanim powie to ponownie".

Egwene spojrzała na swoje ręce i zmarszczyła brwi, zadowolona, że nie może ujrzeć ich dokładnie. Pierścień z Wielkim Wężem prezentował się – zupełnie nie na miejscu – na dłoniach pomarszczonych od długiego zanurzania w gorącej wodzie z mydłem.

– Znajomość ich imion jest pomocna – powiedziała Elayne, nie odrywając wzroku od kartki. – Wiedza o tym, jak wyglądają, również jest pomocna.

– Wiesz dobrze, co chciałam powiedzieć – odburknęła Nynaeve.

Egwene westchnęła i zaplótłszy przed sobą ramiona, przyłożyła do nich policzki. Kiedy tego ranka wyszła z gabinetu Sheriam, a słońce nawet jeszcze nie pozłociło horyzontu, Nynaeve czekała na nią ze świecą w ręku, w zimnym, ciemnym korytarzu. Nie widziała dokładnie, ale pewna była, że tamta wygląda, jakby była gotowa gryźć kamień. A jednocześnie wiedziała aż nazbyt dobrze, że nawet to nie zmieni niczego podczas następnych dziesięciu minut. Dlatego tak łatwo wpadała we wściekłość.

"Jest równie wrażliwa na punkcie swej dumy, jak wszyscy mężczyźni jakich kiedykolwiek w życiu spotkałam. Ale nie powinna wyzywać się na mnie i Elayne. Światłości, jeśli Elayne jest w stanie to znieść, ona również mogłaby. Nie jest już dłużej Wiedzącą".

Elayne zdawała się niemalże nie zauważać, czy Nynaeve łatwo wpada w gniew, czy też jest może zupełnie przeciwnie. W zamyśleniu wpatrzyła się w dal.

– Liandrin jako jedyna pochodziła z Czerwonych. Wszystkie pozostałe Ajah utraciły po dwie siostry.

– Och, bądź cicho, dziecko – powiedziała Nynaeve.

Elayne pokręciła uniesioną dłonią, ukazując swój pierścień z Wielkim Wężem, obdarzyła Nynaeve znaczącym spojrzeniem i ciągnęła dalej:

– Każda z nich urodziła się w innym mieście, nie więcej niżli dwie w tej samej krainie. Amico Nagoyin była najmłodsza, tylko cztery lata starsza od Egwene i mnie, Joiya Byir mogłaby być naszą babcią.

Egwene nie podobało się, że jedna z Czarnych Ajah nosiła imię jej córki.

"Głupia dziewczyno! Ludzie czasami mają takie same imiona, a ty nigdy nie miałaś córki. To nie było prawdziwe!"

– I co z tego wynika? – Głos Nynaeve był jakby na zbyt spokojny, znaczyło to, że gotowa jest wybuchnąć niczym wóz pełen fajerwerków. – Jakie tajemnice odnalazłaś w tych dokumentach, które uszły mojej uwagi? Ostatecznie staję się coraz starsza i bardziej ślepa!

– Wynika stąd, że wszystko się jakoś nazbyt zgrabnie układa – odrzekła spokojnie Elayne. – Jaka jest szansa, aby trzynaście kobiet, dobranych tylko z tego powodu, iż są Sprzymierzeńcami Ciemności, tworzyło tak misterny układ według wieku, według narodowości, według Ajah? Nie powinno być raczej tak, aby były pośród nich na przykład trzy Czerwone, albo cztery urodzone w Cairhien, albo dwie w tym samym wieku, gdyby miał to być czysty przypadek? Albo miały z kogo wybierać, w przeciwnym razie nie byłyby w stanie zbudować tak doskonale przypadkowego wzoru. W Wieży albo gdzieś indziej wciąż zatem są jeszcze Czarne Ajah, o których nie wiemy. To musi tyle oznaczać.

Nynaeve zafundowała swemu warkoczowi jedno gwałtowne szarpnięcie.

– Światłości! Sądzę, że możesz mieć rację. Rzeczywiście potrafisz odkrywać tajemnice, które uchodzą mojej uwagi. Światłości, miałam nadzieję, że wszystkie odeszły z Liandrin.

– Nie wiemy nawet, czy to ona jest przywódczynią – dodała Elayne. – Mógł ktoś jej rozkazać aby... zajęła się nami. – Jej usta zacisnęły się. – Obawiam się, że istnieje jeden tylko powód, dla którego trudziły się do tego stopnia, żeby tak wszystko rozmazać, aby uniknąć każdego wzoru, wyjąwszy brak wzoru. Myślę, iż oznacza to, że można właśnie odnaleźć jakiś wzór pośród Czarnych Ajah.

– Jeśli taki wzór istnieje – oznajmiła zdecydowanie Nynaeve – to odnajdziemy go. Elayne, jeśli to obserwacja sposobu, w jaki twoja matka zarządza swym dworem spowodowało, że myślisz tak bystro, to cieszę się, iż obserwowałaś uważnie.

Uśmiech na jaki Egwene zdobyła się w odpowiedzi, wywołał dołeczki w jej policzkach.

Egwene uważnie obserwowała starszą przyjaciółkę. Wyglądało na to, że Nynaeve przestaje wreszcie zachowywać się jak niedźwiedź, którego boli ząb. Uniosła głowę.

– Chyba, że jest tak, iż pragną, abyśmy myślały o ukrytym wzorze i marnowały czas na jego poszukiwania, podczas gdy nic takiego być może nie istnieje. Nie mówię tym samym, że nie istnieje na pewno, powiadam tylko, że po prostu jeszcze nie wiemy. Powinniśmy go szukać, ale sądzą, że nie możemy równocześnie odwracać swej uwagi od innych rzeczy, nieprawdaż, jak myślicie?

– A więc postanowiłaś się na koniec obudzić – powiedziała Nynaeve. – Sądziłam, że zasnęłaś.

Wciąż jednak uśmiech nie schodził z jej twarzy.

– Ona ma rację – z niesmakiem przyznała Elayne. – Zbudowałam zamek na piasku. Na życzeniach. Być może ty również masz rację, Nynaeve. Jaki pożytek z tych... śmieci? – Porwała kartkę z leżącego przed nią stosu. Rianna miała czarne włosy z siwym pasmem na lewej skroni. Jeśli znajdę się tak blisko niej, by to dostrzec, będzie to o wiele zbyt blisko, niżbym sobie życzyła. – Podniosła następną stronicę. – Chesmal Emry jest jedną z najbardziej utalentowanych uzdrowicielek, jakie objawiły się w ciągu ostatnich lat. Światłości, czy wyobrażacie sobie, być uzdrawianą przez

jedną z Czarnych Ajah? – Trzecia kartka. – Marillin Gemalpin uwielbiała koty i zawsze odrywała się od swoich zajęć, by pomagać skaleczonym zwierzętom. Koty! Ba! – Chwyliła wszystkie kartki naraz i za: cisnęła w dłoniach. – Bezużyteczne śmieci.

Nynaeve uklękła przy niej i delikatnie oderwała jej dłonie od dokumentów.

– Być może tak, a być może wcale nie. – Uważnie wygładziła pomięte kartki, przyciskając je do piersi. Znalazłaś w nich coś, na czym możemy się skoncentrować. Jeżeli będziemy dostatecznie wytrwałe, być może odnajdziemy więcej. A tu jest kolejna lista.

Oczy ich obu skierowały się na Egwene, zarówno w niebieskich, jak i w brązowych lśniła jednakowa troska.

Egwene starała się nie patrzeć na stół, gdzie leżały dalsze kartki. Nie miała ochoty o nich myśleć, było to jednak nie do uniknięcia. Spis *ter'angreali* głęboko wrył się w jej myśli.

Pozycja. Różdżka wykonana z czystego kryształu, gładka i doskonale przezroczysta, długa na stopę, o średnicy jednego cala. Zastosowanie nieznane. Ostatnie badania przeprowadziła Corianin Nedeal. Alabastrowa figurka nagiej kobiety, wysokości dłoni. Zastosowanie nieznane. Ostatnie badanie przeprowadziła Corianin Nedeal. Pozycja. Krążek, pozornie z czystego żelaza, jednak nie tknięty przez rdzę, trzy cale średnicy, pięknie rzeźbiony po obu stronach w gęstą spiralę. Zastosowanie nieznane. Ostatnie badania wykonane przez Corianin Nedeal. Pozycja. Zbyt wiele pozycji i ponad połowa opatrzona dopiskiem "zastosowanie nieznane", ostatnie badania przeprowadziła Corianin Nedeal. Trzyście z nich, żeby wyrazić się ściśle.

Egwene zadrżała.

"Staje się powoli tak, że nawet nie potrafię myśleć o tej liczbie".

Pozycje, o których wiedziano więcej były na liście zdecydowanie mniej liczne, nie wszystkie wydawały się mieć jakieś rzeczywiste zastosowanie, ale nawet to, co wynikało z ewentualnych możliwości ich wykorzystania niewiele przyniosło uspokojenia, kiedy je zobaczyła. Drewniana rzeźba jeża, nie większa od ostatniego stawu męskiego kciuka. Tak prosta rzecz i zapewne nieszkodliwa. Każda kobieta, która próbowała przenosić przy jej pomocy, zasypiała. Pograżała się na pół dnia w spokojnym śnie bez marzeń, ale wnioski stąd wypływające wiodły w regiony, o których nie chciała myśleć, bowiem myśli takie wywoływały u niej gęsią skórę. Trzy kolejne przedmioty miały również coś wspólnego ze snami. Niemalże ulgę przynosiło czytanie o różdżce z czarnego kamienia, w kształcie podobnej do fletu, długiej na cały krok, która wytwarzała ogień stosu, zaopatrzonej w notatkę NIEBEZPIECZNE I NIEMALŻE NIEMOŻLIWE DO KONTROLOWANIA, skreśloną ręką Verin z takim naciskiem, że pióro przebiło w dwu miejscach papier. Egwene wciąż nie miała pojęcia, czym jest płomień stosu, lecz choć brzmiało to z pewnością groźnie jak mało co, z identyczną pewnością nie miało nic wspólnego z Corianin Nedeal ani ze snami.

Nynaeve zaniósła wygładzone kartki do stołu i położyła je na blacie. Zawahała się, zanim rozłożyła kolejne i przebiegła palcem w dół jednej stronicy, potem po następnej.

– Tutaj jest coś, co spodobałoby się Matowi – powiedziała głosem zbyt lekkim i beztróskim. – Pozycja. Rzeźbione kości do gry naznaczone kropkami, połączone na rogach, mniej niż dwa cale w przekątnej. Zastosowanie nieznane, z wyjątkiem tego, że przenoszenie przy jego pomocy zdaje się zakłócać w pewien sposób przypadkowość. – Zaczęła czytać głośniej. – Przy rzutach monetą zawsze wypadła ta sama strona, w pewnej próbie moneta sto razy pod rząd lądowała na krawędzi. Z tysiąca rzutów kośćmi, tysiąc razy wypadło pięć koron. – Zaśmiała się w wymuszony sposób. – Mat by oszalał dla niego.

Egwene westchnęła, podniosła się i sztywno podeszła do kominka. Elayne usiadła i popatrzyła na nią, zachowując milczenie. Podobnie zachowywała się Nynaeve. Odsuwając rękaw tak wysoko

jak tylko mogła, Egwene sięgnęła ostrożnie w głąb komina. Pod palcami wyczuła wełnę na wewnętrznym gzymisie i wyciągnęła zwiniętą, pojedynczą pończochę, wielokrotnie cerowaną na palcach. Strzepnęła plamy sadzy z ręki, potem zaniósła pończochę na stół i wytrząsnęła ją. Skręcony pierścień z paskowanego, nakrapianego kamienia potoczył się po blacie i zatrzymał dokładnie na szczycie strony z listą *ter'angreali*. Przez kilka chwil wpatrywały się weń tylko, zachowując całkowite milczenie.

– Być może – powiedziała na koniec Nynaeve Verin najzwyczajniej przeoczyła fakt, że tak wiele z nich ostatni raz badała Corianin.

Jej głos nie brzmiał bynajmniej tak, jakby wierzyła w to, co mówi.

Elayne przytaknęła, ale najwyraźniej niechętnie.

– Widziałam, jak kiedyś spacerowała po ulewnym deszczu, przemoknięta do suchej nitki i zaniósłam jej płaszcz. Była tak pochłonięta tym, o czym myślała, że nie sądzę, aby zdawała sobie sprawę, że pada, dopóki nie zarzuciłam jej płaszcza na ramiona. Mogła więc to również przeoczyć.

– Być może – niechętnie zgodziła się Egwene. Jeśli jednak było inaczej, musiała wiedzieć, iż zorientuję się natychmiast, jak tylko przeczytam listę. Nie wiem. Czasami myślę, że Verin wie dużo więcej, niżli zdradza. Po prostu nie wiem.

– Tak więc Verin dochodzi nam jako kolejna podejrzana – westchnęła Elayne. – Jeżeli ona jest Czarną Ajah, wówczas dokładnie wiedzą, czym się zajmujemy. Alanna również.

Rzuciła Egwene niepewne spojrzenie z ukosa.

Egwene opowiedziała im wszystko: Wyjąwszy to, co zdarzyło się wewnątrz *ter'angreala* podczas jej inicjacji, nie była w stanie zmusić się, aby o tym mówić, nie bardziej niż Elayne czy Nynaeve, zdolne były relacjonować swoje przejścia. Wszystko poza tym starała się opowiedzieć jak najdokładniej, wszystko, co zdarzyło się w komnacie prób, to, co Sheriam zdradziła jej o straszliwej słabości, stanowiącej konsekwencję zdolności przenoszenia, każde słowo wypowiedziane przez Verin, niezależnie od tego, czy wydawało się istotne, czy nie. Jediną częścią opowieści, jaką było im najtrudniej zaakceptować było zachowanie Alarmy; Aes Sedai po prostu nie robiły takich rzeczy. Nikt zdrowy na umyśle nie robił takich rzeczy, ale do Aes Sedai było to już skrajnie niepodobne.

Egwene patrzyła na nie groźnie, słysząc nieomal, jak mówią w myślach:

– O Aes Sedai zakłada się również, że nie kłamią, ale Verin i Matka znalazły się niebezpiecznie blisko granicy prawdy, mówiąc nam to, co powiedziały. Dlatego też zakładamy, iż nie są Czarnymi Ajah.

– Lubię Alannę. – Nynaeve pociągnęła warkocz i zadrżała. – Och, dobrze. Być mo... To znaczy, rzeczywiście zachowała się dziwnie.

– Dziękuję – zauważyła Egwene, a Nynaeve przytaknęła, jakby nie dostrzegając sarkazmu w jej głosie.

– W każdym razie, Amyrlin wie o tym, a ona przecież może mieć baczenie na Alannę dużo łatwiej niż my.

– A co z Elaidą i Sheriam? – dopytywała się dalej Egwene.

– Nigdy nie byłam w stanie się zmusić, by polubić Elaidę – zauważyła Elayne – ale nie mogę naprawdę uwierzyć, żeby miała być Czarną Ajah. A Sheriam? To niemożliwe.

Nynaeve parsknęła.

– W odniesieniu do nich wszystkich powinno się to wydawać niemożliwe. Kiedy wreszcie je odnajdziemy, nie jest powiedziane, iż nie będą to kobiety które lubiliśmy. Nie chciałabym jednak obciążać zarzutem, i to zaraz takiego rodzaju, żadnej kobiety. Potrzebujemy więcej danych, jeżeli chcemy mieć jakieś wyniki, a nie tylko podejrzenia, iż ktoś może wyglądać na kogoś, kim nie jest. –

Egwene pokiwała głową niemal równie szybko jak Elayne, toteż Nynaeve ciągnęła dalej: – Opowiemy o tym wszystkim Amyrlin i nie będziemy przykładać do tego więcej wagi niżli trzeba. O ile oczywiście zechce się zobaczyć z nami tak, jak powiedziała. Jeżeli będziesz z nami, kiedy ją spotkamy, Elayne, pamiętaj, że ona nie wie o tobie.

– Nie ma zamiaru o tym zapomnieć – odrzekła żywo Elayne. – Ale powinniśmy mieć jakiś niezależny sposób przekazywania jej wiadomości. Moja matka zaplanowałaby to lepiej.

– Nie w sytuacji, w której nie mogłaby zaufać nawet posłańcom – odparła zarzut Nynaeve. – Poczekamy. Chyba, że któraś z was uważa, iż powinniśmy porozmawiać z Verin? Nikt nie będzie uważał tego za szczególnie znaczące.

Elayne zawahała się, potem lekko pokręciła głową. Egwene zachowała się podobnie, tylko jej ruchy były szybsze i bardziej zdecydowane. Roztargniona czy nie, Verin pominęła zbyt wiele rzeczy, by można było jej zaufać.

– Dobrze. – W głosie Nynaeve brzmiała otwarta satysfakcja. – Jestem niemalże zadowolona, że nie możemy rozmawiać z Amyrlin, kiedy tylko przyjdzie nam ochota. W ten sposób będziemy mogli podejmować własne decyzje, działać tak, jak uznamy za stosowne, a ona nie będzie kierować każdym naszym krokiem.

Jej dłoń powędrowała wzdłuż strony wymieniającej skradzione *ter'angreale*, jakby odczytywała ją ponownie, potem skupiła się na pasiastym, kamiennym pierścieniu.

– A pierwsze postanowienie brzmi, jak następuje. To jest jedyna rzecz, która ma jakiś rzeczywisty związek z Liandrin i jej współpracownikami. – Zmarszczyła brwi, spoglądając na pierścień, potem wzięła głęboki oddech. – Dzisiejszej nocy będę z nim spała.

Egwene nie zawahała się nawet przez chwilę, wyjmując pierścień z ręki Nynaeve. Sądziła, że nie odbędzie się to tak zdecydowanie, że nawet nie uniesie dłoni, ale wszystko stało się inaczej i nie była z tego powodu niezadowolona.

– Jestem jedyną, o której one sądzą, że może być Śniącą. Nie wiem, czy to daje mi jakąś przewagę, ale Verin mówiła, iż jej stosowanie może okazać się niebezpieczne. Którakolwiek z nas go użyje, potrzebować będzie wszystkich możliwych zdolności.

Nynaeve ścisnęła warkocz i otworzyła usta, jakby chcąc zaprotestować. Kiedy jednak na koniec przemówiła, z jej ust wydobyło się tylko tyle:

– Jesteś pewna, Egwene? Nie wiemy nawet, czy rzeczywiście jesteś Śniącą, a ja potrafię przenosić silniej niż ty. Wciąż sądzę, że ja...

Egwene ucięła jej w pół słowa.

– Możesz przenosić silniej, ale jedynie wtedy, kiedy jesteś wściekła. A jesteś pewna, że we śnie będziesz potrafiła się złościć? Czy wystarczy ci czasu, aby się rozgniewać, zanim zaczniesz przenosić? Światłości, nie wiemy nawet, czy ktokolwiek potrafi przenosić podczas snu. Jeśli już jedna z nas ma to zrobić, a w tej sprawie masz słuszość, jest to rzeczywiście jedyny związek jaki posiadamy, właśnie powinnam być to ja. Być może naprawdę jestem Śniącą. Poza tym, Verin dała go mnie.

Nynaeve wyglądała, jakby miała zamiar się kłócić, ale ostatecznie tylko niechętnie skinęła głową.

– Dobrze więc. Ale Elayne i ja będziemy przy tobie. Nie wiem, na co się możemy przydać, ale jeśli coś pójdzie źle, być może uda nam się obudzić ciebie albo... W każdym razie będziemy tutaj.

Elayne również pokiwała głową.

Teraz, kiedy wszystko zostało już ustalone, Egwene poczuła lekkie uczucie mdłości w żołądku.

"To ja je do tego zmusiałam. Żałuję, że nie chciałam, aby mi to wyperswadowały".

Nagle zdała sobie sprawę z czyjejs obecności. W drzwiach stała kobieta ubrana w biel nowicjuszek, z włosami zaplecionymi w długie warkocze.

– Czy nikt nie nauczył cię pukać, Else? – zapytała Nynaeve.

Egwene szybko ukryła kamienny pierścień w dłoni. Miała dziwne uczucie, że Else wlepiła w niego swój wzrok.

– Mam dla was wiadomość – oznajmiła tamta spokojnie. Jej oczy badawczo wpatrywały się w stół z rozrzuconymi papierami, potem spoczęły na skupionych wokół niego kobietach. – Od Amyrlin.

Egwene wymieniła z Elayne i Nynaeve zdumione spojrzenia.

– Cóż więc, jak ona brzmi? – zapytała Nynaeve.

Else uniosła brew w rozbawieniu.

– Dobytek pozostały po Liandrin i jej towarzyszkach złożony jest w trzecim magazynie po prawej, licząc od głównych schodów w drugiej suterynie pod biblioteką.

Ponownie spojrzała na papiery rozłożone po stole i wyszła, ani szczególnie śpiesznie, ani nazbyt wolno.

Egwene czuła się, jakby nagle straciła dech w piersiach.

"My obawiamy się uwierzyć komukolwiek, Amyrlin zaś spokojnie, ze wszystkich kobiet, obdarza zaufaniem właśnie Else Grinwell?"

– Ta głupia dziewczyna niegodna jest, by zaufać jej, że nie rozpapie wszystkiego wszystkim dookoła!

Nynaeve ruszyła w kierunku drzwi.

Egwene zebrała swoje suknie i pobiegła za nią. Jej buty stukały po płytach galerii, ale spostrzegła mignięcie bieli znikające w dole najbliższej rampy i rzuciła się w jego kierunku.

"Ona również musi biec, inaczej byłaby bliżej. Dlaczego ucieka?"

Biały błysk zniknął już w dole kolejnej rampy. Egwene pospieszyła za nim.

Stojąca u podstawy rampy kobieta uniosła twarz do góry, a Egwene zatrzymała się zaskoczona, kimkolwiek była, na pewno nie była to Else. Cała w srebrach i białych jedwabiach, rozsiewała wokół siebie atmosferę takich uczuć, jakich Egwene nigdy dotąd nie zaznała. Była wyższa, dużo piękniejsza, a w spojrzeniu jej ciemnych oczu Egwene poczuła się mała, chuda i niezbyt czysta.

"Zapewne jest w stanie również przenosić więcej Mocy, niż ja potrafię. Światłości, bez wątpienia jest również sprytniejsza niżli my wszystkie trzy razem wzięte i do tego u szczytu naszych możliwości. To nie w porządku, aby jedna kobieta..."

Nagle zdała sobie sprawę, jakim torem poruszają się jej myśli. Na policzki wypełził rumieniec, otrząsnęła się. Nigdy przedtem nie czuła się... gorsza niż pozostałe kobiety i teraz też nie miała zamiaru dać się wplątywać w takie uczucia.

– Odważnie – powiedziała kobieta. – Jesteś niezwykle śmiała, biegnąc tak za czymś samotnie, kiedy dookoła zdarza się tyle morderstw.

Powiedziała to w taki sposób, jakby treść wypowiedzianych słów nieomal sprawiała jej przyjemność.

Egwene zatrzymała się gwałtownie, pośpiesznie wygładziła suknię, mając nadzieję, że ta kobieta niczego nie zauważy, a jednocześnie wiedząc, iż jest dokładnie odwrotnie i zapragnęła, by tamta nigdy nie widziała jej biegnącej jak dziecko.

"Dosyć tego!"

– Przepraszam, ale szukam nowicjuszeki, która, jak mniemam, musiała przechodzić tędy. Wysoka, o ciemnych oczach i takichże włosach, zaplecionych w warkocze. Jest pulchna i na pewien sposób ładna. Czy nie widziałaś jej?

Wysoka kobieta obejrzała ją od stóp do głów, w jej oczach lśniło rozbawienie. Egwene nie mogła być pewna, ale wydawało jej się, iż kobieta zatrzymała na chwilę spojrzenie na zwisającej wzdłuż boku zaciśniętej pięści, w której wciąż ścisnęła kamienny pierścień.

– Nie sądzę, żebyś była w stanie jeszcze ją dogonić, gdyż biegła bardzo szybko. Podejrzewam, że w tej chwili jest już daleko stąd.

– Aes Sedai – zaczęła Egwene, ale nie dano jej szansy na dowiedzenie się, którądy Else pobiegła. Coś, co wyglądało jak gniew, albo może irytacja, rozbłysło we wpatrzonych w nią ciemnych oczach.

– Dostyc już czasu zmarnowałam z tobą. Czekają na mnie ważniejsze sprawy. Odejdź więc.

Wykonała dłonią gest w kierunku, z którego przybiegła Egwene.

Tak silny był ton rozkazu w jej głosie, że Egwene odwróciła się i przeszła nawet trzy kroki po rampie, zanim zdała sobie sprawę, co robi. Zjeżyła się i natychmiast odwróciła.

"Aes Sedai czy nie Aes Sedai..."

Galeria była pusta.

Marszcząc brwi, minęła kolejne drzwi – w tych pokojach nikt nie mieszkał, wyjąwszy może myszy – i zbiegła w dół rampy, rozglądając się na wszystkie strony, przebiegła kolejny zakręt galerii, czujnie rozglądając się dokoła. Zajrzała nawet za parapet, spojrzęła w dół na mały Ogród Przyjętych i uważnie obejrzała pozostałe galerie, zarówno znajdujące się wyżej niż ona, jak i te poniżej. Ujrzała dwie Przyjęte w lamowanych sukniach, jedną była Faolain, drugą – kobieta znana jej tylko z widzenia, a nie z imienia. Nigdzie jednak nie było kobiety odzianej w srebra i biele.

ROZDZIAŁ 26

ZA ZAMKIEM

Potrząsając głową, Egwene wróciła do drzwi, które przed chwilą minęła.

"Ona gdzieś musi być".

W pierwszym pokoju, do którego zajrzała, nieliczne meble wyglądały jak bezkształtne pagórki pokryte powłoką kurzu, powietrze trwało nieruchome i zastarzałe, jakby drzwi nie otwierano już od bardzo dawna. Skrzywiła się, na podłodze rzeczywiście były ślady mysich łapek. Ale żadnych innych. Kolejnych dwoje pośpiesznie otwieranych drzwi ukazywało mniej więcej taki sam obraz. Nie stanowiło to dla niej zaskoczenia. W galeriach, w których mieszkały Przyjęte było więcej wolnych pokoi niżli zajętych.

Kiedy wyszła z trzeciego z kolei pokoju, odwróciła się, spojrzała przez ramię i zobaczyła, jak Elayne i Nynaeve schodzą po rampie, szczególnie zresztą się nie spiesząc.

– Czy ona się gdzieś schowała? – zapytała zaskoczona Nynaeve. – Tutaj?

– Zgubiłam ją.

Egwene ponownie rozejrzała się po galerii, w lewo i w prawo.

"Gdzież ona mogła się podziać?"

Nie miała na myśli Else.

– Gdybym uważała, że Else potrafi cię prześcignąć powiedziała Elayne z uśmiechem – ścigałabym ją również, ona jednak zawsze wydawała mi się zbyt gruba na to, żeby dobrze biegać.

Przez jej uśmiech prześwitywało jednak zmartwienie.

– Będziemy musiały później ją znaleźć – zdecydowała Nynaeve – i upewnić się, że będzie trzymała buzię zamkniętą na kłódkę. Jak Amyrlin mogła zaufać takiej dziewczynie? ;

– Sądziłam, że biegnę tuż za nią – zaczęła wolno Egwene – ale to był ktoś inny. Nynaeve, odwróciłam się dosłownie na moment, a ona zniknęła. Nie Else, jej nawet nie widziałam, kobieta, którą w pierwszej chwili wzięłam za Else. Po prostu... zniknęła i nie mam pojęcia ani jak, ani gdzie.

Elayne wstrzymała oddech.

– Jeden z Bezdusznym?

Rozejrzała się szybko dookoła, ale galeria nadal była całkowicie pusta, wyjąwszy oczywiście obecność ich trzech.

– Nie ona – odrzekła zdecydowanie Egwene. – Ona...

"Nie mam chyba zamiaru im powiedzieć, że spowodowała, iż czułam się jak sześciolatka dziewczynka w podartej sukience, z brudną twarzą i katarem w nosku".

– Ona nie była Szarym Człowiekiem. Była wysoka i imponująca, z ciemnymi oczyma i czarnymi włosami. Zauważyłybyście ją w tłumie tysiąca ludzi. Nigdy dotąd jej nie widziałam, ale sądzę, że jest z pewnością Aes Sedai. Musi być.

Nynaeve milczała, jakby czekając na więcej, potem powiedziała niecierpliwie:

– Jeśli zobaczysz ją jeszcze kiedyś, przyślij ją wprost do mnie. Oczywiście, jeżeli znajdziesz po temu dostateczne powody. Nie mamy czasu, by tak stać tutaj i gawędzić sobie. Mam zamiar sprawdzić, co jest w tym magazynie, zanim Else będzie miała okazję opowiedzieć o wszystkim niewłaściwej osobie. Być może były nazbyt bez troskie. Nie dawajmy im szans naprawienia tego błędu, jeżeli rzeczywiście tak się stało.

Kiedy ruszyła za Nynaeve, mając Elayne przy swoim boku, zdała sobie sprawę, że wciąż ma kamienny pierścień

– "Ter'angreal Corianin Nedeal" – który zaciska w dłoni. Niechętnie wsunęła go do sakwy, zaciskając ściśle sznury.

"Dopóki nie położę się spać z tym przeklętym... Ale to przecież sobie właśnie zaplanowałam, czyż nie?"

Miało to jednak nastąpić dopiero wieczorem, teraz więc nie czas był się przejmować. Kiedy szły przez Wieżę, rozglądała się dookoła, poszukując kobiety ubranej w srebro ubiel. Nie wiedziała, dlaczego ulgę sprawiło jej to, że nigdzie jej nie dostrzegła.

"Jestem dorosłą kobietą i całkiem zdolną, dziękuję".

Wciąż jednak nie opuszczało jej zadowolenie, że nigdzie nie napotkała nikogo, kto w najmniejszym stopniu przypominałby tamtą. Im więcej myślała bowiem o spotkanej przed chwilą kobiecie, tym bardziej nasilało się w niej wrażenie, iż było z nią coś... nie w porządku.

"Światłości, niedługo zacznę poszukiwać Czarnych Ajah pod swoim łóżkiem. Albo pod każdym napotkanym łóżkiem".

Biblioteka znajdowała się trochę na uboczu od wysokiej, masywnej kolumny właściwej Białej Wieży, biały kamień, z którego wykonano jej mury, przecinały błękitne smugi, dzięki czemu wyglądała jak załamująca się fala, zamarła w najwyższym swym punkcie. Fale te, w świetle poranka majaczyły na wysokości pałacu, a Egwene wiedziała, że zawierają w sobie równie wiele pomieszczeń, pomieszczenia te jednak – poniżej dziwnych korytarzy na wyższych poziomach, gdzie Verin miała swoje apartamenty – wypełnione były półkami, półki zaś zapełniały rzędy książek, rękopisów, dokumentów, pergaminów, map i planów, zebranych pośród wszystkich krain w ciągu trzech tysięcy lat. Nawet największe biblioteki w Łzie i Cairhien nie mogły poszczycić się tak wielkimi zbiorami.

Bibliotekarki – wszystkie wywodziły się z Brązowych sióstr – strzegły tych półek i drzwi niezwykle uważnie, aby zyskać pewność, że nikt nie wyniesie stąd nawet skrawka papieru bez ich wiedzy o tym, dokąd go zabrał i dlaczego. Ale Nynaeve poprowadziła Egwene i Elayne do jednego z bocznych, nie strzeżonych wejść.

Wokół fundamentów budynku biblioteki, w cieniu leszczynowych krzewów, rozmieszczono pozostałe drzwi, duże i małe, umieszczone poziomo względem ziemi. Pracownicy czasami musieli wchodzić jakoś do znajdujących się poniżej magazynów, a bibliotekarki nie życzyły sobie spoconych mężczyzn spacerujących po ich rezerwacie. Nynaeve podniosła klapę jednego z tych włazów, nie większego od frontowych drzwi do wiejskiego domu i poprowadziła je w dół, po stromych schodach ginących gdzieś w ciemności. Kiedy opuściła klapę, zapanowały absolutne ciemności.

Egwene otworzyła się na *saidara* – stało się to tak łatwo i naturalnie, że ledwie zdała sobie sprawę z tego, co robi – i przeniosła odrobinę przepływającej przez nią Mocy. Przez chwilę zwykłe wycucie przepływającego przez nią strumienia zdawało się tłumić zupełnie wszystkie pozostałe wrażenia. Pojawiła się niewielka kula błękitnobiałego światła, zawieszona w powietrzu ponad jej dłonią. Wzięła głęboki oddech, przypominając jednocześnie, dlaczego właściwie takie ma trudności z chodzeniem. To stworzyło linię łączącą ją z resztą świata. Powróciło poczucie lnianej bielizny ocierającej się o skórę, wełnianych pończoch, sukienki. Z przelotnym ukłuciem żalu stłumiła pragnienie zaczerpnięcia więcej, pozwolenia *saidarowi*, aby ją pochłoniął.

Elayne w tej samej chwili również otoczyła się lśniąca sferą, obie dostarczały więcej światła, niżli zdolne byłyby dać dwie latarnie.

– To wydaje się takie... cudowne. Nie sądzisz? – wymruczała.

– Bądź ostrożna – powiedziała Nynaeve.

– Jestem. – Egwene westchnęła. – To jest po prostu takie uczucie... Będę ostrożna.

– Tędy – ostro odrzekła Nynaeve i przechodząc obok, powiodła je w dół.

Nie wyprzedziła ich jednak za dużo. Nie była zła, musiała więc korzystać z tworzonych przez nie światła, aby w ogóle cośkolwiek widzieć.

Zakurzony boczny korytarz, przez który weszły, z obu stron ograniczony był drewnianymi drzwiami, osadzonymi w ścianach z szarego kamienia. Musiały zrobić niemalże sto kroków, aby dojść do szerszego korytarza, wiodącego pod całą długością biblioteki. Światło wydobywało spośród kurzu pokrywającego posadzkę mnogość nakładających się na siebie śladów, większość z nich zostawiły wielkie buty, jakie nosili mężczyźni, kurz prawie zupełnie pokrył już je wszystkie. Sufit znajdował się tutaj wyżej, niektóre z drzwi mogłyby równie dobrze otwierać się na wnętrza stodoły. Przeszły przez główne schody na końcu korytarza, szerokie na połowę jego szerokości, które służyły do znoszenia szczególnie wielkich przedmiotów. Kolejne przejście prowadziło jeszcze głębiej. Nynaeve weszła w nie, nie zatrzymując się nawet na chwilę.

Egwene szybko poszła za nią. Niebieskobiałe światło zalewało twarz Elayne, ale w jej oczach wciąż wydawało się, iż wygląda bardziej blado niż powinna.

"Mogłybyśmy wykrzyczeć sobie płuca tu, na dole, a nikt nie usłyszałby nawet najłżejszego szeptu".

Poczuła, jak formuje się w niej błyskawica, czy przynajmniej możliwość jej stworzenia i niemalże zamarła bez ruchu. Nigdy przedtem nie przenosiła dwu strumieni naraz, wydawało się, że wcale nie jest to specjalnie trudne.

Główny korytarz drugiej sutereny był niemalże identyczny jak korytarz na pierwszym poziomie, szeroki i zakurzony, o niższym jednakże suficie. Okrągła żelazna kłódka zwisała z grubego, długiego łańcucha, zawiązanego ściśle na dwu masywnych skoblach, z których jeden przymocowano do drzwi, drugi zaś osadzono w murze. Zarówno kłódka, jak i zamek wyglądały na zupełnie nowe, nawet kurz niemalże nie zdążył ich jeszcze pokryć.

– Kłódka! – Nynaeve szarpnęła za łańcuch, łańcuch się nie poddał, kłódka zresztą również nie. – Czy gdzieś jeszcze widzieliście tutaj kłódkę?

Pociągnęła ją ponownie, a potem upuściła gwałtownie, aż zadźwięczała. Odgłos uderzenia rozszedł się echem po korytarzu.

– Nigdy nie widziałam tutaj nawet jednych zamkniętych drzwi! – Uderzyła pięścią w szorstkie drewno. Ani jednych!

– Uspokój się – powiedziała Elayne. – Nie ma potrzeby wszczynać awantury. Sama mogę otworzyć zamek, jeżeli zbadam, jak jest skonstruowany wewnątrz. W każdym razie jakoś go otworzymy.

– Nie mam zamiaru się uspokajać – warknęła Nynaeve. – Chcę być wściekła! Chcę...!

Pozwalając, by reszta tej tyrady umknęła jej uwagi, Egwene dotknęła łańcucha. Od czasu opuszczenia Tar Valon nauczyła się robić dużo więcej rzeczy, niż tylko tworzyć błyskawice. Jedną z nich była znajomość metalu. Pochodziła ona z Ziemi, jednej z Pięciu Mocy, które wymagały tak dużo siły – drugą stanowił Ogień – że tylko niewiele kobiet było zdolnych je opanować, jej jednak się to udało, potrafiła wyczuć łańcuch, poczuć go od wewnątrz, zrozumieć najdrobniejsze cząstki chłodnego metalu, wzory w jakie się układały. Moc drgała w niej, dostosowując się do wibracji tych wzorów.

– Zejdź mi z drogi, Egwene.

Spojrzała za siebie i zobaczyła Nynaeve owiniętą w poświatę *saidara* i trzymającą w dłoniach łom tak zbliżony kolorem do niebieskobiałego światła, że niemalże niewidoczny. Nynaeve spojrzała na łańcuch, zmarszczyła brwi, wymruczała coś na temat dźwigni i łom zniecka wydłużył się nieomal dwukrotnie.

– Odejdz, Egwene.

Egwene odeszła.

Wcisnąwszy koniec łomu w łańcuch, Nynaeve zahaczyła go i następnie nacisnęła całą swą siłą. Łańcuch pękł jak nić. Nynaeve westchnęła ciężko i zatoczyła się przez niemal pół szerokości korytarza, zanim przystanąła zaskoczona. Łom załaskotał po posadzce. Nynaeve wyprostowała się i rozbawiona przeniosła wzrok z pręta na łańcuch. Łom zaś zniknął.

– Sądzę, że udało mi się zrobić coś z tym łańcuchem – oznajmiła Egwene.

"Ale chciałabym wiedzieć właściwie co".

– Mogłybyście coś powiedzieć – wymamrotała Nynaeve.

Zdjęła resztki łańcucha ze skobli i otworzyła drzwi na oścież.

– Cóż? Macie zamiar stać tutaj przez cały dzień?

Zakurzone pomieszczenie, które otworzyło się przed ich oczami miało może jakieś dziesięć kroków kwadratowych powierzchni, ale było całkowicie puste, wyjąwszy stertę dużych toreb zrobionych z grubego, brunatnego płótna, każda napchana ściśle, związana i opieczętowana Płomieniem Tar Valon. Egwene nie musiała liczyć, by wiedzieć, że jest ich dokładnie trzysta.

Przysunęła swoją kulę światła bliżej ściany i zawiesiła tam, nie była pewna, w jaki sposób udało jej się tego dokonać, kiedy jednak odsunęła dłoń, lampa pozostała tam, gdzie ją umieściła.

"Uczę się, jak dokonywać różnych rzeczy, nie wiedząc jednocześnie czym one są" – pomyślała nerwowo.

Elayne mrugnęła do niej, jakby rozumiejąc, o co chodzi, po czym postąpiła tak samo ze swoim światłem. Kiedy przyglądała się z boku działaniom tamtej, doszła do wniosku, że chyba rozumie, co wcześniej zrobiła.

"Ona nauczyła się tego ode mnie, ale potem ja nauczyłam się od niej".

Zadrżała.

Nynaeve zabrała się od razu do rozrzucania bagaży i odczytywania plakietek.

– Rianna. Joiya Byir. To jest to, czego szukamy. Zbadła pieczęć na jednej z toreb, potem rozerwała wosk i rozwiązała splecione sznurki. – Przynajmniej wiemy, że nikt nie był tutaj przed nami.

Egwene wybrała sobie jedną z toreb i zerwała pieczęć, nie kłopotując się nawet odczytywaniem imienia na plakietce. Naprawdę nie chciała wiedzieć, czyj dobytek przeszukuje. Kiedy wypróżniła torbę na zakurzoną podłogę, okazało się, że w środku jest głównie używana odzież i buty, oraz zwój pogniecionych i porozdzieranych papierów, jakie można spodziewać się znaleźć pod garderobą kobiety, która niezbyt pilnie przykłada się do zachowania porządku w swoim pokoju.

– Nie widzę tutaj nic, co mogłoby im się przydać. Płaszcz, którego nikt nie użyłby nawet na szmaty. Oddarta połowa planu jakiegoś miasta. Łza, napisane jest w rogu. Trzy pary pończoch domagające się zacerowania. – Wsunęła palec w dziurę w aksamitnym pantoflu pozbawionym pary i pomachała nim w kierunku przyjaciółek. – Ta nie zostawiła po sobie żadnych wskazówek.

– Amico nie zostawiła również – oznajmiła ponuro Elayne, odsuwając oboma rękoma na bok rzeczy tamtej. To mogą być zwyczajne łachmany. Czekaście, tu jest książka. Ktokolwiek robił te tobołki, musiał się spieszyć, żeby porzucić książkę. *Obyczaje i ceremonie dworu taireńskiego*. Okładka została zdarta, ale bibliotekarki zapewne zechcą mieć ją z powrotem.

Bibliotekarki zapewne zechcą. Nikt nie wyrzucał książek, niezależnie od tego, jak były zniszczone.

– Łza – powtórzyła Nynaeve bezbarwnym głosem. Klęcząc pośród rozgardiaszu rzeczy wyrzuconych z toreb, które przeszukiwała, wyciągnęła na powrót strzęp papieru, który przedtem

odrzucała na bok. – Lista statków handlowych, pływających po Erinin, z zaznaczonymi datami odplynięcia z Tar Valon i spodziewanym czasem przybycia do Łzy.

– To może być zbieg okoliczności – powiedziała wolno Egwene.

– Może – przytaknęła Nynaeve.

Zwinęła papier i wsunęła go do rękawa, po czym zabrała się za odpieczętowanie następnej torby.

Kiedy ostatecznie uporały się ze wszystkimi, a każdą torbę przeszukały dwukrotnie, oddzielając śmieci, które gromadziły pod ścianami pomieszczenia, Egwene usiadła na jednej z opróżnionych toreb tak zaabsorbowana tym, co robiła, że niemalże nie dostrzegła drżenia własnego ciała. Wyprostowała kolana i przyjrzała się zebranym nabytkom, ułożonym w szeregu pośrodku izby.

– Tego jest zbyt wiele – zauważyła. – Za dużo dla nas.

– Za dużo – zgodziła się Nynaeve.

Znalazły kolejną książkę, poszarpany, oprawiony w skórę tom, zatytułowany *Spostrzeżenia z wizyty we Łzie*, z którego połowa kartek wypadła. Pod podszewką bardzo podartego płaszcza, który wyjęty z torby Chesmal Emry, odkryły kolejną listę statków handlowych, lista zapewne wsunęła się tam przez dziurę w kieszeni. Nie wymieniono na niej nic więcej prócz nazw statków, ale ponieważ wszystkie znajdowały się również na drugiej liście, a zgodnie z nią wszystkie odplywały wczesnym rankiem, po tej nocy, gdy Liandrin i reszta opuścili Wieżę. Znalazły też pośpiesznie narysowany plan jakiejś wielkiej budowli, na którym jeden z pokoi oznaczony był jako "Serce Kamienia" oraz stronę z nazwami pięciu karczm, słowo Łza napisano u szczytu kartki strasznie poplamionej, ale dającej się odczytać, choć z trudem: Znalazły...

– Tutaj znajdują się rzeczy pochodzące z każdej torby – wymruczała Egwene. – Każda z nich zostawiła coś wskazującego na podróż do Łzy. W jaki sposób mogły wszystkie to przegapić, jeżeli tak dokładnie szukały? Dlaczego Amyrlin nie powiedziała nic na ten temat?

– Amyrlin – zauważyła gorzko Nynaeve – realizuje swoje własne zamiary i nie dba o to, że możemy szczeznąć dla niej! – Nabrała powietrza w płuca i kichnęła, gdy do nosa dostał się wzniecony podczas poszukiwań kurz. Martwi mnie jednak to, że coraz bardziej zaczynam podejrzewać, że patrzymy na przynętę.

– Przynętę? – zapytała Egwene. Ale zrozumiała wszystko w momencie, w którym otworzyła usta, by to powiedzieć.

Nynaeve pokiwała głową.

– Przynętę. Albo pułapkę. Czy też rodzaj podstępu. Ale jeśli miałyby to być pułapka albo podstęp, wszystko byłoby zbyt oczywiste, nikt by się w nią nie złapał.

– Chyba, że one nie dbają, czy ktoś zorientuje się, iż jest to pułapka czy nie. – Głos Elayne zabarwił się niepewnością. – Albo sądziły, że ktokolwiek to znajdzie, natychmiast wykluczy Łzę.

Egwene żałowała, że nie potrafi uwierzyć, że Czarne Ajah mogłyby być tak pewne siebie, jak to można było wywnioskować z pozostawionych rzeczy. Zdała sobie sprawę, że zaciska swą sakwę, przesuwając kciukiem po skrzywanej krzywiznie kamiennego pierścienia znajdującego się wewnątrz.

– Być może chciały zażartować sobie z tego, kto to znajdzie – zasugerowała cichym głosem. – Być może sądziły, że ci, którzy odnajdą te rzeczy, ruszą natychmiast prosto za nimi, pchani gniewem i dumą?

"Czy wiedziały, że właśnie my to znajdziemy? Czy widziały nas właśnie w taki sposób?"

– Niech szczezną! – warknęła Nynaeve. To był dla nich wstrząs, przedtem nigdy nie używała takiego języka.

Przez jakiś czas w całkowitym milczeniu wpatrywały się tylko w rozrzucone rzeczy.

– Co zrobimy teraz? – zapytała na koniec Elayne.

Egwene mocniej ścisnęła pierścień. Śnienie było blisko powiązane z Przepowiadaniem - przyszłość, wydarzenia mające miejsce daleko stąd mogą pojawiać się w snach Śniącej.

– Być może będę wiedziała po dzisiejszej nocy.

Nynaeve spojrzała na nią, bez jednego słowa, bez najmniejszego grymasu na twarzy, po czym wybrała ciemną suknię, która na pierwszy rzut oka nie miała w sobie zbyt wielu dziur ani rozpruć i zaczęła zawijać w nią znalezione rzeczy.

– Na razie – oznajmiła – weźmiemy to do mojego pokoju i ukryjemy. Sądzę, że właśnie nadszedł czas, by iść sobie stąd, jeśli nie mamy spóźnić się do kuchni.

"Spóźnić się – pomyślała Egwene. Im dłużej ścisnęła pierścień przez płótno sakwy, tym bardziej nagłaça stawała się potrzeba. – Już jesteśmy o krok z tyłu, ale być może uda nam się nie spóźnić na czas".

ROZDZIAŁ 27

TEL'ARAN'RHOD

Pokój, który otrzymała Egwene, na tej samej galerii co Nynaeve i Elayne, niewiele różnił się od pomieszczenia zajmowanego przez Nynaeve. Jej łóżko było ociupinkę szersze, stół nieznacznie mniejszy. Jej strzęp dywanu pokrywały wzory kwiatów miast spiral. I to wszystko. Po kwaterach nowicjuszek wyglądało to niczym komnata w pałacu, kiedy jednak wszystkie trzy zebrały się tutaj ostatniej nocy, Egwene pożałowała, że nie znajduje się z powrotem na galeriach nowicjuszek, bez pierścienia na palcu i lamówek na sukni. Pozostałe wyglądały na równie zdenerwowane jak ona.

W kuchni minęły im dwa kolejne posiłki, a w tym czasie starały się rozszyfrować znaczenie tego, co znalazły w magazynie. Czy była to pułapka, czy próba odwrócenia kierunku poszukiwań? Czy Amyrlin wie o tych rzeczach, a jeżeli tak, dlaczego nawet o nich nie napomknęła? Rozmowy nie przynosiły żadnych rezultatów, a Amyrlin nie pokazała się, więc nie mogły jej samej zapytać.

Po południowym posiłku do kuchni przysłała Verin, mrugając oczyma, jakby nie była pewna, dlaczego się tutaj znalazła. Kiedy zobaczyła Egwene i jej dwie przyjaciółki po kolana w kotłach i garnkach, przez chwilę wydawała się zaskoczona, potem podeszła do nich i głośno, by każdy mógł słyszeć, zapytała:

– Czy znalazłyście coś?

Elayne była właśnie po głowę i ramiona zanurzona wewnątrz ogromnego kotła na zupę, wyłażąc z niego uderzyła głową o krawędź. Jej błękitne oczy zdawały się wypełniać całą twarz.

– Nic prócz tłuszczu i potu, Aes Sedai – odpowiedziała Nynaeve.

Szarpnęła za warkocz i na jej ciemnych włosach zostały rozmazane tłuste mydliny. Skrzywiła się.

Verin pokiwała głową, jakby takiej właśnie spodziewała się odpowiedzi.

– Cóż, szukajcie dalej.

Rozejrzała się ponownie po kuchni, marszcząc brwi, jakby to, że się tu znalazła, przepełniało ją konsternacją i wyszła.

Alanna również przysłała po południu do kuchni, zabrała misę z wielkimi, zielonymi porzeczkami agrestowymi, do tego dzban wina, a potem Elaida, po niej Sheriam, która pojawiła się po kolacji, podobnie jak Anaiya.

Alanna zapytała Egwene, czy chciałaby się dowiedzieć więcej o Zielonych Ajah, dociekała, kiedy mają zamiar nadgonić ich naukę. To, że Przyjęte mogły same wybierać swe lekcje i tempo nauki, nie oznaczało, iż niczego od nich nie wymagano. Pierwsze tygodnie będą niedobre, oczywiście, ale muszą wybierać albo wybór dokonany zostanie zaocznie.

Elaida zwyczajnie stała przez jakiś czas ze srogą twarzą i patrzyła na nie, trzymając dłonie na biodrach, a Sheriam postąpiła tak samo, przybierając pozę nieomal identyczną. Anaiya stała nad nimi w taki sam sposób z tym, że jej spojrzenie przepojone było większą troską. Dopóki nie zobaczyła, iż patrzą na nią. Wtedy wyraz jej twarzy stał się kubek w kubek podobny do grymasu tamtych.

Żadna z tych wizyt nie miała dla Egwene widocznego sensu. Mistrzynie Nowicjuszek z pewnością miała powody, by sprawdzać, co robią, zresztą odnosiło się to również do pozostałych nowicjuszek pracujących w kuchni, a Elaida miała powód, by doglądać losów Córci-Dziedziczki Andoru. Egwene próbowała nie myśleć o zainteresowaniu, jakim Aes Sedai darzyły Randa. Jeśli zaś chodzi o Alanę, nie była jedyną Aes Sedai, która przychodziła, by zabrać tacę do swego pokoju, miast jeść z innymi. Połowa sióstr w Wieży była nazbyt zajęta, aby spożywać posiłki, nazbyt

zpracowana, by wezwać służącą, która przyniosłaby im tacę. A Anaiya...? Anaiya mogła być w równym stopniu zainteresowana losami swej Śniącej. Oczywiście nie zrobiłaby nic, aby złagodzić jej karę nałożoną przez samą Zasiadającą na Tronie Amyrlin. Taki mógł być powód przybycia Anaiyi. Mógł być.

Wieszając suknię w garderobie, Egwene nieustannie powtarzała sobie, że nawet pomyłka Verin mogła być całkowicie zwyczajna i wytłumaczalna. Brązowa siostra bywała aż nazbyt często całkowicie roztargniona.

"To była pomyłka".

Siedząc na brzegu łóżka, odciągnęła koszulę i zabrała się za zwijanie pończoch. Zaczynała nie znosić bieli w równym niemal stopniu co szarości.

Nynaeve stała przed kominkiem, trzymając sakwę Egwene w jednej dłoni, drugą zaś szarpiąc warkocz. Elayne siedziała przy stole, próbując nerwowo nawiązać jakąś rozmowę.

– Zielone Ajah – powiedziała złotowłosa, jak osądziła Egwene po raz co najmniej dwudziesty od południa. – Sama mogłabym wybrać Zielone Ajah, Egwene. Wówczas mogłabym mieć trzech lub czterech strażników i z jednym z nich ewentualnie wziąć ślub. Któż mógłby być bardziej odpowiedni na Księcia Małżonka Andoru niżli strażnik? Chyba że...

Przerwała i spłonęła rumieńcem.

Egwene poczuła ukłucie zazdrości, o której sądziła, iż pozbyła się jej już dawno temu, oraz pomieszanego z nią współczucia.

"Światłości, jak mogę być zazdrosna, kiedy nie potrafię spojrzeć na Galada bez jednoczesnego drżenia i uczucia, jakbym się roztapiała, a wszystko w tym samym czasie? Rand był mój, ale już nie jest. Żałuję, że nie mogę ci go ofiarować, Elayne, ale on nie jest przeznaczony żadnej z nas, jak sądzę. Mogłoby być słusznym i dobrym dla Córki-Dziedziczki poślubienie zwykłego człowieka, o ile byłby Andoraninem, ale nie wyjdzie za Smoka Odrodzonego".

Pozwoliła by pończochy zsunęły się na podłogę, powiadając sobie, że dzisiejszego wieczoru ma ważniejsze rzeczy na głowie niż schludność.

– Jestem gotowa, Nynaeve.

Nynaeve podała jej sakwę i długi, cienki pasek skóry.

– Być może to zadziała na więcej niż jedną osobę naraz. Mogłabym... pójść z tobą, może.

Egwene wyłożyła kamienny pierścień na dłoń, przeciągnęła skórzany rzemyk przez otwór i zawiesiła na szyi. Paski oraz plamki błękitu, brązu i czerwieni zdawały się bardziej żywe na tle jej koszuli.

– I zostawić Elayne, by sama strzegła nas obu? Kiedy Czarne Ajah mogą o nas wiedzieć?

– Poradzę sobie – oznajmiła dzielnie Elayne. – Albo pozwól mi iść z tobą, a Nynaeve niech nas strzeże. Jest z rias najsilniejsza, kiedy się wścieknie, a jeżeli będziemy potrzebowały obrony, to możesz być pewna, że spokojna nie będzie.

Egwene potrząsnęła głową.

– A co, jeśli nie podzielała na dwie osoby? Co, jeśli spróbujemy we dwie, a nic się nie stanie? Nie będziemy sobie nawet zdawały z tego sprawy, zanim się nie obudzimy, a wówczas zmarnujemy noc. Nie możemy sobie pozwolić na to, jeśli chcemy je dogonić. Już jesteśmy zbyt daleko z tyłu. – Były to mocne argumenty i ona sama w nie wierzyła, ale był jeszcze jeden, bliższy sercu. – Poza tym, będę się czuła lepiej wiedząc, że strzeżecie mnie obydwie, na wypadek...

Nie chciała tego powiedzieć. Na wypadek gdyby ktoś przyszedł, kiedy ona będzie spała. Szarzy Ludzie. Czarne Ajah. Każda z tych istot, które zmieniły Białą Wieżę z oazy bezpieczeństwa w ciemny las pełen dołów i węży. Coś mogłoby przyjść, kiedy ona będzie leżała tutaj bezbronna. Na ich

twarzach zobaczyła zrozumienie.

Kiedy wyciągnęła się na łóżku i podłożyła pod głowę wypchaną pierzem poduszkę, Elayne przysunęła fotele, po jednym z każdej strony łóżka. Nynaeve po kolei zdmuchnęła świece, jedną po drugiej, potem w ciemnościach usadowiła się w jednym z foteli. Elayne zajęła drugi.

Egwene zamknęła oczy i spróbowała myśleć o takich rzeczach, jakie zwykle towarzyszą zasypianiu, ale zbyt ciążyła jej świadomość istnienia tej rzeczy, która spoczywała między jej piersiami. Znacznie mocniej obciążała jej głowę, niżli uraza, jaką pozostawiła wizyta w gabinecie Sheriam. Pierścień zdawał się ważyć tyle co cegła, a myśli o domu i cichych stawach pierzchały przed myślą o nim. *O Tel'aran'rhiod*. O Niewidzialnym Świecie. O Świecie Snów. Czekaającym tuż po drugiej stronie snu.

Nynaeve zaczęła cicho mruzczyć. Egwene rozpoznała bezimienną, pozbawioną słów piosenkę, którą śpiewała jej matka, by uspić ją, kiedy była jeszcze malutka. Gdy leżała w łóżku, w swym własnym pokoju, na puchowej poduszce, pod ciepłymi kocami i czuła od swej mamy pomieszane zapachy różanego olejku i ciasta, i...

"Rand, czy z tobą wszystko dobrze? Perrin? Kim ona była?"

Sen nadszedł.

Stała pośród łagodnych wzgórz, wyściełanych dziko rosnącymi roślinami, spośród których wyłaniały się gdzieś tam małe zagajniki liściastych drzew, wyrastających z zagłębień oraz szczelin. Motyle przelatywały nad kwieciami, ich skrzydła błyskały żółcią, błękitem i zielenią, a dwa skowronki śpiewały sobie w pobliżu pieśń. Po nasyconym łagodnym błękitem niebie płynęły kłębiaste obłoki, a delikatna bryza utrzymywała tę delikatną równowagę pomiędzy zimnem i ciepłem, która przydarza się jedynie podczas kilku szczególnych dni wiosny. Dzień zbyt doskonały, aby być czymkolwiek innym niż tylko snem.

Spojrzała na swoją suknię i roześmiała z ukontentowania. Dokładnie jej ulubiony odcień jedwabiu błękitnego jak niebo, złamany bielą bluzki – który natychmiast zmienił się w zielen, gdy tylko zmarszczyła brwi – z naszytymi rzędami drobniutkich pereł wzdłuż rękawów i na gorsie. Podniosła nogę tylko po to, by zobaczyć pantofel z aksamitu. Jedyłą fałszywą nutę stanowił skręcony pierścień z różnokolorowego kamienia wiszący na jej szyi, na skórzanym rzemyku.

Wzięła pierścień w palce i aż wstrzymała oddech. Wydawał się lekki jak piórko. Pewna była, że jeśli podrzuci go do góry, popłynie w powietrzu niczym puch. W jakiś sposób, już dłużej się go nie bała. Wsunęła go pod suknię, aby nie psuł estetyki całości.

– Tak więc to jest *Tel'aran'rhiod*, Verin Sedai – powiedziała. – Corianin Nedeal Świat Snów. Mnie wcale nie wydaje się niebezpieczny.

Ale Verin powiedziała, że taki jest. Egwene nie rozumiała, w jaki sposób Aes Sedai mogłaby powiedzieć kłamstwo w żywe oczy.

"Mogła się mylić".

Ale nie wierzyła, by przytrafiło się to Verin.

Tylko po to, by sprawdzić, czy potrafi, otworzyła się na Jedyłą Moc. *Saidar* wypełnił ją. Był obecny nawet tutaj. Przeniosła lekki strumień, delikatnie, skierowała go w wiatr, skręcając motyle w migoczące spirale kolorów, w koła splecione ze sobą.

Nagle pozwoliła mu odejść. Motyle powróciły do samodzielnego lotu, nie troszcząc się o krótką przygodę, jaka je spotkała. Myrddraale i niektóre inne istoty Pomiotu Cienia potrafią wyczuć, gdy ktoś przenosi. Rozejrzawszy się dookoła, nie była w stanie wprawdzie dojrzeć żadnej takiej istoty w

pobliżu, ale tylko dlatego, że nie potrafiła ich sobie wyobrazić, co nie oznaczało, że ich tu nie ma. A Czarne Ajah miały wszystkie te *ter'angreale* badane przez Corianin Nedeal. To było nieprzyjemne wspomnienie o celu, w jakim się tutaj znalazła.

– Przynajmniej wiem, że potrafię przenosić – wymruczała. – Niczego się nie dowiem, tak tutaj stojąc. Może, gdybym się rozejrzała dookoła...

Zrobiła krok...

...i okazało się, że stoi w wilgotnym, ciemnym korytarzu gospody. Była córką karczmarza, nie miała najmniejszych wątpliwości, iż znajduje się w gospodzie. Wokół panowała kompletna cisza, wszystkie drzwi wzdłuż korytarza zamknięte były na cztery spusty. Dokładnie w tej samej chwili, gdy zrozumiała, iż obawia się tego, co znajdzie za zwyczajnymi, drewnianymi drzwiami naprzeciw niej, ich skrzydło cichutko uchyliło się.

Pokój za drzwiami był pozbawiony sprzętów, zimny wiatr wył w otwartych oknach, rozwiewając wystygły popiół po palenisku. Wielki pies leżał zwinięty w kłębek pośrodku pokoju, kudłatym ogonem przykrył nos. Leżał między drzwiami a grubym słupem z nierówno ociosanego, czarnego kamienia, który stał pośrodku podłogi. Duży młodzieniec o kudłatych włosach siedział oparty o słup, ubrany jedynie w bieliznę, głowę skłoniwszy na ramię, jakby spał. Masywny czarny łańcuch opasywał słup i jego pierś, jego końce ścisnął w swych dłoniach. Spał czy nie, jego potężne mięśnie naprężyły łańcuch, wiążąc tym samym jego samego do słupa.

– Perrin? – zapytała z powątpiewaniem. Weszła do pokoju. – Perrin, co się z tobą dzieje? Perrin!

Pies rozwinął się z kłębka i powstał.

Nie był to pies, lecz wilk, cały w bieli i szarościach, cofnął wargi, odsłaniając lśniące białą zęby, żółte oczy wpatrywały się w nią w taki sposób, jakby była myszą. A myszy można było jeść.

Wbrew samej sobie, Egwene postąpiła pośpiesznie krok do tyłu i z powrotem znalazła się na korytarzu.

– Perrin! Obudź się! Tam jest wilk!

Verin powiedziała, że to, co przydarza się tutaj jest rzeczywiste i na dowód prawdziwości swych słów pokazała jej bliznę. Zęby wilka wydawały się wielkie jak ostrza noży.

– Perrin, obudź się! Powiedz mu, że jestem przyjaciółką!

Objęła *saidara*. Wilk podkładał się coraz bliżej.

Perrin uniósł głowę, jego oczy otworzyły się ospale. Teraz spoglądały na nią dwie pary żółtych oczu. Wilk zbierał się w sobie.

– Skoczek – krzyknął Perrin – nie! Egwene! Drzwi zatrzasnęły się przed jej nosem i ogarnęła ją całkowita ciemność.

Nic nie widziała, mogła jednak czuć pot spływający jej po czole. Nie z gorąca.

"Światłości, gdzie ja jestem? Nie podoba mi się to miejsce. Chcę się obudzić!"

Coś cichutko zawarczało, aż podskoczyła, zanim rozpoznała świerszcza. Żaba zarechotała balowo w ciemnościach, po chwili odpowiedział jej chór. Kiedy oczy przyzwyczyły się do półmroku, dostrzegła wokół siebie mgliste sylwetki drzew. Chmury zakrywały niebo, a księżyc rozlewał się bladym srebrem po ich powłoce.

Z prawej strony dostrzegła migoczącą poświatę przesączającą się przez drzewa. Ognisko.

Wahała się przez chwilę, zanim ruszyła w jego kierunku. Samo pragnienie obudzenia się nie wystarczało, by wydostać się z *Tel'aran'rhiod*, a wciąż nie odkryła nic użytecznego. Ale też nie stała się jej żadna krzywda.

"Jak dotąd" – pomyślała i przeszył ją dreszcz.

Nie miała jednak najmniejszego pojęcia, kogo – lub co – może zastać przy ognisku.

"To może być Myrddraal. Poza tym, nie mam na sobie odpowiedniego stroju do gonitw po lesie."

To właśnie ta ostatnia myśl zdecydowała, dumna była z tego, że zawsze wie, kiedy zachowuje się głupio.

Wzięła głęboki oddech i zebrała jedwabne suknie blisko przy ciele. Mogła nie mieć zdolności Nynaeve w skradaniu się po lesie, ale wiedziała wystarczająco dużo, by nie nastąpić na suchą gałązkę. Na koniec przyczaiła się za pnem starego dębu i spojrzała na ognisko.

Przy ognisku zobaczyła tylko jednego człowieka, wysoki młodzieniec siedział i wpatrywał się w płomień. Rand. Źródłem płomieni, w które się wpatrywał, nie było drewno. Nie mogła dostrzec żadnego widocznego pokarmu dla płomieni. Ogień tańczył na skrawku nagiej ziemi. Wydało się jej, że nawet jej nie przypala.

Zanim zdążyła się poruszyć, Rand uniósł głowę. Była zaskoczona, gdy zobaczyła, że pali fajkę, z główki unosiła się cienka wstęga tytoniowego dymu. Wyglądał na zmęczonego, na tak strasznie zmęczonego.

– Kto tam jest? – Głośno zażądał odpowiedzi. Szeleściłeś liśćmi tak, że umarły by się zbudził, równie dobrze możesz się więc pokazać na oczy.

Egwene zacisnęła usta, ale wyszła zza drzewa.

"Nie szeleściłam!"

– To ja, Rand. Nie bój się. To jest sen. Muszę być w twoim śnie.

Poderwał się na równe nogi tak gwałtownie, że stanęła jak wryta. Zdawał się na pewien sposób większy, niżli zapamiętała. I jakby odrobinę groźniejszy. Być może nawet nie odrobinę. Błękitnoszare oczy lśniły lodowatym ogniem.

– Czy sądzisz, że nie wiem, że to jest sen? – warknął. – Wiem, ale to nie czyni go mniej rzeczywistym.

Wpatrywał się gniewnie w ciemność, jakby szukając tam kogoś jeszcze.

– Jak długo będziesz jeszcze próbować? – wykrzyknął w noc. – Jak wiele twarzy jeszcze przybierzesz? Moja matka, mój ojciec, a teraz ona! Piękne dziewczęta nie skuszą mnie pocałunkiem, nawet takie, które znam! Zapieram się ciebie, Ojcie Kłamstw! Zapieram się!

– Rand – zaczęła niepewnie Egwene. – To ja. Egwene. Jestem Egwene.

W jego dłoni błysnął miecz, jakby nagle pojawił się znikąd. Jego ostrze zrobione było z pojedynczego płomienia, lekko wygięte, z wygrawerowaną czapłą.

– Moja matka podała mi ciasto – powiedział zduszonym głosem – nad którym unosiła się woń trucizny. Mój ojciec chciał mi wsadzić nóż między zębra. Ona... ona proponowała mi pocałunek, i jeszcze więcej.

Pot spływał mu po twarzy, spojrzenie zdawało się ją palić.

– Co ty przynosisz?

– Musisz mnie wysłuchać, Randzie al'Thor, nawet gdybym miała cię do tego zmusić.

Zaczerpnęła z *saidara*, przeniosła strumienie mocy, aby powietrze pochwyciło go w sieć.

Miecz zawirował w jego dłoni, rycząc jak otwarte palenisko pieca.

Mruknęła coś i zachwiała się, poczuła, jakby nazbyt naciągnięta lina zerwała się i uderzyła w nią.

Rand zaśmiał się.

– Uczę się, jak widzisz. Kiedy tylko to działa... – Skrzywił się i spojrzał na nią. – Mogę wytrzymać widok każdej twarzy, z wyjątkiem tej jednej. Nie jej twarz, żebyś szczeł!

Błysnął miecz.

Egwene uciekła.

Nie miała pojęcia, co zrobiła, ani jak, ale znalazła się wśród falistych wzgórz, pod słonecznym niebem, gdzie śpiewały skowronki i igrały motyle. Wzięła głęboki, urywany oddech.

"Dowiedziałam się... Czego? Tego, że Czarny wciąż ściga Randa? To już wiedziałam. Że Czarny być może chce go teraz zabić? To coś nowego. Chyba, że już oszalał i nie wie, co mówi. Światłości, dlaczego nie potrafiłam mu pomóc? Och, Światłości, Rand!"

Wzięła kolejny głęboki oddech, aby się uspokoić.

– Jedyńm sposobem pomożenia mu jest poskromienie go – wymamrotała. – Równie dobrze mogłabym tam pójść i go zabić. – Coś skręciło jej żołądek w ciasny węzeł. – Nigdy tego nie zrobię! Nigdy!

Czerwony ptak przysiadł na niedalekim krzaku malin, gałązka chwiała się, gdy przekrzywił głowę, przyglądając się jej ciekawie. Odezwała się do ptaka.

– Cóż, w niczym nikomu nie pomogę, stojąc tutaj i rozmawiając sama ze sobą, nieprawdaż? Ani gawędząc z tobą, również.

Czerwony ptak rozłożył skrzydła, gdy postąpiła krok w stronę krzaka. Kiedy zrobiła następny krok, zobaczyła tylko błysk czerwieni, który zniknął w zagajniku, zanim uczyniła krok następny.

Zatrzymała się i wyciągnęła spod stanika sukni kamienny pierścień zawieszony na skórzanym rzemyku. Dlaczego on nie podlega zmianom? Dotąd wszystko zmieniało się tak szybko, że ledwie mogła złapać oddech. Dlaczego teraz tak się nie dzieje? Chyba, że tutaj tkwi odpowiedź na to pytanie. Rozejrzała się niepewnie dookoła. Rośliny przedrzeźniały ją, a pieśń skowronka to już była zupełna kpina. To miejsce wydawało się nazbyt wyraźnie jej własnym tworem.

Zdeterminowana zacisnęła dłoń wokół *ter'angreal*.

– Zabierz mnie tam, gdzie powinnam być.

Przymknęła oczy i skoncentrowała się na pierścieniu. Pomimo wszystko był to kamień, Ziemia powinna udostępnić jej jakieś wrażenie, które pozwoli go lepiej zrozumieć.

– Zrób to. Weź mnie tam, gdzie powinnam być.

Po raz kolejny objęła *saidara*, wysłała odrobinę Jedynej Mocy w głąb pierścienia. Wiedziała, że nie potrzebuje żadnego strumienia zewnętrznej Mocy, aby działać, nie próbowała też niczego takiego robić. Tylko tyle, aby dać mu trochę więcej Mocy do wykorzystania

– Zabierz mnie tam, gdzie mogę znaleźć odpowiedź. Muszę wiedzieć, czego chcą Czarne Ajah. Zabierz mnie do miejsca, gdzie zobaczę odpowiedź.

– Cóż, odnalazłaś ostatecznie drogę, dziecko. Tutaj są wszystkie rodzaje odpowiedzi.

Oczy Egwene rozwarły się. Stała w wielkiej komnacie, jej wielką sklepioną kopułę podtrzymywał las masywnych kolumn z czerwonego kamienia. Pośrodku, zawieszony w powietrzu wisiał kryształowy miecz, jarząc się i ciskając wokół siebie rozbłyśki światła, drżące wraz z jego powolnym obrotem. Nie była pewna, ale sądziła, że może być to właśnie ten miecz, po który Rand sięgał w tamtym śnie. Innym śnie. Wszystko było tak rzeczywiste, iż musiała ciągle przypominać sobie, że to również jest sen.

Spośród cieni rzucanych przez kolumny wyłoniła się stara kobieta, zgarbiona, podpierała się laską. Zwykle słowo szpetna nie opisałoby sprawiedliwie jej wyglądu. Miała kościsty, wystający podbródek, ostrzejszy jeszcze nos, jej twarz nieomal całkowicie pokrywały owłosione brodawki.

– Kim jesteś? – zapytała Egwene.

Jedyńmi ludźmi, jakich dotąd spotkała w *Tel'aran'rhiod* byli ci, których znała już wcześniej, nie sądziła zaś, by mogła zapomnieć tę biedną, starą kobietę.

– To tylko biedna, stara Silvie, moja pani – zachichotała staruszka. Jednocześnie spróbowała wygiąć się, co zapewne zamierzone zostało jako ukłon, może nawet chciała przypaść jej do kolan. – Pamiętasz starą, biedną Silvie, moja pani. Służyłam wiernie twej rodzinie przez te wszystkie lata. Czy ta stara twarz wciąż cię przeraża? Nie pozwól, żeby tak było, moja pani. Służy mi, kiedy jej potrzebuję, równie dobrze jak ładniejsza.

– Oczywiście, że tak – powiedziała Egwene. – To jest silna twarz, dobra twarz.

Zastanawiała się, czy ta kobieta naprawdę wierzy w to, co mówi. Kimkolwiek była ta Silvie, zdawała się sądzić, że zna Egwene. Być może również zna odpowiedzi.

– Silvie, powiedziałaś coś o odpowiedziach, które można tutaj znaleźć.

– Och, przyszedłaś do właściwego miejsca po odpowiedzi, moja pani. Serce Kamienia jest pełne odpowiedzi. I tajemnic. Wysocy Lordowie nie byliby zadowoleni, widząc nas tutaj, moja pani. Och, nie. Tutaj nie wchodzi nikt prócz Wysokich Lordów. I służby, oczywiście. – Zaniósła się chytrym, skrzekliwym śmiechem. – Wysocy Lordowie nie zamiatają i nie myją posadzek. Ale kto dostrzega służbę?

– Jakiego rodzaju tajemnic?

Ale Silvie pokuśtykała w kierunku kryształowego miecza.

– Spiski – powiedziała w taki sposób, jakby mówiła do samej siebie. – Wszystkie zamierzone z myślą o korzyści Wysokich Lordów, a całe te knowania i plany po to, by odzyskać to, co stracili. Każdemu się wydaje, że tylko on spiskuje. Ishamael jest głupcem!

– Co? – ostro wtrąciła Egwene. – Co powiedziałaś o Ishamaelu?

Stara kobieta odwróciła się, a na jej twarzy pojawił się krzywy, przymilny uśmiezek.

– To tylko takie rzeczy, jakie mówią biedni ludzie, moja pani. To odwraca od ciebie potęgę Przeklętych, nazywanie ich głupcami. Powoduje, że czujesz się dobrze i bezpiecznie. Nawet Cień nie znosi, jak się nazywa go głupim. Spróbuj sama, moja pani. Powiedz, Ba'alzamon jest głupcem!

Usta Egwene wygięły się w cień uśmiechu.

– Ba'alzamon jest głupcem! Masz rację, Silvie.

To naprawdę pomagało, śmiać się z Czarnego. Stara kobieta zachichotała. Miecz obracał się tuż za jej ramieniem.

– Silvie, co to jest?

– *Callandor*, moja pani. Wiesz o tym, nieprawdaż? Miecz Którego Nie Można Dotknąć. – Znienacka wzięła szeroki zamach laską, stopę przed mieczem, laska zatrzymała się, jakby w coś uderzyła z głośnym "łup!" i odskoczyła. Silvie uśmiechnęła się jeszcze szerzej. – Miecz Który Nie Jest Mieczem, chociaż doprawdy niewielu wie, czym jest. Ale dotknąć go nie może nikt, prócz jednego człeka. Ci, którzy go tutaj umieścili, zadbali o to. Pewnego dnia Smok, Odrodzony ujmie w swą dłoń *Callandora*, i w ten sposób dowiedzie świata, że jest prawdziwym Smokiem. W każdym razie, będzie to pierwszy dowód. Lews Therin powróci, by zobaczyć to cały świat i padł przed nim na twarz. Ach, Wysokim Lordom nie podoba się posiadanie go tutaj. Nie lubią niczego, co ma cokolwiek wspólnego z Mocą. Pozbyliby się go, gdyby tylko wiedzieli jak. Gdyby potrafili to zrobić. Przypuszczam, że inni również chętnie by go sobie przywłaszczyli, gdyby wiedzieli jak. Czegóż by nie dał jeden z Przeklętych, by ujął w dłoń *Callandora*?

Egwene patrzyła na iskrzący się miecz. Jeżeli Proroctwa Smoka głosiły prawdę, a Rand był Smokiem, jak utrzymywała Moiraine, to pewnego dnia będzie nim władał, chociaż na podstawie pozostałych rzeczy, jakie wiedziała na temat Proroctw dotyczących *Callandora*, nie potrafiła sobie wyobrazić, jak to się w ogóle może stać.

"Ale jeśli istnieje sposób zdobycia go, to może Czarne Ajah go znają? Jeśli tak jest, muszę się

tego dowiedzieć".

Ostrożnie sięgnęła strumieniem Mocy, badając to, co trzymało i osłaniało miecz. Jej sonda dotknęła... czegoś... i zatrzymała się. Mogła wyczuć, które z Pięciu Mocy tutaj zastosowano. Powietrze, Ogień i Ducha. Potrafiła prześledzić skomplikowany splot, utkany z *saidara*, postawiony z siłą, która ją zadziwiła. W tych splotach znajdowały się jednak szczeliny, przerwy, przez które jej sonda mogłaby wślizgnąć się do środka. Kiedy jednak spróbowała, było to niczym natarcie na najsilniejszą część splotu. A gdy przemocą usiłowała utorować sobie drogę, splot poraził ją w reakcji na jej starania, pozwoliła więc swej sondzie zaniknąć. Połowa tej przegrody spleciona została przy użyciu *saidara*, druga zaś połowa, ta część, której nie potrafiła ani poczuć, ani dotknąć, stworzona została przy użyciu *saidina*. To znaczy, ściśle rzecz biorąc tak nie było, cała przesłona stanowiła bowiem konstrukcję jednorodną, ale była i tak wystarczająco ścisła.

"Kamienna ściana z równą łatwością zatrzyma ślepą kobietę, jak kogoś kto widzi".

Z oddali dobiegł ją odgłos kroków. Stukot butów.

Egwene nie potrafiła powiedzieć, jak wiele ich jest, ani określić kierunku, z którego się zbliżają, ale Silvie wzdrygnęła się i natychmiast spojrzała w cień kolumn.

– Nadchodzi, by ponownie na niego spojrzeć – wymamrotała. – Śniący czy przebudzony, pragnie...

Zdała się nagle przypomnieć sobie o obecności Egwene i na jej twarz wypełził zatroskany uśmiech.

– Musisz teraz iść sobie, moja pani. On nie może cię tutaj spotkać, ani wiedzieć, że tu byłaś.

Egwene już szła w kierunku kolumnady, a Silvie podążyła za nią, machając dłonią i laską.

– Idę już, Silvie. Po prostu chciałabym zapamiętać drogę. – Dotknęła palcem kamiennego pierścienia. – Zabierz mnie z powrotem na wzgórze.

Nic się nie stało. Przeniosła cienki jak włos strumień na pierścień.

– Zabierz mnie z powrotem na wzgórze.

Wciąż otaczały ją kolumny z czerwonego kamienia. Odgłos butów zbliżał się, był tak niedaleko, że nie nakładał się już na wywoływane przez siebie echa.

– Nie znasz drogi wyjścia – powiedziała bezbarwnym głosem Silvie, potem zniżyła go nieomal do szeptu, przymilnego i drwiącego jednocześnie, niczym u starego służącego, który czuje, że może zdobyć się na odrobinę niedopuszczalnej w normalnych warunkach poufałości.

– Och, moja pani, to jest zbyt niebezpieczne miejsce, by przychodzić doń, nie znając drogi wyjścia. Chodź, pozwól biednej Silvie wyprowadzić cię stąd. Biedna stara Silvie zaprowadzi cię bezpiecznie do twego łóżka, moja pani.

Obama ramionami otoczyła Egwene, prowadząc ją coraz dalej od miecza. Nie żeby tamta potrzebowała ponaglenia. Kroki zatrzymały się, on – kimkolwiek był – zapewne spoglądał na *Callandora*.

– Po prostu pokaż mi drogę – wyszeptała w odpowiedzi Egwene. – Albo powiedz mi. Nie ma potrzeby pchać mnie.

Palce starej kobiety zacisnęły się w jakiś sposób na kamiennym pierścieniu.

– Nie dotykaj tego, Silvie.

– Bezpiecznie do twego łóżka.

Ból unicestwił cały świat.

Z krzykiem szarpiącym gardło, Egwene usiadła pośród ciemności, pot spływał jej po twarzy.

Przez chwilę nie miała pojęcia, gdzie się znajduje, ale nie dbała o to.

– Och, Światłości – zajęczała – to boli. Och, Światłości, jak boli!

Przesunęła dłońmi po ciele, pewna, że skóra musi być poznaczona szramami i pręgami, bo cóż innego mogłoby wywołać takie pieczenie, ale nie znalazła ani śladu.

– Jesteśmy tutaj – powiedział z ciemności głos Nynaeve. – Jesteśmy, Egwene.

Egwene rzuciła się w kierunku głosu i z najczystszą ulgą objęła ramionami szyję Nynaeve.

– Och, Światłości, wróciłam. Światłości, wróciłam.

– Elayne – powiedziała Nynaeve.

Po chwili jedna ze świec zapłonęła niewielkim płomieniem, Elayne zatrzymała się ze świecą w jednej dłoni i fidybusem, który zapaliła przy pomocy krzesiwa oraz stali, w drugiej. Uśmiechnęła się i nagle wszystkie świece w pokoju rozbłyły jasno. Zatrzymała się na moment przy umywalni, potem wróciła do łóżka, niosąc chłodny, mokry ręcznik, aby umyć Egwene twarz.

– Było źle? – zapytała z niepokojem. – Nawet nie drgnęłaś. Ani nie mamrotałaś. Nie wiedziałyśmy, czy cię budzić, czy nie.

Egwene z pośpiechem zdjęła z szyi skórzany rzemyk i odrzuciła razem z kamiennym pierścieniem na drugą stronę pokoju.

– Następnym razem – wydyszała – określimy czas, a wy obudzicie mnie po jego upływie. Obudzicie mnie, choćbyście miały zanurzyć mi głowę w misce z wodą!

Nie zdawała sobie sprawy, że tym samym postanowiła, iż będzie jednak następny raz.

"Czy wsadzisz głowę do paszczy niedźwiedzia tylko po to, by pokazać, że się nie boisz? Czy zrobisz to po raz drugi tylko dlatego, że zrobiłaś to już raz i nie zginęłaś?"

Jednak chodziło o coś więcej, niżli dowodzenie sobie, że się nie boi. Bała się i wiedziała o tym. Ale dopóki Czame Ajah mają te *ter'angreale*, których badaniem zajmowała się Corianin, będzie musiała wracać. Pewna była, że odpowiedź na pytanie, dlaczego ich potrzebowały, leży w *Tel'aran'rhiod*. Jeśli będzie w stanie znaleźć tam rozwiązanie kwestii Czarnych Ajah – a być może, również i innych problemów, a tak być powinno, pod warunkiem, że połowa choćby z tego, co jej powiedziano o Śnieniu była prawdą – to musi wrócić.

– Ale już nie dzisiejszej nocy – powiedziała cicho. – Jeszcze nie.

– Co się stało? – zapytała Nynaeve. – Co... śniłaś?

Egwene położyła się z powrotem na łóżku i opowiedziała im. O wszystkim, jedyna rzecz, którą pominęła, to Perrin mówiący do wilka. O wilku również nie wspomniała. Czuli się trochę winna, zatajając coś przed Nynaeve i Elayne, ale w istocie rzeczą samego Perrina było o tym opowiedzieć, jeżeli kiedyś będzie chciał. O wszystkim innym opowiedziała im słowo w słowo, opisując dokładnie, co widziała i przeżyła. Kiedy skończyła, poczuła się, jakby opróżniona.

– Oprócz tego, że był zmęczony – zapytała Elayne – czy nic innego mu nie było, czy nie był ranny? Egwene, nie wierzę, żeby mógł wyrządzić ci krzywdę. Nie wierzę.

– Rand – wtrąciła sucho Nynaeve – będzie musiał sam o siebie zadbać przez jakiś czas.

Elayne splonęła rumieńcem; wyglądała z tym ślicznie. Egwene nagie zdała sobie sprawę, że tamta wygląda ślicznie, niezależnie od tego, co robi, nawet gdy płacze, albo szoruje garnki.

– *Callandor* – ciągnęła dalej Nynaeve. – Serce Kamienia. Było zaznaczone na planie. Sądzę, że już wiemy, gdzie szukać Czarnych Ajah.

Elayne odzyskała równowagę.

– To niczego nie zmienia, jeżeli chodzi o hipotezę pułapki – odpowiedziała jej. – Jeżeli nie jest to podstęp, to wobec tego mamy do czynienia z pułapką.

Nynaeve uśmiechnęła się zawzięcie.

– Najlepszym sposobem złapania tego, który zastawił pułapkę, jest wpaść w nią i poczekać, aż on się pojawi. Albo ona, w tym przypadku.

– Masz na myśli podróż do Łzy? – zapytała Egwene, a Nynaeve pokiwała głową.

– Amyrlin, jak się wydaje, odseparowała się od nas. Podejmujemy własne decyzje, pamiętacie?

Przynajmniej wiemy, że Czarne Ajah są we Łzie i wiemy kogo tam szukać. Tutaj możemy tylko siedzieć i gryźć się, podejrzewając wszystkich, martwić się, czy przypadkiem nie czatuje gdzieś Szary Człowiek. Wolę być raczej ogarem niż królikiem.

– Muszę napisać do matki – oznajmiła Elayne. Kiedy poczuła na sobie ich spojrzenia, w tonie jej głosu pojawiły się defensywne nuty. – Raz już zniknęłam, nie powiadamiając jej, gdzie jestem. Jeżeli zrobię to znowu... Nie znacie charakteru Matki. Może wysłać Garetha Bryne'a i całą armię przeciwko Tar Valon. Albo ścigać nas po całym świecie.

– Możesz tu zostać – doradziła jej Egwene.

– Nie. Nie pozwolę, byście pojechały same, we dwie. I nie mam zamiaru zastanawiać się przez cały czas, czy ucząca mnie siostra jest Sprzymierzeńcem Ciemności, albo czy nie poluje na mnie następny Szary Człowiek. – Roześmiała się lekko. – Nie będę również pracować w kuchni, podczas gdy wy dwie wyprawicie się na poszukiwanie przygód. Po prostu, muszę zawiadomić moją matkę, że wyruszam z Wieży na polecenie Amyrlin, żeby nie była wściekła, kiedy posłyszysz plotki. Nie muszę jej mówić, dokąd jedziemy, ani dlaczego.

– Lepiej żebyś tego nie robiła – powiedziała Nynaeve. – Zapewne natychmiast by po ciebie posłała, gdyby dowiedziała się o Czarnych Ajah. Jeśli zaś o to chodzi, nie zdajesz sobie sprawy, przez ile rąk przejdzie twój list, zanim do niej trafi, ani jakie oczy mogą go czytać. Najlepiej nie pisz o niczym, o czym nie chcesz, by się ktokolwiek dowiedział.

– Jest jeszcze jedno – westchnęła Elayne. – Amyrlin nie wie, że jestem z wami. Muszę znaleźć jakiś sposób wysłania pisma, by ona również się nie dowiedziała.

– Muszę o tym pomyśleć. – Brwi Nynaeve połączyły się nieomal w jedną linię. – Być może wówczas, gdy będziemy już w drodze. Możesz wiadomość przesłać z Aringill, które leży w dole rzeki, jeżeli będziemy miały czas poszukać kogoś udającego się do Caemlyn. Widok tych dokumentów, które dała nam Amyrlin, może kogoś przekonać. Powinniśmy mieć również nadzieję, iż na kapitanów statków także będą działać, chyba że któraś z was dysponuje większą ilością monet niż ja.

Elayne żałośnie pokręciła głową.

Egwene nawet nie kłopotowała się, by to zrobić. Wszystkie pieniądze, które posiadały, rozeszły się podczas podróży z Głowy Tomana, wyjąwszy po kilka miedziaków na głowę.

– Kiedy... – Musiała przerwać, żeby odkaszlnąć. Kiedy wyjeżdżamy? Dziś w nocy?

Nynaeve wyglądała, jakby poważnie rozmyślała nad tą propozycją, ale po chwili potrząsnęła przecząco głową.

– Potrzebujesz snu po... – Gestem wskazała na kamienny pierścień, który leżał tam, gdzie upadł, odbiwszy się od ściany. – Damy Amyrlin jeszcze jedną szansę, by się z nami skontaktowała. Kiedy skończymy ze zmywaniem po śniadaniu, obie zapakujecie wszystko, co postanowicie zabrać, ale nie afiszujcie się z tym zbyt. Jeżeli Amyrlin nie odezwie się do południa, mam zamiar, zanim Pryma wybije, być już na statku, przykładając ten papier kapitanowi do gardła, gdy zajdzie taka potrzeba. Co o tym sądzicie

– Zgadzam się w zupełności – powiedziała Elayne, a Egwene dodała:

– Dziś w nocy czy jutro, im szybciej, tym lepiej, na ile mogę osądzać.

Pragnęła, by jej głos brzmiał równie przekonująco jak Elayne.

– A więc lepiej będzie, jeżeli trochę się wyśpimy.

– Nynaeve – poprosiła Egwene słabym głosem. Ja... nie chcę być sama dzisiejszej nocy.

Bolało ją, że musi się do tego przyznać.

– Ja również nie mam na to ochoty – powtórzyła za nią Elayne. – Nie mogę przestać myśleć o Bezdusznym. Nie wiem dlaczego, ale przerażają mnie bardziej nawet od Czarnych Ajah.

– Przypuszczam – wolno powiedziała Nynaeve że ja również nie chcę zostać sama. – Zmierzyła wzrokiem łóżko, na którym leżała Egwene. – Wydaje się dość duże dla nas trzech, jeśli każda trzymać będzie łokcie przy sobie.

Później, kiedy wierciły się, usiłując znaleźć w miarę wygodną pozycję, Nynaeve znenacka wybuchnęła śmiechem.

– Co się stało? – zapytała Egwene. – Przecież nie masz łaskotek.

– Pomyślałam po prostu o kimś, kto będzie szczęśliwy, mogąc zawieźć list Elayne. W rzeczy samej, będzie szczęśliwy, mogąc opuścić Tar Valon. Mogę się założyć.

ROZDZIAŁ 28

WYJŚCIE

Ubrany tylko w spodnie, Mat właśnie kończył pośniadaniową przekąskę – trochę szynki, trzy jabłka, chleb i masło – kiedy drzwi do jego pokoju otworzyły się i do środka weszły gęsiego, uśmiechając się do niego promiennie, Nynaeve, Egwene oraz Elayne. Sięgnął po koszulę, potem jednak zrezygnował i z zaciętą miną usiadł z powrotem. Mogły przynajmniej zapukać. W każdym razie, dobrze było je widzieć. Przynajmniej w tej chwili.

– Cóż, wyglądasz dużo lepiej – zaczęła Egwene.

– Jakbyś przez miesiąc niczego innego nie robił, tylko jadł dobrze i odpoczywał – zauważyła Elayne.

Nynaeve przyłożyła dłoń do jego czoła. Wzdrygnął się, zanim sobie przypomniał, że od co najmniej pięciu lat za każdym razem robiła tak samo. W domu.

"Ale wtedy była tylko Wiedząca – pomyślał. – Nie nosiła pierścienia".

Zauważyła jego ruch. Rzuciła mu więc niewyraźny uśmiech.

– Wyglądasz na gotowego, by wstawać i ruszać, dla mnie przynajmniej. Męczy cię już pozostawanie w zamknięciu? Nigdy nie byłeś w stanie wytrzymać nawet dwu dni w jednym pomieszczeniu.

Z wahaniem obejrzał ostatni ogryzek jabłka, potem rzucił go z powrotem na tacę. O mało co nie zaczął oblizywać soku z palców, ale wszystkie trzy patrzyły na niego. I wciąż się uśmiechały. Przyłapał się na tym, że bezskutecznie próbuje zdecydować, która z nich jest ładniejsza. Gdyby były kimś – lub czymś – innym, niżli się stały, natychmiast zaprosiłby wszystkie trzy na tańce, na giga lub rila. Z Egwene tańczył dosyć dużo, kiedyś w domu, a nawet raz z Nynaeve, ale wspomnienia o tym zdawały się tak odległe.

– "Jedna ładna kobieta oznacza przyjemność w tańcu. Dwie ładne kobiety kłopoty w domu. Trzy ładne kobiety, że uciekać należy w las". – Odpowiedział Nynaeve jeszcze bardziej bladym uśmiechem niżli przedtem jej własny. – Tak zwykł mawiać mój ojciec. O coś ci chodzi, Nynaeve. Uśmiechasz się, jak kot wpatrujący się w ziębę zaplątaną w ciernisty krzew, a sądzę, że to właśnie ja jestem ziębą.

Uśmiech zamigotał i znikł. Spojrzał na ich dłonie i zastanowiło go, dlaczego wyglądają, jakby wszystkie trzy zmywały naczynia. Córka-Dziedziczka Andoru z pewnością nigdy nie zmywała naczyń, a niezmierne trudności sprawiało mu wyobrażenie sobie Nynaeve przy takiej pracy, wiedząc nawet, że robiła to kiedyś, w Polu Emonda. Obecnie wszystkie trzy nosiły pierścienie z Wielkim Wężem. To była nowość. I nie nazbyt przyjemna niespodzianka.

"Światłości, kiedyś musiało się to zdarzyć. To nie mój interes i to wszystko, co mogę na ten temat pomyśleć. Nie mój interes. Po prostu nie".

Egwene potrząsnęła głową, ale wydawało się, że gest ten przeznaczony jest bardziej dla dwu pozostałych kobiet niż dla niego.

– Mówiłam, że powinnyśmy go zapytać wprost. Jest uparty jak każdy muł, kiedy ma na to ochotę, i zmanierowany jak kot. Jesteś, Mat. Przestań się krzywić.

Szybko uśmiechnął się znowu.

– Cicho, Egwene – skarciła ją Nynaeve. – Mat, to, że chcemy cię poprosić o przysługę, nie znaczy, iż nie interesuje nas, jak się czujesz. Oczywiście, że troskałyśmy się o ciebie, a jeśli tego nie rozumiesz, to jesteś jeszcze bardziej wełnianogłowy niżli zazwyczaj. Czy dobrze się czujesz?

Wyglądasz znacznie lepiej, w porównaniu do twego stanu, gdy widziałam cię po raz ostatni. Naprawdę, wygląda raczej, że minął miesiąc nie zaś dwa dni.

– Gotów jestem przebiec dziesięć mil, a po biegu zatańczyć giga.

Zaburczało mu w żołądku, jakby na przypomnienie, jak dużo czasu zostało jeszcze do południa, ale nie zwrócił na to uwagi i miał nadzieję, że one również niczego nie zauważyły. Czuł się nieomal tak, jakby przez miesiąc odpoczywał i dobrze się odżywiał. Ale za to zjadł tylko jeden posiłek i to na dodatek wczoraj.

– Jaką przysługę? – zapytał podejrzliwie.

Nynaeve nie prosiła o przysługi, przynajmniej tak było, odkąd pamiętał. Nynaeve po prostu mówiła ludziom, co mają robić i oczekiwała, że zostanie to zrobione.

– Chciałabym, abyś dostarczył mój list – odezwała się Elayne, zanim Nynaeve zdążyła coś powiedzieć. – Do mojej matki, w Caemlyn. – Uśmiechnęła się, a w policzkach zrobiły się jej dołeczki. – Będę bardzo ci wdzięczna, Mat.

Światło poranka zdawało się rozniecać płomień na jej włosach.

"Zastanawiam się, czy ona lubi tańczyć".

Natychmiast wygnał z głowy tę myśl.

– Nie wygląda to na szczególnie trudne zadanie, ale podróż będzie długa. Co ja z tego będę miał?

Z wyrazu jej twarzy osądził, że te dołeczki w policzkach nie zawodziły jej dotąd zbyt często.

Wyprostowała się, szczupła nagle i wyniosła. Niemalże mógł dostrzec tron w jej tle.

– Jesteś lojalnym poddanym Andoru? Nie pragniesz służyć Tronowi Lwa oraz twojej Córce-Dziedzicze?

Mat prychnął.

– Powiedziałaś wam, że to również nie podziela oznajmiła Egwene. – Nie na niego.

Elayne w złości wygięła usta.

– Sądziłam, że warto spróbować. Zawsze działało to na gwardzistów w Caemlyn. Powiedziałaś, że jak się uśmiechnę...

Przerwała gwałtownie, najwyraźniej starając się na niego nie patrzeć.

"Co powiedziałaś, Egwene – pomyślał z wściekłością. – Że głupieję na widok każdej dziewczyny, która się do mnie uśmiechnie?"

Na zewnątrz jednak zachował spokój i dokładał wszelkich starań, by na jego twarzy wciąż widniał uśmiech.

– Chciałabym, żeby prośba wystarczyła – powiedziała Egwene – ale ty nie robisz nikomu przysług, nieprawdaż, Mat? Czy kiedykolwiek zrobiłeś coś dla kogoś, nie nakłoniony pochlebstwem lub strachem?

Tylko się do niej uśmiechnął.

– Mogę zatańczyć z wami obydwoma, ale nie biegam na posyłki.

Przez chwilę myślał, że ma zamiar pokazać mu język.

– Powróćmy więc do tego, co planowałyśmy na początku – powiedziała Nynaeve nazbyt spokojnym głosem.

Pozostałe pokiwały głowami i przeniosły na niego swe spojrzenia. Po raz pierwszy od czasu, gdy weszła do pokoju wyglądała jak dawna Wiedząca, ze spojrzeniem zdolnym przyspilić cię do ziemi i warkoczem, który zdawał się gotów do rytmicznych uderzeń niczym koci ogon.

– Jesteś jeszcze bardziej niegrzeczny, niżli cię pamiętałam, Matrimie Cauthon. Byłeś chory tak długo... a Egwene, Elayne i ja troszczyłyśmy się o ciebie jak o dziecko w kołysce... że nieomal

zapomniałam. Pomimo to sędzę, że znajdziesz w sobie odrobinę wdzięczności. Mówiłeś o zobaczeniu świata, obejrzeniu wielkich miast. Cóż, jakie jest piękniejsze miasto niż Caemlyn? Rób, co chcesz, a równocześnie okaż wdzięczność i pomóż komuś.

Z fałdów płaszcza wyciągnęła zwinięty pergamin i rozłożyła go na stole, zapieczętowany był lilią, odcisniętą w złotożółtym wosku.

Z żalem spojrział na dokument. Prawie niczego nie pamiętał z podróży przez Caemlyn, którą odbył pewnego razu z Randem. Wstyd mu trochę było, że musi sprawić im zimny prysznic, ale pomyślał, że tak będzie najlepiej.

"Jeżeli chcesz zatańczyć giga, musisz wcześniej czy później kupić harfę".

A biorąc pod uwagę sposób, w jaki zaczynała się zachowywać Nynaeve, im dłużej będzie się powstrzymywał od zapłacenia, tym gorzej się to skończy.

– Nynaeve, nie mogę.

– Co masz na myśli, mówiąc, że nie możesz? Jesteś muchą na ścianie czy człowiekiem? Masz możliwość oddania przysługi Córce-Dziedzicze Andoru, zobaczenia Caemlyn, najprawdopodobniej spotkania królowej Morgase we własnej osobie, a ty twierdzisz, że nie możesz? Naprawdę nie wiem, czego jeszcze mógłbyś chcieć. Tym razem wyslizgujesz się jak tłuszcz na patelni, Matrimie Cauthon! Czy też twoje serce zmieniło się do tego stopnia, że podoba ci się już tutaj?

Lewą dłonią zamachała mu przed twarzą, praktycznie uderzając pierścieniem w nos.

– Proszę, Mat? – powiedziała Elayne, a Egwene zagapiła się na niego, jakby wyrosły mu wielkie rogi, niczym u trolloka.

Wiercił się na krześle.

– To nie tak, żebym nie chciał. Nie mogę! Amyrlin urządziła wszystko w ten sposób, abym nie mógł się wydostać z tej prze... z tej wyspy. Zróbcie coś z tym, a wtedy zawiozę w zębach twój list, Elayne.

Wymieniły spojrzenia. Czasami zastanawiał się, czy kobiety potrafią czytać w swoich umysłach. Z pewnością potrafiły odczytać jego myśli i to w chwili, kiedy najmniej tego pragnął. Tym razem jednak, do jakiegokolwiek doszły wspólnie postanowienia, nie było ono efektem przejrzenia zawartości jego głowy.

– Wyjaśnij – grzecznie poprosiła Nynaeve. – Dlaczego Amyrlin chce cię tutaj zatrzymać?

Wzruszył ramionami, spojrział jej prosto w oczy i obdarzył najbardziej ponurym ze swych uśmiechów.

– To dlatego, że byłem chory. Ponieważ trwało to tak długo. Powiedziała, iż nie pozwoli mi odejść, dopóki nie będzie pewna, że nie odejdę tylko po to, by umrzeć. Nie, żebym miał zamiar to zrobić. To znaczy, umrzeć.

Nynaeve zmarszczyła brwi i szarpnęła za warkocz. Nagle ujęła jego głowę w dłonie, a jemu dreszcz przemknął po plecach.

"Światłości, Moc!"

Zanim zdążył pomyśleć, że to koniec, uwolniła go.

– Co...? Co mi zrobiłaś, Nynaeve?

– Najprawdopodobniej nawet dziesiątej części tego, na co zasłużyłeś – powiedziała. – Jesteś zdrowy jak byk. Słabszy niż wyglądasz, ale zdrowy.

– Powiedziałem ci – oznajmił niespokojnie. Starał się przywołać na powrót na twarz tamten uśmiech. – Nynaeve, ona jest taka jak ty. To znaczy, Amyrlin. Zdaje się zawsze górować nad każdym, nawet jeśli jest o stopę niższa, i onieśmiela...

Ze sposobu, w jaki jej brwi uniosły się do góry, zrozumiał, że nie jest to droga, którą powinien

posuwać się choć odrobinę dalej. Przynajmniej nie należy poruszać kwestii Rogu. Zastanawiał się, czy w ogóle o 'nim' wiedzą.

– Cóż. W każdym razie sędzę, że chcą mnie tu zatrzymać ze względu na sztylet. To znaczy, dopóki nie dowiedzą się dokładnie, w jaki sposób zrobił mi to, co zrobił. Wiecie, jakie są Aes Sedai.

Roześmiał się cicho. Wszystkie patrzyły na niego.

"Może nie powinienem tego mówić. Niech szczenę! One przecież chcą zostać przeklętymi Aes Sedai. Niech szczenę, posunąłem się za daleko. Chciałbym, żeby Nynaeve przestała się we mnie tak wpatrywać. Trzymaj język za zębami, Mat".

– Amyrlin wszystko tak urządziła, że nie mogę przekroczyć mostu, ani zaokrętować się na statek bez jej rozkazu. Widzicie? Nie chodzi o to, że nie chcę pomóc, po prostu nie mogę.

– Ale pomógłbyś, gdybyśmy wydostały cię z Tar Valon? – zapytała z napięciem Nynaeve.

– Wy mnie wydostaniecie z Tar Valon, a ja na własnych plecach zawiozę Elayne do jej matki.

Tym razem to brwi Elayne uniosły się do góry, Egwene zaś potrzęsnęła głową, wymawiając jego imię z ostrym błyskiem w oczach. Kobiety czasami pozbawione są całkowicie poczucia humoru.

Nynaeve gestem dała im znak, aby podeszły z nią do okna, gdzie odwrócone do niego plecami, rozmawiały przez chwilę, ale tak cicho, że słyszał jedynie cichy szmer. Sądził, że usłyszał Egwene mówiącą o tym, że jeśli będą trzymać się razem, to wystarczy im jeden. Patrząc na nie, zastanawiał się, czy naprawdę wierzą, iż uda im się obejść rozkazy Amyrlin.

"Jeżeli potrafią tego dokonać, zawiozę ich przeklęty list. Naprawdę, w zębach go zawiozę".

Nie myśląc, porwał z tacy ogryzek jabłka i ugryzł jego koniec. Spróbował przeżuć i pośpiesznie wypluł pestki z powrotem na tacę.

Kiedy wróciły do stołu, Egwene trzymała w dłoni gruby, zwinięty papier. Spojrzał na nie podejrzliwie, nim go rozwinął. Kiedy czytał, nie zdając sobie z tego sprawy, zaczął cichutko podśpiewywać.

Co uczyni okaziciel niniejszego pisma, uczynione jest z mego rozporządzenia i upoważnienia. Bądźcie więc posłuszni i milczcie, taki jest bowiem mój rozkaz.

Siuan Sanche

Strażniczka Pieczęci

Płomienia Tar Valon

Zasiadająca na Tronie Amyrlin

I przypieczętowane u dołu Płomieniem Tar Valon odciśniętym w kięgu białego wosku twardego jak kamień.

Zdał sobie sprawę, że śpiewa *Kieszeń Pełną Złota* i nagle przestał.

– Czy to jest prawdziwe? Nie...? Jak to zdobyłyście?

– Nie sfalszowała tego, jeśli już o to ci chodzi oznajmiła Elayne.

– Niech cię nie boli głowa o to, skąd go wzięłyśmy – powiedziała Nynaeve. – Jest prawdziwy. To jest wszystko, czego potrzebujesz. Na twoim miejscu nie wymachiwałabym tym papierem wszędzie dookoła, bo Amyrlin ci go zwyczajnie zabierze, ale dzięki niemu przejdiesz przez strażę i dostaniesz się na statek. Powiedziałeś, że jeśli uda nam się to zrobić, zawieziesz list.

– Możecie uważać, że już jest w rękach Morgase. Nie miał ochoty odrywać się od lektury dokumentu, ale ona zwinęła go z powrotem i położyła na liście Elayne. – Nie macie przypadkiem

paru monet do przekazania razem z listem? Trochę srebra? Jedną lub dwie złote marki? Posiadam niemalże wystarczająco dużo, żeby opłacić przejazd, ale słyszałem, że w dole rzeki wszystko robi się coraz droższe.

Nynaeve potrząsnęła przecząco głową.

– Nie masz pieniędzy? Nieomal każdej nocy grałeś z Hurmem, dopóki nie stałeś się tak słaby, że nie mogłeś utrzymać kubka z kośćmi w dłoni. Dlaczego w dole rzeki rzeczy miałyby być droższe?

– Graliśmy o miedziaki, Nynaeve, a później on nie chciał zgodzić się nawet na taką stawkę. Nie ma sprawy. Poradzę sobie. Nie słuchacie tego, co ludzie mówią? W Cairhien trwa wojna domowa, a słyszałem, że we Łzie jest również niespokojnie. Mówiono mi, że pokój w gospodzie, w Aringill kosztuje więcej niż dobry koń u nas.

– Byłyśmy zajęte – odrzekła ostro i wymieniła zatroskane spojrzenia z Egwene oraz Elayne, które ponownie go zastanowiły.

– Nieważne. Dam sobie radę.

W tawernach, w pobliżu doków na pewno będzie można zagrać. Noc spędzona na grze w kości pozwoli mu rankiem wsiąść na pokład statku z pełną sakiewką.

– Tylko dostarcz ten list królowej Morgase, Mat napominała go Nynaeve. – I nie. pozwól, żeby ktokolwiek dowiedział się, że go masz.

– Zawiozę go do niej, powiedziałem, że tak zrobię, nieprawdaż? Sądysz, że nie datrzymuję obietnic? – Spojrzenia, jakimi obdarzyły go Nynaeve i Egwene, przypomniały mu o kilku, których nie dotrzymał. – Zrobię to. Krew i... Zrobię to!

Zostały jeszcze przez chwilę, przez większość czasu rozmawiając o domu. Egwene i Elayne usiadły na łóżku, a Nynaeve zajęła fotel, on zaś zatrzymał stołek. Rozmowa o Polu Emonda wywołała w nim przyływ tęsknoty, a Nynaeve i Egwene wyraźnie posmutniały, jakby rozmawiały o czymś, czego już nigdy w życiu nie zobaczą. Pewien był, że zwilgotniały im oczy, lecz gdy usiłował zmienić temat, ponownie do niego wracały, do ludzi, których znali, do świąt Bel Tine i Niedzieli, do tańców w czasie żniw i pikników podczas strzyżenia owiec.

Elayne opowiedziała mu o Caemlyn, o tym, czego powinien spodziewać się w Pałacu Królewskim i z kim rozmawiać, oraz odrobinę o samym mieście. Czasami zachowywała się w taki sposób, że nieomal dostrzegał koronę na jej głowie. Człowiek musiałby być głupcem, aby pozwolić sobie na cokolwiek z taką kobietą. Kiedy podniosły się, by go opuścić, przykro mu było, że to już tak szybko.

Wstał, czując się zniecka skrępowany.

– No i zobaczcie, wy wyrządziłyście mi przed chwilą przysługę. – Dotknął leżącego na stole dokumentu Amyrlin. – Wielką przysługę. Wiem, że wszystkie macie zamiar zostać Aes Sedai – przy tych słowach potknął się odrobinę – a ty, Elayne, będziesz pewnego dnia królową, ale gdybyście tylko kiedykolwiek potrzebowały pomocy, jeżeli będzie coś, co będę mógł dla was zrobić, pojawię się. Możecie na to liczyć. Czy powiedziałem coś śmiesznego?

Elayne przyciskała dłoń do ust, a Egwene w otwarty sposób usiłowała stłumić śmiech.

– Nie, Mat – powiedziała miękko Nynaeve, ale usta jej drżały. – To tylko coś, co zauważyłam u mężczyzn. – Musiałbyś być kobietą, by to zrozumieć – dodała Elayne.

– Podróżuj szczęśliwie i bezpiecznie – uzupełniła Egwene. – I pamiętaj, jeżeli kobieta potrzebuje bohatera, potrzebuje go dzisiaj, nie zaś jutro.

Śmiech wylał się przez jej usta.

Drzwi się za nimi zamknęły. Wpatrywał się w nie przez czas jakiś. Kobiety, zdecydował po raz już chyba setny, są dziwne.

Potem spojrzął kątem oka na list Elayne i leżący na nim zwinięty dokument Amyrlin. Błogosławiony, nie-do-zrozumienia, ale pożądany jak-ogień-zimą dokument. Odańczył kilka dzikich płaśów na dywanie w kwietne wzory. Zobaczyć Caemlyn i spotkać królową.

"Twoje własne słowa uwolnią mnie od ciebie, Amyrlin. I od Selene również".

– Nigdy mnie nie złapiesz – zaśmiał się, a miał na myśli je obie. – Nigdy nie złapiecie Mata Cauthona.

ROZDZIAŁ 29

PUŁAPKA, W KTÓRĄ NALEŻY WPAŚĆ

W kącie obracający rożen pies odpoczywał w spokoju. Spoglądając na niego, Nynaeve dłonią otarła pot z czoła i z powrotem pochyliła się, wracając do pracy, którą on powinien wykonywać.

"Nigdy bym im nie darowała, gdyby zamiast pozwolić mi obracać normalnie ten przeklęty rożen, wepchnęły mnie do jego kosza. Aes Sedai! Niech wszystkie szczyzną!"

Miarą jej zdenerwowania mógł być fakt, że używała takiego języka, kolejną oznakę stanowiło, iż nie zdawała sobie z tego sprawy. Nie sądziła, by ogień na długim piecu z szarego kamienia był o wiele gorętszy niż rozpalająca ją wściekłość. Gdyby wsadziła tam rękę, z pewnością nic by nie poczuła. Pewna była, że szary, cętkowany pies śmieje się z niej.

Elayne zbierała tłuszcz z rynienki pod rożnem za pomocą drewnianej łyżki o długim uchwycie, podczas gdy Egwene identyczną substancją polewała pieczeń. Dookoła nich zajęcia w wielkiej kuchni toczyły się zgodnie z południową rutyną. Nawet nowicjuszki tak się przyzwyczyły do codziennego widoku Przyjętych, że nie poświęcały im zazwyczaj nawet jednego spojrzenia. Oczywiście kucharki nie pozwalały marnować czasu na próżnowanie. Praca wzmacnia charakter, tak twierdziły Aes Sedai, a kucharki dbały ze swej strony, by nowicjuszki naprawdę miały silne charaktery. A wraz z nimi trzy Przyjęte.

Laras, Mistrzynie Kuchni – naprawdę była zwykłą szefową kuchni, ale tak wielu używało od tak dawna tego tytułu, że równie dobrze mógłby być jej nadany oficjalnie przysła, by sprawdzić mięso. Oraz kobiety pocące się nad nim. Była bardziej niż przeciętnie tęga, o wielu podbródkach, a z jej śnieżnobiałego fartucha dałoby się wykroić trzy suknie dla nowicjusek. Swą własną drewnianą łyżkę nosiła jak berło. Ta łyżka nie służyła do mieszania. Przy jej pomocy kierowała tymi, które znajdowały się niżej w hierarchii, oraz rozdawała szturchańce tym, które jej zdaniem nie wzmacniały charakteru odpowiednio szybko. Wpatrzyła się w pieczeń, parsknęła lekceważąco i zmarszczyła brwi, spoglądając na trzy Przyjęte.

Nynaeve odpowiedziała na wzrok Laras spojrzeniem bez wyrazu, nie przestając jednocześnie obracać rożna. Wyraz twarzy tłuszciochy nigdy się nie zmieniał. Nynaeve usiłowała się uśmiechnąć, ale to w najmniejszym stopniu nie odmieniło emocji tamtej. Przerwanie pracy, by z nią całkiem grzecznie porozmawiać, stanowiło katastrofę. Wystarczająco nieprzyjemnie było być straszonym i zadręczanym przez Aes Sedai. Skończyłaby z tym, niezależnie od tego jak bolało to i paliło, gdyby nauczyła się wykorzystywać swoje zdolności. Nie chodzi o to, że lubiła to, co przyszło jej robić – jedną rzeczą było wiedzieć, iż Aes Sedai nie stają się Sprzymierzeńcami Ciemności tylko dlatego, że przenoszą Moc, zupełnie inną jednak, przenosić samemu – a jednak musiała się nauczyć, jeżeli miała odpłacić Moiraine. Nienawiść do Moiraine za to, co zrobiła Egwene i pozostałym mieszkańcom Pola Emonda, zmieniając ich żywoty i manipulując nimi dla celów Aes Sedai, była niemalże wszystkim, co ją napędzało. Ale być traktowaną jak leniwe, niezbyt rozbudowane dziecko przez tę Laras, być zmuszoną do grzeczności i popędzaną przez kobietę, którą kiedyś, w domu usadziłaby przy pomocy kilku dobrze dobranych słów to powodowało, że zgrzytała zębami równie mocno, jak wówczas, gdy myślała o Moiraine.

"Może, jeśli po prostu nie będę na nią patrzyła... Nie! Niech szczyzną, jeżeli miałabym spuścić oczy pod wejrzeniem tej... tej krowy!"

Laras parsknęła jeszcze głośniejszym i poszła dalej. Przewalała się z nogi na nogę, krocząc po świeżo umytych szarych płytkach.

Wciąż pochylona z łyżką nad garnkiem na tuszcz, Elayne popatrzyła za nią płonąącym wzrokiem.

– Jeżeli ta kobieta uderzy mnie choć raz jeszcze, każę Garethowi Bryne aresztować ją i...

– Bądź cicho – szepnęła Egwene. Nie przerwała polewania pieczeni i nawet nie spojrzała na Elayne. – Ma uszy jak...

Laras odwróciła się, jakby rzeczywiście usłyszała, co o niej mówią, jej grymas pogłębił się, a usta otworzyły szeroko. Zanim jednak zdążyła wypowiedzieć słowo, do kuchni niczym podmuch wiatru wpadła Zasiadająca na Tronie Amyrlin. Nawet pasiasta stuła na jej ramionach zdawała się jeżyć. Po raz pierwszy nigdzie nie można było dostrzec Leane.

"W końcu – pomyślała ponuro Nynaeve. – I rychło w czas!"

Ale Amyrlin nie spojrzała nawet w jej stronę. Nie odezwała się do nikogo ani słowem. Przejechała dłonią po wyszorowanym do białości blacie stołu i podnosząc ją do oczu, skrzywiła się, jakby zobaczyła brud. W mgnieniu oka Laras stanęła obok niej, cała w uśmiechach, ale puste spojrzenie Amyrlin spowodowało, iż zatrzymała się i w milczeniu trwała czekając, co będzie dalej.

Amyrlin przeszła się po kuchni. Popatrzyła na kobiety krojące placek z owsianej mąki. Popatrzyła na kobiety obierające jarzyny. Zajrzała do kotłów z zupą, potem przyjrzała się dbającym o nie kobietom, te zdawały się całkowicie pochłonięte obserwacją powierzchni płynu. Zmarszczenie jej brwi spowodowało, że służące, które nosiły talerze i miski do refektarza, puściły się biegiem. Błysk w jej oczach doprowadził nowicjuszeki do tego, iż rozpięchły się niczym myszy na widok kota. W czasie gdy pokonała połowę swej drogi przez kuchnię, każda kobieta pracowała już dwukrotnie szybciej niżli dotąd. Kiedy zaś dokończyła obchodu, Laras była jedyną, która śmiała w ogóle spojrzeć na nią.

Amyrlin zatrzymała się przed pieczenią, obracającą się na rożnie, wsparła pięści o biodra i spojrzała na Laras. Tylko spojrzała, bez żadnego wyrazu, spojrzenie błękitnych oczu było zimne i twarde.

Potężna kobieta nieomal się udławiła, a jej podbródki drżały, gdy wygładzała fartuch. Amyrlin nawet nie mrugnęła. Laras spuściła wzrok, przestąpiła ciężko z nogi na nogę.

– Jeżeli Matka pozwoli – zaczęła słabym głosem.

Wykonała coś, co w zamierzeniu zapewne miało być dwornym ukłonem, a potem oddaliła się śpiesznie, zapominając się do tego stopnia, że stanęła przy jednym z kotłów z zupą i zaczęła mieszać w nim swoją łyżką.

Nynaeve uśmiechnęła się, pochylając głowę, by to ukryć. Egwene i Elayne nie przerywały pracy, ale również rzucały spojrzenia na Amyrlin, która stała odwrócona plecami nie dalej niż o dwa kroki od nich.

Z miejsca gdzie stała, Amyrlin ciskała po całej kuchni spojrzenia.

– Jeżeli tak łatwo można je zastraszyć – wymruczała cicho – zapewne przez długi czas mogły pozwalać sobie na zbyt wiele rzeczy.

"Latwo zastraszone, rzeczywiście – pomyślała Nynaeve. – Żałosna wymówka dla tych kobiet. Ona tylko na nie spojrzała!"

Amyrlin rzuciła spojrzenie przez okryte stułą ramię i przez moment pochwyciła wzrok Nynaeve. Nagle ta zdała sobie sprawę, że szybciej obraca rożen. Powiedziała sobie, że stara się udawać równie zastraszoną jak wszystkie pozostałe.

Spojrzenie Amyrlin padło na Elayne i nagle przemówiła, nieomal tak głośno, aby zagrzechotały miedziane garnki i rondle wiszące na ścianach.

– Są słowa, których nie będę tolerowała w ustach młodej kobiety, Elayne z Domu Trakand. Jeżeli wypowiesz je głośno, zadbam o to, byś je potem zszorowała z podłogi!

Wszyscy znajdujący się w kuchni aż podskoczyli.

Elayne wyglądała na zmieszaną, natomiast przez twarz Egwene przemknęło oburzenie.

Nynaeve potrząsnęła głową, jakby jej kark przeniknęło drobne wściekłe drzenie.

"Nie, dziewczyno! Powstrzymaj swój język! Nie widzisz, co ona robi?"

Ale Egwene otworzyła jednak usta, z szacunkiem, lecz i z determinacją.

– Matko, ona nie...

– Cisza! – Ryk Amyrlin wywołał kolejną falę podskoków. – Laras! Czy możesz znaleźć coś, co nauczy te dwie dziewczyny odzywać się, kiedy powinny i mówić, co należy, Mistrzynie Kuchni? Potrafisz to zrobić?

Laras nadeszła, kołysząc się, szybciej jednak niżli Nynaeve kiedykolwiek widziała, skoczyła w kierunku Elayne i Egwene, aby złapać obie za uszy, przez cały czas zaś powtarzała:

– Tak, Matko. Natychmiast, Matko. Jak rozkażesz, Matko.

Spiesznie wyprowadziła obie dziewczyny z kuchni, jakby zadowolona, że może zniknąć z zasięgu spojrzenia Amyrlin.

Ta stała zaś wystarczająco blisko Nynaeve, by móc jej dotknąć, ale wciąż rozglądała się po kuchni. Młoda kucharka odwróciła się, trzymając w dłoniach miskę, w której coś mieszała i zaryzykowała spojrzenie na Amyrlin, po chwili jednak szybko uciekła na drugi koniec pomieszczenia.

– Nie chciałam, aby Egwene dostało się coś takiego.

Amyrlin ledwie poruszała ustami. Wyglądało to, jakby coś mruzczała do siebie, a z wyrazu jej twarzy nikt w kuchni nie miał zamiaru wnioskować, o czym mówi. Sama Nynaeve z trudem rozróżniała słowa.

– Ale być może to ją nauczy, że najpierw należy pomyśleć, zanim się coś powie.

Nynaeve obracała rożen i trzymała głowę pochyloną, starając się również wyglądać, jakby coś mruzczała pod nosem, na użytek każdego, kto by ewentualnie na nią patrzył.

– Myślałam, że będziesz uważnie nas obserwować, Matko. Tak, abyśmy mogły ci przekazać, co odkryłyśmy.

– Gdybym codziennie przychodziła patrzeć na was, Córko, mogłyby powstać podejrzenia.

Amyrlin nie przestawała badawczo rozglądać się po kuchni. Większość kobiet unikała nawet spoglądania w jej kierunku, by nie ściągnąć na siebie gniewu.

– Zaplanowałam sprowadzenie was dzisiaj do mojego gabinetu po południowym posiłku. Oficjalnie po to, by zrugać was za zaniedbania w wyborze studiów, tak przynajmniej oznajmiłam Leane. Ale są wieści, które nie mogą czekać. Sheriam znalazła następnego Szarego Człowieka. Kobietę. Była martwa niczym zeszlotygodniowa ryba a na jej ciele nie było żadnych śladów przemocy. Leżała, jakby odpoczywała, na łóżku Sheriam. Nie było to dla niej zbyt przyjemne odkrycie.

Nynaeve zeszywniała, a jej rożen zatrzymał się na moment, zanim znów podjęła pracę.

– Sheriam miała szansę zobaczyć listę, którą Verin dała Egwene. Podobnie jak Elaida. Nie rzucam żadnych oskarżeń, ale miały obie taką możliwość. A Egwene powiedziała, że Alanna... również zachowuje się dziwnie.

– Powiedziała ci o tym, czy tak? Alanna jest Arafellin. W Arafel mają dziwne przekonania dotyczące honoru i długu wdzięczności. – Wzruszyła ramionami, kończąc kwestię. – Przypuszczam, że mogą dawać na nie baczenie. Czy dowiedziałyście się czegoś użytecznego, dziecko?

– Pewnych rzeczy – wymruczała ponuro Nynaeve.

"A co z nie spuszczeniem oka z Sheriam? Może ona nie znalazła po prostu Szarego Człowieka. Amyrlin powinna również obserwować Elaidę, jeśli już o to chodzi. Cóż, Alanna naprawdę

zrobiła..."

– Nie rozumiem, dlaczego zaufałaś Else Grinwell, ale wiadomość okazała się pomocna.

W krótkich, urywanych zdaniach, Nynaeve opowiedziała jej o rzeczach, które odnalazły w magazynie pod biblioteką, starając się sprawiać wrażenie, że tylko ona i Egwene tego dokonały, a w konkluzji dodała, co osiągnęły przez ich przeszukanie. Nie wspomniała nic o śnie Egwene – czy też czymkolwiek było to, co tamta przeżyła, Egwene upierała się, że była to jak najbardziej swego rodzaju rzeczywistość – o *tel'aran'rhiod*. Nie powiedziała też o *ter'angrealu*, który Verin dała Egwene. Nie potrafiła się zmusić, by całkowicie zaufać kobiecie noszącej siedmiobarwną stulę czy też w ogóle jakiegokolwiek kobiecie noszącej szal, jeśli już o to chodzi – i wydawało jej się, że lepiej zostawić sobie jakieś rzeczy w zapasie.

Kiedy skończyła, Amyrlin milczała tak długo, że Nynaeve zaczęła myśleć, iż tamta niczego nie usłyszała. Miała zamiar powtórzyć wszystko odrobinę głośniejszym głosem, kiedy Zasiadająca na koniec przemówiła, wciąż ledwie poruszając ustami:

– Nie wysyłałam żadnej wiadomości, Córkko. Rzeczy, które Liandrin oraz jej współpracownicy pozostawiły, zostały skrupulatnie przeszukane i spalone, kiedy nic w nich nie znaleziono. Nikt nie używałby niczego, co pozostało po Czarnych Ajah. Jeżeli zaś chodzi o Else Grinwell... Pamiętam tę dziewczynę. Mogła się nauczyć, jeśli by się przykładała, ale ona pragnęła tylko uśmiechać się do mężczyzn na placu ćwiczebnym strażników. Else Grinwell została umieszczona na statku handlowym i wysłana do matki dziesięć dni temu.

Nynaeve spróbowała przełknąć grudę, jaka stanęła jej w gardle. Słowa Amyrlin spowodowały, że pomyślała o tchórzach znęcających się nad mniejszymi dziećmi. Byli oni zawsze tak pogardliwie nastawieni względem mniejszych, tak pewni, że tamci, nazbyt głupi, nie zdają sobie sprawy z tego, co się dzieje, że wkładali niewiele wysiłku, by ukryć swoje sidła. To, że Czarne Ajah były tak pogardliwe względem niej spowodowało, iż krew zawrzała jej w żyłach. To, że mogły zastawić te sidła, spowodowało, że w żołądku poczuła kulę lodu.

"Światłości, jeśli Else odesłano... Światłości, każdy z kim rozmawiam może się okazać Laindrin, albo którąś z pozostałych. Światłości!"

Rożen zatrzymał się. Pośpiesznie na nowo wprawiła go w ruch. Wydawało się jednak, że nikt nic nie dostrzegł. Obecni w kuchni dawali z siebie wszystko, starając się nie patrzeć na Amyrlin.

– A co masz na myśli, mówiąc o tej... nazbyt oczywistej pułapce? – zapytała cicho Amyrlin, wciąż rozglądając się po kuchni i nie patrząc na Nynaeve. – W tę również zamierzasz wpaść?

Twarz Nynaeve poczerwieniała.

– Wiem, że jest to pułapka, Matko. Najlepszym sposobem złapania tego, który zastawił pułapkę, jest wpaść w nią i poczekać aż on, albo ona, się pojawi.

Brzmiało to dużo słabiej, niż wówczas, kiedy przedstawiała cały pomysł Egwene oraz Elayne, przynajmniej po tym, co usłyszała przed chwilą od Amyrlin, ale dalej miała zamiar tak zrobić.

– Może tak, dziecko. Być może, to jest sposób na to, by je znaleźć. Jeśli nie okaże się, że przyjdą i znajdą cię ciasno zaplątaną w sieć. – Westchnęła ze zniecierpliwieniem. – W pokoju zostawię ci złoto na podróż. I rozpuszczę plotki, że wysłałam cię na wieś do hodowli kapusty. Czy Elayne jedzie z wami?

Nynaeve zapomniała się na tyle, żeby spojrzeć na Amyrlin; potem jednak pośpiesznie przeniosła wzrok z powrotem na swoje dłonie. Jej kłykiec pobielały od uścisku rączki różna.

– Próbujesz starych... Skąd te pretensje, jeśli wiesz? Twoje chytre intrygi zdręczają nas niemalże w tym samym stopniu, co Czarne Ajah. Dlaczego?

Twarz Amyrlin ściągnęła się w takim stopniu, iż zmusiło to ją do dodania tonem pełnym

szacunku:

– Jeśli mogę spytać, Matko.

Amyrlin parsknęła.

– Skłonienie Morgase, by na powrót wybrała właściwą drogę, niezależnie od tego, czy sama tego chce, czy nie, już będzie wystarczająco trudne, a co dopiero, gdy osądzi, że wysłałam jej córkę na morze w przeciekającej łódce. Tym razem będę jednak mogła powiedzieć, że nie mam z tym nic wspólnego. Dla Elayne zapewne okaże się ostatecznie niełatwym zadaniem, stanąć przed obliczem swojej matki, ale ja będę miała trzy ogary zamiast dwóch. Powiem ci, że najbardziej odpowiadałoby mi ze sto. – Poprawiła stulę na ramionach. – Trwa to już nazbyt długo. Jeżeli zostanę tak blisko ciebie, może to zostać zauważone. Czy masz coś jeszcze mi do powiedzenia? Albo jakieś pytania? Pośpiesz się, Córko.

– Czym jest *Callandor*, Matko? – zapytała Nynaeve.

Tym razem to Amyrlin zapomniała się i na poły odwróciła w stronę Nynaeve, nim szarpnęła się z powrotem.

– Nie można im na to pozwolić. – Jej szept był ledwie słyszalny, jakby przeznaczony tylko dla jej własnych uszu. – Najprawdopodobniej nie uda im się dostać do niego, ale...

Wzięła głęboki oddech, a jej ciche słowa były wystarczająco wyraźne, by słyszała je Nynaeve, lecz nikt, kto stałby choć dwa kroki dalej.

– Nie więcej niż kilkanaście kobiet w Wieży wie, czym jest *Callandor*, a przypuszczalnie poza nią tyleż samo. Wysocy Lordowie Łzy oczywiście wiedzą, ale nigdy o tym nie mówią, prócz sytuacji, gdy Lord Prowincji ma być wyniesiony. Miecz Którego Nie Można Dotknąć jest *sa'angrealem*, dziewczyno. Wykonano w dziejach świata jedynie dwa bardziej potężne, jednak, dzięki Światłości, żaden z nich nigdy nie został użyty. Trzymając *Callandor* w dłoni, dziecko, możesz jednym uderzeniem zrównać miasto z powierzchnią ziemi. Jeżeli zginiesz, starając się nie dopuścić, by wpadł w ręce Czarnych Ajah, jeśli zginiecie ty, Egwene i Elayne, cała trójka, będzie to czyn wykonany w imię całego świata, a cena i tak będzie niewielka.

– W jaki sposób mogą go zdobyć? – dopytywała się dalej Nynaeve. – Sądziłam, że jedynie Smok Odrodzony może dotknąć *Callandora*.

Amyrlin rzuciła jej z ukosa spojrzenie tak ostre, że mogłoby pokroić obracającą się na rożnie pieczeń.

– Może chodzi im o coś jeszcze – powiedziała po chwili. – Ukradły tutaj *ter'angreale*. W Kamieniu Łzy jest niemal równie wiele *ter'angreali* co w Wieży.

– Zawsze myślałam, że Wysocy Lordowie nienawidzą wszystkiego, co ma jakikolwiek związek z Jedyną Mocą wyszeptaną z niedowierzaniem Nynaeve.

– Och, rzeczywiście tak jest, dziecko. Nienawidzą ich i boją się. Kiedy odkrywają taireńską dziewczynę, która potrafi przenosić, zanim dzień upłynie pakują ją na statek płynący do Tar Valon, ledwie zostawiając jej dość czasu na pożegnanie się z rodziną. – Mamrotanie Amyrlin zaciągnęło się goryczą wspomnień. – A jednak, w swoim drogocennym Kamieniu, posiadają jedno z najpotężniejszych ognisk mocy, jakie świat kiedykolwiek widział. Wierzę, że dlatego właśnie zebrali tyle *ter'angreali*, i w rzeczy samej, nie chcieli mieć nic do czynienia z Mocą, przez te wszystkie lata, jakby w ten sposób chcieli pomniejszyć fakt istnienia rzeczy, której sami nie potrafili się pozbyć, rzeczy, która przypominała im o przeznaczeniu za każdym razem, kiedy wchodzili do Serca Kamienia. Ich forteca, na której rozbiły się setki armii, upadnie jako jeden ze znaków wieszczących, że Odrodził się Smok. Nie będzie to nawet jedyny znak, po prostu jeden z wielu. Jak to musi ranić ich dumne serca. Ich upadek nie będzie nawet jedynym wielkim znakiem przemiany świata. Nie mogą nawet

zlekceważyć go, trzymając się daleko od Serca. Bowiem tam Lordów Prowincji wynosi się do godności Wysokich Lordów, i tam muszą odprawiać cztery razy do roku coś, co nazywają Rytuałem Straży, podczas którego potwierdzają, iż bronią całego świata przed Smokiem Odrodzonym, strzegąc *Callandora*. To musi gryźć ich dusze, jakby żołądki mieli pełen srebrów, ale to jest dokładnie to, na co zasłużyli.

Potrząsnęła głową, jakby zdając sobie sprawę, że powiedziała więcej, niż zamierzała.

– Czy to już wszystko, dziecko?

– Tak, Matko – odparła Nynaeve.

"Światłości, wszystko zawsze sprowadza się do Randa, czyż nie? Zawsze wiąże się ze Smokiem Odrodzonym".

Myślenie o nim w ten sposób wciąż wymagało od niej pewnego wysiłku.

– To wszystko.

Amyrlin ponownie poprawiła stulę i spod zmarszczonych brwi spojrzała na oszalały popłoch w kuchni.

– Musiałam zrobić to właśnie w taki sposób. Po to, by móc porozumieć się z tobą bezzwłocznie. Ale Laras jest dobrą kobietą i znakomicie dba o kuchnię oraz spiżarnię.

Nynaeve parsknęła i zwracając się do swoich dłoni zaciśniętych na rączce różna, wymruczała:

– Laras jest beczką skwaśniałego tłuszczu, która nazbyt skwapliwie posługuje się tą swoją łyżką.

Sądziła, że powiedziała to dostatecznie cicho, ale usłyszała, iż Amyrlin zachichotała w nieszczerzy sposób.

– Jesteś znakomitą znawczynią charakterów, dziecko. Musiałaś świetnie sobie radzić jako Wiedząca swojej wioski. To właśnie Laras poszła do Sheriam i domagała się odpowiedzi, jak długo jeszcze wy trzy macie wykonywać najbrudniejszą i najcięższą pracę, bez nadziei na czasową choćby odmianę. Powiedziała też, że nie ma zamiaru przykładać się do niszczenia w żadnej kobiecie zdrowia i ducha, niezależnie od tego, co ja rozkazałam. Przenikliwą jesteś sędziwą charakterów, dziecko.

Wtedy w drzwiach kuchni pojawiła się Laras, wahając się przed wkroczeniem do własnego dominium. Amyrlin poszła jej na spotkanie, groźne spojrzenia i grymasy zastąpił uśmiech.

– Wszystko wygląda moim zdaniem bardzo dobrze, Laras. – Mówiła tak głośno, by wszyscy w kuchni mogli ją słyszeć. – Nie dostrzegłam niczego, co nie byłoby na swoim miejscu, wszystko jest, jak być powinno. Należy ci się pochwała. Sądzę, że uczynię Mistrzynią Kuchni oficjalnym tytułem.

Wyraz twarzy potężnej kobiety zmieniał się od niepokoju do szoku, a później rozpromienił nie skrywanym zadowoleniem. Kiedy Amyrlin wędrowała do wyjścia z kuchni, Laras cały czas uśmiechała się. Grymas na jej czoło powrócił jednak, gdy przeniosła spojrzenie z oddalających się pleców Amyrlin na swoje pracownice. Praca w kuchni zdawała się zwalniać tempo. Grymas Laras spoczął na Nynaeve.

Ponownie biorąc się do obracania różna, Nynaeve spróbowała uśmiechnąć się do potężnej kobiety.

Grymas na twarzy Laras pogłębił się, zaczęła uderzać łyżką o udo, najwyraźniej zapomniawszy, że choć raz udało się jej użyć we właściwym celu. Teraz zostawiała plamy zupy na nieskazitelnie białym fartuchu.

"Będę się do niej uśmiechać, gdyby nawet miała mnie zabić" – pomyślała Nynaeve, chociaż musiała zacisnąć zęby, aby się do tego zmusić.

Pojawiły się Egwene i Elayne, wykrzywiając twarze i ocierając usta rękawami. Na jedno spojrzenie Laras, natychmiast rzuciły się do różna i powróciły do swej pracy.

– Mydło – wymruczała stłumionym głosem Elayne – smakuje potwornie!

Zanurzając łyżkę w sosie i polewając nim pieczeń, Egwene zadrzała.

– Nynaeve, jeśli powiesz mi, że Amyrlin nie zgodziła się na nasz wyjazd, będę krzyżeć. Wtedy może naprawdę ucieknę.

– Wyjeżdżamy zaraz po tym, jak skończymy zmywać – oznajmiła im – tak szybko, jak tylko uda nam się zabrać dobytek z pokoi.

Żałowała, że nie mogła podzielać entuzjazmu, jaki rozbłysnął w ich oczach.

"Światłości, spraw, byśmy nie wpadły w pułapkę, z której nie będziemy mogły się wydostać. Światłości, spraw, by tak się stało".

ROZDZIAŁ 30

PIERWSZY RZUT

Po tym, jak Nynaeve i jej dwie przyjaciółki opuściły go, Mat spędził większość dnia w swym pokoju, wyjąwszy krótką wycieczkę. Planował. I jadł. Zjadał niemalże wszystko, co przynosiły mu służące i prosił o więcej. Były bardziej niż szczęśliwe, mogąc mu wyświadczyć tę przysługę. Prosił o chleb, sery i owoce, potem gromadził pomarszczone zimowe jabłka oraz gruszki, kawały sera i bochenki chleba w garderobie, pozostawiając do zabrania puste tace.

W południe musiał przetrzymać wizytę Aes Sedai – była to zdaje się Anaiya, chyba tak właśnie zapamiętał jej imię. Przyłożyła dłonie do jego czoła, po całym ciele przeszły mu chłodne dreszcze. Doszedł do wniosku, że był to wynik zastosowania Jedynej Mocy, a nie prosta reakcja na dotknięcie Aes Sedai. Anaiya była najzwyczajszą kobietą, wyjąwszy gładkie policzki i spokój charakterystyczne dla Aes Sedai.

– Wyglądasz już dużo lepiej – powiedziała mu, uśmiechając się. Jej uśmiech sprawił, że pomyślał o swojej matce. – Jak słyszałam, jesteś nawet bardziej głodny, niżli się spodziewałam, ale to lepiej. Powiedziano mi, że masz zamiar ogołocić spiżarnie. Uwierz mi, że zadamy o to, byś miał tyle jedzenia, ile tylko potrzebujesz. Nie musisz się martwić, że pozwolimy ci opuścić choć jeden posiłek, zanim całkowicie nie powrócisz do zdrowia.

Uśmiechnął się do niej w taki sposób, jak uśmiechał się do swojej matki, kiedy szczególnie zależało mu, aby uwierzyła w to, co ma do powiedzenia.

– Wiem, że tak jest. I rzeczywiście czuję się lepiej. Myślę, że po południu mógłbym się wybrać na krótką wycieczkę, by zwiedzić miasto. Jeżeli oczywiście nie będziesz miała nic przeciwko temu. Może nawet wieczorem wstąpię do gospody. Dla podniesienia na duchu, nie ma to jak wieczór spędzony pośród rozmów we wspólnej sali.

Wydało mu się, że jej usta zadrgały, jakby cień szerszego uśmiechu przemknął przez jej twarz.

– Nikt nie będzie cię próbował zatrzymać, Mat. Ale nie próbuj opuszczać miasta. Tylko zdenerwujesz wartowników, a tobie nic z tego nie przyjdzie prócz drogi powrotnej pod eskortą.

– Nie mam zamiaru tego robić, Aes Sedai. Zasiadająca na Tronie Amyrlin powiedziała, że jeśli opuszczę Tar Valon, w przeciągu kilku dni zagłodzę się na śmierć.

Pokiwała głową w taki sposób, jakby nie wierzyła w ani jedno słowo, które wypowiedział.

– Oczywiście.

Kiedy odwróciła się od niego, jej spojrzenie padło na pałkę, którą przyniósł z placu ćwiczeń i postawił w kącie pokoju.

– Nie musisz się nas obawiać, Mat. Jesteś tu równie bezpieczny, jak byłbyś gdzie indziej. A zapewne nawet dużo bezpieczniejszy.

– Och, wiem o tym, Aes Sedai. Naprawdę.

Kiedy poszła sobie, zmarszczywszy brwi, wpatrzył się w drzwi, przez które wyszła, zastanawiając się, czy udało mu się przekonać ją o czymkolwiek.

Był już raczej wieczór, niżli popołudnie, kiedy opuścił pokój, jak się spodziewał, po raz ostatni. Niebo purpurowiało, a zachodzące słońce barwiło chmury na zachodnim niebie odcieniami czerwieni. Kiedy jednak założył na siebie płaszcz, zawiesił na ramieniu dużą skórzaną torbę, którą udało mu się zdobyć w czasie jednej z poprzednich przymiarek do ucieczki, wypchaną chlebem, serem i owocami, jakie zdołał zgromadzić, i przejrzał się w lustrze, na pierwszy rzut oka stwierdził, że każdy, kto na niego spojrzy odkryje jego zamiary. Resztę rzeczy zawinął w koc, ściągnięty z łóżka i

przewiesił tobolek przez ramię. Pałka może posłużyć mu jako kostur. Niczego nie zostawił. W kieszeniach kaftana miał wszystkie swoje drobiazgi, a w sakwie przy pasie rzeczy, na których zależało mu najbardziej. Dokument Amyrlin. List Elayne. Oraz kubki z kośćmi.

Po drodze przez Wieżę spotykał Aes Sedai, a niektóre z nich zauważały go również, zazwyczaj jednak unosiły tylko brwi, nic nie mówiąc. Jedną z nich była Anaiya. Obdarzyła go jedynie uśmiechem pełnym rozbawienia, litościwie potrząsając głową. Odpowiedział wzruszeniem ramion i najbardziej skruszonym wyrazem twarzy, na jaki potracił się zdobyć, a ona poszła dalej, nie powiedziawszy ani słowa i nie przestając potrząsać głową. Wartownicy przy bramie Wieży obrzucili go tylko obojętnymi spojrzeniami.

Dopiero gdy przeszedł wielki plac i znalazł się na ulicach miasta, poczuł w końcu przyływ ulgi. Oraz wzmagającą się świadomość triumfu.

"Jeżeli nie potrafisz skryć swych zamiarów, spełniaj je tak, by każdy myślał, iż jesteś głupcem. Będą wtedy stali z boku, przyglądając się i czekając, aż upadniesz na twarz. Te Aes Sedai poczekają, aż wartownicy sprowadzą mnie z powrotem. Kiedy nie wrócę do rana, zarządzą poszukiwania. Początkowo zapewne dość spokojne, ponieważ pomyślała, że zaszyłem się gdzieś w mieście. Kiedy wreszcie zrozumieją, że jest inaczej, królik już dawno będzie daleko przed ogarami".

Z sercem tak lekkim, jakiego nie miał od lat, a przynajmniej od dawna nie pamiętał, zaczął nucić *Znów przeszliśmy przez granicę*, kierując się w stronę przystani, z której zapewne odpływały statki do Łzy oraz wszystkich wiosek położonych na drodze do niejwzdłuż Erinin. Tak daleko oczywiście nie miał zamiaru płynąć. Aringill, gdzie chciał z powrotem zejść na ląd, by dalszą trasę do Caemlyn pokonać konno, leżało mniej więcej w połowie drogi między Łzą a Tar Valon.

"Dostarczę twój przeklęty list. Co za bezczelność z jej strony, posądzić mnie, że nie dotrzymam tego, co obiecałem. Dostarczę ten przeklęty list, nawet jeśli miałbym przy tym zginąć".

Zmierzch powoli pokrywał Tar Valon, ale światła było wciąż dostatecznie dużo, by odświeżyć wspaniałość fantastycznych budowli oraz dziwne kształty wież połączonych wysokimi mostami zawieszonymi w powietrzu sto kroków ponad ziemią. Ludzie wciąż tłoczyli się na ulicach, tak rozmaicie poubierani, że pomyślał, iż wszystkie ludy muszą mieć tutaj chyba swych przedstawicieli. Wzdłuż głównych ulic latarnicy wspinali się na drabiny, by zapalić lampy umieszczone na wysokich słupach. Ale w tej części Tar Valon, do której zmierzał, jedyne oświetlenie stanowiły potoki światła wylewające się przez okna.

Wielkie budynki i wieże Tar Valon wybudowali Ogirowie, nowsze partie miasta wyszły jednak spod ręki ludzi. "Nowsze" znaczyło w niektórych przypadkach tyle, że zostały zbudowane dwa tysiące lat temu. Dzieła rąk ludzkich, które dostrzegł, idąc w kierunku Południowej Przystani, starały się stosować, o ile nie wręcz naśladować, wspaniałą pracę Ogirów. Gospody, w których hulały załogi statków zawierały w sobie wystarczającą ilość kamieniarskiej pracy dla postawienia pałacu. Posągi w niszach i kopuły na dachach, zdobnie odrobione gzymsy i ażurowo rzeźbione fryzy, stanowiły dekoracje sklepów i domów kupieckich. Nad ulicami również wznosiły się łuki mostów, ale tutaj ulice wykładane były brukowymi kamieniami, nie zaś płytami, wiele mostów zrobiono z drewna, miast z kamienia, czasami wysokością nie przekraczały drugiego piętra budynków, które łączyły, nigdy zaś nie znajdowały się wyżej niż piętro czwarte.

Ciemne ulice tętniły identycznym życiem jak reszta Tar Valon. Kupcy ze statków i kupujący ich towar, ludzie, którzy podróżowali po Erinin i ci, którzy pracowali na niej, wszyscy tłoczyli się w tawernach oraz wspólnych salach gospód, w towarzystwie spryciarzy poszukujących sposobu zdobycia ich pieniędzy, mniej lub bardziej uczciwym sposobem. Ochrypla muzyka wypełniała ulice dźwiękami bitterny, fletu, harfy i cymbałów. W pierwszej gospodzie, do której wszedł Mat toczyły

się akurat trzy rozgrywki w kości, mężczyźni przykucnęli w kółkach przy ścianach wspólnej sali i wykrzykiwali głośno na znak zwycięstwa oraz porażki.

Miał zamiar grać tylko godzinę, lub coś koło tego, zanim znajdzie statek, po prostu wystarczająco długo, aby uzupełnić swą sakiewkę o kilka monet, ale zaczął wygrywać. Jak daleko sięgał pamięcią, zazwyczaj wygrywał więcej, niż przegrywał, a czasami, kiedy grał z Hurinem, oraz w Shienarze, zdarzało mu się wygrać po kolei sześć czy osiem partii. Dzisiejszego wieczoru jednak, wygrywał każdy rzut. Każdy jeden.

Czując na sobie spojrzenia, jakie rzucali na niego pozostali gracze, zadowolony był, że własne kości pozostawił w sakwie. Te spojrzenia zdecydowały o postanowieniu zmiany miejsca. Ze zdumieniem stwierdził, iż w sakiewce ma w tej chwili około trzydziestu srebrnych marek, ale ponieważ nie od każdego wygrał tyle samo, dlatego też niektórzy nie byli zadowoleni z jego rezygnacji.

Tylko jeden żeglarz, ze związanymi w węzeł czarnymi, kręconymi włosami – z Ludu Morza, jak ktoś powiedział, chociaż Mata zdziwiło, cóż jeden z Atha'an Miere robił tak daleko od morza – szedł za nim po ciemniejących ulicach, domagając się szansy na odegranie tego, co stracił. Ale Mat chciał już dostać się do doków – trzydzieści srebrnych marek to było więcej niż dosyć – niemniej żeglarz upierał się, on zaś z przewidzianego czasu wykorzystał tylko pół godziny, toteż na koniec poddał się i razem weszli do tawerny, obok której akurat przechodzili.

Wygrał znowu i wtedy jakby ogarnęła go gorączka. Wygrywał każdy rzut. Wędrował od tawerny do gospody i z powrotem do kolejnej tawerny, nigdzie nie zostając dość długo, by kogokolwiek rozeźlić wysokością swych wygranych. I wciąż wygrywał każdy kolejny rzut. Wymienił w kantorze srebro na złoto. Grał na korony i piątki, dwudziestki. Grał pięcioma kośćmi, czterema, trzema, a nawet dwoma. Grał w gry, których wcześniej nie znał, kuczał w kółku i zasiadał przy stole. I wygrywał. W którejś chwili ciemny żeglarz powiedział, że ma na imię Raab – opuścił go, odchodząc chwiejnym krokiem, wyczerpany, ale z pełną sakiewką; zamiast grać postanowił obstawiać zwycięstwa Mata. Mat odwiedził kolejny kantor, być może nawet dwa, gorączka zdawała się zaćmiewać mu umysł, równie przemożne jak niejasne były jego wspomnienia dotyczące przeszłości i poszedł poszukać następnego miejsca, w którym grano. Wygrał.

Na koniec znalazł się, nie wiedział dokładnie, ile minęło godzin, w tawernie wypełnionej tytoniowym dymem niejasno przypomniał sobie nazwę, "Splot Tremalking" wpatrując się w pięć kości, z których każda ukazywała bok z głęboko wyciętą koroną. Większość bywalców wydawała się tutaj zainteresowana tylko pić, w takich ilościach, jakie tylko mieściły ich gardła, jednak okrzyki graczy i grzechot kości, dobiegające z przeciwległego kąta sali, tłumił niemal całkowicie kobiecy głos śpiewający do akompaniamentu cymbałów skoczną piosenkę.

Zatańczę z dziewczyną, która oczy ma brązowe,
zatańczę i z taką, o oczach jak szmaragdy,
zatańczę z każdą, jakich by oczu nie miała,
bo takich jak twoje nie widziałem u żadnej.
Pocałuję dziewczynę o włosach czarnych jak smoła,
pocałuję i taką, co złocisty ma warkocz,
pocałuję każdą, jakich by włosów nie miała,
bo ciebie jedną w objęciach chciałbym zamknąć.

Śpiewaczka oznajmiła, że piosenka ma tytuł *Co on powiedział do mnie*, Mat jednak znalazł ją pod

tytułem *Czy ze mną zatańczysz* i z innymi słowami, w tej chwili jednak wszystkim, o czym mógł myśleć, były te kości.

– Znowu król – wymamrotał jeden z mężczyzn siedzących w kucki obok Mata. Po raz piąty z rzędu Mat wyrzucił króla.

Przed chwilą wygrał złotą markę, tym razem nie dbając nawet, że jego Andorańska marka przewyższa wartością monetę illiańską, postawioną przez tamtego, zebrał tylko kości do kubka, zagrzechał nimi ostro i wyrzucił na podłogę. Pięć koron.

"Światłości, nie może tak być. Nikt nigdy nie wyrzucił pod rząd sześciu króli. Nikt".

– Jakby mu sam Czarny sprzyjał – warknął kolejny mężczyzna.

Potężny człowiek o ciemnych włosach związanych na karku czarną wstążką, poznaczonej bliznami twarzy i nosie noszącym ślad niejednokrotnego złamania.

Mat ledwie sobie zdawał sprawę, co robi, a już trzymał tamtego za kołnierz, potem podniósł go i rzucił nim o ścianę.

– Nigdy tego nie mów! – warknął. – Nawet nie waż się w ten sposób mówić!

Mężczyzna spojrział na niego z góry, całkowicie zadziwiony, był o głowę wyższy niż Mat.

– To tylko takie powiedzenie – wymruczał ktoś za jego plecami. – Światłości, tylko powiedzenie.

Mat zwolnił swój uchwyt na kaftanie tamtego i cofnął się.

– Ja... ja... nie lubię jak ktoś mówi o mnie takie rzeczy. Nie jestem Sprzymierzeńcem Ciemności!

"Niech szczenę, tylko żeby nie sprzyjał mi Czarny. Tylko nie to! Och, Światłości, czy ten przeklęty sztylet rzeczywiście coś mi zrobił?"

– Nikt nie mówi, że jesteś – wymamrotał mężczyzna ze złamanym nosem.

Zdawał się otrząsać powoli z zaskoczenia i zastanawiać, czy warto się rozzłościć.

Mat zebrał swój dobytek, który wcześniej złożył pod ścianą i wyszedł z tawerny, zostawiwszy monety tam, gdzie leżały. Nie dlatego, by obawiał się wielkoluda. Zapomniał po prostu i o nim, i o pieniądzach. Pragnął tylko znaleźć się na zewnątrz, na świeżym powietrzu, gdzie będzie mógł pomyśleć.

Na ulicy oparł się o ścianę tawerny, niedaleko drzwi, wdychając w płuca chłód. Ciemne ulice Południowej Przystani, mimo późnej pory, nie były bynajmniej puste. Muzyka i śmiech wylewały się z gospód i tawern, garstki ludzi przemierzały nocne miasto. Oboma rękoma uchwyciwszy się opartej o ziemię pałki, wsparł głowę na dłoniach i usiłował zrozumieć sytuację, w której się znalazł.

Wiedział, że ma szczęście. Pamiętał, że zawsze tak było. Ale w jakiś sposób, w swych wspomnieniach z Pola Emonda nie wydawał się sobie tak szczęśliwy, jak od czasu jego opuszczenia. Oczywiście, udawało mu się unikać konsekwencji rozmaitych postępów, ale z drugiej strony często przyłapywano go wówczas, gdy pewien był, że psikus się musi powieść. Jego matka wydawała się zawsze wiedzieć, co przeskrobał, podobnie Nynaeve z łatwością przenikała jego wykrety. Ale szczęście nie zaczęło mu dopisywać od razu po opuszczeniu Dwu Rzek. Szczęście pojawiło się wówczas, gdy wziął w dłonie sztylet z Shadar Logoth. Pamiętał, jak grywał w domu w kości z chudym człowiekiem o ostrym wzroku, który pracował dla kupców, przyjeżdżających z Baerlon po tytoń. Pamiętał również lanie, jakie spuścił mu ojciec, gdy się dowiedział, że winien jest temu człowiekowi srebrną markę i cztery grosze.

– Ale uwolniłem się od tego przeklętego sztyletu zamruczał. – Te przeklęte Aes Sedai tak powiedziały.

Zastanawiał się, ile wygrał dzisiejszej nocy.

Kiedy wsadził rękę do kieszeni kaftana, przekonał się, że pełna jest luźnych monet, koron i marek, srebrnych i złotych, które zaśniły i zamigotały w świetle padającym z najbliższego okna. Wyglądało na to, że teraz miał już dwie sakiewki i na dodatek obie mocno wypchane. Rozwiązał rzemienie i znalazł jeszcze więcej złota. I jeszcze więcej wetkniętego do sakwy przy pasie, pomiędzy kubki z kośćmi, pognieciony list Elayne i dokument Amyrlin. Pamiętał, jak rzucał usługującym dziewczętom srebrne grosze tylko dlatego, że miały ładny uśmiech, ładne oczy czy łydki, i dlatego, że srebrnych groszy nie warto było trzymać.

"Nie warto? Może rzeczywiście nie. Światłości, jestem bogaty! Jestem przeklętym bogaczem! Może to jest coś, co zrobiły mi te Aes Sedai. Zrobiły mi, kiedy mnie uzdrawiały. Przypadkiem, być może. To może być to. Najpewniejsza możliwość. Musiały mi to zrobić te przeklęte Aes Sedai".

Z tawerny wyszedł wielki mężczyzna, drzwi za nim zamknęły się wystarczająco szybko, by nie można było zobaczyć jego twarzy.

Mat przycisnął plecy do ściany, wepchnął sakiewkę na powrót do kaftana i zacisnął mocniej dłonie na pałce. Skądkolwiek pochodziło jego dzisiejsze szczęście, nie miał zamiaru stracić całego swego złota na rzecz jakiegoś rabusia.

Mężczyzna odwrócił się w jego stronę, spojrzał i podszedł bliżej.

– Z-zimna noc – powiedział pijackim głosem. Chwiejnie podszedł jeszcze bliżej i wtedy Mat zobaczył, że większość jego wagi stanowi tłuszcz. – Muszę... muszę...

Chwiejąc się, grubas przeszedł ulicę, nieskładnie coś do siebie mamrocząc.

– Głupiec! – wymruczał Mat, ale nie był pewien, czy słowo to przeznaczył dla tamtego, czy dla siebie. – Czas znaleźć statek, który mnie stąd zabierze.

Zerknął na niebo, próbując ocenić, jak daleko jeszcze do świtu. Trzy, może cztery godziny, pomyślał.

– Czas najwyższy. – Żołądek zaburczał mu w odpowiedzi, niejasno pamiętał, że jadł w kilku gospodach, ale zupełnie nie przypominał sobie, co. Gorączka gry chwyciła go za gardło. Ręka, którą wsunął do worka z jedzeniem, natrafiła tylko na okruchy. – Najwyższy czas ruszać.

Oderwał się od ściany i poszedł w kierunku doków, gdzie zamierzał znaleźć statek.

Początkowo pomyślał, że słaby odgłos za plecami jest echem jego kroków na bruku. Potem zdał sobie sprawę, iż ktoś za nim idzie. Skrada się.

"Cóż, z pewnością są to jednak rabusie".

Uniósł pałkę i przez krótką chwilę rozważał pomysł odwrócenia się, aby stawić im czoło. Ale było ciemno, a z odgłosu kroków po bruku nie można było wywnioskować, ilu ich jest.

"Tylko dlatego, że dobrze sobie dałeś radę z Galadem i Gawynem, nie musisz zaraz być jakimś przeklętym bohaterem z opowieści".

Skręcił w wąską, krętą boczną uliczkę, starając się jednocześnie iść na palcach i szybko poruszać. Tutaj wszystkie okna były ciemne, a większość zaopatrzona w okiennice. Zbliżał się już do końca uliczki, kiedy przed sobą dostrzegł jakiś ruch, dwóch mężczyzn spoglądało w boczną uliczkę z ulicy, do której dochodziła. A za sobą również słyszał kroki, ciche skrobanie skóry butów po kamieniu.

W mgnieniu oka skoczył w cień, w róg, gdzie jeden budynek wystawał trochę dalej na ulicę niż drugi. To wydawało się najlepszym wyjściem w tej chwili. Ściskając nerwowo pałkę, czekał.

Spojrzał w kierunku, z którego przyszedł i zobaczył przygarbionego mężczyznę, wolno wędrującego krok za krokiem, potem następnego. Obaj mieli w dłoniach noże. Skradali się.

Mat zeszywniał. Gdyby podeszli jeszcze kilka kroków bliżej, zanim dostrzegą, iż skrywa się w ocienionym kącie, może wziąć ich z zaskoczenia. Pragnął, by przestało go tak ścisnąć w żołądku. Te

noże były znacznie krótsze niż ćwiczebne miecze, ale zrobione zostały ze stali, nie z drewna.

Jeden z mężczyzn spojrział w kierunku drugiego końca wąskiej uliczki, zniechęca wyprostował się i zawołał:

– Nie przechodził obok was, więc?

– Nie widziałem nic prócz cieni – zabrzmiała odpowiedź wyraźnie i ostro. – Chciałbym mieć to już za sobą. Dziwne rzeczy poruszają się tu w nocy.

Znajdujący się nie dalej niż cztery kroki od Mata ludzie wymienili spojrzenia, schowali noże do pochew i truchtem oddalili się w kierunku, z którego przyszli.

Powoli wypuścił długo wstrzymywany oddech.

"Światłości. Niech szczenę, jeśli to nie okazało się dużo ważniejsze niż szczęście przy kościach".

Nie widział już mężczyzn na tle wyjścia z uliczki, ale wiedział, że muszą znajdować się gdzieś na jednej z sąsiednich ulic. Idą dalej za nim.

Jeden z budynków, pomiędzy którymi przycupnął wciśnięty, był w tym miejscu parterowy, zaś dach wyglądał na wystarczająco płaski, fryz z białego kamienia, wyrzeźbiony na kształt wielkich liści winorośli łączył oba domy.

Podniósł pałkę tak, że jeden jej koniec opierał się o dach i mocno pchnął. Upadła z łoskotem na dachówki. Nie czekając, by się przekonać, czy ktokolwiek go słyszał, wgramolił się po fryzie, wielkie liście dawały dobre oparcie nawet człowiekowi w butach. Następnie ujął pałkę w dłonie i pobiegł po dachu, ufając, że nie potknie się na żadnej nierówności.

Wspinał się jeszcze trzy razy, za każdym o jedno piętro wyżej. Łagodnie pochyłe, kryte dachówką dachy na tym poziomie ciągnęły się na sporej przestrzeni, wiał także wiatr, który jeżył mu włosy na karku, wywołując nieomal wrażenie, iż jest ścigany.

"Przestań, głupcze! Są już trzy ulice dalej, szukając kogoś innego z wypchaną sakiewką i brakiem szczęścia".

Jego buty ześlizgnęły się po dachówkach i zdecydował, że niezłym pomysłem byłoby zejście na dół, na ulicę. Ostrożnie podszedł do krawędzi dachu i spojrział w dół. Pusta ulica leżała czterdzieści lub więcej stóp w dole, z okien trzech tawern i gospody światło lało się na kamienie bruku. Ale po prawej stronie dostrzegł kamienny most prowadzący z najwyższego piętra budynku, na którego dachu stał, do domu po przeciwnej stronie ulicy.

Most wydawał się okropnie wąski, przemierzał ciemność, w którą nie sięgały światła tawern, łukiem wygiętym nad przepaścią, skąd czekałby go daleki lot do twardego bruku, ale zrzucił na dół pałkę i ruszył za nią, zanim zdążył się dobrze zastanowić, co robi. Jego buty łupnęły o powierzchnię mostu, on zaś przetoczył się w taki sposób, w jaki robił to jako chłopiec, spadając z drzewa. Zatrzymał się na wysokiej do pasa balustradzie.

– Mając złe obyczaje, trzeba się potem dużo nabiegać uciekając – skonstatował na swój użytek, potem podniósł się i wziął pałkę.

Okno po przeciwnej stronie mostu było zamknięte na głucho i nie oświetlone. Nie sądził, że mieszkający za nim człowiek ucieszy się z odwiedzin obcego pośrodku nocy. Dookoła widział mnóstwo kamiennych ozdób, ale nawet jeśli było tego wystarczająco dużo, by znaleźć uchwyt dla palców, noc skrywała to przed jego oczyma.

"Cóż, obcy czy nie obcy, wchodzę do środka".

Odwrócił się od balustrady i w tym momencie spostrzegł, że nie jest na moście sam. Oprócz niego stał tam człowiek ze sztyletem w dłoni.

Mat pochwycił uzbrojoną dłoń w chwili, gdy nóż zmierzał już w kierunku jego gardła. Ledwie

zdołał zawrzeć słaby uchwyt na nadgarstku tamtego, gdy pałka zaplątała mu się między nogami, powodując, że zwiśł przez balustradę i pociągnął tamtego na siebie. Balansując na niewielkim oparciu, jakiego poręcz dostarczała jego plecom, przed oczyma mając twarz tamtego z wyszczerzonymi zębami, doskonale zdawał sobie sprawę zarówno z długiego upadku, jaki go czeka, jak i z odbijającego światło księżyca ostrza tuż przy gardle. Uchwyt palców na nadgarstku mężczyzny powoli ześlizgiwał się, drugą rękę, ściskającą pałkę, miał uwięzioną pomiędzy swoim ciałem a korpusem napastnika. Minęły jedynie sekundy od czasu, kiedy zobaczył go po raz pierwszy, a w ciągu następnych kilku sekund miał umrzeć ze sztyletem w gardle.

– Czas rzucić kości – powiedział.

Wydawało mu się, że mężczyzna zmieszał się na moment, a moment to było wszystko, czego potrzebował. Podniósł nogi i pociągnął ich obu w otchłań.

Przez wydłużające się chwile zdawało się, iż nic nie waży. Wiatr świszczwał w uszach i rozwiewał włosy. Wydawało mu się, że mężczyzna krzyczy lub próbuje krzyczeć. Wstrząs uderzenia pozbawił go zupełnie tchu, przed zmaconymi oczyma zatańczyły srebrne i czarne iskry.

Kiedy na powrót mógł już oddychać – i widzieć zrozumiał, że leży na ciele mężczyzny, który go zaatakował, ono właśnie złagodziło upadek.

– Szczęście – wyszeptał.

Powoli podniósł się, przeklinając skaleczenie, jakie koniec pałki zostawił mu na żebrach.

Spodziewał się, że tamten nie żyje – niewielu potrafiłoby przeżyć upadek na bruk z wysokości trzydziestu stóp, dodatkowo z ciężarem drugiego człowieka na sobie – ale nie spodziewał się zobaczyć sztyletu, tkwiącego w jego sercu. Człowiek wyglądał tak przeciętnie, że wydawało się niemożliwe, aby chciał go zabić. Mat nie sądził, by był w stanie dostrzec go w zatłoczonym pokoju.

– Miałeś pecha, chłopie – powiedział do trupa, ale głos mu drżał.

Nagle uprzytomnił sobie wszystko, co się dotąd wydarzyło. Rabusie na krętej uliczce. Wspinaczka po dachach. Ten człowiek. Upadek. Wzniósł oczy ku łukowi mostu ponad głową i dopadły go dreszcze.

"Musiałem chyba oszaleć. Mała przygoda to jedna rzecz, ale o coś takiego nie prosiłby nawet Rogosh Orle Oko".

Zdał sobie sprawę, że stoi nad martwym człowiekiem leżącym ze sztyletem wbitym w pierś, jakby czekając, aż ktoś nadejdzie i krzykiem wezwie gwardzistów z Płomieniem Tar Valon na piersiach. Dokument Amyrlin mógł spowodować, że daliby mu spokój, ale mogło również stać się odwrotnie, jeżeli odkryła już jego ucieczkę. Wciąż mógł skończyć zamknięty w Białej Wieży, bez dokumentu, zapewne nie pozwolono by mu nawet opuszczać w ogóle jej terenów.

Rozumiał, że powinien natychmiast ruszyć w stronę doków i odpłynąć pierwszym statkiem, choćby była to przegniła balia pełna starych ryb, ale nogi mu się tak trzęsły w następstwie minionych wydarzeń, że ledwie mógł chodzić. Pragnął móc usiąść choćby na minutę. Tylko minuta odpoczynku, by kolana przestały drżeć, a potem ruszy w kierunku doków.

Tawerny były bliżej, skierował jednak swe kroki do gospody. Wspólna sala gospody stanowiła zawsze przyjazne miejsce, gdzie człowiek mógł odpocząć przez chwilę i nie j przejmować się, że ktoś go ściga. Przez okna padała wystarczająca ilość światła, by bez trudu dostrzec godło. Kobieta z włosami zaplecionymi w warkocze, trzymająca w ręku coś, co wyglądało mu na oliwną gałązkę oraz słowa: "Kobieta z Tanchico".

Spis treści

STRONA TYTUŁOWA..	1
PROLOG FORTECA ŚWIATŁOŚCI.	5
ROZDZIAŁ 1 OCZEKIWANIE..	24
ROZDZIAŁ 2 SAIDIN..	35
ROZDZIAŁ 3 WIEŚCI Z RÓWNINY..	49
ROZDZIAŁ 4 SNY PEŁNE CIENIA..	59
ROZDZIAŁ 5 KOSZMAR NA JAWIE..	68
ROZDZIAŁ 6 POLOWANIE SIĘ ROZPOCZYNA..	81
ROZDZIAŁ 7 DROGA Z GÓR..	96
ROZDZIAŁ 8 JARRA..	102
ROZDZIAŁ 9 WILCZE SNY..	117
ROZDZIAŁ 10 TAJEMNICE..	126
ROZDZIAŁ 11 TAR VALON..	141
ROZDZIAŁ 12 TRON AMYRLIN..	152
ROZDZIAŁ 13 KARY..	158
ROZDZIAŁ 14 UKŁUCIE KOLCÓW...	170
ROZDZIAŁ 15 SZARY CZŁOWIEK..	178
ROZDZIAŁ 16 TRZY ŁOWCZYNIĘ..	188
ROZDZIAŁ 17 CZERWONA SIOSTRA..	197
ROZDZIAŁ 18 UZDRAWIANIE..	204
ROZDZIAŁ 19 PRZEBUDZENIE..	211
ROZDZIAŁ 20 ODWIEDZINY..	218
ROZDZIAŁ 21 ŚWIAT SNÓW...	231
ROZDZIAŁ 22 CENA PIERŚCIENIA..	239
ROZDZIAŁ 23 PRZYNALEŻNOŚĆ..	264
ROZDZIAŁ 24 POSZUKIWANIA I ODKRYCIA..	273
ROZDZIAŁ 25 PYTANIA..	288
ROZDZIAŁ 26 ZA ZAMKIEM...	299
ROZDZIAŁ 27 TEL'ARAN'RHOD..	307
ROZDZIAŁ 28 WYJŚCIE..	323
ROZDZIAŁ 29 PUŁAPKA, W KTÓRĄ NALEŻY WPAŚĆ..	331
ROZDZIAŁ 30 PIERWSZY RZUT.	341